

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**



OGÓLNEGO ZBIORU TOM 156.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

  
Tom czwarty.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1879.

4620. 1879. 4.

II



30.000, -

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Сентября 1879 года.

X-14256  
4620 / 1879 II 4.

# Tomasz August Olizarowski.

PRZEZ

*Sewerynę z Zoch. Duchińską.*

Jesteś dłużnikiem: słowo ci zwierzone  
Winno plon wydać, a nie pytać tobie,  
Czy kto plon zbierze i jaki i kiedy?  
Czy za żywota twego, czy na grobie?  
Niech twoje słowa, jako łyż Rogniedy <sup>1)</sup>  
Za dni żywota nigdy nie ustaną;  
Wciąż się odzywaj fak, żeby słuchano,  
Czy nie wychodzą jeszcze jakieś pienia,  
Zpod grobowego twojego kamienia!

W tych kilku wierszach, skreślonych stygnącą już ręką, zamyka się cały życiorys poety. Z darów Bożych, otrzymawszy jedyny, słowo, uczuł się w sumieniu dłużnikiem i przez lat pięćdziesiąt wypłacał dług swój z niezmordowaną wytrwałością. Pierwszym szelążkiem, złożonym do Bożej skarbony, był hymn napisany ręką piętnastoletniego chłopięcia, nastrojony na ton harfy Dawidowej, który uczniowie krzemienieccy powtarzali chórem w licealnej kaplicy; ostatnim szelążkiem był czterowiersz, skreślony w przeddzień śmierci, na maleńkim świstku, który odkryliśmy przy wezgłowie zmarłego; czterowiersz prosty, krótki, ale jakże wymowny:

Skończona praca,  
Już niema win;  
Do ojca wraca  
Zbłąkany syn!

Pomiędzy tamtym pierwszym a tym ostatnim akordem, które zlewają się tak harmonijnie z sobą, ileżto różnobrzmiących dźwięków potrąca nam ucho! Jedne z nich dzikie jak poryk piorunowej burzy, rozszalałej po stepowych mogiłach; inne poważne, niby szum wołyńskich sosen nad Ikwą, lub szelest kłosów na polach Halicza; tamte znów słodkie i rzewne, jak kwilenie skowronka, ulatującego w powietrzne błęki-

<sup>1)</sup> Rognieda, książeczka połocka, bohaterka jednego z ostatnich dramatów poety.



ty; a wszystkie te dźwięki, pełne siły i barwy, dzwonią jak fujarka z onej wierzby zakłętój, co niezasłyszala nigdy szumu wody, ani piania koguta. Samodzielność ta stanowi właśnie piętno, wyciśnięte na każdym utworze Olizarowskiego. Jeżeli nuta jego, szorstka częstokroć i dzika, raziła nieraz ucho zwykłych czytelników lub pseudo-estetyków, usiłujących dostrajać wszystko do jednej modły, głęboko za to poruszała wielkich poetów i pierwszorzędnych krytyków naszych. Odczuł ją Józef Korzeniowski, kiedy młodziuchnego ucznia swego w Krzemieńcu skierował na drogę poezyi; odczuł ją Aleksander Tyszyński, a po nim Michał Grabowski, kiedy pomieścili Olizarowskiego w liczbie koryfeuszów ukraińskiej szkoły; odczuł ją Mickiewicz, kiedy zapłakał nad jego pieśnią; odczuł ją Goszczyński, odczuł Bogdan, gdy w młodym Krzemieńczanie powitali bratniego ducha.

Nie było daném Olizarowskiemu, wystąpić jako szermierz, w walce romantyków z klasykami. Kiedy młodem chłopięciem jał zrywać kwiaty poezyi, znalazł on pole wyrzebione toporem potężnych karczowników. Mickiewicz stał już głowę klasycznej hydrze; Goszczyński wywołał już zpod mogił duchy wiedźm i krwawych potępieńców koliszczyny; Bogdan Zaleski, zaklętym czarem lutni bojanowój, zbudził już ze snu Rusałki naprzeczkańskie. Lody pękły pod tchnieniem wrzących piersi; droga była wytknięta, wskazane źródle rodzimych natchnień; pozostało tylko sięgnąć do tychże krynic, czerpać z nich wodę żywą. Uczynił to Olizarowski z całą wolnością ducha; porwany nowym prądem, nie stał się wcale ślepym naśladowcą poprzedników swoich, lecz umiał obok nich zachować własną osobistość.

Całe życie poety zamyka się w jego pismach, jak to rzekliśmy wyżej. Zawarty w sobie, nieskory do poufnych zwierzeń, wyrażał się z trudnością w potocznej pogadance; czasem tylko, gdy pierś jego wezbrała, słowo wybiegało z niej, jakby lawa z wulkanu. Zwiędłe kwiaty swych uczuć, starganą przedzę marzeń i zawiedzionych nadziei, składał cicho w najgłębsze tajniki serca swego i pieśnią tylko wyrzucał je raz po raz z tej zakłętój skarbony. To też za życia jeszcze stał się niejako mitem: najbliżsi i przyjaciele nie wyczytali w jego sercu tych tajemniczych zgłosek, jakie czas na niém wyrzył; nie znali tych drobnych szczegółów z przeszłości, które stanowią najciekawszą stronę życiorysu. Data nawet i miejsce urodzenia mylnie były dotąd podawane. Leniwy w rozmowie, leniwszym był jeszcze do pisywania listów. Kilka ich za ledwie wpadło nam w rękę: skreślone pod wpływem silnego wrażenia, równie jak słowa jego, buchają żarem wulkanicznym.

W takich warunkach życiorys Olizarowskiego trudnóm jest nadzwyczaj zadaniem. Z pieśni jedynie, w małej części drukowanych, w większej części pozostałych w rękopismach, można by usunąć jakiś psychiczny wątek, ale i tu nowa zachodzi trudność. Drukowane jego utwory rozpierzchły się po kraju: napróżno kołataliśmy o nie do źródeł, z których na świat wybiegły. Aby je wydobyć z dalekich od nas księgozbiorów, potrzeba na to czasu. Co zaś do rękopisów, mamy

przed sobą całe foliały, ale z maleńkiej ledwie cząstki możemy dziś korzystać: najjaskrawsze, a tём samém najwięcej charakteryzujące poetę, pominać jesteśmy zmuszeni. Wspomnień tём naszych o zmarłym niema my prawa nazwać życiorysem, ani krytycznym rozbiorem jego utworów; dajemy je poprostu, jako materiał dla szczęśliwszego biografy, któremu okoliczności pozwolą objąć cały żywot i wszystkie prace naszego znakomitego poety.

## I.

Tomasz Olizarowski urodził się w roku 1811, w Wojśławicach w Galicyi, niedaleko Rzeszowa. Ojciec jego Jakób, zasłużony oficer z legionów Dąbrowskiego, powróciwszy z obcych krajów, osiadł czasowo w Galicyi z młodą żoną, z domu Aleksandrowiczówną; lecz oboje nie byli wpisani w galicyjską ludność: właściwém ich gniazdem był Wołyń. Gdy syn podrośł, oddali go zatém do słynnej szkoły Krzemienieckiej, założonej przez Tadeusza Czackiego.

W pierwszych latach chłopczyk okazywał szczególną zdolność do nauk matematycznych. Będąc jeszcze uczniem klasy drugiej, nakreślił zasady arytmetyki, tak jasno i dokładnie, że korepetytorowie w wykładach uczniom, trzymali się tych formuł. Później obudziła się w nim chęć do poezyi: nauka matematyki dzielnie mu posłużyła do normalnego układu zgłosek i do ścisłego obliczania się z myślą, jaką pragnął wyrazić. Wiersz jędrny, jakby wyrąbany, podobał się towarzyszom: obsypali go oklaskami.

— Ha! kiedy tak, piszmy dalej! — pomyślał uczeń i począł rzucać na papier coraz to nowe zwrotki: zapisał niemi cały kajet. Wiersze te odczytywał z zapałem; koledzy zachwycali się niemi; byli jednak między nimi zawistni, dla których tryumfy młodzieńca stały się solą w oku. Zmawiają się więc, wykradają nieszczęśliwy kajet: dalejże rozczytywać wiersze i nicować je bez litości. Pierwsze rzuty niedoświadczonego pióra, nie zdołały wytrzymać takiej próby; połyski talentu ocalić ich nie mogły przed sądem zawziętych zoilów. Młody poeta odpiął z gniewem rzucane mu pociski; szarpany sam, szarpał drugich nie-miłosierdzie. Ciągłe to szamotanie, wyrabiało w nim dziką energią.

Złośliwi koledzy postanawiają bądźco bądź skruszyć pióro zachwalca, ośmieszyć go w oczach całej szkoły. Przepisują więc kajet literami w kształcie drukowanych; przekręcają wyrazy i całe zwroty, dodają do nich najniedorzeczniejsze wierszydła. Zbroszurowany tomik, z wypisaném na okładce imieniem Olizarowskiego, przebiega z rąk do rąk, staje się celem ogólnego pośmiewiska. Szczególny śmiech budzi jakiś wiersz elegijny, w którym nieszczęśliwy kochanek

Omdlał i stoi  
Obok swój Chloi!

Był to wiersz młodego Michalewicza, najzłośliwszego z antagonistów poety.

Wzajemna niechęć takie wreszcie przybrała rozmiary, że biedny nasz uczeń, ścigany jak jeleni obławą, zerwał wszelkie stosunki z towarzyszami. Mieszkając z nimi pod jednym dachem, wołał cierpieć głód, niż do wspólnego siadać stołu. Przez pół roku poprzestawał na resztkach, jakie mu z kuchni przynoszono. Później, czyto zniewolony przez zwierzchników, czy też zadosyć czyniąc przychylniejszym mu kolegom, jadał przy wspólnym stole, trzymał się jednak na uboczu. Tak przeszło całe dwa lata. Prześladowania te ciężko dogryzały poccie, lecz nie wytrąciły mu pióra, nie złamały żelaznej woli. Młodzian nie ustąpił ani na krok; całą duszą utonął w poezyi.

— Wy mnie prześladowajecie!—powtarzał nieraz—otóż na złość wam będę pisał!

Niedosyć było tych prób: twardsze zapory do zwalczenia napotkał on w krewnym swoim Zaklice. Młodzieniec ten, towarzysz jego szkolny, należał do najzdolniejszych i najpracowitszych uczniów. Zamiłowany w naukach ścisłych, uprawiał je z zapałem. Pozytywista z wrodzonego popędu i z charakteru pracy, wyrzucał poccie niedorzeczne marzycielstwo.

— Do czego doprowadzą cię wiersze?—pytał, ruszając pogardliwie ramionami—czas już porzucić te dzieciństwa, a wziąć się do tego, co ci da chleb na przyszłość.

Poeta przyjmował rady w milczeniu, lecz słuchać ich nie myślał. Im gwałtowniej odrywano go od poezyi, tém ją kochał goręcej, tém silniej pragnął posłubić ją nazawsze.

Profesorem języka i literatury polskiej w Krzemieńcu był Józef Korzeniowski. Nasz poeta słuchał z zapałem jego wykładów; profesor ze swój strony oceniając pilność ucznia, śledził go bezustannie okiem. Ośmielony tém młodzian, odważył się wypracować wierszem ćwiczenie. Z bijącym sercem złożył je do rąk profesorowi. Biegły krytyk poznał młode lwiątko po pazurach, z drobnej próbki odgadł zdolność poety. Odtąd szczególną otoczył go opieką, zachęcał do pisania, rozmawiał z nim po przyjacielsku; surowy dla drugich, ale z pozoru tylko, w obejściu z Olizarowskim okazywał dziwną dobroć i słodycz. Nieraz brał go pod rękę, odbywał z nim dalekie przechadzki.

Obejście profesora oddziało na całą szkołę. Zatargi ustały, miejsce ich zastąpił powszechny szacunek. Wkrótce, o mury licealnego kościoła rozległ się hymn utworu młodego poety, odśpiewany chórem przez uczniów. Szyderstwa umilkły, wszystko poszło w niepamięć. Tryumfator przebaczył z serca prześladowcom; ci ze swój strony odkryli w nim pomazańca Muz i z cichym poglądzali nań uwielbieniem.

Szczęśliwy młodzian oddał się wyłącznie poezyi; bezustanku kreślił coraz to nowe wiersze. Brakło czasu na uprawę innych nauk. Przy końcu roku szkolnego, przychylniejsi towarzysze jęli upominać go, przepowiadając, że otrzyma złe stopnie. Poeta zartował sobie z tych wróżb; ufny w zyczliwość Korzeniowskiego, pewien był że wyjdzie



szczęśliwie z próby. Jakież było jego zdumienie, jaki wstyd, kiedy zobaczył na cenzurze wyraz *mierny*, nakreślony właśnie ręką życzliwego mu profesora.

Wypadek ten przeszedł bez następstw; koledzy nie śmieli szydzić z ucznia, który górował nad nimi talentem; Korzeniowski pokochał tém więcej zdolnego młodziana, gdy ten obliczywszy się z sobą, uczuł, że zasłużył na karę i przykładną pilnością wkrótce powetował czas stracony.

Ośmioletni pobyt w szkołach Krzemienieckich, niezatartemi rysami wyrył się w pamięci poety. Do samej śmierci zachował on w sercu wdzięczność dla profesorów, świadczy o tém rzewny wiersz, nakreślony sędziwą już ręką; znaleźliśmy go w pozostałych papierach pod datą 1871 roku.

Tak, o was dumam, mistrze me w nauce,  
Ale dumaniem już tylko się smuce;  
Już tylko widzę, gdzieś tam, wasze krzyże.  
Mogily wasze, już z ziemią zrównane,  
Trawy i zielska na nich już nieświeże,  
A wszystko społem, milczeniem odziane;  
Puszczyk je przerwie lub wędrownie ptaszę,  
Gdy zbłądzi, spocząć na mogily wasze.  
Lecz mnogi słuchacz dziecinny i młody,  
Już nie okoli waszych katedr nowych  
I nie dobędzie z waszych urn grobowych  
Pochwał ni nagan!..

Doświadczony życiem, przebaczył on z serca towarzyszącej dwuletnie chłosty i prześladowania, a zachował tylko wdzięczną pamięć za wieńce i oklaski, jakimi go później obsypywali.

O was ja dumam i o was rówieśni,  
Coście z méj młodej urągali pieśni;  
Coście ją potem na swe serca wzięli  
I tak podnieśli i takim odzieli  
Pochwał urokiem, iżem się zagubił  
Duchem w uroku i pieśnim poślubił  
Żywot i wszystko co w światowej mowie:  
Szczęściem, wygodą, mądrością się zowie.  
Na otworzoną pochwały waszemi,  
Do mego szczęścia niebezpieczną drogę,  
Wyszedłem głuchy na wszelką przestrozę!

Wspomnienie Krzemieńca, raz po raz wybiega z dźwięcznych strun jego liry. Przytaczamy dziwnie malowniczy obrazek:

Góry wy miłe! na waszych ja szczytach!  
Nadziemsko błogich doznawałem wrażeń,

Gdym się oczyma zanurzał w błękitach,  
 Ze złotą przędzą młodocianych marzeń,  
 Gdym się zachwycił pysznym słońca kwiatem,  
 Wyrastającym z rana poza światem;  
 Albo schodzącym do Ikwy wieczorem,  
 Dobranoc niebu powiedzieć za borem!

Jak ja lubilem z waszych szczytów oko  
 Puszcząć sokołem daleko, szeroko;  
 Jak ja lubilem oczyma tęsknoty  
 Na chmur i ptaków poglądać przeloty!  
 Jak ja lubilem echa dolin budzić,  
 Drażnić się pieśnią, rozmową się ludzić;  
 Jak ja lubilem słuchać orła krzyków,  
 Kukulki wróżeń i pieśni słowików!

Powtórzmy tu jeszcze najsmętniejszą ze wszystkich dumkę: *Co wieczora*, poświęconą pamięci drogich progów domowych.

Co wieczora w sercu niecę  
 Wspomnień ogień cyprysowy,  
 Sokolami myśli lecę,  
 W nadbużański kraj domowy.  
 Co wieczora zachwycony,  
 Palm północnych <sup>1)</sup> gonię szumy  
 I słowicze Orfeony  
 I wołyńskie słyszę dumy.

Krzemieńskie widzę góry,  
 Licealne widzę mury;  
 Widzę rzeki i jeziora:  
 Wołyń widzę co wieczora.

Ziemia droga mnie tam wzywa,  
 Przepasana Ikwy szarfą,  
 Nadpowietrzną do snu harfą:  
 Co wieczora się odzywa!

Co wieczora pokryjomu  
 Słucham harfy lub anioła,  
 Jak po całym Bożym domu,  
 Głosem matki syna woła.

— Gdzie ty, synu, nieszczęśliwy?  
 Czyś ty żywy, czy nieżywy?  
 Ciebie co dnia matka siwa,  
 Jękiem szuka, płaczem wzywa.

Na rozstaniu z matką biédną,  
 Chory ojcico tuż przy grobie

<sup>1)</sup> Tak zwykł nazywał sosny.

Krok zatrzymał, myślą jedną,  
A ta jedna myśl o tobie.

Wyglądają siostry ciebie,  
Co wieczora w świata głębie,  
Myśli tęsknych ślą gołębie,  
Modlitwami toną w niebie.

Czas nadzieją tam ich ludzi,  
Obiecanek cacka nosi;  
Nieprawdziwe wieści głosi:  
Łzy prawdziwe w końcu budzi.

Tak gdy w świata Zaporozu  
Szuka nocy dnia pochodnia,  
Ja dumami pływam co dnia,  
Po wieczorném wspomnień morzu!

To wspomnienie Krzemieńca było dla poety jakby echem zatraconego raj. Zagnany huraganem w dalekie świata strony, ścigał wreszcie pamięcią, szum Ikwy, płasającej po krzemienistém łożu, jak wieszcz Adam gonił szum Wilii w objęciach Niemna, jak Bohdan chwycił pogwizdy wichru po mogiłach stepowych. Ów Krzemieniec który wyniańczył młodego sokoła, pozostał do końca dni, duchowém jego gniazdem. Zdała od Ikwy, w gronie braci Krzemieńczanów, złączony z nimi węzłem młodzieńczych wspomnień, czerpał w nich siły do szerokich polotów. Później złamanemu burzą, ramię Krzemieńczanina ostatniem było oparciem; ręka Krzemieńczanina rzuciła garść ziemi na jego trumnę. Tym wiernym przyjacielem był p. Kanut Gorkowski, niegdyś szkolny kolega poety. On gorącym słowem i gorącymi łzami uczcił pamięć druha przy grobie.

## II.

Ale wspomnienia Krzemieńca, zadaleko nas zapędziły. Cofnijmy się o lat blisko pięćdziesiąt, kiedy poeta, opuściwszy zaledwie szkolną ławę, zszedł się, jak mówi, z burzą. Ta burza nasamprzód pchnęła go do Galicyi. Trzy lata przepędził we Lwowie, ztąd rzucił w świat pełen życia i siły poemat, wysnuty z życia ukraińskiego ludu. Mówimy tu o powieści *Zawerucha*; wpatrzmy się w ten utwór nakreślony jaskrawymi barwy, kipiący warem piersi młodzieńczój. Oto początek, odmienny nieco od drukowanego tekstu, tak poeta przerobił go w rękopiśmie:

Zawerucha kozak młody,  
Kozak z siebie, kozak z ojców,  
Niepośledni śród młojców,  
Znaczny z siły i z urody,  
Do wszystkiego chwyt.

Z sioła z koniem w step wyskoczył,  
 Bo u stepu miłą zoczył;  
 Z dziewczętami stała ona  
 Zadumana, zapatrzona  
 Gdzieś w stepowy świat.

Kozak wstrzymuje konia w pędzie, staje przed Rucianą, co gwarzy na stepie z drużkami. Czarnobrewa urzekła kozaka, wie o tém; dumna z tryumfu, na coraz nowe wystawia go próby. I teraz oto, ukazuje mu ręką czarną chmurę, przepływającą po nad szerokim stepem: „Przynieś mi, rzeczce, szmat tej chmury a uwierzę wtedy że mnie kochasz.”

Hulał dusza! kozak krzyknął,  
 Koń z kopyta w świat popędził;  
 Nóg nie szczędził, tchu nie szczędził,  
 Coraz bardziej krył się, nikał:  
 Tonął w morzu traw.

Burza rozszalała się tymczasem, ryknęła piorunami. Zawerucha nie zważa na nic, prześciga chmury w locie; pędzi w cwał, aż koń upada wreszcie pod nim.

Jęknął żałośnie kozak; jak w ryty w ziemię, stoi nad martwym koniem. Chmura wyczerpana z sił, przeleciała daleko... zapada noc; miesiąc otrząsa się z obłoków.

Potém miesiąc wstał rumiany,  
 Jak w kalinie wykąpany,  
 Wylazł z stepu w lazurową  
 Kąpiel niebios, tonął głową,  
 Mył się blaskiem zórz.  
 Bielusieńki smutny, cichy,  
 Swą łabędzią pierś osuszał,  
 Z złotym chórem gwiazd się ruszał  
 I w pachnące ziół kielichy,  
 Strząsał krople ros.

Zmienia się obraz. Zawerucha przemokły ulewą, żałosny po stracie konia, wstał na chwilę do gospody. Zasepiony siedzi za stołem. Naprzeciw niego zasiadł wędrowny czumak. Milczkiem, zpod oka, obaj spoglądają na siebie; wreszcie spotkały się ich źrenice, rozwinęły usta. Czumak odurzony trunkiem, potraça w struny teorbanu; przy dzikięj przygrywce, opiewa smutne dzieje rodu swojego. Ojca powiesili, bo hulał z Żelaźniakiem; matkę utopili, gdyż była czarownicą; brat bije psy w Bogusławiu, siostra wyprawia gody z pohańcami.

Wtém wchodzi do karczmy stary kmicieć ukraiński: to znahor, ojciec Rucianej. Włos jego siwy, lecz barki jeszcze krzepkie; w oku dobroć, na czole powaga. Poeta kreśli wierny typ kmiecia, opisuje dom jego, wylicza bogaty dobytek.

U znahora jabłek w sadzie,  
 Aż się jabłoń matka kładzie,  
 Pod ciężarem swego płodu;  
 Wymuklejsza macierz grusza,  
 Z swym drobiazgiem w górę rusza,  
 I zagłada w oczy wschodu.  
 Słońca złotem się uśmiecha,  
 I w swój owoc wciąga złoto;  
 Bez krzaczysty wonnie wzdycha  
 A powoje wianki plotą,  
 Gęste płoty obwieszają,  
 I przed okiem zasłaniają  
 Wnętrz ogrodu... znahorowe  
 Różne trzody i chudoba,  
 Tłuste, gładkie, rosłe, zdrowe;  
 Cztery źrebce rżą u żłoba,  
 Ryczą w stajni cztery woły:  
 Jednym rykiem wszystkie doły  
 Ukraińskie zaludnione;  
 Drugim rykiem wszystkie góry;  
 Trzecim wody, czwartym chmury.

Chór z tych ryków, chór szalony,  
 Całym stepem, całą ziemią,  
 Całym światem wzdłuż, wszecz gada.

Ludzie na to słowem drzemią,  
 Echo za nich odpowiada.  
 Na barstanach śpią pokotem  
 To kawony, to melony,  
 Niby żółwie zmyte złotem  
 I szmaragdem.

Znahor baczném okiem zmierzył kozaka, odgadł smutek na jego czole. Pyta: co mu jest? Uwiadomiony o przygodzie, zaprasza go do chaty, wzywa téż wędrownego czumaka. W chacie tymczasem czuwa Ruciana, raz po raz przykłada oczęta do szyby; żali się smętną dumką:

Milczą wrota kalinowe,  
 Za wrotyma milczy droga;  
 Czekam, czekam ja nieboga,  
 O okienko wspieram głowę.  
 I po szybach łążę okiem;  
 I za szyby idę wzrokiem,  
 Mózg mnie boli nad oczyma:  
 Kozaczeńka niéma, niéma.

Matka pociesza córkę... próżno... nie oderwie jój od szyby; wrota skrzypnęły wreszcie, wchodzi znahor, za nim czumak i Zawerucha.

Dziewczę pyta kozaka, czy przyniósł jęj płat chmury? Na wieść, że koń został na stepie, załamuje ręczęta: onato przywiodła go do zguby.

Rodzice błogostawiają młodęj parze; niebawem następują weselne gody. Czumak zostaje w chacie: on będzie družbował na weselu.

Następnny obraz ukazuje zaślubioną już parę młodą. Wszycy szczęśliwi; czumak tylko snuje się jakby złowrogie widmo; czarna za-  
wiść powstała w jego duszy: knuje zbrodniczy zamiar. Dnia jednego pod noc, wyprowadza na step kozaka: idą pogrzebać końskie kości. W chacie pusto, znahor w polu, znahorowa poszła po wodę do kry-  
nicy; Ruciana wybiegła po kalinę. Woń krwi krąży w powietrzu; ławy i stoły, ściany i belki, wiodą złowrogi, tajemniczy rozhovor. Wracają starzy, wraca Ruciana, kozak tylko nie powrócił z czumakiem. Pies żałośnie wyje, trwoga przejmuje serca. Ruciana drży jak listek. Za-  
pada noc.

Chmury idą wciąż czarniejsze,  
Bez powrotu, bez uśmiechu;  
Noc, powietrze coraz lżejsze:  
Nic nie cięży na oddechu.

Puklerz złoty krwią oblany,  
Miesiąc w stepie wykąpany:]  
Zawieszony na niebiosach  
Rośl po złotych w górę włosach.

I niósł w górę krwawe farby,  
I niósł w górę wielkie skarby  
Z pozaświecia; i w purpurę  
Ubrał chmurę i wszedł w chmurę.

Brylantowe blasku morze  
Zpoza chmurek się wylewa,  
I zielone stepu łożę,  
Wonném światłem się odziewa.

Jak z trupiego szpiku świece,  
Gwiazdy płoną, ziemię głuszają;  
Kragłe rosy z chmur się kruszą  
I ściekają na ziól lice.

Krzyż cerkiowny żegna chmury,  
Ciągnie orszak chmur ponury  
Ponad stepem, ponad siołem,  
Osypany skrós popiołem.

A na końcu chmura biała  
Na step wbiegła, podumała;  
Nad kurhanem jęła pływać,  
Znów kozaka w przegon wzywać.

Ale kozak już nie skory  
Do przegonu, i nie może,  
A dlaczego? hej! hej! Boże!  
Żal się! żal się! cytl

## Upiory

Od kurhanu ciągną tłumnie,  
 Na ostatku upiór nowy,  
 Ej! Kozacki? czy już w trumnie  
 Zawerucha?..

Psy wyją, pędzą na step gromadnie. Znahor wychodzi na podwórko, w komorze tymczasem, krwawy spełnia się dramat. Matka posłyszała głuchy jęk... Wbiega do komory, widzi córkę we krwi... Czumak całuje trupie lica Rucianej i wpycha nóż w pierś własną; wreszcie zabełkocze chrapliwie:

„Na kurhanie, na stepowym,  
 Wasz znajomy we krwi leży;  
 Niech kto pójdzie, niech pochowa...”  
 I skończyły dalsze słowa.

Stara matka poszła wnet do grobu za swém dzieckiem; za żoną poszedł znahor... i runęły zręby opustoszonej chaty.

Na kozaczój, krzyż, mogile  
 Wyrosł krwawo malowany,  
 Na omentarzu krzyż Ruciany,  
 I dwa inne krzyże rosną,  
 Zielenieją zimną, wiosną.

Oto niewydrukowany epilog, znaleźliśmy go w rękopiśmie:

Była północ, cicha, głucha:  
 Psy zawyły jak na ducha.

Wiatr nocny zaszumił po murawie cmentarnej; pękły trumny,  
 Zawerucha z Rucianą, z matką i z ojcem prowadzą zagrobowy rozhwór.

I Czumaka północ z łoża  
 Wyciągnęła. Wyszedł z ziemi,  
 W krąg oczyma rzucił ziemi;  
 Jęknął, zgrzytnął, dobył noża:  
 Nożem piersi swe otworzył,  
 Wyjął serce, o ziem cisnął.  
 Na zdeptane łzami trysnął,  
 I napowrót w piersi włożył.  
 Ciało odział znów bezruchem,  
 Wewnątrz straszno męczon duchem.

O północnej każdej porze  
 Widowisko się powtarza,  
 Przyszła kara na zbrodniarza;  
 Przyszła kara, kiedyś może,  
 Miłosierdzie przyjdzie Boże.

Odbieranym blaskiem błady  
 Miesiąc smutno wchodził w morze,  
 I sprowadził gwiazd gromady,  
 Gdzieś na senne wziął ją łoże.

Wietrzyk ocknął się świtowy,  
 Pobiegł wszędzie, ruszył wszystkim;  
 Każdą trawką, każdym listkiem;  
 Spędził z nieba chmur ostrowy,  
 Coś poszepnął stepom, błoniom,  
 Po bezbrzeżnym wionął świcie,  
 Jutrzenkowym łzom i dłoniom.  
 W dziw rozwinąć pomógł kwiecie,  
 I u złotój bramy słońca,  
 Smutną powieść snuł do końca.

Zatrzymaliśmy się nad tą powieścią, ona bowiem odrazu postawiła Olizarowskiego w rzędzie poetów wielkiej plejady naszej. Znamięni krytycy, jak mówiliśmy już, wysoko ocenili ten utwór. Aleks. Tytzyński w *Amerykance* liczy autora do przedstawicieli ukraińskiej szkoły; Michał Grabowski naznacza mu w tej szkole odrębne stanowisko. „Pan Olizarowski, mówi on, różni się od drugich, że nie szuka poetyczności ukraińskiej, w dalekich od nas historycznych epokach, ale szuka jej u dzisiejszego ludu, w jego obyczajach i charakterach narodowych. Tę poetyczność umie odkryć p. O., a oddaje ją wiernie i barwnie. Za sprawą tego poety, zajrzeliśmy w przyrodę powszedniego bytu, ludu ukraińskiego, kiedy dotąd znaliśmy tylko poetyczność miejscowości ukraińskiej, lub poetyczność jej historycznych wspomnień; ujrzeliśmy jego obyczaje, fizyognomią różnego wieku i stanu: grę moralnych skłonności. Zgoła p. O. wniknął głębiej niż inni w gminną narodowość ukraińską, i dlatego przyznajemy, że o krok dalej prace swojej szkoły posunął.”

Wraz z Zaweruchą ukazał się drugi poemat: *Bruno*. Utwór to fantastyczny, w rodzaju *Dziudów* Mickiewicza. Nicodrodny syn czasu swego, poeta musiał uderzyć w tę samą strunę, w którą potracali słynni mistrze tego wieku: Goete, Chateaubriand, Byron, Mickiewicz, wydobywając z niej tak różnobrzmiące dźwięki: *Werter, Rene, Manfred Gustaw*, to cztery posągi wykute na jedną modłę, a przecież o tyle odrębne od siebie, o ile był odrębnym psychiczny i narodowy charakter ich genialnych twórców. Bruno jest nowem wcieleniem tejże samej idei; Grabowski przecież nie obwinia autora o naśladownictwo: „Że późniejszy poeta, mówi on, stoi na prądzie magnetycznym ducha wielkiego poety, który go poprzedził, który wszystko obok siebie ogarnia i opanowuje; że ten poeta późniejszy, nie odpiera całkiem tego ducha, ale jako jednorodnego przyjmuje go i wciąga w siebie, mam to za rzecz naturalną; a gdy widzę, że to nawet nasiąknięcie, wcale nie zatarło jego samoistności, i utworowi pozwoliło mieć indywidualne oblicze: widzę w tym dowód prawdziwego powołania poety, i nie mieszam go z tłumem naśladowców.”

Rzućmy teraz okiem na fantastyczną powieść. Pośepny Bruno, dziwak, odludek, snuje się jak zagrobowe widmo wśród wytwornej mło-



dzieży, która go nie rozumie, i szyderczemi chłoszcze pociskami. Kocha on Kamillę uczuciem równie gwałtowném jak nieśmiałym. Zazdrość pożera mu serce; popchnięty nią wyzywa przyjaciela: zabija go w pojedynku. Po dokonanej zemście ogarnia go szalona rozpacz; sen nocą odbiega mu od powiek. Kiedy dręczony wyrzutem, szamocze się sam z sobą, raz o północy, duch Ostafiego wchodzi w progi, staje ponad jego wezglowiem.

— Powiedz, czemu zepchnąłeś mnie ze świata?—zapytuje Ostafi. Na to odpowie Bruno:

— Zdjąłem z ciebie  
Młodziuchne życie, a nakryłem siebie  
Starą zgryzotą. Tak mści się morderca:  
Ja nie tak chciałem! Myśl była: on moje  
Skończy dziwactwa, męki, niepokoje;  
On zręczny, jego wystrzał niezawodny,  
Weźmie to ciężkie serce, a swobodny,  
Lekki mój oddech i duch mój szalony  
Z wiatrem uleci w takie świata strony,  
Gdzie się przynajmniej kończą ziemskie smutki.

Potém Bruno wyrzekł imię Kamilli. Ostafi zarzeka się, że nigdy jej nie kochał. Wtém jutrzienka zabłyśła, kur zapiał; czas upiorowi powracać do mogiły: za rok ukaże się znowu. Poranek odmalowany precudnym kolorytem.

...Bruno opuścił ciężące  
Czoło na ręce i usnął: na spiące  
W nieładzie włosy, słońce przezroczystą  
Garścią sypnęło złoto przerobione  
W światło poranku. Z razu było czysto  
W powietrzu. Niebo nowonarodzone  
Liliowemi, świeżemi oczyma  
Patrzyło na świat. Ziemia odetchnęła,  
Skoro promieni słońca w usta wzięła;  
Zdało się, że już dłużej nie wytrzyma,  
Wstanie, i pójdzie ku słońcu lubemu.  
I wydało się oku śmiertelnemu,  
Że ziemia wstawać zaczynała mgłami;  
Lecz mgły wleciały szaremi skrzydłami,  
Pod niebo: ziemia została na ziemi.

. . . . .  
Mgły naśladują w górze niskie morze,  
A słońce jakby było ich korabiem;  
Powolne wały coraz słabiej porze:  
Nakoniec całkiem na siłach opada,  
I tonie we mgłach. Zwycięzka mgła siada

Na horyzoncie, odwdzięczając ziemi  
 Za pożyczoną wilgoć, rześsystemi  
 Pearlami deszczu skrapia jój klejnoty...

Przypatrzmy się teraz Kamilli: postać to zwyczajna, jakich wiele, bańka mydlana, wydęta gorącym tchnieniem poety, błyszcząca chwilę barwą opalu, a w rzeczywistości mętna pianka, nic więcej! Serce jój przemówiło i wnet umilkło; nad uczuciem przemógł zimny rozsądek. Później hołdy wielbicieli rozbudziły w niej próżność. Świetna róża przyciąga rój motyli, wybiera z nich jednego; chłodnymi usty przysięga wieczną wiargę: dotrzyma jój: tak chcą światowe względy.

Niektórzy widzą w Brunonie osobistość samego poety, w Kamilli jego wymarzony ideał. Zawód doznany w pierwszym a gwałtownym uczuciu, miał według nich napoić goryczą jego serce, uczynić go dziwką i odludkiem. My niepodzielamy tego zdania, a mamy słuszne do tego powody. Że młody zapaleniec mógł, po opuszczeniu Galicyi, żywić w piersi ukryty płomień, długo kipiący lawą, to nie ulega dla nas wątpliwości; zanadto pilnie wczytywaliśmy się w tysiące pozostałych po nim świstków, abyśmy powątpiewać o tém mogli. Wyrwany gwałtem ze Lwowa, po trzyletnim pobycie, zostawił on tam cząstkę własnego serca; dlatego zimnym okiem poglądał na wdzięki obcych dziewcz, jak to sam wypowiada:

Od cudzoziemki duch się mój odwracał,  
 Od cudzoziemki, odganiała muza;  
 Na Ruś, do Polski, szlak duszny się złacał;  
 Tam mój Awinion, tam moja Wokluza:  
 Tam był mój Eden...

Zimna, zalotna, chciwa hołdów Kamilla, mogłać być Laurą naszego poety? Dyskretniejszy, bardziej zamknięty w sobie niż Petrarca, nigdy nie ośmiela się nazwać ukochanej po imieniu: czasami tylko, w ulotnej zwrotce, spotykamy jasną jój postać:

O tobie śpiewam, dziewico,  
 Licem, postacią uroczą,  
 Złotą kaskadą warkocza,  
 I turkusową zrenicą.

Inna pieśń, nakreślona zapewne przy wyjeździe, zda się być smętnym pożegnaniem: dajemy ją w całości.

Anielstwa pełna duszy dziewico,  
 Jakążto myślą, oczy twe świecą?  
 Cóżto za kwiatek ujęłaś w dłońcie?  
 Czemu tak smutno pochylasz skronie?  
 Tak, to mój kwiatek, kwiatek pamięci,  
 Nad wszystkie inne u mnie się święci:  
 Czemu go, czemu wzięłaś do dłoni?  
 Niechby dokwitał w tój tam ustroni.

Porzuć ten kwiatek! on pamięć budzi,  
 A tam dokoła śmiech i sąd ludzi;  
 Czuj co innego sercem niewinném,  
 Anielską duszą myśl o czem inném.

Syn ja niedolił ach! bądź ostrożna,  
 Dosyć już dla mnie... więcej nie można:  
 Dla mnie wystarczy na całe życie  
 Twa myśl, ten uśmiech pączka w rozkwicie.

Z myślą twą o mnie, z tym dyamentem,  
 Na duszy mojej świecącym wiecznie,  
 Wzleczę nad ciemnym świata odmętem:  
 Pośród złych duchów przejdę bezpiecznie.

### III

Po trzyletnim pobyciu w Galicyi, poeta zmuszony opuścić Lwów, rzucony burzą pod obce niebo, uczuł boleśnie swe sieroctwo i osamotnienie. Zawarty w sobie, dziki z natury, bardziej jeszcze spochmurniał; gorzko maluje ten stan ducha:

Ze światem ludzkim zerwane już związki:  
 Odpadłem jako owoc od gałązki,  
 W którym swe robak domostwo założył.

Jedyną wtedy osłoda starganego życia, jedyną towarzyszką niedoli, była dla niego ta pieśń, od której pozytywny Zaklika pragnął oderwać go w Krzemieńcu, powtarzając z pogardą: i do czegoż doprowadzą cię wiersze? Poeta nasz nie pytał o to; pieśń była potrzebą jego duszy, silną tarczą przeciw rozpaczliwej tęsknocie. Co chwila odwołuje się do niej:

Z cichą łzą żalu, z głuchym w piersi krzykiem,  
 W świat się puściłem zmuszonym pątnikiem;  
 Po drodze-m śpiewał w serdecznej potrzebie,  
 Rzucając pieśni z uśmiechnieniem dzikiém,  
 Jak sztuczne ognie na zgaśnięcie w niebie,  
 Albo jak listki, jak piórka, jak puchy,  
 Pomiędzy ludźmi wichrom na rozdmuchy.

O, pieśni moje! którem poubierał  
 W perły méj duszy, w serca mego kwiecie,  
 Stało się z wami, co zomną na świecie:  
 Świat mnie wydobyl ze swoich skrytości,  
 Wywiódł na światło ze swoich ciemności;  
 Dał swoje ciało i swoje przymioty,  
 Dał złote skrzydła i sen dał mi złoty;  
 Umyśl zaludnił myślami piękniemi,  
 I uczuciami z bogacił me serce;  
 Potém to wszystko oddał poniewierce,  
 Na zagrzebanie gdzieś na obcej ziemi!

Sam chyba Dante szedł podobną drogą,  
W swym śnie piekielnym!

W Londynie Olizarowski przebył lat dziesiątek, w zawziętej walce o chleb powszedni. Znajdujemy w notatkach krótki ale bardzo treściwy obraz działalności jego w zamorskim grodzie: „Byłem dyrektorem towarzystwa 3 maja w Anglii, wiceprezesem grona historycznego w Londynie; członkiem komitetu Towarzystwa ubiornego, i sługą w tabacznym sklepie Izdebskiego: to ostatnie broniło mnie od głodu.”

Pełen energii młodzieńczej, nieraz wierszem humorystycznym przywodził do zgody rozdrażnione umysły. Na jedném zebraniu londyńskim, zaszło jakieś sporne pytanie, nad którym głosowano. W mniejszości znalazł się rodak nazwiskiem Palma. Wynik głosowania rozjątrzył obecnych. Olizarowski przewiduje burzę, aby ją zażegnać, odzywa się dwuwierszem:

Jedna strona do drugiej niepotrzebny żal ma,  
Bo gdy na tój zwycięstwo, to na tamtój Palma!

Śmiech powszechny odpowiedzią był na te słowa: zgoda nastąpiła niebawem.

Wśród tych rozlicznych zajęć i obowiązków, pieśń wierną była towarzyszką poety. Zawijając tabakę lub cygara marzył o *swój jedynę*, jak zowie drogą lutnię, utyskując, czemu tak sposepniała?

Lutni ma młoda,  
Ktoby zmiarkował po twoim dźwięku,  
Żeś w młodém ręku?  
Cała mi ulga w twoim poddźwięku,  
Jedyna moja w tobie osłoda,  
Lutni ma młoda!

W Londynie wyśpiewał poeta mnóstwo pieśni, dźwięk ich energiczny, czasem szorstki i dziki; znać boleść wrywała je z głębi serca. Jedne z nich rzucone w świat, ukazywały się to w Wrocławiu, to w czasopismach poznańskich: inne spoczywały w tece poety. W drukarni londyńskiej wydał zbiorek  *Egzerocyje poetyczne* , i opowieść wierszem, pełną twórczej siły:  *Krzyż na Peredyłu* , wysnutą z tatarskich napadów na Ruś. Poemat ten, oglądzony z pierwotnej chropowatości wyszedł z druku powtórnie p. t.  *Topir-gora* . Wiele tu dziwnie pięknych, tryskających życiem obrazów; przytaczamy ostatni:

Nad zgorzeliskiem krążą jaskółki,  
Po łące brzęczą muchy i pszczołki,  
Odświeżające kwiatów kielichy;  
I kwilą czajki, i laskonogi,  
Stąpa gość booiar, poważny cichy.

Tumany kurzu wiatr zwiewa z drogi,  
 Na stawie pluszczą złoczone fale;  
 Kwaczą kaczory i huczą bąki,  
 W sadach słowiki głoszą swe żale:  
 W niebiosach polne dzwonią skowronki.  
 Zgliszcz sioła strzegą spalone słupy,  
 Po polach leżą tatarskie trupy;  
 Przy nich i na nich psy, wrony, kruki,  
 Prężą się, szarpia i rwą na sztuki:  
 A nad tém wszystkiém wyciąga z chmury  
 Kamienne ręce, krzyż z Topir-góry!

W roku 1845, Olizarowski opuścił Londyn; z teką pełną pieśni i planów, z sercem pełnem młodzieńczego żaru przybył do Paryża. Spotkał tu nie jedną bratnią duszę. Autor *Zamku Kaniowskiego*, z zachwyceniem wyrażał się o jego utworach, Bogdan odczuł w nich dźwięk ukraińskiej nuty. Mickiewicz w liście do poety nakreślił słowa, które napełniły serce jego niewymowną rozkoszą. „Czytałem wiersze twoje, oblałem je łzami bratniemi!” pisał autor *Wallenroda* do autora *Zaweruchy*. Słowa te cytuje Olizarowski w przypisie do jednego z późniejszych poematów. Wiele osób żyjących dotąd czytało ów list, przeszedł on do zbiorów Karola Sienkiewicza; nie wiadomo jednak, co się z nim stało. Rodzina wielkiego naszego wieszca nie mogła wydobyć go z tych zbiorów, dlatego zamieszczonym nie był w wydanej korespondencji.

Smutnej pamięci rok 1846, zapisany krwią w dziejach naszych, głęboko wstrząsnął Olizarowskim, z piersi jego wydobył nowe dźwięki. Mamy przed sobą cały zbiór ówczesnych pieśni i poematów, drukowanych to w czasopiśmie tutejszém, to w zbiorze *Woskresenki*. Musimy zostawić je na boku; powiedzmy tylko, że krytycy nasi tak porywczy w sądach, a tak skorzy do strącania wieńców, którzy nie śmiejąc przeczyć Tyszyńskiemu i Grabowskiemu, dowodzili przynajmniej, że Olizarowski nie dotrzymał położonych w nim nadziei; powiedzmy, że ci krytycy odwołaliby sąd swój, gdyby znali całość prac znakomitego poety. Z okrucichów, jakie dobiegały ich, wyrokować o wszystkiém niepodobna. W owychto *Tyrtejkach* i *Woskresenkach*, żywo podzwania echo proroczych słów Skargi i Woronicza. Jakiżto dźwięk metaliczny w tych słowach:

Choćbym miał ściągnąć wszystkich nienawiść na siebie,  
 Choćbym miał żyć o łzami rozmięczonym chlebie,  
 Ni przeto się ulęknę, ni odpuszczę ducha:  
 Nie zamrze w piersiach moich boleść ni otucha.  
 Mam swą moc, powołania swego nie omyle;  
 Mnie szczęście się należy: nieszczęście przesile.

Poeta śpiewa na różne tony; nuta sarkastyczna pobrzniewa nieraz w jego pieśni, biczem słowa chłostcze bezmyślnych i odgrętwiałych,

zowie ich chodzącymi grobami. To znów utyskuje na zimny materyalizm, roztaczający skrzydła ponad światem, ścinający w lód serca.

Świat piękniejszy dziś na oko,  
Dola więcej dziś ma dróg;  
Lecz pytanie tłumi wloką:  
Gdzie jest szczęście? gdzie jest Bóg?  
Na pytanie odpowiada  
Świst parowców, machin ryk;  
Szał piekielny życiem włada,  
Spokoju anioł znikł.

. . . . .  
Gdzie się oczy zwrócą ninie,  
Jaka ciemna w przyszłość droga;  
Złoty cielec zamiast Boga,  
A dokoła serc pustynie.  
I dopókiżto tak będzie?  
Czy żywota włókno czarne  
Już się nigdy nie wyprzedzie?  
Krew, lzy, trudy, wszystkoż marno!

Nigdzie poeta nie podniósł silniej głosu, jak w odezwie do Seweryna Goszczyńskiego. Rozpaczliwe milczenie brata w pieśni, cięży mu boleśnie; piorunem słowa usiłuje zbudzić w nim twórcze siły. Oto wyjątek z poematu *Wieszczce desiderium*.

Wołałeś: „odejdz! odejdz już odemnie,  
Duchu boleści!” wołałeś daremnie.  
Wołałeś: „dość już! przestańcie me wargi,  
Dobycie płonną z serca mego skargi!”  
Z warg twych, z twych piersi żal wybuchnął nowy,  
A ja ci mówię, posłuchaj mój mowy.  
Głos dla słów, słowa dla głosu nam dane,  
I waga słów jest i wartość zasiane;  
Słowami, czasy wydają owoce  
Prawdy lub kłamstwa. Ty w kłamstwa epoce,  
W epoce zbrodni dostałeś nasienie  
Prawdy i cnoty; dostałeś słów ziarna,  
Abyś z nich czynił dla prawdy odzienie.  
Tobie nie pytać, czy siejba nie marna.  
Żołnierzu prawdy! słowo twym orężem,  
Twoim żywiołem, twojém przeznaczeniem;  
Ty wobec zbrodni masz być cnoty mężem:  
Tobie wygodnym pogardzać milczeniem!  
Co na uczynku schwycisz w sercu, w mowie,  
Uczucia z ognia do wylotu rwane,

Myśli na skrzydła ducha w głąb gdzieś brane:  
 To wcielaj w słowo i wyrzucaj w słowie.  
 Wyrzucaj słowa na świat, jak wyrzuca  
 Ognie i ryki ziemia przez swe płuca,  
 Wyrzucaj słowa, choćby samą fraszkę;  
 Mieli z nich ludzie i wichry igraszkę;  
 Choćbyś sam za nie, tylko smutków nowe  
 Warstwy naciągnął na serce, na głowę.  
 Płonność i marność! wyrzuć te wyrazy  
 Na sere pustynie, na wichry, na głązy;  
 W przyszłość słów wieszczyczych wierzyć nie przestawaj,  
 Milczeniem słowom zarastać nie dawaj,  
 A jęcz, a wołaj, a krzycz w niebogłoso:  
 Jękiem i krzykiem zasiewaj niebiosy.

Tajemne serca rozwierając głębie,  
 Uczuć wzruszonych zapłacz wrzącą lawą;  
 Wypuść na wolność pieśń Walkiryę krwawą,  
 Orłem krzyczącym, zbudzonym na zrębie  
 Praw bosko-ludzkich; lwem ryczącym, głodnym,  
 Wilków wyjąca gromadą zimową;  
 Niech z twoich krzyków stanie się przestroga,  
 Niech w twój przestrodze słyży się głos Boga.  
 Wołaj o prawdę i o sprawiedliwość,  
 Wołaj o rozum zdrowy, o poczciwość;  
 Wołaj o zgodę uczynku ze słowem,  
 I słowa z myślą, a myśli z miłością  
 Świętą, zrządzoną przykazaniem nowém.

\* \* \* \* \*  
 Psalm twego życia jeszcze nie skończony,  
 Męcz się wołaniem, aż ci Bóg pozwoli  
 Złączyć się głosem, z tym jasnym aniołem,  
 Co się unosząc wiecznie nad padołem,  
 Wciąż śpiewa: „Pokój ludziom dobrej woli!”  
 Promienny służbą staniesz tam, przed niebem,  
 Czas zdejmie z ciebie przeznaczenia ołów,  
 Świat ciebie uczi feniksa pogrzebem;  
 I wydobędziesz ze swoich popiołów,  
 Skrzydła żywota nowego, któremi  
 Mierzyć się będziesz z wiekami wszystkimi.

Do tej epoki wielkich polotów ducha, należy poemat Softy, wysnu-  
 ty z dziejów hebrajskich: bohaterem jego Samson. Z potężną siłą i na-  
 maszczeniem poeta trąca w struny harfy Syońskiej. Wiersz biały  
 i rytm przypomina pieśń Wajdeloty. Obrazy wschodnie oddane z ca-  
 łym bogactwem kolorytu. Oto wspaniały obraz nocy:

Gwiazdy promiennookie, z drżeniem, oczyma aniołów,  
 Przypatrują się ziemi. Ze swych przybytków wysokich,  
 Wyszedł księżyc czerwony, stanął za gajem oliwnym,  
 Niby pożar w pustyni, jakoby słońce w zapadzie.  
 Przyzwan do tronu nocy, rozwarł na sobie szkarłatny.  
 Błady, podniósł się w górę, z białym na twarzy uśmiechem;  
 Sądził gwiazdy na niebie, sądził żywoty na ziemi,  
 Dobrym duszom posyłał w gości anioły cieszące.  
 Ciałom dobrym sny rajskie, głowom marzenia rozkoszne,  
 Kwiatom kazał dań znosić, gwiazdom opłacać dań kazał:  
 Kwiaty wonność dawały, gwiazdy płaciły im za to  
 Drogami rosy perłami, co na promieniach im rosną:  
 Kwiat nieposłuszny usychał, gwiazda jałowa padała.

Daléj uderza inny, równie wspaniały obraz zbudzonego poranku.

Twarz jasna twoja, o słońce!

Wyszła od pustyń Eufratu, śmiejąc się cudem do świata,  
 I ziemia wtedy ubrana w szaty swe letnie, bogate,  
 Na górach i na dolinach pięknie się z tobą witała.  
 Jeleń złocił swe rogi twarzy twój złotem, sarneczki  
 Biegły do źrójów uciesznie, kozłę igrało z kozłociem;  
 Na pagórkach wesołych pasły się stada owieczek:  
 Na dolinie się pasły stada jałowic i ciolków.  
 Miłowały trzoiny grające, smutek oniemiał skotarzy,  
 Sępił się rolnik judejski, patrząc na uśmiech pszenioy;  
 Zmilkły harfy na górach, zmilkły cynnory w dolinach,  
 Radość skrzydła zwiesiła, szata się ludu rozdarła.  
 Spadło mu z głowy nekrycie, siadł na popiele i płakał,  
 A ujarzmiel urągał w gajach Bersaby oliwnych,  
 Cieszył się z łez Izraela, pysznił się z jego niewoli.

. . . . .

Tu rozwija się dramat: Samson patrzy z boleścią na klęski ludu swego, klęski, które on sprowadził nań winą własną; woła upokorzony:

Mądrości moja człowiecza, przecz-li ty zemną niebyła,  
 Kiedym na Sorek dolinę biegł za wdziękami Dalili?  
 Jak oni łowco przemyślni, żeby lwa dostać srogiego,  
 Z siećmi czekając nań w gaju, puszcza sarneczkę w dolinę:  
 Tu uciekaniem do gaju, lwa przyprowadzi za sobą,  
 I odda sieciom łowieckim: tak i mnie moja sarneczka  
 Oddała skrycie zmienionym! O! zawiniłem przed Tobą  
 Panie! znowu zbudziłem gniew Twój i znowum ukaran  
 Zdradą umiłowanój; lecz żal mój większy niż wina,



A miłosierdzie Twoje większe niż gniew Twój! Spoglądnij,  
Abym się pomścił zniewagi, krzywdy, kalectwa i zdrady!  
Adonaj! nie broń mi pomsty! Boże mych ojców, bądź ze mną!

Między Filistynami mowa ta wrzawą wybuchła,  
U jednych błyszczał śmiech w twarzy białemi zębami; u drugich  
Gniew się rozszrotył oczyma. Jedni mówili: „błaznuje!”  
Drudzy: „on pomstą nam grozi!” Wszyscy więc wrzawę czynili.  
Rzesza krzyknęła: „śmierć mu!” „Śmierć mu!” krzyknęli książęta.  
Wszyscy z miejsc się ruszyli, a wtem się Samson odezwał,  
Głosu piorunem zawołał: „Biada wam Filistynowie!  
Koniec naigrawaniom! Koniec sromocie i nędzy!  
Włosy moje odrosły! Lwy do mych ramion wróciły,  
Pan mój jest ze mną! Śmierć wam! Adonaj, przyjmij mą duszę.”

To rzekł i zatrząsł słupami, siłą wulkanu straszliwą:  
Łamiał się gmachu podpory, pęka strop, ściany pękają;  
Gmach cały wali się w złomy, wali się z gromu łoskotem,  
Z krzykiem tysięcy zmieszany, gruzów spokojnych legł kupą;  
Społem z gruzami świątyni, wszystko umilkło na zawsze,  
I Samson umilkł na zawsze, społem z gruzami świątyni.

Olizarowski wystąpił wreszcie na polu dramatyczném. Pomijamy pierwsze próby, a przystępujemy odrazu do dramatu historycznego, który zwrócił pilną uwagę znawców. Wziął on za przedmiot chwilę stanowczego przełomu w dziejach naszych, kiedy pycha i samowola podniesiona do zenitu, w osobie ostatniego możnowładcy Wincentego z Szamotuł, czynią go zdrajcą kraju i wywołują krwawy odwet szlachty mazowieckiej.

Rzutny wojewoda, odtracony od czci i wiary przez króla Łokietka na walnym zjeździe w Chęcinach, poprzysięga mu zemstę. Rzecz rozpoczyna się monologiem: przeniewierca usiłuje usprawiedliwić się w własném sumieniu:

Wobec tysięcy, obrać z władzy, z cześci,  
Stwierdzić trąbione o mnie złe powieści;  
Państwa swojego uczynić zakalce,  
By mnie bezkarnie wytykano palcem;  
Wśród nieprzyjaciół tyłu mnie rozbroić,  
Zranić mnie w mojej zasłużonej dumie;  
Zranić mnie w sercu, w duszy i rozumie:  
Nie, taka rana nie da się zagoić!

Niech umrę z nędzy, jeśli puszcze płazem!  
Lecz kogo użyć za pomsty narzędzie?  
Luksemburczyka niema teraz w domu,  
Na Rusi niema co i mówić komu;

Litwy z borsuczej nie wyruszyć dziury:  
 Za lisi ogon łapać Brandebury,  
 Szkoda fatygi: przyjdą na gotowe;  
 Z Węgrem dziś ani wdawaj się w rozmowę:  
 Teściowi swemu oddan z bebeczami <sup>1)</sup>,  
 Do ładu trudno trafić z Mazurami;  
 A chańskich strzemion nie myślę całować!  
 Orężne mnichy? (*po chwili milczenia*) Jak potem odegnać?  
 Lecz o tém potem...

I wojewoda przywołuje rycerza: wyprawia go tajemnie do Maryenburga do mistrza krzyżackiego. Ale nad wojewodą czuwa anioł stróż w postaci córki jego Bożenny. Gońcem wojewody jest młody rycerz Ładon. Piękna, ukochana przez niego Bożenna, będzie nagrodą za niebezpieczne poselstwo. Córka tymczasem odgaduje zamiar ojcowski; odwraca Ładona od uczestnictwa w zdradzie: wyprawia go do Krakowa.

„Jedź, rzecze, co tchu, stań odważnie przed majestatem:”

Król mnie odmówić łaski swój nie może:  
 Trzymał mnie do chrztu; na krakowskim dworze  
 Przy swojej Halszce królewskiej umieścił,  
 Jak drugą córkę miłował i pieścił;  
 Dał ten pierścionek z relikwią i mocą  
 Niezawodnego otrzymania, o co  
 Błagać go będę. Ukaż ten pierścionek  
 Na znak pokoju, jako mój małżonek  
 W imię małżonki, błagaj przebaczenia,  
 A ostrzeż króla, że na kraju szkodę,  
 Niełaską swoją pana wojewodę  
 Zapędzi w rozpacz...

Ładon pospiesza do Krakowa.

Zapadła noc; chmury grubym całunem przysłoniły widnokrąg.  
 Wojewoda wściekły z gniewu i nienawiści, utopił oko w czarną przestrzeń.

Zatrąbcie wichry w swe bębny i kotły!  
 Uderzcie gromy; tańczcie błyskawice!  
 Zagraj przyrodę z hukiem i szelestem,  
 Z rykiem i szumem!

Przybywa komtur Herman z Elbląga. W imieniu mistrza przyrzeka wojewodzie berko i tron. Wincenty z Szamotuł odtrąca z pogardą łaski niemieckie; dumną odpowiedź rzuca w oblicze komturowi:

<sup>1)</sup> Elżbieta córka Władysława Łokietka, była za Robertem królem węgierskim.

Zemstę przysiągłem; w zemście jeno moje  
 Cele, pociechy, tytuły i chwały;  
 Nowych zaszczytów bynajmniej nie pragnę,  
 Ale powrotu do dawnych, i jeśli  
 Dyabli mnie w piśmie aż do was ponieśli,  
 Jeśli pod mistrza rozkazy się nagnę,  
 To nie dlatego, żeby mi tam łaski  
 Jakie świadczono, nakładano blaski  
 Swoje niemieckie! Nie, nie o to chodzi!  
 Mistrz się omyli, jeśli działać zechce  
 Jakby łaskawca, jakby mój dobrodziej!  
 Do spółki wzywam, tytuł mnie nie łechce;  
 Krom zemsty niéma, niéma innych dla mnie  
 Łask i tytułów! Chcę tylko przynajmniej  
 Pół Polski spalić, wyciąć w pień i zburzyć  
 Wawelski zamek i smoka wykurzyć.  
 A potem w kaptur schronić się przed światem:  
 Masz moję spowiedź!

Uradowany kmtur śpieszy z wieścią do Maryenburga. Bożenna jawi się znów przed ojcem jak anioł dobroczynny.

— Czego tu chcesz?—zakrzyknie wojewoda.  
**Bożenna.** Anioł nasz własny, zemną się sprzymierzył,  
 Obronę cnoty naszej mnie powierzył.  
 Stawię się przeto zbrodni na przeszkodzie,  
 Od krzyku mego, wszystkie się w narodzie  
 Serca rozbudzą. Rozbudzonym groby  
 Pomagać będą! Mnie będzie moc dana:  
 Dobro zwycięży!

**Wojewoda.** Zmilknij opętana!  
 Ja wiem co czynię... Swojej pilnuj cnoty,  
 I swego serca. W doniczce lilija,  
 W komorze krośna, to twoje klejnoty;  
 Czepiec nie szyszak, igła nie kopija,  
 Kokosz nie kogut.

**Bożenna.** I niewieście słuszna  
 O dobrą sławę dbać swojego rodu.

**Wojewoda** (z gniewem). Idź ztąd precz! mówię. Co znów? nieposłuszna?  
 (wyrzuca ją za drzwi).

**Bożenna** (za drzwiami). Umęcz mnie panie ojcze, odbierz życie,  
 Kłeszciami wyrwij moję duszę ze mnie;  
 Albo mnie w wieży zarygluj na zgnicie,  
 Niech tylko głos mój nie przejdzie daremnie!  
 Rzuć w przepaść zdradę: nie kończ hańby dzieła!

I Bożenna odchodzi na modlitwę. Duchy przodków z kłutwą na ustach ukazują się wojewodzie. On waha się napół złamany. Duchy

znikły, jeden tylko pozostał, straszliwszy nad inne. Z jego pochyłego czoła wygląda czarna myśl, niby smok w jaskini. Wzrokiem przeszywa nawskroś!... To duch jego własny, duch nienawiści i pomsty.

„Nie oglądaj się na nic!”—woła widmo ponurym głosem. Grom z błyskawicą odpowiada mu w górze.

Wojewoda porywa za róg, dzwoni pobudkę. Rycerstwo przywta-  
rza chórem dziarską pieśń, ostrą jak poszczęk stali:

Hej woje! woje! lackie kochane,  
Już dniowe zorze, drżące zabłyśło,  
Rżą konie w rozgłos bujny nad Wisłą:  
Po rosie skomlą trąby miedziane.

**Chór.** W miękkie teleje, barków nie chowaj,  
Piersi obrośte w twardą stal chowaj;  
Kołczan na plecy, szyszak na skroń,  
Paź na ramię, kord lub grot w dłoń,  
I niech Bóg zdarzy—na koń! na koń!

Hejnał obozowy rozlega się szeroko po przestrzeni: tu koniec części pierwszej. Druga przenosi nas do klasztoru Owińskiego, dokąd ojciec odesłał dla bezpieczeństwa Bożennę. Pojawia się Ładon wracający z Krakowa; wydiera dziewicę z rąk krzyżaków, którzy napadli i zrabowali klasztor. Zmusza ich do ucieczki. Zakonnice pod strażą wyprawia do Ołomuńca, sam z Bożenną, przebraną za młodego rycerza, pośpiesza pod Płowce, do obozu wojewody.

W następnym akcie Ładon stawia się przed wojewodą, zdaje sprawę z poselstwa swego: wyznaje że był w Krakowie. Król gotów przebaczyć wiarołomstwo, przyciągnął już z wojskiem pod Płowce, nazywając w lesie miejsce schadzki. Serce wojewody zmiękło jak воск, na wieść o łaskawości monarszej. Pośpiesza tajemnie do króla, stopy Łokietka oblewa łzami; staje w bitwie pod chorągwią królewską; przy czynia się dzielnie do słynnego w dziejach tryumfu nad zakonem.

Epilog prowadzi nas w mury Łęczycy.

Wojewoda rzekł się dobrowolnie wszelkich wielkości ziemskich; myśl zadosyćuczynienia za winy, wyłącznie opanowała jego duszę. Wyznaje to córce i Ładonowi, w którym błogosławi przyszłego zięcia:

Powiem wam oto, czemuśmy w Łęczycy:  
Co się tu stało, niema tajemnicy;  
Mojémto dziełem te zgliszczą sterczące,  
I te popioły stosami leżące,  
Zpod których głosy do nieba się wznoszą,  
O wymierzenie słusznej kary proszą!  
Tu za rzekomie obrażoną butę  
Wywarłem zemstę: tu zaczną pokutę.

Nasamprzód z wami, dzieci moje, skończę,  
 Węzłem małżeńskim jutro was połączę;  
 Na szczęście wasze popatrzę; dam dzięki  
 Bogu za łaskę, wezmę kij do ręki,  
 I pokazaną drogą przez pielgrzymy,  
 Sam się powlokę do Jerozolimy.

Tam ze swój duszy brzemień grzechów zrzucę,  
 Tam zmartwychwstanę w mym wiecznym żywocie;  
 Może pomyśleć da Bóg o powrocie,  
 Może powrócę: jeśli nie powrócę,  
 Wy tu méj duszy niebo otworzycie.

Córka i Ładon błagają ojca, aby pozwolił im iść z sobą: starzec wzbrania się.

— Z wami, rzeczce, ta pielgrzymka byłaby dla mnie pokutą?

Nagle powstaje zgiełk poza warowną bramą. Chmura szlachty w łachmanach, z torbami na ramieniu, oblega zamek, wali z łoskotem w bramę: pękły wrzeciędzie. Słychać okrzyki i przekleństwa.

Głos z tłumu.

Daléj, daléj!

Wysadźmy drzwi tel!

*(Pękają rygle od komnaty).*

Teraz zemsto szaléj!

Król mu przebaczył, ale torby nasze

Nie przebaczyły... Hej, za mną!... pałasze,

Zaszczęły oręż: krew wytrysła z piersi wojewody.

Próżno Ładon zasłania go ramieniem; i on tarza się we krwi...  
 Bożenna omdlała upada na ziemię.

Legł wojewoda: z nim razem skonało możnowładztwo.

Szlachta tryumfuje; nowa faza rozpoczyna się w dziejach.

Przytoczone wyjątki dają poznać barwny, pełen siły język poety żywcem wyrwany ze starych kronik, a przecież jasny, dostrojony artystycznie do dzisiejszego tonu, nie przeciążony archaizmami. Postacie wszystkie pełne życia, nacechowane piętnem swego czasu; głęboka wreszcie znajomość dziejów i polityki ówczesnej: wszystko to naznacza utworowi temu niepospolite miejsce w literaturze naszej.

Pierwotnie dramat kończył się pod Płowcami; w ostatnich dopiero latach, autor zamienił go w trylogią.

#### IV.

Szumcie palmy północne, sosny niebotyczne,

Zbudźcie śpiące bólami dumy poetyczne!

O, szumcie! jak rozległy, jaki szum wspaniały!

Jaka pieśń! jaki chorał! jak wielka pieśń chwały,

W tym chorale największym po chorale morza  
Odrzmiewa, godna Boga, wielka chwała Boża.

Oceanie! zachwycaj Child-Haroldów, którzy  
Lubią z okrętu słuchać chorałów twój burzy:  
Ja wolę, matko ziemio, twoje polskie sosny.

Oczy z nich biorą w ziemie przypomnienie wiosny,  
A samotne, a tęskne, zmieszane z ich szumy,  
Aż do Boga dolecą powołyńskie dumy.

Poeta zamieszkał w Turwi u generała Chłapowskiego, tu przepędził trzy lata, może najswobodniejsze w burzliwém swoim życiu. Pracował bezustannie, cisza wiejska odpowiadała usposobieniom jego duszy; samotne przechadzki najmilszém były mu wytchnieniem. Nicraz widywano go jak dumał, zapatrzony w trawkę kiełkującą w ziemi, po wiosennych roztopach, jak pochylał czoło przed starymi dębami, świadkami dawnych czasów. Z upodobaniem zrywał bławatki i macierzanki polne. Szczera miłość łączyła go z ludem wiejskim, przebywał z nim chętnie, podnosił jego wielkie zalety; szanował w nim prostotę i tradycyjne obyczaje: kochał go duszą całą.

Skrzepiony w żywotnej atmosferze wyśpiewał w Turwi mnóstwo pieśni: tworzył powieści poetyczne, rozczytywał się w kronikach, kreślił plany historycznych dramatów. Wówczasto z podań ludowych wysnuł obszerną powieść w dwunastu pieśniach, p. t. *Złote Jabłko*. Główną osobą poematu jest Wozna z Turek, królowa czarownic. Poeta w żywych obrazach maluje piekielne sprawy wiedźm, ich powietrzne wędrówki na miotłach, ożogach i łopatach, ich sabaty, ich uczty z szatanami na Łysiej górze. W końcu jednak, z oczu Wozny wyciska łzy pokutne, z serca jój gorącą wydobywa modlitwę. Myśl wiekuistego potępienia przejmuje go zgrozą, woli zatem skończyć powieść w mniej tragiczny, a bardziej ludzki sposób.

Wolałem przeto wziąć bezwzględne tory,  
I w chrześcijańskie wnikać tajemnice,  
I wywieść na jaw, że nawet potwory,  
Jak te żyjące z dyabły czarownice,  
Wrócić do Ojca, kiedy zechcą, mogą,  
Świątą miłości i pokuty drogą.

Powieść ta zaczerpnięta z żywiołu ludowego, bardzo przypadła do smaku Bogdanowi Zaleskiemu; z chlubą wspomina to Olizarowski.

Z pomiędzy rozlicznych obrazów składających całość poematu, uderzył nas wyborny obraz pani Twardowskiej; przytaczamy go cały:

Była to wzrostu średniego kobieta,  
Piwonia twarzą, oczyma orlica;  
Gębą przekupka, tuszą znakomita,  
Godna małżonka polskiego szlachyca:

Duszą wyniosła, a w cnoty obfita.  
Miała przywary: gderalska, kłótnica,  
Lubiła wprawdzie z niewiasty gawędzić;  
Wolała jednak klócić się i zrzedzić.

Miała przywary: lat miała zawiele  
Jak na kobietę, choć tego nie można  
Rozpoznać było ani po jój ciele,  
Ani po zębach, które nieostrożna  
Pokazywała wobec wszystkich śmieie,  
Ani po włosach, w które się wielmożna  
Nie wdarała jeszcze srebrna ręka czasu,  
Szanując gęstość tego czarnolasu.

Skafista w wierze, w nabożeństwie pilna,  
W kościelnych wszelkich praktykach surowa;  
W uczuciach żywa, w zdaniu nieomylna,  
Które w prostackie odziewała słowa.  
Zdrowa, ruchawa, sprężysta i silna,  
Zdanie popierać pięściami gotowa;  
Prawdę mówiła w oczy i z odwagą,  
Stała się grozą, stała się powagą.

Nieszczęście chciało, żeby w czarściej mocy  
Uwiązł Twardowski; lecz tak szczęście chciało,  
Żeby do wiecznej nie dostał się mocy,  
Twardowską przecie w małżonkę mu dało.  
Dziwaczka, jeździć nie chciała w karocy,  
Mieszkać w pałacu, ni się okazała  
Otaczać służbą, ni chodząc w bławatach,  
Ni w koronkowych, ni w złocistych szatach.

„A mnie to na co? powiadała w gniewie,  
Dla kogóżbym się stroiła? dla Boga?  
Czy mnie Bóg nie zna? czy On tego nie wie,  
Żem ja Twardowska, szlachcianka uboga?  
W ziarnie jest wartość zboża a nie w plewie,  
Wązka do nieba na Karoce droga;  
Najwygodniejsze w drodze tej łachmany:  
Nie tam się znajdują strojne koczkodany!

„A mnie do czego dworskich barwne roje?  
Do czego jakieś pańskie tam pałace?  
Czy w naszym domku ciasno na nas dwoje?  
Człowiek stworzony na troski, na prace.  
Ja o bogactwa bynajmniej nie stoję,  
Wolę chleb czarny nad pszenne kołace;  
Żyję dla Boga, dla ciebie, dla siebie,  
A nie o świecie, lecz myślę o niebie.”

Mąż usiłował pokonać dziwactwa,  
Różnych sposobów z przyjacielem użył;

By w żonie zbudzić pociąg do bogactwa,  
 Ale tu żaden sposób nie posłużył.  
 Przeciwnie, odkrył piekielne matactwa,  
 Czém tak pobożną niewiastę oburzył;  
 Musiał nie pyszny pójść precz Mefistofel,  
 A mąż się musiał ugiąć pod pantofel.

Wiadomo, jakim Twardowski fortelem,  
 Przygotowanym przez panią Twardowską,  
 Rozstał się w karczmie ze swym przyjacielem,  
 Jak się wybieczał przed mocą czartowską;  
 Lecz chociaż rozbrat miał z Mefistofelem,  
 Chociaż z niemalą w dalszém życiu troską,  
 Starał się dostać do łaski ogrójca,  
 Do czysca wyrok skazał go Wszzech-Ojca.

Wtedyto zacna białogłowa rzekła:

„Przysięgłam wiecznie żyć z Twardowskim spółnie;  
 Pójdę z nim tedy chociażby do piekła!”  
 Po-żła do czysca i tam dobrowolnie,  
 Srodze się tłukła, kłuła, piekła, siekła,  
 A co się chłóśnie, przypiecze i kolnie,  
 Zawoła: „Panie! to za męża, Panie!  
 Wedle Twój świętój woli niech się stanie!”

Miłą snąc była ta pokuta Panu,  
 Czyscowe męki przemienił na letsze;  
 A że nie może wnijsć do Bożostanu  
 Dusza, dopóki zmaz z siebie nie zetrze,  
 Do promiennego nie powróci stanu;  
 Przeto pozwolił przenieść się w powietrze,  
 I tam się w dusznej wyrabiać czystości,  
 Aż do promieni, aż do cedeńskości.

Czy się oczyścił przed obliczem Pańskim  
 Duch czarnoksiężki? czy się jeszcze błąka  
 Z innemi duchy w świecie Osańskim?  
 Czy wisi w niebie postacią pająka,  
 Jak to się widzi oczom zabuzańskim?  
 Nie chcę zgadywać, by nie puścić bąka;  
 Wolę zaczekać, może od stron Boskich  
 Duch jaki wieść da nową o Twardowskich.

Skutkiem wypadków niezależnych od woli własnej, poeta opuścił Księztwo Poznańskie. Czas jakiś pozostał w Belgii, w mieście Tirlemont, wykładał literaturę polską młodemu ziomkom, pobierającym nauki w szkole tamecznej. Tu czekała go najmilsza niespodzianka. Podczas wakacyi letnich udał się do Ostendy na kąpiele morskie i tam spotkał Józefa Korzeniowskiego. Milczący zwykle, nie wspominał o tém, wrzenie zamknął na dnie serca. W papierach dopiero pozostałych znaleźliśmy na żółtym świstku skreślonych kilka wierszy; pod cytata, stał



dopis: „Dawny profesor w Ostendzie powtórzył z pamięci przed uczniem tę strofę z poematu *Skald*, pisanego w Krzemieńcu w r. 1829.”

W takiej Skald chwili stąpał nad brzegami,  
 Kędy natura, słońcem nie karmiona,  
 Gardzi południem i jego kwiatami;  
 Kędy do chudej skały przyczepiona  
 Sosna wyciąga skrzypiące ramiona,  
 Lub brzozy, płacząc nad urną swęj ziemi,  
 Niekiedy chłodne wypełniają łona  
 Wichry szumnemi.

Łatwo pojąć, co czuły te dwa serca, tak silnie połączone z sobą ogniwem tylu wspomnień. Dawny profesor złamany chorobą, z bolem zapewne śledził brózdę na czole drogiego mu ucznia, którego przed laty dwudziestu pożegnał kwitnącym młodzieńcem; z równym bolem wdzięczny uczeń spostrzegł cięń śmierci, krążący już nad obliczem drogiego mu nauczyciela.

Korzeniowski przy pożegnaniu, nakreślił smętne zwrotki; przytaczamy je tutaj:

Nadejdzie wiosna, jęj wonne technienie  
 Serca przyjaciół ożywi,  
 Miłości nada śmielsze wojrzenie:  
 Szczęśliwsi będą szczęśliwi.  
 Nadejdzie wiosna, rolnik o świcie  
 Wesóło skibę odrzuci,  
 A w łonie ziemi zbudzone życie  
 Jesienny zasiew ocuci.  
 Ale niejedna przeminie zima  
 I coraz w nowęj kolei,  
 Nasz śnieg nie zginie, bo dla nas nięma  
 Ni wiosny, ani nadziei...

Jak pożegnał uczeń mistrza, to pozostało dla nas tajemnicą; na próżno szukaliśmy jego wiersza wśród papierów.

Z Belgii przybył Olizarowski do Paryża, gdzie miał spędzić ostatnie lat dwadzieścia smutnej pielgrzymki swojej. Zabrał się gorliwie do pióra, nakreślił dramatyczny poemat: *Tymon Zimorodek*. Jestto według nas najwierniejsza autobiografia, przeplatana kwiatami fantazyi.

Przytaczamy w treści ten poemat, zasługujący podwójnie na uwagę: raz jako utwór pełny wysokiego aryzmu; powtóre, jako kartka, wydartą z życia naszego poety.

Młody nauczyciel, porwany skrzydłem burzy, leci w świat nieznaný, daleki. Duch lasu nagle wstrzymuje burzę; poeta ujrzał się wśród cichej doliny. Dumka wybiega mu z głębi serca:

O, dolino! o, dąbrowo!  
 Jak ja na was patrzeć lubię;  
 Patrzeć na was, sercem, głową:  
 W zachwyceniach oczy gubię.  
 Na dolinie łąki dywan,  
 Czarodziejską wiosny dłońią  
 W barw bogactwo powyszywan  
 I oblany rajsą wonia  
 Srebrnolicy ruczaj pieści,  
 Wciąż ubiega, kipi gniewem  
 I wciąż nad nim duch boleści  
 Babiloński płacze drzewem.  
 Ty się ze mną żegnaj, wodo,  
 Igraj, pole, szumom kłosów,  
 Do mnie, wiejska mów przyrodo  
 Czarodziejskich morzem głosów.

Nagle ukazuje się wiejska dziewczyna, żywy promień tryska z jej oczu. Imię jej—Własna: to duch opiekuńczy tych okolic. Napróżno zatrzymać chce poetę, próżno wylicza wszystkie boleści Syzyfów, Iksyonów i Prometeuszów, co na skrzydłach uraganu odbiegali od ziemi w krainę snów i marzeń. Próżno woła:

Wstrzymaj się, wstrzymaj od tej podróży,  
 Nie leć za burzą, nie słuchaj burzy!  
 Tu zostań ze mną i tym strumieniem  
 I z tą doliną i z tą dąbrową,  
 Z tym pięknym drzewem, co darzy cieniem,  
 Wietrzyków pieśnią, ptasząt rozmową.  
 Tu w duszę twoją spłynie natchnienie,  
 W sercu zakwitnie spokojność błoga  
 I myśli twoich czyste promienie,  
 Wynajdą sobie drogę do Boga!

Własna ukazuje pocięte lasy czerniejące na widnokreśgu i wioski rozrzucone w przestrzeni. Wszystko, co tu widzisz, mówi, było mieniem praojców twoich Zimorodków, dziś burzą rozegnanym po świecie. Iluż z nich groby zarosły już piołunem i pokrzywą!

I ciobie grabarz tam obojętny  
 Zamknie w grób ciemny, niewiedziąc jaki,  
 A jeśli śpiew twój dziki, namiętny,  
 Wypali w czyjej pamięci znaki,  
 To może która z gazet o tobie  
 Zapisze wzmiankę, jak o nadziei,

Co zaginęła gdzieś tam w rozmowie;  
 A wiatr zaśpiewa na twoim grobie:  
 Tutaj spoczywa ten sokół młody,  
 Co z mar drużyną latał w zawody;  
 Co się dał burzy odwieść od zdrowych,  
 Miłych i świętych progów domowych!

\* \* \* \* \*  
 Lecz oto słyszysz, burza cię szuka,  
 Lata po niebie żrenicą jasną;  
 Wzdycha wichrami, gromami luka,  
 W pogoń za tobą śle chmur gromady  
 I wichrów skrzydła pędzi w twe ślady.  
 Uchodź ztąd, uchodź! tam jest przysiołek  
 Tuż za dąbrową; jest tam kościółek,  
 Święta pamiątka twojego przodka;  
 Wedle kościółka mieszka sędziwy  
 Pleban tameczny: on Zimorodka  
 Wyrwie z rąk burzy!

I w téjże chwili odzywa się kościelny dzwonek. Własna znika...  
 Poeta zachwiał się, ale łoskot uraganu głuszy dźwięki nieszpornych  
 dzwonów. Krew zakipiła w piersi młodej, szalencie woła z unie-  
 sieniem:

Ja chcę być orłem, chcę być sokołem,  
 A nie skowronkiem albo słowikiem;  
 Ja chcę mieć ludzkość pieśni żywiołem:  
 Pieśń moja będzie ludzkości krzykiem.  
 Ja chcę poruszać serc miliony,  
 Ja chcę być także potęgą świata;  
 Niechaj pieśń moja budzi cyklony,  
 Okrętem gromów nad ziemią lata!

Burza porwała go na skrzydła... i cóżto wstrzymało ją w rozpę-  
 dzie? Oto spiętrzone złomy Karpat. Poeta staje na opoce. Duchy  
 gór w postaci Juhasów i Juhasek otaczają go wkoło. Pieśń ich zlewa  
 się w jakiś chór czarodziejski.

Do nas tu! do nas! cudowne maści  
 Do ran serdecznych przyłożym:  
     Serce wyłoczym, przetworzym,  
     Smutki wytrącam w przepaści.  
 Z myśli twój zdejmie chmury, całuny,  
 Jak Bóg niebios, tak ją odziejem:  
 Spokój i światło po niej rozlejem:  
 Rosnące w duchu wyrwiem pioruny,

A mieszkające w nim błyskawice  
 Li na pogodę wytkną zeń lice!  
 Do arfy twojej dobierzem struny,  
 Z nowami dźwięki i z nową mocą,  
     Nowe ją czasy ozłocą!  
 Natchnieniem wolna od duchów złych,  
 Wyleci pieśnią w świat z piersi twych.

\* \* \* \* \*  
 Zaśpiewasz... wraz twój śpiew  
 Omannych <sup>1)</sup> grono dziew,  
 Ludzkiego głosu grono cór,  
 Rozniesie od gór do gór.  
 Zadumasz, od twych dum  
     Mićó będziesz wtór,  
     Potoków szum  
 I orłów krzyk i gromów huk  
 I góralskiego toporca sztuk.

Poeta waha się chwilę, ale skrzydła burzy zaszumiły znów, nie-  
 przeparta siła pcha go naprzód, wciąż naprzód. Z miłością wyciąga  
 ręce do gór:

Żegnam was, żegnam, ojcyste góry,  
 Może was jeszcze kiedyś zobaczę,  
 Może się moje rozejdą chmury,  
 Może się zmieni życie tułacze.  
 Z jakąż rozkoszą wsłucham się w szumy  
 Waszych potoków i dzikich lasów!  
 Z jakąż rozkoszą wsłucham się w dumy  
 Waszych Juhasek, waszych Juhasów;  
 A gdy u spadu wody zasięde,  
 Z serca skarbony pieśń wydobęde;  
 Zaśpiewam z wami, tu w pośród was  
 Aniołów skrzydły ulata czas:  
 Żegnam was, żegnam, ach! żegnam was!

I uleciał na skrzydłach burzy. Nowy obraz ukazuje nam poetę  
 we dworze wiejskim. Znajduje tam dwie czarodziejki: jedna z nich  
 piękna, chciwa hołdów hrabina, nie zachwycą go wcale; druga zato,  
 słodka Eleonora, siostra jego w pieśni, ma dlań urok niewysłowiony.  
 Serca obojga uderzyły, nie tém przelotném drgnieniem, co ma zniknąć  
 bez śladu, ale tą pełnią uczuć, co daje wybranym siłę do walki, co ścia-  
 ga błogostawieństwo Boże na wspólną pielgrzymkę żywota.

Eleonora nie tai uczuć swoich.

— Zostań!—mówi nieśmiało—Bóg stworzył nas dla siebie; zo-  
 stań... my będziemy szczęśliwi!

<sup>1)</sup> Oman, złuda, echo.

— Nie myśl o tém!—zawoła poeta—jam syn niedoli! Mnie nie gonić za szczęściem... myśl o tobie wystarczy mi na puste dni żywota. Eleonora odchodzi; łzy trysły jęj zpod powiek. Tymon powiódł oczyma za odchodzącą, gdy znikła woła z uniesieniem:

Krzyknij, mój duchu! bądź w mém jestestwie,  
 Jako jest orzeł w ptaków królestwie  
 I jako lew jest między zwierzęty;  
 Niech się uczucia moje nie wazą  
 Po mojem sercu z ogniami latać!  
 Niech myśli moje sobie zakazą  
 Bawić się w tęczę i wieńce splatać!  
 Niech piramidą sława tkwi w głowie,  
 Niech się zaludnia serca pustkowie,  
 Tylko krzykami pieśni orlemi:  
 Precz, precz miłości!

Burza porwała znów szaleńca. Gdzież ona go uniosła? Zpod słonecznych wyżyn, o których marzył, rzuciła go w odmeł boleści i za-wodów. Widzimy go nasamprzód na zamku lwowskim za pordzewiałą kratą. Wtrąciła go tam zdrada mniemanych przyjaciół i czcicieli. Wieść o tém rozniosta się po okolicy. Przybiega do Lwowa Eleonora ze starym plebanem; to pleban z onęj wioski za dąbrową, niegdys dzie-dziny Zimorodków. Oboje kołaczą w zwarte na rygle bramy zamczys-ka. Tymona niema już tam, burza uniosła go znów, wyrzuciła na bruk paryzki.

Idźmy za nim. Znajdujemy go w nędznej izdebce na poddaszu. Czciiciel ideału spotkał się tu oko w oko z najsmutniejszą prozą życia. Ciemno tu i pusto. Do piersi płonącej natchnieniem ręka druha przy-kłada bryły lodu. Posłuchajmy co mówi Chołod:

Nigdyż ty, nigdy ze swego czoła  
 Nie zdejmiesz pieśni, precz nie odrzucisz?  
 Nigdyż nie spojrzysz jasno dokoła  
 I nie zapytasz dla kogo nucisz?  
 Dla kogo nucisz? kto ciebie słucha?  
 Czyja żrenica ląz serca błyska?  
 Kto z tobą łączy swojego ducha?  
 Kto cię do serca szczerze przyciska?  
 Już tyle czasu serce i głowę  
 W ognjach pieśniami żywionych trzymasz,  
 Mumie myśli, wielotomowe,  
 Dobyłeś z siebie i nic z nich niemasz!  
 Jesteś wesołym bez wesołości.  
 I smutnym jesteś bez smutków znaku;  
 Jesteś samotnym bez samotności,  
 Biędny poeto, biędny człowieku!

Gardząc przestrogą chłodnych rozumów,  
 Za widmem sławy, za pieśni słońcem,  
 Nad małodusznych poziomem tłumów  
 Niedoli własnej latałeś gońcem.  
 Gdzie twoje szczęście? gdzie twoja sława?  
 Twoje pociechy, twoje wygody?  
 Grob twój zasłonią chwasty i trawa,  
 Ciebie zapomnieli pokryją lody!

— Ale poco mi rzucać groch na ścianę—dodaje Chołód i odchodzi, wruszając ramionami. Kołaczę litościwszy druh Leonard, ten nie z próżną przychodzi ręką: wyjmuję z zanadru chleb i wino. Dar taki bardzo na dobre; poeta nie jadł nic od wczora. Gospodarz grozi mu wyrzuceniem z izdebki; cała nadzieja w księgarzu, który wziął do przejrzenia najświeższe utwory poety. Otóż i księgarz! niestety, oddaje rękopis! Takie rzeczy dziś niepopłatne!

— Radzę panu—ręczę—zestąpić na ziemię z obłoków, iść drogą praktyczniejszą, zgodną z wymaganiem czasu, z usposobieniem ludzi: tym sposobem łatwiej spieniężysz prace swoje.

Tymon zatrząsł się cały, zawoła z oburzeniem:

Miałebym skarby i dary Boże  
 Dobywać z ducha, ażeby niemi,  
 Zszedłszy pod miarę z karły dusznemi  
 W fabryce sztuki być wyrobnikiem?

I chwyta rękopis, drze na szmaty, wyrzuca je przez okno.

Patrzy na to gospodarz, który wsunął się we drzwi za księgarzem, aby pochwycić pieniądź. Zawiedziony w nadziejach, wyprasza poetę za próg nędznego poddasza.

Dramat rozwiązuje się na moście. Z jednej strony wchodzi błądy poeta.

— Sekwano! w twojem pochowam łonie  
 Moje cierpienia!

woła, zbliżając się do poręczy.

— To on! Tymonie!

woła Eleonora biegnąc naprzeciw niemu. Dalej ukazuje się stary pleban i Leonard, wierny przyjaciel.

Oprócz ostatniej sceny wszystko tu wzięte z życia, wszystko niestety szczerą prawdą! poetycznym wymysłem tylko zjawienie się Eleonory i plebana z rodzinnej wioski Zimorodków. Myśl samobójstwa uważamy też za fikcją, religijne uczucia poety stają w sprzeczności z krokiem tak rozpaczliwym. Co do przyjaciela Leonarda, ten rzeczywiście podał rękę poecie w chwili, kiedy nielitościwy gospodarz, korzystając z niebytności zadłużonego lokatora, zamknął przed nim na klucz

drzwi ubogiej izdebki. U tego przyjaciela Olizarowski przemieszkał rok cały, za jegoto staraniem otrzymał najprzód kilka lekcyi w domach polskich, później umieszczenie w klasztorze ś. Kazimierza.

Żywe świadectwo wdzięczności poety znajdujemy w pozostałych po nim papierach. Odkryliśmy na świstku nakreśloną dedykacją, a raczej rzucony do niej pomyśl: przytaczamy go wiernie.

„Leonardowi Niedźwiedzkiemu przyjaźń i wdzięczność poświęcają tę pracę, dokonaną w jego mieszkaniu, które było przytułkiem zwyciężonego przez niedolę, tułacza i pokutnika.”

Kiedy mnie opuszczenia obległ chiński mur,  
Kiedy nędza z rozpaczą wiodła o mnie spór,  
Kiedym był jako ludzkości odrzutek,

Gdy w sercu rozkrzewiony w swój bujności smutek  
Wystąpił mi na lica i zapełnił skroń;  
Kiedy mnie rozpacz w swą ciągnęła toń:

Tyś do mnie wyszedł z tłumu, tyś mi podał dłoń;  
Tyś zemną głodnym ohleb własny podzielił,  
Tyś mnie czasami nawet rozweselił...

Poeta przebaczy nam zpoza grobu, że poważamy się głosić wiersz jego, rzucony dorywczo na papier—niedokończony nawet. Wolimy dopełnić tę niedyskrecyą, niż zostawić w ukryciu piękną stronę serca poety, żywe uczucie wdzięczności w przyjacielską pomoc.

(*Dokończenie nastąpi*).

# CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEN O CNOTIE \*).

PRZEZ

*Wojciecha hr. Dźieduszyckiego.*

II.

## Czasy Sokratyków.

Czém dla nas ludzkość i wiara, i honor i ojczyzna, i czém wszystkie cnoty ciche domowe i czyny głośne publiczne; czém wszystkie nowożytnego człowieka obowiązki: tém stało się dla Greków na chwilę, po pogromie Medów—miasto. Ono Helleńczyka od barbarzyńca różniło; w mieście było źródło bóstwa owego, o którym coraz pewniejszy był Greczyn, odkąd zastępy króla królów rozgromił. Miasto rodziną było, ojczyzną i wiarą.

Wśród miasta dźwigała się opoka, z której boku wyszedł pierwszy przodek Greczyna, i jednego ojca dziećmi byli obywatele; dla miasta dał niegdyś mędrzec prawa potwierdzone przez Zeusa i Apolina, i słuchając praw tych stawał się Greczyn wolnym. Więc przez miasto stawał na wyżynie, z której gardził barbarzyńcami; i jak od miasta wziął wszystko co posiadał, tak nawzajem życie całe dla miasta poświęcał, boć ono mogło mu więcej dać wtedy, gdy więcej posiadało. W Olimpij na igrzyskach zwyciężył obywatel i rozgłosił miasta imię, a za to miasto jemu posąg postawiło marmurowy, posąg co postaci jego nieśmiertelne zapewnił życie, i nawzajem przystroił postacią obywatela miejsce najświętsze i najwspanialsze w grodzie. Publiczném tedy, dziejowém było życie; dziejową była cnota w starożytnej Helladzie, jak długo trwały w Grecyi i wolność i boskość ludzka. To téż odtąd stawał coraz bardziej tylko mąż na świeczniku. O bojach słyszyny tylko, o radach i zdradach, a niewiasty ideał zdaje się nikać na półtora wieku, aż do chwili, w której zapanował Macedończyk. Gdy kto chce powiedzieć jakim był ideał Greczynki, miesza się zrazu i nie wie.

Mąż winien być filozofem, i wojownikiem, i mówcą, i politykiem; niewiasta winna siedzieć w domu, rządzić domem i rodzić dzieci. Tak mawiano w Grecyi, i przysłowie to zda się, że w ciasne pęta skuło żonę

\*) Dalazy ciąg—patrz zeszyt za wrzesień r. b.



późniejszego obywatela. Miała lat szesnaście, gdy ją rodzice <sup>1)</sup> oddali mężowi dojrzałszemu już. Zaśpiewano jej pieśń weselną, dopełniono tajemniczych obrzędów i odprowadzono do domu, wśród którego miała być panią, a mąż dał jej przestrożę, by pszczołą była, co do domu miód znosi, oddał jej klucze i dał rząd despotyczny nad mnogim rojem niewolników. Odtąd kierowała kądzielami i małżeństwami służebniczych, strzegła chlebów i ciast co się piekły, i chowała dzieci na późniejszych obywateli Jońskiego czy Achajskiego miasta. Ozdobą jej pierwszą była skromność, była wstydlivość; straszno jej było słyszeć o tém, jak dotąd w doryckiej Sparcie żyły półnagie doryckie mężczyźni. Jeżeli tylko zamożniejszą była, nie wychodziła na miasto inaczéj jak w towarzystwie niewolnicy, w białej szacie, zlekka zakwefiona, bacząc ostrożnie, by nikt na jej licu niedostrzegł farby, i zastaniając się wachlarzem. Pierwsza do mężczyzny nie przemówiła, gdy mąż jej dawał obiady, zostawała w komnatach, i pomyślicie może, że nudne wiodła życie obywatelka prawa, ślubna Greczyna małżonka, niewiasta, dzieci rodzicielka.

Taką była żona mężów. Obok niej żyła druga niemniej szanowana niewiasta, mężów towarzyszka. Piękność, dar bogów, jaśniała na niej, ledwo przykryta lekką szatą zasłoną, powiewnym płaszczem przejrzystej medyjskiej tkaniny. Lica jej płonęły od sztucznych rumieńców i od odbłasku złotych kołców; cała od złota jaśniała i od dowcipu. O wszystkiém mówić mogła, i nie było rzeczy, o którejby się mówić wstydziała. Do jej domu przychodzili na rozmowy i politycy i mędrcy, chodziła sama na mężów biesiady, słynęła z rozumu, słuchała pieśni poetów na jej cześć wyśpiewanych, miała miejsce cześnie w teatrze, odbierała kochanków hołdy, posiadała posagi nietylko we własnym grodzie, ale nawet w Delfach u ołtarzy Apolina, i przekazywała swe imię, czyto Aspazją była, czy Deotymą, czy Fryną, potomnym wiekom. Gdy procesya z Aten szła do Eleuzys, ujrzał lud raptem jako się kąpie w spienionych, błękitnych falach morza uaga Fryne, i stanął lud, i zawołał w podziwie: „Cześć tobie Fryne, coś piękna jak boska Afrodyte!” A gdy przed sądem stanęła Fryne oskarżona, zrzuciła z siebie szaty i zawołała: „Patrzcie sędziowie, jakim piękna! i powiedźcież czy mogę być winna?” I piękność za niewinną uznali sędziowie.

Więc dlaczegoż wszystkie niewiasty nie stały się jako Fryne, i Nera, Leena, gdy tak czczono Frynę? Oto dlatego, że prawdziwa cnota przy tych była, co domu strzegły; oto dlatego, że one tylko z mężami dzieliły zadanie święte, i na skromnych barkach swych dźwigały rzeczpospolite, źródło cnoty wszelkiej, wszelkiego bóstwa źródło. Nietylko że one same jedne rodziły dla miasta świętych obywateli; ale gdyby nie one, gdyby nie dziewice i matrony owe, runęłoby miasto jednego dnia; w perzynęby je obrócili bogowie; umarli powstałoby z mogił, podobni do mgły, do ciemności jakiejś olbrzymiej i pytałiby się niecier-

<sup>1)</sup> Ksenofonta ekonomia.

pliwie: „a gdzie ofiary? chcecież by w piekłach bohaterowie, miasta opiekuny umarli poraz drugi z głodu? by cienie ich istnieć przestały? by wrogowie miasta przemogli?”

W zmarłych opiece, w bogów miłości była miasta potęga. Gdyby zapomniano o umarłych pamięci, miastem by już nie było w Helladzie; a nie było służby umarłych gdy wdowy i sieroty, i dziewczęta szczęśliwe, i żony czczone, nie wychodziły w czarnych szatach z płaczem, i na grób wina nie lały, i nie ucinały włosów na zmarłych mogile.

Nie lubili Zeus i Apolo, Atene i Here, miasta gdzie nie było pieśni świętej, gdzie tańców świętych nie było. A tylko żony i dziewice mogły z pieśnią i datkami iść na akropol, w stroju podobnym do stroju bogiń. Tylko one mogły pieśń zanucić świętą, tylko one mogły płasy misterne wywodzić przed obywatelami i gośćmi, wśród oklasków tłumu, bogom na chwałę.

A bez Demetry nie było w rzeczypospolitej urodzaju; bez niej, bez kłosodajnej bogini nie było rady na niepokój, co gryzie sunienie i do szaleństwa prowadzi; ona odpuszczała grzechy, ona łagodziła ludzkie bole, bo ona sama jedna wśród bogiń, srodze cierpiała, gdy jój porwano córę Persefonę. Ale bez zbożnej niewiasty służby nie dawała Demeter ani złocistych kłosów, ani spokoju duszy. Trzeba było na to, by obywatelka zamężna i nieskazitelna oczekiwała w ustronnej kaplicy przybycia syna bogini — Jakcha, pośród dreszczów niewystawionych nocnych; trzeba było, by w świątyni bogiń, kapłanki zapaliły pochodnie, by napój rozdały na grzechów odpuszczenie.

A choć Atene i Artemida dziewicami były, chciały, by w nocy święte dziewice, obywatele córki zaznały na ich cześć i dla zbawienia miasta wesołej miłosnej rozkoszy. Jak wszystkie boginie owe, jak wszyscy bogowie łączyli cześć swoją nabożną z szalonem uniesieniem. Przez długie noce letnie błędziły po gajach świętych dziewice, co zazwyczaj tak wstydliwie siedziały w domu. Księżyc błady patrzył na to, jak dziewice z młodzieńcami nagimi deptały po zielonej gajów trawie, używając pieśni i miłości za bogów przykładem. I rozkosz owa tych co zwykle cicho doma siedziały, ręczyła miastu za przyjaźń hardych bogiń.

Dalszej drogi żądał Dyonizos dawca szału i winnej latorośli; na góry pędził co trzy lat dziewice i żony, kazał im pisać, kazał im ryczyć szalenie, kazał się tarzać po trawie, kazał im być sarnami dzikimi a nie niewiastami przez dni kilka, i zapomnieć o wszystkim co w zwyczajny czas cuota było. A za to Dionizos dawał winnicom rościć piękne lśniące grona.

I jakżeżby rzeczpospolita stała bez gron Bakchusowych, i kłosów zbożowych, i grzechów odpuszczenia, i hardych bogiń opieki, i umarłych pomocy i Zeusowej łaski? I powiedźcież sami, czyż niewiasty co niosły smętne i rozkoszne ofiary, były rzeczypospolitej mniej potrzebne od mężów, co radzili na agorze i walczyli w boju? I czy znów tak jednostajnym i smętnym było ich życie?

Bez nich gród stać nie mógł, bez nich brakło bogów łaski, ale one nie zmieniały ojczystych dziejów. Jednostajnie pełniły obowiązek bo-gobojny, a mężowie na pobojuwiskach i na mownicy zarabiali na chwałę; mężowie przyoblekali płaszcz filozofa i mężów tylko wspomina w dziejach Tucydides. Więc kto ciekaw tego, jaką była niewiasta piękna i dobra, kto chce poznać ideał ateńskiej niewiasty za czasów panowania Aten, ten niezaradnie staje w obec kartek dziejowych i nieznajdując w nich wzmianki o najdzielniejszej niewieście, myśli czasem mylnie że nią była Aspazyja. Ale niewiasta owa najdzielniejsza, bez rozgłosu, po swojemu bogom służyła i ojczyźnie, Aspazyją nie bywała, nie rozmawiała przy biesiadzie z filozofami, nie ściągała na wdzięki swe oczu gapiących się tłumów, nie wtrącała się do nieswojój polityki, ale niemniej ofiarnie służyła bogom, ojczyźnie i rodzinie. Nie dziejopis o niej pisał: pisał o niej poeta. Sofokles i Eurypides przedstawili nam niewieście ideały Aten współczesnych, choć im nadali imiona bohaterskiej pamięci Antygony, Ifigenii, Agawy i Alcestydy.

Okropny, przeklęty od początku los Antygony. Ojciec jój Edyp ścigany gniewem bogów i przez własną uwiedziony porywczosć, posłu-bił był sam niewiedząc o tém matkę swą Jokastę, i niewiedząc kogo zabija, zabił był ojca swego Lajusa. Dowiedziawszy się o okropnej mimowolnej zbrodni, porzucił Teby w których panował, oddając berło synom, i wydarłszy sobie oczy, poszedł w świat jako żebrak. Mogła Antygona zostać przy braciach, ale nie została w komnatach zamkowych; na głód, na wzgardę wiódł ją obowiązek i na chwilę się nie zawahała. Z ojcem przeklętym, co się sparł na jój ramieniu, poszła w świat, krwa-wiła stopy swe po gościńcach, żrenicą była dla ojca, co nie miał oczu, i póty cierpiała i skwar słoneczny i deszczową niepogodę, póki ziemia, ogromna matka wszech stworzeń, niezlitowała się i nad ojcem i nad białą królewną, i póki ziemia niepochłonęła przeklętego Edypa. Teraz wolną była córka od służby koło ojca, teraz mogła bogom nieśmiertelnym nieść świętobliwie ofiary za Teby, gród rodzinny: ofiary bogom miłe wtedy tylko, gdy ofiarnica uczyła ojca głowę.

Ale klątwa co na ród spadła, nie chciała się odwrócić od rodu po-tęplonego. Dawna porywczosć nowe rodziła zbrodnie i synowie Edypa nie umieli dzielić po bratersku ojcowskięj stolicy. Poparty radą wuja Kreona panował Eteok, a młodszy Polinik na wygnaniu zbierał po obcych grodach obce zastępy przeciw ojczyźnie. I nie wytrzymał Eteokles gdy ujrzał we wrogim szeregu brata Polinika, i zapomniał o tém, że król i wódz winien zostać w miejscu bezpiecznym, i nieba-ozny i wściekły poleciał w bój, wprost na brata i obaj bracia zabili się na strasznym pobojuwisku. Sprzymierzeńce Polinika wrócili do do-mu; ciało Eteokla zaniesiono do Teb i spalono na stosie, a nowy król, Kreon, chcąc mścić zniewagę ojczyzny, wydał rozkaz, by nikt nieśmiał chować ciała najezdcy Polinika i zagroził śmiercią temu, coby to uczynił zuchwale.

Antygona wtedy była narzeczoną Kreonowego syna Hemona; kochała go i była kochaną wzajemnie. A jednak wiedziała, że Kreon nieugięty spełni, choćby na własnym dziecku wyrok, który sam wydał. I wiedziała, że Kreon umarłym bluźniąc i dom swój i miasto gubi; wyszła tedy na pobojowisko wbrew zakazowi i zasypała piaskiem braterskie zwłoki; a gdy je zasypywała, przydybał ją strażnik głupi i przywiódł do Kreona. Więc mimo prośb narzeczonego, na śmierć poszła Antygona. Płacząc, patrzył lud na to jak szła do grobu, gdzie ją żywcem miano zamurować i zamurowano ją, a narzeczoną jej przebił się sam, by ukarać ojca tym, że bezdzietnym będzie mąż srogi, a bogowie nieśmiertelni okazali niewątpliwymi znakami, że nie Kreon nie miał słusności, że miała słusność Antygona gdy umarłych chowała. Bo jak długo ciało Polinikowe na pobojowisku leżało nieuczczone, tylko czarne ptastwo kracząc siadało na Teby; dym ofiar się ściełił i orzeł Zeusowy niosąc w szponach szmaty ciała ludzkiego, pędził do pana swego stolicy żądając pomsty! pomsty! pomsty!

Czém dla ojca i brata, czém dla sędziwych i umarłych była Antygona, tem Alcestyda była dla młodego, dla szczęśliwego męża Admeta króla w Ferach Tesalskich. Dał mu był Apollo dar nad dary, przyobiecał, że gdy nań przyjdzie śmierci godzina poraz pierwszy, z przeznaczenia, śmierć go puści jeśli się znajdzie kto, coby zań w zastępstwie chciał do grobu iść dobrowolnie. Wdzięcznym był Admet za dar ten Apollinowi; guiewała się zrazu śmierć, ale potem zaśmiała się myśląc, że nikt nieznajdzie się na zastępcę. Ale śmierć zmyliły rachuby. Prawda, że ani ojciec stary, ani matka co nad grobem stała, ani żaden ze sług królewskich, nie chciał za króla pójść do krainy zmierzchu i śmierci, gdy król na śmiertelnym legł łożu; prawda to, ale prawda także, że niewiasta cnotliwa, że młodzieuchna żona Admetowa, Alcestyda pożegnała panowanie i życie i dzieci dwoje, i zamiast męża, na ramionach męża skonała, gardząc życiem dla miłości, jak na żonę przystało; i prawda to, że Herakles bohater wiedząc o tej ofierze bogobojnej żony, porwał w ramiona swe śmierć i śmierć zwyciężył i żywą Alcestydę wrócił mężowi.

A Ifigenia znów, dziewczeczka młoda, dała bez skargi życie bogom, by służyć ojczyźnie. Na wojnę, na wielką wojnę z zamorskim barbarzyńcem wybierali się Grecy pod wodzą króla Argosu, Agamemnona i w beockiej Aulidzie czekały korabie na wiatr, coby podał ku Azji. Ale Artemida bogini wiatry powstrzymała i cicho było na morzu i smutno w obozie; zdawało się, że ze wstydem przyjdzie zaniechać wyprawy. Bogowie spytani co czynić trzeba, by statki ruszyć mogły, odrzekli, że tylko krew księżniczki z rodu króla starszego i hetmana, mogła bogów ubłagać. Więc Grecy zażądali od Agamemnona srogięj ofiary i król przeklinając berto i srogi obowiązek, wysłał posłów po żonę i córkę Ifigenię, kłamiąc, że przed odjazdem chce córce sprawić wesele. A gdy przybyła powiódł ją na śmierć ofiarną. Matka błagając załamywała dłonie, rycerze młodzi chcieli bronić dziewczęcia; lecz ono zawołało, że nie pięknie załować życia, gdy mężowie idą ginąć w boju i poszła i zgi-

nęła na stosie wołając, że Grekom panować, barbarzyńcom służyć przystało! czy też porwała ją w obłoki bogini zostawiając zamiast niej sarne w ręku ofiarników.

I Agaua królowa, wdowa w Tebach beockich, także bogobojną była. Gdy przybył kapłan z Azji zniewieściaty i rzekł Tebom i obwieścił, że bóg Dyonizos co z Teb rodem, chce by niewiasty poszły w gaj płaszać; poszła Agaua chcąc tańcem i szatem boga opiekę dla ojczyzny wyprosić. A syn jój śmiał się z tego do rozpuku. Syn jój Penteusz chciał zabronić nieprzystojnego szatu; więc kazał zamknąć kapłana do więzienia zamkowego i chciał przemocą niewiasty do domu zawrócić. Ale bóg, szatu chciał, nie chciał rozsądku. Kapłan porwał pęta, wstrząsł gmachami zamkowemi i myśl zmieszał w Penteuszu, bo kapłan ów to był sam Dyonizos. Więc przebrał króla w niewieście szaty i poprowadził budząc w nim ciekawość na Cyteron, by tam z bliska ujrzał niewiast płasy. I obłąd puścił na niewiasty tak, że myślały że to nie człowiek, jeno lew. Agaua matka w bogobojne dłonie porwała syna wąpiciela; Agaua matka na drobne kawały podarła syna ciało i ze śmiechem wróciła do miasta, niosąc zdobycz łowiecką, krwawą syna głowę.

Więc oto wam dałem cztery niewiasty takie, o jakich marzyli poeci. W rzeczywistości takimi zapewne nie były; ale takimi bywały mniejwięcej. Niejedna staremu ojcu towarzyszyła na wygnanie, gdy niebacznie zabił człowieka; niejedna chowała zbożnie ciała poległych, bez głośnych płaczów, ale z myślą przystojną, nie swoich tylko ale i obcych popioły kładąc do urny maleńkiej, do pośmiertnego domu; niejedna dla męża tylko żyła, niejedna bogobojnie opłakiwała na dachu płaskim domu swego śmierć pięknego Adonisa. Inne kłótniwe były i zdradne i podstępne i niecznośnie niedorzeczne, i powiadam, że Tuczdydes nie prawi nam o kobiecie, coby za jego czasów była Greczynek wzorem. Więc w pieśni poetów szukać za tym ideałem: nie znajdziesz go w dziejów pamięci.

A za to gdy się kto spyta o wzór starogreckiego męża obywatela, odpowie każdy co jakotako ze starogreckimi dziejami obznajmiony, że tym wzorem Perykles syn Ksantypa. Matce jego Agaryście śniło się, że zrodziła lwa i tłumaczono sobie w starożytności, że sen jój sprawdził się dosłownie, gdy Peryklesa na świat wydała. Bo jako lew pierwszy wśród zwierząt, tak pierwszym wśród obywateli był Perykles. Historia prawi o nim co niemiara. Nam tu tylko opisać jego cnotę, co i przeciwników zmuszała do uznania a ledwo nie do podziwu.

W całej już postawie syna możnego rodu widać było, że panuje nad sobą, sam siebie szanuje i chce, by go drudzy szanowali. Przyobleczony poprawnie w fałdy chlamidy, jakby posąg jaki, utrefiony tak jak na zamożnego Greczyna przystało, stawał przed ludem na mównicy, i nieruchomy, nie obnażając nawet dłoni, mówił słowy zliczonemi, zmierzonymi, bez deklamacyi wszelkiej tak, aby przekonać rozum, a nie oćmić wymową; widać było gdy mówił, że nie tylko siebie, że i lud cały

szanuje i chce z nim mówić jak z ludem rozumnym. A i nie mówił w sprawach drobnych, a zabierał głos tylko jakby od święta, gdy chodziło o zmianę praw Rzeczypospolitej, o skarb, o wojsko lub siły morskie, albo wreszcie o wojnę lub przymierze. To też słuchano go gdy wstąpił na mównicę.

Ale choć mówił rzadko, był zawsze prawie na pryksie, albo w sądzie; o sprawach domowych zdawał się zapominać, cały oddany usługom Rzeczypospolitej. Nie widziano go nigdy na biesiadzie w domu przyjaciela, nie widziano na zabawie żadnej; mówiono o nim, że jedną tylko chodzi drogą, od domu do agory i od agory do domu i że jedną ma tylko myśl: dobro ojczyzny i dobro Aten i wiedziano, że w czasie czyto wojny, czy pokoju, zawsze gotów na usługi Rzeczypospolitej, czyto jako poseł albo wódz, czyto jako prosty żołnierz i ofiarny obywatel. Zawsze miał na uściech uszanowanie dla prawa, bez którego wolność nigdy się ostać nie może; niepodobna było wątpić, że praw nie usłucha, a prawa na rok tylko oddawały władzę w ręce to tego to owego obywatela; gdy kolej minęła i jeśli go wybór ponownie nie powołał, na czele wojska wracał wódz w szeregi, brał ciężką tarczę i szedł na bój i śmierć postuszny, a skarbnik oddawał skarb powierzony i z własnych środków, jeśli tylko miał za co, uzbrajał statek na usługi ojczyzny. Więc był gotów do posłuszeństwa Perykles, choć lud ufając jemu, rokrocznie mu oddawał w ręce władzę.

A jednak choć się zdawał cały żyć dla ojczyzny tylko, znalazły się cudem i chwile na to, by pomyśleć o domu i mieniu, jak na gospodarnego Greczyna przystało. I dzieci własne chował pierwszy Aten obywatel i bywał sierot opiekunem i strzegł sług posłuchu i nie marnował mienia i z żoną Atenką żył aż do jej śmierci przykładnie, a gdy wraz z poetą Sofoklesem dowodził przy oblężeniu miasta Samos, wśród obozu znajdował czas do rozmowy o sztuce.

Przekładał pokój nad wojnę, choć umiał wojnie zajrzeć w oczy. Powstrzymał rodaków swoich od dalszej walki z Medem, któremu odebrano już wszystkie greckie grody i chciał, by się Grecya wyłącznie oddawała sztuce i nauce; a że na wszystko miał czas ten, którego komicy przezywali Zeusem zgromadzenia ludowego, więc sam najdzielniej popierał rozwój sztuki i wiedzy. Nie był sam ani pisarzem, ani filozofem, ani uczonym, a tém mniej poetą lub artystą, ale umiał wyszukać talenta, dać im pracę odpowiednią i dobry kierunek. By nie wspominać tego co zaginęło niepowrotnie, stanął za jego czasów w niezrównanym majestacie Partenon ateński, a Sofokles napisał tragedye, za które lud w uniesieniu uczynił go wodzem wojennej wyprawy.

Cud uczynił z Aten, a jednak na starość doczekał się niejednej zniewagi. Przyjacielem jego był Eschyl, ów poeta, którego utwory zdają się pisane przez nowego Tytana; lud ateński przez fanatyków wiedziony orzekł, że to świętokradca i bluźnierca i za najpiękniejszą tragedya, którą stary wieszcz napisał—za Prometeusza, co przykuty do skały, przez wieki męki nie traci hartu, wyгнаł lud Eschyla z Aten.

Ledwo Perykles to przeboleł, gdy drugi raz musiał daremnie drugiego bronić przyjaciela. Nie pomogła jego wymowa, nie pomógł wpływ, którym się Perykles chełpił; za Eschylem poszedł w wygnanie Fidyasz rzeźbiarz, któremu równym ze wszystkich świata rzeźbiarzy chyba jeden Michał Anioł. Wyrzeźbił był cud z kości słoniowej, posąg Ateny w Partenonie, o złotych włosach, złotym hełmie, złotej tarczy i włóczni złotój, ze złotem runem na piersi i złotemi sandały, a na tarczy różne wykuł postacie, toczące bitwę Amazonek; pośród nich wykuł i siebie i to mu poczytali zazdrośni i mali za zbrodnią. Wytoczono mu proces i zasądzono za to, że siebie policzył między dawne bohaterzy, na wygnanie i tak stracił Perykles drugiego przyjaciela; a trzeciego z kolei wygnano Anaksagorasa mędrca, co bawił w Atenach i pouczał naród o nowym najwyższym bogu. Dotąd wierzone powszechnie w Helladzie, podobnie jak w Indjach i w Egipcie, że najwyższą istotą: wszechświat, z którego się wyłonili bogowie i ludzie, zwierzęta i rośliny, miotane chucią, ślepym popędem, koniecznością nieosobistą i nieprzepartą. Anaksagoras pierwszy głosił, że sama kolistą materya choćby i ogniem była, nie mogła z siebie świata wykonać doskonałego i rozumnego, że myśl nie mogła być wodą co się ulatniała póty, aż powietrzem się najpierw stała, a z powietrza ognistym eterem, wodą, co zgęszczona trochę stawała się ziemną bryłą; że różnice które w materji samej zachodzą, nie są tylko skutkami gęstości i rzadkości ciał. Słowem, Anaksagoras targnął się śmiałą ręką na wszystko, w co wierzone, i w miejsce nauki dotychczasowej stawiał nową: oto twierdził, że materya się składa z niezliczonej, a pierwotnie chaotycznej ilości cząstek zupełnie jednakowych a bardzo małych, do których z poza materji przystąpił Duch-Twórca pozaświatowy, wszechmocny, a nieskończenie mądry, i on to świat ten ujął w ład przedziwny. Słuchając tych nauk, oburzył się lud helleński, twierdząc słusznie, że nowator kładzie ponad Zeusa głowę innego nowego boga, co nie Zeusem wcale i skazał na śmierć świętokradzcę. A Perykles ledwo zdołał lud uprosić, by tę karę zamienił na wygnanie.

I to wszystko było dopiero początkiem prób, które Peryklesa czekały. Po przyjaciółach targnięto się na jego żonę drugą, na piękną cudzoziemkę z azyatyckiej Jonii, którą poślubił, którą ukochał, co myśl jego rozumiała, radą mu służyła i była muzą, co niosła natchnienie między poetów i myślicieli, których wdziękiem i rozmową gromadziła w mężowskim domu. I ją oskarżono o bezbożność i bluźnierstwo, a dumny Perykles musiał ze łzami w oku błagać lud, by nie słuchał oskarżenia; teraz jeszcze lud ubłagał, ale niebawem miał się sam ugiąć pod jego gniewem.

Wybuchła wielka wojna domowa w Helladzie—za sprawą Peryklesa jak mówili nieprzyjaciele jego—a szeptano nawet, że za sprawą Aspazyi. Spartyaci, którzy się mieli i których miano powszechnie za prawowitych narodu zwierzchników, wkroczyli z wielkim wojskiem do Attyki, paląc wszystko i niszcząc. Perykles zapewniał spokojnie Ateń-

czyków, że w boju tym zwyciężyć muszą, że ich gród, który było niepodobna obledz, był niedobyty, że na morzu nikt się z nimi mierzyć nie mógł i że zza morza mogli mieć wszystko czego pragnęli, niszcząc tymczasem powoli siły nieprzyjaciela. I zamknęli się Ateńczycy w stolicy i patrzeli spokojnie na zniszczenie żniw i mieli się dobrze, skoro im wszystkie wyspy dań niosły. Ale gość niespodziany zajrzał do Aten i zniweczył przemądre rachuby. Dżuma wybuchła w przeludnioném mieście i lud znękaný odsądził doradcę swego od wszelkich zaszczytów i zasądził go na karę, na grzywnę, co niszczyła prawie jego mienie. Zniósł to mąż wielki cierpliwie, posłuszny prawom i niedługo już przeżył tę ostatnią próbę; dość długo jednak, by się doczekać przeprosin narodu i zwrotu zaszczytów.

Oto obraz największego obywatela Aten, taki, jaki nam narysowali Plutarch, a przed nim Tucydides; oto wzór czynnej, wszechstronnej greckiej cnoty. Ale podobno powiedzić wypada, że kto się bliżej temu słońcu przypatrzy, ten niejedną na niem odkryje plamę. Dotąd pisałem, biorąc asumpt z Peryklesa o tém, jakim Greczyn być powinien; teraz muszę dodać rysów kilka, z których się dowiecie do reszty, jakim był Perykles naprawdę.

Otóż z owego dawnego, homerycznego cnoty ideału pozostała i po mędrach żądza przodowania, każdemu Grekowi wrodzona. Onato była Hellady dobrodziejką, gdy gnała do czynów, któremi chciał każdy każdego przesadzić; ona nie dała Grecyi popaść w bierny mistycyzm wschodnich ludów, ale ona także zadała niebawem téjże Grecyi naj-sroższe ciosy. Jéjto ulegał Perykles syn Ksantypowy, jéjto zawdzięczał i cnoty swoje wielkie i mniej widoczne ale zgubne wady.

Oto Perykles chciał być pierwszym w Grecyi i na świecie. Nie ścierpiał tego zamłodu, że Cymon nad nim górował okryty sławą wojenną i postarał się o wygnanie Cymona; niecierpiał tego, że królowie Sparty byli prawowitymi Grecyi zwierzchnikami i wywołał przeciw nim w Grecyi wojnę domową, gwałcąc dla dumy starodawne wszechhelleńskie prawo. A na to by go lud słuchał, podchlebiał ludowi nie słowy, bo to było poniżej jego godności, jeno czynem. Dotąd niebyło ludowi ateńskiemu wolno samochęcący zmieniać prawo i do tego był powołany areopag, a od niejakiego czasu zastąpiło areopag także arystokratyczne kolegium nomofilaksów. Perykles chcąc lud pozyskać dla siebie, oddał jemu władzę nad prawami i odtąd za jego sprawą prawo przestało być w Atenach rzeczą świętą, podobnie jak przestano w Atenach czcić ład wszechhelleński. I niedość na tém, nie na tém się kończą Peryklesa winy. Nauczył także łamać słowo i kraść, co już wielką było grozą przed bogami i ludźmi. Rzeczypospolite Grecyi powierzyły były Atenom skarb wspólny na wojnę ze wspólnym wrogiem, z barbarzyńcem. Dumą Peryklesa znała jednego tylko wroga, królewską Spartę; zawarł tedy lud ateński z jego namowy pokój z królem Iranu i przywłaszczył sobie bezbożnie skarb powierzony na to, by swoje miasto przyozdobić cudami sztuki, na to, by sprzymierzonych swoich uciskać, a ład wszechhe-



leński wojować zuchwale. Perykles do zbrodni namówił lud cały na to, by móżdż patrzeć na cuda na akropoli; Perykles dla miłej zabawy i mądrego wczasu zezwolił na to, by na zebraniach u Aspazyi rozprawiano o tém, czy prawdą to wszystko w co lud grecki wierzy? My mu błogosławiny za to, myśląc się i myśląc, że bez tych kradzieży Grecya nie byłaby wydała nieśmiertelnój sztuki; my mu błogosławiny za to, gdy ciesząc się wiedzą pamiętamy, że bez niego możeby nie było i téj wiedzy, którą podpierał potężnie i ja dziękowałem z serca całego Peryklesowi, gdy od wielu tysięcy i kroci szczęśliwszy, stanąłem przed Partenonem i ujrzałem na oczy niewystłowione, nieopisane piękno i uczułem w piersi dreszcz podziwy i zachwyt niezmierny. Ale Grecya złorzeczyć mu winna była za owe dary, okupione utratą tego wszystkiego, co z niéj Grecya uczyniła: słowności, prawości, karności, bojaźni bogów i dobrej wiary.

Występek odtąd prawie tylko staje przed nami, namiętnie walczą o pierwszeństwo i ludzie i stany i miasta i kradną i zabijają i kłamią i sprzedają Helladę obcym, tak, że dziejopis nie wie po czyjéj ma stanąć stronie, aż się na usta ciśnie równe dla wszystkich potępienie. Piękni są jeszcze Grecy, ale już źli nieodmiennie i Tuczdydes ostatni z ludzi staréj daty chce na zimno jak mąż stanu opisywać wszystkie lekkomyślne Greków występki, a oburzenia przytłumić nie może.

Po Peryklesie najpierw głośnym się staje Kleon, właściciel garbarni i wymowy nadużywa, by lud pchać tam, gdzie go bez tego złe pchają chucie; tłómaczy ludowi, że małe ryby są na to, by je wielkie pożarły; uczy go uciskać słabszych bez sumienia i litości, a kierując dobrze nawą państwa, pomyślnością i zwycięstwem nadgradza zbrodnic, psując tak do dna Greków sumienie; potem bogobojny Nicyasz tak się lęka opinii rodaków, że sprowadza na ich wojsko zgubę, byle nie obrazić głupoty ateńskich uliczników; a nareszcie jawi się w Atenach pan piękny zdrożności Alcybiades.

Możny panicz od dzieciństwa przywykł do podchlebstwa i pokłasku: piękny był, wymowny, zdobny i wszystkie te cnoty, bo cnotami zwane to zawsze jeszcze czasem w Grecyi, obrócił tylko na zgubę własną, na zgubę swoich i na występłą samowolę bezprawia. Niczego się nie lękał tak, jak tego, by na chwilę zapomniano o nim i rozgłos ukochał więcej jeszcze od chwały. Gdy przestano mówić o koniach jego, co na wyścigach zawsze zwyciężały, kupił sobie psa pięknego, ogromnego, co na siebie przez dni kilka zwracał Ateńczyków uwagę, a potem znów zesześcił, aby ludzi dziwić. Przestano się śmiać z uszu i ogona Alcybiadesowego faworyta, a Alcybiades w teatrze uderzył w twarz najmłodszego, najbogatszego człowieka w Atenach; a potem dokazał tego, że obrażony magnat wydał za niego córkę jedynaczkę, którą niedługo potem wszech warchołów arcywzór haniebnie porzucił.

I dotąd były to niewinne zabawy; niezadługo, a o większe rzeczy pokusił się najpiękniejszy z Greków; namówił Ateńczyków, by wysłali do Sycylii wyprawę za morze i by wojowali, bez prawdziwej przy-

czyny Syrakuzy, aby okazać swoje przemoc. A równocześnie, gdy namawiał do tego ciężkiego przedsięwzięcia, lekcewał w dumie najświętsze ludu przekonania i drwił z wiary. Wygnany mścił się na Atenach jakby na obcym zupełnie narodzie, a sprzedawał swoje zdolności to Persom to Sparcie, bałamucąc lekkomyślnie spartańskie królowe, obrażając pychą perskich satrapów, póty, póki po krótkim powrocie do kraju, nie stał się tułaczem i niezginął marnie.

A dokoła w Atenach i w Grecyi wszyscy do niego byli podobni, tylko mniej zdolni. W mieście Korcyrze, w starożytnym i sławnym Argos a niebawem i w Atenach tępili się możni z ludem wżajemnie, nie jak ludzie, jak zwierzęta dzikie. Prawa dla nich już nie było a bez prawa niemasz wolności; to też Grecya, jakby pijana bachantka z pokrwawionemi dłońmi a przepyszny wieniec sztuki na głowie, pędziła tańcząc, krzycząc i płacząc do koniecznej niewoli. Możni panicze zasłyszeli wszędzie coś z rozmów, które się toczyły u Aspazyi i pokładali rozum swój na tém, by bluźnić bogom, by się wydrzyżnić ze świętych misterjów i po pijanemu rozbijać Hermy, co w Grecyi były tém czém w katolickich krajach krzyże podrożne, a otaczali się panicze owi płatną zgrają sofistów, którym szło o to tylko, by wszystkich przekonać o zwinnój wymowie, i by zapomocą rozumu, którego nadużywali, dowieść jednym tchem, że coś jest białem i czarnem odrazu. Lud był niby bogobojny, ale zapomniiał o tém. że bogowie chcą ładu, prawa i posłuchu. I w bogów wyborze stał się lud kapryśnym, zapożyczając się u ościennych narodów i czeząc coraz częściej rozpustne syryjskie bogi przywiezione do Grecyi przez syryjskich niewolników. Religia ludu stała się zabobonem, a zabobonu strzeżono tak namiętnie, że na śmierć skazywano zwyciężkich wodzów, co po bitwie chcąc statki ochronić od burzy, zaniedbali pogańskiego obrzędu.

Sparta zwyciężyła nareszcie Ateny, i znowu ogłosiła panowanie prawa i wojnę przeciw barbarzyńcom, i wojnę prowadziła na prawdę pod wodzą króla Agezylausza; ale nie prawo zaprowadziła w Grecyi, jeno bezprawie. Lizander, nie król, ale niby jakiś Perykles spartański, wszędzie po Grecyi przyjaciół swoich ustanowił tyranami, i ucisk spartański stał się tak niecznośnym, że cała Grecya przyklasnęła, gdy Teby poddały się królowi perskiemu i w jego imieniu zgruchotały Spartę. I odtąd znów swobodna niby Grecya, pozbawiona praw i bogów, szarpała bezładnie swoje wnętrze, kłaniając się zniechęcając barbarzyńcom, co wewnętrzne spory Grecyi karmili złotówkami.

Wśród tego rostroju, wśród tego zamieszania myśli i ludzi, żył w Atenach dziwak, rzeźbiarz nietęgi, co zarzucił był swoje rzemiosło, i ku wielkiemu udręczeniu swojej żony wcale niemyślał o zarobku. Miał wprawdzie dość majątku by wyżyć przyzwoicie, ale wałęsał się ciągle boso po Atenach i jak to mówią, czeptał się pańskiej klamki.

Gdzie zdybał jakiego panicza, albo przy paniczu sofistę, zaraz przystępował do nich i wypytywał się o przedmiot ich rozmowy, ciekawy zarówno wszystkiego. A gdy się dowiedział o czém mowa, prosił by jego, ignorantą i prostaka, uczono. Oczywiście sofista i młodzieniec, choć często zniecierpliwili, dawali odczepnego, odpowiedź; ale natręt na pierwszej nie poprzestawał odpowiedzi i wypytywał się dalej póty, aż doprowadził do tego, by młodzieniec i sofista przeczyli sami temu o czém przed chwilą mówili; póty się pytał łysy i brzydki Sokrates syn Sofroniskowy, aż przekonał sofistę, że dwie rzeczy odrazu prawdą być niemogą, i aż dowiódł młodzieńcowi, że trzeba się dobrze wyuczyć, zanim czas będzie wziąć się do naprawy Rzeczypospolitej. Wreszcie często wychodził z własnym zdaniem i nauczywszy rzekomych mędrców odchodził, nieprzyjmując żadnej zapłaty za te nauki, jak chyba czasem, i to rzadko dobry obiadek.

Już powierzchowność Sokratesa musiała na niego zwrócić powszechną uwagę, bo był taki brzydki, że kto pomimo niego przeszedł, obejrzał się mimowoli, i w ten sposób brzydki, że jakiś bardzo mądry fizyognomista zawyrokował magistralnie widząc go po raz pierwszy, że Sokrates to głupiec, i kobieciarz niepohamowany. A gdy wszyscy się poznali na jego dowcipie, nie było popularniejszej osoby w Atenach. Błaznował niby potrosze złotój młodzieży, ale błaznując uczył ją myśleć, uczył przedewszystkiem rzeczy nazywać po imieniu, czyni owe uważać za rzeczy poważne a nie za zabawę; oduczał ich warchołstwa, uczył posłuszeństwa dla praw i szacunku dla samego siebie. Mawiał o sobie, że towarzyszy mu demon, duch jakiś dobry, niby anioł stróż chrześcijański, co go nigdy nienamawia do niczego, ale go zawsze od złych uczynków odwraca, i zawsze przestrzega, gdy ma popaść w nieszczęście. Mawiał tak, a sam chciał być takim dobrym demonem dla młodzieży złotój, w której ręku spoczywał los Rzeczypospolitej; służył krajowi jako mógl i jako powinien na pobojuwisku, ale zrozpaczał by mógl krajowi służyć na mównicy. Stronił tedy od wiru owego życia publicznego pełnego intryg wściekłych, złości niezmiernej i namiętności ślepej a szalonej. Wiedział, że wśród walk politycznych straci tylko własną równowagę i własną cnotę i nie chciał już poprawiać współczesnej Rzeczypospolitej; poprawiając młodzież chciał Grecyi na przyszłość lepszy los zapewnić. Ale darmo! Nie starczą i najsilniejsze ramiona jednego człowieka na to, by wstrzymać nawałę złego, gdy z hukiem wpada do grodu jakiego, gdy osiada rojnie po rolach jakiego narodu! Darmo dowodził Sokrates całe swoje życie, że rzeczy trzeba nazywać po imieniu i że trzeba słuchać przekonania a nie zachcianki przelotnej. Skoro jakie pokolenie dorwało się rządów, broiło tylko dalej; spiskowało, podburzało, kłamało, mordowało i bawiło się gubiąc ojczyznę, jak gdyby nie było słuchało nauki Sokratesowej, i złe było mocniejszém od dobrego, i Sokrates patrzył na rozstrój tylko i na same klęski, i na to żył tylko

długo, bardzo długo, aby na starość paść ofiarą bezmyślnego zaboru ateńskiego motłochu.

Jego, jego, co tylko chciał polepszyć wolę i myśl młodzieży, oskarżono o to, że młodzież psuje, i oskarżyciele za to wnieśli śmierć. Oto wedle praw ateńskich, stawiał oskarżony drugi wniosek, w którym zastępował karę, której żądali oskarżyciele, karą inną łagodniejszą, a sędziowie głosowali nad temi dwoma, wnioskami, gdy wprawdzie już wydali wyrok; „winien.” Gdy tedy sędziwy miłośnik dusz młodzieńczych, jak siebie Sokrates sam przeżywał, stanął przed sędziami, wypadało mu po skończonej obronie stawiać wniosek dotyczący się umniejszenia kary na wypadek nieprzychylnego wyroku. Ostrożność kazała uczynić zadość tej formie: sumienie nie pozwoliło na to Sokratesowi.

Całe życie powtarzał tylko przed kłamiącym społeczeństwem że i mówić i myśleć trzeba prawdę, i że kto siebie sam okłamuje i rzeczą w oczy śmiało nie zagląda, ten na siebie samego wyrok śmierci pisze i wyrok gorszy od wyroku śmierci; ten i za życia złym będzie, i po śmierci będzie nieszczęśliwym, podobny do szaleńca, coby wmałwiając w siebie samego, że ściany niema, głowę sobie rozbił o tę ścianę. I on miałby teraz choć w drobnej rzeczy skłamać, na to, by na chwilę przedłużyć życie? Miałby się wyprzec wszystkiego co mówił i robił na to, aby się jeszcze lat kilka posmucić starością? Chybaby nie Sokratesem był; chybaby był jednym z owych warchołów i samolubów, przeciw którym walczył całe życie!

Gdyby Sokrates wniósł na siebie jaką karę mniejszą od kary śmierci, na wypadek wyroku potępiającego, byłby się niejako poddał wyrokowi, byłby tym samym uznał, że mówiąc prawdę i naprawiając złe, zasłużył na karę. A tego zrobić nie chciał, zrobić nie mógł wobec garstki uczniów co go otaczała. Chwalił tedy tylko czyny swoje i życie przed sędziami, i postawił dumnie wniosek, aby go kosztem Rzeczypospolitej żywiono w Prytaneum czyli ratuszu ateńskim, co było największą nagrodą za obywatelskie zasługi. I ta dumna odpowiedź sprowadziła na jego głowę niechybny wyrok śmierci, ale zachowała podobno jego naukę przy życiu i była powodem powstania prawdziwej filozofii, filozofii Platona i Arystotelesa.

Skazany na śmierć, poszedł Sokrates spokojnie do więzienia czekać aż wróci statek z Delos, pod którego niebytność nietracono w Atenach nikogo. Chciano mu dopomódz do ucieczki, ale odmówił dla dwu przyczyn: najpierw że chciał w owym czasie powszechnego bezprawia dać przykład tego, jak się powinno praw słuchać, a powtóre dlatego, że był pewny, że po śmierci znajdzie w lepszym świecie i między lepszych ludzi. Ze spokojem rozmawiając o nieśmiertelności duszy, wypił truciznę którą mu wreszcie podano i umarł spokojnie w więzieniu, jak na prawdziwego mędrca przystało, co się nie chełpił nieistotną wiedzą, przyznawał się do tego, że na pewne nie wie a pra-

dy tylko szuka i wolał poprawiać serca i rozumy ludzkie, jak bując gdzieś po kłamliwych pomysłach dawnych fizyków marzycieli.

Z uczniów jego Plato najwięcej wziął do serca jego naukę i najsilniej zapragnął powrotu Grecyi do dawniej cnoty. Ale młodzieńcowi niewystarczyła rozsądek Sokratesowy; chciał do gruntu zbadać myśl ludzką, chciał poznać samą istotę wewnętrzną prawdy i cnoty, by wytworzyć społeczeństwo i cnotliwe i zdrowe, by sprawić to, aby ludzie niebyli dalej takimi jak dotąd bywali, jedno żeby się stali takimi, jakimi po prawdzie wiecznej być powinni. Towarzysze jego zakładali tedy szkoły, w których odrazu uczyli nowe pokolenia, ale w których je uczyli samolubnie, nie o rzeczypospolite a o siebie tylko dbając; on puszczał się w dalekie podróże, by się wszędzie o wszystkich ludzi myślach wywieźć i u wszystkich uczył się czegoś, aż wróciwszy do Aten założył w gaju Akademosza szkołę, w której wykładał najwspanialszy i najkonsekwentniejszy systemat starożytniej filozofii.

Tu go niemożemy wyłożyć, powiemy jednak o nim tyle, ile potrzeba na to, by można poznać Platona myśli o występku i cnotcie.

Gdy ludzie okłamują siebie i innych, są złymi; ani szczęścia nieznajdą, ani spokoju, ani łaski u bogów nieśmiertelnych i będą gonić za owemi błyskotkami, co gubią, myśląc że one im szczęście dadzą. Tylko kto prawdę zna i chce znać, może być mędrcem prawdziwym, spokojnym i szczęśliwym, takim jakiego pragnęła widzieć Grecya owa, co naprawdę wolna, pokonała świat cały przeciw niej sprzymierzony. Kto tedy chce być cnotliwym i przeto szczęśliwym, winien zbadać najgłębszą i najtajniejszą rzeczy istotę; a za pomocą zmysłów tego nieuczyni, nieuczyni tego, jak długo będzie zwracał uwagę na własne ciało i na rzeczy zmysłowe. Wzrok, słuch i dotknięcie prawią nam tylko o zewnętrznej, o przypadkowej stronie rzeczy, o tém co mija, co się zmienia, co przepada wciąż i ginie, o tém co mnogie a zmienne, co objawem tylko a nie treścią bytu. Poznajemy rzeczy istotę, i prawdę wtedy tylko, gdy się zastanowimy nad znaczeniem słów naszych i myśli, a nie wtedy, gdy patrzymy, gdy słuchamy, gdy się dotykamy; zmysły dadzą nam pojedyncze przykłady, z których każdy wzięty za powszechną prawdę skłamię; za pomocą zmysłów poznamy Krycyasza albo Alcybiadesa, i to jeszcze niecałego, tylko Krycyasza lub Alcybiadesa, w danej chwili i danej postawie. Zobaczymy ciało i usłyszymy głos. Ale czyż za pomocą zmysłów poznamy człowieka i jego istotę? Przenigdy! Już na to by powiedzieć jakim jest Krycyasz sam? jaka jego treść? nie oka się spytamy i nie ucha, jedno myśli i rozumu; dopiero myśl sparta na pamięci, myśl co wewnętrznym instynktem wiedziona odgadła że różne i różnorodne luźne zjawiska odnoszą się do jednej istoty, odstłoni nam całego Krycyasza; tylko myśl może nam powiedzieć prawdę o Krycyaszu i dać zupełne o nim wyobrażenie. A tém bardziej myśl tylko powie nam prawdę o człowieku. Wszak nikt z tych co przy zdrowych zmysłach nie zapyta się oka lub powonienia o to, by mu zaświadczyły nie o barwie lub

woni, ale o tém co wspólne rodzajowi ludzkiemu, co daje o nim wyobrażenie, co mówi o nim prawdę. To co nam się wyda, gdy w danej chwili ujrzymy Alcybiadesa, może być o nim w danej chwili prawdą, a niebyć prawdą gdy je zastosujemy do całego Alcybiadesa, do jego wyobrażenia; podobnież co jest prawdą o wyobrażeniu Alcybiadesa, zmyli nas, gdy zechcemy to zastosować do Ateńczyka w powszechności, a tembardziej do Greczyna, albo do człowieka. Przeciwnie co nam umysł a już nie oko i nie ucho powie o człowieku, Greczynie, o Ateńczyku da się wszystko zastosować do Alcybiadesa, z czego wynika że wyobrażenia te wszystkie prawdziwsze i istotniejsze od napoły zmysłowego wyobrażenia pojedynczego o Alcybiadesie. I podobnie dostrzeże każdy bez trudności, że i tamte wyobrażenia człowieka Greczyna i Ateńczyka są w ten sam sposób prawdziwsze, w miarę tego jak są ogólniejsze, bardziej rozumowe tylko i mniej zdolne do uzmysłowienia. Z tego wynika oczywiście, że zmysły kłamią, a rozum tylko mówi prawdę i że ta prawda jest coraz pewniejszą w miarę tego jak jest bardziej oderwaną i ogólną; słowem, że wyobrażenia umysłu są prawdziwe a wrażenia zmysłowe kłamliwe; że rzeczy ogólne w umyśle tylko istnieją, że rodzaje i klasy wszelkie są prawdziwe, a przeto i lepsze i doskonalsze, od jednostek istniejących cieleśnie i podpadających pod zmysły i że przeto jednostki są względnie złe, kłamliwe i nawet grzeszne i nieszczęśliwe o tyle właśnie, o ile są jednostkami i że o tyle tylko mają udział w nocie, w prawdzie i w pięknie, o ile uczestniczą w istocie i własnościach rodzaju—wyobrażenia ogólnego—Platońskiej idei, którą, jak sądzę zupełnie słusznie nazwałem po polsku wyobrażeniem.

A kto jeszcze nie zrozumiał, albo jeszcze nie uwierzył, niech sobie przypomni, że są wyobrażenia ogólne i to te, o które nam powinno w pierwszym rzędzie chodzić, o których nam zmysły już ze wszystkiém świadczyć nie mogą; że są rzeczy i to najprawdziwsze, najważniejsze, najistotniejsze, któreby zupełnie nieistniały dla zmysłowej tylko istoty, pozbawionej rozumu i ducha. Wszak cóż może być prawdziwszém od samej prawdy, od piękna i dobra i doskonałości? Od rozumu co prawdę poznaje, wybiera, ustanawia? Wszak wyobrażenia tylko prawdziwe a wrażenia kłamią; a najprawdziwszém będzie z konieczności najpierw wyobrażenie istoty, potem wyobrażenie jednostki, a wreszcie wyobrażenie wyobrażenia. Co kto powie o Istocie oderwanej, to będzie prawdą całą i powszechną i nieomylną i nic z tego wszystkiego co jest nie będzie inném od Istoty; prawda o niej, będzie prawdą powszechną; tak samo mamy o wszystkiém wyobrażeniu, które jest prawdziwsze od wrażenia, za pomocą którego przypomnieliśmy sobie przedmiot podporządkowany pod to wyobrażenie; mamy wyobrażenie o Istocie, które jest najprawdziwszą prawdą o prawdzie. Jest to, że tak powiemy, myśl oderwana, Słowo przedwieczne, które znów jako prawda szczerą, jest Istotą i to ową Istotą Najwyższą, której jest wyobrażeniem. Istota i Słowo są tedy w jedności, są Jednością, w której wszystko ujęte i Słowo osobno jest także z Jednością, Jednością Istota, Jednością wy-

obrażenie każde, rzecz każda. Jedność tedy obok Istoty i Słowo trzecią prawdziwą Istotą o której znamy prawdziwe Słowo; Jedność jednością Słowa i Istoty, pochodzącą od Słowa i Istoty, jako Słowo jest Istoty najprawdziwszym pierworodnym synem. I oto te trzy: Istota, Słowo i Jedność to najprawdziwsze, najświętsze, to istniejące naprawdę a doskonałe, którego poznanie jedynie prawdziwem poznaniem; to to, czego zmysłami nie poznasz nigdy; to to, co poznasz duchem wtedy tylko, gdy się oderwiesz od ciała i odwrócisz od niego. Rzeczy cielesne, wrażenia zmysłów, zdrowie i choroba, zimno, ciepło, głód i sytość i wszelka myśl o zmysłowej cielesnej jednostce, odrywają ducha od prawdy najwyższej, jedyniej, od boskiej Trójcy i ciało widzieć może tylko to, co cielesne. Samo kłamstwem i złem i kłamstwo tylko zna i złe. Duch zaś prawdę widzi. On jeden istotą prawdziwą, nieznikoma i nieśmiertelną jako wyobrażenia wszystkie które poznaje, i jako Trójca Przenajświętsza. Bo jako ciało, ciało tylko zna, tak duch tylko ducha poznaje.

Są tedy u Platona jakoby dwa pierwiastki, lubo jeden z nich tylko naprawdę istnieje, a drugi jest prostem pierwszego przeczeniem. Jest duch który jest, i jest, czyli raczej niema materji, która jest nicością i przeczeniem. Oto Istota, przez Słowo uczyniła świat w nicości i z nicości, napełniając świat duchem. Każde wyobrażenie ogólne i oderwane duchem i jest tedy hierarchia wielka duchów coraz mniej prawdziwych, coraz mniej świętych i doskonałych uczynionych z nicości przez Istotę i Słowo, uczestniczących. mniej lub więcej w nicości w miarę, jak się zbliżają do najniższego wyobrażenia jednostki, ale zawsze wiekuiстых i nieskazitelnych w istocie swój. Wyobrażenie o Alcybiadesie i dusza Alcybiadesa to jedno i to samo, i to być nie przestanie, podobnie jak nie przestanie nigdy istnieć święty i potężniejszy duch-wyobrażenie ludzkości. Ludzie wyginąć mogą wśród nicości i materji; w niezmysłowej wieczności i w prawdzie istnieć będą po wieki wieków. Tylko to, co nie jest, przemija; to co jest, trwa wiecznie. Grzészmy i bładzimy przez uczestnictwo nasze w nicości; cnotliwi jesteśmy, mądry i piękni przez uczestnictwo nasze w bycie. Gdy jemy i pijemy, patrzymy i słuchamy, trwamy w nicości; gdy myślimy myślą czystą, jesteśmy na prawdę. I cała natura nasza tęskni do szczęścia, choć niewie, że szczęście myślą i oderwaniem; i tęskni do Boga i Prawdy, choć ich szukać nie umie. Ta oto tęsknota miłością świętą i boską, cnotą ludziom wrodzoną, którą przyćmił byt cielesny, którą oczyści myśl i wiedza. Oto miłość Platona owa, o której słyszeliście wszyscy, oto miłość, którą może tylko wskrzesić Słowo, gdy zestąpi między ludzi, broniąc ich od grzechu i upadku i niosąc im zbawienie.

Człowiek rodząc się, przybierając ciało, już popadł w nicość, w kłamstwo, w grzech i złe; a stało się to pono nie bez własnej winy popełnionej w wiekuiстым żywocie ducha. Od chwili gdy spadł na ziemię, da się człowiek porównać do woźnicy, co siadł na rydwan, wprzągnął parę koni i chce dojechać do upragnionego celu. Rydwanem jest życie, celem prawda i szczęście, a końmi dusza i ciało. Dusza to koń

biały, piękny, chyży, co puszczony sam wnetby stanął u mety; ale niestety sprzęgnięty rumak ów dobry z drugim koniem karym i niedobrym, z koniem ocieżyłym i narowistym, z ciałem, co z miejsca ruszyć niechce. Koń biały tedy z trudem tylko może dążyć do celu swego, wlokąc za sobą nietylko rydwan i woźnicę, ale przedewszystkiém towarzystwa swego narowistego, co przeszkadza pochodowi, ile sił mu stanie. I od tego, który z dwojga koni mocniejszy, zależy i to, czy woźnica u celu swego stanie.

Albo oto drugie bardziej znane porównanie: ludzie, co żyją na ziemi, podobni są do więźniów, którychby w głębokiej jamie w ten sposób przymocowano łańcuchem do ściany, by niemogli nic widzieć prócz ściany oświeconej ogniem z góry. Jama, to życie; ściana owa to świat zmysłowy, a ogień u góry niewidziany od więźniów, to bóstwo. Otóż przypuśćmy teraz, że postacie jakieś rzeczywiste przechodzą poprzód ogień i że ich cień pada na ową ścianę, którą więźniowie jedynie widzą, a będziemy wiedzieć, że więźniowie ujrzą na ścianie owęj cienie owych postaci poruszające się pozornie w skutek rzeczywistych poruszeń ich pierwowzorów przechadzających poprzód ogień u góry. Otóż ludzie ci w jamie nieznałiby nic innego oprócz tych cieniów i potrzebowaliby dopiero objawienia z góry, aby poznali rzeczywistych ludzi. Rzeczywistemi przedmiotami w tém podobieństwie, są wiekuiste rzeczy wyobrażenia; cieniami ich na ścianie zmysłowe zjawiska; a objawicielem bywa filozof, co przebywa nie wśród cieniów, nie wśród zmysłowego świata, jeno wśród myśli i wyobrażeń.

A nakoniec powtórzmy w ślad za Platonem trzecie jeszcze podobieństwo: ludzie podobni do żab i ślimaków mieszkających w mętnej kałuży, do której zachodzą tylko przyćmione promienie słoneczne, w której żadna barwa nie wystąpi wyraźnie, ogień niezapłonie a nawet kształty przedmiotów napół widomych, skrzywione dziwacznie przez łamanie się światła w niejednostajnym płynie. Żaby te myślą, że owa ciasna kałuża światem i że już niemasz poza nią ni światła, ni barwy, ni piękna; a poza nią dopiero świat szeroki i ludny i ozdobny i powietrze szkliste, przez które przechodzi niezamącone światło słoneczne. Podobnież i nam się zdaje, że ten świat zmysłowy światem naprawdę, choć on tylko kałużą nieczystą.

Lubujemy się w téj kałuży, w niej szukamy rozkoszy i prawdy tak, jak gdyby żaby chciały światło i ciepło posiadać i poznać, niewychyliwszy głowy zpoza mętów rodzimój wody. Chcemy mieszkać wygodnie, błyszczyć w pstrych szatach, panować nad ciałami niewolników i poddanych; ciekawimy spraw królów i wojsk, choć to sprawy kłamliwe i grzeszne i myślimy wreszcie że się oddajemy bardzo duchownej i górnej zabawie, gdy patrzymy na dzieła ludzkie, które raz jeszcze naśladują kłamstwa ciała; myślą ludzie w swym obłądciu, że patrząc na obrazy i posągi, że czytając namiętne tragedyc, albo słuchając płaczliwój muzyki, wydobędą się z owego koła omyłek, chuci, szaleństwa i zbrodni, w którém znajdują wieczne swe udręczenie. A to patrząc na





spokojną, by znał miłość i przyjaźń i inne rzeczy, które Platon uważał wraz ze sztuką i poezją za nieszczęście, zbrodnię i głupstwo. Żądał filozof od nich tylko tego, by chodzili bezbroni, słuchali praw nadawanych przez starszą rzeszę i płacili dań, z którejby można utrzymać obywateli przy zdrowiu i życiu.

Szczęście i cnotę chował Platon tylko dla swoich obywateli. Tak mężczyźni jak i kobiety mieli chodzić nago, bez różnicy wieku i bez względu na porę roku, już i samym brakiem stroju odrywając się od niłości rzeczy zmysłowych i przedstawiając w nagości swojej niezakryte niczem wyobrażenie ludzkie. Własności ani rodziny nie mogli mieć Platonowi obywatele, mieli żyć pozbawieni wygod wszelkich po namiotach, zupełnie niewiedząc co moje i twoje, a słuchać biernie rozkazu filozofów, posiadających prawdziwą wiedzę i zastępujących prawo. Filozofowie owi mieli pary małżeńskie obywatele raz do roku na dni kilka kojarzyć, tak jakby to sądzili za stosowne, chcąc odchowić zdrowe pokolenie i mieli czuwać nad wychowaniem dzieci. Nikt nie miał znać ani rodziców, ani dzieci, ani rodzeństwa. Dziecko matce odebrane zaraz po narodzeniu, miało nazywać ojcem i matką tych wszystkich, co należeli do znacznie starszego pokolenia, a rodzeństwem innych. W ten sposób chciał Platon uwolnić obywateli swych od wszelkich trosk i dać im czas potrzebny do zajęcia się tém, co jedynie uważał za istotne i ważne.

A rzeczy te ważne i godne człowieka wcale nie były liczne: filozofia, matematyka, muzyka i taniec: oto wszystko, czém się obywatel idealny trudzić winien. A jeszcze i to wszystko było zezwolone tylko pod wieloma zastrzeżeniami. Z filozofii były wykluczone wszystkie nauki, mające jakąkolwiek styczność z historią, czyto z przyrodzeniem i naprowadzające myśl na rzeczy cielesne i przemijające. Zezwołaną, a nawet nakazaną była tylko sama jedna nauka Platona i to nauka, którą miano przyjąć ślepo, nie rezonując o niej i wierząc w nią jako w jedyną wiarę.

Rozumie się samo przez się, że matematyka zastosowana, praktyczna, nie miała być częścią zajęć owych Platonowych szczęśliwców. To rzecz cielesna, zmysłowa i grzeszna. Obywatele i obywatelki mieli się zajmować tylko i wyłącznie i jedynie nauką o liczbach i figurach oderwanych. Figury geometryczne, to z pewnością najjaśniejsze wyobrażenia oderwane, których człowiek zdolny. Chciał tedy Platon, aby obywatele jego z nimi się dobrze zaznajomili, by tém łatwiej pojąć jego filozofią; a nie w niemożliwej rzeszy, ale w szkole rzeczywistej, którą miał w Atenach, kazał wypisać na bramie wiodącej do ogrodów Akademosy: „Niech tu nikt nie wchodzi, co się nie uczył geometrii.”

Wszystko, co w muzyce wzruszyć mogło, wszystko, co mogło czarować, było także zabronionem; muzykę cenil Platon tylko jako rodzaj matematyki, przenikającej samą człowieka istotę, a więc także jako do przygotowania do jego filozofii. Że zaś muzyka towarzyszyła w Grecyi

słowom, więc Platon chciał napisać dla swoich obywateli pieśni, w którychby wypowiedziano rytmicznie, a przeto matematycznie, jego myśli filozoficzne; inna poezya miała być wraz ze sztukami pięknymi wykluczona z rzeczypospolitęj zupełnie; dla jednéj tylko komedyi uczynił przewodawca wyjątek, a to dlatego, żeby mogli owi nadzy filozofowie wiedzieć, o ile od nich śmieszniejsi i niedołęźniejsi są ludzie po innych rzeczachpospolitych.

Taniec wreszcie wszelaki był znowu zastosowaną muzyką i niepotrzebujemy tłumaczyć, jakie tylko tańce były zezwolone. Z pewnością nieścierpałby był Platon żadnego tańca dzisiejszego; znalazłby, że wszystkie o wiele nadto przyjemne, a przez to i zanadto głupie, złe i kłamliwe. Taniec, o którym mówił, była to tylko jednostajna gimnastyka rytmiczna.

Ktoby takie życie wiódł po prawie do roku sześćdziesiątego życia, ten zostałby powołany do panującej warstwy filozofów, zarządzających despotycznie całą ową rzeczpospolitą.

Zaiste trudno się powstrzymać od uśmiechu, słysząc albo czytając o téj najniepraktyczniejszej myśli wielkiego męża, co w filozofii przeprowadził przewrót wiekopomny, co pierwszy nauczył ludzi rozróżniać to, co zmysłowe, od tego, co umysłowe, co pierwszy ich naprowadził na umiejętne klasyfikowanie pojęć i zjawisk, co położył pierwszy podwaliny prawdziwej a nie fantastycznej tylko nauki i stworzył system metafizyki, w który i dziś z małemi zmianami wierzy cały niezliczony rój chrześcian; system metafizyki, co i dziś jeszcze tylu a tylu myślicieli zachwyca i przekonywa: a co mimo to uwierzył w to, że ludzi uszczęśliwi, gdy ich namówi do tego, aby żyli w czémś, co nie było ani społeczeństwem, ani koszarami, ani klasztorem, w czémś coby w sobie łączyło wszystkie przykrości klasztoru i koszarów, niedając ani mistycznych zachwyków i wzruszającej muzyki, ani wojennej chwały i hucznej żołnierskiej zabawy. I niedziw, że Platon nikogo nie namówił do tego, by żył w rzeczypospolitęj takięj; niedziw, że niechciano nawet słyszeć o jego prawach, które, licząc się już z doznanyym oporem, o wiele zmniejszą rygor pierwotny jego pomysłów; niedziw, że gdy powołany na dwór króla Sycylii, zaczął Dionizyusza II namawiać do tego, by sobie obrał życie filozoficzne, został przez zniecierpliwionego despotę zaprzędany w niewolę i niedziw potem, że, gdy uczeń Platonów Dyon uwolnił Syrakuzy spod jarzma uieudolnej samowoli, a potem zechciał w nich zaprowadzić rzeczpospolitą Platona, został znieawidzony i zabity przez tych, których wyswabdział; niedziw, powiadam, że to wszystko się stało, skoro Platon samego siebie nie namówił nigdy do takięj suchéj, bezpociesznej cnoty i skoro na złość własnym teoryom do śmierci został poetą, co właśnie bez metrycznej matematyki odtwarzał obrazy, w których się odzwierciedla i piękno natury i piękno duszy ludzkiej, w których naprawdę widać jakby żywe owe wieczne idee, wyobrażenia istot wiekuiste, co namacalne i prawdziwe wychodzą z ręki artysty i zpod pióra poety.

Nie wpłynęły tedy bezpośrednio na żywot Grecyi nauki niepraktyczne filozofa poety i wiele wieków minęło, zanim nastąpiła chwila, w której ludzie zaczęli żyć mnogo, jeśli nie zewszystkiem na wzór obywateli Platonowych, ale przecie dość podobnie, zagłębiając się nicustannie w myśli o wyobrażeniach nieprzemijających a duchownych wszech rzeczy. Za życia nauczyciela Akademii i po jego śmierci, żyła Grecya dalej zmysłowo i namiętnie, gwałtąc coraz więcej prawo i zamieniając z dniem każdym wolność w bezładną swawolę. I nie dawały na siebie czekać smutne skutki rozpasania ludzi i miast. Zbójcy wpadli i do Olimpii i do Delfów i zuchwałą ręką złupili skarby, przezywając bezbożne świętokradztwo czynem patriotycznym; najpiękniejsze okolice Grecyi stawały pustką, Sycylia, co z Włochami południowemi była połową Hellady, wyludniała się; trawa rosła po miastach, a pojęcia tak się zamieszały, że nikt już ojczyznę nie nazywał Grecyi całej, że każde miasto swoje przekładał nad Helladę, a siebie nad miasto rodzinne. Prywata dźwignęła się wszędzie zuchwale i bezład władzą możnie krajem. To też większa część Grecyi popadała szybko w obcą niewolę. W Sycylii miast kilka zaledwo się ostało, a kraj cały popadł w ręce Kartagińczyków; Samnici zdobywali miasta Włoch południowych, Trakowie palili starodawne osady nad morzem Egejskiem, a król Iranu utwierdzał napowrót despotyczną władzę nad Jonią, Doryą i Eolią w Azyi Mniejszej, nad Cyprem i Cyreną. Dzieło Leonidasu, Temistoklesa i Arystydesa przepadało, a samo serce Grecyi, to co i dziś Greckiem królestwem, ugięło się w pokorze przed panem Azyi; oręż Hellenów nie zwyciężył, ale mężowie najbitniejsi ulegli własnym sporom i samochęcy uznali zwierzchnikiem swoim i sędzią króla barbarzyńskiego, co podstępnie spory te podzegał, by tak niebezpiecznych Greków osłabiać. Dawny ład i prawo dawne przepadły niepowrotnie i ludzie, co marzycielami nie byli, widzieli jasno, że zaprowadzenie ograniczonej monarchii jedynym ratunkiem dla Grecyi. I gdy tego trzeba było, znalazł się w Grecyi i Piemont, znalazły się i Prusy, co Grecyą zjednoczyły. Z małego kraiku pierwotnie słowiańskiego podobno, ale oddawna nawskróś zhellenizowanego, wyszli królowie, co dotąd byli pokornymi członkami greckiej rzeszy i zaprowadzili w Grecyi ład nowy; nie już ów ład święty i dobrowolny co był dawniej, ale zawsze ład i rząd, choć odąd sparty o królewską przemoc. Filip Macedończyk podbił podstępem i odwagą niesforne rzeczypospolite i po Cheronei zwyciężywszy mowę ateńskiego Demostenesa, dawniej wolności ostatniego obrońcę, darował mu życie. Z nową, trzeźwą potęgą zwróciła się Grecya przeciw nieprzyjaciołom swoim wewnętrznym, a i myśl grecka trzeźwiejsza o nowej trzeźwój mówiła enocie.

Arystoteles rodem ze Stagiry w Tracji, był uczniem Platona i przeto, że tak rzekę, wnukiem duchownym Sokratesa. Nauczyciel mawiał o nim, że to uczeń co potrzebuje ciągle wędzidła, a mówił to dlatego bo widział, że uczeń ten ciekaw był wszystkiego i zapędzał się wszędzie samoistnie, korzystając z mistrza nauki, ale nie stosując się

do niej niewolniczo, a badając wszystko na własną rękę. To też Arystoteles założył niebawem w innym ogrodzie ateńskim własną szkołę, którą przewano w przeciwieństwie do szkoły akademickiej, szkołą perypatetyków to jest przechadzających się. Dając to imię, miano na myśli tę okoliczność, że naprawdę Arystoteles miał zwyczaj wykładać chodząc; ale możnaby bez zbytniej śmiałości nazwę i tak tłómaczyć, że perypatetycy chodzili wolno po całym obszarze wiedzy i jakoby przechadzali się, idąc z jednego przedmiotu do drugiego i przypatrując się wszystkiemu. Niebyło rzeczy coby nie zwróciła na siebie uwagi filozofa ze Stagiry, któremu nie zewszystkiem się podobały górne abstrakcyjne Platonowe i który myślał, że wszystko na świecie—i to co cielesne i to co duchowne—zasługuje na baczne śledzenie.

Nie wyparł się Arystoteles nauki o wyobrażeniach ogólnych, ale nadał jej nieco odmiennie znaczenie od dotychczasowego. Przyznawał i stwierdzał, że kto poznaje cechy ogólnego pojęcia, ten tém samém zna i szczególne zjawiska o tyle, o ile pod owe ogólne pojęcie podporządkowane; stwierdzał również podobnie jak Platon, że przeciwny wuioszek ze szczegółu na ogół nie dozwolony i idąc na téj drodze, wskazanej przez Platona konsekwentnie, zbudował gmach logiki, który do téj chwili niezachwiany stoi i stać będzie. Nie uważał jednak wyobrażeń za jakieś istoty zaświatowe, wyższe i wiekuiste, ale mówił poprostu, że to zjawiska w myśli naszój, że tak powiem formuły, za pomocą których myślimy i dochodzimy do prawdy. Podobnie nie odrzucił wcale rozwiniętej przez Platona myśli Anaksagorasowój o świecie duchownym, lepszym od cielesnego, istotniejszym, rzeczywistszym i nieprzemijającym; nie daleko odeszedł od Platona w swój teologii i wraz z nim twierdził, że rzecz każda, nawet napozór nieżywotna, ma duszę, którą zwał energią, co jest jej prawdziwą istotą. Ale wszystkie te pojęcia choćby nawet teologiczne i transcendentalne przybrały u Stagiryty zwyczajniejszą, jaśniejszą może, a z pewnością bardziej poziomą postać.

Bóg trójjedyny nie wytworzył już w niepojęty sposób wiekuistego świata wyobrażeń samą myślą, samém słowem. Wyobrażenia wszechrzeczy od początku trwają w słowie, ale w sposób zupełnie pozaświatowy nie tuteczny, a Bóg na początku czasów opanował materią, co jeszcze niebyła niczém, ale czémś stać się mogła i zrobił z niej świat wedle swych pierwowzorów w słowie ujętych; doskonały i nad miarę piękny. Wtedy to Boga, co spoczywał, od początku, z Boga, co był przed czasem wśród wieczności i poza przestrzenią w nieskończoności, wychylił się Bóg, co działa, celu swego świadom, wychyliło się słowo w czynie, święta energia wszechrzeczy i słowo to samo nieruchome jak Bóg poruszyło bryłą nicości, bryłą materji i stało się świata duszą. Dusza ta porusza świat przez wiek wieków nieustannie i kieruje wszechrzeczami tak, by wychylając się z nicości dochodziły wreszcie do Boga. Przez słowo powstaje wreszcie duch, co jest jednością słowa i istoty téj, co jest od początku.

Słowo tedy duszą zarazem i jako Bóg—wewnętrznym celem świata; świat, to Bóg, co dąży do samopoznania poruszając materią, nicosć ową co jest poza Bogiem; czy może lepiej—to materia poruszona przez Boga w celu świadomym Bogu i odpowiednim Jego Istocie. Podobnież każdy żywiół, każda gwiazda, każdy przedmiot, każda myśl została uczynioną przez Boga wedle pierwowzoru istniejącego w słowie od początku i w każdą rzecz włożył Bóg jakby iskrę przedwiecznego słowa, duszę świadomą własnego celu, co materią kształtuje według wiekuistego pierwowzoru i rzeczy każdej wyznacza należne jój miejsce pośród wszechświata. Najcieńsza, najbardziej w nicości pogrążona jest ziemia przez duszę swoją we środku, trzymana najdalej od Boga co jest poza przestrzenią; na ziemi jest woda, nad wodą powietrze, a ogień najmniej cielesny, skoro powstanie rwie się na brzegi świata ku górze, ku Bogu. Dusze istot żywych wytwarzają już samowolnie ciała sztuczne i doskonałe na wzór ciała boskiego i władną coraz szerzej światem, przenikają świat gdy się stają ludźmi, i wreszcie dusza mędrca, co doskonałość wszechstworzenia rozumie, zawsze pozostaje z Bogiem gdziekolwiek jest. Ale mędrzec winien, nie gardząc niczem, wszechrzeczy doskonałość badać, wszystkiego się dotykać, wszystko podśluchiwać i znać cały cud przedziwnego przyrodzenia. Powyżej mędrca są tylko bogowie, czyli jak mybyśmy powiedzieli, święci i aniołowie, co w duszach ognistych bawią za ciałem przy Bogu i kierują jaśniejących gwiazd biegiem w gwiazdy te częstokroć wcieleni; między nie uleci dusza człowieka sprawiedliwego spełniając słowa znaczenia. A sprawiedliwym ten co żyje wedle słowa, co żyje tak jak przyroda chce by człowiek żył, trzymając się złotego środka, a unikając zdrożności co po obu stronach staje.

Oto najpierw cnotą jest mieć ciało zdrowe i piękne; każdy winien dbać tedy o ciało, żywić je jak się należy, ćwiczyć i za pomocą tak gimnastyki i tańca jak i innych środków doskonalić, aby się stało podobnym do owego pierwowzoru ciał ludzkich, które Słowo pomyślało na początku. Dalej człowiek ma duszę podobną do duszy Boskiej, co może mieć myśli prawdziwe, co Boską myśl przeniknąć może, zrozumieć piękno, badać je, a—co już najdoskonalsze—tworzyć. Uczyć się powinien tedy człowiek wszystkiego, i powinien ukochać wszystko co piękne, to jest wszystko co podobne do Boskich pierwowzorów, wszystko co celowi swemu w doskonałości odpowiada. Że w samej naturze trudno o ludzi co-by byli pięknymi zupełnie, powinien człowiek patrzeć na piękno w sztuce wnikając tak w myśl Słowa i doskonaląc siebie sam. W rzeźbie, w malarstwie, w budownictwie winien człowiek patrzeć na trwające i nieprzemijające odzwierciedlenie myśli Słowa jako się jawi w ciele; w eposci i historii powinien człowiek słyszeć o czynach ludzi tak tych co blizkimi doskonałości, mocą swoją i pięknem, jak i tych co grzeszyli i przeto cierpieli. Tragedya miała w piersi ludzkiej budzić litość i grozę, miała te uczucia najpotężniejsze w człowieku zbudzić, oczyszczona od wszelkiej przymieszki, miała je przeprowadzić przez cały żywot na-

miętności od pierwszego jój zbudzenia, aż do chwili gdy zgaśnie i miała tak człowiekowi przedstawić w pięknie prawdziwém te dwie siły co władną dziejami; komedia znów miała okazać człowiekowi wesołość w czystości swój, tak jak na wesołość patrzy Bóg; a muzyka miała budzić w piersi uczucia wszystkie ujęte w ład, niezamącone cielesnemi wspomnieniami, bliskie Boga. Powinien się tedy człowiek cnotliwy lubować w sztuce; powinien umieć choć początki sztuki każdój; źle czynią rodzice, co dzieci swych nie uczą śpiewu i rysunku: rzeczy to niemniej niezbędne od nauki pisania.

Potém powinien być człowiek mężnym; i to dwojako. Raz miał mieć owe męstwo i poradność ową, które mieć trzeba by stać odważnie w boju, gdyż ludzie bez wojen żyć nigdy niebędą; winien móż bez lęku zajrzeć w oczy śmierci i choroby, i zawodów i ubóstwa—co wszystkich równóm przeznaczaniem; winien umieć radzić sobie wobec potrzeb ciała i sił wrogich natury. Powtóre: winien mieć odwagę wobec ludzi, by stać przy swoim przekonaniu, by niekłamać; by niewyprzeć się swojej wiary ani dla pogroźki, ani dla żadnej a żadnej korzyści i ta odwaga cywilna, ważniejsza od wojennej. Człowiek nie jest zwierzęciem przeznaczonóm do samotnego życia na pustyni; mędrzec tedy i człowiek cnotliwy winien mieć wszystkie społeczne cnoty. A że społeczeństwa początkiem rodzina, winien być przedewszystkiem dobrym członkiem rodziny, dzieckiem posłuszném, a gdy wyrośnie, podporą rodziców starych. Winien wejść w stan małżeński wtedy, gdy do niego dojrzał na ciele i umyśle, a to stanie się później, jeśli jest mężem, wcześniej jeśli jest niewiastą; bo i niewiasta mędrceć być może. Winien mędrzec potém chować poważnie tyle dzieci, ile starannie wychować może, tyle ilu może zostawić dostatnie utrzymanie, nieczyniąc ich ciężarem dla rzeczypospolitéj; winien domem zarządzać i utrzymywać w karności niewolników, a jeśli jest niewiastą, winien być najwierniejszym męża towarzyszem, równym jemu i wolnym, a w każdój sprawie pomocnym. Każdy mąż winien jedną tylko pojąć żonę i żyć z nią w małżeńskój wierze i uczciwości.

Ale że się na rodzinie nie kończyło życie człowieka, winien mędrzec mieć i poza rodziną przyjaciół, ludzi na których budować może i którzy staną w każdój potrzebie po jego stronie. Dobry przyjaciel i sąsiad dobry i sobie i drugim służy, a samo uczucie przyjaźni już szlachetną rozkoszą.

Zresztą niewieściój cnoty miejsce w domu i przy rodzinie; męża obowiązek poza dom woła do usług rzeczypospolitéj; bo bez rzeczypospolitéj człowiek żaden długo się nieostoi, bo człowiek to zwierzę polityczne. Winien tedy człowiek osiąść umiejętność, za pomocą której przyda się społeczeństwu; winien być mówcą, albo wodzem, albo uczo-  
nym, albo lekarzem, albo artystą, i niedość na tém gdy własne bogactwo przysparza, choćby tém samém i naród wzbogacał. Jeśli ma być mędrceć na prawdę, winien z własnej woli, winien koniecznie spełniać usługi, za które nie otrzyma żadnej nagrody. A że rzeczpospolita bez

praw i bez obrzędów nabożnych się nie ostoi, winien mędrzec praw słu-  
chać i obrządki pełnić bogobojnie.

Rzeczpospolitą zwano w Grecyi państwo każde niepodległe, któ-  
rego celem miała być przedewszystkiem poprawa obyczajów. Otóż Arysto-  
teles rozróżniał trzy formy rządu dobre, i trzy złe, a twierdził, że do-  
breimi te rządy, gdzie wszystko stosuje się do praw, złemi te, gdzie rzą-  
dzi samowolnie człowiek pojedynczy. Dobremi są demokracja, arysto-  
kracja i monarchia zarówno, ilekroć się niewyrodzą w despotyzm jed-  
nego, despotyzm kilku, albo despotyzm motłochu. A skoro wszystkie  
te trzy formy rządu istnieją w naturze i skoro każda z nich jest złą,  
gdy się staje jednostronnie wszechmocną, osądził już Arystoteles na  
dwatysiące lat przed Monteskiuszem, że najlepszą formą rządu forma  
mieszana; tylko że Monteskiusz żądał rozdzielenia trzech władz: pra-  
wodawczej, wykonawczej i sędziowskiej, a Arystoteles nielekceważąc  
wcale wagi tego podziału, pragnął przedewszystkiem: by w państwie był  
i król, by była i rada arystokratyczna i niemniej rada druga ludowa.  
Żądał poprostu monarchii konstytucyjnej z systematem dwuizbowym,  
choć nie miał jeszcze wyraźnego pojęcia o systemacie reprezentacyjnym.  
Pragnął jednak przytém, by król był, jeśli to być może, człowiekiem do-  
skonalszym i ku wielkiej swój pociesze doczekał się tego, że jego uczeń  
stał się takim królem i że duchowny prawnuk Sokratesa zdołał zła-  
mać przewagę barbarzyńców, wznówić głośno chwałę Hellady i sprawić,  
by zapomniano o bezprawiaach lat stu prawie. Wszyscy już wiecie, że  
mówię teraz o Aleksandrze Macedońskim, w którego osobie ziściły się  
najbujniejsze marzenia, bujnej Greków wyobraźni.

U początku dziejów stawiali greccy poeci dwu bohaterów bajecz-  
nych zrodzonych z Zeusa i niewiasty, co świat podbili cały i potem  
wstąpili między bogi. Dyonyzoz syn Semeli był największym z tych dwu  
bogów, a pośledniejszym był Herakles syn Alkmeny. Otóż w Aleksan-  
drze powstał Dyonyzoz drugi, co zwyciężał jak bóg bez wytężenia i jak  
Dyonyzoz z Grecyi zaszedł aż do dalekich Indyi. Żona owego króla, co  
z trudem, wytrwałością i rachubą zjednoczył Grecyą, żona Filipa Ma-  
cedońskiego Olimpia królowna z Epiru, wcale nie cieszyła męża—nadto  
była nabożną nabożeństwem nowém; nadto wiele, nadto często czciła  
Adonisa, co przybył z Syrii. Na górach przebywała miesiącami kró-  
lowa wraz ze sług swoich orszakiem i płasała dziko albo płakała wśród  
ogni, przedłużając nad miarę Sobótkę; i ludzie co przychodzili na szczyty  
Pindu lesiste i strome, patrzeć na to jak królowa czarownica odbywała  
tajne obrzędy, widzieli często z przestachem, jak wraz z nią przebywał  
wielki wąż czarny, jak ją oplatał sążnistém ciałem i jak jój szeptał sy-  
cząc do ucha. A niebawem powtarzano po Epirze i Macedonii, że ten  
wąż to nie żaden wąż pospolity, to Zeus, co jak przed wiekami dziś zno-  
wu przybrał postać zwierzęcą, by z Olimpią spłodzić półboskiego boha-  
téra. I stwierdziła się ta wiara, gdy Olimpia poczęła syna Aleksandra,  
i gdy w sam dzień urodzin królewicza spłonęła najświątniejsza w Azyi  
świątynia Artemidy w Efezie na znak, że w dzień ten zrodzona wielka



kłeska dla Azyi. I skoro chłopiec się narodził, przyszło szczęście do Filipa, któremu się odtąd wszystkie zamiary wiodły. To też Filip przyjął w domu jako dobrą wróżbę i zadatek potęgi syna Zeusowego i chował go starannie za pomocą mędrca Arystotelesa. I wyrosło cudowne pacholę ze wszystkim do bogów nieśmiertelnych podobne. Piękności jego niebyłby się powstydzil żaden ze starszych jego braci, z tych synów Zeusowych, co zamieszkali na Olimpie, a płowe włosy jego były naprawdę podobne do promieni lśniących dokoła głowy Apoliuowej. Niebyło rzeczy, którejby nie pojął uczeń Arystotelesa, dorównywał prawie mistrzowi wiedzą, a rączy i silny, ledwo dosiadł dzikiego tabuna, co łamał wszystkim jeźdźcom kości, a konia nieposkromionego dotąd uczynił cierpliwym sługą.

W długiej wojen kolei przyszło Filipowi zmierzyć się z dwoma najpotężniejszymi miastami Grecyi: z Atenami i Tebami. Miał wojsko bitne, ale nie jedną w życiu swoim poniósł kłeskę, a jeszcze nigdy nietoczył tak groźnego boju. Nieprzespał tedy spokojnie nocy przed bitwą, a nazajutrz w jednym dniu powalił do stóp jego Grecyą całą syn jego, czy też syn Zeusowy, co poraz pierwszy był w boju a miał lat ośmnaście. Zjawił się Aleksander złotowłosy pod Cheroneą i przyniósł z sobą zwycięstwo.

Niedługo potem powstał spór między roztronym królem Filipem a oblubienicą Zeusową Olimpią. Królowa odjechała do Epiru, król odbywszy wszechhelleński parlament, ofiarował wołu złotorogiego Zeusowi przed teatrem, w którym miano przedstawiać tragedya Eurypidesa, gdy zabójca sztylet swój wepchnął w pierś Filipową; a mówiono że to Olimpia mężowi przesłała cios śmiertelny, co czynił panem Hellady Aleksandra. Na wieść o śmierci Filipowej zawrzało tam coś w Grecyi, ale bohater młody zjawił się tylko przed Tebami i zniszczył je gniewem swoim, paląc gród jakby gromem Zeusowym.

A potem podjął Aleksander dzieło, po które zestąpił na ziemię. Dotąd tylko Heleni mogli posiąść ową cnotę, o której zamarzył Arystoteles; inni ludzie z przeznaczenia swego niewolnikami byli, głupcami i złymi, żyjąc albo dziko i w bezprawiu, albo drząc pod biciem despoty, króla królów, kapryśnego pana Iranu. Aby inne narody mogły się stać cnotliwemi, trzeba było, aby zaznały panowania Greków, aby się zgreczyły, podobnie jak niewolnik barbarzyniec wychowany w Grecyi, wypuszczony na wolność i przypuszczony wreszcie do praw i cnoty obywateli. Iścił tedy Aleksander zamiar Słowa przedwiecznego, gdy świat podbił Grecyi; był to iściciel, był to Mesjasz po-gaństwa.

Najpierw podbił, bez trudu wielkiego, ludy Północy aż po Dunaj. Sam się drapał na skały, na których spoczęły dzikie ich osady, sam tępił tych co jemu się oparli i strachem a mocą w kilka miesięcy podbił wszystkie góry i wąwozy, po których straszno stąpać ludziom nowożytnym. A potem wezwał do boju króla królów Daryusza Kodomanów syna, co zasiadał na stolicy świata i władał Północą

i Południem, choć niebył tego godzin. Z Homerem w rękę wylądował na brzegach Troady młody dziedzic Agamemnona i ofiarował cieniem Pryama zabitego przed wieki, by je ubłagać, by mu nie szkodziły.

Nieraz już lądowały na wybrzeżach Azji Mniejszej takie garstki Greków jak ta, której dowodził Aleksander i starczyło zwykle jednego tylko namiestnika królewskiego, by z wojskiem jednej prowincji zatrzymać zuchalców; a jeżeli ci pierwszy opór przełamali i wdzierali się niebacznie w głąb kraju perskiego, krainy bez granic—gingli niebawem z głodu odcięci od morza. Myślano tedy w Babilonie, że ten sam los spotka zuchwałego królika Macedonów.

Nad Granikiem rzeką walczył tedy tylko satrapa z synem Zeusowym, a jednak już satrapa wystawił naprzeciw Macedonom dwie krocie niewolników. Niedziw jednak, że trzydziestu tysięcy mężów wolnych zwyciężyło, gdy na ich czele stał król wedle serca Arystotelesowego, mąż lew do panowania zrodzony. Wszak gdy Aleksander przed wyprawą poszedł do Delfow, by usłyszeć dobrą wróżbę, niechciała zrazu od Persów przekupiona kapłanka sięść na wróżebnym trójnogu i póty się opierała woli królewskiej, póki Aleksander miecza niewydobył i nieprzyłożył go jej do piersi; wtedy w trwodze siadła kapłanka wołając: „Niezwycięzonym jesteś, o, synu!” I przyjął tę wróżbę król młody, jako syn bogów, naprawdę niezwycięzony. Więc niedziw, że pierzchy przed nim Daryuszowe satrapy. Ale Daryusz nie przeląkł się nadto tej klęski, bo myślał, że teraz Aleksander przepadnie wśród stepów Azji.

Nie przepadł! Nie darmo posiadał cały rozum Arystotelesowy. Zrozumiał odrazu, że na to by zwyciężyć Persyą, trzeba najpierw posiąść morze i niedbając wcale o wnętrze Azji Mniejszej podbijał tylko nadbrzeżne grody, aż wzięwszy wszystkie opanował tęp samym i morze. By jednak zniszczyć ze wszystkim morską Persów potęgę, trzeba było zająć Syryę, a od Syrii dzieliły wąwozy, w których się usadowiło Persów wojsko nieprzeliczone. Ale niewstrzymały wąwozy Aleksandra, nie powstrzymały go tłumy. Do boga ze wszystkim podobny, spał konie i leciał cwałem z podniesioną włócznią między barbarzyńce, wprost na wóz Daryuszowy. Ludy Azji słyszały już że to syn Boga, a gdy widziały jako gardził niebezpieczeństwem i śmiercią, uwierzyły wieści owęj; porzuciwszy tarcze, porzuciwszy broje i uciekły; król Azji sam Daryusz zeskoczył z rydwanu, dosiadł konia i uszedł zostawiając w rękę zwycięzcy i rydwan i namiot i żonę i matkę i siostrę. Po rycersku przyjął król królowe niewolnice i uczcił je; a gdy mu Daryusz pokonany ofiarował królestwa połowę a towarzysz Hefestyon radził przyjąć pokój ofiarowany, odrzekł z dumą: „I jaby tak uczynił, jak mi radzisz, gdybym był Hefestyonem.”

Odtąd uwierzyły już wszystkie ludy, że Aleksander bogiem, co się narodził, by władać światu. Po Syrii wznosiły się na cześć jego dymany ofiar, w Jerozolimie wyszli go przywitać arcykapłani i choć go

bogiem nazwać nie mogli, uwierzyli że on aniołem i radzi patrzeli na to, jak uczeń Arystotelesowy niósł całopalenia w świątyni. Tyr jeden, co stał na wyspie, nie chciał się poddać, ufny że go obroni morze; ale zdobywca przez morze wystawił groblę i ujął Tyr dłonią niezwyciężoną.

Egipt drżąc padł przed nowym panem na oblicze. Bóg Amun Rą przywitał zdobywcę, przez usta swego kapłana, zwąc go synem; a Homer stary przyśnił się bohaterowi, by mu pokazać u ujścia Nilu miejsce, kędy dobrze było gród wystawić, Aleksandryą—w której spocząć miały nieopodal od piramid królewskie zwłoki—Aleksandryą, w której siadł Grek nieprzeliczony, by panować nad żyznym Egiptem.

Wtedyto król wiedział jeszcze co podobieństwem, a co szalone. Rzeźbiarz jakiś wniósł, by z góry Atos uczyniono posąg Aleksandra, coby w ręku trzymał miasto i Aleksander wyśmiał rzeźbiarza podchlebcę; a wyśmiawszy go zwrócił się dalej na Wschód podbijać świat. Raz jeszcze pod Gaugamelą, przed Babilonem zaszedł mu drogę Daryusz z tłumami, ale tłumy, jak zawsze, pierzchły przed obliczem Aleksandrowém, wszystkie skarbcze Azji dostały się w ręce zwycięzcy, wszystkie ludy padły przed nim na oblicze i Aleksander sam uwierzył, że bogiem chyba.

I teraz czynił jak stare bohaterzy Homerowe to, co mu przez myśl przeszło; każdej namiętności usłuchał; przy biesiadzie zabił w uniesieniu przyjaciela swego Klitosa a potem żałując zabijał na jego pogrzebie niewolników i dźwigał stos wysoki jak góra. A potem w ślad za Dyonizosem puszczał się wpływ przez Indus, zabijał niewidziane dotąd słonie; drapał się na urwiska Himalai i wydał się Persom Husztasphem drugim, Kajumaratem synem kwiatu, co wrócił na ziemię by wskrzesić chwałę Iranu, Indusom wcieleniem boga Wisznu co się niegdyś za Dewan Jugi stawał człowiekiem i teraz niespodzianie odrodził się na nowo, a Grekom Dyonizosem naprawdę. Jako Dyonyzoz wracał z Indyi wieńcząc głowę paprocią i winogradem i wiodąc tańeczne chóry przez pustynię i we wszystkiém szczęśliwy umarł nim oszalał wietkością własną przemożony i nim zaznał klęski. Umarł młodzieniec jak bóg piękny i jak boga zmarłego oplakiwały narody.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

RZUT OKA  
na piśmiennictwo w Ameryce południowej.

(WEDŁUG ŹRÓDEŁ HISZPAŃSKICH \*).

PRZEZ

A. G.

Józef Joachim Olmedo

(ur. 1784 † 1847).

Dwa świetne zwycięstwa, odniesione nad Hiszpanami przez wojska kolumbijskie w Peru, zapewniły ostatecznie niezawisłość tej krainy: jedno pod Junin w sierpniu 1824 r., pod dowództwem Boliwara, drugie w grudniu tegoż roku pod wodzą generała Suere, mianowanego wielkim marszałkiem Ayacucho, od miejsca, gdzie się odbyła pamiętna bitwa.

Wielkie te w dziejach Ameryki dwa wypadki, obrał sobie peruwiański poeta Olmedo za treść do epiczno-lirycznego utworu pod tytułem: *Zwycięztwo pod Junin, pieśń do Boliwara*, a przekazując najdalej potomności pamięć tych wypadków, zarazem swoje unieśmiertnił imię. Cały nastrój tej pieśni odpowiada wielkości opiewanych faktów i doniosłości ich następstw. Uderza w niej obok piękności formy i wiersza potęga obrazów, plastyczne ich wystawienie, siła, życie, trafność kontrastów, charakterystyka celniejszych postaci działających w tej wielkiej sprawie. Nawet trudność wstawienia dwu obrazów w jedne ramy przełamał zwycięzko poeta przymieszaniami do rzeczywistości fantastycznego żywiołu; chodziło bowiem o zobrazowanie dwu faktów łącznych ze sobą skutkami, a oddzielonych dosyć długim odstępem w czasie.

Z łoskotem burzy rozpoczyna swój poemat, z całym żarem południowej wyobraźni przedmiot ogarnia, a potem świetnymi rzutami pędzla maluje postać bohatera, któremu cześć współziomków nadała przydomek *Oswobodziciela* <sup>1)</sup>. Któż jest ten, co ze wzgórza przed bitwą orlim wzrokiem opatruje miejscowość, liczy hufce nieprzyjaciół i naprzód ich zwycięża? I już go widać, jak zbiega do boju. „Straszna otacza go

\*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za luty r. b.

<sup>1)</sup> Simon Bolivar: *El Libertador*.

chmura burzami brzemienna, w stali jego miecza odbija się blask chwasty, głos jego jak piorun, wzrok jak błyskawica. Któżto, co gdy już bój zawrzał, radosny jak zwiastun zwycięstwa, nagli ognistego rumaka i bez wytchnienia wszędzie dociera? Któż on, jeżeli nie syn Kolumbii i Marsa?...

Teraz widzimy prawdziwie Homerowskie boje. Starły się z sobą dwa wrogie zastępy: szczeka oręż, kule świszczą, huk bębnow i trąb dźwięki podniecają zapał walczących, krew leje się potokami... „wszystko oznajmia, iż godzina pomsty nadeszła dla amerykańskiego ludu, upokorzenie dla kastylskiego.” A ileż tam nadzwyczajnego męstwa dowodów, ile szczytnych poświęceń! jak świetnie jaśnieją imiona najznakomitszych wojowników z Kolumbii, Buenos-Ayres i Peru! „Lecz gdziekolwiek błysnie Boliwara oręż, gwiazdy gasną wobec słońca.” On najpierwsze przebiega szeregi, głos jego słyhać, jego miecz błyszczy tam gdzie bój najsroższy, gdzie najgroźniejsze niebezpieczeństwo.

Nareszcie noc nadchodzi i „pod jej gęstą oponę kryją się pokonani.” Trąba obwieszcza zwycięstwo, tysiące smolnych zapłonęło stosów nocne rozświecając cienie, wojownicy podnoszą hymn zwycięstwa i pokoju... „Zwycięstwo Kolumbii! chwała Boliwarowi!”

„Chwała ale nie spoczynek,” odpowiada nagle głos jakby z niebieskich stropów... ziemia drgnęła, szczyty Andów ogniami błysnęły, czarna nocy opona staje się przejrzystą, rozdziera się, różowy blask rozlewa się po górnych eterach i „szlachetna postać, z pogodnym obliczem, w majestatycznej powadze, wśród czystych zjawia się obłoków. Z lewego ramienia spływa płaszcz mglisty, a w prawicy dzierży berło. Wzrok jego poważny ale nie groźny, u stóp jego obłoczki tworzą łuk, kołczan, strzały, tarcz i wspaniały pióropusz; wokół skroni gwiazdy roztoczyły aureolę, a z pomiędzy nich zwiesza się kołpak cesarski”... To słońca potomek, Huaina Capac, ostatni z peruwiańskich Inkasów.

Dawszy się poznać wojownikom, oznajmia, iż czas pokoju jeszcze nie przyszedł; niech będą gotowi do nowej walki, która ich losy ostatecznie ma rozstrzygnąć. On ma widzenie tej przyszłej chwili i opowiada o niej z wszelkimi szczegółami; widzi i opisuje miejsce wielkiej pod Ayacucho bitwy, dostrzega każdy ruch nieprzyjaciela, wymienia wszystkich dzielnych synów ojczyzny, którzy się w tej potrzebie szczególnie odznaczają, a między innymi „najwaleczniejszego z walecznych,” dwudziestosześcioletniego generała Cordowa, który zakomenderowawszy: „broń do woli, naprzód, krokiem zwycięzców!” torował sobie drogę bagnetem, siał pokosy z ciał nieprzyjaciół, obalając jeden batalion po drugim, wziął w niewolę generała La Serua, a na usługach kraju młode lata tak zaszczytnie strawiwszy, padł później ofiarą wojen domowych.

Bitwa wygrana, więc już niema nieprzyjaciół. Zwycięzca i zwyciężony pod jednym namiotem chlebem się dzielą. Zaciekły gniew przemienia się w miłą uprzejmość. Zwyciężeni proszą o pokój, zwycięzcy chętnie nań przystają, „bo serce amerykańskie, kiedy mu kraj

i honor w dłoń oręż podadzą, pała gorącą zemstą, lecz skoro zwycięży, przebacza.

Niechaj nikt nie sądzi iżby to było poetyczne upiększenie rzeczy, jestto fakt historyczny. W całym Peru znajdowało się podówczas piętnastu hiszpańskich generałów i szczególnym trafem wszyscy znaleźli się razem pod Ayacucho, jakby dla tém większego uświetnienia tryumfu Amerykanów, gdyż wszyscy poddali się całym obozem. A wtenczas zażądali kapitulacyi i wtenczas zwycięzcy na nią przystali, kiedy już główna armia hiszpańska była ze szczerem rozbita i nie pozostawiała do pokonania nic oprócz nader słabych sił odwodowych. Wszyscy wraz z całym swoim mieniem powrócili do Hiszpanii. Zaiste rys to charakterystyczny w dziejach narodu.

Następnie Inkas winszuje wielkiemu marszałkowi Ayacucho, walecznemu Suere, który tém zwycięstwem doszedł do szczytu chwały; niestety! w kilka lat potém zasłużony ten a jeszcze tak młody bohater, został zamordowany z rozkazu jednego z największych nikczemników, wichrzyciela Obaudo. Laurami wywalczonemi pod Ayacucho, Suere powtórnie wieńczy skroń Boliwara. Do tego ostatniego mowę zwracając, Huaina-Capac zwiastuje nową erę, jaka się rozpoczyna: „Wielką osiągnąłeś chwałę, mówi doń, lecz większa jeszcze cię czeka, jeżeli lud mój, któremu tak umiałeś przewodniczyć do boju, potrafisz skłonić do osiągnięcia wolności; jeżeli téj rzadkiej a trudnej umiejętności, życia w pokoju i w swobodzie, nauczysz go swoim słowem, przykładem i silną wolą.”

Daléj opowiada Inkas o wielkich bogactwach zawartych w łonie amerykańskiej ziemi, o przyszłym rozwoju nauk i sztuk wpośród tych nowych republik. W końcu wyraża myśl wielką, szczytną, bez urzeczywistnienia której hiszpańska Ameryka nie będzie mogła spełnić posłannictwa, jakie jéj przepowiada Huaina-Capac. Jestto myśl połączenia się braterskim węzłem wszystkich narodów Nowego Świata, wszystkich ziem i krajów, które Andy łączą swoim łańcuchem. W jedności bezpieczeństwo i pokój i szczęście..

Poważny i uroczysty głos starca przerywa nagle śpiew jakiś naziemski, cudna niebiańska harmonia. To chór czystych Westalek, *Dziewie Słońca*, które otaczając Inkasa jako swojego najwyższego kapłana, w świętej radości śpiewają hymn szczytny na cześć *ojca słońca*. Dzięki mu składają za wolność zesłaną na amerykańskie lądy, błagają o opiekę i błogosławieństwo dla wszystkich krain Nowego Świata. Gdy chór ten ucichł „niebiosa mu przyklasnęły, rozjaśniając się cudownym blaskiem. I przed zdumionych wojowników wzrokiem skrył się Inkas z Westalkami za złocisty obłok.”

W dużo późniejszych czasach utworzył Olmedo drugą pieśń w podobnym rodzaju, *Na cześć generała Flores, zwycięzcy pod Minarica*. Pomimo niezaprzeczonych rozsiańskich i tutaj piękności, utwór ten mniej jest od poprzedniego sympatycznym. Tu natchnienie poety nie z tak czystego popłynęło źródła. Tam sławił on bohaterstwo walczące za

amerykańską niepodległość; tu zaś głosił tryumf jednego stronnictwa nad drugim, uwieczniał w pamięci bratobójczą walkę. Bohater zpod Junin był oswobodzicielem czterech narodów i założycielem wielkiej Rzeczypospolitej i wbrew potwarzom wyżej cenił miano obywatela aniżeli tytuł dyktatora; zwycięzca zpod Minarica dążył do osiągnięcia anizeli tytuł władzy i ambitne jego roszczenia odjęły blask wawryzynom zdobytym w epoce poprzednich walk chlubnych. Zdaje się, jak gdyby poeta sam słyszał głos jakiś w sumieniu swoim, odwodzący go od opiewania tak smutnej chwały. „Któż mię oderwie od tak straszego widowiska? woła, skrusz twoją lutnię, o muzo moja! niech raczej bratnia ta walka w wiecznej niepamięci utonie!” Co się zaś tyczy samego bohatera pieśni, dla uniewinnienia poety przyznać trzeba, iż w owej epoce, kiedy Olmedo popierał generała Flores, wówczas większość także była po jego stronie. Poeta mógł błędzić, lecz w dobrej wierze mniemał, iż tylko ten przewodnik w owoczesnych okolicznościach zdolen był przywrócić pokój w Rzeczypospolitej Ecuador i podźwignąć naród. Później wcale odmiennego musiał nabrać przekonania i widząc zagrożone swobody krajowe stanął w ich obronie, tak samo jak po upadku Floresa słowem i czynem pracował nad utrzymaniem porządku; gdyż Olmedo w całym życiu działał z przekonania i złożył dowody czystego patryotyzmu.

Urodzony w Guayaquil około 1784 roku, nauki odbierał w Limie, odznaczając się zdolnościami i pracowitością.

Kiedy w Hiszpanii poraz pierwszy zgromadziły się Kortezy, Olmedo wybrany na deputowanego ze swojej prowincyi, dał się poznać na tém zgromadzeniu, zarówno jak wielu innych Amerykanów ze swych postępowych idei. Lecz po ciężkich porażkach poniesionych przez stronnictwo liberalne na półwyspie, Olmedo wrócił w rodzinne strony i oddał się naukowi i poezyi.

W roku 1822 kongres ustawodawczy został zwołanym do Limy; Olmedo był jednym z najświetlejszych i najpożyteczniejszych jego członków.

W rok potem Bolivar przywołany na ratunek do Peru, za przybyciem otoczył się najzdolniejszymi ludźmi, w liczbie których znalazł się Olmedo i światłem swoim a prawością takie sobie zjednał zaufanie, iż niebawem został wysłanym do Londynu w charakterze agenta dyplomatycznego przy rządzie angielskim. Tam gorliwie się wywiązywał z powierzonych sobie zleceń, lecz po kilku leciech stęskniony do rodziny, postarał się o uwolnienie.

Pomimo uczuć przyjaźni i wdzięczności, jakie go wiązały z Bolivarem, nie wahał się Olmedo wypowiedzieć mu listownie z całą szczerością i stanowczością swoich zdrowych poglądów na konstytucyę Boliwara, przez niego lub z jego natchnienia napisaną; konstytucya ta była w istocie jednym z błędów, w jakie popadł wielki oswobodziciel Ameryki.

Wielka rzeczpospolita kolumbijska przestała istnieć w tym samym czasie, kiedy jęj założyciel kończył na pobrzeżach Atlantyku ży-

cie zatrute niewdzięcznością współziomków. Utworzyły się z niej trzy nowe państwa, a w jednym z nich to jest w Ecuador wice-prezydentem został mianowany Olmedo. Ale niebawem zrzekł się tej godności, wolał służyć własnemu krajowi, przyjmując urząd prefekta w departamencie Guayaquil, na której to posadzie ważne oddał usługi i zyskał sobie powszechną miłość i szacunek. Lecz kiedy w Ecuador generał Flores przez nowo nadaną konstytucją zniósł wszelkie swobody i ściągnął na siebie słuszne oskarżenie o chęć wprowadzania na swoją korzyść samowładzy, oburzony lud powstał i wypędził z kraju generała; wtedy utworzył się rząd tymczasowy, do którego powołany Olmedo, jeszcze raz dał dowody swoich rzadkich zalet charakteru i rozumu.

Spełniwszy na ziemi swoje zadanie, jako dobry syn, ojciec i obywatel, nadto wzbogaciwszy piśmiennictwo swego kraju, Olmedo przeniósł się do wieczności w 1847 roku.

Oprócz powyżej wymienionych dwu większych utworów zostawił znakomite przekłady z Horacego, z Popego i mnóstwo ulotnych poezji rozrzuconych po różnych czasopismach amerykańskich. Z tych najwięcej znane są: *Alokucye wygłoszone przy otwarciu nowego teatru w Guayaquil 1840 roku*, *Alfabet moralny dla dziecka*, który każde dziecko powinno umieć na pamięć; *Indyjska piosenka*, wdzięczna uczuciem i kolorytem, a w ostatku *Mój portret*, odpowiedź wierszem na list ukochanej siostry, utwór humorystyczny, pełny lekkiego dowcipu i swobody.

### Józef Marya Heredia

(ur. 1803 † 1839 r.).

Kiedy ląd cały Ameryki południowej wymknął się z wszechwładnej nad nim przez wieków tyle iberyjskiej dłoni, małe tylko lądu tego skrawki po morzu rozsypane, pozostały jeszcze w mocy metropolii: na jak długo? przyszłość może niedaleka to pokaże. Główna przedstawicielka owych ostatnich posiadłości hiszpańskich, wyspa Kuba, dziś właśnie przebywa peryod takich samych walk zaciętych, jakie przed laty kilkadziesiątu zapewniły niezależność pobratyńczym narodom. Lecz nie od dzisiaj dochodzą do niej promienie nowej jutrzeńki, jaka nad ludami Ameryki zabłysła. Rozbudzenie umysłowe wśród kubańskich kreolów spostrzegać się daje równocześnie z objawami podobnego ruchu na południowym kontynencie. A zwłaszcza też poezya i tu jasnym wytrysła strumieniem, który wzbogacił przyczynkiem swoim obfite zdroje hiszpańsko-amerykańskiej literatury, szerokiemi płynące korytem.

Krytyka obu światów zalicza do koryfeuszów amerykańskiej pieśni Józefa Maryę Heredia, syna Antyl hiszpańskich.

Ostatniego dnia 1803 r., w mieście Sant Jago na wyspie Kubie, przyszło na świat dziecię chorowite, ułomne, nawpół sparaliżowane.



Atoli potęga ducha odniosła górę nad słabością wątłego ciała. Józef Marya Heredia zdumiewał nauczycieli przedwcześnie rozwijającymi się zdolnościami; współuczniów zaś swoich serca zjednywał sobie słodyczą i łatwością w obcowaniu, tudzież wysoką prawością charakteru. Nauki odbywał po większej części w Caracas (w Venezueli), dokąd ojciec jego został przeniesiony w r. 1816 na urząd prezesa trybunału królewskiego. Żądny wiedzy umysł młodzieńca, z zapałem oddawał się nauce starożytnych języków i francuzkich myślicieli. Do poczyi od dzieciństwa gorąco objawiał zamiłowanie, a poetyckie natchnienie poczuł w sobie bardzo wczesnie. W pewnym czasopiśmie, wydawanem w Hawanie, ukazał się utwór pełen uczucia i głębszej myśli pod tytułem: *Wczoraj i dziś*, wyszedł on zpod pióra trzynastoletniego poety. Przebywając w nowej rzeczypospolitej Venezueli, tameczną atmosferą owiany, świadek naoczny bieżących wypadków, marzył o tém tylko, ażeby czasem mógł się stać amerykańskim Tyrteuszem. Tam napisał *Ode do Greków* w 1821 r.

Po ukończeniu kursów literacko-filozoficznych, przeszedł następnie na wydział prawny. Za powrotem do Kuby, dwudziestoletni za ledwie Heredia otrzymał już adwokacki dyplom w Puerto-Principe.

Lecz niestety! w samym początku karyera jego została zwichniętą. Ujrzał się oskarżonym, prześladowanym i wkrótce padł nań wyrok wiecznego wygnania. Straszny to był cios dla tego, co całą duszy potęgą kochał rodzinną ziemię, a którego wątłe zdrowie potrzebowało koniecznie słonecznego klimatu i troskliwych starań czułej matki.

Lecz zmiana ta nadała inny kierunek jego poetyckiej twórczości. W poprzednich wierszach jego widać najczęściej smutek, ból, znękanie, ogólne niepowodzenie i zamieszki krajowe, osobiste cierpienie; zda się, że i jakiś bolesny zawód w serdecznych uczuciach, posępną barwę rozlały na utworach jego muzy. Za przybyciem do Nowego Yorku, gdy stąpił na wolną i spokojną ziemię Ameryki Północnej, w uniarkowańszą pod każdym względem atmosferę, wpośród ludności muięj do gwałtownych porywów pochopnej, wnet poczuł ukojenie miotających sercem jego bólów. Cuda wspaniałej a groźnej przyrody, nowy hart, dały jego duchowi nowy nastrój uczuciom.

Tam ujrzał olbrzymi wodospad Niagary. Na widok téj, jakby żywej piramidy, otoczonej podówczas wieńcem czarnych borów, ogarnia go szczytny „natchnienia płomień.”

....„Dawno już na mojem nie zabłysnął czole: jedynie wspaniała groza twa, o Niagaro! mogła mi wrócić ten święty dar niebios, który okrutna boleści ręka w gniewie mi wydarła.

„Olbrzymi potoku, ucisz twój grzmot straszny, na jedną chwilę otaczające cię rozprosz tumany, niech w jasne oblicze twoje wzrok wpatrzę i duszę płomiennym napoję zachwytem.

„Jam godzinę oglądać ciebie: tém wszystkiem co powszednie i poziome gardząc, jam zawsze wdychał tylko do tego, co wielkie, wspaniałe a groźne. W wściekłych zapędach rozszalały uragan, gro-

my bijące mi nad głową, rozkosznym przejmowały mię dreszczem; lubowałem się w niebezpieczeństwie, gdy gniewne oceanu fale burzą chłostane, uderzały w moją nawę, a pod memi stópami kipiące otchłania czarną roztwierały paszczę.

„Lecz morza rozdąsanego szwały tak głęboko nieporuszały mój duszy, jak straszliwa wielkość twoja.

„Ty zrazu w tak majestatycznym płyniesz spokoju, aż nagle o twarde rozbiwszy się opoki, gwałtownym porwany pędem, rzucasz się naoslep, niby nieubłagane losów przeznaczenie.

„Jakiż wyraz ludzkiej mowy opisać zdoła tę strasznie ryczącą postać?

„Mąci się myśl splątana, gdy na te wartkie spoglądam nurty, gdy wzrok zamglony sili się napróżno gonić za niemi po ciemnych krawędziach olbrzymiej przepaści: bałwany bez liku nikną chyżo, jak natłok myśli, potracając się nawzajem, srogim wrą gniewem, a w pogoń za niemi tysiące innych pędzi i jedne po drugich nikną wśród huku i piany.

„Straszna je bezdeń pochłania, a nad nią tysiączne krzyżują się tęcze, a odwieczna puszcza głucho odtwarza huk przerażający. Na ostrych głazach rozpryskuje się woda, mglisty obłok bucha, wirując otchłani napełnia, leci do góry, zatacza się kręgiem i w etery się wznosi jasną piramidą, aż ponad szczyty gór okolicznych, grozą przejmując samotnego myśliwca...”

Woryginale obraz ten nadzwyczaj świetnie występuje. Lecz tęskne oko wygnańca jeszcze tu czegoś szuka napróżno. Brakuje mu widoku tych palm rozkosznych, co w słonecznych krainach, z rozwianym włosiem, kołyszają się tak wdzięcznie pod szafirowym niebem.

...„Precz z tym wspomnieniem!... Tobie Niagaro nie nie brakuje; dzika sosna cię wieńczy, a groźnemu majestatowi twemu inna nie przystoi korona. Palma, mirt i wonna róża, miękka pieczęcią rozkoszą i w gnuśną wprawiają beczynność; tobie los wyższe dał przeznaczenie: dusza swobodna, szlachetna, silna, gdy przyjdzie, ujrzy cię, stanie w zdumieniu, wzgardzi marną rozkoszą i czuje jak sama olbrzymieje.”

Potęga i ogrom materji nie pochłoneły poety w uczuciu podziwu dla siebie: owszem, nadzwyczajny ten widok podnosi ducha jego do Stwórcy tak olbrzymich cudów.

„Wszchemogący Boże! widziałem ja w innych krajach rzekomych mędrców, co śmiały tajemnice Twoje badać, znieważać Cię i biedną ludzką wtrącać w ciemną bezbożności otchłani. I to mię pobudziło do szukania Ciebie wśród majestatu głuchej pustyni, tutaj przed Tobą dusza otwiera się cała, tu czuję rękę Twoją w otaczających mię ogromach; tu serce moje głos Twój słyszy w wiekuistym grzmocie rozchukanój fali.

„Cudowny potoku! jakże mię przeraża i zdumiewa twój widok! Gdzie kolébka twoja? Któż przez wieków tyle niewyczerpane twoje zasycza źródło? Jakaż dłoń potężna poskramia ocean, iż przyplwem

wód swoich wezbrany, nie wystąpi z brzegów i lądu nie zaleje powodzią?"

Na to pytanie, jakby wieszcz natchnienie odpowiada mu:

„Wszchemocną prawicę swoją wyciągnął Pan, kłębiącym się tu-manem przystonił ci oblicze, głos swój dał rozszalałym twym wodom i groźne twoje czoło przyozdobił swoim łukiem. A ty, ślepy, głęboki, niezmordowany, pędzisz jak ciemny wieków potok, w niezgruntowaną toń wieczności...”

Odnaczają się również wspaniałym wierszem, gorącym uniesieniem i dzielną siłą wszystkie jego utwory, natchnione widokiem wielkich zjawisk natury: *Hymn do słońca na oceanie*, *Do tęczy*, *Kometa*, *Wśród burzy* i t. d.; duch mężki, choć w tak niedołężnym ciebie, harde stawia czoło ślepym potęgom, a spośród nich pieśnią wyrrywając się w niebiosy, sercem korzy się przed Panem wszech rzeczy.

Mimo to wszystko, biedny wygnaniec biegł zawsze myślą pod oczyste błękity; tam wrócić, to były jego sny złote, najwyższe dobro, szczyt szczęścia. Na tej obcej ziemi, gdzie wszakże pozyskał dla się tyle uznania i sławy, usychał z tęsknoty, przyrównywał siebie de egzotycznej rośliny, co pod szkłem, w sztucznym cieple utrzymywana, wydaje kwiat lecz bez owocu i przedwczesnie obumiera.

„Stęsknione oczy moje patrzą w stronę Kuby i na samą tylko jej imienia wzmiankę, gorzkimi zachodzą łzami. Kiedy w nocną dobę, wichur przeraźliwie wyje, wtóruje mu smutny jęk pieśni wygnańca, a gdy podczas skwarnej ciszy ocean snem ujęty milczy, wtenczas ja słuch wyteżam, czy mi powiew zdala nie przynosi szmeru strumieni i palm z mojej Kuby...”

Wybrał się wreszcie do Meksyku; tam osiadł, ożenił się w 1827 roku i otrzymał zaszczytne stanowisko w urzędowaniu publicznym. Przez trzy lata redagował tam literackie czasopismo p. t.: *La Miscelanea* i oprócz tego wydawał różne broszurki literackiej treści.

Tu już odetchnął rodzinnym powietrzem, oblały go znowuż słoneczne blaski, słyszał wkoło siebie ojców swoich mowę. Wkrótce poetycka jego sława rozeszła się szeroko po całym obszarze hiszpańsko-amerykańskich republik. Najznakomitsi krytycy wysoko podnoszą pomiędzy innymi utworami Heredii, jego *Opisowe fragmenta z meksykańskiego poematu*. Lecz gorącego patriotę przerażał widok burz okropnych, które zakłóciły byt nowych narodów. Wniosła dusza jego kochająca swobodę, niemniej miłuje sprawiedliwość i umiarkowanie, to właśnie na czem zbywało meksykańskim rewolucyom, które poeta napotykał i przeklinał. Napotykał wiersze jego przyzywające Syllę i błogosławiące tej krwawej kurateli. Wyobraźnia zbyt rzadko umie zachować miarę, czyto w ufności, czy w przerażeniu: raz sobie zbyt wiele wróży w wolności, to znowu jęć się lęka zanadto i wtedy woła o dyktaturę, chociaż ta bywa często bardzo źródłem takichże samych burzliwych przewrotów, tylko że pod inną nazwą.

Niemniej także bolał Heredia nad smutnym położeniem Kuby, nie tylko nie wyzwolonej z pod hiszpańskiego berła, lecz pozbawionej wszelkiej swobody. Dręczony tęsknotą, zdołał wreszcie przez różne stosunki wyjednać sobie u władz kubańskich pozwolenie na chwilowy powrót dla zobaczenia się z ukochaną matką, zobowiązując się zaraz znów się oddalić na dożywotne wygnanie. Zdaje się, jakby do tego kroku skłaniało go przeczucie blizkiego zgonu. Choć jeszcze młody, lecz chorowity od urodzenia, złamany nieszczęściami i cierpieniem wszelkiego rodzaju, opuściwszy bezpowrotnie rodzinną ziemię, zakończył życie w Meksyku 1839 r.

Jak daleko sięga hiszpańska mowa, od Meksyku do Kadyksu, rozbrzmiała się sława kubańskiego liryka, tej „gwiazdy zgasłej w młodocianym blasku,” jak się wyraża wdzięczna Tula, współrodaczka jego i siostra po lutni. Tak w Ameryce jak w Hiszpanii, najzdolniejsze pióra występowały z wysokimi pochwałami jego poezji, które ukazały się w kilku wydaniach: w Nowym Yorku, w Meksyku, a ostatnia z roku 1852 w Madrycie.

### Esteban Echeverria.

(ur. 1809 † 1851 r.).

Przedwcześnie rozbudzone zdolności i talenta nie są bynajmniej rzadkim fenomenem w tej uprzywilejowanej od natury strefie. Nie należał więc do wyjątków młody Echeverria, gdy już w dwudziestym roku życia wydał swoje poezje. Lecz wyjątkowy traf chciał, aby w tym pierwszym okresie swego poetyckiego zawodu, młodzieniec odbył podróż do Europy. Była to właśnie wówczas złota romantyki epoka. Szał za-wracał głowy podlotkom parnasu i Echeverria z powrotem do rodzinnego kraju przywiózł z sobą doktryny owiej rzekomej szkoły, która sobie obrała za źródło natchnień i za podstawę: burzliwą namiętność, sceptycyzm, przesadę i *spleen*. Tęto cechy napiętnowały pierwszy jego znaczniejszy poemat: *Elwira czyli narzeczona z La Platy*. Aczkolwiek poeta lubował się wielce w tym swoim dziele, wszakże sami przyjaciele twórcy nieraczyli mu przyklasnąć.

Jednakże Echeverria nie zniechęcił się tym ogólnym nieuznaniem. I owszem: oddał się pracy usilnej, uprawiał smak czytaniem dobrych autorów, studyował naturę, a zaprzestając przyswajania sobie cudzych wrażeń, pojęć obcego społeczeństwa, wyrabiał w sobie samodzielność talentu i obmyślał utwory, które nosić będą cechę oryginalną, rodzimą, barwę narodową.

Nie odrazu atoli zdołał się otrząść z wpływów Bajronizmu. Świadczy o tym tomik poezji ulotnych, wydany w r. 1834, p. t.: *Pocięchy*. Właściwiej przystałby nadpis: *Rozpaoze* tym łzawym płodom melancholii, raczej sztucznej aniżeli rzeczywistej.

Cóżkolwiekby, publikacya ta okazała, iż Echeverria umie pisać wiersze, którym nie brak wdzięku i harmonii, że ma prawo zwać się poetą. Po tej próbie można było niepłonne spodziewać się rozwoju jego talentu w coraz lepszym kierunku.

Szczęśliwa ta wróżba ziściła się, kiedy niebawem Echeverria wydał utwór większych rozmiarów, pod tytułem: *Branka*. Jestto poematik nawskroś amerykański. W nim śpiewak argentyński opisał przyrodę ogromnej i uroczystej Pampy, tę kolebkę dzikiej swobody, główną barbarzyństwa ostoję; odmalował charakter jej mieszkańców, energiczny i dumny, okrutny i krwi chciwy; a z obrazem tym pełnym grozy zręcznie zestawił rysy szczytnego poświęcenia miłości bez granic:

Dzicy Indianie napadli z nienacka na chrześcijańską osadę, spalili ją, wyrznęli mieszkańców i z bogatym wracają łupem. Pomiędzy jeńcami znajduje się naczelnik złupionego miasta. Po długim a szybkim pochodzie, zwycięzcy rozpinają namioty, dziką wyprawiają orgią, aż pod wpływem upajających trunków upadają snem zmorzeni.

Wtenczas jakby cień zpośrodku zmarłych podnosi się postać niewieścia. W oku jej obłęd, w sercu szak: o! bo w niem boleść szaleje wielka! Jej stary ojciec, matka, jej drobna dziecina padły pod morderczemi ciosami dzikich. Rozpacz i zemsta uzbroiły dłoń kobiecą; gdzie tylko stopa jej potrafi o śpiącego Indyanina, ręka zatapia nóż w piersi mordercy. Dotarła wreszcie do miejsca gdzie porzucono skrepowanego jeńca: to wódz chrześcian, jej małżonek. Rozrywa jego więzy, nakłania go do ucieczki, swoją odwagą obudza w nim mężstwo.

W godzinę później, byliby jeńcy oswobodzeni, gdyż zastęp chrześcijańskich jeźdźców napadł na obóz dzikich, i z łatwością nieopatrznych pokonał. Lecz Marya i Brian już są daleko wśród ogromnych obszarów Pampy. Brian był rannym. Upływ krwi odbiera mu siły. Aż oto na domiar niedoli powstaje pożar, wysokie trawy palą się jak słoma: wypadek to trafiający się zbyt często na stepach. Marya w miłości czerpie siłę; na ramionach unosi małżonka. Strumień przerywa jej drogę, w pław go przebywa i na drugim brzegu sądzi się już bezpieczną.

Ale dla Briana niema już ratunku. Opanowała go silna gorączka: ranny wpada w malignę i kona. Nieszczęsna Marya odchodzi od przytomności, jak szalona pędzi po stepie.

Znużona wysileniem, boleścią wyczerpana, spotyka wreszcie oddział wojska, wysłany na wyszukanie wodza i jego małżonki. W jej wyobraźni tłoczy się taki nawał scen okropniejszych jedna nad drugą, mącą się z sobą... a góruje nad niemi ostatnie wrażenie śmierci ukochanego męża, i zaciera poprzednie obrazy w chwili, gdy ujrzała jego żołnierzy; i w zamęcie myśli pyta: „Gdzie syn mój?”—„Zabili go Indianie!”

Ta odpowiedź tak nagła powraca jej umysł do rzeczywistości: od razu myślą ogarnęła cały szereg scen strasznych, cały ogrom strat i boleści... w mózg jej grom uderzył, serce pękło z rozpacz, ciało upada bez życia...

Wątek opowieści zupełnie prosty, bez żadnych zajmujących epizodów, lecz treść sama dramatyczna, a opowiadanie silnie wzruszające.

W kilku pięknych pieśniach Echeverria sławił czyny bohaterskie współziomków walczących w latach 1839—1840 przeciw dyktaturze Rosasa. Ściągnawszy tём na siebie gniew i zemstę przesładowcy, musiał schronić się do Montewideo, i tam przeżył resztę dni swoich.

Do późniejszych jego utworów należy niedługi poemacik pod tytułem: *Gitara*. Chociaż z wielu względów podpada krytyce, zawiera on jednakże znakomite piękności poetyczne:

W letni wieczór, przy pełnym blasku księżyca, przechadzał się Ramiro pogrążony w marzeniach; gdy nagle smętne gitary dźwięki zbudziły go z zadumy: pieśń rzewna, tęskna, jakby skarga duszy sierocęj obita się o słuch marzyciela, a echo jój odtętniło aż w głębi jego serca.

Niedługo potem w jakimś salonie, wśród liczego pań zebrania, usłyszał tenże sam głos, i poznał czarodziejkę, co go już była urzekła swym śpiewem, a teraz go nieporównaną pięknoscią olśniła.

Wśród uroczych cór Argentyny odznaczała się wdziękami ośmnastoletnia Celia. Na jój obliczu dziecięca maluje się niewinność, a dlaczegoż chwilami przebiega po niém jakaś ciemna chmurka? na anielskim jój uśmiechu osiadł niewystłowny wyraz rezygnacyi, jakby z przebolejącej płynął duszy. A przecież Celia powinna być szczęśliwą: świat jój nie poskąpił darów, wszystko się jój uśmiecha. Zkądże w jój czarném oku ten cień smutku i żałości? ten żar bólu?... Dusza jój była do kochania stworzona, a ideał, który śniła nie zbiegł do jój ziemskiego żywota. Piętnastą liczyła wiosnę, kiedy wola rodziców oddała jój rękę temu, który jój serca nie posiadał. Biędne dziecko nie rozumiało wówczas siebie: przejrzało z laty, lecz już zapóźno!... Małżonek jój ponury, gwałtowny, nie wzbudzał w niój ani sympatyi ani zaufania. Przyszłość jój się przedstawiała bezbarwna, bez uczucia, bez życia. A tu w około uić wszystko żyje miłością, szczęściem! Jój tylko serce na wieczną skazane samotność. Muzyka jedyną towarzyszką jój tęsknych godzin; w jój dźwięki przelewa wszystką duszy żałobę.

Wtём poznała Ramira, i w oku jego wyczytała wyraz uwielbienia, miłości... Celia była żoną i miała głębokie poczucie swoich obowiązków. Lecz sercu rozkazać nie potrafiła. Przez sen wymówione imię ukochanego obudza zazdrość męża. Gwałtowną miotany namiętnością, nieraz w szale gotów śmiertelny cios zadać niewiernój: rozbraja go zawsze jój słodycz, jój łagodny smutek. Ucieka od niój z rozpaczą.

Ramiro w końcu odkrywa przed nią ogrom swojego uczucia, gorąco błaga o jedno słowko nadziei. Celia przypomina mu swoje obowiązki żony, nalega by się oddalił i nie narażał czci jój imienia. Jednakże opuszczona od małżonka, chociaż niewinna, nie uniknęła potwarzy. Smutna, znękana, usunęła się w nieznana ustron i wiednie w samotności.

Ramiro wygnany z raj, błądzi po świecie jak potępieniec. Pewnego wieczora snuł się bez celu po ustronnych uli cach miasta, gdy w dali

usłyszał dźwięki gitary, a potem śpiew znajomy swemu sercu. Staje, słucha... a z boku ktoś go szpieguje; jakiś mężczyzna przypada, obsypuje go obelgami; wszczyną się bójka: Ramiro dwukrotnie raniony rzuca się na napastnika i sztylet zatapia mu w piersi. Ofiarą tą był mąż Celii.

Wtenczas Ramiro dostaje się do mieszkania z kąd wychodziły lu-be dźwięki. W pokoju siedziała kobieta w bieli, blada, posępna. Na widok wchodzącego błysnęły radością jej oczy, uśmiech miłosny wybiegł na usta, zerwała się ku niemu... i wnet cofa się ze zgrozą: „Tyś krwią splamiony, Ramiro—krzyknęła,—to krew zbrodni!“ Ramiro wypada jak szalony z pokoju.

Nazajutrz wsiada na okręt odpływający do Europy. Dręczony wyrzutem sumienia, trawiony namiętnością, zbrzydził sobie życie: postanawia koniec mu położyć.

Lecz wkrótce duch jego podźwignął się z upadku. „Nie—mówi—to nikczemne tchórzostwo! tylko poziome dusze pochylają czoło pod pociskami losu. Walczmy, skoro po to przyszliśmy na świat, skoro życie jest wiecznym i ciężkim bojowaniem.“

Poświęcił się naukom, nabył obszernej wiedzy, i wraca na rodziną ziemię, przyносяc serce odarte z nadziei, lecz duszę bogatą w uczucia wzniosłe, w wielkie myśli. Ciężką winę młodości okupi życiem ofiar i poświęceń.

Tu poeta kończy. Nie opowiada, w jaki sposób bohater jego dokonał swoich postanowień. Nie mówi może dlatego, że i pocie nie daném było służyć, jakby chciał, czynem gwoli dobru swojej ojczyzny. Echeverria skończył życie na wygnaniu zdala od rodziny i domowego ogniska. I skończył je zbyt wczesnie, gdyż dożywszy zaledwie 42 lat wieku, umarł w Montewideo r. 1851. Nie daném mu było dożyć upadku tyrańca Argentyny, który w następnym zaraz roku pokonany, ostatecznie poszedł z kolei na wygnanie i włókł w Europie, w Southampton, nędzny żywot, lecz może wolny od zgrzytów sumienia, bo mu szła zmysły obłąkał<sup>1)</sup>.

### Ludwik Dominguez.

Ludwik L. Dominguez. Podobnie jak prawie wszyscy zacni i światli obywatele Buenos-Ayres zmuszonym był schronić się do Montewideo. Zajął się tam niebawem redagowaniem dziennika *El Correo*, w którym podnosił ważne kwestye polityczne i ekonomiczne. Następnie przystąpił do przedsięwzięcia handlowych i w tej materii również pisywał w inném czasopiśmie. Tak w Montewideo, jak później za powrotem do rodzinnego miasta piastował wysokie urzędy. W roku 1864 był mi-

<sup>1)</sup> Manuel Rozas dyktator argentyński zmarł w r. 1878, w Southampton w Anglii, w wieku 84 lat.

nistrem skarbu prowincyi Buenos Ayres. I tutaj również był od lat kilku głównym redaktorem dziennika wielkich zalet: *El Orden*.

Ani obowiązki urzędu, ani spraw handlowych nie ostudziły w nim gorącego zamiłowania do nauki i piśmiennictwa. Dzieła jego pióra, wielce pochlebne dla ich autora wywoływały krytykę.

Z pomiędzy wielu pism jego, zalecających się znakomitą wartością, wymienimy *Historiją argentyńską*, której dotąd tylko tom pierwszy poznała publiczność europejska.

W tej pierwszej części autor zaczyna od historii odkryć przypadkowych, poprzedzających wyprawę Kolumba; dalej następuje opis wielkiego odkrycia i obraz epoki podboju Nowego Świata. Z kolei przechodzi czasy rządów kolonialnych, postępowanie wielkorządzców i wicekrólów. W tej części zatrzymuje się także nad sporem o granice pomiędzy Hiszpanią i Portugalią. W końcu nadchodzi epoka najazdów angielskich: i tu autor uwydatnia niezachwiane męstwo i trafne działanie ze strony synów La Platy dla wyparcia najezdników. W owym czasie była to walka pomiędzy dwiema rasami: Amerykanie walczyli dla zachowania swego języka, swojej wiary, swego obyczaju i połączyli się w usiłowaniach z europejskimi Hiszpanami celem pozbycia się nowych zdobywców. Lecz skutki tej wojny miały jeszcze inną dla przyszłości doniosłość. Przez te boje przyszli Amerykanie do świadomości własnych swych sił i odtąd zapragnęli niepodległości. Wielkie dzieło wyswobodzenia wtenczas się poczęło.

Ten pierwszy tom zachęca do poznania całości. Plan Historji nakreślony znakomicie, styl wytworny, dokładność opowiadania, obfitość faktów, staranna analiza charakterów: oto są główne zalety tej pracy, która dowodzi głębokiego zbadania źródeł historycznych.

Amerykanie chlubiąc się słusznie tak ważnem dziełem swego współrodaka, zarzucają mu wszakże stronność, a raczej przesadę patriotyzmu. Zarzut ten ściągą się mianowicie do poglądu wyrażonego w następującem orzeczeniu:

„Od dnia owego—mówi Dominguez—kiedy lud Buenos Ayres, zgromadzony na publicznym placu, zażądał usunięcia wice-króla i kiedy reprezentanci miasta zawyrokowali upadek jego władzy, odtąd zaczęła fermentować wielka rewolucya Wyswobodzenia, która wybuchła w 1810 roku. Z tego tytułu Buenos Ayres ma prawo przyznać sobie inicjatywę politycznego wyjarzmienia Ameryki południowej. Tytułu takowego zaćmić nie mogą ani zbrojne wystąpienie generała Miranda z końcem przeszłego stulecia, ani inne mniejszej lub większej wagi skazówki ruchu, jaki duch czasu obudzał w umysłach mieszkańców Nowego Świata.”

Niektórzy krytycy rodem z innych prowincyi Ameryki, protestują przeciw rzeczonemu zdaniu, opierając się na powadze kilku historyków, a zwłaszcza na znakomitej pracy: *Dzieje Rzeczypospolitej Kolumbijskiej* p. Rafaela Baralt. Dowodzą oni, iż pierwsze ruchy zmierzające ku emancypacyi amerykańskiej objawiły się w Kolumbii. Na



poparcie takowego twierdzenia znajdują nietylko fakt historyczny wyprawy generała Mirande przeciw Wenezueli r. 1806, lecz nadto inny wcześniejszy i większej doniosłości. Już w r. 1795 sławny D. Antonio Nariño, który później był prezydentem w Cundinamarca, zaczął wydawać broszury pod tytułem *Prawa człowieka* i to było pierwszym punktem wyjścia dla walki, która się rozpoczęła o kilka lat pierwiej niż w Buenos-Ayres. Z całej tój polemiki poznajemy, jak wiele wagi kraje amerykańskie przywiązują do pierwszeństwa w wypowiedzeniu hasła niepodległości południowego ludu.

Dominguez próbował swego talentu we wszelkich rodzajach poezyi lirycznej z niemałym powodzeniem. Porównywano go do słowika, którego pieśni rozlegają się po wszystkich gajach i dolinach. Jego poezye erotyczne, a zwłaszcza strofki *Kocham Cię*, równie jak poemacik *Stary Cmentarz*, odznaczają się naturalnym wdziękiem i uczuciem; opisy miejscowości i obyczajów w krainach La Platy, nakreślone po mistrzowsku a pieśni patryotyczne porywają siłą i zapałem.

Kiedy na konkursie dnia 25 maja 1841 roku odniósł zwycięstwo Gutierrez, komisya rozstrzygająca znalazła utwór Ludwika Dominguez tak mało niższym od uwieńczonego, iż mu jednogłośnie przyznała *accessit*. Oda opiewa krwawe sceny podboju i kolonialnych rządów, a dalej wielkie czyny koryfuszów wyzwolenia Argentyny, jakimi byli: Moreno, San-Martin, Balcarce, Belgrano. Zakończenie silne zapałem, dumą i gniewem, zdradza zagorzałego republikanina, któregoby trudno się domyśleć w głównym redaktorze dziennika *El Orden*, nacechowanego liberalizmem rozważnym i umiarkowanym.

Piękna poezya pod tytułem *Montevideo*, należy zarazem do patryotycznych i do opisowych. W tym ostatnim rodzaju szczególnie celuje Dominguez; lecz nigdzie talent jego, rzec można malarski, tak się nie objawił w całej pełni, jak w poemaciku *El Ombú*.

Obrazek ten wykończony w całości i w szczegółach, pełny życia, barwny kolorytem miejscowym, przenosi żywcem czytelnika na ową wspaniałą Pampe, tak mało jeszcze zbadaną, tak pełną tajemnic dla człowieka; Pampe, piastunkę dzielnej gauczów rassy, której nikt jeszcze ujarzmić nie zdołał.

Pampa, to niby pas graniczny pomiędzy cywilizowaną częścią ludności a barbarzyńską tłuszcza, kryjącą się po stepach. Tu się zarte staczają boje; tutaj dziki co mezna innego Boga jak Valiczu, idzie obwinięty w szamal i ponsz z arkanem w ręku, siejąc postrach po równinie; a przed wdzierającym się w jego dziedzinę mieszkańcem miasta ustępuje krok za krokiem, broniąc każdej piędzi ziemi.

Widzimy ten ocean zielony, ten step bezbrzeżny, na którym gubi się oko, nie mając gdzie spocząć. Po szmaragdowym kobiercu rozsiane bez liku kwiaty indziej nie znane, skromne a cudno barwą i wonią. Rzek tutaj niemasz, lecz tu i owdzie jezioro, zieloną porośle trzcina, Rzek tutaj niemasz, lecz tu i owdzie jezioro, zieloną porośle trzcina, stawy i strugi zwilżają te obszary, wodę dają rumakom, słomę do koczowisk i schronienie turkawce.

Liściastych gajów nie ujrysz, ani ptactwa leśnego: tylko stepowe ptaki, jedyni świadkowie mieszkańce Pampy, nie opuszczają go w sio-roctwie, oni znają jego serce, jego losy znają; ten mu śmierć zwiastuje, ów ostrzega o zarazie, inny z obłoków wydzwania mu godziny.

Aż oto na tej bezleśnej pustyni dostrzegam zdala pagórek, a na nim drzewo samotne, wspaniałe, wysoko w obłoki strzela, niby na skałę przybrzeżnej latarnia morska góruje nad obszarem wód zielonych: to *Ombù*, najwydatniejsza krainy tej cecha.

Któż zgadnie kiedy i ręka czyja rzuciła jego nasienie na tej pustyni bez granic! Ale pień jego sękaty, kora tak popękana, świadczą iż on już setki zim przetrwał. A korzenie swoje tak rozpuszcza poziemi, tak w nie wpił zęby; rzekłbyś iż kiedy się tak dumnie piął w górę, ktoś mu poszepnął: „miej się na baczności! albowiem *Pampe-ro* to straszny uraga!”

I postawiony sam na środku stepu, *Ombù* jest przyjacielem wszelkiego stworzenia: wszystko pod swoje konary przytula z miłością, dachem ze swych liści chroni od ulewy, od ognistych grotów styczniowego słońca.

*Ombù*, to istne muzeum Pampy. U stóp jego ma kryjówkę pełzająca jaszczurka, na głowie olbrzyma ptactwo ściele gniazdka, a w korze się roją myriady wszelkiego owadu. A kiedy jutrzienka ubarwi niebiosa topazem, rubinem i złotem, ztamtąd się podnosi ów chór poranny, który Pampa uroczysta nuci Bogu o świtanie.

*Ombù*, to świadek i powiernik całego życia na Pampie. Na ileżto scen różnych patrzył on w milczeniu! ile podsłuchanych wyrazów wiernie zataił w swych liściach! Nieraz wrzawa wojenna spokój jego przerywała: u stóp jego walczoneo za miłość i za swobodę. Na pniu jego wyczytasz zgłoski nożem wyrte: może to ku pamięci jakiego wodza, który tu pokonał Indyan; może mgztwo jego rozgłosu godne i chwały: ale tutaj jego czyny w wiecznym toną zapomnieniu...

Pod jego smętnym cieniem, w noc pogodną, nieraz jaki gauczo miłosną śpiewał dumkę, a gitara tak rzewnie serdecznym jego towarzyszyła żalom, iż *Ombù* ze swoich liści zbierał rosę i płakał...

Nieraz o jego pień oparty pan tej ziemi, przegląda pasące się swe trzody, albo popijając ulubiony mate, pod jego gęstemi konary godzi dwoje małżonków, lub jest sędzią wyścigów.

To znów u stóp jego rozpalono ogniska: rzesza je w okół obsiadła i radzi i kreśli plany, bo się wybiera polować na strusie.

A może na pamiątkę, iż tu zmarł chrześcianin, pobożna ręka krzyż wzniosła pod jego koroną.

A gdy po smutnym oddaleniu gauczo w rodzinne powraca stony, gdy na tej pustyni zdala samotnego *ombù* dostrzeże, wnet wszystkie troski puszcza w niepamięć: ten *ombù* taki uroczysty, dorodny, pod obłoki sięgający, a tak wdzięczny i udatny, to dlań przybrzeżna latarnia na szerokim oceanie...

## Rafael Marya Baralt

(ur. 1810 † 1860 r.).

Rzeczpospolita Wenezueli, która miała zaszczyt być ojczyzną Boliwara, chlubić się może nadto licznym zastępem znakomitych mężów na polu politycznym, jako też w dziedzinie nauk, sztuk i piśmiennictwa. Z Wenezueli rodem są: Paez, bohater w walkach wyswobodzenia, a następnie prezydent Rzeczypospolitej; dzielny marszałek Suere; znany i w Europie generał Miranda, tudzież znakomici pisarze: Bello, Lozano, Heribert Garcia de Quevedo, Maitin i wielu innych.

Jednym z najpowszechniej znanych, którego wziętość nie ogranicza się na obrębie ziem amerykańskich, lecz głośną się stała w najwyższych sferach literackich w Hiszpanii i uznaną przez najpierwszych krytyków francuzkich, jest Rafael Marya Baralt.

Urodzony w Macaraibo 1810 r., z dzieciństwa już okazywał wczesne zdolności i żywą wyobraźnię. Pierwsze lata przepędził z rodzicami w San Domingo, gdzie odbywał wstępne nauki pod kierunkiem wielce sławnego ks. Rojas. W r. 1826 stryj jego został mianowany senatorem w rzeczypospolitej kolumbijskiej i przenosząc się do Bogota, gdzie kongres posiedzenia swoje odbywał, zabrał z sobą synowca i umieścił go w kolegium. Zaszczyciwszy skończywszy nauki, młody Baralt przeszedł na kursa filozofii i prawa w uniwersytecie.

Rok 1830 ujrzał upadek Boliwara i koniec istnienia rzeczypospolitej kolumbijskiej, która się rozpadła na trzy państwa: Ecuador, Wenezuela i Nowa Grenada. Baralt znajdował się w owęj chwili w Macaraibo i stanął przy stronnictwie, które głosiło niezawisłość Wenezueli. Odznaczony się na polu bitwy, w roku następnym młody uczeń prawa, w miejscu adwokackiego dyplomu otrzymał oficerskie szlify. Niedługo potem dostał posadę w ministeryum wojny i marynarki.

Gdy założono w Caracas szkołę wojskową dla ogólnych wykładów matematyki z zastosowaniem do inżynierii, artylerii i służby głównego sztabu, Baralt przez kilka lat uczęszczał na kursa bez uszczerbku dla swoich zajęć w ministeryum.

W roku 1835 garstka burzliwych oficerów rzuciła się na obalenie prawnego prezydenta Rzeczypospolitej, znakomitego José Vargas. W ogóle wojskowi tumechni złém okiem patrzą na rządy cywilne; otóż główną a jedyną wadę, jaką zarzucić mogli nieskazitelnemu urzędnikowi było to, że nie nosił munduru.

W takiej okoliczności Baralt bez wahania stanął zbrojnie po stronie prawa i sprawiedliwości i odbył całą tę pamiętną kampanię, która zakończyła się szczęśliwie przywróceniem prawowitego rządu w kraju. Zarówno jak w szkole wojskowej odznaczał się zdolnością i znakomitości postęпами, jak pilnością w sprawowaniu urzędu zjednywał sobie

najzasłużeńsze pochwały, tak i w ciągu téj wyprawy pozyskał szacunek dowódców. Młody Baralt otrzymał wtedy stopień kapitana artylerji.

Obowiązki służby i prace szkolne nie przeszkadzały mu poświęcać się studjom naukowym i literackim. W r. 1841 Baralt odbył podróż do Paryża w celu ogłoszenia drukiem swojej pracy: *Dawne i nowoczesne dzieje Wenezueli*. Dzieło to niepomiernej wartości. Dawne czasy obejmują epokę od odkrycia téj krainy w XV stuleciu do r. 1797. Dzieje nowoczesne doprowadzają do 1830. W dodatku następuje szkic historyczny po rok 1837. Jako dziejopis, Baralt odznacza się stylem związłym i dobitnym, język ma poprawny, łatwy, wytworny. Zarzucają mu, zwłaszcza Nowo-Grenadyńcy—pewną stronność w sądach, tudzież brak ognia i zapału w opisie chlubnych walk o niepodległość; lecz wszystkie jego pojęcia tchną prawością, liberalizmem szczerym i szlachetnym. Widać w téj pracy głębokiego polityka i człowieka przekonanań nieklamanych.

Zaledwie Baralt powrócił do Caracas, gdy rząd wysłał go do Londynu z poufnym poleceniem. Chodziło o załatwienie trudnego sporu, tycaącego się ujść rzeki Orynoko, które Wielka Brytania była sobie przywłaszczyła. Dla wyszukania papierów odnoszących się do téj sprawy, Baralt udał się w r. 1843 do Hiszpanii. Powody osobiste skłoniły go do pozostania w tym kraju i przyjęcia w nim prawa obywatelstwa. Po dokonanej rewolucji tegoż roku otrzymał urządowanie cywilne w Sewili, lecz zrzekł się go niebawem, widząc zwrot, jaki przybierały sprawy publiczne w duchu anti-liberalnym. Osiadł zatem w Madrycie i oddał się bezpodzielnie pracom literackim.

Tu należne swoim talentom i nauce zajął stanowisko, jako publicysta, historyk i poeta. Spotkały go liczne zaszczyty. Niektóre z prac jego otrzymały nagrody na konkursach uniwersytetu Madryckiego; Akademia przyjęła go do grona swoich członków, dziennikarstwo nie szczędziło najszumniejszych pochwał dla pism zaatlantyckiego literata. Baralt był założycielem i głównym redaktorem jednego z najlepszych pism peryodycznych, jakie się ukazały na Półwyspie pod tytułem: *Wiek XIX*.

Do najważniejszych prac uczonego Amerykanina należy *Dykeyonarz galicyzmów*, wydany w Madrycie 1855 roku. Dzieło to dowodzące głębokiej znajomości języka, tudzież wielkiego odczytania w najlepszych utworach klasyków hiszpańskich, poważna krytyka gorąco zaleca do studyowania pisarzom, obowiązany strzedz język hiszpański od skażenia, jakim mu zagraża wtargnięcie mnóstwa wyrazów i nowych zwrotów zapożyczonych z francuzkiego, a całkiem niezgodnych z duchem mowy kastylskiej. Godnym jest uwagi, iż w liczbie najcenniejszych dzieł, tycaących się hiszpańskiego języka, jakie w bieżącym ukazały się stuleciu, cztery są owocem prac Amerykanów: Bello, Irisarri, Baralt i Gonzalez.

Hiszpania umieszcza także Baralta w rzędzie najpierwszych swoich liryków. Chwalono bardzo ody jego, dedykowane królowej Izabeli

II i cesarzowej francuzkiéj; lecz bez zaprzeczenia najpiękniejszą jest *Oda do Krzysztofa Kolumba*, zaszczycona nagrodą na konkursie poetyckim w Madrycie 1849 roku, przez najkompetentniejszych sędziów w Hiszpanii. A właśnie ta sama pieśń daje Ameryce prawo do protestowania przeciwko téj aneksyi ze strony dawnéj metropolii i do polizczenia Baralta pomiędzy gwiazdy swojej literatury, albowiem Amerykanin tylko może być przeniknionym uczuciami, jakieni tchnie każdy zwrót myśli do ojczystéj ziemi. Nie zapomina wszelako poeta, iż będąc rodzonym synem Nowego Świata, niemniej przeto jest potomkiem tych, którzy świat ten pierwsi do życia obudzili; pamięta o tém odzywając się do Kolumba:

„Twoja wążka karawela, z chwiejnym pomostem żagiel rozwinęła, puszcza się na fale; dokądże unosi chlubną bez skazy banderę kastylską?

„Torując sobie drogę przez burzliwe tonie mórz, nigdy nie przebywanych, czemuż ślepa i niebaczna, oddając się na wolę zdradzieckiego żywiołu, piérs swoje skłania ku stronie, kędy słońce zachodzi?

„Alboż nie widzisz, jak nieznane wiatry wojnę wypowiadają twéj nawie? Jak ptak spłoszony złowróbnym lotem, wraca na miły ląd do gniazda?

„Nie widzisz, że zbawcza igiełka, co drogę wskazuje i prowadzi do brzegu, nie w porę się odwraca od statéj w przyjaźni Północy i statek zdaje na łaskę Boga i losu?

„Nie widzisz, jak ocean piętrzy się pod równikiem, jak się gniewnie zdaje zuchwałemu sprzeciwiać przedsięwzięciu? jak wściekłość jego rośnie, jak słońce wpośród mgły się zaciemnia?

„Ach! już i dęszcz płasających iskier rozplómienia powietrze! Biada! już otchłań ryczy i grzmot huczy i drżąca nawa pęka z trzaskiem, z jękiem rychłą przeczuwając zgubę!

„Ratuj! bo oto wnet kruchy statek, z żagli ogołocony i z masztów, o pobliską uderzy skałę! Patrz na groźne czoła motłochu bez wiary i gniew jego zacięty przeciw twym zamiarom.

„Już i wrzaski jego pod niebiosy biją, coraz się wzmaga pópłoch, zajadłość i śmiertelna trwoga, w groźnéj wrzawie wołają, byś wracał do Hiszpanii, a dalekiéj zaniechał wypraw!

„Ach! biada tobie, jeśli zdradziecką porwany nadzieją, zechcesz lotem błyskawicy dosięgnąć indyjskich lądów, co gdzieś toną w zapomnieniu! Alboż nie widzisz, że przeciw tobie sprzysięgło się morze i ludzie i niebo?

„Napróżno szukasz pęty błyszczącej i japońskiego złota; ani głębin oceanu nie zbadasz nigdy wielkiéj tajemnicy...

„Śpiesznie zwróć rudel ku bezpiecznym przystaniom szczęśliwéj Hesperyi, gdzie matka opłakuje niewiadomy los żeglarza, sądząc go już może martwym trupem.

„Niech sobie zwodnicza Syrena na swojej lirze fałsz śpiewa, ty, Kolumbie, utwierdź żagiel, pędź! leć! nie za siebie patrz, a naprzód! nie składaj wiosła, nie lękaj się gniewów!

„I choć morze ryczy groźne, rozszalałe; choć się ludzie burzą i wicher wyje z rozhukaną wściekłością: ty sercem nieuleknioném i gromowym głosem przyspieszaj ruchy tych statków.

„Niechaj wiara cię prowadzi ku niesłychanemu zdumieniu ludzkości, gdy u słabój uczeption deski, po długich trudach, przy niezrównanej odwadze, Bogu przynnożysz chwały, Hiszpanią nowym obdarzysz światem.

„O! cóżto za dzień wspaniały, jasny, dzień wielkiego dzieła i największego zwycięstwa ludzkiej odwagi! dzień najwyższej chwały, dzień przestawny, wieczny w pamięci ludzkości!

„Widział on ciebie, mądry Ligurze, jak na spiekłym piasku, łzami zalany, głosem miłości i uwielbienia śpiewałeś Dawida hymnu święty!

„Jak Chrystusa szczytne Imię głosiłeś w tryumfie i jednością wiary spręgałeś ludy od mórz lodowatych i płomienistego Wschodu, aż po najdalsze Zachodu krańce!

„Święta chorągiew, co Boga nowego i nowego obwieszcza króla, powiała w strefie gwiazdy Inkasów: otóż odtąd ona stanie się gwiazdą Iberyi i jej korony.

„A zmienny motłoch, teraz u stóp korząc się twoich, pochwalny okrzyk śle w niebo, zwie cię aniołem ze słonecznych krain, cześć, jako Bóstwu, ci składał!

„Jakaż ludzka wyobraźnia wypowie zachwyt twój duszy! Zgadnieź kto, ile w ludzkim łonie pomieścić się może dumy i radości? Oto widzisz wojnę zamienioną w pokój! Przed tobą ziemia, istnie rajskie widzenie!

„Nie tento świat, któregoś szukał tak chciwie gdzieś tam wśród ziem Tartary; to świat nowy, olbrzym światów, w pięknościach niema równego: niezliczone w nim klimaty i i narody.

„Z obydwoma sąsiadując biegunami, ciągnie się wśród mórz ogromnych, które dumną stopą rozdziela And w długim łańcuchu, a czołem sięga w niebiosa pomiędzy obłoki i gromy.

„Tamto gwałtowny, spieniony, król wszystkich rzek, Maranion, ogrom swych wód ze zjeżonemi falami o srebrzystym połysku, wartkim toczy pędem i w łono Atlantyku je przelewa.

„Po wdzięcznej koronie palmy wyniosłej, łagodnie przewiewa wiekuista wiosna, a olbrzymi kondor życiodajnemu słońcu patrzy oko w oko, szybując wśród jego płomieni.

„Tam pełno dzikich wulkanów, jezioro szumi jak szerokie morza; tam burze, huragany, kamienie i drzewa nieoszacowane skarby! góry srebro, a piasek złoto!

„Czegóż się ociągasz? Nieś Europie tych wielkich cudów drogocenne próbki; nie dbaj, czy zefir w twe żagle powieje, czy gwałtowny zadmie wicher: ty śpiesz i zdumionemu światu ukaż odniesiony tryumf.

„Huczący ocean roztworzy swoje otchłanie: głucha na prośby, piorunująca chmura straszonym ryknie głosem i spuści ciemności, grozę, ulwę i ogień!

„Do chóru z porykiem morza ozwie się ohydne wycie zawiści... Nieszczęsny sterniku! do jakiegoż brzegu w powrocie przybije twój korab’?

„A w cóż się twoja obróci chwałą? Może twe imię, oplwane potwarzą, zatrze się w pamięci ludzkiej? Lub może współzawodnik z fal uratowany za twoje czyny weźmie nagrodę?...

„Wszystko się spełni: szal gorączkowego pragnienia, który zwycięztwo łzą oblewa: radość, chwałą, męczeństwo: podłe kajdany i palma zwycięzka: wszystko to, przed czém wzdryga się człowiek i wszystko, co uwielbia...

„Lecz dla twojej wiary czemże są okrutne ciosy wichru, piorunu i zdrady? W górę myśl! Wybrańcze Boży! przebywaj morza i w domowe progi wstąp z nieśmiertelnim imieniem...”

Tu poeta żywo obrazuje niesłychane wrażenie sprawione z powrotem Kolumba wiadomością o nowo odkrytej ziemi, o cudach, dziwach i skarbach w niej znalezionych: wieść jak błyskawica rozchodzi się pomiędzy wszystkie narody i wszędzie podziw obudza i zazdrość. Niestety! dni chwały wkrótce minęły, nadchodzą godziny czarnej niedzięczności. Ten, który hiszpańskiej koronie tyle przyczynił blasku, w nagrodę otrzymuje wieniec cierniowy i sromotne kajdany. Lecz przyjdzie czas, kiedy wdzięczna ludzkość, wiekuistą chwałą, jak należy, uczci jego imię, a uczyni to wtenczas, kiedy na nowym osiadłszy świecie, nową nabierze siły, nowym życiem zakwitnie.

„Bo czyżby stworzył Bóg bez głębokiej myśli ten ład tak szeroki, jakby ze wszystkich innych złożony? rozsypałżeby po nim na niebie, ziemi i wodach cudowne wzory swych skarbów?

„Patrząc nań myślisz, że cię skrzydlata fantazya w przeszłość do pierwotnego poniosła Eden; a on w przyszłych czasach, dla znużonej ludzkości, ostatnim będzie Edenem.

„Tam szukać pójdą przytułku ludzie i prawa, społeczność i wiara, gdy poraz wtóry barbarzyństwo świat zaleje w zamęcie dzikiej ludu zemsty.

„Biada krainom zastarzałym w fałszu i w występku! Biada ludom i monarchom, gdy Pan, co już groźnie na nich patrzy, gromy swe rozpuści i rozsroży się w gniewie!

„Wtenczasto oni przez szerokie popłyną morza, z wołaniem o przystań i o schronienie, o pokój i ołtarze! a za przestępstwa odniosły karanie, znajdą świat nowy, co ich przytuli z miłością.

„Zaprawdę, żaden z hiszpańskich wieszczów takim nie patrzy okiem na Amerykę i na jej przyszłe przeznaczenia; w synowskiem tylko sercu kreśli się tak idealnie obraz ukochanej matki. W dodatku i to jeszcze widzimy, iż Baralt, umierając na ziemi hiszpańskiej w 50

roku życia, zapisał rzeczypospolitęj San Domingo cały swój bogaty i szacowny księgozbiór. Ostatnia myśl jego była jeszcze o Ameryce.

### Juan Alberdi

(ur. w 1814 r.).

W owych czasach, bezustannych w Ameryce bojów i wstrząśnień, już zewnętrznych już domowych, wszystko, co zwykliśmy pospolicie zwać inteligencją, czynny brało udział w sprawach publicznych. Z bardzo małym wyjątkiem, każdy z ludzi uzdolnionych, oprócz walki orężnej, szermierzył słowem i piórem. Dziennikarstwo zatem rozwinęło się na szeroką skalę: wszyscy najzdolniejsi pisarze, wszyscy uczeni i myśliciele rzucili się na tę drogę dla krzewienia idei swoich w narodzie.

W szeregu najznakomitszych publicystów staje Alberdi. Wysokie zdolności jego znalazły powszechne uznanie. Dlaczegoż równie sprawiedliwą nie okazała się opinia dla jego tendencji? Bywa to zwykle w chwilach narodowego rozstroju i rozbudzonych namiętności, iż dyskusye nad sprawami publicznymi, roztrząsanie teoryi społecznych, przybierają charakter walki stronnictw i przeradzają się w zaczepki i napaści osobiste. Nic więc nadzwyczajnego, iż wpośród nagromadzonych w Argentynie pierwiastków do waśni stronnicych, człowiek szczerych przekonań, nieugiętego charakteru, gorący w polemice odporniej i zaczepniej, musiał sobie zyskać zaciętych napastników w przeciwnych obozach.

Syn bogatego kupca, Juan Alberdi, rozpoczął nauki w rodzinném mieście Tukuman, w szkole założonej przez sławnego generała Belgrano. Po śmierci ojca, oddany do Buenos-Ayres, z ukończeniem szkół, uczęszczał na kursa uniwersyteckie w wydziale nauk moralnych i politycznych. Następnie przeszedł na prawo, gdzie miał sposobność słuchania wielce znakomitych profesorów amerykańskich i europejskich. Od najpierwszej młodości z zapałem oddawał się nauce, wczytywał się w dzieła filozofów angielskich i niemieckich: Locke, Bacon, Leibnitz, Bentham, dali mu pole do głębokich badań.

Pierwsze pismo, z jakim wystąpił Alberdi, objawiło wielkie jego zdolności i sumienną pracę: był to *Wstęp do filozofii prawa*.

Niebawem młodzież w Buenos-Ayres utworzyła „Towarzystwo republikańskie.” Alberdi został wybranym do ułożenia *memoryalu*, przedstawiającego warunki konstytucyi najwłaściwszej dla argentyńskiego narodu.

Obdarzony umysłem żywym i giętkim, młody jurysta, obok tych prac surowych, potrafił niekiedy w odmienną formę myśli swoje przyodziewać. W czasopiśmie *Moda* wydawał on szkice obyczajowe, pełne trafnego dowcipu; ten sposób przemawiania był może jednym z najwłaściwszych i najskuteczniejszych dla umysłów publiczności. W owych czasach także wyszła zpod pióra jego: *Kronika dramatyczna rewolucyi*





niebem przez konieczność poddawania wyrażenń nowój kulturze, nowemu przemysłowi, sztukom miejscowym, obyczajom wzrosłym na gruncie, prawom i zwyczajom stanowiącym odmienny ustrój społeczeństwa. Podobnemu przeobrażeniu, jakie przebywa język angielski na północy, uleść musiał język hiszpański na południu Ameryki. Charakter i potrzeby narodowe na piśmiennictwie żywe wyciskają piętna; porywy myśli depeczą częstokroć tradycyjne prawa językowe, zapał dla idei pomija formę, gardzi sztuką dla sztuki. „Nie dla nas dzisiaj, mówi Alberdi, takie piśmiennictwo, którego najgłówniejszą zaletą kwiecistość słowa, dźwięczność rymów; nasza literatura ma być córą doświadczenia i dziejów, jasną pochodnią na długą przyszłość; ona musi być filozoficzną, głęboką, musi pracowicie badać i analizować, a myśleć i mówić wszystko, czy prozą, czy wierszem tak, aby ją pojęły nawet nieoświeczone masy narodu. Poezya jest sztuką, to prawda, mówi dalej; lecz zanim stanie się sztuką, wprzód jest natchnieniem. I tak: Homer poprzedza Horacego, Dante pojawia się wprzód niż Boileau, Calderon pierwój niż Martinez de la Rosa. Otóż u nas potrzeba w obecnej chwili, aby poezya była natchnieniem a nie sztuką.”

W kilka lat później horyzont polityczny coraz bardziej się zamurzał. Alberdi nie mógł już iść ręką w rękę z Lavallein; jednomyślność w działaniach zniknęła; sprawa Rzeczypospolitej została zwichniętą. Nie czuł się już Alberdi potrzebnym w Montevideo, i w roku 1843 popłynął do Europy, w towarzystwie przyjaciela swego poety Gutierrez.

W czasie morskiej podróży utworzyli oni obaj poemat w rodzaju *Child Harolda*, pod tytułem *Eden*: była to nazwa okrętu na którym płynęli. Alberdi napisał ten utwór fantastyczną prozą, Gutierrez go zrymował.

Nasz wygnaniec przebiegł znaczną część Europy, badając wszędzie z wielką uwagą instytucye, zwyczaje i obyczaje Starego Świata.

W następnym roku wracał do Ameryki, a w drodze pisał znów poemat, nakształt fantastycznej podróży po morzach południowych. Pod lekką szatą ukrył autor poważne poglądy; występują tam sceny z życia rzeczywistego, myśli o przyszłych przeznaczeniach Ameryki. Utwór ten pod tytułem: *Tobiasz, czyli więzienie żaglowe* był drukowanym w Chili 1844 r., później w Buenos-Ayres, a niedawno jeszcze w Madrycie. W tymże samym roku wydał księgę wspomnień z Włoch, pod tytułem: *Dwadzieścia dni w Genui*.

Nie mogąc wrócić do Argentyny, Alberdi wylądował w Chili, gdzie otrzymał wkrótce stopień licencyata prawa i nauk politycznych, przedstawiając fakultetowi swoje tezę uniwersytecką wypracowaną z wielkim talentem i gruntownością myśli: była to rozprawa o potrzebie i celach kongresu amerykańskiego. Oddaje on wszelką sprawiedliwość cnotom i zasługom Boliwara, oswobodziciela części kontynentu południowego, i pierwszego promotora amerykańskiego kongresu. Lecz inne są dzisiaj pobudki i cele. Bolivar zwołał kongres

w Panama przeciw Europie. Alberdi nie domaga się kongresu w celach politycznych i wojennych. „Ameryka potrzebuje kongresów ekonomicznych, handlowych, przemysłowych; nie dla odepchnięcia Europy, lecz dla zbliżenia jęj do siebie. Najpierwszą kwestyą, jaką się zająć powinien kongres, jest usunięćie wszelkich powodów do wojen. Lecz gdyby na nieszczęście, wojny miały na długi czas jeszcze stanowić charakterystyczny rys amerykańskiego życia, należy przynajmniej starać się o nadanie im takiejj formy, w której jak najmniej mogłyby szkodzić rozwojowi handlu, przemysłu i dobrobytu w nowych państwach: potrzeba w pewnej mierze *neutralizować* handel, zapewnić jego nietykalność wobec praw wojennych. Powodem do wojen w Ameryce nie mogą być ziemie. Obszarów gruntu ma ona aż nadto, i ta zbytnia rozległość jest właśnie przyczyną nieładu i zacoiania, przez niemożliwość zcentralizowania zarządu. Jak chorobą Europy jest brak ziemi, tak tu jęj nadmiar.

Chili, najmniejsze z państw Ameryki, jest najbogatszym, najpojętniejszym i najlepiej zarządzanym. Jeszcze od niego mniejsze państwo orientalne Uruguay ma się opierać się wielkiej rzeczypospolitej argentyńskiej, pogrążonej w anarchii. Koniecznością jest przeto załudnić te pustki. Do osiągnięcia tego celu najskuteczniejszym środkiem jest kolonizacya. „Środek ten, mówi autor, budzi bolesne wspomnienie; a jednakże w jakikolwiek sposób używała go Europa w przeszłości, jemu to winniśmy bądź cobydź byt nasz i prawdopodobnie zawdzięczać mu go będą w przyszłości miliony amerykańskich ludów. A więc nie wykluczajmy go z rzędu naszych czynników cywilizacyjnych i postępu. Postanówmy modyfikacye w jęgo wykonaniu, co do tego jesteśmy w naszym prawie, ale mu nie stawiajmy zapory, bo to może przechodzić moc naszą. Roztropność radzi wywołać to, coby się mogło stać wbrew naszej woli. Ludzkość potrzebuje przestrzeni, my mamy jęj do zbytku; mogliżbyśmy bezkarnie jęj wzbraniać? Dalej: inne ludy mają we własnym łonie zarody swego rozwoju, Ameryka na nieszczęście musi je brać z zewnątrz. Metropolia nie rzuciła w jęj grunt nasion postępu, wszczepiła w nią zastój. Ludy wychowane w służebności kolonialnej, zdolne tylko do życia domowego, niedoświadczone w życiu publicznym, muszą dziś przechodzić wielką szkołę. Środkowe ludy potrzebują czekać na rozwój kolei żelaznych. Najwcześniej dojrzewają i przychodzą do dobrobytu okolice nadmorskie, przez bezpośrednie zetknięćie się ze światem i nowoczesnym postępem. Widzimy to np.: w Chili, gdzie Valparaiso powiększyło się w dwójnasób, podczas gdy Sant Jago zaledwo się podnosi, albo nad La Plata, gdzie środkowe miasta wyludniły się i podupadły, a Montevideo stało się stolicą państwa; w Buenos-Ayres pełne okręta przybyszów zapewniają szczyrby wybite kulami wojen domowych.”

Oprócz tęgj pracy wydawał Alberdi podręczniki urzędowe, broszury i t. p. Przez czas kilkoletniego swego pobytu w Valparaiso pozyskał sobie głośnie imię, jako najlepszy z adwokatów, bronił spraw najważniejszych i przyszedł do znacznego majątku.

Z upadkiem Rozasa w 1852 r., rozpoczęła się nowa era działalności dla dotychczasowych wygnańców. Mąż takich zdolności i takiego charakteru jak Alberdi, nie mógł pozostać na stanowisku zaszczytném wprawdzie, korzystném dla niego samego, lecz bezowocném dla rodzinnego kraju. Rozpoczął zaraz szereg publikacji, w których znakomicie spożytkował wielkie zasoby wiedzy i idei, jakie mu przyniosły jego podróże, długoletnie studia i rozmyślenia, a niebawem téż został powołanym do czynów na drodze dyplomatycznej, będąc mianowanym reprezentantem rzeczypospolitej argentyńskiej przy różnych obcych rządach.

Najprzód udał się do Waszyngtonu i wyjednał u rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej uznanie integralności Argentyny. W roku 1855 przybył do Londynu, gdzie starania jego równie pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem; toż samo uzyskał w Paryżu, w Rzymie i w Madrycie.

Kiedy po generale Urquiza w r. 1860 stanął p. Derqui na czele rządu Rzeczypospolitej, Alberdi został potwierdzonym w swojej dyplomatycznej misji przy dworach europejskich, i spełniał ją z ciągłym powodzeniem do połowy 1862 roku.

Nietylko z czynności dyplomatycznych dał się Alberdi w Europie poznać i ocenić. I pisma jego zaszczytny zyskały tam rozgłos. Uczony margrabia de Brignolles złożył na posiedzeniu Instytutu Historycznego w Paryżu zajmujące sprawozdanie o jednej z późniejszych prac amerykańskiego prawa. Książka ta wywołała sąd wielce pochlebny! Napisana w r. 1852 pod tytułem: *Zasady do politycznej organizacyi związku argentyńskiego*, zawiera ona zupełny kurs prawa publicznego amerykańskiego. Niemniej w rodzinnym kraju autora poznano się na wysokości doniosłości dzieła, czego najwymowniejszym dowodem jest dekret wydany przez Ministerjum Spraw Wewnętrznych, stanowiący, iż ze względu na zbawienny wpływ, jaki na opinią publiczną wywierają pisma Alberdi'ego; chcąc zarazem jawnie uczcić bezinteresowne usługi obywatela gorliwego o dobro ogółu i zachęcić inne talenta do pracy na téj drodze: najważniejsze z tych pism będzie drukować w staranném wydaniu, kosztem skarbu narodowego. W oddzielnym reskrypcie, wystosowanym do znakomitego publicyisty, rząd argentyński wyłuszcza pobudki rzezonego postanowienia, tak zaszczytne dla autora, tudzież wyraża przekonanie, iż tenże zechce je uważać za jedyną nagrodę, jaką rząd jest zdolnym uczcić wysokie jego zdolności i ważne dla ojczyzny usługi.

W pierwszym tomie dzieła, powyżej wymienionego, autor kreśli najprzód zupełny obraz konstytucyjnego położenia La Platy w r. 1852, a następnie studjuje głęboko i poważnie prawo konstytucyjne amerykańskie i wchodzi w analityczne i krytyczne badanie wszystkich konstytucji państw Nowego Świata. Za główne zadanie położył sobie autor wskazać rząd republikański, jaki dziś jest możebny, ażeby dojść do prawdziwej republiki; usiłuje dowieść konieczność ustanowienia

ządu narodowego, nie wykluczając rządów prowincjonalnych, czyli, ob- staje za jednością rządową obok decentralizacji administracyjnej.

Daléj, zastanawia się nad drogami, któremi cywilizacyjny wpływ Europy może działać w nowych Republikach. Alberdi gorąco nastaje na konieczność dania ludowi oświaty i nauki, lecz przedewszystkiem woła o kolonizacyą, dobrowolną, nie sztuczną. Dla niego „rządzić, jestto zaludniać.” Zdawałoby się, iż oświata jest najpierwszym warunkiem urobienia mas ludności do przyjęcia wyobrażeń i zwyczajów postępowych; jednak autor wykazuje, iż zdanie to nader logiczne, gdy idzie o zastosowanie go do wszelkich innych ludów, nie odpowiada bynajmniej wyjątkowemu położeniu a ztąd i potrzebom Ameryki. Przy miejscowych warunkach byłoby to postanowieniem porządku na opak.

„Jak, w jakiej formie dojdzie w przyszłości na ziemię naszą ożywczy duch cywilizacji europejskiej? Tak, jak przychodził we wszystkich innych epokach. Europa przyniesie nam w swoich wychodźcach swego nowego ducha, swoje wdrożenie się do przemysłu, swoją cywilizacyą wprowadzoną w życie.

„Každy Europejczyk wysiadujący na nasze pobraża przynosi nam więcéj cywilizacji w swoim obyczaju, który wszczepia następnie w naszą ludność, aniżeli całe stopy ksiąg filozoficznych. Żle się pojmuje doskonałość której się nie widzi, nie dotyka. Człowiek pracowity jest najsilnieć budującym katechizmem.”

„Chcemy zaszcześcić i zaaklimatyzować w Ameryce swobodę angielską, kulturę francuzką, pracowitość Europy i Stanów Zjednoczonych? Przynieśmyż żyjące cząstki tych zalet w obyczajach mieszkańców tamtych krain i wkorzeńmy je tutaj.”

„Chcemy, ażeby nawyknienie do porządku, karności i przemysłu wzięły przewagę w naszej Ameryce? A więc napełnijmy ją ludnością przesiąkniętą temi nawyknieniami. Te się z łatwością udzielają: obok europejskiego przemysłowca wnet się wyrobi przemysłowiec amerykański. Roślina cywilizacji nie rozkrzewia się z nasienia, lecz tak samo jak krzew winny: ogrodnik wszczepia płonki.”

„Jedyny to środek, ażeby Ameryka, dziś pustynia dzika, stała się w końcu zamożnym ładem. Reprodukcyja sama z siebie jest środkiem nazbyt powolnym. Jeżeli w krótkim czasie chcemy nasze państwo do wielkości doprowadzić, wnieśmy do niego z zewnątrz żywoity już wykształcone i przygotowane. Bez wielkiego zaludnienia niema rozwoju kultury, niema żadnego postępu: wszystko jest małe. Narody o półmilionie ludności mogą być narodami ze względu na obszar swego terytoryum; lecz przez swą ludność będą tylko prowincjami, osadami, i cały ich rozwój będzie nosił cechę prowincjonalną.”

„Szkoły elementarne, licea, uniwersytety, są same przez się słabymi dźwigniami postępu bez wielkich przedsięwzięć produkcyjnych, które bywają tylko wytworem wielkich mas ludności.”

„Weź najgłówniejszy pierwiastek naszych mas ludowych, takiego *roto, gaucho, cholo*, przeprowadź go przez wszelkie przekształcenie jakie może zdziałać najlepszy system nauczania: przez sto lat nie zrobisz z niego robotnika angielskiego, któryby pracował, konsumował, żył z godnością i w wygodach. Ten milion mieszkańców stanowiący w przecięciu ludność tych republik, postaw na stopie najlepszego jak być może wychowania, uczyni go tak oświeconym jak np. kanton Genewski w Szwajcaryi, czy będziesz miał państwo wielkie i kwitnące? Z pewnością nie; milion ludzi na terytoryum, zdolnym pomieścić pięćdziesiąt milionów, będzie zawsze tylko nędzną ludnością.”

Godzien uwagi pogląd autora na kwestyą religijną. „Jeżeli przywołujemy osadników z innych narodów, a nie zapewnimy im swobodnego wykonywania swoich obrzędów, do jakiegokolwiekbądź należą one wyznania; będzie to z naszej strony hipokryzją liberalizmu. Ściągnąć ich do nas bez ich wiary, jestto odjąć im ten element, który ich czyni tém czém są; zmusić ich aby żyli bez religii, wytworzyć z nich w końcu ateuszów. Jeżeli chcemy mieć ludność moralną, strzeżmy się rozkrzewiania ateizmu. Jeżeli chcemy widzieć rodziny, w których się rozwijają obyczaje i cnoty życia prywatnego, szanujmy ołtarz każdego wyznania.”

Rozdział o traktatach z obcemi mocarstwami, zbawienne zawiera myśli. Alberdi rozróżnia politykę, jaka przystoi Ameryce względem bratnich rzeczypospolitych od stosunków z Europą. Dyplomacya rządów europejskich żadną miarą nie może być modłą dla polityki amerykańskiej. Nie może tu być mowy o przymierzach zaczepnych i odpornych, o kombinacjach równowagi militarniej i politycznej, o związkach domów i rodzin panujących i t. p. W téjto myśli Waszyngton, kończąc swój zawód publiczny, przekazał Stanom Zjednoczonym mądrą radę, aby nie zawierały nigdy przymierzy ani traktatów politycznych z rządami Europy. Odsunawszy zatem na bok wszelki pozór polityki wojennej, Ameryka powinna zawierać traktaty z Europą, jedynie w widokach handlowych, przemysłowych i cywilizacyjnych i dla zapewnienia sobie z jej strony najściślejszej neutralności. W tym celu potrzebne traktaty, nie z pewnemi narodami wyjątkowo, ale ze wszystkimi: wtedy jedne będą tamą dla zachcianek drugich. Wszystkie powinny otrzymać też same gwarancye, poszanowanie wszelkich ich praw: prawa własności, wolności cywilnej, bezpieczeństwa kupna i przewozu. Traktaty takie będą najpiękniejszą częścią konstytucyi, kluczem do rozwoju tych krajów, potrzebujących czerpać zewnątrz żywioły postępu. Ażeby utrwalić tę gałąź prawa publicznego, dodaje Alberdi, zawierajcie traktaty na czas jak najdłuższy: nie obawiajcie się zakuć w więzy porządku i kultury.

Drugi tom obejmuje po większej części studia tyczące się ekonomii politycznej, kredytu i skarbowości. Są tam ustępy tak ważne i mądre, iż powinni się zastanawiać nad niemi wszyscy publicyści i mężowie stanu Ameryki łacińskiej.

I zapewne dzieło to niezaprzeczonej wartości znalazłoby jedno-  
głośny poklask w całej Argentynie, gdyby nie dotykało zbyt często  
nieszczęsnęj waśni, jaka rozdwajała Buenos-Ayres z jednej strony, z dru-  
giej trzynastę prowincyi. Wywołało ono gwałtowną polemikę pomię-  
dzy dwoma stronnictwami. Alberdi podniósł rękawicę, gorąco bronił  
swoich przekonań, ścisłą argumentacją pobijał przeciwników, pociski  
odpierał zręcznie a żywo; a w tój szermierce słowa nie obeszło się bez  
uszczypliwych epigramatów i osobistych docinków.

Niewolno jednakże przypuszczać, iżby poważny autor przekroczył  
granice godziwéj walki. Jest on owszem jawnym przeciwnikiem bru-  
talnéj dyalektyki, jaka się za jego czasów w prasie dziennikarskiei po-  
jawiała i to bynajmniej nie w jego obozie. Wiadomo, iż podżegaczem  
wszelkich rozterek, przewrotów, wojen domowych a w nich przeraża-  
jących bezprawi i zbrodni w nowo organizujących się republikach, było  
stronnictwo demagogiczne. Jegoto koryfeusze, dobijając się pano-  
wania nad losami narodu, chwyтали broń każdą bez względu na jej go-  
dziwość: zdrada, sztylet morderczy lub zjadliwe, potwarcze pióro, wszy-  
stko przez nich było użyte dla dopięcia celu. Rozkiełznane dzienni-  
karstwo tój szajki schłostał Alberdi w broszurze pod tytułem: *Wspól-  
nictwo prasy w wojnach domowych Rzeczypospolitej Argentyńskiej*.  
Zdziera on maskę z rzekomych rzeczników wolności, w dobitnych afo-  
ryzmach rzuca im w oczy obłudne ich dążenie.

„Niema dwu sprawiedliwości, powiada on, dwu legalności, dwu  
uczciwości w wykonywaniu prawa publicznego, jedna dla rządzących,  
druga dla rządzonych: nie!”

„Nie mogą być zwolennikami wolności tacy, którzy się dopuszczają  
swawoli prasy.

„Nie mogą wiernie wykonywać władzy tacy, którzy się przenie-  
wierzają swobodzie.

„Ci którzy przekraczają prawo będąc u dołu, nie poszanują go  
stanąwszy u góry.

„Zostając ministrami państwa nie będą szanować osób, rodziny,  
prywatnego życia—ci którzy takowe napastowali piórem, gdy byli sami  
prywatnymi.

„Będziez szanował życie przyszedłszy do rządów ten, który cześć  
zabija, dążąc do władzy?

„Ten który będąc bezbronnym, prawo drugiego znieważa, będziez  
je szanował, mając bagnety na swoje rozkazy?

„Kto depcze opinią dążąc do celu, czyż stanąwszy u niego bę-  
dzie się jój lękał?

„Wolność prasy ma dwu głównych wrogów: tyrana i oszczercę;  
a raczej jednego tylko, gdyż oszczerca nie jest czém inném, jak ty-  
ranem bez wojska.

„Cóż robi oszczerca? Piórem swoim depcze prawo, wskazując  
samowolnie na infamią, co tylko sędziemu wolno w imieniu i na mocy

prawa. Oszczerca prowadzi na rusztowanie opinią człowieka bez sądu i processu. Nie toż samo czyni tyrania?

„Jakie dziennikarstwo, taki będzie rząd. Przestępstwa pióra są poprzednikami przestępstw czynu; pamflet zwiastunem, bezprawie przednią strażą despotyzmu.

„W średnich wiekach mnich powiadał: *Religia to ja*, i za najłżejszą naganę jego czynów otrzymałbyś miano bezbożnika.

„Despotyczny Ludwik XIV wyrzekł: *Państwo to ja*, i kto go nie uwielbiał, poczytany był za zdrajcę ojczyzny.

„Dziś demagog mówi: *wolność to ja*; niechże kto poważy się własnym zdaniem osądzić jego pisma, ten będzie służalcem tyranii.

„A cóż będzie, gdy mu się władza w ręce dostanie? jak przyjmie sąd o swoich rządach?...

„Dziś on deklamuje o wolności, bo tém ściąga sobie zwolenników; lecz wiadomo iż w republikach zawsze pod sztandarem wolności tyrani przywłaszczali sobie władzę, czyto orężem czy piórem. Chcesz doświadczyć ich dobrej wiary? postaw ich oko w oko z wolnością: oni ją rozszarpią na sztuki.

„Czémże będzie z władzą w ręku pisarz, który ręce w błocie wala, drugich błotem obrzuca, obelgami zabija? Będzie się we krwi nurzał, zabijał toporem.

„Ta prasa brutalna sądzi, iż co uchodzi bezkarnie, nie jest przestępstwem: a więc i morderca, którego kara nie osiągnie, będzie uczciwym człowiekiem.

„Prasa ta wyobraża sobie, iż grubiański epitet jest argumentem, obelga dowodem przekonywającym: im głośniej krzyczy, tém silniej przekona.

„Zdaje się téj prasie, iż może dziś być zgorszeniem społeczeństwa a jutro przemieni się w katedrę moralności publicznej; dziś może spisywać paszkwile a jutro prawa dla Rzeczypospolitej, że można pisać językiem karczemnym i należeć do towarzyszt literackich i naukowych” i t. d.

Jedną z ostatnich prac, jakie ogłosił Alberdi, było dziełko pod tytułem: *O anarchii i o głównych jej przyczynach*..

Przewodnią ideą wszystkich pism jego jest zaprowadzenie pożądanój spójni pomiędzy władzą a wolnością, pomiędzy prawem a obowiązkiem, ugruntowanie polityki zarówno dalekiej od dwu krańcowych ostateczności: od demagogii prowadzącej do rozstroju i od zaślatałości tamującej wszelki rozwój. Wszystkie jego przekonania są szczeré; w jednym przeto kierunku dąży przez całe życie, a pracuje piórem i czynem, li tylko dla sprawy cywilizacji i dla dobra swego kraju.

(Dokończenie nastąpi).



PRZEMYSŁ CUKROWNICZY  
W KRÓLESTWIE POLSKIM \*).

PRZEZ

*Antoniego Wrotnowskiego.*

VIII.

Dawniejsze prawodawstwo austriackie <sup>1)</sup> przyjmowało za główną podstawę podatkową ważenie buraków w samych fabrykach, zupełnie tak samo, jak się to dotąd dzieje w Niemczech; dozwalało przecież obliczać ilość tego materiału surowego wedle norm prawnych, zastosowanych do siły przyrządów fabrycznych, bez sprawdzania rzeczywistej jego wagi. Istniały więc jednocześnie dwie przeciwne metody: jedna stosowana z urzędu, druga na żądanie fabryki; jedna oparta na wadze rzeczywistej, druga na wadze fikcyjnej buraków; i ostatecznie metoda pierwsza zupełnie została porzuconą <sup>2)</sup>, z widoczną szkodą budżetu państwowego. Jakoż za dawniejszego prawodawstwa, władze fiskalne w Austrii obliczyły były w roku 1864/5 przerób buraków na 19,592,846 centnarów wiedeń., od których skarb państwa pobrał był akcyzy 8,055,830 guldenów; zwrócił był zaś w tymże roku podatku od cukru wywiezionego zagranicę tylko 401,522 guldenów; po wprowadzeniu zaś systematu opartego wyłącznie na normach prawnych, ten rezultat finansowy zaczął ulegać stopniowemu pogorszeniu. W r. 1875/6 fabryki w Austrii-Węgrzech przerobiły wedle tych norm 25,561,864 centn. buraków; ileż przerobić musiały w rzeczywistości, kiedy wyprzedać mogły zagranicę więcej cukru, niż wypadało wedle innych znowu norm z owęj ilości buraków? A chociaż sprowadzano z zagranicy tylko 2,096 centn. cukru, nie zabrakło przecież tego produktu na konsumpcją wewnętrzną, mającą wynosić 148,800 ton po tysiąc kilogramów każda <sup>3)</sup>. W rezultacie przeto, skarb państwa zamiast dochodu z akcyzy od cukru, zmuszonym był jeszcze dopłacić fabrykom w r. 1875/6 sumę 135,556 guldenów <sup>4)</sup>, czyli przy większym o półosma miliona

\*) Patrz zeszyt za wrzesień r. b.

1) Prawo z r. 1849.

2) Prawo z r. 1865.

3) *Obzor razlicznych sistem... annaksa: tablica VI. Dr. v. Kaufmann, loc. cit. str. 26.*

4) Tamże, tam tablica.

centnarów przerobie buraków niż w r. 1864/5, stracił w stosunku do dochodu z tegoż roku przeszło dziesięć milionów guldenów. Powyższe cyfry wymowniejszemi są od wszelkich rozumowań i nauczają, czém są i do czego prowadzą normy w przedmiocie fabrykacyi cukru. Na brak zaś tych norm Austria użalać się nie może, skoro ustanowiła *dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt sześć* norm dla obliczania siły roboczej pras parowych i *tyleż* dla pras nieparowych <sup>1)</sup>.

Jestto więc podatkowość bardzo skomplikowana i niepraktyczna; chociaż z przyczyny swój wadliwości dla przemysłu cukrowniczego nieszkodliwa, ilekroć on, jak to miało miejsce w r. 1875/6 nie zapłaci podatku ani jednego guldena, czyli inaczej, ilekroć całą ilość produkcyi opodatkowaniu ulegającą, wywiezie zagranicę, całą zaś resztę cukru, wedle norm już od podatku wolnego, spienięży na miejscowych targach i na miejscową konsumpcją.

Ta podatkowość <sup>2)</sup> uległa zapewne częściowym przynajmniej zmianom, skoro na rok 1879 zapowiadane były w Austrii nowe przepisy, o których spotykamy pobieżną wzmiankę w materiałach urzędowych, tylokrotnie przez nas powoływanych <sup>3)</sup>. Nie mając pod ręką tych nowych przepisów, nie jesteśmy w możności poddawać bliższemu ocenieniu systematu podatkowego, którego główna podstawa, normy dla obliczania buraków, przerabianych na cukier, jest także jedną z głównych podstaw podatkowości rossyjskiej. Na dwu bowiem głównych podstawach opiera się prawodawstwo, urządzające pobór akcyzy od cukru w Imperyum <sup>4)</sup>: a) ilość buraków corocznie w każdej fabryce przerabianych, obliczaną jest wedle norm, mających odpowiadać sile przerobu przyrządów fabrycznych dobywających sok surowy i wedle czasu trwania tego przerobu, czyli tak samo jak w Austrii; b) przeciwnie zaś, jednostką podatkową nie jest centnar buraków, ale pud cukru nierafinowanego, sumą zaś tych jednostek determinują znowu normy wydajności tychże buraków <sup>5)</sup>.

Czyli, jaśniej mówiąc, agenci skarbowi, na dwu podstawach zarówno fikcyjnych, formują corocznie rachunek dla każdej z osobna fabryki, a mianowicie: 1) przed rozpoczęciem kampanii determinują, ile

<sup>1)</sup> *Obzor...*, str. 105.

<sup>2)</sup> Dr. v. Kaufmann, *loc. cit.*, str. 79, tak określa systemat austriacki: *Die Pauschalirung der Rübengewichtsteuer nach der Leistungsfähigkeit der Werksvorrichtungen und der Zeitdauer ihrer Verwendung.*

<sup>3)</sup> *Obzor...* str. 144. Wedle obliczenia Kacparka: *Zbiór urzędów*, tom I, str. 297. „Podatek wedle normy wynosił dotąd w Austrii po trzydzieści centów od stu funtowego centnara,” czyli po dwanaście centów od puda; w praktyce jednak, rozłożony na całą ilość buraków, rzeczywiście przerabianych, nie przechodził dwu centów od centnara.

<sup>4)</sup> Prawa z dnia 25 lutego 1848, 23 listopada 1863, 10 czerwca 1872 r.

<sup>5)</sup> *Żurnal Komm.* str. 3 i 6.

ona może przerobić buraków w ciągu doby ze względu na jej siłę, t. j. na liczbę, rodzaj i objętość przyrządów, dobywających z buraka sok surowy; na każdy bowiem przyrząd istnieje oddzielna norma prawna; 2) tak udeterminowaną ilość dziennego przerobu mnożą przez liczbę dni, czyli przez czas kampanii, ten zaś iloczyn wyobrażać ma ogólną sumę berkowców buraków, ulegających opodatkowaniu, z całej ilości tego materiału surowego, przerobionej przez fabrykę w ciągu kampanii; 3) rzeczoną sumę mnożą znowu przez normę wydajności cukru oznaczoną w prawie, a jak widzieliśmy, inną nietylko w każdym rejonie, ale także dla każdego rodzaju fabryk; i dopiero rezultat tego mnożenia, determinuje tę część produkcji cukru, od której należy się podatek, licząc od każdego puda.

Cała przeto przewyżka buraków przerabianych w ciągu 24 godzin, ponad normę nie wchodzi w rachunek, a cała ilość cukru, otrzymanego z teje przewyżki buraków, jak niemniej wszelki *plus* cukru otrzymany z buraków w powyższy rachunek wprowadzonych, opodatkowanym nie jest. Słowem, przy formowaniu rachunku, tylko rubryka druga, zaznaczająca czas trwania przerobu, wypełnianą jest prawdziwie, rubryki zaś pierwsza i trzecia są wyrazem fikcji prawnej, z rzeczywistością niezgodnej.

Widoczna tej metody wadliwość, niejednokrotnie w ciągu tego studyum podnoszona, wytwarzająca dla fabryk nierówność podatkową, została dokładnie zbadaną i podjętą przez statystów rossyjskich. Zapatrząc się przeciw z punktu prawie wyłącznie fiskalnego, a przynajmniej nadając względem fiskalnym stanowisko nad względami ekonomicznymi zanadto dominujące, nie dostrzegli całej doniosłości złych następstw, jakie też nierówność pociągnie za sobą dla przemysłu cukrowniczego, a nawet dla ogólnej ekonomii kraju i ostatecznie uznali, iż dotychczasowego systematu zastępować innym niema powodu.

Jakoż czytany wprawdzie w urzędowych źródłach wzmianki: że podatkowość francuzka jest od innych logiczniejszą <sup>1)</sup>, pruska zaś i belgijska racjonalniejszą od austryackiej i rossyjskiej <sup>2)</sup>, że te dwa ostatnie systemata akcyzy są wadliwszemi od innych <sup>3)</sup>; że chociaż każdy z nich ma swe dobre i swe złe strony <sup>4)</sup>, żaden przecież nie może się pochwalić, iżby prowadził do obliczania całej produkcji fabrycznej, lub określał prawdziwie przymioty cukru, tam gdzie one mają wpływ na wysokość akcyzy <sup>5)</sup>; że dogodności systematu podatkowego, istniejącego w Imperyum (o którym niżej), nie mogą jeszcze przemawiać bezwarunkowo na jego korzyść, zwłaszcza przy braku pewnych podstaw obliczania rzeczywistej siły przerobu fabryk; owa bowiem wadliwość syste-

<sup>1)</sup> *Obzor...* str. 182.

<sup>2)</sup> *Tamże*, str. 183.

<sup>3)</sup> *Tamże*, str. 189.

<sup>4)</sup> *Tamże*, str. 123.

<sup>5)</sup> *Izsliedowanija...* str. 102.

matu tkwi głównie w nierówności podatkowej, przy normach nieuniknionej<sup>1)</sup>; nie można zaś stanowczo wyrzec, do jakiego stopnia ścisłości da się doprowadzić rachunek, dopełniany wedle dotychczasowej metody, skoro normy opierają się dotąd na danych empirycznych i jest zupełnie udowodnionem, iż one dostatecznymi nie są, gdyż znaleziono dopiero początek do wyrobienia w przyszłości norm prawidłowych i dopiero w przyszłości da się określić prostą i ścisłą formułę, determinującą siłę produkcyjną każdego przyrządu fabrycznego<sup>2)</sup>. Czytamy dalej, że przy szybkim wzroście fabrykacji i wynalazków, jakie ona codziennie czyni i jakimi nieustannie udoskonala i przyśpiesza robotę, owa nierówność podatkowa z każdym rokiem oddziaływa doniosłej i szkodliwiej na interesa ogólniejszego znaczenia. W skutek bowiem tych udoskonaleń, normy coraz bardziej oddalają się od rzeczywistości, i *kosztem dochodów państwowych wytwarzają coraz większe premia dla każdej z fabryk urządzonych lepiej, lub rozporządzającej większemi kapitałami niż inne fabryki*<sup>3)</sup>. Dalej, że bodźcem usiłowań, podejmowanych w celu skracania czasu przerobu, jest właśnie sama metoda obliczania podatku. Tylko bowiem pośpiech roboty uwalnia od tegoż podatku znaczną część produkcji, co znowu ciąży na fabrykach nie będących w stanie czynić wydatków na zakup coraz nowych, a kosztownych przyrządów. Ten zaś wzgląd przeważa nad dogodnościami dotychczasowego systematu<sup>4)</sup>; zwłaszcza, iż przy wysokości skali podatkowej, wszystkie wady systematu oddziałują silniej, produkcya zatrzymuje się w swym rozwoju i ześrodkowuje się w wielkich zakładach fabrycznych. To wyrządza znowu szkodę każdemu przemysłowi, a jest jeszcze szkodliwszem w cukrownictwie, skoro ono ma ścisły związek z rolnictwem krajowem. Ześrodkowanie więc produkcji cukru w kilkunastu olbrzymich fabrykach powstrzymuje rozwój samego gospodarstwa rolnego<sup>5)</sup>.

Te zdania, zestawione tu w dosłownym prawie przekładzie, ze zdrowymi poglądami ekonomicznymi zgodne, są niezaprzeczonym dowodem rozumu stanu. Szkoda, wielka więc szkoda, iż ich wpływ przy ostatecznej decyzji w przedmiocie wyboru, lub obmyślenia metody podatkowej został zredukowanym do zera. Rzeczywiście bowiem nie doznały one lepszego losu od wszelkich mrzonek i poglądów abstrakcyjnych podnoszonych w tej lub innej książce, lecz nie zasługujących na to, iżby stosowanemi były w praktyce i stawały się podstawami prawodawstwa krajowego; przebrzmiały więc nie pozostawiając żadnego po sobie śladu. „Niema potrzeby szukać metody nowój,” pisze oficjalny badacz systematów podatkowych, istniejących zagranicą, „dopóki spo-

<sup>1)</sup> *Obzor... str. 189.*

<sup>2)</sup> *Izsliedowanija... str. 103.*

<sup>3)</sup> *Obzor... str. 189.*

<sup>4)</sup> *Tamże, str. 122.*

<sup>5)</sup> *Izsliedowanija... str. 102.*

życie cukru będzie w Rosyji tak małym, jak dotychczas, skoro obliczając je najszerszój, nie przewyższa ono  $4\frac{1}{2}$  funta, skarbowi zaś nie przynosi więcej dochodu, nad siedm kopiejek z mieszkańca, a nawet nie może dać więcej przy dzisiejszych rozmiarach konsumcyi tego produktu; dopóki wreszcie dochód otrzymywany z tego źródła przez skarbowy, będzie czynić jak w roku 1875,  $0,57\%$  wszystkich dochodów budżetowych, a  $1,05\%$  wszystkich podatków pośrednich, zwłaszcza, iż nawet przy metodzie dotychczasowej, acz wadliwej, dochód skarbowy z akcyzy od cukru, wzrósł był w ciągu lat dwunastu (1864—1857) o  $468\%$  <sup>1)</sup>.

Uwagi te rzeczywiście nie bez znaczenia, o ile interes fiskalny ma się wyłącznie na oku, błędną przecież przy względach znaczenia ogólniejszego, wypowiedzianych tak dojrzałe, a dla sztuki rządzenia nierównie potrzebniejszych i ważniejszych. Sam nawet szybki wzrost dochodu skarbowego, dając pewność nieprzesadzonym projektom budżetowym, ułatwiał zadanie. Usuwając bowiem obawy co do obniżenia tego dochodu, dozwalał swobodniej szukać innego systematu podatkowości, niemającego ani tych wad, ani wynikłości dla interesu ogólnego tak bardzo szkodliwych, a tém samém nie stawał temu na przeszkodzie, iżby owe względy zaważyły na szali więcój i skuteczniej.

Oprócz bowiem owego wzrostu, będącego w gruncie rzeczy wynikinością samego rozwoju cukrownictwa, nie zaś bynajmniej wadliwego systematu podatkowego, a który jest najniewłaściwiej poczytywany za zastęę tegoż systematu; dobrymi jego stronami mają być: *prostota* i *taniość*. Czytamy bowiem, że pobór akcyzy nie wymaga specjalnego,

<sup>1)</sup> *Obzor...* str. 190. Progresyą dochodu skarbowego z akcyzy od cukru (łącznie z opłatą patentową, nie czyniącą wszakże znacznej rubryki) wykazuje tabela, dołączona do pisma; *Razwitije...* str. 250 i 251 jak następuje:

w r. 1849 rub.	46,208	w r. 1864 rub.	459,593
„ 1850 „	138,747	„ 1865 „	628,297
„ 1851 „	138.201	„ 1866 „	496,347
„ 1852 „	234,623	„ 1867 „	1,334,029
„ 1853 „	322,703	„ 1868 „	2,778,313
„ 1854 „	351,454	„ 1869 „	1,885,569
„ 1855 „	434,702	„ 1870 „	2,435,716
„ 1856 „	359,687	„ 1871 „	3,438,471
„ 1857 „	450,112	„ 1872 „	2,194,976
„ 1858 „	450,008	„ 1873 „	3,829,365
„ 1859 „	560,390	„ 1874 „	3,814,466
„ 1860 „	382,629	„ 1875 „	3,151,406
„ 1861 „	630,357	„ 1876 „	4,926,844
„ 1862 „	542,582	„ 1877 „	6,684,433
„ 1863 „	443,320	„ 1878 „	5,028,580

ciągłego nad fabrykacją nadzoru, skutkiem czego koszta poborowe zniżają się do możliwego *minimum* <sup>1)</sup>.

Tę zaś taniłość mając głównie na oku i poświadczwszy: „iż z systematów zagranicznych nic dla Rosyji zapożyczyć się nie daje,” tenże statysta osądził, iż podatkowość zamknąć można w ramy skromniejsze, ani kwestyi ogólniejszego znaczenia, ani zadań stanu nieporuszające. A mianowicie powiada: „poprzestać na obmyśleniu takich zmian i ulepszeń w metodzie podatkowej, któreby mogły do pewnego stopnia znieść jój złe, zachowując jój dobre strony i pozostać przy dzisiejszym systemacie, dopóki przeistaczające się ciągle warunki czasu, gospodarstwa finansowego i techniki, nie dozwolą zwrócić się do systemu innego, doskonalszego i nowego <sup>2)</sup>.”

Wyrazy: *zmiany* i *ulepszenia*, przetłómaczone na język zrozumiały znaczą zaś: *podwyższenie podatku za pomocą zwiększenia dotychczasowych norm* i to podwyższenie ma być w istocie jedynym rezultatem projektowanej reformy podatkowej.

Nie jest ono myślą nową; od r. 1872 normy uległy już kilkakrotnym zmianom, podnosząc za każdym razem koszta produkcji cukru <sup>3)</sup>,

<sup>1)</sup> *Obzor...* str. 189. *Żurnal Komisiji* str. 6. Nie zaprzeczamy téj taniości, mniemamy przeciw, że ona w tym zwłaszcza przedmiocie stanowi drugo a nawet trzeciorzędny przymiot systemu podatkowego i w żadnym razie nie równoważy jego złych dla interesu ogólnego następstw. Przyznawanie znowu prostoty, czyli jasności zasad podatkowych, jest rzeczą zapatrywań i osobistego poglądu; sądzimy przeto, że wolno nam przeciwne wyrazić zdanie, usprawiedliwione tém, cośmy już w tym przedmiocie powiedzieli w ciągu tego studjum. Wybór i zastosowanie do każdego przypadku jednej z tych norm, może być zadaniem łatwem dla agentów skarbowych, niemających interesu w mniejszych lub większych rezultatach cyfrowych rachunku; zadanie przeciw przemysłu, zmuszonego obliczać swe koszta produkcji na podstawie tyłu i tak bardzo skomplikowanych norm, jest przeciwnie bardzo trudném; ścisłość zaś tego obliczenia warunkuje powodzenie fabryki. Kwestya zależy więc od przesądzenia, co ma stać na pierwszym planie: fabryki, czy łatwość poboru podatku do nich regulowanego.

<sup>2)</sup> *Obzor...* str. 191.

<sup>3)</sup> Oto przykład z fabryki Hermanów: w kampaniach z lat 1868/72 obliczano, iż w 100 wiadrach objętości naczyń dyfuzyjnych, przerabia się na dobę 5 berkowców buraków. Normy te powiększone były do 7 berkowców na kampanie z lat 1872/5, do 16 berkowców na kampanię 1876/7 r.

W chwili gdy to piszemy, rzecz jeszcze niezdecydowana, w jakim stosunku te normy mają być na przyszłość powiększonymi; z wiadomości prywatnych obawiniby się wypadło podwyższenia we dwójnasób. Każda przeto fabryka musiałaby płacić dwa razy więcej podatku, skoro zdwniałaby się liczba berkowców buraków, wprowadzanych do rachunku akcyzy. Stosunek zaś ilości buraków do tegoż rachunku niewprowadzanych, byłby tak samo jak dotąd różnym w każdej fabryce. Nie przestanie więc istnieć nierówność podatkowa, owa najgłówniejsza wada dzisiejszego systemu.

niezależnie od drugiego czynnika rachunkowego, od samej skali podatku, także kilkakrotnie podwyższonej <sup>1)</sup>.

Wczytując się też we wszystkie pisma rzeczonych statystów i pragnąc najtroskliwiej zbadać ich, że się tak wyrazimy, psychiczny stosunek z przedmiotem, któremu tak wiele poświęcili czasu i pracy, nie jesteśmy w możności innych wyprowadzić wniosków, jak te, iż co do norm, pozostawali oni pod wpływem ciągłego optycznego złudzenia. Ich zaś zapatrywaniem się na przemysł cukrowniczy towarzyszył najwyższy, a zarazem bardzo nieogledny optymizm i tylko temu podwójnemu usposobieniu przypisać można, iż z całej doniosłości złych skutków utrzymanej przez nich podatkowości, potęgujących się jeszcze przez zamierzone podwyższenie norm, jasnej nie zdawali sobie sprawy.

Jakoż, nic nie da się właściwiej zaliczyć do rzędu złudzeń optycznych, jak właśnie owo mniemanie, że kiedyś, w przyszłości wynalezionemi będą takie normy na oznaczenie siły produkcyjnej przyrządów fabrycznych i wydajności cukru z miazgi buraczanej, któreby rezultat fabrykacji wykazywały z całą ścisłością. Mogą one być nawet wyższymi od rzeczywistości, skoro zależą od zapatrywań ludzkich, jak wiadomo niezawsze jasnych i prawdziwych; ale temu nie zapobiegną, iżby jedne fabryki dobywały z owęj miazgi sok prędkiej i w większej ilości, inne powolniej i mniej. Wszystkie fabryki mogłyby się znaleźć nawet w takim położeniu, iż wyrabiałyby mniej cukru niż wykaże rachunek, oparty na normach; ale produkcya od tych norm większa czy mniejsza, zysk czy strata na podatku, wypadnie zawsze niejednakowo, w każdej fabryce zawsze w stosunku innym i nie nie zdoła zapobiedz tej nierówności podatkowej, przy metodzie opartej na normach. Jestto pewnik,

<sup>1)</sup> Od roku 1871 wysokość akcyzy od każdego puda cukru surowego wykazywanego w rachunku agentów skarbowych, opartym na normach, ustanowioną jest na 70 kopiejek. W razie przeoczeń, gdyby przecięciowy dochód skarbowy z lat 1875 i 1876 z akcyzy i cła łącznie, nie był uozynił 5 milionów rubli, a z lat 1877 i 1878 6,500,000 rubli, minister finansów był upoważnionym podnosić skalę akcyzy aż do 90 kopiejek od puda, poczynając od miesiąca sierpnia następującego po roku, w którym okazał się być niedobór. Rzeczywiście przeto fabryki cukru w Królestwie płaciły poprzednio w r. 1869/70 po 50 kopiejek od puda. W następnych zaś pięciu kampaniach (1870/5 r.) po 70 kopiejek, a w ostatnich trzech (1875/8 r.) po 80 kopiejek.

Jednocześnie cło od puda cukru wwożonego z zagranicy lądem lub morzem, oznaczone w r. 1873 po rubli 2 kop. 50 od cukru surowego, a o rubel więcej od rafinady, ulegało ostatecznemu obniżeniu, mianowicie:

w r. 1874	od cukru surowego	2 rub. 40 kop.,	od rafinady	3 rub. 40 kop.
" 1875	"	2 " 30	" " 3	" 30 "
" 1876	"	2 " 20	" " 3	" 20 "
" 1877	"	2 " 10	" " 3	" 10 "
" 1878	"	2 " —	" " 3	" — "

Obzor... str. 149; Rozwitiye.... str. 250, kolumna 4 tabeli.

tak dalece widoczny, iż nawet dowodzonym być nie potrzebuje. Ta więc wadliwość systematu podatkowego nie przestanie wytwarzać konkurencji pomiędzy fabrykami, mającej na celu nie rzeczywisty postęp fabrykacji, ale wyścigi o zdobycie jaknajwiększego na podatku premium i będącej zawsze konkurencją o sam pośpiech dobywania soku. Zaznaczyć jeszcze wypada, że optyczne złudzenie, o jakim mowa, sięga w przyszłość dość odległą; przez jaki zaś proces myślenia oddziało na podatkowość projektowaną tylko na lat 6, tego już odgadnąć nie byliśmy w możności.

Optymizm znowu, cechujący zapatrywania się statystów na cukrownictwo, jak niemniej na warunki istnienia i rozwoju tej gałęzi przemysłu, odbija się w tych na przedmiot poglądach:

1) jakoby na niej ciążył przede wszystkim zły stan rolnictwa krajowego, poprzestającego na bardzo miernych urodzajach buraków i niezasilającego roli pierwiastkami, z których rośliny czerpią swe pożywienie; i

2) zbyt mała liczba dostatecznie ukształconych techników, pociągająca za sobą nieumiarkowane z ich strony wymagania pod względem uposażenia i techniczna niedokładność fabrykacji tam, gdzie dyrektor odpowiedniego uzdolnienia fachowego niema <sup>1)</sup>).

Inne zaś warunki, na których przecież głównie stoi cukrownictwo w Imperyum, poczytywane być musiały za tak dalece drugorzędne i bez wpływu, skoro w urzędowym źródle czytać można zdanie następujące: „z usunięciem tych dwu nieprzyjaznych okoliczności (zastoju rolnictwa i braku techników), cukrownictwo wejdzie na drogę spokojniejszego i bardziej prawidłowego rozwoju, przy którym kryzysy w rodzaju tego, jaki był przypadek w r. 1876/7 staną się dlań mniej niebezpiecznymi, skoro przy obniżeniu cen cukru, jeszcze ten produkt znajdzie bardzo obszerny i stały odbyt w kraju i zagranicą <sup>2)</sup>).

Zachodzi więc potrzeba zdanie to wziąć pod bliższy rozbiór. Potrąca ono bowiem nietylko o ważną kwestyą rozwoju cukrownictwa i warunków samego istnienia tej gałęzi przemysłu, ale zarazem i o kwestyą ogólniej konsumpcji cukru w Imperyum.

## IX.

Zastój rolnictwa, będący niewątpliwie ujemną stroną w ogólnej ekonomii Imperyum, a zarazem przeszkodą dla rozwoju narodowego bogactwa, niema doniosłego wpływu na istnienie i przyszłe losy cukrownictwa. Cukrownictwo powstało przy takich samych, a może przy jeszcze większych trudnościach, niż te, z którymi dziś walczy rolnictwo krajowe; nie przeszkodziły one przecież, ani wzrostowi liczby fabryk, ani powiększeniu produkcji cukru, ani rozwojowi przemysłu cukrowniczego

<sup>1)</sup> *Razwitijs...* str. 231 i 232.

<sup>2)</sup> *Tamże*, str. 232.



Od samego bowiem początku swego istnienia obliczał się ten przemysł z rzeczywistością, brał w rachubę taki stan rolnictwa i jego produkcji, jaki znajdował w kraju—a nawet nie mógł działać inaczej. Jeżeli przeto ogólny zastój gospodarstw rolnych słusznie zwraca myśl statystów ku owym trudnościom, tamującym wzrost najważniejszej gałęzi bogactwa narodowego i wytwarza dla nich ważne w tym kierunku zadania państwowe, niemożna przecież ztąd wzprowadzać takiego jeszcze wniosku, iżby stan rolnictwa stawał zarazem w poprzek na drodze rozwoju przemysłu cukrowniczego lub zagrażał mu upadkiem. Chociaż bowiem nie ulega zaprzeczeniu, iż zwiększona produkcya buraków, a co ważniejsza uprawa takich gatunków téj rośliny, któreby zawierały więcej stodyczy, będąca jedném z następstw lepszej kultury rolniczej, nie pozostawiała bez odpowiedniego a dodatniego na przemysł cukrowniczy wpływu; chociaż fabryki mogłyby wtedy zaopatrywać się w ów materiał surowy tańszym kosztem: niepodobna przecież ani lepszym jego przymiotom, ani téj taniości zbyt wielkiego przypisywać znaczenia lub sądzić, iż one równoważyłyby to zło, jakie dla fabryk pociąga za sobą wadliwy systemat podatkowy.

Drugiej znowu trudności, mającej wynikać z braku dostatecznej liczby uzdolnionych techników, nie dostrzegamy wcale. Każda fabryka łatwo znajduje i rzeczywiście każda ma odpowiedniego dyrektora. Cyfra zaś jego wynagrodzenia jest bez żadnego wpływu. Wydatek bowiem kilku tysięcy rubli rocznie, rozłożony na jednostki przerabianego materiału surowego, obciąża koszta produkcji w tak małym stosunku, iż nie może czynić znacznej różnicy. Nie wynosi bowiem kopiejki na centnarze buraków, a  $\frac{1}{10}$  kopiejki na funcie wyprodukowanego cukru.

Nie należy więc przyczyn rozwój przemysłu tamujących szukać tam, gdzie ich niéma, a gdzie je dopatrzyło urzędowe źródło. Leżą one bowiem gdzieindziej, a głównie w metodzie i w wysokości opłat podatkowych i celnych, wywierających na cukrownictwo, tak samo jak na każdą inną gałąź krajowego przemysłu, wpływ do pewnego stopnia wyłączny, a w każdym razie najdonioślejszy i najpoważniejszy.

Jakoż, *za pomocą podatkowości i cel, każdy kraj może uczynić co zechce z każdą gałęzią przemysłu*, ułatwić lub uniemożliwić jęj początki, wpłynąć na jęj rozwój, zapewnić jęj dalsze istnienie, lub sprowadzić jęj upadek. Liczne na to dowody przynosi historia podatkowości każdego kraju, wykazując praktyczne i pozytywne rezultaty każdego systematu podatkowego i celnego, wprowadzanego w życie. Dla objaśnienia i rozwinięcia powyższego pewnika, posługiwać się przeto będziemy danymi statystycznymi, zapożyczanymi od przeszłości. Tylko oglądanie się na nią dozwoli wyciągać pożytek z doświadczenia minionych pokoleń i tylko z pomocą historii uniknąć można błędów, idących w ślad za ideami abstrakcyjnymi, nierachującymi się z rzeczywistością, a zamiast budować gmach na podstawie pomysłów idealnych, często samowolnych, dać mu fundamenta trwalsze. Fenomena bowiem eko-

onomiczne, na które codziennie patrzymy, nie są nigdy faktami przypadkowymi, ale zawsze odbiciem zasad przez społeczeństwo przyjętych i wprowadzonych w życie, a więc przedewszystkiem wynikiłością systematów prawnych, nadających kierunek działalności ekonomicznej każdego narodu.

Historia akcyzy i ceł od cukru w Imperyum, tak jak każda inna, daje się podzielić na pewne okresy. Pierwszy okres ogarnia epokę uprzedzającą zawiązek tej gałęzi przemysłu krajowego, kończy się więc między 1803 i 1809 rokiem <sup>1)</sup>. Cło w tym okresie pobierane przez skarb od cukru zagranicznego, jest niewątpliwie cłem czysto fiskalnym. Ze stanowiska ekonomicznego wysokość opłat celnych zależy wyłącznie od tego, czy cukier ma być poczytywanym za przedmiot zbytkowy, czy też za artykuł pierwszych potrzeb, których taniość jest zawsze dla społeczeństwa pożądaną. Nie znajdujemy nigdzie wzmianki, jak w owym okresie na to pytanie odpowiadano. Być może iż wówczas istniały pod tym względem różne zapatrywania, skoro i dziś dają się spotykać zdania wprost przeciwne <sup>2)</sup>. W każdym zaś razie przeważały widać względy fiskalne, skoro skarb pobierał cło wysokie, cukier zaś musiał być w handlu bardzo drogim, skoro w r. 1841, od którego zaczynają się dane statystyczne, cena białej mączki hawańskiej wynosiła w Petersburgu jeszcze 7 rubli i 82 kop. za pud, chociaż cukier już był znacznie staniał w całej Europie, w stosunku do cen z XVIII wieku.

Przez cały bieg tego okresu i niezależnie od zapatrywań na kwestyę taniości cukru, rząd miał w ręku środki uczynić z fabrykacji miejscowej co zechce, mianowicie zaś: 1) pociągnąć kapitały prywatne ku téjże fabrykacji i tym sposobem nadać działalności ekonomicznej nowy kierunek i wytworzyć nową gałąź przemysłu krajowego; albo 2) rzeczony kapitały od tegoż kierunku stanowczo odwrócić. Do pierwszego celu prowadziło utrzymanie nadal wysokich ceł, bez obciążania akcyzą fabrykacji miejscowej; do drugiego znowu zuiesienie cła od cukru zagranicznego, lub jednocześnie obciążenie opłatami w téjże wysokości cukru z produkcji miejscowej. W takim bowiem razie nikomu nie byłoby nawet przyszło na myśl zakładać w Rosyi fabryki cukru, skoro przy ówczesnych, niedość rozwiniętych sposobach fabrykacji i małym pro-

<sup>1)</sup> Pierwsza fabryka cukru z buraków, w r. 1803 w gubernii Tulskiej założona, utrzymać się nie mogła. Założone przecioż w r. 1809 fabryki (Maltzowa, hr. Bobrińskiego i inne), istnieją do dziś. R. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 58.

<sup>2)</sup> „Sachar perestał użo u nas byt' predmetom roskoszy, a sdielaiaia predmetom narodnoj potrebnosti,” pisze E. Andrejew, *Izslidowanija...* str. 102 i *Żurnał komisiji*, str. 26. Przeciwnie zaś inni członkowie uważali, że „Sachar upotrebliaetsia sravnitelno zażytecznym klasom naroda i sostawliaet predmet roskoszy.” Tenże *Żurnał*, str. 27.

cencie wydajności buraków, koszta produkcji byłyby były zawsze wyższymi od cen płaconych za cukier zagraniczny <sup>1)</sup>

Owcześni statyscy zapragnęli dojść do celu pierwszego, za co im od społeczeństwa rosyjskiego niewątpliwe należy uznanie, a nawet nie poprzestając na premiach wynikających z cła, pierwszym nowo-wznoszonym fabrykom dawali ze skarbu państwa bezzwrotne zasiłki pieniężne <sup>2)</sup>. Epoka więc od powstania pierwszych fabryk do chwili opodatkowania fabrykacji cukru (1809—1848 r.), może być nazwaną okresem drugim. Przez cały ten okres podatkowość rosyjska była konsekwentną, zgodną z celem do którego dążyła i dlatego otrzymała to co chciała. Krajowe fabryki cukru od wszelkiego podatku wolne, miały sobie zapewnione premia, przez pobór wysokich ceł od cukru zagranicznego, tylko zaś przy tych premiach mogły być stanąć do konkurencji z fabrykami zagranicznymi. Te zaś cła, podtrzymując wysokie ceny handlowe cukru, stawały się zarazem silną zachętą do zakładania fabryk, zachętą nierównie skuteczniejszą od owych zasiłków pieniężnych, czynionych przez skarb <sup>3)</sup>. Tęj konsekwencji, tego

<sup>1)</sup> Dr. v. Kaufman objaśnia wprawdzie, str. 57: die unermesslichen Ebenen des Landes enthalten einen vielfach äusserst günstigen Rübenboden; von der türkischen bis zur sibirischen Grenze dehnt sich ein Productiongebiet aus, auf welchem Rüben gedeihen, die oft sogar die deutschen um 2—4<sup>0</sup>/<sub>10</sub> Polarisationszucker übertreffen." Ta jednak szczodrość przyrody jeszcze nie byłaby się stała zachętą do rozpoczynania na równych warunkach konkurencji z zagranicą, skoro wówczas nieumiano jeszcze wyciągać z buraka tyle cukru co dziś; udoskonalone przyrządy fabrykacyjne jeszcze bowiem wynaleziono nie były.

<sup>2)</sup> Pięćdziesiąt tysięcy rubli fabryce wznoszonej w r. 1803, a bardzo znaczne (*sehr bedeutende*) sumy fabrykom powstającym od r. 1809, poświadcza tenże dr. v. Kaufmann, str. 58.

<sup>3)</sup> Dr. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 58, poświadcza, że w r. 1820 istniało w Rosyji zaledwie 38 fabryk, zatrudniających tylko 1100 robotników, (t. j. przeciętno po 29 robotników każda). W chwili zaś opodatkowania fabrykacji cukru (1849 r.), było już 349 fabryk. Te dane, od Tęgoborskiego wzięte, podaje także źródło urzędowe (*Razwitiye...* str. 237); w r. zaś 1877/8 było w Cesarstwie tylko 205 fabryk (*Kratkij Oczerk...* str. 193), więc o 144 mniej niż w r. 1849. Od cukru zagranicznego skarb pobierał cło w następującej wysokości:

a) W latach 1824 5 i 6 przywóz cukru do Cesarstwa był dozwolonym tylko przez Odessę; cło od mączki po rub. 2 kop. 50, od rafinady po kop. 75 od puda.

b) Od włącznie 1827 do włącznie 1831 r., przywóz cukru był dozwolonym wszelkimi drogami, bez zmiany poprzedniej wysokości cła.

c) Od włącznie 1832 do włącznie 1841 r., cło było pobieranem po rub. 3 kop. 15 od puda mączki wwożonego wszelkimi drogami. Dla Odessy utrzymywana wysokość 75 kop., od puda rafinady.

*esprit de suite* niema już pomiędzy poglądami późniejszych statystów, działających w okresie trzecim, ciągnącym się od r. 1849 do obecnej chwili, a nawet przy badaniu celów podatkowości w tymże okresie poprzedzającym wypada na samych tylko domysłach. Opodatkowanie zaś fabrykacji cukru nie obala pewnika, który w tém miejscu oceniamy, owszem, statysci kombinując akcyzę z cłem, są także wszechwładnymi panami każdego przemysłu i robią zeń co zechcą. A chociaż przy projektach budżetowych, wszędzie w tój materji grających ważną rolę, skala podatkowa może przekraczać granice umiarkowania, sama wysokość akcyzy nie sprowadzałyby przecież radykalnej zmiany w położeniu fabryk krajowych, jeżeli jednocześnie będą podnoszonemi cła. W takim bowiem razie konkurencya tych fabryk z zagranicznymi, jeszcze osłonięta systematem protekcyjnym, jeszcze pozostanie możliwą. Wysokość akcyzy i cła oddziała wprawdzie na ceny handlowe cukru spożywanego w kraju, że jednak taniość tego artykułu żywności wchodzi już w zakres ogólniejszych zadań państwowych, pozostawiamy ją więc na boku, a raczej pomówimy o niej przy uwagach nad ogólną konsumcyą cukru w Cesarstwie <sup>1)</sup>. W tém zaś miejscu idąc, jak się rzekło

d) Od włącznie 1841 do włącznie 1848 r., przywóz cukru lądem był znowu wzbronionym; mączkę dozwolano wprowadzać przez wszystkie porty, za opłatą cła po rub. 3 kop. 80 od puda; rafinadę tylko przez port Odeski za taką opłatą, (*Dokład...* z r. 1871, str. 72).

Byłto więc systemat do pewnego stopnia prohibicyjny, a w każdym razie wysoc protekcyjny.

Wedle ceduł handlu petersburskiego, średnia cena białej hawańskiej mączki wynosiła:

w roku 1841 (tenże <i>Dokład</i> , str. 73),	rs. 7 kop. 82	a bez cła rs. 4 k. 17
" 1842	" 7 " 62 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	( <i>Trudy</i> " 3 " 82 <sup>1</sup> / <sub>2</sub> )
" 1843	" 7 " 75	<i>komisyi...</i> " 3 " 95
" 1844	" 7 " 49 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>	<i>Prilożeni-</i> " 3 " 63 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>
" 1845	" 8 " 31 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	<i>nija k'oso-</i> " 4 " 51 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
" 1846	" 7 " 61	<i>bomu mnie-</i> " 3 " 81
" 1847	" 7 " 61	<i>niju 9 czle-</i> " 3 " 81
" 1848	" 7 " 97 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>	<i>now, nr. 5.</i> " 4 " 17 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>

Koszta zaś produkcyi puda cukru z buraków w fabrykach Cesarstwa, bez kosztu odstawy do Petersburga rs. 4 kop. 71 (też *Prilożeniya*, nr. 15). Koszt odstawy puda cukru z południowo-zachodniej Rosyji do Petersburga rs. 1 kop. 95 (tamże nr. 17).

Tylko więc dzięki cłu, ceny petersburskie pokrywały koszta produkcyi cukru krajowego i dawały nadto widoczną na fabrykacyi korzyść i tylko za pomocą ówczesnego systemu celnego w Rosyji, rząd mógł dojść do wytworzenia się tój gałęzi przemysłu krajowego, czyli do celu jaki był sobie założył.

<sup>1)</sup> Oddziaływanie wysokości podatków na przemysł do opłaty pociągany, najłatwiej zrozumieć można na przykładzie; bierzemy zaś przykład niemo-

drogą domysłów, zatrzymamy się chwilę nad możliwemi celami statystów okresu trzeciego i nad środkami, za pomocą których te cele osiągnąć zamierzali.

Przemysł cukrowniczy w r. 1849 znajdował się już w zupełnym, normalnym rozwoju; wnosić przeto należy, że ówczesni statysci pragnęli przedewszystkiem zapewnić miejscowej produkcji cukru odbyty krajowy, a towar zagraniczny usunąć z targów, czyli doprowadzić Rossyą do tego stanu, iżby na przyszłość niepłaciła corocznie znacznych summ za cukier fabrykom zagranicznym. Jest to bowiem cechą dobrego gospodarstwa nie kupować u obcych tego, co się ma u siebie w domu; Każdy usiłuje iść za tą regułą, państwo zaś polepsza tym środkiem stosunek między swym ogólnym wywozem i przywozem i zatrzymuje w kraju znaczne kapitały, które inaczej, wychodząc za granicę, zwłaszcza za artykuły żywności, girą bezprodukcyjnie i corocznie kraj ubożą <sup>1)</sup>. I z tego właśnie względu istnieją cła protekcyjne, które w takiej wysokości ustanawiać trzeba, iżby mogły przywóz zagranicznych wyrobów *rzeczywiście* utrudnić, zachowując dla produkcji miejscowej wszystkie targi krajowe. W r. 1848 zamykającym okres 2-gi, Rossya sprowadziła była z zagranicy 1,717,950 pudów mączki i 98,332 pudów rafinady <sup>2)</sup>, nie schodząc zaś z obranej przez siebie drogi aż do r. 1872 do tego doszła rezultatu, że w r. 1873 przy cła rs. 2 kop. 50 od puda, wprowadzono do Cesarstwa już tylko 119,871 pudów mączki zagranicznej i 927 pudów rafinady <sup>3)</sup>. Z nowemi wszakże, a odmiennemi poglądami statystów, Rossya zaczęła owoce swęj jednostajnej i konsekwentnej polityki finansowej tracić. Uznając za rzecz niepotrzebną odróżnianie dróg lądowych od dróg

zliwy, umyślnie posuwając się do *absurdum*, takie bowiem przykłady najlepiej uwydatniają prawdę. Gdyby więc akcyza podwyższoną została np. do rubla od funta cukru, podróżałby on natychmiast w takimże stosunku, ale fabryki jeszczeby mogły istnieć pod warunkiem odpowiedniego i jednoczesnego podwyższenia cła od cukru zagranicznego i zaprowadzenia takiej metody poboru akcyzy, któraby produkcji krajowej zapewniała równość podatkową. A więc jedynie konsumenci byłiby dotknięci takim podwyższeniem skali podatku; na przemysł oddziałaloby ono tylko pośrednio, nie wywołując radykalnej zmiany w jego podstawach, jeszcze bowiem konkurencyja z zagranicą nie stawałaby się niemożliwą.

1) O systemacie protekcyjnym i jego stosunku do teoryi wolnego handlu, zamierzamy pomówić w jednym z następných rozdziałów.

2) *Dokład...* str. 72.

3) Od r. 1849 do włącznie r. 1872 cła pobieraném było w następującej wysokości.

a) Od 1849 do włącznie 1853 r. po rs. 3 kop. 80 od białej mączki, po rs. 3 kop. 20 od mączki żółtej, lub ozerwoněj; przywóz drogami lądowemi wzbroniony. Przywóz rafinady dozwolony tylko przez Odessę.

b) Od r. 1854 do włącznie 1856 przywóz lądem dozwolony, cła od

morskich, przyjęto zarazem metodę, wytlómaczyć się nie dającą, corocznego obniżania cła od cukru zagranicznego o 10 kopiejek na pudzie, bez względu na jednoczesne ciągłe podwyższanie akcyzy od cukru krajowego, przeprowadzane w sposób podwójny, a mianowicie: przez kilkakrotne w ciągu tych 6 lat powiększanie norm i zarazem samęj skali podatku. To też w r. 1875 zagranica wprowadziła znowu do Cesarstwa 1,428,440 pudów mączki i 5,611 pudów rafinady <sup>1)</sup> i byłaby niewątpliwie zawładnęła rynkiem Petersburskim z widoczną niekorzyścią przemysłu krajowego, gdyby *agio* na walucie zagranicznej nie było się podniosło do 160—170%, a chwilami i wyżej i gdyby nie nowy przepis względem pobierania wszystkich cel w złocie. Ten przepis i to *agio* zastąpiły dla przemysłu cukrowniczego opiekę, jakiej mu nowa polityka finansowa udzielać zaprzestała.

Jeżeli przeto cukier zagraniczny jest znowu w niemożności czynienia konkurencyi cukrowi krajowemu, zawdzięczać to należy przyczynom zewnętrznym, przypadkowym; ale jest zarazem rzeczą widoczną, iż dopóki istnieć będą owe nowe poglądy, ów cel statystów z r. 1848, nie jest już celem dzisiejszej podatkowości, skoro przyjmowane przez nią środki ze swęj natury muszą właśnie prowadzić do rezultatu wprost przeciwnego.

Jakoż, rachunek dokładnie wykazuje, iż przy dzisiejszych cenach cukru w Prusiech, Niemcy byłoby w możności przedawać ten produkt w Imperyum, po cenach handlowych, istniejących w Warszawie i w Petersburgu; ceny te zaś mało przewyższają kosztu produkcji krajowej, lub przynoszą jęj korzyść bardzo umiarkowaną <sup>2)</sup>. Już w inném

cukrów sprowadzanych morzem utrzymane w poprzedniej wysokości, cło od przywożonych lądem: rs. 2 od mączki, rs. 4 od rafinady.

c) Od włącznie 1857 do włącznie 1862 r. od mączki sprowadzanej lądem rs. 2, morzem rs. 3; od rafinady sprowadzanej morzem rs. 5, lądem rs. 4.

d) Od włącznie 1863 do włącznie 1872 r. od mączki sprowadzanej morzem rs. 3, lądem rs. 2 k. 50; od rafinady morzem rs. 4 k. 50, lądem rs. 4 (tenże *Dokład* str. 72).

e) Od włącznie 1873 jest w zastosowaniu metoda nowa. Zniosła ona różnicę między drogami lądowymi i morzem, obniżając cło corocznie o 10 kop. na pudzie.

Cło pobierane było w r. 1873 po rs. 2 k. 50 od mączki, po rs. 3 k. 50 od rafi.

1874	„	2	„	40	„	3	„	40	„
1875	„	2	„	30	„	3	„	30	„
1876	„	2	„	20	„	3	„	20	„
1877	„	2	„	10	„	3	„	10	„
1878	„	2	„	—	„	3	„	—	„

(*Razwitijs...* str. 250)

<sup>1)</sup> *tamże.*

<sup>2)</sup> W chwili gdy te uwagi czynimy (maj 1879 r.), centnar celny niemiecoki kosztuje w Szozecinio 40 marek mączka, a 43 marek rafinada. Przyjmując te ceny za punkt wyjścia, łatwo obliczyć po czemu może być prze-

miejsu obliczyliśmy przecięciowe koszta produkcji fabryk ukraiń-

dawany 24 funtowy kamień cukru niemieckiego w Warszawie i pud takiegoż cukru w Petersburgu.

## I) w Warszawie.

Cena w Szczecinie za 100 funtowy centnar w. c. 43 i 40 marek . . . . .  
Fracht do Warszawy 1 mar. 19 fen.  
+ 29½ kop. od rafinady 1 mar. 4 fenig.  
+ 29½ kop. od centnara mączki . . . . .  
Fracht wodą . . . . .  
Różne koszta i prowizya w Szczeci-  
nie 15 fen. od centnara . . . . .  
Assekuracya przesyłki wodą 1% . . . . .  
Podatek przy wywozie cukru płacony  
w Prusach 5 fen. od centnara . . . . .

Razem . . . . .

Rząd pruski zwraca przy wywozie cu-  
kru z Niemiec 11 marek 50 fen. od cen-  
tnara rafinady, a 10 mar. 80 fen. od  
mączki . . . . .

Centnar niem. w c. kosztuje więc  
*loco* dworzec drogi żelaz. lub przystań  
na Wiśle w Warszawie . . . . .

Zaś 24 funtowy kamień wagi War-  
szawskiej . . . . .

Dodając zaś cło po rs. 1 kop. 80 od  
kamienia rafinady, a po rs. 1 kop. 20  
od mączki, ceny wynosiłyby ostatecz-  
nie . . . . .

## II) w Petersburgu.

Cena w Szczecinie, jak w rachunku I.

Fracht do Petersburga drogami że-  
laz. 4 mar. 61 fen., morzem mar. 1 od  
rafinady, 80 fen. od mączki . . . . .

Różne koszta i wydatki w Szczecinie,  
jak w rachunku I . . . . .

Assekuracya od przesyłki wodą, jak  
w rachunku I. . . . .

Podatek przy wywozie z Prus, jak  
w rachunku I. . . . .

Razem . . . . .

Rząd pruski zwraca, jak w rachunku I

Centnar niem. w c. kosztuje więc *loco*  
dworzec drogi żelaz. lub przystań na  
Newie w Petersburgu . . . . .

Czyli pud wagi rosyjskiej . . . . .

Dodając zaś cło rs. 3 od rafinady, rs. 2  
od mączki . . . . .

	Rafinada		Mączka	
	ładem	wodą	ładem	wodą
Ruble i kopiejki, licząc walutę ros- syjską <i>pari</i> z kurantem pruskim.				
	12,90	12,90	12	12
	65 <sup>20</sup>		60 <sup>70</sup>	
	—	28½	—	28½
	4 <sup>50</sup>	4 <sup>50</sup>	4 <sup>50</sup>	4 <sup>50</sup>
	—	12 <sup>00</sup>	—	12 <sup>00</sup>
	1 <sup>50</sup>	1 <sup>0</sup>	1 <sup>50</sup>	1 <sup>50</sup>
	13,61 <sup>20</sup>	13,37 <sup>40</sup>	12,66 <sup>70</sup>	12,46 <sup>50</sup>
	3,45	3,45	3,24	3,24
	10,16 <sup>20</sup>	9,92 <sup>40</sup>	9,42 <sup>70</sup>	9,22 <sup>50</sup>
	2,	1,95	1,85 <sup>20</sup>	1,81 <sup>50</sup>
	3,80	3,75	3,05 <sup>20</sup>	3,01 <sup>50</sup>
	12,90	12,90	12	12
	1,38 <sup>3</sup>	30	1,38 <sup>3</sup>	24
	4 <sup>50</sup>	4 <sup>50</sup>	4 <sup>50</sup>	4 <sup>50</sup>
	—	12 <sup>00</sup>	—	12 <sup>00</sup>
	1 <sup>50</sup>	1 <sup>50</sup>	1 <sup>50</sup>	1 <sup>50</sup>
	14,34 <sup>10</sup>	13,38 <sup>50</sup>	13,44 <sup>30</sup>	12,42 <sup>00</sup>
	3,45	3,15	3,24	3,24
	10,89 <sup>30</sup>	9,93 <sup>00</sup>	10,20 <sup>10</sup>	9,18 <sup>00</sup>
	3,57	3,25	3,34½	3,01
	6,57	6,25	5,34½	5,01

skich i podolskich na rs. 3 kop. 93 od puda cukru; co łącznie z frachtem od fabryki do najbliższej stacyi, a następnie drogą żelazną do dworca i z tegoż dworca wozem do magazynów w Petersburgu, i z innymi kosztami sprzedaży, wynoszącym najmniej kopiejek 90 od puda, czyni rs. 4 kop. 83 <sup>1)</sup>. Cukier zaś sprowadzany morzem ze Szczecina mógłby być przedawanym w Petersburgu po rs. 5 kop. 1. Przy każdym przeto podwyższeniu podatku ciężącego na produkcji krajowej, a więc przy każdym zwiększeniu jej kosztów, mogłyby Niemcy przedawać cukier po cenach niepokrywających rzeczonych kosztów. Przyjmujemy w tych obliczeniach rubel kredytowy *al pari* z kurantem pruskim, mniemamy bowiem, że kurs dzisiejszy jest tylko przejściowym i że przy swych jeszcze niewyczerpanych bogactwach naturalnych, Rossya wcześniiej lub późniiej będzie w możności dojść do zrównania swjej monety papierowej z monetą metaliczną <sup>2)</sup>.

Przeto przy zamierzonym zwiększeniu kosztów produkcji cukru przez nowo projektowane normy o obniżeniu jego cen, i powyższym rachunku i przy możliwości polepszenia się waluty rosyjskiej, o wprowadzeniu tegoż produktu na targi zagraniczne niemoże być już mowy, i zdanie, w zakończeniu poprzedzającego rozdziału dosłownie przytoczone, zaliczyć należy do złudzeń optycznych, lub marzeń bardzo szkodliwych, ilekroć pod ich wrażeniem roztrzęsają się systemata podatkowe. Nie zbadano też źródło urzędowe ani powodów kryzysu w r. 1876/7, o którym przecież wzmiankuje, ani fenomenu wyprowadzania cukru do krajów Zachodu, jakie po tymże kryzysie przypadkowo przypadło. Na ów kryzys złożyły się były jednocześnie:

Wedle powyższych obliczeń, ceny mączki sprowadzanej z Prus, już się równoważą z cenami targoweni takiejże mączki dawanemi obecnie w Petersburgu i Warszawie. Cukier zagraniczny nie przychodzi więc do Imperyum tylko dlatego, iż *agio* na kurancie pruskim zapewnia znaczne premium dla produkcji krajowej. Jakimże sposobem z ohwilą zrównania się waluty rosyjskiej z kurantem pruskim, przemysł krajowy mógłby podjąć konkurencyą z zagranicą, gdyby przy projektowanym powiększeniu norm dziennego przerobu, czyli przy podwyższeniu akocyzy w dwójnasób (na to bowiem ostatecznie wychodzi powiększenie norm), oło miało być utrzymane w dotychczasowej wysokości po rs. 2 od puda i gdyby podatkowość nieczyniła różnicy między towarem przywożonym lądem, od wprowadzanego morzem?

1) Koszta odstawy cukru z południowo-zachodniej Rosayi do Petersburga w r. 1863 (jeszcze wówczas częścią wozami), obliczane były na rs 1 kop. 65, różne wydatki kop. 15, komisowe od sprzedaży i za *del credere* kop. 15, razem rs. 1 kop. 95 od puda (*Priłożenija k osobomu mnieniu* Nr. 171 annoks do publikacyi: *Trudy komisayi...* z r. 1863).

2) Papierowe guldeny austriackie, jeszcze nie tak dawno stojące niżej 60 kopiejek, zrównały się przecież z guldenami srebrnemi, a przy większych obrotach pieniężnych już zaczynają nad temi ostatniemi mieć nawet przewagę.



a) większy niż lat poprzednich urodzaj buraków i istnienie większej liczby fabryk, w skutku czego ogólna produkcya cukru w samém Cesarstwie, wyniosła była w r. 1876/7 prawie dwa razy tyle, co w roku poprzednim <sup>1)</sup>; widocznie zaś nie podążyła za nią konsumpcya krajowa. b) zwiększenie kosztów produkcyi przez podwyższenie norm wydajności i skali samego podatku <sup>2)</sup> i c) konkurencya rozwinięta przez zagranicę; w ciągu bowiem dwu lat (1875 i 1876) wprowadzono do Cesarstwa o 300% więcej mączki i o 500% więcej rafinady, w stosunku do przywozu dwu lat poprzednich <sup>3)</sup>. Przyczyn więc tego kryzysu należy szukać wyłącznie w powiększeniu akcyzy przy jednoczesnym obniżeniu cła, zwłaszcza od transportów morzem, czyli w podatkowości, mającej na stosunki ekonomiczne wpływ tak dalece doniosły, iż nawet dar Niebios nie mógł być przemysłowi obrócić się na pożytek.

Idące w ślad za tymże kryzysem obniżenie cen cukru do cyfr, za ledwie pokrywających koszta produkcyi, a przez pewien czas nawet niższych od tychże kosztów, niebyłoby jeszcze ani zachęciło zagranicy do czynienia zakupów w Cesarstwie i w Królestwie, ani przemysłowi krajowemu otworzyło drogi do targów francuzkich, belgijskich i angielskich. Jeżeli bowiem za centnar mączki płaci się dziś w Szczecinie 40 marek, a za 100 kilogramów we Francyi 68 franków (co licząc rubla *al pari*, odpowiada cenom około 2 rub. 40 kop. i 2 rub., za kamień 24 funtowy), jakimże więc sposobem fabryki krajowe w stanie normalnym podejmowałyby mogły konkurencyą, nietylko w Prusiech lub we Francyi z tamtejszemi cukrami, ale nawet w tym ostatnim kraju, z cukrem niemieckim, mającym tani fracht morzem? Koszta przewozu cukru polskiego do portów bałtyckich, wynoszące jak widziliśmy około 14 lub 15 kop. od kamienia i cła zagraniczne, wytwarzają przecież wysokie

<sup>1)</sup> W r. 1866/7 było w Cesarstwie fabryk czynnych 263, w roku zaś poprzednim 252, w r. 1866/7 ogólna produkcya cukru, w samém Cesarstwie wynosiła 4,271,426, w roku poprzednim 2,287,635 pudów; (*Razwitijs...* str. 237). W ten rachunek nie wchodzi królestwo polskie, które także wyprodukować miało w r. 1876/7 100,000 pudów więcej, niż w roku poprzednim (*tamże* str. 239).

<sup>2)</sup> Przy 100 wiadrach objętości naczyń dyffuzyjnych z 7 berkowców w r. 1875/6 do 16 berkowców na dobę w roku następnym; z 13 kopiejek w r. 1875/6 do 15 kopiejek w roku następnym od 100 funtowego centnara buraków, i 70 do 80 kopiejek od puda cukru.

<sup>3)</sup> w r. 1873 przywiez. do Rossyi mączki pud. 119871, rafi. pud. 927  
 „ 1874 „ „ „ 341796 „ 923  
 „ 1875 „ „ „ 1428440 „ 5611  
 „ 1876 „ „ „ 494158 „ 1157  
 „ 1877 „ „ „ 1102 „ 404  
 „ 1878 „ „ „ 618 „ 38

(*Razwitijs...* str. 250).

premium dla cukrów niemieckich, częściowo tylko kompensowane drawbackiem, płaconym przy wywozie przez komory graniczne. Przemysł krajowy niemógłby przeto stać na równi z przemysłem zagranicznym, ta zaś równość jest jak wiadomo żywotnym dla każdej konkurencyi warunkiem. Podobna nierówność istnieje między cukrem rosyjskim i niemieckim, chociaż Petersburg jest pod względem kosztów przewozu w lepszym położeniu niż Warszawa, skoro one przy transportach morskich wynoszą tyle od puda, ile nasza produkcya płaci od kamienia. Wiadomo też najbliżej samym władzom skarbowym, iż poprzednio cukier pochodzenia krajowego nie wyszedł był ani razu za granicę, chociaż *agio* na kurancie pruskim już od lat blisko 20 było ciągle wysokiem (od 120% do 135%). I ono bowiem nie pokrywało jeszcze całego premium, wynikającego na korzyść fabryk niemieckich z tańszej produkcji i z tańszych kosztów odstawy. Musiało przeto coś takiego zająć na Zachodzie w latach 1876—1878, co wytworzyło położenie anormalne, a więc przemijające, a które przy *agio* o 40—50% droższem niż poprzednio, dało przemysłowi w Cesarstwie i Królestwie *wyjatkową* sposobność zbycia części swój produkcji we Francyi, w Belgii i w Anglii. Wywóz bowiem zagranicę, rozpoczęty w 1876, wyniósł był w tymże roku 496,100 pudów mączki i 3,362 pudów rafinady, wzrósł w roku następnym do 3,594,155 pudów mączki i 297,742 pudów rafinady, wreszcie w r. 1878 uczynił jeszcze 230,376 pudów mączki i 70,692 pudów rafinady <sup>1)</sup>. Pod urokiem tych cyfr, a zwłaszcza wywozu z r. 1877 statysta rosyjski nie pocztywał za rzecz potrzebną badać, co było rzeczywiście przyczyną owego niezwykłego fenomenu ekonomicznego i jak już zaznaczono, zapowiedział *urbi et orbi*, że cukry rosyjskie i polskie „znajdą bardzo obszerny, *stały* odbył za granicą.”

A przecież anormalność położenia i wyjątkowość przyczyny, która je wytworzyła, dawały się wyczytać między liniami, już w samych urzędowych źródłach, wykazujących zmniejszony w r. 1876 w Niemczech plon buraków o przeszło 15%, we Francyi zaś o potęgę w stosunku do urodzajów roku poprzedzającego <sup>2)</sup>. I w istocie tylko nadzwyczajny nieurodzaj buraków na Zachodzie w r. 1876 <sup>3)</sup>, w połączeniu z kursami wojennej waluty rosyjskiej, *wyjatkowo* dozwolił przemy-

<sup>1)</sup> *Razwitijs...* str. 251.

<sup>2)</sup> Według tablicy I, dołączonej do pisma *Obzor...* fabryki w Niemczech przerobiły w kampanii 1875/6 83,225,683, w kampanii zaś następnej tylko 71,053,745 centnarów buraków w. c.; produkcya zaś cukru z 7,160,964 takichże centnarów w roku 1875/6 przeszła w kampanii następnej do 5,824,077 centnarów. Według znowu tablicy V (tamże) Francya wyprodukowała cukru 28,875,507 pudów w r. 1875, a tylko 14,500,000 pudów w roku 1876.

<sup>3)</sup> „Tout le monde sait quelle a été la campagne sucrière de cette période pour la sucrerie indigène: les fléaux du ciel, s'acharnant sur elle, ont réduit sa production de moitié.” De Saint Rémy, *loc. cit.* str. 172 i 173.

słowi Imperyum wyprowadzić za granicę znaczną ilość cukru zaraz w tymże, a zwłaszcza w roku następnym. Ten nieurodzaj oszczędził był tylko Austryą i Imperyum rosyjskie i tylko w tych dwu państwach produkcyja cukru w r. 1876/7 przewyższyła takąż produkcyą z roku poprzedniego. Przeciwnie zaś w Belgii, Holandyi i Niemczech, produkcyja znacznemu uległa była zmniejszeniu, co oddziałać musiało i na ceuy targów angielskich <sup>1)</sup>; produkcyja zaś we Francyi nie doszła połowy produkcyi normalnej i nie wystarczyła nawet na potrzeby konsomacyi miejscowej <sup>2)</sup>.

Nastąpić więc musiał niezwykle wzrost cen cukru na Zachodzie i silne zapotrzebowanie tego produktu przez kraje niedotknięte klęską owego nieurodzaju. We Francyi np. przecięciowa cena mączki białej z października 1876 r., franków 67 i centimów 70, podniosła się była w listopadzie t. r., do 95 franków za 100 kilogramów <sup>3)</sup>, czyli 11 franków, 7 centimów za kamień, a 18 fr. 62½ cent. za pud, co licząc frank po 40 kop., wynosiło mniej więcej 5 rub. 66 kop. za kamień, a 7 rub. 45 kop. za pud. Nic przeto dziwnego, że przy ówczesnych cenach w Warszawie po rs. 2 60 kop. do rubli 3 za kamień, Francya mogła się zaopatrywać w cukier polski i rosyjski, chociaż ponosiła jeszcze koszta przewozu i opłaty celne.

Zestawienie więc powyższych cyfr objaśnia, iż przez ów stały odbył na cukier za granicą, zapowiadany w urzędowym źródle, rozumieć należy tylko lata wyjątkowego nieurodzaju buraków na Zachodzie, schodzące się z wielkim upadkiem waluty rosyjskiej; że przeto w latach urodzaju normalnego za granicą i poprawienia się téjże waluty, przemysł cukrowniczy w Imperyum nie może i *niepowinien* opierać swego rachunku na możliwości korzystania z obcych miejsc zbytu, gdyż rzeczywiście niema on ani téj możliwości, ani tych *débouchées*, pomimo przeciwnego oświadczenia, otoczonego powagą przywiązaną do źródeł urzędowych.

<sup>1)</sup> Patrz przypisek w rozdziale wstępnym tego studyum, wykazujący produkcyą cukru w Europie w ciągu czterech kampanii 1874/8 r., wedle obliczeń F. O. Lichta.

<sup>2)</sup> De Saint Rémy, *loc. cit.* str. 17, poświadczają, iż kampania normalna z r. 1875/6 we Francyi, dostarczyła 449 milionów kilogramów cukru, a normalna zaś z r. 1876/7 tylko 230 milionów. Że zaś miejscowa konsumpcya we Francyi wynosiła w r. 1872 244 milionów (tamże str. 212), a w r. 1875 275 milionów kilogramów (dr. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 26), naród francuzki musiał przeto dokupić cukru i na uzupełnienie swych własnych potrzeb i na handel z zagranicą, skoro samój rafinady wywozi corocznie do innych krajów przeszło 2,500,000 centnarów metrycznych (tamże, str. 53).

<sup>3)</sup> De Saint Rémy, *loc. cit.* str. 173.

## X.

Po przekonaniu się, iż celem dzisiejszej podatkowości nie jest bynajmniej: 1) ani zapobieganie temu, iżby cukier zagraniczny do Imperyumu wprowadzanym nie był i przemysłowi krajowemu nie odebrał miejscowych *débouchées*; 2) ani ułatwianie rozwoju tej gałęzi przemysłu przez system protekcyjny w stosunkach z zagranicą, przez równość podatkową w stosunkach z produkcją krajową <sup>1)</sup>, przez umiarkowanie wreszcie saméjże akcyzy, mogące zachęcić zasoby i oszczędności miejscowe do zakładania nowych fabryk, zamiast ciągłego, jak się dzieje zamykania tych, które się byty powznośliły pod wpływem poprzedniej polityki finansowej; musimy, idąc zawsze drogą domysłów, przejść kolejno inne możliwe cele każdej podatkowości i stawiać pytania: który z nich stał się dziś zadaniem statystów? Gdy zaś rolnictwo jest najgłówniejszym bogactwem narodu, a zarazem najżywotniejszą dziedziną działalności ekonomicznej i najważniejszą gałęzią przemysłu krajowego w Cesarstwie i Królestwie, przeto przedewszystkiem przychodzi na myśl, azaliż podatkowość nie dąży właśnie do powiększenia produkcji buraków, a więc do rozwoju kultury rolniczej, przemysł zaś cukrowniczy na drugim pozostawia planie? Uprawa bowiem buraków nietylko produkcji zbożowej żadnego nie przynosi uszczerbku, ale jój właśnie pomaga <sup>2)</sup>.

Na zastój rolnictwa i pożytek wynikający dla kraju z polepszenia kultury rolniczej, zapatrują się wprawdzie urzędowe źródła z widocznym współczuciem, mogącém powyższą myśl rzeczywiście nasuwać; spótczucie to nie wychodzi przecież z granic miłości czysto platonicznej, skoro nie znalazło pozytywniejszego dla siebie wyrazu i bynajmniej temu nie zapobiega, iżby podatkowość zamiast wziąć pod opiekę fabryki mniejsze, gospodarczo-rolnicze, nie czyniła ich położenia jeszcze trudniejszym. Jakoż w liczbie tylu fabryk już zwiniętych, najwięcej jest właśnie gospodarczo-rolniczych, które, nie posiadając dość środków pieniężnych do zaprowadzania coraz nowych przyrządów, dobywających sok z buraka, jak można pospieszniej, a więc płacąc podatek stosunkowo wyższy, niż fabryki wielkie, w kapitał zasobne, nie szczeg-

<sup>1)</sup> Jak należy pojmować znaczenie równości podatkowej, uczy jedno ze sprawozdań przedstawionych w r. 1860 Ciału Prawodawczemu we Francyi: „il ne faut pas oublier qu'il n'ya de progrès sérieux que celui qui s'accomplit sous le niveau des charges communes et aucun perfectionnement ne pourrait justifier une inégalité dans l'impôt.” Patrz: M. Amé, *loc. cit.* tom II, przypisek 4, na str. 129.

<sup>2)</sup> „La culture de la betterave, assolement précieux, loin de nuire á la production du blé, l'avait favorisée et fournissait ainsi á plusieurs de nos départemens, sans dommage pour notre approvisionnement général, un nouvel élément de richesse.” Poświadcza M. Amé, *loc. cit.*, t. II, str. 113.

dząc nakładu, ilekroć on fabrykacją przyspiesza, niebyle w możności ani swych kosztów produkcji zmniejszyć, ani wytrzymać konkurencji przy obniżaniu się cen cukru produkowanego prędkiej.

Stało się więc z fabrykami gospodarczo-rolniczymi to, co się stać musi i z każdą inną gałęzią przemysłu, ilekroć albo wadliwa metoda wytwarza nierówność podatkową, albo wysokość ciężaru wychodzi z granic umiarkowania. I niema najmniejszej co do tego wątpliwości, iż przy dalszym podwyższaniu norm, a więc przy potęgowaniu złych skutków podatkowości wadliwej w zasadzie, stanie się wkrótce z wszystkimi mniejszymi fabrykami cukru to samo, co się już stało z gorzelniami mniejszymi, przedewszystkiem zaś z temi, które istniały poprzednio wyłącznie dla potrzeb gospodarstwa rolnego i poprzestawały na przetwarzaniu kartofli, jakie ono corocznie wyprodukować zdołało. Wszystkie mniejsze upadły z widoczną i powszechnie uznawaną szkodą kultury rolniczej; zostały zaś same gorzelnie wielkie, istniejące zakłady przemysłowo-fabryczne. Wszystkie mniejsze fabryki cukru upadną tak samo w czasie niedługim i zamiast jak obecnie 245 fabryk w Imperyum, utrzyma się na przyszłość zaledwie kilkadziesiąt.

Kultura więc rolnicza nie jest celem dzisiejszej podatkowości, skoro zmniejszenie liczby fabryk pociągnąć musi za sobą zmniejszenie produkcji buraków, do rozwoju téjże kultury tak dalece pomagającej.

Miałaby ta podatkowość kierować się względami na ogólną ekonomią kraju i oszczędzać cukrownictwo z uwagi na wywierany przez nie wpływ na inne gałęzie przemysłu? I na to pytanie niepodobna dać odpowiedzi twierdzącej. A jednak jest rzeczą widoczną, iż fabryki cukru oddziałują w sposób dodatni nie tylko na kulturę rolniczą, ale wytwarzają zarazem liczne źródła zarobków dla ludności poszukującej pracy i jednocześnie ożywiają wiele innych gałęzi przemysłu, dając zajęcie fabrykom maszyn, wytworów chemicznych i materiałów, bez których fabrykacja cukru obejść się nie może, przemysłowi węglowemu dostarczającemu jej opał, zapewniając wreszcie fracht drogom żelaznym<sup>1)</sup>; skutkiem czego cukrownictwo staje się nowym żywiołem bogactwa narodowego wszędzie, gdzie istnieje i gdzie się rozwija. Statystyci mogliby zaś tylko wtedy do powyższego dochodzić celu, gdyby poprzestawali na podatku bardzo umiarkowanym, a obciążającym produkcją równomiernie, oczekując wzrostu dochodów budżetowych od rozwoju téj gałęzi przemysłu, od postępu kultury rolniczej, mogącej dostarczać buraków więcej, i od zwiększenia się produkcji i konsumpcji cukru, nie zaś od samego powiększania norm i skali podatku.

Czyżby dzisiejsza podatkowość troszczyła się głównie o polepszenie stosunku wywozu wyrobów krajowych, do przywozu towarów, które z zagranicy napływają do Imperyum? I to nie. Chcąc bowiem oddziaływać w tym kierunku, wypadałoby zmniejszać podatki ciążące na

<sup>1)</sup> M. *Amé loco citato*, tom II, str. 114.

przemysłu krajowym, podnosząc jednocześnie cła od wyrobów wchodzących z zagranicy.

Okazuje się więc, że ta podatkowość pozostaje pod wyłącznym wpływem projektów fiskalnych i właśnie dlatego nie sprowadzała dotychczas takich dla skarbu rezultatów, jakie wedle jej obliczeń zapewnionemi być miały. Między budżetem państwowym a ekonomicznym stanem społeczeństwa i stopniem bogactwa narodowego istnieje bowiem ścisły związek; dochody budżetowe wzrastają z wielką łatwością tylko tam, gdzie wszystkie gałęzie przemysłu mają warunki ciągłego rozwoju. Ten więc rozwój każdej z osobna działalności ekonomicznej powinienby dominować nad poglądami każdego statysty. Nietrzymająca się tej zasady podatkowość, nie tylko źle oddziaływa na dobrobyt krajowy, ale we własnych nawet projektach doznaje zawodu.

Do wszystkich zaś stron ujemnych dzisiejszej podatkowości, już wytkniętych w ciągu tego studium, dołącza się jeszcze jej krótkotrwałość i zmienność. Chcąc zaś kapitały krajowe zwrócić ku tej lub innej gałęzi przemysłu, czyli dać impuls do zakładania fabryk nowych, należałoby ustanawiać podatek zawsze na okres dłuższy, na lat przynajmniej 10 i w ciągu tego okresu powstrzymać się od wszelkich zmian, tak w podstawach jak i w skali nałożonego ciężaru. Niepodobna bowiem spodziewać się, iżby pod nieustanną groźbą podwyższania podatku, a więc powiększania kosztów produkcji zakładano fabryki nowe, skoro pod tą groźbą, nawet przybliżenie obliczyć się nieda, ani spodziewana cyfra dochodów fabryki, ani czas, w którym jej zakładowy kapitał będzie mógł być zamortyzowanym czyli zwróconym.

Podatkowość w Imperyum zmieniała się dotąd co lat 6, a więc w terminach na zamortyzowanie kapitału zakładowego widocznie za krótkich; projektowane zaś noriny mają trwać tylko lat 5, a pomimo to większość statystów jeszcze dopuszcza podwyższanie i tychże norm i samej skali podatkowej, nawet w ciągu tegoż terminu, byleby o każdej zmianie fabryki były zawiadomione na rok przed jej zaprowadzeniem <sup>1)</sup>.

Można więc być pewnym, że już nie powstanie żadna nowa fabryka, co stanie się znowu zaporą, a przynajmniej ważną przeszkodą do powiększenia konsumpcji cukru w Imperyum, o której mamy pomówić w rozdziale następującym.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

<sup>1)</sup> *Żurnal Komisji*, str. 27 i 28; w motywach tego wniosku ozytamy: „Pri nastojaszczem położenii naszich finansow i neobchodimosti izyskania sredstw dla pokrytija razchodow, predawliaetsia newozimożnym stiesniet' w siem otnoszenii Prawitelstwo.”

# KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

*Historya literatury współczesnej u ludów słowiańskich, przez Courriere'a.*

Wydawca paryzki Charpentier, przedsięwziął od lat pięciu ważną publikacją: w osobnych tomach puszcza w świat streszczoną historją literatury współczesnej w różnych krajach europejskich. Szereg ten rozpoczęła literatura w Anglii, za nią poszły literatury we Włoszech, w Rosyji, w Hiszpanii. Każdy dział powierzony był do wypracowania innemu autorowi. W działach angielskim, hiszpańskim i włoskim, o których mówiliśmy w swoim czasie, uderzyła nas dążność realistyczna, ale trudno było zaprzeczyć autorom znajomości przedmiotu: Odysse Barot, Amedeus Roux i Gustaw Hubbard, korespondenci do przeglądów i dzienników, obznajmiją oddawna publiczność francuzką z biegiem angielskiej, włoskiej i hiszpańskiej literatury. Co do rosyjskiej, opracowanej przez p. Courriere, pozostawiliśmy jęj ocenienie kompetentniejszym od nas krytykom, poprzestajemy tylko na prostém doniesieniu.

Nowy tom publikacji Charpentier'a pojawił się znów przed dwoma miesiącami; obejmuje *Historją literatury współczesnej u ludów słowiańskich*, autorem jęj tenże sam p. Courriere, dziś członek komitetu słowiańskiego w Kijowie. Przedmowa jego datowana z Klewania na Wołyniu.

Obszerny tom złożony z 550 stronic, podzielił autor na dwie części. Pierwsza poświęcona południowym Słowianom, ogarnia literatury: bułgarską, serbską, kroacką i słoweńską; druga ma na celu literatury Słowian zachodnich: czeską, serbsko-łużycką, słowacką, matoruską i polską.

Ze względu na szczupłe ramy nasze, zmuszeni jesteśmy pominąć literatury pobratymczych nam plemion, a przystąpić odrazu do tęj, która nas przedewszystkięm obchodzi. Rzucimy tylko kilka pobieżnych uwag. Dlaczego, pytamy, p. Courriere nie poświęca osobnego ustępu literaturze dubrownickiej, która w XVII wieku przyświecała tak wielkim blaskiem? Zaliczając ją do serbskiej, wspomina tylko nawiasem, że po klęsce na Kosowém Polu, literatura narodowa schroniła się do Dalmacyi i tam zakwitła w Dubrowniku. Ztądby wypadło, że literatura dubrownicka miała być dalszym ciągiem serbskiej; tymczasem rzecz się ma inaczej: literatura dubrownicka czyli raguzańska, była ściśle miejscową, wypływa ona z geograficznego położenia i z całej historycznej przeszłości tych Słowian, którzy przybywszy zza Karpat

w wieku VII, wyniszczyli Awarów w Dalmacyi i utworzyli osobne społeczeństwo pod wpływem dawnych kolonistów łacińskich, a szczególnie pod wpływem cywilizacji włoskiej i katolickiego kościoła. To téż literatura raguzańska zachowała charakter całkiem odrębny od ludowej serbskiej literatury. Najślynniejszy przedstawiciel jój Gundulicz, autor *Osmanidy*, ledwie że znalazł krótką wzmiankę w obszerném dziele p. Courriere.

Ocenienie poezji ludu serbskiego, sprzeczne zupełnie z sądem Mickiewicza i innych najpoważniejszych krytyków, którzy ją tak wysoko podnieśli. „Poezja serbska, mówi p. Courriere (str. 87), zaleca się raczej ilością niż jakością, jeszcze się nie pozbyła formy ludowej, a ta pierwotna powłoka tamuje źródło jój natchnień!”

Mówiąc o ruchu literackim u Słoweńców, autor niechętnie patrzy na Kopitara. Ciekawa jego konkluzya o badaniach tego uczonego. „W pracach swoich, mówi on, Kopitar zarówno jak Dobrowski, pilnował tylko strony naukowej.” Pod piórem p. Courriere jestto największy zarzut, gdyż cechuje wyłączenie się od ruchu fantastycznego.

Przejdźmy wreszcie do literatury polskiej, której autor poświęca blisko połowę tomu. Ze względu na język niepodobna było wyłączyć Polski z liczby narodów słowiańskich, a przecież tak pod względem ustroju społecznego, jak i formy rządu, widzi w niej jakąś szczególną anomalią. Polska w oczach jego przedstawia się jako wyrodek wśród jedności plemiennój Słowian. Pierwszym tego powodem „napaść Normandów Lechów, którzy przed IX wiekiem opanowali brzegi Wisły i zaprowadzili w podbitym kraju swoją polityczną i społeczną organizacją.” Ztąd wniosek, że szlachta normandzkiego pochodzenia zaciężyła tu nad ludem i zwichnęła jego normalny rozwój, sparaliżowała w nim słowiańskość. Zapytalibyśmy autora, dlaczego najazd tychże Skandynawców na kraje naddnieprzańskie, najazd który nie jest hipotezą ale historycznym pewnikiem, nie odebrał im narodowości słowiańskiej? dlaczego tubylcy naddnieprzańscy przeważyli nad zaborcami, nadwilszańscy zaś utonęli w ich powodzi?

W dalszym ciągu rozumowania, autor zbija przecież sam siebie. Około XVII wieku pokazuje w Polsce sto tysięcy sejmującej szlachty (str. 339): aby sto tysięcy wystąpić mogło razem, potrzeba przypuścić co najmniej półtora miliona ludności stanu rycerskiego. Tak było w rzeczy samój <sup>1)</sup>, a ta wielka liczba czyż nie świadczy wymownie, że rycerstwo polskie zasilalo się bezustanku ludem wiejskim? Autor mówiąc o napływie Lechów-Normandów, opiera się na znanych hipotezach Szajnochy (str. 459); ależ historyk nasz, gdy przypuszcza ten najazd, odnosi go do czasów bardzo odległych. Sam wreszcie fakt, że stan rycerski przyjął tradycyę o Piaście jako narodową, że się nią

<sup>1)</sup> Lelwel w roku 1839 liczy do trzech milionów szlachty w granicach dawniej Rzeczypospolitej: w téj liczbie pomieścił zapewne milion uprzywilejowanego mieszczaństwa.



szczył i wylewał krew dla niej, świadczy jak błędnie p. Courriere wyrokuje o stosunku szlachty naszej do wieśniaczego ludu.

Drugim powodem odpadnięcia Polski od pnia słowiańskiego, był według autora Chrystyanizm zachodni. Kościół rzymski, wsparty ramieniem cesarzów niemieckich, wytepił, zdaniem jego, ostatnie szczątki organizacyi słowiańskiej, wprowadzając korporacye, kasty, słowem wszystkie naleciałości europejskiego feudalizmu. P. Courriere jest tu echem całej szkoły, złożonej z pp. Rambeau, Leger, szkoły której wypadki nadały dziś wielkie znaczenie. Podług niej wszystko co odróżnia Polskę od Serbów i Czarnogórców, jak silny wyrób indywidualizmu, osobiste dziedzictwo ziemi, są naleciałością zachodnią, rozszerzoną przez katolicyzm i wpływy niemieckie. A przecież sami wyznawcy tej szkoły obstają silnie za aryjskiem pochodzeniem Słowian. Skoro mowa o pokrewieństwie, to przecież większym dowodem jedność w społecznym ustroju, niż samo zbliżenie lingwistyczne. Słowianie jako należący do szczepu aryjskiego, musieli mieć silny wyrób indywidualizmu, ze wszystkimi jego następstwami. Przybyli oni do Europy jeśli nie z takim wyrobem kastowości, jaki objawił się u braci ich, którzy podbili Indye, to przynajmniej z instynktowém usposobieniem w tym kierunku. Stan dzisiejszy Serbów i Czarnogórców nie może być ino-  
dłą dla oznaczenia pierwotnego stanu Słowian, wiadomo bowiem, że te ludy zmieszane z hordami turańskich koczowników, zatraciły wśród nich pierwotne cechy własnej cywilizacyi; oneto raczej należą do wyjątków, a nie Słowianie nadwiślańscy, których autor z całą szkołą swoją ma za odrodków w społeczeństwie słowiańskiem.

Mylne w głównych zasadach sądy p. Courriere, niemniej są mylnymi w zastosowaniach szczegółowych. Cywilizacya zwana łacińską, nie była jak widać tak przeciwną żywiołowi słowiańskiemu, skoro pod wpływem jej zrodziła się cywilizacya polska i krytyk, przy całej złej woli, odmówić nie może blasku i wielkiej doniosłości. Śledzi on stary, acz w pojęciu jego anormalny jej rozwój, od pierwszych wieków Chrześcijaństwa; pokazuje jak obce duchowieństwo urządziło szkoły na wzór zagranicznych, jak obcy zakonnicy spisują kroniki *językiem Cy-cerona* (str. 324). Sąd to nazbyt pochlebny dla kronikarzy naszych! Tak Gallus jak jego następcy pisali łaciną barbarzńską, nie różniąc się w tém od współczesnych in annalistów francuzkich i niemieckich.

W XVI w. wprawdzie autor spostrzeżę postępek, ale zorza Zygmunto-wskiej epoki wcale go nie olśniewa: widzi w Polsce słabą rewerberacyą zachodniej cywilizacyi. Rey według niego, to jakiś niedorosły Montaigne, samouk bez szkolnej teoryi. Górnicki to czciciel arystokracji bijący przed nią czołem. W Kochanowskich dziwi go nadzwyczajna płodność pióra, (*une fécondité extraordinaire*); sądziłby kto że to jakiś dawny Dumas albo Kraszewski! znać p. Courriere zbił na jedno, wszystkich trzech Kochanowskich, nie zna innych prócz Jana Czarnolasu. Chwali gładki jego wiersz, ale odmawia mu wszelkiej oryginalności: „w trenach na śmierć Urszulki, mówi on, czasem tylko

sucha erudycya ustępuje miejsca uczuciu i prostocie." Szymowowicz znów trywialny i przesadzony, „niesłusznie Mickiewicz zowie go w prelekeyach poetą narodowym." Piotr Skarga, to patriota fanatyk, nowy Sawonarola: onto piórem i słowem przygotował fatalną uciążliwą brzeską.

Jeżeli p. Courriere śledzi w rzeczy samej obecny bieg literatury naszej, jakże musi żałować, że *Dzieje Polski w Zarysie*, pojawiły się tak późno. Ileżby tam znalazł argumentów na poparcie założenia swego. Całą epokę złotego wieku naszej literatury, byłby określił jednym orzeczeniem, iż takie panowanie jak Zygmunta I „niemógło" wydać wielkich ludzi. a takie jak Zygmunta Augusta „nie dopuszczało" ich ukazania się w Polsce. Takim jest właśnie pogląd p. Courriere; jakże byłby szczęśliwy, gdyby mógł rzekomo potwierdzić zasady swoje powagą uczonego krakowskiego.

Rządy Stanisława Augusta przypadły do myśli autorowi. Obok innych powodów, tryumf idei francuzkich na dworze, usposabia go dobrze dla króla, protektora literatury, miłośnika sztuk pięknych. Z upodobaniem maluje świetne czasy, kiedy Warszawa staje się odbiciem Wersalu, kiedy z pudrem i trefionemi perukami, z rogówkami pięknych pań, napływają z Paryża idee filozoficzne, kiedy na pokojach królewskich przebiega z rąk do rąk list Woltera lub pani Geoffrin. Razi go tylko widok zabłąkanych tu i owdzie kontuszowców z karabelą u pasa, wyrażających się łaciną średniowieczną! Ta sprzeczność dwu żywiołów sprowadziła wzajemną nienawiść, rywalizacją dworu i prowincyi i staje się, według niego, głównym powodem konfederacyi Barskiej.

Zobaczmy jak krytyk sądzi ówczesną literaturę: na czele zbudzonego ruchu stoi Trembecki; „napisał długi nudny poemat *Zośfówkę*." Biskup Krasicki, to gorący zwolennik filozofii francuzkiej XVIII-ego wieku. Faworyt Fryderyka II, znał Woltera w Sans Soucy, uległ zupełnie jego doktrynom, ale „mniej głęboki od filozofa z Ferney, nie wywarł na wiek swój żadnego wpływu."

Z utworów Krasickiego, p. Courriere podnosi szczególniejsze *Myszycę* i *Monochomachią*. Niezrównane jego bajki i satyry zhywa lekko, nie widzi w nich dowcipu, tylko ironię i sceptycyzm. Satyry Naruszewicza więcej, jak mówi, mają charakteru narodowego. Biskup smoleński, według autora, stanowi zupełną sprzeczność z biskupem warmińskim. Gdy ten ostatni zawołanym był dworakiem, (*abbé de cour*), tamten poważny, surowy, biczem satyry chłoszczący ospałość i swawolę, jak nowy Juwenalis, postrachem był świetnego dworu. Obraz to fantastyczny: drukowane wiersze Naruszewicza w innym pokazują go świetle, cóż powiedziéć dopiero o cynicznych dystychach, przechowanych w tradycyi, któremi *surowy* biskup ożywiał czwartkowe obiady Stanisława Augusta? Jako historyk, Naruszewicz imponuje szczególniejsz autorowi; w jego szkole, zaleca kształcić się wszyst-

kim dziejopisarzom polskim. Dwu rzewnych poetów ówczesnych: Karpińskiego i Książnina odtrąca z lekceważeniem i pogardą.

Z równą pogardą zbywa prace sejmu czteroletniego. „Ogłoszenie konstytucyi 3 maja, najgorzej, jak mówi, przyjętém było w kraju.” Szkoła propagująca te zasady, ma dziś i u nas zwolenników, na czele ich stanął obecnie, wspomniany wyżej p. Bobrzyński. Oto jego wyrazy: „wszystkie plany i przedsięwzięcia ówczesne, wychodzą tylko od szczerpłego zastępu ludzi i upadają wszystkie, nie wyjmując konstytucyi 3 maja.” Takie to wyroki, p. Bobrzyński przedstawia jako swoją historyozofią! Pan Courriere uważa niemniej swe poglądy za wyniki badań historyozoficznych!

Czasy księstwa Warszawskiego określa autor w kilku pobieżnych rzutach pióra: ani słowa o radykalnej zmianie stosunków społecznych i ekonomicznych, przez wprowadzenie kodeksu Napoleona i usamowolnienie włościan. Autor nic o tém nie wie, w ciekawym przypisie (str. 350) zarzucając panu Mazade, iż podaje do *Revue de deux Mondes* artykuły o Polsce z *drugiej ręki*, dowodzi że poddaństwo zniesioném było dopiero przez rozporządzenia ostatnich czasów.

Wierny przyjętemu systematowi, autor poniza wszelkie prace tego okresu, usiłuje zmniejszyć każdą prawdziwą zasługę. „Linde w sławnym swoim Słowniku spożytkował tylko filologiczne prace Czecha Dobrowskiego; Jan Śniadecki, człowiek niesympatyczny, przesadzonym był purystą, pretensjonalnym mówcą i krytykiem. Poezya nie wychodzi z ciasnych formułek klasycyzmu.” *Imię Woronicza ani raz nie wspomniane!*

Romantyzm występuje wreszcie do walki z klasycyzmem. Autor w tryumfie nowych idei widzi tylko ujemną stronę: złowrogi wpływ germanizmu na polskie umysły. Postuchajmy go: „Teorie filozoficzne Niemców, utwory Getego i Szyllera, otwierają poetom polskim nowe widnokregi, wtajemniczają ich w fantastyczną poezją średnich wieków. Oryginalność romantyków polskich ucierpiała na tém. Romanse i ballady, naśladowane z Getego lub Bürgera, zalały potopem literaturę. Witwicki, Odyniec, Zan i Mickiewicz, najlepiej kopiowali ducha niemieckiego.” Ustęp ten nie potrzebuje komentarza. Radzibyśmy wiedzieć, z którego poety Mickiewicz skopiował *Farysa*, *Switezianki*, *Sonetty krymskie* i odę *Do młodości*.

Co chwila nowy chaos. „Średniowieczny świat europejski, mówi autor, z rycerstwem swoim i organizacją społeczną, niemiął nic wspólnego z historycznymi tradycjami Polski.” I zkażde taki rozbrat z Europą, jeżeli jak p. Courriere dowodził z początku, Polska od pierwszych lat politycznego istnienia, odstąpiła od tradycyi ludów słowiańskich, a rzuciła się całkiem w objęcia latynizmu i germańszczyzny?

Zobaczmy jeszcze jak autor pojmuje walkę romantyków z klasykami: „Zapał młodej generacyi dla średnich wieków niedługo potrwał; a klasycy, którzy bronili *tradycyi narodowych* przeciwko nowej szkole, przekonali się wkrótce, że obawa ich była bezzasadną.” Szkoda, że

autor nie wytlómaczył lepiej, w imię jakiego tradycyi narodowych, występowali klasycy przeciwko romantykom? Czyżby troista jedność aleksandryjska, czyżby Apollo z muzami, Wenus z Kupidynem, należeć miały do naszych domowych tradycyi?

„Romantycy polscy, mówi dalej autor, otrząsnęli wreszcie romantyzm z obcych form i spolił go z życiem narodowym...” Ta ewolucya nie zadawalnia przecież krytyka; „nowa szkoła idzie w ślad za dążnością dawniej szkoły, w przeszłości widzi tylko szlachtę, z małym wyjątkiem pozostaje arystokratyczną.” Przyznajmy jednak, że arystokratyczniejsza była dawna szkoła; ziemska szlacheckość nie wystarczała jej, szukała bohaterów swoich na wyżynach Olympu!

Tu następuje klasyfikacya poetów: Brodziński, Malczeski, Zaleski i Goszczyński, mają być przedstawicielami geniuszu słowiańskiego; Mickiewicz wyobraża polityczne aspiracye Polski. Nie pojmujemy dlaczego autor zaliczył Malczeskiego do słowiańskiej grupy; w rozbiore bowiem *Maryi*, dodaje, że wpływ Byrona, z którym poeta znał się w Wenecyi, oddziaływał na niego widocznie. Co więcej, zarzuca poecie wyszukiwanie efektów, przesadę w uczuciach i zupełny brak ludowego żywiołu w poetycznej powieści.

Bogdan Zaleski zato najbardziej słowiański ze wszystkich polskich poetów. „Ma nawet dążności panslawistyczne,” mówi krytyk, przyklaskiwał oburącz pracom *Szafarzyka*, *Kollara* i *Wuka Karadzicza*. Charakter słowiański uderza szczególnie w jego pieśniach religijnych, gdzie Chrystyanizm łączy się z pogańskimi ideami.” Radziłyśmy wiedzieć, co głęboko pobożny Bogdan powie na takie ocenienie? Nie wszystko jednak zachwyca krytyka w naszym niezrównanym śpiewaku ukraińskim; jego *Dunki* przedstawiają mu kozaków w fałszywym świetle; w *Duchu od stepu* harmonijna forma wiersza, ledwie że pokrywa przed nim wielkie ubóstwo treści; rapsody poetyczne nadzwyczaj słabe w jego oczach.

Goszczyński, zdaniem autora, przewyższa i Bogdana i śpiewaka *Maryi*. Rzecz dziwna, że mówiąc o poetach ukraińskich owego czasu, pominął całkiem Olizarowskiego. Poemat *Zawerucha* zastugiwał przecież na wzmiankę. Snać p. Courriere nie czytał znakomitych krytyków naszych: Aleksandra Tyszyńskiego i Michała Grabowskiego. Obaj estetycy znani mu zaledwie z imienia. Pierwszego zowie idealistą, co u niego ujemne ma znaczenie; Grabowskiego zaś, równie jak biskupa Hołowińskiego mieni autorem poezyi klerykalnych, dobrych dla kalendarza (str. 409).

Palme poezyi przyznaje autor Mickiewiczowi; czyni to dla jakichś konwencyonalnych względów, aby uniknąć zarzutu stronniczości. Widocznie zrozumieć go nie może, z czém się zresztą nie tai. W ocenie *Dziadów* przyznaje, że poeta wybornie opiewa miłosne szaty, zresztą dziwny, jak mówi, bezład panuje w fantastyczno-symbolicznym poemacie; „sami tylko Polacy zrozumieć mogą jego piękność.” (Georges Sand przecież wybornie ją rozumiała).

*Wallenrod* surowiej jeszcze osądzony. „Pełno tu wad, wyrokuje p. Courriere, jedna część nie trzyma się drugiej, wiele miejsc ciemnych, charaktery dalekie od prawdy.” Niektóre przecież ustępy znalazły uznanie, te zwłaszcza, w których *Walenrod* zdiera maskę i rzuca przekleństwo w oczy Niemcom.

*Pan Tadeusz* nie zachwyił także wymagającego krytyka. „Główny bohater, mówi on, zamałą gra rolę w poemacie. Węzeł dramatyczny epopei spoczywa na nienawiści dwu domów. Jest kilka typów udatnych, szczególnie starych sług i szlachcica gotowego zawsze do burdy.”

Z równem lekceważeniem wspomina czteroletni kurs Mickiewicza w kolegium Francuzkiém, kurs pełny tak genialnych rzutów myśli. „W lekcjach swoich, mówi p. Courriere, Mickiewicz pochwycił i oddał *dosyć wiernie* ogólne rysy charakteru słowiańskiego, lubo pogląd na całość fantastyczny. Poeta na pierwszém miejscu stawia poezyą; w programie widać liczne przerwy. Zbyt pobłażliwém okiem, profesor patrzy na przeszłość kraju swego, osłania jęj plamy; co więcej, nie pokazuje odrębnego charakteru literatury polskiej, oderwanęj wcześniej od pierwotnego źródła; słowem daje zbyt wielką przewagę słabym poetom polskim, a zaniedbuje inne słowiańskie literatury. W tęg epoce upadł geniusz Mickiewicza.” Inaczęj pojowali rzecz francuzcy słuchacze, skoro wizerunek wieszczu naszego umieścili w słynnym medalu obok dwu najsympatyczniejszych profesorów: *Quineta* i *Micheleta*.

*Juliuszowi Słowackiemu* poświęca krytyk długi i szczegółowy ustęę. Tu przynajmniej wyznaje sam, że się posiłkował wyborynym przykładem pana *Gasztowtta*. Ze wszystkich utworów poety, w pierwszém miejscu stawia *Beniowskiego*: i tu przecie zarzuca brak oryginalności; „poemat, zdaniem jego, kreślony pod natchnieniem *Aryosta* i *Byrona*.” Inne utwory mniej udatne. „Słowacki nadużywa straszliwych i ponurych obrazów, mówi p. Courriere; pełno tu piorunów, trupów i błyskawic. Pod pędzlem malarza, takie powtarzanie byłoby dowodem jałowego talentu. Weźmy ostatnie utwory: *Balladyne*, *Lille Wenedę*, *Ojca Marka*, *Złoty sen Salomei*, *Króla ducha*: wszędzie jedna i taż sama dekoracya, osoby tylko pozmieniane.”

Równie obszerny rozbiór: *Irydyona* i *Niehoskięj*, powtórzony z rozprawy p. *Klaczki*. W kilku tylko uwagach, rzuconych mimochodem, autor gromi surowo pychę i egzaltacyą wieszczu, szydzi z jego platonizmu, zarzuca, że wskazuje ziomkom drogę biernęj ofiary, że apoteozuje kraj, że rozbudza w nim grzeszną pychę!

*Garczyńskiemu* odmawia wszelkięj oryginalności, widzi w nim ślepego naśladowcę *Getego* i *Mickiewicza*, za co profesor literatur słowiańskich zamieścił go w plejadzie wielkich poetów.

Od tęg plejady, błyszczująęj poza obręęem kraju, krytyk przechodzi w inną stronę: staje na ziemi polskiej. Tu widocznie zabrakło mu źródeł, powtarza więc pochwywane dorywczo sądy i tworzy najdziwaczniejszy obraz, a raczęj trzy obrazy ujęte w jedną ramę: w pierwszym

pokazuje literaturę, słabo kiełkującą pomiędzy 1830 a 1846 rokiem; w drugim jakiś ruch żywszy lecz chorobliwy; w trzecim dopiero umysły zbudzone z uspienia, zwracające się na drogę „postępowego realizmu”

„Pierwszy obraz, mówi p. Courriere, nadzwyczaj bezbarwny. W prasie peryodycznej zjawia się: *Muzeum domowe* i *Fielgrzym*, dwa przeglądy bez żadnej wartości krytycznej ani literackiej. Później powstaje *Biblioteka Warszawska*. W tymże czasie grupa młodych poetów: Lenartowicz, Zmorski, Wolski i Żeligowski, występują z pretensją do sztuki niepodległej. Ta cygania literacka zowie się sama *Cechem głupców*. Wykarmieni w ciężkiej atmosferze, poeci nie podnieśli głowy nad poziom: dają społeczeństwu pokarm jakiego mu potrzeba.

Odyniec, przyjaciel Mickiewicza, tłumaczy Byrona, Moora, Szylle-  
ra i Bürgera. W balladach jego panuje romantyzm niemiecki, w legendach i eposie *Góra*, odbija Chateaubriand. Groza idzie śladem szkoły ukraińskiej, lecz sprostać jej nie może.

„Poczyza w Galicyi odmienny ma charakter. Siemieński i Borowski badają starosłowiańskie pomniki, szukają archaizmów, mają pretensją utworzenia eposie przedchrześcijańskiej. Magnuszewski w dramatach naśladuje Wiktora Hugo; Wasilewski bierze za wzór *Wertera* i *Child-Harolda*: Wincenty Pol góruje nad wszystkimi.”

Od poezyi przechodzi krytyk na pole powieściopisarstwa. „Ta forma literatury, mówi on, najlepiej odpowiadała gnuśnemu i apatycznemu społeczeństwu tych czasów. Powieść polska modeluje się na romansach francuzkich: bohaterowie jej czysto fantastyczni. Dwaj pierwsi powieściopisarze: Korzeniowski i Kraszewski, mogli byli techną jakieśkolwiek życie w ziomków, obudzić w nich miłość pracy i postępu. Jeśli Kraszewski czynił to niekiedy, Korzeniowski wcale nie myślał o tém. Nie wyszedł on za obręb bagniska, w którym grzęzli współczesni: podawał im to, czego chcieli, co tłumaczy nam jego wziętość.”

Wyżej nierównie stawia p. Courriere Kraszewskiego, podziwia jego niez mordowane pióro, porównywa go do Dumasa, przyznaje mu nawet niejaką wyższość nad francuzkim romansopisarzem, szczególnie w kreśleniu charakterów; podnosi nadewszystko realistyczną nutę, jaką wprowadza do powieści, nutę zapowiadającą nowy zwrot w literaturze współczesnej. Obok tych zalet widzi przecież ujemną stronę. Kraszewski nie dość jest realistą. Lubo nie patrzy na rzeczy przez różowy pryzmat, brak mu energii i odwagi; nie śmie rozczarować ziomków z błogiego stanu zadowolenia, z jakim sądzą się sami. „W utworach z tej pierwszej epoki: *Powieści bez tytułu*, *Sfinksie* i innych, stawia pytania, lecz ich nie rozwiązuje. Jednostajnością stylu zbliża się do Korzeniowskiego: brak mu zdolności dramatycznej.”

Tak p. Courriere określił działalność znakomitego powieściopisarza, w tych czasach apatyj powszechniej; ani wspomina o tém że on właśnie zachęcił do czytania, nauczył, że tak powiemy czytać wielką część społeczeństwa naszego, obojętną na wszelki ruch umysłowy. Oce-  
nił dziś naród tę niezaprzeczoną zasługę, łącząc się w uczczeniu praco-

wnika, który z niezmordowaną wytrwałością szedł po obranej drodze w ciągu lat pięćdziesięciu.

W drugim obrazie literatury, po roku 1846, pochwały dla Kraszewskiego spadają o jeden ton niżej. „W powieści, mówi krytyk, stoi on zawsze na czele. Płodność pióra i łatwość zawsze ta sama, ale wady nieodłączne od tych zalet, zaczynają się pokazywać. Umiarkowany realizm zostaje w stagnacji. Co było wczoraj postępem, jest dzisiaj zacofaniem. Z obserwatora Kraszewski staje się drobiazgowym: jednym pokostem pociąga wszystkie swoje obrazy. Ogół zaczyna spostrzegać, że sztukę zamienił w rzemiosło, że pióro stało się w jego ręku narzędziem spekulacji. Wprawdzie podziwiać trzeba tę twórczą wyobraźnię, tę niesłychaną płodność; ale i do czegożto doprowadzi? z tych setek tomów, ileż na przyszłość pozostanie? Aby zapełnić jak najwięcej stronic, autor zatrzymuje się w drodze, okrąża wielkie koło, wyprowadza na scenę całą kolligacją wujów, ciotek i braci, cofa się do poprzednich pokoleń, jak naprzykład w *Interesach familijnych*.”

Widocznie krytyk nie czytał powieści; zresztą sam tytuł powieści był usprawiedliwić przed nim liczbę osób wyprowadzonych na widownię. Gdzie się rozstrzygają interesa familijne, tam być muszą wujowie i ciotki.

Równie bezzasadny sąd o Zygmuncie Kaczkowskim. Jako satyrk i myśliciel, postawiony on wyżej od Kraszewskiego. „Jeśli nie mógł rozbudzić ze snu społeczeństwa, mówi p. C., pracował przecież usilnie w tym kierunku.”

Ignacy Chodźko zaledwie że zasłużył na wzmiankę. Zacharyasiewicz za to, zwłaszcza w politycznych powieściach, wysoko odrazu postawiony; zapowiada bowiem zbliżający się realizm.

Poetom tego okresu odmawia krytyk twórczego natchnienia. „Lenartowicz słaby, brak mu oryginalności: w *Lirnce* jego jest wszystko: i religia i egzaltacja i sielankowość, ale ton jój fałszywy i przesadny. Deotyma mniej przesadzona od Lenartowicza, ale poemata jój zanadto fantastyczne. W dramacie jeszcze słabsza, improwizacye błyszczą w jój utworach.”

Zwrot Pola ku historycznej przeszłości, wywołuje ostrą naganą. W *Wicie Stwoszu*, *Senatorskiej zgodzie* i *Mohorcie*, widzi krytyk niebezpieczny optymizm. Styl poety monotony, brak mu kolorytu dramatycznego. Syrokomla więcej znalazł względów, ale i ten grzeszy optymizmem; jak Pol wynosił arystokracją, tak on nadmiarę wynosi niższe warstwy społeczne.

Przejdźmy nakoniec do ostatniego obrazu. Tu rozszerzymy cokolwiek nasze ramy; niechże Warszawa przejrzy się w tém zwierciadle, w jakim krytyk ukazał ją dziś światu. Zwierciadło to zeszcpiło jój rysy; nic w tém dziwnego, złożone bowiem z mnóstwa drobnych odłamków niezgrabnie poklejonych. Obraz obejmuje szesnastoletni przeciąg czasu. Przez lat dziesięć, mur chiński oddziela Polskę od świata.

Umysły uległy rozmiękczeniu (*les esprits étaient en proie, à un ramollissement général*); literatura milczy, myśl przestaje pracować. Struna poetyczna zupełnie się zużyła. Kraszewski pisze romanse *anodynowe* i karmi nimi czytelników. Chore społeczeństwo, aby zapomnieć rzeczywistości, rzuca się na powieść, czy to oryginalną, czy tłómaczoną. Kolumny dzienników i przeglądów, przepelnione niemi do syta. Wychożą pisma wyłącznie im poświęcone: *Tygodnik romansów*, *Tygodnik mód i powieści*, *Biblioteka ciekawych romansów* i t. p. Słowem przez lat dziesięć panuje zupełna obojętność dla wszelkich objawów życia, postępu i pracy, odrętwiałość w społeczeństwie, jałowa cisza na polu literatury.

Okolo roku 1872 pokazuje się reakcja w życiu intelektualnym. Prąd realistyczny i pozytywistyczny, panujący w Anglii i w Niemczech, przedziera się do Polski. Teorie Moleschotta, Darwina, Haeckla, Spencera, Baina, Littrego i innych, znajdują adeptów pomiędzy młodzieżą uniwersytecką. Tworzy się cała generacja nowych pisarzy. Obok dawnych przeglądów, które nie mogą wypęztać z trzęsawiska, ukazują się nowe: *Przegląd tygodniowy*, *Niwa*, podejmują sztandar wiedzy społecznej. Nauki przyrodnicze dotąd zaniedbane, zdobywają coraz to większą wziętość; aby je rozpowszechnić, księgarze Orgelbrandt, Unger i redakcja *Przeglądu Tygodniowego* ogłaszają Encyklopedyę. Następuje walka pomiędzy tradycją, obskurantyzmem, zastością, idealizmem z jednej strony, a życiem, miłością pracy i postępu, realizmem ze strony drugiej. Zapał równy w obudwu obozach; kłótnia to raczej o słowa niż o idee. Biją się o systemat, nie rozumiejąc go, lub dając mu błędne zastosowanie.

Poezya upada w tym ruchu realistycznym; skrzydła jej tracą połot. Ogranicza się na drobnych urywkach. Lenartowicz i Ujejski podnoszą niekiedy głos, echo zmarłej na zawsze epoki. Co do młodych poetów, ci pragnęliby dostroić się do nowych idei, lecz im się nie udaje. Śpiewają na ton fałszywy: zasady ich nie dosyć jasne. Aspis deklamuje, Gomulicki pisze wiele, wszakże ilość nie zastępuje jakości. Miron najlepszy, ale zwątpienie *à la Musset*, wyszło już dzisiaj z mody. Sowińskiemu brak dążności lepij określonej, aby był dobrym poetą. Ordon i Ely pierwsi co do formy i bogactwa fantazyi, ale pojęcia ich zmącone. Słowem poezya w Polsce umiera na anemię.

Powieściopisarze dawniejsi nie chcą iść z nowym prądem. „Wady Kraszewskiego coraz się bardziej uwydatniają. Czując własną niemoc i wyczerpanie, rzucił się na powieść historyczną. Nowa żyła odświeżyła nieco jego talent.” Po tym nieprzychylnym wstępie krytyk podnosi cały szereg powieści, z epoki dwu Sasów, daje Kraszewskiemu pierwszeństwo nad Dumasem, pod względem wierności historycznej, w *Marosze* widzi najświetniejszy obraz Warszawy z czasów Stanisława Augusta.

Przystępujemy wreszcie do seryi powieści z epoki Piastów: te znów sądzi surowo. „Oceniając, mówi on, olbrzymią pracę w zbadaniu



pierwotnych wieków, i zadziwiającą łatwość pióra, musimy wyznać, że autor nie sprostał założeniu swemu. Oprócz kilku scen dosyć udanych, opisy w ogólności blade, pośpiech widoczny; główne osoby wyglądają raczej niż na bohaterów epopei. Talent Nestora powieściopisarzy polskich kłoni się widocznie do zniżczu. Sąd o autorze tak szanowanym, wyda się może zbyt surowy, ale od wielkich talentów, mamy prawo wiele wymagać."

Talent Zacharyasiewicza po *Wiktoryi Reginie*, w której stanął na szczycie, słabnie też w pojęciu krytyka. Pani Marenné, według niego, ma talent paradoksalny; w studyach swoich bierze za kryterium własne idee, a nie obserwacją faktów. Na czele szkoły współczesnej stawia autor panią Elżę Orzeszkową, ale i tu widzi liczne usterki. Posłuchajmy go tylko. „Pierwsze powieści: *Cnotliwi*, *Dziennik Wacławowy*, dosyć słabe; widoczne zaniedbanie w szczegółach, tezy o kobietach nie zawsze przekonywają. *Pan Graba* uchodzi za arcydzieło autorki, powieść ta sprawiła silne wrażenie w prasie polskiej. Typy oddane z wielkim realizmem, wszakże są tu i słabe strony. Jeśli mężczyźni nie nie warci, zato bohaterki zbyt doskonałe. *Eli Makower* należy do najlepszych utworów, nie ustępują mu *Pompalińscy*. W szerokich ramach snują się tu charakterystyczne typy, pełne życia, uaszkicowane wytrawnym piórem."

Przy pani Orzeszkowej, krytyk stawia autorkę znaną pod pseudonimem *Zbigniewa*; mieni ją biegłą malarką scen oderwanych, ale bohaterowie jej zbyt abstrakcyjni, humorystyka modelowana na wzór angielski. Marya Szeliga zanadto znów egzaltowana i fantastyczna. Gabriela zmarła niedawno, poglądała na życie ze strony zbyt sceptycznej.

Powieści Jeża z życia współczesnego bardzo słabe w oczach krytyka; historyczne jak *Derstaw* i *Król Olbracht* są raczej kronikami; w serbskich tylko i bułgarskich nowellach dopatrzeć można głębszej znajomości Słowian naddunajskich.

Wśród powieściopisarzy galicyjskich, wymienia pan C. Lama, Bałuckiego, Łozińskiego, Trzeciaka, Sienkiewicza i Lubowskiego, podnosi ich dążność pozytywną. „Widać, dodaje w końcu, że ruch realistyczny dosyć rozwinięty w Polsce, że pisarze tej szkoły patrzą w przyszłość kraju trzeźwiej i krytyczniej, niżli ich poprzednicy. Wiele im przecież pozostaje pracy, nim zdołają przekonać ogół, i otrząsnąć społeczeństwo z zastarzałych przesądów."

Od powieści przechodzi autor do teatru. Cofa się wstecz aż do starodawnych misteryów, w kilku słabych zarysach pokazuje rozwój sceny za Stanisława Augusta, wymienia znanych dramaturgów naszych. W nowych czasach zatrzymuje się przy Słowackim, Korzeniowskim i Odyńcu. „Charaktery w dramatach Słowackiego, całkiem, jak mówi sfalszowane: poeta ma temperament ognisty, sceniczne okowy zbyt mu ciężą." Korzeniowski maluje słabo charaktery, brak mu zmysłu dramatycznego: oprócz *Górali karpackich*, wszystkie utwory chybiłone.

*Felicyta Odyńca* to *Polieukt* sparafrazowany. O *Barbarze Radziwiłównie* ani słowa; snąc pisarz mieniący się historykiem literatury, nie zna z tytułu nawet, téj znakomitej sztuki. Ani wzmianki o dramatach Małeckiego i Szajnochy. Olizarowskiego nie wspomina wcale, mimo że dramat jego *Rognieda*, uwieńczony był na konkursie krakowskim.

Rozbiór komedyi Fredry obszerny, lecz widocznie powtórzony z drugiej a może trzeciej ręki. Krytyk nie czytał ich wcale; mamy na to dowód w przekręconym tytule *Ślubów panięskich* na *Mariage de demoiselles*. Kto zna sztukę, wie że *Śluby* wzięte są tu w znaczeniu *volum* a nie *małżeństwa*. Sprawozdanie z *Zemsty o mur graniczny*, powtórzone żywcem z rozbioru p. Leger, zamieszczonego w *Monde Slave*. Ogólne uwagi nad Fredrą zarówno pożyczone. „Aby zdać sobie sprawę z tych utworów, mówi p. C., pamiętajmy że Fredro służył w armii Napoleońskiej, że przebywał długo w Paryżu, gdzie badał Moliera; ztąd sztuki jego mają czysto francuzki charakter?” „Fredro nie jest pisarzem narodowym, w ścisłym znaczeniu słowa.” Takie samo ocenienie czytaliśmy przed kilku laty w *Słowiańskim Świecie* p. Léger.

Po Fredrze i Korzeniowskim upadek ducha społecznego, jak mówi krytyk, pociąga za sobą stagnacyą w teatrze. Publiczność smakuje tylko w przekładach. Później Chęciński otwiera drogę do realizmu; w *Szlachectwie duszy* przebija nowa dążność, ale Chęciński zanadto jest poetą i idealistą, aby mógł być dobrym psychologiem.

Prąd realistyczny powiał nakoniec, rozbudził umysły z uspienia. „Pod tym ożywym wpływem, mówi p. Courriere, występują nowi pisarze, malują życie z całą prawdą.” W Galicyi wymienia nasamprzód Narzymskiego „ten zastary na swoją epokę, nie otrząsnął się z dawnych tradycyi.” Bałucki w *Emancypantkach* ośmiesza typy wyjątkowe, co odbiera interes komedyi. Lubowski w *Nietoperzach* pokazuje głęboką znajomość serc ludzkich, ale zaniedbuje stronę techniczną. Sarnecki w *Febria Aurea* i w *Zemście hrabiny*, rozwinął wysoki talent. Zalewski głęboki obserwator zna sprężyny sceniczne; w komedyi *Dla postępu*, przypomina *Zięcia pana Poirier*, zanadto tylko deklamuje o nierówności stanów; w komedyi *Przed ślubem* naśladuje *Starego męża* Korzeniowskiego. Pani Zofia Melerowa występuje silnie na rzecz kobiet.

Dramat, dodaje krytyk, słabiej rozwija się niż komedia: zawiele w nim liryzmu. Szujski należy do przeszłej generacyi: *Jadwiga*, *Twardowski*, *Kopernik*, *Jerzy Lubomirski*, to raczej piękne poemata niż prawdziwe dramaty. *Rienzi* Asnyka ma niejaki zalety, ale postać głównego bohatera nazbyt ukryta w cieniu. Rupański zajmuje w dramacie wyższe stanowisko: w *Wicie Stwoszu* są piękne sceny, za to *Kopernik* grzeszy zbytnią deklamacyą. Okoński zbliża się do Aleksandra Dumasa. W konkluzyi, krytyk pochwala zwrot sztuki dramatycznej: „teatr na dobrej stanął drodze, niechże trwa na niej i coraz głębiej bada rzeczywistość.”

Osobny dział poświęcony historii. Tu na wstępie spotykamy zarzut, że polscy historycy zaniedbali nauki pomocnicze: geografiją, etnografią, numizmatykę i t. d. Po wyliczeniu prac Lelewela, taki czytamy o nim wyrok: „Trudno zaprzeczyć mu erudycyi, ale w dziełach jego pisanych suchém piórem kompilatora, brak szerokich poglądów i filozoficznych spostrzeżeń.” Moraczewski znów błędził w tém, że sam gorący republikanin, przedstawił Polskę jako prawdziwą Rzeczpospolitą. Szajnocha wyższy od Lelewela. Prace Dzieduszyckiego: *Skarga* i *Zbigniew Oleśnicki*, są raczej pamfletami niż prawdziwą historią. „Szujski historyk, dramaturg i sekretarz akademii Krakowskiej, bada dzieje ze stanowiska filozoficznego, należy do szkoły Guizota. Dwa pierwsze tomy jego *Historji Polski* dosyć słabe, dwa drugie znacznie lepsze; *Studia i opowieści historyczne* (1875) doskonałe pod względem filozoficznych poglądów.”

Z najwyższém uznaniem krytyk wyszczególnia pisarzy, którzy zrehabilitowali najzupełniej pamięć króla Poniatowskiego: „Ojciec Kalinka w dziele: *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*, Gumpłowicz w *Korrespondencji Stanisława Augusta z Branickim*, Bronisław Zalewski w *Korrespondencji domowej Stanisława Augusta*, przedstawili fakta w prawdziwém świetle.”

W badaniach nad Słowiańszczyzną, Polska, zdaniem krytyka nadzwyczaj zacofana, powodem tego, że czerpała cywilizacyą z Zachodu. Podnosi on ważność *Historji prawodawstw słowiańskich* W. A. Maciejowskiego, „słynnych w całym świecie europejskim.” W wywodach uczonego, że praojcowie nasi wypędzeni z nad Elby przez Niemców, przybyli niegdyś nad Wisłę, widzi nową a ważną przyczynę odstępstwa narodu od idei słowiańskiej. Wspomina wreszcie krytyk szkołę sławistów wytworzoną w Paryżu, zarzuca jęj parcyalność i naciąganie faktów. „Szkoła ta, jak mówi, znalazła więcej zwolenników we Francyi anizeli w Polsce, między innemi Henri Martin i Viquesnela. Owa teoria, zimno przyjęta przez akademią Krakowską, napotkała nawet przeciwników w jęj łonie.”

Zobaczmy teraz ocenienie krytyków polskich. Profesorowie Tarnowski i Lewestam mistrzami są na tém polu, obaj zalecają się wytwornym stylem, „jakby wykształceni w szkole francuzkiej.” Lewestam zanadto powierzchowny, Tarnowski byłby wyższy, gdyby otrząsnął się z klerykalizmu. Chmielowski należy do młodej szkoły realistów, szkoda tylko, że suchy i abstrakcyjny. Pan Klaczko, znany w przegładach francuzkich, liczy się do staręj szkoły, która „na kolanach wystawia przeszłość i szkodzi tyle krajowi wstecznym swoim poglądem.”

W filozofii, Polska, mówi p. Courriere, nie wydała ani jednego oryginalnego myśliciela. „W pierwszój połowie tego wieku Kremer, Libelt, Cieszkowski i Trentowski, wygrywają tylko fantazyje na temata Hegla, Szelinga i innych.” Szydzi z Heine Wrońskiego, przytaczając niedostępne mu tytuły jego prac filozoficznych. Na czele szkoły pozytywnej stawia dziś doktorów Ochorowicza i Chmielowskiego.

Z ekonomii politycznej wymienia tylko Tęgoborskiego. O tak wielkich reformatorach jak Tyzenhaus, Brzostowski, Staszic, o profesorach tej doniosłości jak Skarbek i Supiński, nic mu nie powiedzieli jego mentorowie, wcale też o nich nie wspomina.

Historia literatury polskiej kończy się rzutem oka na dziennikarstwo. Pomijamy ocenienie prasy galicyjskiej i poznańskiej, powtórzymy tylko uwagi dotyczące się Warszawy. „W Królestwie polskiem, mówi p. Courriere, generacya współczesna pracuje nad otrząśnięciem się ze starych tradycyi i z opieki klerykalnej. Warszawa liczy pięćdziesiąt siedm przeglądów i dzienników różnego rodzaju, między temi jest sześć codziennych. Prasa polska żadnego nie przedstawia interesu. Wierna starym tradycjom, ogląda się na europejskie wypadki, więcęj ją zajmuje to co czyni Bismarck lub Dizraeli, niż rzeczywiste dobro kraju. Taki charakter *Gazety Warszawskiej* i *Gazety Polskiej*, dwu *Kuryerów* i dwu dzienników niedawno założonych *Wieku* i *Echa*. *Wiek* uchodzi za najlepszy. Przeglądy więcęj zajmujące. Najważniejsze z nich: *Biblioteka Warszawska*, *Atheneum*, *Przegląd Tygodniowy* (*Revue hebdomadaire*) i *Niwa*. *Biblioteka* najstarsza ze wszystkich, założona w r. 1841 przez Woycickiego, oddała wielkie usługi w tej epoce bezpłodnej: dziś utraciła swój urok. Część historyczna najlepiej w niej opracowana; krytyka i bibliografia zajmują resztę miejsca. *Atheneum* kilkokrotnie umarłe, powstało na nogi staraniem profesora Spasowicza. Przegląd ten głównie historyczny i naukowy, ciężki i pedancki, z dążnością konserwatywną, stoi w pośrodku między idealizmem a realizmem: niema przyczyny bytu. Ruch realistyczny, zbudzony w Polsce przed kilku laty, zrodził dwa nowe organa: *Przegląd Tygodniowy* i *Niwę*. Pierwszy pod dyrekcją p. Wiślickiego, walczy z chwalebłą energią przeciw staremu duchowi obskurantyzmu i klerykalizmu. Liczy on wielu przeciwników. Oskarżony o *nihilizm* odpowiada śmiało, że prawdziwymi *nihilistami* są ci, którzy nie umieją nic, nie robią nic i nie dają nic czynić drugim. Organ ten pozytywistyczny ogłosił przekład dzieł Milla, Spencera, Taina i innych, po cenie bajecznie taniej. Nie mogę chwalić zarówno *Niwy*. Przy pierwszym wystąpieniu ogłosiła się organem nauki i postępu współczesnego; chwilę dotrzymała słowa, dziś odbiegła od pierwotnego programu: stała się konserwatywną.”

O innych publikacjach tygodniowych: *Kłosach*, *Tygodniku Ilustrowanym*, *Tygodniku Powszechnym*, *Kronice Rodzinnj*, *Bluszczu* ani wzmianki, jak gdyby te czasopisma nie istniały.

W konkluzji, w której autor wyjaśnia wzajemny stosunek ludów słowiańskich, zaczyna znów *Bibliotekę Warszawską*. Gorszy się tēm, że korespondent jej, nadmieniacząc przed kilku laty o wyjściu z druku jego dzieła o *Literaturze rossyjskiej*, wstrzymał się od obszernego rozbioru i wyznał nieświadomość swoją w tym przedmiocie. Wyprowadza ztąd wniosek, że *Biblioteka* nie zna rossyjskiej literatury. Śmieszny to i niesprawiedliwy zarzut. Korespondent *Biblioteki*, nie w jej, ale

w własném imieniu wyznał z całą prostotą, że nie może wyrokować o rzeczach których nie zna, pozwolił sobie tylko kilku uwag tyczących się znanych mu ludowych pieśni mało-ruskich. Wyznanie to dziwném się mogło wydawać p. Courriere, który z nachwytnych tu i owdzie strzępków, utkał całą historią literatury u Słowian, nakręcając rzecz do znanych tendencyi szkoły swojej. Tendencye te określił jasno w przedmowie: „W położeniu polityczném, mówi on, w jakim się obecnie znajdujemy, powinniśmy kochać Słowian!” Dziwna naiwność w tém wyznaniu.

Takiem samym wyznaniem scharakteryzował swe prace o Słowianach p. Leger, gdy wyrzekł po klęskach Francyi: „Wypada nam strzagać strzały z drzewa, jakie mamy pod ręką! co znaczy: sprzymierzamy się z wrogami wrogów naszych.” Teorye pp. Leger i Courriere mogą znaleźć obrońców w polityce, ale ubolewać należy nad tém, że istnieją we Francyi koła, kierujące opinią publiczną, które poruczają prace o literaturach zagranicznych ludziom nieprzysposobionym naukowo do tak ważnego zadania, nieobeznany nawet z językiem ludów, o których literaturze tak śmiało wyrokują.

(Dokończenie nastąpi).

#### GŁOS PRASY NIEMIECKIEJ

### W SPRAWIE JUBILEUSZU J. I. KRASZEWSKIEGO.

Po ckliwéj atmosferze, w jaką wpiera nas jednostronny i lekko-myślny pogląd Arveda Barina, Courier'a i im podobnych krytyków francuzkich na nasze piśmiennictwo, miło zaprawdę wychylić się na przestwór rzetelnej pracy, sumiennych sprawozdań i wywodów—tam, gdzie każde otwarcie ust, zwłaszcza o pracach szerszego widnokregu, poprzedzają rozległe studia. Mówimy o krytyce niemieckiej.

Z powodu uroczystości jubileuszowej, jedno z najpoważniejszych pism literaturze powszechnéj poświęconych: *Magazin für die Literatur des Auslandes*, pod wrażeniem niedawno napisanej przez Jubilata powieści *Ada*, podnosi głos w przedmiocie oczekiwanej uroczystości, w artykule pod napisem: *Jubileusz pięćdziesięcioletni (Ein fünfzigjähriges Jubiläum)*.

Artykuł ten nie tylko dowodzi dojrzewającej stopniowo bezstronności pióra niemieckiego względem naszego piśmiennictwa (bezstronności, którą, jak w inném miejscu okazaemy, przejmować się poczyna i krytyka angielska); daje on przytém rękojmiałą dobréj wiary literac-

kię autora, jaka niewątpliwie i przez publiczność niemiecką uznaną będzie. Mamy tu bowiem nie dogmatycznie wygłoszone hołdy dla Jubilata, lecz wskazane *dowodnie* prawo i tytuł, uprawniający społeczność do ich złożenia, a pracownika do ich przyjęcia. Co do pewnych stron oceny powieści *Ada*, możebyśmy zrobili pewne zastrzeżenia, a mianowicie co do upatrzonj jakoby typowj pokrewności jej z *Dalilą*, co do sądu o postawie figury męzkiej, jakoby niedorównywającj swojemu przeciw-typowi: bohaterce powieści i t. p. Lecz to do zadania w tój chwili nie wchodzi.

Podajemy tedy czytelnikowi wydatniejsze miejsca, dotyczące ogólnej charakterystyki. Autor artykułu (podpisany głoską G.) mówi na wstępie:

„Najwydatniejszym zjawiskiem w dziedzinie współczesnego piśmiennictwa polskiego, jest pięćdziesięcioletni jubileusz najznakomitszego pisarza polskiego J. I. Kraszewskiego.

„Obchód ten już sam przez się rzadki, wśród stosunków naszych nabiera jeszcze wyższego znaczenia, uważać bowiem go można za pierwszy w kolei a może i jedyny na daleką przyszłość w świecie działalności literackiej. Naszym potęgóm pióra nie przypadło dotąd w udziale zdobyć za życia głośnego dziękczynienia wszechspółeczeństwa krajowego. Aczkolwiek nie zbywało im na uznaniu ze strony bliższego otoczenia albo pewnej liczby gorących wielbicieli, to przecież nie spotkało ich nigdy okrzykowe pozdrowienie ogółu; przeciwnie, zwykłą dolą wybranych bywało gorzkie odezarowanie i owa dręcząca samowiedza, że ich niezrozumiano, podług zasług nie oceniono. Dopiero po ich odejściu z widowni, wystąpiła potomność: z uznaniem, hymnami, wawrzynami. Wielkości literackie jeżeli uczestniczyły w walkach o myśl, to zawsze widziano je na pierwszej linii bojowj, a w zgiełku oręża bojownik nie będzie w stanie ocenić odwagi i talentów przeciwnika. Otóż pocieszącym jestto świadectwem postępu naszego, że rozliczne stronnictwa, choć może nie tak gorące, zawsze jednak bez przerwy walczące o swoje interesa, oto na chwilę składają broń z tą pobudką, aby uczcić najgodniejszego, najznakomitszego.

Tym uroczyściejszym bohaterem dziś jest Kraszewski. Pięćdziesiąt lat wytrwałj działalności literackiej na najrozmaitszych polach, twórczość zdająca się graniczyć z dziedziną mitu (gdybyśmy nie mieli tu za sobą dowodów liczebnych), już same dostatecznie uprawniałyby krok hołdu ze strony ogółu, gdyby nawet ten człowiek już przeżył siebie. Ale męża, który po półwiekowj pracy dziś jeszcze zachował taką czerstwość i nieustanność dążeń, zachował to samo pewne, niechwiejne pióro; męża takiego współczesność podziwem zaszczycić musi, zdumieniem.”

Tu autor artykułu wystawia cyfry, znane naszym czytelnikom, a następnie tak dopowiada:

„Możliwém byłoby tu domniemanie, że podobna płodność, bezwąt-  
pienia granicząca z nadpłodnością, przypuszczalną jest tylko kosztem treści, że w dalszém snowaniu pracy, jedynie sama rutyna popiera pisa-

rza—i zapewne byłby ten domysł sprawiedliwym, gdyby tego męża godziło się mierzyć zwykłą skalą sił ludzkich. Że jednak podobna skala tym razem byłaby pogwałceniem prawdy, właśnie dowieść zamierzamy. Odkładając do przyszłości bliższą ocenę naszego autora i zapewne wyjątkowo ciekawe szczegóły obchodu jubileuszowego, dziś z *powodzi nowych* zjawisk, jakimi nas bez przerwy obdarza, przedstawimy czytelnikom, bez wyboru, jeden z jego utworów, powieść p. t.: *Ada*, w tym celu, aby zdanie nasze nie wydało się czczem kadzidłem.”

W dalszym ciągu autor podaje główny wątek powieści i wcale trafną ocenę tak samego jój faktu, jak i stronę formalną zadania artystycznego. Szczególniej uderza go mistrzostwo *psychologiczne*. „Miłość samolubna, mówi autor artykułu, miłość zapalająca nie serce lecz głowę, uległa tu takiej analizie, na jaką tylko prawdziwy znawca duszy ludzkiej zdobyć się może. Nie w pasmach refleksyi albo w wynurzeniu się bohaterów, co byłoby najłatwiejszém, lecz w nieustanném stykaniu się z otoczeniem, autor nakreślił wzrost i znikanie uczucia i co rzadkiej, mistrzowskiej dowodzi zręczności—odmalował życie duszy w jedynie zewnętrznych jego zjawiskach...”

Pomijając resztę szczegółów oceny, przytaczamy kilka słów z zakończenia:

....„Otóż ta powieść jest utworem męża, który już 550 tomów wysłał na świat i wyznać nam przychodzi, że opowiadanie tchnie tu taką świeżością, jakiejby niejednemu z utworów młodych życzyć należało; że tchnie zrozumieniem procesu uczuć, jakie tylko długoletnich studyów owocem być może i życzymy, tak uroczystującemu Jubilatowi, jak i *sobie samym*, aby na długo jeszcze tę młodość serca zachował...”

---

## Przegląd teatralny.

za rok 1878.

*Pan Damazy*, komedia Blizińskiego. — *Mąż od biłdy*, komedia Blizińskiego.

Jednym ze znamion najnowszego rozwoju literatury jest współzależność z ilościowym wzrostem produkcji, zmniejszanie się przynajmniej trwałości utworów piękna. Twórczość belletrystyczna, która skupiała się dawniej w sferach, cieszących się przywilejem wyższej umysłowej kultury, i opierając się na kilku wybitniejszych osobistościach — dzisiaj szerokim korytem płynie po całym niemal obszarze społecznym, a w niezliczonych odnogach dociera do każdego zakątka, gdzie tylko życie umysłowe, choćby najwęższym sączy się strumieniem. Zdemokratyzowanie piśmiennictwa, będące cechą epoki współczesnej, złączyło ruch literacki silnie i bezpośrednio ze wszystkimi bieżącymi potrzebami i prądami, nadało wielu jego gałęziom wyraźniejsze cechy bieżącości, wprowadziło w dziedzinę piękna cały hałaśliwy gwar interesów społecznych i materialnych, wywołało niebywałe rozwielenie się idei utylitaryzmu.

Wynikiem tego jest we współczesnej literaturze ogromna przewaga pierwiastków czasowych, miejscowych a nawet okolicznościowych nad żywiołami trwalszej wartości ogólnoludzkiej, albo też narodoworodowej w szerszym znaczeniu tego pojęcia. Tam zwłaszcza, gdzie z powodu „potężnego apetytu tłumów,” twórczość literacka częściowo zbrata się ze spekulacją; gdzie potrzeba nienasycona wywołuje gorączkową produkcję, i podnieca energią współzawodniczą: powodzenie lub użyteczność chwilowa stają się jedynym bożyszczem autorów, którzy zbierając skwapliwie doczesne odsetki od kapitałów swego talentu, niewiele dbają o wypłatę tej wdzięczności, jaka wielkim twórcom dostaje się czasem dopiero za grobem.

Wskutek tego widzimy często, że autorowie w dawnym czasie cieszący się wziętością niepospolitą, wstrząsający silnie umysły jednego pokolenia, umierają jeszcze za życia; że płody ich szybko ulegają but-



wieniu, którego nieznają dzieła wielkiej poezji, kryjące nieśmiertelną treść prawdy i piękno, nawet pod powłoką archeologicznej pleśni.

W takich okolicznościach, jednym z najmilszych obowiązków kronikarza artystycznego, ogarniającego myślą szersze potrzeby i horyzonty sztuki, jest właściwe zaznaczenie wartości duchowej dramatu, który wedle słów poety posiada „wewnętrzny siłę urągania” ze zmienności ludzkich opinii, który tętni życiem tej świeżej, czerstwej młodości, jaka niewiele wybranych dzieł sztuki jest tylko udziałem. Utworem tym jest wspomniana pociętnie w zeszłorocznym przedstawieniu komedya Blizińskiego: *Pan Damazy*, która wreszcie zajęła należne sobie stanowisko na deskach głównej polskiej sceny, powiększając liczbę trwałych nabytków naszego repertuaru.

Od pierwszej chwili ukazania się jej na widowni scenicznej, jednomyślny głos krytyki wyróżnił ten utwór autora *Kawalera marcowego* wśród całej plejady naszych współczesnych komedyi obyczajowych i tendencyjnych, które pomimo mniejszego lub większego natężenia talentu autorów, nie zdołały przeżyć dłuższej chwili, zyskując tylko mniejszy lub większy stopień scenicznego powodzenia.

Cały ten komedyopisarski dobytek miał bardzo ważną zasługę, gdyż podtrzymując swojski i oryginalny żywioł w repertuarze, służył za dowód, że przy stopniowym w tym kierunku rozwoju, scena nasza mogłaby na wzór francuzkiej stać się organem jednej potężnej gałęzi samodzielnego literackiego ruchu i zawstydić nawet scenę niemiecką, na której żywioł rodzimy niemoże wytrzymać konkurencyi z napływem nowości francuzkich.

Ukazanie się takiego utworu jak *Pan Damazy*, jest zapowiedzią, że przy sprzyjających warunkach rozwoju dla talentów dramato-pisarskich, scena nasza, stając do konkurencyi z innymi literaturami, może, w pewnym kierunku przynajmniej, wykazać zdobycze opierające się dłużej ruchowym falom czasowych gustów i literackich kierunków społecznych.

Rzecz jasna, że w naszych warunkach literackiego rozwoju, niemoże się odbić w dziedzinie dramatycznej i scenicznej, wiele prądów i kierunków myśli społecznej, które wedle słów poety krążą głęboko w tonie społecznym, jak rzeka podziemna w swych tajemnych niewidzialnych cieśninach.

Tendencyjność artystyczna w kierunku idei tętniących jako ciepła krew duchowa po wewnętrznych arteriach społecznych, niemoże na oblicze literatury wypłynąć wspaniałą purpurą jawnego natchnienia, ale co najwyżej lekkim tylko wykwiła rumieńcem, aby nierazić oczu tych, co chcieliby widzieć na obliczu ducha naszego tylko błądzący upiór. Takim pogodnym, zdrowym rumieńcem literatury naszej jest *Pan Damazy*, którego trwalsza wartość polega na głęboko odczuty, czysto swojskim charakterze, na przedstawieniu typów i właściwości związanych z trwałymi warunkami życia obyczajowego warstwy społecznej, która skupiała w sobie i skupia jeszcze naczelną górąjący charakter życia narodu.

Wiadomo, że ocena stopnia wartości dzieł literatury pięknej jest jednym z najtrudniejszych zadań estetyki z powodu niemożności prawie wynalezienia dość ścisłej skali dla wyznaczenia mniejszego lub większego bogactwa przymiotów estetycznych, któreby drogą porównawczą, pozwalały postawić dany utwór na właściwem miejscu w estetycznej hierarchii.

Według teorii estetycznych Taine'a, który z niezupełnie pomyslnym rezultatem usiłował nadać ścisłość metodyczną filozofii piękna budowanej na coraz to różnych metafizycznych podwalinach—skalą wartości estetycznej, jest mniejsza lub większa wartość czasowa cech zasadniczych, jakie artysta uwydatnia w dziele sztuki za pomocą skupienia czyli tak nazwanej *zbieżności* efektów (*convergence des effets*), której doskonałość zależy od stopnia talentu.

Nie wdając się w tę chwilę w krytykę tej teorii, mało uwzględniającej psychologiczne zagadki twórczości w dziedzinie sztuki, zaznaczymy tylko, że ułożona przez Taine'a skala wartości czasowej owych cech zasadniczych, orzeka istotnie o mniejszym lub większym stopniu *trwałości* utworów piękna, stosownie do żywiołów, które znajdują w nich swe artystyczne odbicie. Skala ta postępuje od cech ogólnie ludzkich do właściwych danej wielkiej rasie ludów, od tych ostatnich do cech ogólnie narodowych, w następnych stopniach do cech związanych z pewną wielką epoką dziejową, a mniejszym lub większym okresem życia społecznego a nakońcu z przelotnym interesem bieżącej chwili. Na najwyższych podziałkach tej skali mieszczą się tedy arcydzieła ogólne ludzkie (Szeks-pira, Göthego, Moliere) potem idą arcydzieła ogólne narodowe (Homer, Mickiewicz, Psalmy hebrajskie) arcydzieła epokowe (Dante); następnie arcydzieła wyrażające pewien dłuższy okres duchowego zwrotu (Byron, Musset, Hugo, Słowacki, Krasiński) a nareszcie różne kategorie utworów żywiej związanych z życiem duchowem mniej lub więcej trwałych momentów rozwoju duchowego i cywilizacyjnego, skończywszy na przelotnej karykaturze lub okolicznościowej humoresce.

Skala ta z zastosowaniem różnego stopnia talentu twórczego i ważności tematu, w dziełach zwłaszcza nienależących wyjątkowo do najwyższych kategorii (podług mnie) może być użytecznie stosowaną do oceny ważnego przymiotu dzieł takich, którym bezpośredni wyrok estetycznego poczucia przyznał zalety wybitnie przenoszące poziom średniej mierności.

Najnowszy utwór Blizińskiego wart, podług mnie, tego aby wartość jego mierzyć sprawdzianem głębszej filozoficznej krytyki a nie tuzinkowym łokciem dorywczego widzimisię i dyletanckiego szkolarstwa, jakie w naszej zdawkowej dziennikarskiej krytyczce rozwiłmożniło się butnie i arogancko. Oczywiście, sama sfera obyczajowej komedii, w której zamyka się działalność Blizińskiego, z natury rzeczy niepozwała mu tworzyć typów stojących wybitnie na szczytowych punktach zajętych przez wymienione wyżej arcydzieła; jednakże analityczny rozbiór składowych części jego utworu przekona nas,

że w wymienionej powyżej skali należy ten utwór na wcale pokazać umieścić wyżynie.

Obejmując całość budowy téj komedyi widzimy przedewszystkiém, że stanowi ona artystyczną sumę charakterystyki realno-psychologicznej. Estetyczne poczucie, będące pierwszą wskazówką charakteru danego utworu zaznacza, że naczelne wrażenie téj komedyi polega na łudzającej prawdzie i ruchu kreślonych przez autora postaci, obok których wszelkie inne składowe części komedyi przedstawiają się w stopniu podrzędnym.

Używając więc terminu trochę szkolarskiego powiemy, że *Pan Damazy* jest komedią charakterów, czyli że należy do tych utworów dramatycznych, w których przedstawienie typowej i psychologicznej strony obranego tematu, ukazanie motywów ludzkiego działania, góruje nad przedstawieniem faktycznej zewnętrznej strony działania; w których ruch dramatyczny jest wewnętrznym, płynącym z wykazanych dobitnie premis psychicznych, a nie zewnętrznym sytuacyjnym, czyli będącym mniej lub więcej dowolną kombinacją faktów i zawikłań intrygowych, pochwytych w przelotnym spojrzeniu na komedię ludzkiego życia, dla przelotnej często uciechy i zabawnego konceptu.

Oczywiście tylko komedia z przewagą żywiołu typowo-charakterowego może mieć wartość, jako artystyczne skupienie w kształtach sztuki głębszej logiki jego życia i prawidłowości rozwoju jego stosunków. Pod tym względem w nowszej literaturze dramatycznej, zauważyliśmy dwa typy kompozycji: w pierwszym dane obserwacje t. j. żywioły charakterowe składają się wedle naturalnej głębszej logiki praw życia, z której autor dopiero *a posteriori* wyprowadza artystyczne efekta; w drugim zaś te żywioły, chwywane w formie często zewnętrznej, układają się i zestawiają dowolnie, stosownie do efektów i pomysłów intrygowych, a sztuczna mechanika teatralna i jej sprężyny zastępują często samorzutny bieg charakterów.

W naszej dramaturgii przedstawicielem wybitnym drugiego typu jest p. Zalewski, który zręczność scenery i umiejętność wydobycia efektu posiada w daleko wyższym stopniu, aniżeli samodzielną obserwacją i dar psychologicznego pogłębiania postaci, a poczęści także w tym kierunku tworzą mniej zręczni formą i efektem, ale oryginalniejszy na różny sposób w charakterystyce, Bałucki, Lubowski i Sarnecki. Do pierwszego typu zbliżył się znakomicie Narzowski w *Pozytywnych*, a w całej czystości osiągnął go Bliziński w *Panu Damazym*.

Dla oceny przymiotów komedyi, godnych zająć stanowisko w téj grupie, doskonałym podług mnie sprawdzianem jest *przedłużenie linii kompozycji poza rany dramatu*, to jest sprawdzenie, czy charaktery i stosunki i namiętności mogły powstać w tych stosunkach, jak je ma-  
luje autor i mogły tak się ułożyć, jak on je przedstawia?

Stosując ten środek krytyczny, przekonamy się łatwo i dowodnie, czy komedia jest obrazem głębszej życiowej prawdy, nawet w jej wew-

nętrnych logicznych wiązaniach, czy też pstrą lub sztuczną lepianką cząstek prawdy, spojonych bardziej mechanicznie niż wewnętrznie.

Mało który z utworów dramatycznych wytrzymuje tę próbę krytyczną tak zupełnie i bezwzględnie jak *Pan Damazy*; mało który stanowi taką pełną, zamkniętą całośćkę życiowej prawdy, ujętej w artystyczne ramy. Bliziński jest przede wszystkim doskonałym obserwatorem, a podstawą jego kompozycji są wrażenia żywe i odebrane z natury. Jest on realistą i tworzy tak samo jak malarz, który każdą cząstkę obrazu studjuje z modelu, z martwej lub żywej natury. Ztąd też i jego figury i wszystkie ich wzajemne między sobą stosunki są najzupełniej naturalne i logiczne i nie mogą się rozwijać w inny sposób, aniżeli je poeta przedstawił. Poznajemy je nie tylko w chwili rozwoju komedyi, ale spoglądamy wstecz w ich życie; widzimy że spotkały się ze sobą w sposób taki a nie inny, sprowadzone koniecznością logiki życia, a nie igraszką dowolnego trafu. Autor nie wrywa ich z całego splotu stosunków i spraw ich życia, ukazuje tylko pewien jego moment, jedno ogniwo łańcucha, który wstecz i naprzód snuje się logicznie. W gronie familijném osobistości komedyi, dostrzegamy widome nici ich stosunków w przeszłości, rozumiemy dlaczego prawy szlachcic pan Damazy, dawniej znając charakter swęj pani Żegociny, kobiety ambitnej i chciwej, odwoził od małżeństwa z nią swego brata; dlaczego następnie długoletnia niezgoda panowała między braćmi, podtrzymywana wpływem przebiegłej kobiety na słabego męża; rozumiemy dlaczego też pani Żegocina nienawidzi poczciwego szlachcica: dlaczego z dwu bratanków swoich faworyzuje ladaco Seweryna, a krzywdzi Antoniego, który przypominał swego ojca, co śmiał zawrzść meczalians wbrew woli rodziny.

Stosunki rodzinne autor zaznacza delikatnie w związku z przeszłością, wykazując cały ich przyczynowy związek, a w ciągu komedyi snując wszystko konsekwentnie z charakterowego wnętrza. Utwór jego jest jakoby jednym tylko rozdziałem wielkiej powieści życia, która snuła się przed nim w naturalnym ciągu. Postaciom jego komedyi przypatrujemy się jako osobom żywym, a nie jako produktom sztuki: taka w nich pełnia i rozmaitość znamion.

Tytułowy bohater sztuki pan Damazy, z pierwszego pozoru podobny niby do przeciętnego typu, poczciwie krewkiego zamaszystego szlachcica; ale w rzeczy samej autor ukazał w nim tyle rysów odrębnych, tyle chwyconych żywcem cech charakterystycznych, że patrzymy nań jak na postać rodzajową, nie tylko podobną do znanych figur swojskich, ale indywidualnie odrębną i różną od nich. Tym jego: temperament sanguiniczny, zapalny, z którego płynie prostoduszna, sympatyczna otwartość i wstręt do wszelkiej sztucznej komedyi życiowej lub chytrego mactwa, skojarzony jednak ze zdrowym, praktycznym rozsądkiem. Rubaszość i stwardniała w życiu wiejskiem prostota obyczaju, jest zewnętrzna pokrywą duszy, w gruncie bardzo szlachetnej, w której, pod

względem moralnym, głęboko rozwinięto się poczucie sprawiedliwości, posunięte nawet do niepraktycznej przesady.

Autor umiał ukazać nam we wnętrzu duchowém téj postaci, bardzo ciekawą walkę tego poczucia z egoistyczną żądzą materyalnych zysków. Pan Damazy lubi pieniądze, jest sobie „mucidzieju” człowiek praktyczny, a gdy się przekonał, że mu się po bracie należy spadek, który chciała sobie zagarnąć pani bratowa, obruszył się energicznie na takie „szaleństwo” i radby by wziął wszystko, wszystko co mu się prawnie należy. Byłoby to i sprawiedliwem i rozumném, gdyż majątek w jego rękach byłby użyteczniejszym, niż w posiadaniu samolubnej i chytréj kobiety; ale już w pewnej chwili pan Damazy z dobrego serca ustępuje część praw swoich, a następnie zrzeka się ich jeszcze więcej i oddaje spadek przysłtemu zięciowi tak, aby sam się nie tknął „ani grosza” majątku swego brata nieboszczyka. Ta przesada bezinteresowności, ani rozsądna, ani praktyczna, jest nietylko wynikiem zbyt delikatnego poczucia sprawiedliwości, ale potrochu także przesadzonym strachem opinii publicznej, bojaźnią babskich języków, które szarpać go będą za „wdowią krzywdę.” Pod tym względem pan Damazy jest prawdziwym i typowym szlachcicem naszym, drażliwym wielce na to, „co ludzie mogą powiedzieć?” Jestto słabość, jakiej nierzadko ulegają nasze charaktery szlachetne, ale nieumiejące oprzeć się dość silnie na samodzielnej inicjatywie, oglądające się lękliwie na gwary ludzkich zawiści, któremi gardzą ludzie energiczni i rozumni. Jako szlachcic *bene natus*, chociaż niezbyt obficie *possessionatus*, pan Damazy umie cenić godność własną, ale niema on fantazyi rozhukanéj dawnych karmazynów, niema, gdyż gorzkie doświadczenie nowszych czasów wyleczyło go z dziedzicznego grzechu pychy krajowej. Jako ojciec jest niby bardzo surowym i poważnym dla swéj kochanéj jedynaczki, urobiczej szczebiotki Heli; mustruje, fuka i gniewa się na nią, ale kocha ją głęboko a prosto, pragnie szczęścia jéj materyalnego i moralnego szczęścia i ani na chwilę niechce swéj woli narzucać despotycznie pragnieniom jéj dziewiczego serca.

Nie jestto samolubny tyran domowy, krzykliwy despota w rodzaju znanych i do zbytku idealizowanych w literaturze naszéj typów, ale dobry, poczciwy papa nowszego stylu, dbający serdecznie o dobro i szczęście swéj kochanéj jedynaczki. Pod szorstką powłoką bije tam serce szlachetne i kochające, a chociaż pan Damazy chciałby kojarzyć małżeństwo przez układy rodzinne, jednakże jedno słowo „kocham,” powiedziane nieśmiało przez jego malutką Helę, burzy te wszystkie plany do szczytu. Bardzo wiernym i delikatnie schwytanym z natury, jest pewien rys prozaicznej praktyczności, bardzo właściwy pracownikom gleby, którzy nieustannie mają do czynienia z realnemi zagadnieniami życia.

W utworach pisarzy, nicodznaczających się bystrym darem obserwacyi, często nasi „mości dobrodzieju” więcej ziemianie posiadają zbyt wiele czułościowości lub sentymentalizmu, deklamują o pięknościach

przyrody; tymczasem pan Damazy pod tym względem jest to człowiek „mocdzieju” praktyczny, nie lubi słowików „co drą się napróżno i spać w nocy nie dają,” nie lubi eleganckiego parku, bo ten zysku i korzyści żadnej nie przynosi, na poezyi się nie zna i wszystko sądzi „pogospodarsku.” Niema on zapleśniałych przesądów, nie przecenia zbytnio herbowego splendoru, nie puszy się karmazyńską godnością, ale ma także pewną dozę fantazyi szlacheckiej: czuje swą godność i umie sobie nakazać estymę. Co go najbardziej sympatycznym czyni, to ów pogodny, szlachetny spokój, wiara w poczciwość, oparta na poczuciu własnej prawości, szlachetne oburzenie na wszelką podłość i matactwo, a wreszcie ów pogodny, szorstki i dosadny humor, ta mieszanina jowialności i powagi, nadająca mu wybitnie swojski charakter. Ten humor, a zwłaszcza jego oryginalne przejawy, to żywcem z natury czerpane bogactwo szczegółów, odróżniają wybitnie pana Damazego od pokrewnych mu typów i figur tego samego rodzaju, składają się na figurę żywą i pełną, która przemawia do nas nieprzeciętnym urokiem prawdy i sympatyczną swojskością.

Odrotną postacią jest rejent Bajdalski, matacz, egoista i intrygant będący wyborną odmianą znanego w literaturze naszej typu palestranta. Jest on chodzącą sprzecznością pomiędzy słowem i czynem. Na ustach ma zawsze jakoś ładnie brzmiący frazes o „sercowości,” bezinteresowności, poświęceniu a w gruncie rzeczy ma tylko własne korzyści na widoku i jako prawnik wyznaje obosieczną doktrynę, że między prawem a słusnością niema żadnej różnicy. Pan Bajdalski niejest podobnym do swego krewniaka Milczka w *Zemście*, gdyż lubi dużo rozprawiać w duchu zasad idealnych i humanitarnych i ma na pogotowiu zawsze dobrze ułożony frazes, trafiający do słabości lub przekonania ludzi, których wyzyskać chce dla swych widoków. Chytry i przebiegły, strawiwszy całe życie w konszachtach, interesach i matactwach przyzwyczał się rachować ze słowami, a że brak mu bystrości sprytu, oraz inteligencji, przeto nic dziwnego, że myśl jego wypoczywa co chwila, w owym charakterystycznym e... e... które sprawia, że jego mowa czyni wrażenie ciąglego potykania się. Charakter ten przedstawia się pod względem moralnym w kształtach przeciętnej życiowej lichoty. W nieustannej dreptaniu koło interesów i interesików, zatracił rejent poczucie godności, nauczył się mydlić ludziom oczy, grzecznie się kłaniać, tumanić gładkimi słowy, a wreszcie z wesołym uśmieszkiem i dobrą miną połykać upokorzenia.

Nader umiejętnie autor nadał rejentowi odcień lekkiego komizmu i charakterystyczną jego stronę wycieniował starannie we wszystkich szczegółach, niewpadając jednak w zbyt rodzajową drobiazgowość, tak że postać ta dorasta niemal do godności typu, streszcza w sobie pewien rodzaj charakterów wyrastających na gruncie życiowo prawniczego matactwa. Nic dziwnego, że dla takiego papy jak rejent, nie jest ze zbyt wielką estymą syn jego Genio, dzielny chłopak, streszczający w sobie pewne rysy typowe obecnego pokolenia młodzieży. Genio

rzeźki, umysłowo trzeźwy i pogodny, należy do inteligentnej młodzieży, którą wytworzyła głównie epoka siedmioletniej działalności b. szkoły głównej. Smutne doświadczenie niedawnej przeszłości, zwrot ku pojęciom utylitarnym, oraz praktycznym celom społecznego życia, będące reakcją po szlachetnych a wybujałych pragnieniach społecznego poetycznego idealizmu, uczyniły go zwolennikiem prądów filozoficznych, które przyciągnęły ku sobie najżywsze umysły nowszego pokolenia. Genio jest młodzieńcem tej szkoły i literatem, a o ile się domyślać można, uienależy do skrajnych przedstawicieli swego obozu. Jego dzielna, pełna rzeźkości natura, ukazuje się w komedyi na tle stosunków potocznych, wolna od szowinistycznej przesady, młodzieńczo oddychająca pełnią życia. Genio jestto sobie wyborny koleżka, który z całą satysfakcją porzuca szpargały i gwar miejski, aby odetchnąć na łonie przyrody i duchem utonąć w głębiach czarnych oczu wiejskiej dziewczicy. Realista w słowach i teoryach, jest potrosze idealistą czynnie, i wbrew zasadom swego lichego papy nie myśli sercem frymarczyć, uważając że miłość kobiety jest także skarbem, którego „ze stanowiska pozytywnego” lekceważyć uienależy. Wobec ojca zachowuje on pewien odcień poufałości, wolnej jednak od obrażającej impertynencji, a na komiczne indyczenie się pana rejenta przybierającego ton zwierzcuchiczny, odpowiada z chłodnym spokojem, w którym lekka ironia miarkuje się poczuciem obowiązkowego uszanowania. Kreśląc tę figurę autor okazał się wolnym od wszelkich stronniczych poglądów, koteryjnych uprzedzeń, umiał być trzeźwym obserwatorem i uchwycił zbiorowe rysy dodatnie dzisiejszego pokolenia młodzieży. Genio jest postacią niezmiernie sympatyczną, ożywioną tętnem niepodrobionego życia młodości, nakreśloną niezmiernie ciepło, barwnie i z humorem.

Jego moralną antytezą jest Seweryn, daleki powinowaty pana Damazego a pupilek ukochany jego bratowej. Jestto zimny, wyrachowany materyalista życiowy, który przy obłudnej i despotycznej cioci nauczył się fałszem i przewrotnością dochodzić do majątku, będącego jedynym celem jego marzeń. Pochlebając i kaptując względy swjej opiekunki i protektorki, nawykł do komedyi fałszu, i moralnie zepsuł się jak każdy charakter przechodzący szkołę poniżenia.

W jego płaskiej duszy miłość, chociaż namiętna i paląca staje się raczej krewką żądzą niż szlachetnym uczuciem, skupiającem w sobie najpiękniejszą poczętą młodości; kochając Mańkę sierotę, wychowanicę swjej ciotki, jednocześnie dla widoków posagowych konkuruje o rękę Helenki córki pana Damazego, a biedną dziewczynę cierpiącą z powodu jego zdrady, łudzi mamiącemi obietnicami. Chciałby się z jedną ożenić dla pieniędzy, a z drugą jednocześnie prowadzić związek pokątny. Moralne jego poczucie dotyla jest stepione, że niepojawia podobnych zamiarów. Jest on widocznie z życia studyowanym charakterem, w którym poziome instynkta i zimne sobkostwo zwarzyły szlachetne popędy serca i popłamiły trochę sumienie. Postać to nędzna raczej nie podła, przedstawiająca przeciętną miarę ludzkiej lichoty.

Równie znakomitą, pełną i wszechstronną jest charakterystyka postaci kobiecych, które odskakują wybitnie od szablonowych manekinów i komunałów, płodzonych tak obficie przez wielu naszych belletrystów *minorum gentium*.

Najwybitniej między nimi rysuje się pani Żegocina, bratowa pana Damazego, niepokieszona niby wdowa, czyhająca na wydziedziczenie prawych successorów męża i zagrabienie całego po nim majątku. Jestto egoistka grająca obłudną komedią poświęcenia i ofiary, kobieta fałszywa, chytra, przebiegła i energiczna.

Poślubiła chorego, dogorywającego starca, aby po nim zagarnąć majątek i umiała go tak opanować, że zerwał dawniejsze stosunki z całą rodziną, która znając jej charakter, niezyczyła sobie mocno tego związku. Ostra, despotyczna w domu, prawdziwa *hic mulier*, umie ona jednak przywdziać maskę udanej słodczy i pozować na nieszczęśliwą, krzywdzoną i opuszczoną od ludzi sierotę. Pragnąc nieprawnie zagarnąć cały majątek po mężu ze szkodą pana Damazego, nieczyni tego jednak z osobistej chciwości, ale raczej chce wyposażać ulubionego gagatka Sewerynka, dla którego czuje istotnie pewną słabość. Chytra, przebiegła komedyjantka, fałszywa i obłudna, niejest ona jednak z gruntu złą i przewrotną, i niezupełnie egoistyczne ma pobudki działania. Zupełnym jej przeciwieństwem jest jej siostra, potulna, słodka i uczynna pani Tykańska, żyjąca niby na łaskawym chlebie. Jestto jedna z tych postaci opronienionych światłem łagodności i słodczy, które pojawiają się wcale często w życiu naszych wiejskich dworaków. Oddana cichiej domowej pracy, wspominająca z rozrzewnieniem swego zmarłego męża Tobunia, który widocznie był godnym jej poczciwem, ta sympatyczna staruszka myśli tylko aby uszczęśliwić lubie dzieciuchy i oddać młodym kochającym się parom skromny mająteczek. Postać to kreślona rysami łączącymi zarazem realną prawdę, i pewną poetyczną naiwność; jest ona zabawną zarazem i rozrzewniającą, należy do najszczęśliwszych typów charakterystycznych tego rodzaju.

Bardzo sympatyczną jest także Helenka, córka pana Damazego, która chociaż należy do znaniej kategorii młodych naiwnych niewiątek, jednakże jest postacią żywą, studyowaną z natury a nie szablonowym scenicznym komunalikiem. Helena nie jest gąską wiejską dawnego stylu; trochę co prawda jest nieśmiałą, przy nieznanym mężczyźnie pierzcha jak spłoszona sarenka, ale bardzo szybko nabiera rezonu i śmiałości w sprawach sercowych. Jej szczebiot pełny naturalności jest zarazem lekkim, swobodnym i wolnym od wielkiej afektacji, sentymentalizmu i wyszukaniej kokieteryi a uczucie dla pana Antoniego młodego kuzynka pani Żegociny, skreślił autor rysami pełnemi prostoty i niepodrobionej szczerości.

Lękliwa Hela kocha tego zanego i miłego chłopca, pozwala sobie mówić o miłości, ale przed panem Damazym wstydzi się odrazu przyznać do tego, bo chociaż „to tacio, ale zawsze mężczyzna.”



Oryginalniejszą jeszcze, choć niezupełnie szczęśliwie wyzyskaną postacią jest Mańka sierota, będąca na opiece u pani Żegociniej, dziewczyna przygnębiona dołą sierocą i macoszim obejściem. Namiętna i ognista, zapłonęła ona miłością do Seweryna, który pragnąc ożenić się dla majątku, chce ją wy kierować na metresę. Romans ten krewki, prowadzony ukradkiem, niema jednak na sobie piętna moralnego brudu, chociaż Mańka nieumie nadać sobie szacunku i poddaje się zrazu zbyt łatwo kuszącym podszeptom zdradnej miłości. Autor bardzo trafnie zaznaczył w tym charakterze wewnętrzną moralną przemianę pod wpływem prób i cierpień zranionego uczucia. Z dziewczyny zahukaniej, a skrytej, Ignającej zbyt łatwo do Seweryna i pozwalającej na zbyt dużą poufałość, Mańka przemienia się powoli na kobietę czującą swoją godność, a jej szlachetna dusza oburza się na nikiemne propozycje moralnie lichego kochanka. Miłość zrodzoną z krewkiej żądzy, zastępuje z wolna w jej duszy pogarda, gdy serce jej boleśnie zostało zranionem wiarołomstwem ukochanego, a pod wpływem tych zawodów upokorzenia Mańka wpada w apatię chwilową, z której leczy ją Genio balsamem serdecznego współczucia.

Z prawdziwem poczuciem psychicznej prawdy, Błaziński niespieszy się z uwieńczeniem pragnień serca młodego pozytywisty, którego urzekło czarowne spojrzenie czarnookiej wiejskiej Rusałki. Rana Mańki w skutek zdrady Seweryna jest nadto świeżą, aby tak rychło mogła się zabliznić pod wpływem nowego uczucia, dla tego też przy końcu komedji widzimy tylko ukazaną możliwość odległą skojarzenia się tych dwu serc szlachetnych.

Przejrzeliśmy bliżej całą galeryą figur stworzonych przez autora, gdyż stanowi ona główny rdzeń wartości jego pięknego utworu, godnego zaiste tytułu komedji charakterów. We współczesnej literaturze dramatycznej trudno zaprawdę znaleźć sztukę, któraby pod tym względem mogła się śmiało mierzyć z *Panem Damazym*. Z naszych nowszych komedji tylko *Pozytywni* Narzyskiego, mogą się poszczycić kilku postaciami, wykończonemi z równą psychologiczną precyzją. Żywioł charakterowy stanowi nietylko podwalinę sztuki, ale i cement wiążący doskonale wszystkie części jej budowy. Cała akcja i wszystkie jej pojedyncze doby wysnuwają się z tych danych psychicznych z logiką nieprzewartej konsekwencji. Pod tym względem Błaziński także uniknął kardynalnego błędu wielu współczesnych pisarzy i stanął na gruncie prawdziwie racjonalnej metody tworzenia. Jestto bowiem jednym z zasadniczych błędów współczesnej literatury beletrystycznej, przeciwko któremu słusznie walczy dzisiejsza szkoła realistyczna, że często sztukę identyfikuje ze *sztucznością*, że zamiast w artystycznych kompozycjach dawać odbicie głębszej logiki życia w jej naturalnym biegu, płacze tylko i wikła zewnętrzną nić wypadków w sposób często dowolny i chimeryczny. Ileżto dzisiejszych powieści lub dramatów jest produkcją takiego sztucznego kombinowania tak zwanęj „bajki,” obleczonęj w kształty banalnej lub przybliżonęj charak-

terystyki. Zwłaszcza w dramatycznój literaturze francuzkiój ten kunszt mechaniki scenicznój doszedł obecnie do swego zenitu czy absurdu, tak, że jój najzręczniejsi mistrze prześcigają się wzajemnie w budowaniu najbardziej zawitych i wyszukanych kombinacji, zamieniając często ruch sceniczny figur na grę sprężynami kierowanych maryonetek.

Sposób prowadzenia akcji w komedyi Blizińskiego, jest najzupełniej odmiennym, gdyż autor będąc prawdziwym a zdrowym realistą, ukazuje nam głębszą logikę życia, nieuciekając się do wysiłonych apriorystycznych kombinacji. Cały bieg wydarzeń jego komedyi snuje się prosto i spokojnie z naturalnych stosunków i uczuć, jakie zachodzą pomiędzy wszystkimi działającymi figurami, a akcja z charakterystyką kojarzy się spoiwem najzupełniej jednolitem i spływa w harmonijną całość. Głównym wątkiem sztuki są sprawy, układy i intryzki familijne, płynące z sukcesyjnych stosunków, w których występują na jaw wszystkie namiętnostki, urazy, niechęci wytworzone przez poprzednie stosunki przed zaczęciem akcji sztuki. Komedya nie jest sama w sobie sztuczną oderwaną kombinacją, ale przedstawia zetknięcie się w chwili ważnej i stanowczej różnych stosunków, które się urobiły przez długie lata. Widzimy więc tutaj, jak grająca komedya, obłudny Żegocina witając, po śmierci męża, jego brata, stara się otumanic go udaną dobrocią i wmówić, że na mocy fikcyjnego zapisu męża ma prawo do całego majątku. Pan Damazy, łatwowierny, daje się uwieść z początku gładkim słówkom pana rejenta, pełnomocnika prawnego Żegociny, i nie domyśla się, jakie ma prawa do majątku. Aby jednak faworytowi Sewerynkowi zapewnić bezsporne posiadanie majątku, sprytna kobieta układa jego małżeństwo z Helą, na które się godzi pan Damazy. Ale miłość paraliżuje te familijne konszachty, gdyż Hela zakochana w Antonim, nie chce słyszeć nawet o związku z Sewerynem, którego zaloty przyjmuje z odpychającym stanowczo chłodem, a Mańka tymczasem rozpaczając, z powodu zmienności Seweryna, mimowolnie zdradza przed regentem swój romans z chytrym paniczem. Chytry pan Bajdalski czycha na majątek pani Żegociny i pragnąłby otrzymać go razem z ręką ciepłej wdówki, więc wyjawia tajemnicę tego stosunku panu Damazemu, który oburza się całą mocą swój poczciwości, widząc przewrotność Sewerynka. Pani Żegocina dowiedziawszy się także o tajonym romansie, wybucha gniewem i wypędza z domu Mańkę, którą w krytycznej chwili osłania Genio swą interwencją. Powstaje ztąd wielka kłótnia pomiędzy panem Damazym a bratową, wszystkie stosunki rodzinne naprężają się, sytuacja wikta się naturalnie i konsekwentnie, ale autor rozcina ją zreżymem a jednak prawdziwym manewrem, używając do tego, w cieniu stojącej przez cały ciąg sztuki, pani Tykalskiej, która okazuje panu Damazemu własnoręczny zapis na swą korzyść, uczyniony przez nieboszczyka i świadczący wymownie, że prawa naturalnego spadkobiercy niesą obciążone żadną inną powinnością.

Odkrycie to rozcina zawilość komedyi, stawiając Damazemu jasno jego prawa przed oczyma. On zostaje panem sytuacji, on dyktuje warunki, ale zamiast skorzystać z tego co mu się słusznie należy, czyni zbyt i ślamazarne ustępstwa, oddaje pani Żegocinie jedną połowę majątku z warunkiem spłacenia legatu Tykalskiej, a zięciowi swój córki daje drugą połowę, wyposażając z tego Mańkę, którą zabiera ze sobą do domu. Tak więc nieporozumienia rodzinne kończą się zgodą, z racyi której główny motor intrygi pan rejent, musi rejterować, zdążywszy jednak, niby w imię bezinteresowności, przemówić na korzyść sieroty t. j. Mańki, w której widzi przyszłą swą synową.

Z tego krótkiego streszczenia widzimy, jak w całym toku akcji komedyjnej biorą udział naturalny wszystkie osoby komedyi, z których każda gra odpowiednią sobie rolę, niebędąc zbytęzną przystawką. Chociaż ze stanowiska zewnętrznej architektoniki niektóre części tego wątku prowadzone są trochę za rozwlekle, a sztuka przez to nierówno stopniowo w dramatycznym interesie; jednakże łatwo można przebaczyć autorowi ten błąd formalny dla wrażenia ciągłej, niezachwianej, nieskażonej niczém prawdy i naturalności w rozwoju uczuć i stosunków komedyi. Słuchając jęj, zapominamy o fikcyi autorskiej, przenosimy się w świat, utworzony z całym urokiem bezpośredniego złudzenia, które ani na chwilę się nierozwiewa.

Widzieliśmy z charakterystyki sztuki, jakie stosunki i żywioły wprowadza do nięj autor i to nam pozwoli z wszelką łatwością oznaczyć ów stopień trwałości jęj, o którym wspominaliśmy wyżej. Mamy tu obraz wewnętrznego życia naszego wiejskiego dworu i charakteru urobione w jego warunkach, ujęte treściwie w swęj zarodczęj istocie. Dopóki tylko kwitnąć będzie sielska prostota życia ziemian naszych, dopóty takie postacie jak pan Damazy, Hela i Tykalska powstawać będą w jego błogim patryarchalnym spokoju. Dopóki tylko istnieć będą obecne stosunki rodzinne i dzisiejsze podstawy prawa spadkowego, dopóty tacy rejentowie i panie Żegociny będą prowadzić swe konszachty i intryżki. Widzimy więc, że cała treść stosunków i charakterów, chociaż w niektórych szczegółach związana z współczesnością, przedstawia głębszy żywioł trwałości i odzwierciedla w sobie pewne znamiona i bardziej zasadnicze życia sfery spotecznej, która z natury swojej przechwuje najtrwałej wiele sympatycznych rysów narodowego charakteru. Dlatego też niepopęlnimy bynajmniej przesady, jeżeli przyznając *Panu Damazemu* wartość trwałą swojskiej komedyi obyczajowej, a stawiając go tuż obok *Słubów Panienskich* Fredry, uznamy obie komedye za dokumenta artystyczne, przedstawiające wewnętrzne życie wiejskiego dworku obecnego wieku. Ponieważ zaś dzisiejsze stosunki tęj sfery społecznej w jęj najszlachetniejszych objawach, przedstawiają skojarzenie się harmonijne dawnych patryarchalnych żywiołów z nowszemi pojęciami, modyfikującemi dawny rygor stosunków rodzinnych; ponieważ podstawy układania się tych stosunków ze względu na prawa regulujące przechodzenie własności z pokolenia na pokolenie, o ile sądzić moż-

na, mają za sobą żywotną siłę trwałości: więc możemy mieć nadzieję, że komedia Blizińskiego na długo zachowa swą żywotność i nieprędko zejdzie do rzędu pomników literacko-historycznych, świadczących o niepowrotnej przeszłości. Artystyczna plastyka, pełna łudzącej realnej żywotności, wykończenie ujmujące szlachetną prostotą, wolna od przesady i maniery, nareszcie swojski, sympatyczny charakter, wszystko to razem sprawia, że *Pan Damazy* jako polska komedia obyczajowa, jeżeli nie należy do pierwszorzędných pereł twórczości naszej, to jednak tuż po nich zajmuje miejsce bardzo zaszczytne w literackim skarbcu i stanowi cenny i trwały jego zabytek. Więcej takich utworów a współczesna komedia zyska w dziejach literatury naszej prawdziwie piękną i ważną kartę.

Druga jednoaktowa komedia Blizińskiego, *Mąż od biedy*, jest właściwie mówiąc małym a wdzięcznym rodzajowym obrazkiem a raczej studjum wprost z natury odmalowanem z prawdą tonu i kolorytu, stanowiącą tak ważny przymiot tegoż autora. Widzimy tu mały dramacik małżeński pod folwarcznym dachem. Mąż poczciwy ekonom, dobry, prostoduszny chłopak pracuje jak wół, aby tylko dogodzić swej żonie grymaśnej i pamiętającej o dawnych tonach swych rodziców, którzy owemi czasy należeli do lepszego towarzystwa w jednym z miast powiatowych. Pani ekonomowa, której pańskie fuchy niewywietrzały z głowy, zamiast pracować jak poczciwa gospodyni, połyka kryminalne romanse i miłym okiem spogląda na pana Mieczysława, kuzynka dziedziców, który tymczasem kopie dołki pod ekonomem i pragnęłby go wyrugować z posady, aby potem usadowić się na bezpłatnej dzierżawie. Zacni staruszkowie państwo Poczciewscy, podmówieni przez chytrego intryganta, zjeżdżają niby na śledztwo mające wykryć malwersacye Szymalskiego, ale ze srogich zwierzchników zamieniają się rychło na poczciwych opiekunów. Widząc domowe kłopoty i akuratność poczciwego Szymalsia, godzą poważniejszych i wprowadzają harmonią do pożycia niedobranego stadła i obdarzają prawami poczciwego oficjalistę.

Treść obrazka prosta i niewyszukana, jest podsłuchaną żywcem z natury, cichą sprawą wiejskiego domowego życia, a wszystkie postacie to fotografie żywych typów schwymane na gorącym uczynku, wykończone z flamandzką dokładnością. Sympatyczni staruszkowie, którzy się kochają niby para gołąbków a przekomarzają się nieustannie, posiadają ten urok jowialnego komizmu, który jest zabawnym zarazem i rzewnym. Sztuka ta jest skromną ale wierną i prawdziwą fotografią życia, sprawia wrażenie łudzącej natury ale niegrzeszy bynajmniej przesadą naturalizmu. W porównaniu z szerokim zakrojem *Pana Damazego*, obrazek ten jest robotą drobną i zacieśnioną w szczupłych ramach, jednakże sprawia bardzo miłe wrażenie wdziękiem barwy i prawdą rysunku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TRZECIA  
WYSTAWA ROLNICZA  
W SZAWLACH.

PRZEZ

*Zygmunta Glogera.*

Po dwu wystawach, które miały miejsce w r. 1875 i 1876, odbyła się w połowie września roku bieżącego trzecia wystawa rolnicza w Szawlach.

Z programu wystawy (drukowanego także w Szawlach) widzimy, że wystawy te odbywają się na zasadzie rozporządzenia ministra dóbr państwowych, wydanego w r. 1875, celem podniesienia hodowli bydła i rozwoju wogóle wiejskiego gospodarstwa.

Wystawcami mogą być przedewszystkiém mieszkańcy gubernii Kowieńskiej, lecz także i sąsiednich. Machiny rolnicze przyjmują się zewsząd. Wystawami zarządza stała dyrekcyja, tudzież komitet z obywateli miejscowych wybrany.

Przedmioty dzielą się na 5 oddziałów a 12 grup. Oddział 1-szy obejmuje zwierzęta domowe, t. j.: bydło, konie, owce, świnie, ptastwo domowe, rybotówstwo i pszczolnictwo. Zwierzęta mogą być nietylko urodzone w kraju, ale także sprowadzone w młodym wieku z zagranicy i wychowane przez wystawców.

Oddział 2-gi obejmuje nasiona i rośliny, a mianowicie: zboża, rośliny okopowe, pastewne, przemysłowe, drzewa owocowe i leśne. Wystawiający zboże, powinni mieć z każdego z gatunków wystawionych po 2 korce na sprzedaż, lub złożyć świadectwo dwu sąsiadów, że obsiewają niemniej nad jedną dziesięcinę (dwa morgi).

Oddział 3-ci obejmuje wszelkie domowe przetwory i produkta, więc: przedzę, len, wełnę, nabiał, wędliny, tkaniny, skóry, smarowidła, tłuszcze, mąkę, kaszę, napoje, nawozy sztuczne i minerały.

Oddział 4-ty obejmuje mechanikę i budownictwo, t. j. maszyny, narzędzia, modele i plany.

Oddział 5-ty przeznaczony jest dla rachunkowości rolniczej.

Wogóle program zwraca uwagę zarówno na większe jak na włościańskie gospodarstwa.

Pomimo to wystawa tegoroczna miała charakter prawie wyłącznie, że tak powiemy, obywatelski i jako taka powiodła się, ale za to pod względem mniejszych gospodarstw świeciła w wielu działach pustkami, a więc prawie w połowie nie dopięła celu. Dział koni i bydła był

liczny i piękny, owiec ubogi, trzody chlewniej nieliczny ale wyborowy, drobiu było zaledwie kilkanaście sztuk, zboża było dosyć skąpo, owoców i warzywa dużo i w pięknych okazach; dział przemysłu był dość bogaty i ciekawy, lubo w niektórych kierunkach bardzo niekompletny: wiele np. było maszyn fabrycznych, a nie nie przedstawili miejscowi ślusarze, kowale, bednarze i stolarze. Z pomiędzy rolników, biorących udział na wystawie, zasługuje przede wszystkim na wymienienie działalność pana Pawła Puzyny z Wielkich Gruz, p. Jana Gruzewskiego z Kurszan, książąt Ogińskich, p. Bądzińskiego, Kontowta, Podberezkiego, Konstantego Skirmunta, państwa Pezomskich, hr. Zubowa i kilku innych. Żałujemy, że obok książąt Ogińskich i hr. Zubowa nie możemy tu wymienić innych największych posiadaczy w gubernii Kowieńskiej, których widocznie wystawy szawelskie nie obchodzą, bo udziału w tych krajowych uroczystościach pluga i pracy brać nie chcą.

Nagrody główniejsze otrzymali: p. Adamowicz złoty medal za karego ogiera rasy arabskiej; p. Bolesław Sakiel potwierdzenie dawniejszego złotego medalu za ogiera złocisto-gniadego rasy arabsko-polskiej; p. Dominik Poraziński srebrny medal za ogiera bułanka; p. Sakiel srebrny medal za klacz siwą i p. Konstanty Skirmunt srebrny medal za ogiera gniadego. W grupie koni roboczych przyznano księciu Michałowi Ogińskiemu złoty medal za dwa ogiery: gniadego i bułanego żmujdzkiej rasy; hr. Zubowowi srebrny medal za siwą klacz i ogiera rasy perszerońskiej; p. Konstantemu Parczewskiemu z Jakubowa, pod Połagą, srebrny medal za krzyżowanego ogiera z ojca perszerona i matki żmujdzkiej rasy; p. Nowickiemu srebrny medal za ogiera żmujdzkiego czystej krwi; p. Czarnockiemu z gubernii Wileńskiej medal srebrny za klaczkę dwuletnią rasy perszerońskiej; księciu Bohdanowi Ogińskiemu medal srebrny za ogiera żmujdzkiego. Za konie pojazdowe otrzymali: p. Michał Obakiewicz złoty medal za ogiera jasnosiwego i p. Antoni Komorowski z Kurlandyi za parę ogierów trzyletnich; ks. Bohdan Ogiński medal srebrny za ogiera rasy angielskiej i za karego trzechetnego ogierka rysaka; książdz Bilewicz medal srebrny za klacz ze źrebięciem. Za konie włościańskie, których było bardzo niewiele, przyznano sześć nagród pieniężnych: Gryniusowi, Butkiewiczowi, Retnajtisowi, Sztikunasowi, Bilewiczowi i Czabińskiemu, razem w sumie rs. 80.

Puhar srebrny, ofiarowany wystawie szawelskiej przez obywateli powiatu Nowo-Aleksandrowskiego (w gubernii Kowieńskiej), otrzymał p. Józef Komar za bydło rasy szwycyckiej; p. Konstanty Komar medal złoty za bydło rasy algauskiej; p. Władysław Kerbedź potwierdzenie medalu złotego za bydło rasy algauskiej; p. Izidor Romer z Cytowian medal złoty za bydło rasy airszyrskiej; p. Paweł Kończka medal złoty za buhaja rasy szwycyckiej; p. Antoni Komorowski wielki srebrny medal za mlęczną krowę czystej krwi anglerskiej; p. Władysław Kerbedź medal srebrny za cielęta rasy algauskiej; hr. Zubow medal srebrny za buhaja czystej krwi algauskiej; p. Paweł Kończka wielki medal srebrny

za krowę krzyżowaną szwycko-holenderską i jałowkę czystej krwi szwyc; p. Jan Komorowski medal srebrny za buhaja czystej krwi anglerskiej; p. Naryszkin medal srebrny za dwie jałowki czystej krwi anglerskiej; p. Leon Komorowski medal srebrny za jałowkę rasy anglerskiej; p. Józef Montwiłło medal srebrny za buhaja rasy algauskiej; hr. Zubow medal srebrny za dwie krowy czystej krwi anglerskiej; p. Paweł Puzyna medal srebrny za oborę rasy algauskiej; hr. Wojciech Zyberg-Plater medal srebrny za bydło rasy algauskiej.

Za owce otrzymali: hr. Zubow medal srebrny za owce rasy mieszanej soudthown; ks. Bohdan Ogiński medal srebrny za owce rasy oksfordzkiej; p. Antoni Komorowski medal brązowy i p. Sakiel list pochwalny.

Za trzodę chlewną rasy jorkszyrskiej państwo Michał i Helena Podberescy medal złoty; hr. Zubow medal złoty za rasę berkszyrską; p. Naryszkin potwierdzenie dawniejszego złotego medalu; p. Hryniowicz medal srebrny.

W dziale pszczolnictwa otrzymał medal srebrny ksiądz Telesfor Rubin, proboszcz z pow. Rosieńskiego, za ule ramowe galicyjskie ze ścianami słomianymi, tudzież list pochwalny za centrifugę do oddzielania miodu z plastrów i machinkę do robienia ulów. Sobecki, pasiecznik h. Zubowa, otrzymał rs. 25 i list pochwalny za umiejętne i troskliwe prowadzenie pasieki.

W oddziale roślin otrzymali: p. Mieczysław Kontowt z Szowkowa medal srebrny za kolekcją zbóż; p. Peżarski z Białolesia medal srebrny za owies amerykański i kalifornijski, jęczmień sześciorzędowy, siemię lniane i groch zielony; p. Bądryński z Szyłosad, medal srebrny za jęczmień, pszenicę, żyto i groch; p. Paweł Puzyna medal srebrny za rośliny pastewne i okopowe; ogród pomologiczny warszawski medal złoty za kolekcją: gruszek, jabłek i śliwek; bracia Bardet z Warszawy, medal złoty za szczepy, drzewka klombowe i owoce; p. Władysław Ławrynówicz medal srebrny za pszenicę; pani Kazimiera Janczewska z Blinstrukiszek, za kolekcją: gruszek, jabłek i śliwek medal srebrny; p. Wincenty Mątwiłło medal srebrny za owoce i drzewka owocowe.

W dziale przemysłu otrzymali: p. Talheim medal złoty za smarowidła do kół; p. Marcinkowski medal srebrny za masę papierową z drzewa; p. Rymkiewicz z Warszawy, za mąkę ze swego młyna parowego medal srebrny; p. Jałowicki medal srebrny za masło; hr. Zubow medal srebrny za mąkę; p. Piłsudski medal srebrny za drożdże i terpentynę; p. Róża Kościatkowska z Wysokiego-dworu medal srebrny za płótno i przędzę w wyższym gatunku; ks. Bohdan Ogiński medal srebrny za sukno i kort; pani Wanda Komorowska medal srebrny za dywan; p. Paulina Silicka medal srebrny za 6 sztuk półwełnianej tkaniny; p. Karol Kołodziński medal srebrny za wyroby powroźniczo-szmulerskie z konopi (sznury, zaprzęgi, pasy); p. Anna Borewiczowa medal srebrny za kort z kręconych nitek; Maryanna Leontyewna medal srebrny za chustkę wełnianą; p. Koziczowa medal srebrny za dwie sztuki

czerkasu; Marya Kowzanowa medal srebrny za dwa dywany półwełniane; p. Rabcewiczowa medal srebrny za obrus na suknie; Marya Piotrowska medal srebrny za czerkas; pani Julia Girdwojniowa (matka znakomitego przyrodnika) medal srebrny za dywany obrazowe; Aleksandra Budkiewiczowa medal srebrny za tkaninę na piernaty i materace.

Fabryka Lilpopa i Raua z Warszawy, otrzymała medal złoty za żniwiarkę, sikawkę i kilka nowszych machin rolniczych; także medale przyznano fabryce machin w Kownie p. Rekosza, zwaną „Minerwa” za młocarnie, pługi i arki, tudzież fabryce libawskiej „Phönix.” Pan Muszyński z Warszawy, za narzędzia i maszyny rolnicze otrzymał wielki srebrny medal; p. Szyling z Poniewieża, medal srebrny za ulepszoną młockarnię; rycki skład Grohmana Vandyka medal srebrny za maszyny zagraniczne; Zigler z Rygi medal srebrny także za maszyny zagraniczne; p. Jan Grużewski z Kurszan, medal srebrny za aparat własnego pomysłu, do wywożenia nieczystości płynnych na komposty i za ulepszony walec; p. Madcis medal srebrny za drobniejsze narzędzia, mające zastosowanie w rolnictwie; p. Ciechanowiecki medal srebrny za ulepszoną kolej przenośną; p. Michał Podbereski medal złoty za koła z fabryki „Helena;” p. Dominik Poraziński medal srebrny za model domu z kawałków drzewa, zamiast cegły (w rodzaju pruskiego muru).

Komuż na wspomnienie Żmujdzi nie przyjdzie na myśl rasa koni żmujdzkich. Mają one wiele przyniotów i należą w Europie do najlepszych koni roboczych. Niepospolita siła muskułów i zachowanie tej dzielności przy najgrubszej paszy, oto główne zalety rasy żmujdzkiej. Dzisiejszy powiat Telszewski i Rosieński, t. j. Żmujdz południowo-zachodnia, są właściwem gniazdem rasy żmujdzkiej. Ztądto handlarze zagraniczni wykupują corocznie dość znaczną ilość koni i wyprowadzają do Prus, a nawet Paryża, gdzie wśród koni dorożkarskich, książę Michał Ogiński odkrył pewien procent czystej krwi żmujdzinów. Niestety, najmniej koni żmujdzkich idzie do innych gubernii naszego kraju. Celem podtrzymania rasy żmujdzkiej, ma miejsce corocznie na Ś-ty Jan w Rosieniach, wystawa, wyłącznie dla tych koni przeznaczona; odbywają się próby siły pociągowej i rozdawane bywają nagrody, a właścianie w wystawach tych biorą przeważny udział. Książęta: Michał i Bohdan Ogińscy, wielcy miłośnicy rasy żmujdzkiej, nie poprzestając na tém, zamierzają zawiązać towarzystwo opieki nad tą rasą, jej podniesieniem i upowszechnieniem w kraju. Myśl zacna, prawdziwie obywatelska! Towarzystwo będzie zakupywało ogiery wyborowe i dla użytku właścian i obywateli umieszczało je w różnych okolicach. Jak słyszeliśmy, wielu obywateli ofiarowało już bezpłatne utrzymanie tych koni, w zamiarze przysłużenia się tém dla dobra swoich okolic.

Na tegorocznej wystawie w Szawlach, w liczbie 67 przedstawionych koni, dominowała rasa arabsko-polska, żmujdzka i perszerońska, konie wierzchowe, pojazdowe i robocze. Wyścigowców angielskich



prawie nie było—i témlepij. Krępe żmujdziny i dzielne, o zaokrąglo-nych kształtach araby miłszy sprawiły widok. Było co zaprząd do pługa i do kolasy, popisać się z werwą i ogniem, coto w czerstwą, niezczudzoziemczą duszę wlewa ów zapal szlachetny, który ludzie staro-dawni mężem serca nazywali.

Szkoda tylko, że w czynności wystawców i ekspertów czuć było potrochu jakiś pośpiech, niesystematyczność, niedokładność, zamieszanie. Członków komitetu było *multum*, pracowników daleko mniej. Dobrych chęci do zbytku, wytrwałości cokolwiek zamało. Darujcie mi te uwagi, panowie, ale nie dyktuje mi onych złośliwość, lecz może zbyt namiętna żądza dobra ogólnego. Bezstronność każe mi tu pogdérać. Widziałem np. drukowane tablice dla wystawców i ekspertów do szczegółowego opisu zwierząt, przedstawionych i ocenianych. Ścisła taka kontrola z kilku względów byłaby pożyteczna, ale że pisaniny przedstawiała dosyć, więc zaniechano jój. A teraz drugi, acz drobny szczegół. Pan Zawadzki z Koźliszek (gub. Suwalska), przedstawił ze swojej fabryki dwojakie smarowidło: jedno w skrzynce, drugie w baryłkach. Skrzynkę podczas ekspertyzy otworzono, ale baryłek, prawdopodobnie dlatego, że się trudniej odmykały, otwierać zaniechano.

Księgi rachunkowości gospodarczej dostarczył w naturze p. Aleksander Bądryński z Szyłosad; była także rachunkowość Strzeleckiego i mnóstwo regestrów drukowanych z Warszawy. Przykład p. Bądryńskiego, nie wchodząc w bliższą ocenę jego rachunkowości, radzilibyśmy jak najgoręcej zalecić. Administracya bowiem majątkowa jest rzeczą nader wysokiej doniosłości. Najlepszy rolnik nie nastarczy lichemu administratorowi, a u nas daleko więcej jest dobrych rolników, niż dobrych administratorów.

Do rzeczy mających bliższy z nauką związek, należał przedstawiony przez p. Wawrzyńca Iwińskiego zielnik ekonomii szawelskiej, projekt ogrodu botanicznego, tudzież grzyby lasów żmujdzkich. Te dwie ostatnie prace poznaliśmy już w roku zeszłym na wystawie retowskiej.

Nie potrzeba dowodzić, że do rzeczy niezmiernie pożądaných, należałyby drukowane rozprawki rolników, gdyby ci w rozmaitych kwestyach i przedmiotach rolniczych, opracowawszy to lub owo specjalnie, prace te swoje ku dobru ogólnemu na wystawach produkowali. Tak w roku zeszłym w Retowie, p. Aleksander Jelski, obywatel gubernii mińskiej, dał pod ocenę i otrzymał srebrny medal za rozprawę: *O wpływie cywilizacyi na uczucie litości nad zwierzętami*. Tak obecnie w Szawlach spotkaliśmy się z pracą p. Jana Grużewskiego z Kurszan, wydaną świeżo w Wilnie p. n. *Kilka słów o Kianiance konieczynowej*. Nie chodzi tu nam w ogóle ani o dzieła, ani o lawinę erudycyi, ani o ozdobną okładkę i błyszczący papier, ale chodzi o treściwe i jasne sprawozdania z własnych doświadczeń, z naukowych wycieczek i o rzeczy tym podobne.

Zauważyliśmy, że p. Jan Grużewski z Kurszan, młody jeszcze pracownik, rozwija energiczną i umiejętną działalność w rozmaitych gałęziach rolnictwa i pragnie na tém polu poważnie i zacnie, prawdzi-

wie po obywatelsku służyć swojemu krajowi. Kianianka koniczynowa jest już zagranicą oddawna znaną niszczytelką koniczyny i lucerny, z którą rolnicy tańtejsi toczą zawziętą walkę. Autor przytacza rezultaty ciekawych doświadczeń p. C. Jensen'a, dyrektora stacyi do badania nasion przy uniwersytecie w Kiel. Jeszcze w r. 1875 kianianka nie była wcale znaną na polach żmujdzkich. Dopiero mroźna zima w roku powyższym, zniszczywszy do szczętu koniczynę, zmusiła rolników do zakupowania nasienia w składach, które sprowadzały koniczynę z zagranicy. Tym sposobem przez Warszawę w r. 1877, dostała się kianianka do Kurszan i w następnym roku po pierwszym pokosie poczęła nielitościwie dławić koniczynę. Kianianka koniczynowa (*Cuscuta Trifolii Babington*) jest pasożytem, ma nasienie podobne do nasienia koniczyny, tylko mniejsze, zachowujące własność kiełkowania od 4 do 6 lat. Przy dobrych warunkach poczyna kiełkować po 4—6 dniach; przykryta ziemią traci własność kiełkowania. Podczas kiełkowania najprzód rozwija się korzonek; zadaniem jego nie jest zagłębiać się w ziemię, by ztamtąd czerpać pokarmy dla rośliny, albo być jej podstawą; organ ten nie spełnia takiej funkcji. Następnie poczyna z ziarnka rosnać łodyga kianianki bez liści, podobna do nitki wężykowatej z końcem haczykowatym, który szuka stosownej rośliny do obwiniecia się koło niej. I tak najprzód kosztem ziarnka, a następnie umierającego korzonka rośnie łodyga kianianki. Jeżeli nie znajdzie ona właściwej sobie rośliny, której kosztem żyć może dalej, to spożywa sama siebie i umiera. Jeżeli zaś spotka łodygę koniczyny, lucerny, lub inną pożyteczną dla siebie, to obwija się koło niej i rozrasta szybko, wysyłając liczne gałązki do sąsiednich krzaków i tak rozpościera szparko swoje żubne panowanie.

W miejscach, w których dotyka się opanowanej rośliny, tworzą się tak zwane *haustorie*, czyli organa ssące, któremi wpija się kianianka do wnętrza swjej ofiary i czerpie dla siebie jej soki, wskutek czego roślina opanowana zwolna umiera. Engelmann rozróżnia siedm dziesiąt siedm gatunków kianianki. Zwana koniczynową może rosnać na koniczynie, lucernie, wice, cąbrze, wrzosie, janowcu i kartoflach, według Hoberlandta. Oczyszczenie nasienia koniczyny z kianianki przez podsiewanie jest rzeczą bardzo trudną i niepraktyczną. Zwykle więc, gdy w kilka tygodni po pierwszym pokosie koniczyny kianianka się uwidoczni, wtedy jest pora najlepsza do niszczenia tego pasożytu. Sposobów na to jest wiele. Nobbe radzi zasypywać miejsca zanieczyszczone na 2—3 cali grubo, zwykłą sieczką, spryskiwać sieczką petroleum i zapalać. Dobrze jest także miejsca takie zlewać kwasem siarczanym rozcieńczonym wodą. Najpraktyczniejszym atoli sposobem, podług p. Grużewskiego jest skopanie miejsca gdzie pokazał się wrogi pasożyt i spalenie roślin nekanych przez kianiankę. Należy przytém pamiętać, że najmniejsza gałązka kianianki, choć odosobniona od łodygi swojej, jeżeli trafi na roślinę przyjazną, przyjmuje się i rozrasta. P. Grużewski w dużej skrzyni z ziemią przedstawił koniczynę rosnącą z zabijającym

ją pasożytem, przeciwko któremu, celem wyniszczenia wydane są już dawno w Niemczech przepisy policyjne.

Nadmieniłem powyżej, że sadownictwo przedstawiło się na wystawie szawelskiej imponująco. Palma pierwszeństwa należała się ogrodowi pomologicznemu z Warszawy i ogrodowi państwa Janczewskich z Blinstrubiszek w powiecie Rosieńskim. Przy owocach warszawskich, obok wielkiej fotografii ogrodu pomologicznego, leżało wychodzące pod redakcją p. Jankowskiego, starszego ogrodnika w tym ogrodzie, nader pożądane dla pomologów i wiele nadziei rokujące czasopismo: *Ogrodnik polski*, któremu należy się szczére poparcie od naszego społeczeństwa. Przy owocach znów państwa Janczewskich dostrzegliśmy broszurę p. n.: *Wyniki doświadczeń z sadu blinstrubiskiego na Żmujdzi*, ogłoszone przez Edwarda Janczewskiego, Kraków, 1879 r.

Pan Edward Janczewski, żmujdzin, młody ale już znany zaszczytnie zagranicą, uczony badacz życia roślin, profesor uniwersytetu Krakowskiego, spostrzeżenia swoje zbierał w rodzinnym ogrodzie, z którego pyszne owoce przedstawiła matka jego, pani Kazimiera Janczewska. Nie możemy tu powstrzymać się od krótkiego sprawozdania z pracy nader ważnej dla naszych miłośników sadownictwa

Pobudowanie kolei żelaznych, powiada autor, a ztąd ożywienie handlu owocami z Północą, gdzie ich uprawa niemożliwa, stanowi rzeczywistą epokę w sadownictwie żmujdzkiem. Gubernia Kowieńska jest prawie ostatnim cyplem północno-wschodnim, gdzie jeszcze przy niewielkiem staraniu mieć można dobre owoce stołowe. To też dzisiaj niejedyn ogród tamtejszy przynosi dochód kilkuset lub tysiąca rubli, co się równa średniej folwarczynie.

Daléj autor, mówiąc o ogrodach miejscowych, podnosi zasługę ś. p. Kletego Burby, który przed trzydziestą przeszło laty w Belwedrze (pow. Kowieński) założył i pielegnował znakomity sad, a sprowadzał zrazy do szczepienia, nawet z Angers. O ogrodach p. Monkiewicza, w powiecie Szawelskim, znajdujemy tylko wzmiankę, ponieważ p. Janczewski nie zwiedzał ich osobiście. Autor, ze względów klimatycznych, niema nadziei, aby Żmujdz mogła kiedykolwiek z korzyścią produkować wino lub brzoskwinie, zato gorąco zachęca do gruszek, jabłek, śliwek i wisien. Węgierka zwykła lub włoska rzadko dojrzewa na Żmujdzi, nie wszystkie téż jabłka i gruszki zimowe wykształcają się należycie i zimę wytrzymują. Można jednak pomimo to dojść do znacznej różnaitości smacznych gatunków, sadząc drzewa w miejscach zacisznych i w szpalerze, który działanie światła i ciepła tak znacznie potęguje. W r. 1864 i 1877 wszystkie gruszki późniejsze na Żmujdzi nie dojrzały; sapieżanki zawsze pękają i dostają czarnych plam, pochodzących od zarażenia grzybkim *fumago*. Autor zaleca obrywanie części zaowiazków u drzew posiadających nadmierną płodność, dowodzi, że są gatunki, które mogą być u nas nawet smaczniejsze, niż we Francyi, np. jabłka oliwne, które w cieplejszym klimacie własności nalewania nie posiadają, doradza nie hodować drzew zbyt wielkich, stare wcześnie

wycinać, bo skąpo i zdrobniały a mniej smaczny owoc rodzą; wyraża nadzieję zaaklimatyzowania wielu gatunków zagranicznych, które w pierwszym pokoleniu zbyt jeszcze czułe są na nasze mrozy. Do gatunków w ten sposób dawniej zaaklimatyzowanych, należy topka drewnobarwna, urbanistka, bera gubo i gołąbek. Pracę swoją uczony autor skreślił głównie dla wystawy szawelskiej, żeby zdobyte doświadczenia swego zakomunikować ziomkom. Sapieżankę, która w naszych warunkach klimatycznych, tylko ujemnemi odznacza się przymiotami, radzi wyniszczyć w sadach żmujdzkich, natomiast zaleca plantacją jabłek zimowych, jako najkorzystniejszych w handlu owocowym i doradza w sadach, położonych w pobliżu stacyi kolejowych, na gruncie umiarkowanie lekkim, hodowle śliwek, które tak drogo w Petersburgu się płacą, a powyżej gub. Kowieńskiej już nie dojrzewają. Najszlachetniejszym jednak z owoców, którego konsumpcya jest do pewnego stopnia miarą cywilizacyi kraju, jest niezawodnie gruszka, której uprawa w gubernii Kowieńskiej nieuzasadnioną wzbudzała nieufność, którą też p. Janczewski pragnie zwalczyć.

Daléj autor przechodzi rozmaite gatunki grusz, jak np.: 1) *Jakubówka*; 2) *Bera Gubo* letnia, znana w tamtych stronach tylko w ogrodzie Blinstrubiskim i Belwederskim, dokąd dostała się przed 30-tu laty z Angers; 3) *Bonkreta Williama*, z powodu czułości na mrozy, niezalecająca się do hodowli na większą skalę; 4) *Szara dobra*; 5) *Winiówka saska*, gatunek zdawna na Żmujdzi, Litwie i w Polsce uprawiany; 6) *Bergamota jesienna* oddawna znana na Żmujdzi; 7) *Bera biała*, czuła na mrozy; 8) *Topka drewnobarwna*; 9) *Urbanistka*; 10) *Bera królewska*, czuła na mrozy; 11) *Dobra malinianka*; 12) *Bergamota Hertrick'a*; 13) *Duanna zimowa*; 14) *Cierniówka zimowa*. Jabłonie: 1) *Oliwne białe*, oliwka, papierówka, gatunek znany oddawna na Żmujdzi; 2) *Oliwne zielone* czyli *szare*; 3) *Poziomkowe*, *Książniczka*, dawno znane na Żmujdzi i zalecające się do rozpowszechnienia; 4) *Smietankowe*, gatunek lokalny żmujdzki, wyśmienity; 5) *Aporta*; 6) *Gołąbek czerwony*; 7) *Reneta Diela*; 8) *Kalwila gdańska*. Śliwy: 1) *Fańska wczesna*; 2) *Mirabelka złota* wyborna na konfitury i kompoty; 3) *Morełówka żółta*; 4) *Pańska żółta*; 5) *Renkloda zielona*; 6) *Waszyngton*, jedna z największych śliwek; 7) *Złocianka* (sukno złote, drap d'or); 8) *Cesarzowa*; 9) *Mirabelka późna*; 10) *Węgierka włoska*; 11) *Renkloda fioletowa*; 12) *Kropla złota*, jedna z najlepszych śliwek, ale rzadko na Żmujdzi dojrzewająca.

Praca pana Edwarda Janczewskiego (której ocenę podał we wrześnieowych zeszytach *Ogrodnik polski*), jako sprawozdanie z własnych doświadczeń, jest u nas pierwszą w swoim rodzaju, a dla północnego sadownictwa bardzo ważną, serdecznie też ją zaniemeńskim zwłazszcza miłośnikom ogrodów polecamy.

Jezowo, d. 19 września 1879 r.

Zygmunt Gloger.

# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Histoire de la littérature contemporaine chez les Slaves par* <sup>1)</sup>  
*C. Courrière, membre du Comité slave du Kief. Paris, 1879.*

Pod powyższym tytułem wyszła świeżo w Paryżu interesująca nas bliżej książka p. Courrière'a, mająca zapoznać Francuzą, a tém samém i Europę całą z obecnym stanem literatury wszystkich słowiańskich narodów. Jak się autor wywiązał z zadania tak ważnego, zobaczymy.

Ponieważ p. Courrière wydał już przedtém oddzielnie *Historię literatury rosyjskiej*, przeto dla odwrócenia od siebie wszelkich podejrzeń o solidaryzowanie się z wywodami historycznymi Duchinińskiego, Martina, Viquesnela i innych, oświadcza kategorycznie w przedmowie do swój pracy, że nie jest bynajmniej uczniem wzmiankowanych pisarzy, ale owszem stanowisku ich dziejopisarowskiemu względem Rosyi zupełnie się przeciwstawia. Następnie autor wylicza wszystkie szczepy słowiańskie, wykazuje bardzo blizkie ich pokrewieństwo językowe i przedstawia tablice statystyczne całej Słowiańszczyzny, ułożone podług religii, języka i t. p. Rozdzieliwszy wreszcie całą swą pracę na dwie części, w pierwszej z nich daje obraz literatury Słowian południowych, w drugiej zachodnich.

Zanim podamy w najzwężlejszém skróceniu treść studyów p. Courrière'a nad *współczesną* literaturą Słowian, wypada nam dla uproszczenia rzeczy nadmienić, że autor trzymając się ściśle metody historycznej, przedstawia intelektualną działalność Słowiańszczyzny na kanwie dziejowego jój życia, tak, że objawy unystowego ruchu w danym kraju przeplatane są nieustannie politycznymi wypadkami. Wprawdzie nie zawsze p. Courrière mógł, a jeszcze rzadziej *chciał* być wiernym tłumaczem uczuć, wywołanych potęgą takiego lub innego dziejowego kataklizmu, a skryzalizowanych w literackiej puścinnie Słowian. Mając prawdopodobnie na względzie organiczną jednolitość swego szkicowego obrazu, autor wbrew tytułowi książki, opowiada zarówno dzieje Słowiańszczyzny, jak i literatury każdego pojedynczego szczepu od najdawniejszych czasów. Ponieważ opowiadanie to o dalekiej przeszłości jest powtórzeniem najelementarniejszych szczegółów,

<sup>1)</sup> Co do literatury naszej, podajemy wyżej rozbiór obecnego dzieła w *Kronice Paryżkiej*, niniejszy zaś rozbiór zamieszczamy, jako sprawozdanie pracy p. Courrière'a co do innych literatur słowiańskich. P. R.

znanych przeciętnemu czytelnikowi polskiemu z pierwszego lepszego szkolnego podręcznika, przeto nie zatrzymując się nad niemi wcale, powtórzmy z książki p. Courrière'a to tylko, co się odnosi do *obecnego* stanu literatury wszechsłowiańskiego świata.

Bulgarowie nie mają tradycyi naukowych. Wiekowemi zapasami z półksiężycem i duchowieństwem greckim wyczerpani, upadli od dawna zarówno politycznie jak umysłowo, tak, że dzielny ten niegdyś naród jest obecnie w obskurantyzmie swoim cierpliwy, pokorny i uległy. Rozwojowi literatury tego ludu przeszkadza między innymi nieukształtowany ostatecznie język bulgarski, który jeszcze na reformatora oczekuje. Do najlepszych pisarzy w drugiej połowie tego wieku należą: Rakowski, autor *Podróżnego górala* (rodzaj hajdamackiej epopei ze sceną w Bałkanach), założyciel pisma literackiego *Jutrzenka bulgarska* i dziennika politycznego *Łabędź Dunaju*, gorący patriota, uczony pisarz broszur politycznych jak: *Głos Bulgaryi*, *Kwestya religijno-bulgarska* i t. d., a wreszcie autor dzieł historycznych, w których wyobrażenia i patriotyzm przemagają nad krytyką. Slawekow, najpopularniejszy z pisarzy bulgarskich, autodydaktyk, uprawiający poczytą, historią, geografią, filozofią i dziennikarstwo; autor utworów poetycznych: *Smesna Rytka* (*Bukiet różnobarwny*) i *Basnenik* (*Bajki*), natchnionych głębokim uczuciem patriotyzmu, które szczególnie zapewniło im powodzenie wśród młodzieży. Karawelow, twórca *Pamiętników*, zawierających interesujące szczegóły o życiu bulgarskiego ludu. Do poetów najmłodszej generacji należą: Popowicz, Czintulow i Wazow. Literatura bulgarska posiada także kilka utworów dramatycznych. Drumew napisał dramat *Iwanko*; Wojnikow jest autorem kilku dramatów jak: *Księżniczka Raina*, *Księżna Welesława* i t. d., oraz i komedyi: *Niepojęta cywilizarya*. Z romansów zasługuje tylko na uwagę *Nieszczęśliwa rodzina*, Drumewa. Na czele historyków stoi profesor Charkowskiego uniwersytetu Drynow, który wydał: *Historyę pierwszych wieków Bulgaryi*, *Bizancyum i Słowianie południowi w X wieku*, a wreszcie *Historyę kościoła bulgarskiego*. W dziele swém *O Półwyspie Bałkańskim, w epoce przedhistorycznej* usiłuje dowieść, że Trakowie pierwotni byli przodkami Bulgarów. W ostatnich latach Bulgarowie dali dowody energii duchowej, dobrze wróżącej w przyszłości. W r. 1872, w samej eparchii Philippolis było już 305 szkółek elementarnych i 16 szkół drugorzędnych, z personelem 356 profesorów i 12400 uczniów, oraz przeszło 20 szkół żeńskich z 2265 uczennic. Najbogatsi Bulgarowie kształcą się w Paryżu, Wiedniu, Niemczech i Rossyi. Przed wojną obecną posiadała Bułgaria 14 dzienników. W Konstantynopolu wychodziły: *Napredak* (*Postęp*), *Istoczne Wreme* (*Czas wschodni*), *Den* (*Dzień*), *Wek* (*Wiek*), *Ozitaliszte* (*Dziennik literacki*); w Bukareszcie: *Sztandar* dziennik emigracyjny, *Wiedza*, wyborowy dziennik literacki; oprócz tego zaś jeden dziennik rolniczy i jeden pedagogiczny. W Braiowie rezyduje Towarzystwo literackie bulgarskie, wydające pamiętniki, w których przyjmują współpracownictwo

najlepsi pisarze. Towarzystwo to, stojące na czele ruchu umysłowego, zostało założone, dzięki subsydyum najbogatszych kupców bułgarskich zagranicą. Oprócz tego miała Bułgaria trzy dzienniki urzędowe: *Dunaw* (Dunaj) w Ruszczuku, *Adria* w Adrianopolu i *Solune* (w Salonice), a wreszcie jeden dziennik literacki wychodzący w Wiedniu: *Odrodzenie*; w końcu wspomnieć należy o zbiorach pieśni ludowych, z których najpierwszy (1842) zawdzięcza Bułgaria Bogojewowi.

Umysłowe odrodzenie Serbii nastąpiło prawie bezpośrednio po zmartwychwstaniu polityczném, a największe zasługi na niwie rozwoju języka i literatury serbskiej położył Wuk Karadzic (1787—1864) wydaniem *Przysłów serbskich* (*Srpske narodne poslowice*), *Powiastek ludowych* (*Srpske narodne prepowietke*), *Gramatyki serbskiej* (*Srpski rječnik*), a nadewszystko słownika serbsko-niemiecko-łacińskiego. Dawidowicz był jednym z główniejszych założycieli dziennikarstwa serbskiego (1814—1820), a Swelicz, Muszycki i Szafarzyk założyli w Peszcie (1825) *Sprška Matica*, która miała swój organ *Letopis*, redagowany przez Magarasewicza. Od chwili kiedy Milutynowicz, Sweticz i Popowicz, rozwinęli działalność literacką, w poezyi serbskiej spotykamy dwa wyraźne prądy. Jedni poezją ludową naśladowują, drudzy mają dubrownickich klasyków przed oczyma. Milutynowicz, jeden z najgłówniejszych reprezentantów szkoły ludowej, był kolejno pasterczem, studentem w Lipsku, pisarzem, kapłanem, kupcem hajduckim, ogrodnikiem i profesorem; dwa razy był więziony, a raz skazany na śmierć (1840). Jego poemat narodowy *Serbianka* miał wielkie powodzenie; książe Miłosz obdarował poetę 250 talarami, a młodzież serbska wieńcem laurowym. Zostawszy następnie sekretarzem ministra oświecenia publicznego i historyografem Serbii, Milutynowicz wydał: *Piosenki Czarnogóry i Hercegowiny*, *Historję Czarnogóry i Historję Serbii*, którą autor dzięki swęj szczerości, ściągnął na siebie niełaskę księcia Miłosza i skazany został na wygnanie. Powróciwszy do Serbii po abdykacyi księcia Michała, był zmuszony powtórnie kraj opuścić, poczem umarł biedny i opuszczony, a przyjaciele złożyli się na jego pogrzeb. Sweticz wydał zbiór poezyi oryginalnych p. t. *Piesme izworne* (1855); Popowicz takiż zbiorek p. t. *Macz i pero*; Subboticz napisał epopeę p. t. *Stępan Deczansky*. Ten ostatni, profesor prawa rzymskiego w uniwersytecie Peszteńskim, przyjąwszy udział w kongresie etnograficznym w Moskwie (1867), ściągnął na siebie prześladowania rządu węgierskiego. Radiczewicz, jeden z najpopularniejszych poetów, w utworach swoich: *Kolo serbe*, *Diewoika na studentzu* celuje pięknoscją formy, fantazją i uczuciem. Do młodszęj generacyi pisarzow należą: Michaiłowicz (*Smilie i Wojewodine*); Gruicz, autor poematu religijno-historycznego: *Swięty Sawa Nemanicz* (1861); Nenadowicz, którego *Slavianka* przetłómaczona została na język francuzki. Jestto jeden z najuczeńszych mężów w Serbii. Skończywszy studia naukowe w Heidelbergu i w Paryżu, został sekretarzem ministra oświecenia. Wreszcie wspomnieć tu należy jednego z lepszych poetów Serbii współczesnej, Kużundicza, autora

*Pieśni patriotycznych (Aberdar prwijek)*. W ogólności poezya serbska zaleca się ilością raczej niż jakością; nie pozbyła się ona jeszcze formy ludowej, która bardzo szkodzi charakterowi jój natchnienia. Romans rozwija się także bardzo słabo; wspomnieć tu można zaledwie Atanackowicza, adwokata serbskiego w Węgrzech (*Darak Srbianki*), Subbolicza, autora romansu historycznego *Dabrae*, oraz Ignatowicza, także romanso-pisarza historycznego.

Literatura dramatyczna serbska datuje swój rozwój od założenia teatru w Nowym Sadzie. Sztuki Milutinowicza mają większą wartość w czytaniu niż na scenie, i dopiero Popowicz, posiadający głęboką znajomość sceny, posunął naprzód teatr serbski. Jego dramaty: *Swetislaw* i *Milewa*, *Milosz Obylicz* oraz komedye: *Klamca*, *Zła kobieta*, *Romans bez romansu* i t. d., były grane z wielkiem powodzeniem w teatrze nowym w Belgradzie.

Najlepszym jednak dramaturgiem jest Subboticz, który dwa razy odniósł zwycięstwo na konkursach. Do cenniejszych sztuk jego należą: *Księżę Władysław*, *Nemania*, *Krzyż i Korona*, *Zwonimir*. Na pierwszym przedstawieniu tój ostatniej sztuki rozentuzyazmowana publiczność ofiarowała autorowi wieniec laurowy. Najpopularniejszym komedyopisarzem jest Triszkowicz, którego komedye jak: *Pół wody i pół wina*, *List miłosny* i inne, powszechnie się podobają. Arcydziełem Bana jest *Meirima*, jeden z najlepszych dramatów serbskich. Dodać tu wreszcie potrzeba, że wszyscy dramatopisarze serbscy czerpią treść do swych utworów w dziejach ojczystych. Studya historyczne ożywiło znacznie „Towarzystwo literackie serbskie,” założone przez Popowicza, Stoicza, Szafarzyka i Brandkowicza. Ma ono od r. 1847 swój organ *Głaśnik*, zawierający bogate materiały historyczne i literackie. Jowanowicz, Pawłowicz, Bogisicz, Wasilewicz, Kosticz i Milaczewicz: oto najświeższe nazwiska zasłużone na niwie dziejopisarstwa serbskiego. Daniczicz i Nowakowicz zrobili wiele dla lingwistyki serbskiej. Dziennikarstwo jest więcej rozwinięte u Serbów austryackich, prowadzących nieustanną polemikę z Węgrami. Organem *Omladiny* jest dziennik *Zastawa*, wychodzący w Nowym Sadzie; *Posoriszte* zajmuje się głównie teatrem; *Jawor* jest pismem literackiem. Belgrad posiada przegląd *Oladzbana* (Ojczyzna). W Wiedniu wychodzą dwa dzienniki ilustrowane serbskie: *Zora* (Jutrzenka) i *Srbadia*. W Nowym Sadzie wychodzi *Biblioteka dla kobiet* (*Biblioteka za żeński swet*) wydawana przez Nawakowicza. Belgrad posiada szkołę wyższą czyli akademię, założoną przez Anastasiewicza, najbogatszego człowieka w Serbii; kraj ten liczy 470 szkół elementarnych męzkich i 47 żeńskich, dziewięć progimnazyów i gimnazyów, ośm szkół średnich, jedną najwyższą i sześć szkół specjalnych w Belgradzie. W r. 1874 było we wszystkich szkołach 25,000 uczniów czyli jeden uczeń na 53 mieszkańców.

W Bośni i Hercegowinie trudno dopatrzeć śladów jakiegokolwiek kultury, a cóż dopiero zabytków literackich. Duchowieństwo katolickie Bośni ogłasza corocznie w Peszcie, po łacinie, rocznik statystyczny



i historyczny p. t.: *Schematismus almae provinciae Bosniae*, a jestto jedyne dzieło, które zawiera wskazówki autentyczne dotyczące ludności téj prowincyi, naturalnie katolickiej. Z wyjątkiem składu biblii Towarzystwa londyńskiego, niema tu ani jednej księgarni, a dzienniki są surowo zabronione. W Serajewie jest jeden dziennik rządowy *Bošna*, a drukarnia w tém mieście odbija tylko postanowienia rządowe. Słowianie obrządku greckiego założyli swoim kosztem sześć szkół żeńskich i czterdzieści siedm męzkich, a przed kilku laty dwie angielski otworzyły w Serajewie instytut nauczycielek. W Mostarze jest jedna drukarnia katolicka biskupa Wraliewicza, który wydaje książki pobożne i kalendarze.

Czarnogóra była aż do ostatnich czasów pogrążona w najzupelniejszej ciemności, pomimo że panująca tu od dwu wieków rodzina Negoszów odznacza się we wszystkich swoich członkach niepospolitemi zaletami: wszyscy oni z jednakową zręcznością władają piórem jak szpadą. Panujący dziś książę Mikołaj jest także poetą. Odbywszy studia w szkole wojskowej w Paryżu, kilkakrotnie zwiedził Europę i dobrze włada językami: serbskim, francuzkim, włoskim, niemieckim i rossyjskim. Odziedziczywszy po przodkach dar poetyczny, napisał wiele pieśni lirycznych i politycznych. W r. 1869 założył szkołę teologiczną w Cetynii, oraz szkołę dla kobiet. W r. 1870 wysłał jedenastu młodych ludzi do Rossyi dla dokończenia edukacyi. W tym samym roku otworzył 24 szkół nowych, których tym sposobem liczono w r. 1871 trzydzieści ośm, gdzie odbierało wykształcenie 2,000 chłopców i 108 dziewczyn. W r. 1872 założył książę szkołę rolniczą, w której dwunastu pensjonarzy utrzymywał swoim kosztem. Jedynym organem politycznym Czarnogóry jest dziennik rządowy *Glas Crnogorca* redagowany przez Popowicza.

Literatura kroacka dopiero w drugiej połowie XVII wieku zaczęła dawać znaki życia, lecz właściwy jej rozwój datuje od roku 1830. Odrodzenie to umysłowe zawdzięcza Kroacya przyjęciu języka serbskiego, który wydobywając ją z izolacyi, w jakiej gwoli miejscowemu nierozwiniętemu narzeczu zostawała, powołał Kroatów do wspólności idei wraz z Serbami i Dalmacyą, posiadającemi bogate zabytki literatury klasycznej. Doktor Gay, działając prawdopodobnie w myśl politycznych tendencyi księcia Meternicha, z entuzjazmem rzucił się na pole narodowo-politycznej propagandy, mającej bronić Kroatów przeciwko pretensjom despotycznym Węgrów, którzy usiłowali zastąpić łacinę swoim językiem w stosunkach politycznych obu krajów. Gay wprowadził nowy alfabet czeski, stosując go do nowego języka literackiego, jaki kroaci przyjęli i ztąd to pochodzi, że ci ostatni, posiadając wspólny język z Serbami, swemi braćmi, używają alfabetu łacińskiego. Następnie założył Gay dziennik polityczny *Nowine hrwacke* z dodatkiem literackim *Danica*, który przez czas długi skupiał w sobie działalność najlepszych pisarzy kroackich. Kiedy po bitwie pod Solferino, język kroacki staje się językiem narodowym sejmu, wówczas odważny partyota biskup Strossmayer udzielił ruchowi południowo słowiańskiemu

nowy impuls, używając znacznych funduszków na szerzenie oświaty i drukowanie książek pożytecznych. W r. 1860 ofiarował rządowi sumę 120,000 florenów na założenie w Zagrzebiu akademii i uniwersytetu. Wielką uroczystością był dla Słowian południowych dzień otwarcia akademii (1867), której protektorem mianowany został Strossmayer, prezesem uczony historyk kanonik Raczki, a sekretarzem serb Daniczycz. Uniwersytet został otwarty dopiero w r. 1874. Dzięki powyższym okolicznościom, literatura kroacka stanęła na czele południowo-słowiańskich literatur. Do zdolniejszych poetów obecnej chwili należą: Preradowicz, Szenoa, Tomicz, Medicz i inni. Najznakomitszym roman-sopisarzem jest Szenoa, najlepszymi dramatopisarzami: Demeter, Bohowicz i Arnold. Na niwie studyów historyczno-filologicznych, Kroacya w pośród swoich pobratymców prym trzyma. Dziennik kroacki *Obzor*, *Pomorau* i *Nowine* reprezentują zaborcze dążności narodowego stronnictwa i prowadzą nieustanną polemikę z dziennikami serbskimi. Głównym organem literackim jest dziennik ilustrowany *Wienac*, redagowany przez Szenoa, Raicz wydaje *Humoristieski listy*, a uczony Jagier redaguje w Berlinie: *Archiv für slavische philologie*. Literatura kroacka posiada liczne zbiory poezyi ludowej, lecz żaden z nich nie jest zupełny. Pieśni kroackie są o wiele niższe od serbskich.

Język sławoński, który Niemcy nazywają pogardliwie *Dienstbo-tensprache*, został podniesiony do godności języka literackiego przez mnicha Wadnika. Założenie przez Napoleona królestwa iliryskiego, rozbudziło w mieszkańcach Sławonii poczucie narodowe, a język sławoński zajął miejsce niemieckiego w szkołach. Kopitar napisał gramatykę sławońską, a pierwszym poetą ludowym jest Preszern, zajmujący wybitne stanowisko, jako liryk, pomiędzy poetami południowo-słowiańskimi. W jego pieśniach dźwięczy nuta rzecznego smutku. Od roku 1848, kiedy Bleiweiss stanął na czele ruchu narodowego, a słynny Miklosicz i Maiar rozwinęli swoją działalność naukową, literatura sławońska wstąpiła w nową fazę i ma już dzisiaj wielu poetów. Toman w swoich *Glasi domorodni* opiewa zjednoczenie Sławian. Wesel Koseski, oprócz tłumaczeń Szyllera, Goethego, Manzonięgo i Puszkina, zostawił poematy liryczne i epiczne, odznaczające się bogactwem fantazyi i prawdziwie gorącym patryotyzmem. Ostatnie jego poczye barwy politycznej, wyrobiły mu wśród spółbraci wpływowe stanowisko. Teatr sławoński jest jeszcze bardzo ubogi w sztuki oryginalne, tak, że zaledwie możnaby przytoczyć kilka dramatów: Wilhara, Forstera i Hribara. Niwę romansopisarzką uprawiają: Milawaszciz i Jurezicz, którego najlepsze prace: *Doktor Zober* i *Kwiat i Ogród*. Jako historycy godni wspomnienia: Tunczer i Pawicz. Starania Bleiweissa i otaczających go patryotów uwieńczone zostały nareszcie pomyslnym skutkiem. W r. 1860 założona została *Słoweńska Maticea*, której pierwszym prezesem był Toman. Towarzystwo to liczy już dzisiaj 2,000 członków, płacących rocznie po florenie i wydaje co rok po sześć tomów. Od r. 1869 ma swój organ *Ictopis*, zawierający artyku-

ły historyczne, etnograficzne, romanse i poezye. Od r. 1867 istnieje w Lublanie Towarzystwo dramatyczne, liczące obecnie 300 członków, które założyło szkołę deklamacyi i śpiewu i ma swój organ *Slawenska Talia*. Inne stowarzyszenie *Narodne Szola* przychodzi z pomocą szkołom elementarnym, zaopatrując je w potrzebne podręczniki. Jest tu także klub patryotyczny *Narodna Citalnica* i polityczny *Trdnawa*, oraz stowarzyszenie wydające książki ludowe. Lublana ma dwa gimnazya, a Kraina 248 szkół początkowych, które w r. 1868 kształciły 32,315 uczniów. Sławonia ma dwa dzienniki niemieckie: *Laybacher Zeitung*, organ rządowy i *Tagesblatt*, oraz sześć dzienników politycznych, z których ważniejsze: *Nowiec*, *Slowenski narod* i *Socza*. Oprócz tego są 4 dzienniki rolnicze, 2 pedagogiczne, 2 religijne i 3 przeglądy literackie. Ponieważ Sławonia nie była nigdy niepodległą i w skutek tego nie mogła rozwinąć życia narodowego; przeto i poezya ludowa przedstawia się tu dość ubogo. Najlepszy zbiór wydał Stanko Wraz (1839 r.).

Literatura czeska przedstawia bujniejszy rozkwit dopiero w pierwszej połowie bieżącego stulecia, kiedy spotęgowane uczucie narodowe stworzyło plejadę poetów z Kollarem i Czelałakowskim na przodzie. Kolar unieśmiertelnił się poematem *Slawy Dcera*, w którym od początku do końca panuje głębokie uczucie narodo-słowiańskie. Poeta nad losem współbraci łzy wylewa i przeklina tych wszystkich, którzy ojczyznę jego na grób zamienili. Czelałakowski jest niższy od Kollara natchnieniem, lecz oparty na poezyi ludowej, wywiera na młodzież wpływ silniejszy. Słynne jego pieśni celują niezmierną muzykalnością słowa i nawskroś ludowym charakterem. Wydał on: *Ohlas pisni ruskych* i *Ohlas (echa) pisni czeskych*, a wreszcie poemat: *Rože stolista*, gdzie opiewa szczęście rodzinne. Wocel († 1871 r.) wydał zbiór pieśni historycznych, poemat *Mecz a Kalich* zaczerpnięty z wojen husyckich i *Labyrynt Slawy*; lecz utworom tego pisarza brak natchnienia. Niezmiernie popularnym poetą był Ruben, a *Deklamawanki* jego, pisane w tonie ironicznym i pełne werwy powszechnie się podobały.

Na czele poetów młodszej generacyi stoi Czech, odznaczający się zadziwiającem bogactwem fantazyi (*Marzenia*), Goll jest myślicielem bez uczucia, a Wrehlicki w poemacie *Z hlubine (Z głębokości)*, złożył dowody niepospolitego talentu. Z poetek zasługują na wzmiankę: Rożiczkowa, Szarska i Eliza Krasnohorska. W teatrze czeskim przemaga obecnie dramat historyczny, jak: *Wacław IV*, *Swatopluk* i inne Frycza, *Śmierć Żyżki* Kolarza, *Zawisz* Haleka, *Otokar Wleczka*, *Swatopluk* Erdżabeka. Palmę pierwszeństwa w komedyi trzyma Bozdiech.

Równoległe z poezyą rozwijał się i romans czeski, którego pierwszym przedstawicielem w tej epoce jest Tyl, zwany ulubieńcem (Milaček) narodu, autor *Ostatniego Czecha*. Hwiezda wprowadził romans historyczny *Szarlatan*, a Chocholuszek († 1864 r.) wstąpił się na tém polu: *Córka Ottokara*, *Pole Kossowskie*, *Dwie Królowe*, *Dwór króla Wacława* i t. d. Pisarz ten potęgą fantazyi, płodnością i sposobem

traktowania dziejów, przypomina Dumasa ojca. Jerzy Kolar: *Dyabeł w habicie*, *Czarownica pragska* i w. i.; Wlczek: *Po północy*, *Złoto w ogniu* i w. i.; Pflieger: *Życie stracone*, *Dwaj uczeni* i w. i.; *Sabina* i *Neozasek*, należą do lepszych powieści pisarzy współczesnych. Najznakomitszą dziś romansopisarką czeską jest Karolina Swietla, gorąca patriotka, demokratka, walcząca z zapałem w obronie emancypacji kobiet. Z upodobaniem opisuje ona życie wewnętrzne klas średnich i niższych (*Pierwszy Czech*, *Romans wiejski*, *Świat* i t. d.). Neruda wreszcie jest pisarzem humorystycznym i felietonistą.

Dziejopisarstwo czeskie ma znakomitego przedstawiciela w Pa-lackim (*Diejiny narodu czeskeho*) a uczniowie jego: Tomek *Historya Austrii i Czech*, *Historya Uniwersytetu w Pradze*, *Historya Jana Husa i miasta Pragi*, oraz Erben *Regesta diplomatica*, jakkolwiek niedorastają mistrza, są przecież bardzo poważnymi historykami. Gindeli napisał kilka prac historycznych wielkiej wartości: *Rudolf II i wiek jego*, *Historya wojny 30 letniej*, która to praca wyrobiła autorowi powagę europejską. Wreszcie zasługują na wzmiankę: Toner, Tieftrunk; k. Treczek *Historya narodu Bułgarskiego* i t. d. Wspomnieć tu wreszcie należy o pomnikowym wydawniczynie *Słownik Nauczny*, który jest olbrzymią encyklopedyą historyczno-geograficzną i redagowaną przez najpierwszych pisarzy czeskich pod kierunkiem Riegera i Malego. Dzieło to, wychodząc przez lat kilka urosło w r. 1872 do 10 tomów, które uzupełniają obecnie suplementami. Encyklopedia ta jest niezbędna dla każdego, kto historią i literaturę Słowian studyować pragnie. W Czechach wychodzi 31 dzienników politycznych, 21 literackich, 4 satyryczne, 44 specjalne. *Pokrok* i *Pozor* są organami staro czechów; *Czech* jest gazetą ultramontańską. *Posel* reprezentuje stronnictwo umiarkowane. Partya młodych Czechów ma bardzo popularny organ *Narodni Listy*. Pisnia literackie są o wiele lepsze od dzienników. Na czele stoi *Osweta*, redagowane z talentem przez Wlezka. *Czasopis* organ pragskiego muzeum zajmuje się przeważnie filologią. *Humoristické listy* od czasu jak przeszły na stronę Staro-Czechów chyliły się ku upadkowi i mają niebezpiecznego rywala w dzienniku satyrycznym *Paloczek*. Pismo illustrowane *Swetozor*, które zastąpiło dawne *Kwcty* zaleca się pięknosciami rysunków i doбором artykułów, wyłącznie Słowianom poświęconych. Godne są także wspomnienia *Hesmir nauki przyrodnicze* i *Listy Filologicke a Pedagogicke*. Płoc nadobna ma trzy dzienniki: *Ženske Listy*, organ stowarzyszenia pracy kobiet, redagowany przez E. Krasnohorską; *Ženska Bibliotheka* i *Ženski Świat*. *Narodni bibliotheka* ogłasza prace pierwszorzędnych pisarzy czeskich XIX w. po 10 krajcarów za tom. *Maticz lidu* i *Osweta lidu* wydają tanie książki dla ludu i zajmują się jego sprawami. *Divadelni Bibliotheka* ogłasza sztuki sceniczne. Oprócz tego i miasta prowincjonalne mają swoje dzienniki. W Czechach istnieje 464 stowarzyszeń wszelkiego rodzaju, z których 71 literackich. Uniwersytet w Pradze utra-

cił wprawdzie dawną wielkość, miał jednak w r. 1872 uczniów 1,755, z których 583 Niemców. W tym samym roku Czechy z Morawią i Szlązkiem miały 7 szkół wyższych specjalnych z 9,642 uczniów; 21 szkół normalnych, z których wyszło w tymże roku 938 nauczycieli i 103 nauczycielki, a wreszcie 6,489 szkół początkowych, kształcących 1,014,858 uczniów płci obojg.

Morawia ma dwu poetów: Furch i Klacel, profesor filozofii w Brnie, Boczek i Dudik wydali *Historię Morawi*. Prowincya ta posiada od r. 1869 swoje *Maticę*, której organem *Czasopis*. Główne dzienniki polityczne są: *Morawska Orlice*, *Morawan*; dziennik satyryczny Wosa. *O literaturze Serbów Łużyckich* nie wiele powiedzieć można równie jak i o Słowakach, którzy posiadają poetów: Palkowicza, Tablica i Chalupkę. Liryczne poezye tego ostatniego są najbardziej cenione. Oprócz powyższych, Parnas Słowaków reprezentują obecnie: Zaborski, Palarik i Kuzmani; Kalinczak jest tu najlepszym romansopisarzem a w teatrze króluje Palarik *Incognito*, *Pojednanie* i t. d. Z dzienników wymienić należy: *Narodne Nowiny* i *Hlasnik*; dziennik literacki *Orel*, ilustrowany *Obzor*; Satyryczny *Rarach* i pedagogiczny *Priatel Ludu*.

Dzisiejsi mało-ruscy poeci nie zasługują na wzmiankę a z dzienników wymienić można: *Prawdę* organ stronnictwa narodowego i antiruskiego; *Słowo*, gazetę Święto-Jurców, polemizującą nieustannie z dziennikami polskimi; *Ruskaja Rada*, poświęcona jest sprawom ludu, podobnie jak i *Nauka*.

Na końcu swego dzieła umieścił autor *Conclusion*. Zastanawiając się głębiej nad tak zwanym panslawizmem i kwestyą wchodnią, przychodzi do następujących rezultatów: 1) Że panslawizm rozważany z najwszechstronniejszego stanowiska jest tylko czczym widmem, manekinem przez Niemców i Węgrów dla zdyskredytowania Słowian wytworzonym, lub co najwięcej: ma znaczenie *d'une question oiseuse pour les slavophiles russes contemporains*; że urzeczywistnienie jego jest pod każdym względem absolutnie niemożliwie i że dzień ten, w którym Europa zachodnia pozna Słowian, będzie ostatnią chwilą jego życia, bo tylko *l'ignorance est la mère des préjugés*. 2) Że podział Słowian na narody jest faktem dokonany, historycznie uświęconym i żadna siła ludzka pracy dziewięciu wieków nie zniszczy. 3) Że idea słowiańska jako związek moralny i naukowy Słowian jest potrzebna dla nich do ocalenia narodowości każdego szczepu i ciągłej walki z germanizmem. 4) Że dyplomacya europejska nie może dłużej lekceważyć dążenia Słowian do wolności, gdyż dopóki wszelkie kombinacye polityczne, kongresy i traktaty będą bez współdziałania Słowian dokonywane, kwestya wschodnia nigdy nie zostanie rozstrzygnięta, gdyż właśnie kwestya wschodnia jest przedewszystkiem kwestyą słowiańską. 5) Że gdyby nawet panslawizm polityczny był możliwy, to właśnie jedynym nań lekarstwem jest obdarzenie Słowian wolnością, do której posiadają wszelkie prawa. 6) Że traktat Ber-

liński jest tylko do niczego nie prowadzącym półśrodkiem i 7) że prawdziwą Francyi polityką powinna być obrona Słowian, których oswobodzenie może być dla niej pożyteczne.

Załatwiwszy się ze wszystkimi narodami słowiańskimi, uboższymi w literackie pomniki, p. Courrière poświęca drugą prawie połowę swój pracy Polsce, której dzieje opowiada aż... od Lecha. Wartość téj właśnie części dzieła francuzkiego krytyka rozebrał dzisiaj kronikarz paryski.

Zamknawszy w szczyptych ramach jednego tomu tak olbrzymi materyał, p. Courriere z natury rzeczy ograniczyć się musiał na przedstawieniu bibliograficznych przeważnie wiadomości, nie zawsze dość dokładnych a gdzieniegdzie tylko krytycznemi uwagami opatrzonych. Czesi zrobili już autorowi sprawiedliwy zarzut w tym względzie, a i my go co do naszój literatury podnosimy. Wykazywanie w tém miejscu popełnionych przez autora błędów byłoby najzupełniej bezcelowe, gdyż Francuzi, dla których książka p. Courriere'a przeznaczona, sprawozdania naszego czytać nie będą, czytelnicy zaś *Biblioteki* spotkałby się musieli ze szczegółami dokładnie sobie znanymi.

J. A. Święcicki.

*Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie, za rok 1878, o którego wyjściu donosiliśmy poprzednio, zawiera:*

Ważniejsze uchwały i korespondencye urzędowe, a mianowicie adres kondolencyjny, sprawę wyborów, stosunki z władzami i zakładami naukowemi, sprawę majątku i funduszów; stan Akademii, jój zarząd, poczet członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, bióro i wykaz stałych komisji akademickich.

Wykaz stanu i użycie funduszów Akademii.

Wykaz dotychczasowych stosunków jój z zakładami naukowemi. Dary złożone Akademii w r. 1878.

Zagajenie posiedzenia publicznego Akademii przez hr. Alfreda Potockiego.

Głos dr. Majera, Prezesa Akademii na doroczném posiedzeniu publiczném 1879 r.

Zdanie sprawy z ruchu naukowego Akademii od dnia okresowego r. 1878, przez sekretarza generalnego.

Dzieła wydane przez Akademię, tudzież pozostałe w jój składzie po b. Tow. Nauk. w Krak.

Z faktów działu pierwszego wspomnieć nam najprzód wypada o wyborach na dostojników ciała naukowego.

Zgromadzenie pod przewodnictwem Dr. I. Zielonackiego w dniu 9 listopada, 22 głosami, czyli jednomyślnie wybrało na prezesa Akademii, dr. I. Majera, który i dotychczas tę godność piastował.

Na członka czynnego zakrajowego wybrano do wydziału I. dr. Wacława Stulca (z Wyszehradu w Pradze); na członka czynnego zagranicznego: dr. Watrosława Jagica, prof. filol. i lingwistyki słowiańskiej w Berlinie; na członków korespondentów: ks. kanonika Polkowskiego; dr. Władysława Wisłockiego; do wydziału II. na członka czynnego krajowego: dr. Ksawerego Lińskiego, ks. Waleryana Kalinkę, dr. Franciszka Piekosińskiego, na członka czynnego, krajowego; dr. Franciszka Raudę (profesora Uniwersytetu w Pradze); dr. Franciszka Romera (profesora uniwersytetu w Peszcie). Na korespondentów: dr. Michała Bobrzyńskiego; Nepomucena Sadowskiego. Na dyrektora wydziału I, w skutek śmierci Lucyana Siemieńskiego, wybrano d-ra Karola Estrejchera; dla wydziału II, d-ra Udalryka Heyzmanna. Na wiceprezesa zarządu Akademii, wybranym też został dr. Ludwik Tejchmann.

Najwyższe zatwierdzenie wyboru d-ra Majera na prezesa Akademii, nastąpiło postanowieniem z dnia 22 grudnia 1878 r.

Z działu „o stosunkach z władzami” ze względów bliżej nas obchodzących, bo literackich, podnosimy ustęp z odpowiedzi Akademii na odezwę wydziału krajowego, dotyczącą archiwów krajowych. W odpowiedzi téj Akademia żywo podnosi głos przeciw rutynie biurokratycznej, domagając się wykorzenia zbutwiałych form w stylu, tak co do wyrazów samych jak i składni. Na stronie 13 czytamy: „Nowy projekt (od wydziału krajowego wychodzący) jest stylistycznym przerobieniem wszystkich paragrafów projektu Akademii; nie sądzi jednak Akademia, aby to stylistyczne przerobienie wypadło szczęśliwie (pod względem języka), gdyż polega głównie na (niewłaściwej) zmianie składni czynnej na bierną, która się z duchem języka polskiego nie zgadza; na zatrzymaniu nazw łacińskich” i t. p.

Zwracamy też uwagę czytelników na zdanie sprawy „komitetu celem udzielenia opinii co do przedmiotów dekoracyjnych w gmachu sejmowym we Lwowie.” Do komitetu wspomnianego powołanymi zostali członkowie Akademii: Łepkowski, Łuszczkiewicz, Szujski i Piekosiński, a zpoza grona Akademii: dr. Maryan Sokołowski. W „zdanii sprawy” znajdujemy nadzwyczaj ciekawy rozbiór projektu komisji lwowskiej, tegoż przedmiotu dotyczący. W rozbiórce tym mamy ocenę poddawanych przez komisją lwowską następujących ornamentacyi: grupy na szczycie attyki, figur na attyce, grup na dole po obu stronach wejścia, dwu posągów w klatce schodowej, biustów w sali sejmowej. Nad tą szlachetną polemiką—jeśli to nie będzie nadużycie wyrazu—dłatego zatrzymać chcielibyśmy czytelnika, że spotka on tam mnogie i potężne motywa z dziejów, sztuki i etnografii.

a) następnie Akademia, rozpisuje na nowo konkurs (z terminem do końca marca 1880 r., nagroda 347 złr.) na „najlepszy wynalazek, lub dzieło ogłoszone drukiem lub w manuskrypcie nadesłane, w przed-

miocie leczenia chorób epidemicznych, lub zaraźliwych u ludzi lub zwierząt.”

b) przypomina nadto konkurs z fundacyi imienia Sam. Bog. Lindego. Przysądza nagrody:

a) Zygmuntovi Jaroszewskiemu za dzieło p. t.: *Gospodarstwo narodowe*.

b) Maryanowi Dubieckiemu za pracę p. t.: *Kudak, twierdza kresowa*.

Ponawia zadanie konkursowe (z r. 1876) „Obliczyć tablice biegu planety Juno (termin do 15 stycznia 1881 r.).

Ogłasza nowe zadanie: „Wyczerpujące wypracowanie sposobów wyznaczania biegu ciał niebieskich” (termin: ostatni dzień lipca 1882).

Obie prace powinny być napisane w języku polskim. Nagroda za pierwsze jak i za drugie w razie uznania za najlepsze, 500 złr.

Uwieńczeniem tego dzieła jest głos d-ra Józefa Majera, w którym dostojny prezes wspomina o poczynionych na rzecz Akademii ofiarach prywatnych, o poniesionych przez nią dotkliwych stratach przez zgon K. Rokitanskiego, Karola Wittego, prof. Piotra Burzyńskiego. Następnie sekretarz generalny (dr. J. Szujski) przedstawia sprawozdanie z ruchu naukowego Akademii od dnia okresowego, r. 1878. Tu, pomiędzy innemi, sprawozdawca, wyliczając prace dokonane w wydziale historycznym i filologicznym, robi uwagę: „Dla ożywienia ruchu pod tym względem, dla utrzymania obu ognisk na wysokości naukowej *życia chwili* byłoby w wysokim stopniu pożądanem, aby rozprawy do innych pism przeznaczone, w streszczeniach podnoszących realne zdobycze naukowe (z pominięciem szerszego ich roztoczenia, przeznaczonego dla większej publiczności) *zjawiało się* naprzód w pismach i na posiedzeniach wydziałów, przez co owym pismom żadna niedziałyby się szkoda; koncentracya zaś taka życia naukowego nie mało przyczyniałyby pożytku naszym pismom, ale i sprawie w ogóle... Krótkie takie streszczenia znalazłyby zawsze miejsce w rozprawach naszych, a przyczyniłyby się nie pomalą do podniesienia ich wartości.” Liczny poczet badań w ubiegłym okresie dokonanych przez Akademię, zamyka wzmianka o dalszém prowadzeniu pracy nad *Słownikiem staropolskim*, przy wzmocnionym obecnie zakresie, który znakomicie rozszerzył się przez udzielenie zabytków dotąd nieznanych i przez odpis kazań XV wieku ks. Paterka. Dostarczono też w dalszym ciągu zbiorów prowincjonalizmów z różnych okolic Polski. W ostatnich czterech kartach (str. 175 do końca), mówca dotyka struny patosowej, którą, dla braku miejsca, z prawdziwym żalem pominać musimy. Szczególniej zakończenie *Zdania sprawy*, słusznie pochodem tryumfalnym mówcy nazwaćby można.



*Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom X, poświęcony przez Akademię pamięci pięćdziesięcioletniego jubileuszu prac literackich J. I. Kraszewskiego.*

1. Dr. Izydora Szaraniewicza: *Patryarchat wschodni wobec kościoła ruskiego i Rzeczypospolitej polskiej* (dokończenie).

2. *Polonica. Materiały do dziejów Polski w pismach rossyjskich* (1700—1862 r.), zebrane przez Antoniego J. (praca uwieńczona przez Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu). W obecnym tomie p. Antoni J. podaje tu tylko część swojej pracy, „jakby tom 1-szy, pewną całość stanowiący” (wyrazy autora), a resztę w przyszłości opracować przyrzeka; przytém dalszy ciąg i tój części podanym będzie dopiero w następnym (XI-ym) tomie *Rozpraw i Sprawozdań*. Zaznaczywszy ważność jużto materiałów surowych, jużto opracowań historyi naszej dotyczących, w piśmiennictwie rossyjskiem, jako to np. Kowajskiego: *Dzieje sejmu grodzieńskiego z r. 1793*; Sołowiewa: *O upadku Polski*; Morozkina: *Opowiadanie dziejów Jezuitów w Rossyi*, autor sprawozdanie swoje przedstawia w dwu połowach: pierwsza obejmuje przegląd prac, dotyczących Polski od początku XVIII wieku do roku 1862, ze szczegółowem streszczeniem i właściwą oceną ważniejszych; druga połowa obejmuje spis biograficzny: traktatów naukowych i surowych materiałów, mających na względzie dzieje Polski do XVIII stulecia, t. j. wiek XVI i XVII.

W obecnym tedy dziale p. Antoni J. podaje streszczenie i ocenę prac, dotyczących XVIII wieku dziejów Rzeczypospolitej, a mianowicie Sołowiewa: *Dzieje upadku Polski (Istoria padienia Polszy)*; Kostomarowa: *Ostatnie lata Rzeczypospolitej*; Szczebalskiego: *Kwestya Księstwa Kurońskiego, za panowania Piotra III (Wopros o Kurlandskom Gercogstwie)* i tegoż autora dwa pomniejsze traktaty.

3. Dr. Stanisława Lukasa: *Rozbiór po-Długoszowej części kroniki Bernarda Wapowskiego*.

We wstępie autor zwraca uwagę czytelników na ten fakt, że od pewnego czasu „niezbyt dawnego, historyografia na nowe weszła tory. Uznając zasługę takich mężów, jak Czacki i Lelewel, w dziedzinie krytycyzmu dziejopisarskiego, mężów, „jakich nigdy niemieliśmy zawiele,” autor usprawiedliwia owoczesny brak analizy zwrotem umysłowości w inne kierunki, a mianowicie: rozbudzonemi żywo widokami, rozkwitem naszej poezyi, romantyzmem w życiu zarówno jak w literaturze; była to, jak mówi, doba, w której wolano tworzyć, niżeli poprawiać; budować, niżli burzyć; stawiać, niżeli rozbierać; doba filozofowania nad przeszłością narodu, doba poglądów historyozoficznych przeróżnej jakości i natury. Za podawcę hasła prawdziwego krytycyzmu uznaje

Bielowskiego. Długo osamotniony, kierunek ten zyskał z kolei licznych pracowników, a przytém powiew krytyczny od Zachodu przyłożył się zwolna do jego utrwalenia w badaniach naszej przeszłości.

Po wstępie tym mamy żywot Wapowskiego, a następnie: *Rozbiór po-Długoszowej części jego kroniki*.

Ponieważ zaś z porównania trzech głównych źródeł kronikarskich po Długoszu, a mianowicie: *Kroniki Miechowity, Decyusza i Wapowskiego*, okazuje się, że w opisie dziejów dalszych Wapowski do r. 1506 szedł za Miechowitą, odtąd zaś aż do r. 1516 za Decyuszem i dopiero od tego czasu jest oryginalnym; przeto dr. Lukas pracę swoją rozkłada na trzy działy. Pierwszy dział zamierza poświęcić porównaniu Wapowskiego z Miechowitą, drugi wykazaniu jego stosunku do Decyusza, w trzecim wreszcie: rozbiorowi i ocenie jego wiadomości oryginalnych.

Mamy tedy z kolei: *Żywot i pisma Miechowity*, gdzie są i wiadomości zupełnie nowe, a potém: porównanie kroniki jego i Miechowity. Tu autor podaje jaskrawe próbki, wskazujące, jak Wapowski nieraz rozszerzał, *rozwadniał*. Tak np. w *Opisie oblężenia miasta Jaicy przez Turków w r. 1502 i porażki, jaką im zadali Węgrzy*, z dwu czy trzech wierszy Miechowity, wytworzył on sześć okresów. Dalszą charakterystykę *Kroniki Wapowskiego* i jego stosunek do Miechowity ma być podanym przez dr. Lukasa w następnym (XI) tomie *Rozpraw*.

#### 4. *Święci Cyryl i Metody* przez ks. Tadeusza Gromnickiego.

Studjum swoje o pierwszych apostołach słowiańskich autor rozpoczyna od przeglądu źródeł do życia Ś. Cyryla i Metodego; a naprzód dotyka źródeł owoczesnych (jakoto: *Listu Adryana II do Rościsława, Światopelka i Kociela; Listów Jana VIII, Bulli* i t. p.), poddając je krytyce. Następują „źródła blizkoczesne” (do wieku XI). Nakoniec rozbiiera źródła trzeciej grupy, t. j. takie, które powstały późnziej, jak w wieku XI, a które, przy poprzednich, mogą mieć małą tylko wartość: tu należą i legendy.

Żywot i apostołska działalność obu świętych, zajmuje drugą połowę tego sumiennego traktatu. Autor dla wprowadzenia czytelnika we wnętrze wieku Cyryla i Metodego, uznał za stosowne podać żywe teksta ducha téj epoki. Takim jest np. przypowieść opowiedziana Chaganowi Chazarów.

F. J.

*Marya Malczeskiego* przed arcopagiem krytyka francuzkiego.

Z powodu najnowszego przekładu *Maryi* na język niemiecki (którego ocenę zamieściła *Biblioteka Warszawska* w styczniu r. b.), świat piśmienniczy francuzki otrzymuje ciekawy wzorek (dość zwyczajny

w tamecznej krytyce) sądu ociemniałych o barwie. W jednym z czerwcowych zeszytów: *Revue Politique et Littéraire* p. Arvéde Barine, pod skromniutkim tytułem: *Ruch literacki zagranicą*, jednym zamachem pióra załatwia się z *Literaturą Madziarów* i z poematem *Maryi*, który podług niego „dziś zdaje się nam nieszkodliwym romantyzmem.” Otóż u nas, leżących geograficznie pod szerokością rutyny, u nas, gdzie tylko o rzeczach: *poznanych* przez nas, przestudyowanych, wolno występować z charakterystykami lub oceną utworów zagranicznych, rzeczy idą nieco oporniej. Sądzisz może, czytelniku, że p. Arvéde Barine, choćby dla miernej przyzwoitości, trzyma w futerale ów przywilej charakteryzowania bez poznania? bynajmniej: Przerzuciwszy kilka stronic z antologii węgierskiej A. Hajdego i z przekładu Petöfi'ego (przez Ład. Neugebauera), nasz krytyk orzeka, że: „z temi *dwoma tomami w ręku można* sobie wytworzyć przybliżone pojęcie o poezyi (madziarskiej), którą niewiele Francuzów jest w stanie czytać woryginał.” Jakież tedy pojęcie wytworzył sobie o niej nasz krytyk? Oto zawnioskował on wspañiałomyślnie, że lud madziarski pochodzeniem swoim, szczepem, dziejami, tak dalece różni się od sąsiadów („poezya wschodnia od europejskiej różna, bardzo różna” mawiał F. S. Dmochowski), że czytelnik spodziewałby się spotkać u niego literaturę z zupełnie oryginalnym charakterem, a tymczasem tak nie jest.” A to jakim sposobem? zapytać gotów czytelnik zpod naszej szerokości. A oto takim sposobem, że Petöfi nawołuje wiosnę, aby przybyła co rychlej, a naniosiła kwiatów do ubarwienia mogły poległych bohaterów. Otóż w tém odezwaniu się do wiosny, krytyk nasz słyszy wyraźnie głos nie oryginalnego natchnienia, lecz głos jakiegoś tam poety znad Renu lub Sprei (!). Ale zato parafrazowana przez Petöfi'ego przedpotopowa bajka o *Psie i wilku* zachwyciła p. Arvéda Barina; o! i jak zachwyciła!—Po tak krótkim a szczęśliwym scharakteryzowaniu, krytyk uderzając się w piersi, przyznaje się jeszcze do tego, że go Petöfi zadaleko wywabił! *Petöfi m'a entraîné un peu loin...* „Nie zamyślałem oceniać jego talentu, lecz (czyż tylko?) określić właściwy charakter poezyi madziarskiej (mity Boże, jaka skromniutka synteza po tak rozległych studiach!)” *Marsz Rakoczego* krytyk nazywa bładą i dosyć *banalną* Marsylianką!

Z tych kilku zarysików biegłości indukcyjnej krytyka naszego, który i nas nieco *zadaleko wywabił*, czytelnik z góry już obliczyć może, jak to ma wyglądać *Marya* wobec areopagu. My, w artykule „*Marya* przez A. Malczeskiego,” oczekiwaliśmy właśnie *Maryi*, obrazów, uczuć, wielkich dźwigni, sprężyn, kolorytów i tym podobnych rzeczy. Ale gdzietam: połowa artykułu odchodzi na draperye, na wyściczki „o bezprzykładnym stopniu tyranii, do jakiego posunąć się może ortodoksja literacka, o spóźnionej (i naturalnie niezastużonej) apoteozie biédnego poety.” Dalej następuje to, co się robi dla miłej kwestyi *odwierszowego*, t. j. nędznie sklejonny obraz pochodu zdarzeń, zakończony zamordowaniem *Maryi* i *dwoma* wierszami, już z samego

poematu zaczerpanemi: „Takto, mówi dalej Malczeski (dalej? ależ jeszcze ani pół wyrazu nie mówił dotychczas), Wacław traci bezpowrotnie cześć dla ludzkości: cnotę i szczęście.”

A gdzież Marya? zapyta czytelnik.—Zaginęła gdzieś w cytatach z Saint Beuve'a, w traktaciku o przesyłkach syllogistycznych, o wyrocznej koniczności zestarzenia się wszystkich rzeczy tego świata, o niepodobieństwie podniesienia hołdu dla Maryi do dyapazonu p. Zippera <sup>1)</sup>, zgola wszystko, oprócz tego, o co dopomina się w końcu nawet p. Arvéde Barine (a i my także): *le sens commun* obowiązujący wszystkich, nie wyłączając i sprawozdawców *Ruchu literatury zagranicznej*. Główny wdzięk (mówi krytyk w zakończeniu) Maryi tkwi bez wątpienia w formie, gdyż czytając ten poemat w przekładzie, nawet dostatecznym... trudno podzielać ów zapal polaków, jaki dotąd podług słów tłumacza, utrzymuje się dotąd od pół wieku... „Tenże p. Zipper uprzedza czytelnika, że Maryi po pierwszym przeczytaniu ocenić nie można, i że trzeba wracać do niej kilkakrotnie (okrutny, nieubłagany p. Zipper!). W tém tu właśnie leży cały sęk (mówi p. Arvéde Barine), kiedy się przeczyta do końca Marya, niema się już chęci rozpoczynać jej na nowo.” Zgoda! i poco? skoro można napisać recenzję utworu, przeczytawszy go mniej niż *jeden* raz, jak to było z Petolim i innymi zjawiskami *Ruchu literatury zagranicznej*.

Jużto my nigdy ciosać nie będziemy piedestału dla koryfeuszów na kopyto szanownego krytyka i „*tyrady* Malczeskiego usprawiedliwiającego bohatera w imie boleści,” bądźcobądź na zawsze pieściwyszemi dla nas zostaną, nad humoreski w tym rodzaju: *un quart d'heure avant sa mort, il était encore à la vie* (na kwadrans przed śmiercią żył jeszcze). P. Arvéde Barine z całą odwagą cywilną przyznaje się, że w Europie istnieje z tuzin piśmiennictw należących do nielicznych grup ludności, które byłyby straconemi dla reszty świata, gdyby nie Niemcy. Ale cóż zyska dostojna publiczność francuzka, tak chęciwie dziś wsiąkająca w życie wszelkie poważne pierwiastki z zewnątrz i tak zwycięzko assymilować je umiejąca, co zyska na tego rodzaju kisielach po dziesiątej wodzie, jak sprawozdanie o poecie polskim, zaczerpane z przedmowy tłumacza i to pobieżnie przerzuconej?

F. J.

<sup>1)</sup> Tłumacz Maryi.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Październik, 1879 r.*— Wydział historyczny Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu odbył swe posiedzenia dnia 15 b. m. w gmachu Towarzystwa. Wysłuchano odczytu p. t. *Historyografia austriacka najnowszych czasów.*

— *Biblioteka Umiejętności Prawnych*, zeszyt 22 i 23 wyszedł z druku i zawiera: 1) *Nasze czasopisma prawne*, przez A. R. 2) *Przepisy dotyczące się egzekucyi podatków w Królestwie polskiem*, przez A. Purfańskiego. 3) *Słuby cywilne w historycznym rozwoju*, przez dr. Edwarda Rittnera. 4) *Statystyka porównawcza Królestwa polskiego i innych krajów europejskich*, przez G. Simonenko, rozebrał R. B. 5) *Przegląd bibliograficzny*, przez A. R.

— Nowy dziennik autografowany, na wzór zagranicznych tak zwanych korespondencyi, zaczął wychodzić w Wiedniu pod redakcją p. G. Smolskiego; nazwa jego: *Korespondencya wiedeńska*. Pierwsza ta w języku polskim autografowana korespondencya wydawana będzie trzy razy tygodniowo.

— Nakładem księgarni Konrada Prószyńskiego wyszło wydanie jubileuszowe dla ludu, dziełka J. I. Kraszewskiego p. t. *O pracy*. Jest to jakby króciutka ekonomia polityczna, zastosowana do poziomu umysłowego ludzi mało wykształconych. Cena gr. 15. Świeżo w handlu księgarskim ukazała się książka p. t. *Krasicki, życie i dzieła, karta z dziejów XVIII wieku*. Pracy tej autorem jest J. I. Kraszewski.

— *Wiek* oznajmia, że księgarnia K. Łukaszewicza we Lwowie, zamierzyła wydawać *Roczniki szlachty krajowej* wraz z kalendarzem, pod redakcją Jerzego hr. Dunina Borkowskiego. Będzie to zatem wydawnictwo peryodyczne, pojawiające się corocznie przed Nowym Rokiem. Pierwszy tom, który ma wyjść w roku przyszłym, zawierać będzie najzupełniejszy, o ile być może, wykaz rodzin szlacheckich polskich, oparty na podstawie genealogii historycznej, a doprowadzony do ostatniej chwili. Następne roczniki oprócz uzupełnień, ze względu na obszerny rozmiar przedmiotu niezbędnych, pomieszczą obraz tych zmian, jakie w ciągu roku zajądą w stosunkach rodów, własności i t. p. Nadto

zawierać będą genealogią domów panujących, oraz wizerunki zasłużonych w kraju ludzi. Chcąc zaś uczynić *Roczniki* jak najdokładniejszymi co do nazwisk, liczby rodów szlacheckich i ich genealogii, które bezpłatnie drukowane będą, uprasza p. Łukaszewicz wszystkich sprzyjających temu wydawnictwu, o nadsyłanie mu wykazu żyjących członków rodziny: kto chce, ażeby genealogia jego rodu znalazła pomieszczenie w tomie I, powinien wykazy nadesłać do redakcyi wydawnictwa najpóźniej do dnia 1 maja 1880 roku.

— Kazimierz Kaszewski dokonał świeżo przekładu tragedyi Pawła Heysgo: *Elfryda*.

— W Marosz Vasarhely na Węgrzech odbył się zjazd Towarzystwa historycznego węgierskiego pod przewodnictwem biskupa Ipoly'ego. Przy tój sposobności przystąpiono poraz pierwszy do zbadań archiwum hrabiów Telekich, liczącego samych listów historycznej treści z ubiegłych wieków, 29,600 sztuk, oprócz wielkiej ilości dokumentów odnoszących się do historii Siedmiogrodu, Węgier i Polski. Archiwum to było dotychczas nieprzystępne.

— W handlu księgarskim ukazało się świeżo studyum literackie p. Juliana Adolfa Świącickiego p. t. *Najznakomitsi komedypisarze hiszpańscy*. Praca ta, jak prawie wszystko co w tym roku wychodzi, poświęconą została J. I. Kraszewskiemu.

— Nowe pismo peryodyczne poświęcone modom, z uwzględnieniem części literackiej p. t. *Salon paryżski*, zacznie wychodzić od dnia 1 października r. b. Wydawcą jest p. Głodziński, nauczyciel kroju.

— Inżynieryi i budownictwa nr. 18 wyszedł z druku i zawiera: *Słowo w sprawie kanalizacyi i wodociągów miasta Warszawy*. Wstęp p. W. Czarbińskiego, część I p. Al. Bobrownickiego. *Projekt oszczędnej stodoły*, p. Adama Dzennowskiego, *Wiadomości pobieżne, Ruch przemysłu* i t. d.

— W czasopiśmie rosyjskim *Riżskij Wiestnik*, rozpoczęto przekład powieści J. I. Kraszewskiego p. t. *Grzechy hetmańskie*. W oryginale wychodzi ona obecnie w *Kłosach*.

— W Nowym Sączu w Galicyi wydana została książka p. t. *Goethe's Hermann und Dorothea, und Herr Thaddäus, oder der letzte Eintritt in Lithauen von Mickiewicz. Eine Parallele mit Beigabe von mehreren übersetzten Auszügen aus dem letzteren Gedichte*. Autorem jest p. Aleksander Pechnik. Zamierza on ogłosić dokonany przez siebie przekład niemiecki całego *Pana Tadeusza*.

— *Peterburgskije Wiedomosti*, w jednym z ostatnich swych numerów podają bardzo obszerny opis życia i działalności J. I. Kraszewskiego. Artykuł ten uznający olbrzymią i wyjątkową pracę, oraz talent Jubilata, napisany jest przez p. Meridianowa.

— Wiedeński nakładzca Waldheim wydał temi dniami w wytworném wydaniu powieść J. I. Kraszewskiego: *Thwardowski*, w tłumaczeniu niemieckim.

— *Gazeta Warszawska* rozpoczęła druk nowój powieści J. I. Kraszewskiego p. t. *Ciche Wody*.

— W Nr. 51 *Gazety Polskiej*, pisma wychodzącego w Ameryce w Chicago, pomieszczony jest obszerny nekrolog ś. p. K. Wł. Wóycickiego.

— W przedostatnim numerze *Tygodnika Ilustrowanego* rozpoczęty został druk ciekawego studyum znanój powieściopisarki pani Waleryi Marrené (Morzkowskiej), pod tytułem *Kwestya żydowska w powieści społecznej*.

— Dnia 17 b. m. i r. otwartą została w Petersburgu na placu Każańskim pod Nr. 7 księgarnia polska pod firmą I Unger. Poświęcenia dopełnił ks. prałat Julian Sobolewski w asystencyi kanonika Zabłockiego.

— Wiedeńska *Neue Illustrirte Zeitung*, w jednym z ostatnich swych numerów b. m. pomieściła na czele portret J. I. Kraszewskiego, wraz z życiorysem nader pochlebnie napisanym. Zaliczonym w nim został Kraszewski do najgenialniejszych autorów nowych czasów.

— *Przegląd słowiański*, pisze *Gazeta Lwowska*, wychodzić będzie istotnie w Krakowie pod redakcją p. Juliusza Mien, francuza, osiadłego w naszym kraju, przyjaciela i znawcy literatury polskiej, znanego tłumacza kilku najpiękniejszych utworów Stowackiego i Krasieńskiego. Przegląd ten nosić będzie tytuł: *Revue des littératures slaves*, a jak się dowiadujemy z nadesłanego nam prospektu, wychodzić ma dwa razy na miesiąc, w objętości od dwóch do trzech arkuszy. *Revue des littératures slaves* zawierać będzie artykuły oryginalne, życiorysy, powieści, rozbiory, sprawozdania z najznakomitszych dzieł literatur słowiańskich a nadto echa ze świata społecznego i politycznego Słowian. Skoro na to liczba abonentów pozwoli, dodawany będzie co kwartał do pisma jeden tom przekładu najcenniejszych dzieł literatur słowiańskich. Będzie to rodzaj systematycznej zbiorowej publikacji, która zasłuży sobie na nazwę biblioteki słowiańskiej. *Revue des littératures slaves* będzie wcale tanią, przedpłata bowiem wynosi 8 złr. Już obecnie zamawiać można to pismo, udając się listownie wprost do jego redaktora i wydawcy, p. Juliusza Mien w Krakowie.

— Pomnik Palackiego odśloniony został w Roznowie morawskim. Z Czech na obchód ten zjechało dosyć gości, pomiędzy nimi dr. Rieger. Przemawiał ksiądz katolicki Przibyl.

— *Przegląd angielski dwutygodniowy (Fournightlyreview)* zawiera zaszczytną pośmiertną wzmiankę o autorze *Klechd* K. Wł. Wóycickim.

— Dwa nowe historyczne obrazy, mniejszych rozmiarów wykończył temi dniami Jan Matejko: jeden z nich przedstawia *Władysława Łokietka*, zrywającego układy w Brześciu Kujawskim z Krzyżakami; drugi, *Spór małżeński Leszka Czarnego z Gryfiną*. Obrazy te zaraz

nabyte zostały. Prócz tego na wystawie urządzającej się obecnie w Sukiennicach umieszczone będą *Portrety dzieci Matejki*.

Na wystawie sztuk pięknych monachijskiej, artysta nasz Czachurski otrzymał drugą nagrodę.

— Rzeźbiarz Abel Perier, francuz, zamieszkały we Lwowie, wykonał z białego marmuru popiersie Aleksandra Fredry (ojca) w sędziwym jego wieku. Popiersie to jest własnością syna poety. W kościele w Rudkach, majątku Fredry, stanął już dawniej, dłuta tego samego artysty grobowiec z czarnego marmuru.

— Pomnik Teodora Körnera, a właściwie popiersie tego znakomitego poety, zostało wzniesione w tych czasach w Wöbbelin w Meklemburskiem, właśnie w miejscu, gdzie przed siedmdziesięciu laty śpiewak niemiecki znalazł śmierć bohaterską.

---

† Dnia 28 września r. b. zmarł *Artur Popławski*, zasłużony nauczyciel nauk fizyczno-matematycznych w tutejszych szkołach publicznych. Zmarły był wzorowym pedagogiem i wydał kilka podręczników szkolnych. Był on również tłumaczem: *Szkiców z życia zwierzęcego, Lewesa*.

---

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Za redaktora odpowiedzialnego dr. Karol Jurkiewicz.

Wydawca *Józef Berger*.



# FRANCISZEK MAKSYMILIAN OSSOLIŃSKI,

PODSKARBI WIELKI KORONNY 1).

PRZEZ

*Klemensa Kanteckiego.*

CZCIGODNEMU

**J. I. Kraszewskiemu**

NA PIĘĆDZIESIĘCIOLETNIĄ ROCZNICĘ LITERACKICH PRAC I ZASŁUG

składa w hołdzie

Autor.

## I.

Trzeci już z kolei rok stała Polska w płomieniach wojny domowej. Naród, ujrzawszy się w nią wplątanym przez króla, który dla dynastycznych jedynie widoków, naprowadził na kraj groźnego przeciwnika, w znacznej swej części nie poczuwał się do obowiązku dochowania mu wierności i ztąd Rzeczpospolita rozpadła się na dwa nieprzyjemne obozy. Jeden z nich pozostał przy Sasie, przeważnie, wyznać to trzeba, pod wpływem osobistego interesu; drugi stanął pod chorągwią młodego króla Szwedów, po większej części z pobudek szlachetniejszych, bo jużto przez wstręt do wiarołomnego i rozpasanego Augusta, jużto przez sympatyę dla bohaterskiego wojownika, otoczonego aureolą świetnych sukcesów oręża nad potężnymi napastnikami, a przemawiającego do Polaków językiem, który na nich zawsze działał magnetycznie, bo zapowiadał wyswobodzenie z pod „jarzma” nieubojętnego króla. Poza temi głównemi partjami, na jakie rozdarło się społeczeństwo polskie z początkiem XVIII wieku, stali trwożliwi zwolennicy polityki utylitarniej, z hasłem ostrożnej neutralności, wyrażonej w znanych słowach: *bene vixit, qui bene latuit*, a najmniej podobno było takich, którzy trzymali z królem Don Juanem:—nie w imię prywatnych korzyści, bo niemi gardzili; nie przez osobisty pociąg, bo ich odpychało od siebie postępowanie koronowanego rozpustnika, gotowego w każdej chwili ziemiami elekcyjnego państwa frymarczyć; ale w imię jego prawowitej królewskości, do obrony której czuli się powołanymi. Szczerzy wyznawcy i obrońcy takich zasad, należeli już w owęj zepsu-

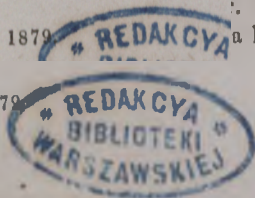
nie niniejszej rozprawy.

paż Tom IV. Listopad 1879

nie niniejszej rozprawy.

Tom IV. Listopad 1879

. Imienia Ossolińskich (12  
a krótkość czasu, streszcze-



téj, wiekową anarchią zdemoralizowanej epoce, do rzadkich wyjątków. Jedną z tych wyjątkowych postaci jest człowiek, któremu dotąd poświęcano jedynie luźne, ogólnikowe wzmianki, jakkolwiek ze względu na swój charakter i postępowanie, tak różne od postępowania ogółu współczesnych, godzien był lepszego losu i wdzięczniejszego u potomności wspomnienia.

Sympatya nasza dla niego, łatwa do zrozumienia przy jego dopiero co wymienionych przymiotach, nie zaślepia nas bynajmniej i nie popycha do przecenienia naszego bohatera. Powiedział znakomity znawca XVIII wieku, że w tém stuleciu nie brak niepospolitych rozumów; to tylko nieszczęście, że im towarzyszą wątkłe charaktery. Nie myśląc wcale przyznawać Franciszkowi Maksymilianowi Ossolińskiemu wyjątkowych zdolności politycznych;—bo go pod tym względem przewyższał ojciec Stanisława Augusta, który niemal równocześnie wstępował na arenę życia publicznego; bo przewyższali go później Czartoryscy i inni: nie wahamy się jednak zaliczyć go do najszlachetniejszych w owéj porze ludzi, do najlepszych i najbezinteresowniejszych patriotów, do najpiękniejszych charakterów. Nie zwykł się on był popisywać swoją stałością umysłu, wiernością zasadom i przyjętym obowiązkom, nie szermował piórem i językiem o swoim patriotyzmie i ztądto może, zwykłą rzeczą koleją, głucho o nim w dziejach. Ale gdy przychodziło do stanowczego działania, do czynu, głosiciele pięknych teoryi kończyli szpetną praktyką. Zamiast iść drogą prostą, znikali gdzieś po manowcach, a on nie zbaczał na krok z wytkniętego sobie gościńca. „Lepiej umrzeć z honorem, aniżeli żyć *cum infamia* i z zawodem sumienia swego,” wyrzekł on w chwili, gdy setki jego towarzyszków wchodząc z sumieniem w układy, równie łatwo sprzeniewierzali się swym przyrzeczeniom, jak łatwo je dawali. On, prawie samotny, wytrwał do końca z honorem na stanowisku, przenosząc utratę majątków i dostojęństw nad poniżenie w oczach własnych i świata, tułactwo zdala od ojczyzny nad uznanie w niej zmian, narzuconych narodowi gwałtem i przemocą oręża postronnych mocarstw, którym się podobało występować w roli opiekunów wolności i swobód Rzeczypospolitéj.

Urodzony w r. 1676, w porze wtargnięcia Karola XII do Polski, liczył dopiero lat dwadzieścia kilka; sama więc krewkość młodzieńcza mogła go być rzucić do obozu północnego bohatera. Ale już wtedy wzbogaciwszy umysł podróżami po Europie, a szczególniej Francyi, stosunkami z tak znakomitymi statystami, jak Szczuka; pan chorąży drohicki był dojrzałym i wytrawnym nad lata, a jako godny potomek wielkiego kanclerza, miał głęboko wpojone zasady legitymizmu, od których nie mogły go odwieść ani urok, otaczający postać genialnego wojownika, ani bezprawność postępowania Augusta II. Zbyt wiele posiadał rodowego poczucia własnej godności, aby za przykładem tylu współczesnych rycerzy fortuny, polować miał na pańskie fawory i za jakąbądź cenę trzymać się klamki niesympatycznego mu dworu; ale też naodwrot: nie myślał wzorem innych chronić się w zacisze beczynne-

go domatorstwa, usuwać się od wszelkiego współdziałania w życiu politycznym, czyto w charakterze malkontenta, czy praktycznego polityka, niechęącego się narazić ani jednej, ani drugiej stronie, bo zarówno ten, jak tamten tryb postępowania był przeciwnym tradycjom domu Ossolińskich, między którymi, powiedzmy na ich chlubę, nie spotykamy ani wichrzycieli, ani małodusznych, ani zrywaczy sejmów, ani jurgieltników któregośkolwiek postronnego mocarstwa. To też gdy pan chorąży, zwróciwszy na siebie uwagę prawością, wykształceniem i znajomością języków, powołany został do czynnej służby dyplomatycznej, nie wahał się uczynić zadość wezwaniu.

Rada senatu, zwołana do Wyszogrodu w dniu 27 września 1704 roku, uchwaliła wyprawienie na dwór berliński, jako nadzwyczajnego posła króla i Rzeczypospolitej, Jana Jerzego Przebendowskiego, podskarbiego w. koronnego; do pomocy, jako pierwszego sekretarza, przydano mu Ossolińskiego. Zasłużony historyograf Augusta II, uczynił to poselstwo przedmiotem osobnego studjum, tém cenniejszego, że je oparł na aktach archiwum berlińskiego <sup>1)</sup>. Źródło to, jakkolwiek pierwszorzędne, nie daje przecież zupełnie dokładnego obrazu rzeczowej misji, ograniczając się bowiem na objawach zewnętrznych, nie pozwala nam wglądać w wewnętrzne dzieje legacyi, nietylko nie charakteryzuje stosunku sekretarza do posła, lecz nawet nie przeznaczają pierwszemu żadnej znaczącej roli. Jarochowski wspomina o nim jedynie, że stosownie do uchwały wyszogrodzkiej rady senatu, wypłacono mu w maju 1705 r. półroczną pensyą w kwocie 7,145 tyńfów i że około tego czasu jeździł z polecenia Przebendowskiego do rezydującego w Gdańsku prymasa, którego miał nakłonić, aby porzucił wreszcie stanowisko chwiejne i dwuznaczne i przeszedł stanowczo na stronę saską. Ze szczyptych tych szczegółów można byłoby wnosić, że chorąży drohicki nie był niczem więcej, jak powolnym narzędziem podskarbiego, że spełniając ślepo jego rozkazy, zgoła się nie przeciwiał przedsięwziętym przezeń krokom. Gdyby tak było, źle wypadłoby tuszyć o cywilnej odwadze i patriotyzmie naszego bohatera; szczęściem dla niego rzecz się miała zupełnie inaczej.

Przebendowski nie cieszył się bynajmniej wziętością w kraju, a niepopularność ta była w niniejszym razie dobrze zasłużoną. Podobnie jak wielu innych mieszkańców, odpadłych od Polski w XVII wieku, ziem: Bytomskiej i Lauemburskiej, był on zimnym kosmopolitą, obojętnym na dolę i niedolę ojczyzny, a jedynym celem jego zabiegów, było uzyskanie względów Augusta, któremu ofiarował swoje usługi, porzucając najprzód królewicza Jakuba, następnie Conti'ego, skoro tylko spostrzegł, że gwiazda tych kandydatów do polskiego tronu gaśnie.

<sup>1)</sup> Jarochowski Kazimierz: *Polityka brandeburska w pierwszych latach wojny Karola XII i misja Przebendowskiego do Berlina w r. 1704*. Nowa, r. 1879, t. I. Porównaj z rozprawą tegoż autora w *Ateneum* (sierpień r. b.) p. t.: *Koniec Rudziejowskiego*.

Szlachta nie kryła swój nienawiści i wzdardy dla tajnego agenta i zasznika królewskiego, jak go powszechnie zwano; znając zaś z drugiej strony przebiegłość rządu pruskiego i jego rosnący apetyt na dzierżawy polskie, a zarazem wiedząc, jak gorąco pragnie wykołatać na Rzeczypospolitę uznanie tytułu królewskiego, któryby mu mógł posłużyć niejako za sankcyą nowych nabytków, podejrzliwie i trwożnie spoglądała ku Berlinowi. Obawiano się słusznie, że Sas temi upragnionemi przez Prusy ustępstwami zechce sobie okupić ich pomoc, a poseł bez skrupułu spełni jego rozkazy; ztądto w dwa miesiące później (2 grudnia 1704 roku) sejmik Kościański zanosi uroczysty protest przeciw „legacyi Przebendowskiego od króla Augusta do Berlina, ponieważ niewiadomo „co tam *haeret*...”

Jakoż nie były to płonne obawy; August oświadczał się przez swego faworyta z gotowością uznania świeżej królewkości pruskiej i poczynienia terytoryalnych ustępstw nad dolną Wisłą. Przebendowski wiedząc doskonale, że w Ossolińskim względ na korzyść kraju góruje ponad względami na dynastyczny interes Augusta, nie wtajemniczał go we wszystkie sekretne układy; lecz niepodobna też było ukryć wszystkiego przed towarzyszem i możemy sobie wyobrazić, jak to podziałało na patryotyczny umysł chorążego drohickiego.

Tknięty do żywego niesumiennością posła, widząc, że zarówno w oczach jego, jak Augusta II, „Polska jest przedmiotem, o którym wszyscy bez niego decydują, jak gdyby martwym obszarem kompensat, któremi wojujące, czy interesowane strony gotowe sobie wynagradzać wzajemne usługi czy szkody,” starał się wykazać mu, jak zdrożne jest jego postępowanie i odwieść go od spełnienia szkodliwego dla Rzeczypospolitej przedsięwzięcia. Ale podskarbi, podżegany przez żonę, ambitną intrygantkę z domu Flemmingów, nie uwzględnił energicznej opozycyi sekretarza. Wtedyto Ossoliński widząc, że zrzeczny w dyplomatycznych machinacyach poseł zyska na dworze aprobatę swych zamiarów, zgodnych, jak wiemy, z tajnemi życzeniami króla, a jako z ramienia rady senatu mianowany towarzyszem poselstwa, poczuwając się do bronienia wszelkimi sposobami sprawy kraju, celem wywołania opozycyi przeciw tym niegodnym praktykom, pisze do zacnego podkancerzego litewskiego, Stanisława Szczuki, list dla nas bardzo ważny, w którym, niezupełnie jeszcze odsłaniając prawdziwy stan rzeczy, wskazuje przecież z patryotyczną indygnacyą groźne dla ojezyzny niebezpieczeństwo, śmiało i gorąco piętnując niegodziwego posła <sup>1)</sup>.

„Podskarbi koronny szaleje, odzywa się w Gutach 26 sierpnia 1705 r. o pierwszój z południa, bo *non attento hoc*, mimo tysiąc remou-

<sup>1)</sup> Oryginał tego i kilkunastu innych poufnych listów Ossolińskiego, do Szczuki w rękopisach biblioteki willanowskiej. *Archiwum Szczuki*, tom 36, list 69. Za łaskawe udzielenie mi kopii tych pism z prawdziwem poświęceniem czasu i pracy, składam niniejszém panu Franciszkowi Kluczykowi najserdeczniejsze podziękowanie.

stratii moich, chce wiazd swoy y publiczną audientią zakończyć, non per tractatum, ale tylko przez prosty rewers, iako ta koronacya Króla Pruskiego in fundo Rzeczypospolitey uczyniona, w niwczym nie ma praecudicare iuribus oneyże. Punkta instruktii non adimpleta, Majestati et libertati securitas nulla provisa, owo zgoła in reprobum sensum poszedł wspomniony legatus, w konsideratii nie ma gloriam ani utilitatem boni publici, prywatny tylko interes ex instinctu zapamiętały żony et consiliariorum jej, praeoccupavit myśli jego; że gdy Warszawskie consilium terażniejsze do skutku przyjdzie, ztamtąd pošlą nowego posła cum agnitione tituli, a on eludetur, y wszystkie jego awantage upadną. Pojechał do Drezna, aby mógł otrzymać consensum Principis w tej swoiey nieszczęśliwey resolutii, ale wątpię, aby co sprawił, bo Pan et Ministri, przestrzeżeni de artificiis jego. Siła by Mci Dobrodzieju trzeba pisać w tey materij WMPanu, ale to na tak krotkim czasie nie może się doskonale wszystko wyrazić; sufficit, że sordidat ten ze wszystkich miar verum opprobrium Gentis, y z siebie y z żony. Iam nieszczęśliwy, zem się kiedy pod tym Imieniem podjął usługi Rzeczypospolitey. WMPan praesago spiritu uchroniłeś się od niey, ale nam y Oyczyźnie aeternam parasti Ignominiam, bo wiem że przezorność WMPana, rozum, powaga, la maniere d'agir, iako to mówią, nieochybnie do tych czas et Patriam reddidisset beatam et nos feliciores. Ja lubom iest minima pars tey legatij, ale przecie per senatus consilium do niey destinowany; jeżeli tak stanie się, iak conclusum w głowie JPana Podskarbiego, prospiciendo immunitati praw koronnych et honori proprio, bom się sam na tym podpisał senatus consilium, z którego destinowana ta Legatia; zaniosę solenną manifestatio, y wydam ją na świat dowodząc, że ten który non leviter contribuit do zamieszania Rzeczypospolitey, dognębia i domazuje sławę i całość jey. To co piszę, Mści Dobrodzieju, in confidentia czynię, ale upewniam, że bez passij żadnej, bo naywięksi quondam confidenti JPana Podskarbiego, a ad interim jemu assistujący, jako to Jmśc X. Strzembosz (czy Strzembersky? trudno rozstrzygnąć, bo nie dość wyraźnie wypisano)... verbis et scriptis to wszystko affirmat, y ia tego in fatie całej Rzeczypospolitey (ieżeli Bóg da jeszcze wolnie kiedy mówić), dowodzić zechę pewnie."

Przytoczyliśmy z ciekawego listu tego obszerny ustęp, bo określa i stanowisko polityczne pana chorążego drohickiego i może posłużyć za ilustracyą podanej wyżej charakterystyki. Szlachetne i pełne godności zachowanie się jego w smutnej epoce upadku moralnego nie odpłaciło mu się jednak innym owocem, okrom zadowolenia ze spełnionego uczeiwie obowiazku, szacunku i uznania ludzi takich, jak podkanclerzy litewski; umiarkowanie i baczenie przedewszystkiem na dobro publiczne, sprawiły owszem, że go nie oszczędzano w obydwu obozach. Szwedzi pustoszyli jego dobra mieczem i pożogą, uważając go jako adherenta saskiego, a niewiele lepiej obchodzili się z niemi Sasi, na co gorzko się skarży w swych listach. „Spieszę, donosi raz Szczuce, ku Panu jako *caul ex patriis laribus*, bo w Podlasiu rabunkiem i ogniem

szwedzkim zniszczony <sup>1)</sup>," później zaś z przekazem donosi feldmarszałkowi Flemmingowi: „Moje dobra dziedziczne, które zwiedziłem po drodze, są do tego stopnia zrujnowane przez saskie kontrybucye i egzekucye (pomimo rozkazów wydanych na moją korzyść przez W.ą Ekscelencyę), że zaledwie w nich znalazłem kawałek chleba dla siebie; oto zapłata za naszą wierność i służbę <sup>2)</sup>!”

Niedziw, że przy tak drapieżném gospodarowaniu Szwedów i Sasów w dobrach Ossolińskiego, pan chorąży, lubo w ciągu pięciolecia (1705 — 1710 r.) otrzymał starostwa: chmielnickie, nurskie, ostrowskie i drohicke, musiał dobrze pilnować majątku, aby nie paść ofiarą kłesk, jakie z sobą przynosiły burzliwe czasy, na co wyraźnie zwraca uwagę, tłumacząc się z nieobecności swojej na dworze <sup>3)</sup>. Król, jakkolwiek lubił, aby jego urzędnicy i słudzy ślepo mu byli oddani, aby za ostatni cel swój działalności pocztywali uprzedzanie wszelkich pańskich życzeń, nie mógł jednak nie zauważyć, że talent, a więcej jeszcze rzadsza wtedy od niego uczciwość i sumienność Ossolińskiego, mogą mu się stać bardzo pożytecznemi. Jeżeli gdzie, to w skarbowości niezbędną jest prawosć urzędnika; to też pan chorąży, który w r. 1710 został rejentem kancelaryi większej koronnej, w trzy lata postąpił na podskarbiego nadwornego koronnego po swoim teściu Atanazym Miączyńskim <sup>4)</sup>. Ale choć pełnił obowiązki swój godności z tą skrupulatnością jaka go cechowała, a w dowód swój gorliwości i uzdolnienia w r. 1728, po śmierci Przebendowskiego otrzymał podskarbstwo w koronne, pomimo że samochwalezy książe Teodor Lubomirski, dla dostania skarbu w swe ręce, obiecywał pomnożyć kilkakrotnie dochody z niego; snać jednak

<sup>1)</sup> List do Stanisława Szuczki, z Lublina 5 marca 1704; *Akta Szuczki* (tom 33, list 220) w bibliotece willanowskiej.

<sup>2)</sup> List do Flemminga, z Leszna 22 kwietnia r. 1711, w tajnym archiwum państwowém drezdeńskim: Dzięki uprzejmości zarządu archiwum, szczerólniej zaś dyrektora, radcy v. Webera, z której wielokrotnie już korzystałem, otrzymałem odpisy korespondencyi Ossolińskiego z Flemmingiem i Puchotem, pomimo że sam na miejscu nie mogłem robić poszukiwań, za łaskawém pośrednictwem znanego z uczynności Władysława hr. Konopackiego, który zechoc przyjąć zato wyrazy szczerzej mej wdzięczności.

<sup>3)</sup> List do Flemminga, z Warszawy 29 czerwca 1711 r.: „Mes affaires domestiques et principalement la vindication de ma fortune, dont il dépend la subsistance de ma famille, m'absentent jusqu'à ce temps ici des services de Sa Majesté.”

<sup>4)</sup> O uzdolnieniu Ossolińskiego w kierunku administracyjnym, przekonały króla jego poprzednie usługi. Na dniu 13 lutego 1712 r. pisze on z Krakowa do posłannika polskiego w Rzymie Puchota: „En passant par Cracovie pour la commission du trésor de la Couronne, où je vais avec les commissions du Roi mon Maître etc.” W cztery miesiące później (8 czerwca) donosi z Warszawy, że oddalił się na dłuższy czas od dworu: „pour les services particuliers économiques de Sa Majesté.”

będąc tak zbliżonym do osoby monarchy, nie korzystał z dogodnej pozycji i nie wypraszał sobie donośnych królewsczyzn, skoro w metryce koronnej, w ostatnich 23 latach panowania Augusta II, spotykamy tylko jedno starostwo (sandomierskie 1720 r.), zapisane na jego imię.

Równocześnie zanim, jako podskarbi wielki korony nie został ministrem, mianowicie zaś w latach 1718, 1719, 1722, 1724 i 1726 służył krajowi w charakterze posła na sejmach, głównie z ziemi: Mielnickiej i Łomżyńskiej, a nawet zaufanie towarzyszków powoływało go na marszałka sejmowego. Z zadania reprezentanta współziemian i namaszałka izby poselskiej wywiązywał się poważnie i sumiennie, nawołując zawsze do karności i zgody, karcąc anarchiczne wybryki, zalecając uszanowanie dla ustaw Państwa i majestatu królewskiego, bo wzmocnienie władzy monarszej uważał za niezbędne dla dobra kraju. „Zgoda obywateli sieje trwogę między nieprzyjaciółmi,” mawiał, albo: „Dwie są podstawy królestw: poszanowanie prawa i mądrość pokoju <sup>1)</sup>.” Do tego prawidła stosował się wiernie, a jeśli w r. 1722, gdy go izba jednomyślnie okrzyknęła marszałkiem, podniósł się jeden głos z zarzutem, że pan podskarbi narzucił się na posła w Łomży: bytło głos jego przeciwnika, znanego krzykacza Rostkowskiego, podstolego łomżyńskiego, przebrzmiał też zupełnie bez echa i bez wrażenia <sup>2)</sup>.

Podobnie w roku 1718 (12 października) pragnęli go nie dopuścić do głosu Lubomirscy i w tym celu nawet podnieśli z swymi adherentami straszną wrzawę, która trwała całą godzinę, ale ta nienawiść książąt przynosi Ossolińskiemu chlubę i zaszczyt. Lubomirscy, jeśli wedle przycinku Czarnieckiego nie urosli z soli, tedy przynajmniej znaleźli w niej prawie niewyczerpane źródło dostatków. To też gdy wyczerpawszy do dna swą kopalnię imieniem Kunegundę, nie myśleli się rzec dotychczasowych dochodów, ale kopiać dalej poza obrębem własnej ziemi, eksploatowali już królewskie saliny; rząd za inicjatywą, jak się zdaje Ossolińskiego, jako podskarbiego nadwornego, uważał za właściwe odjąć im prawo, które sobie (czytamy w oficjalnej relacji) przywłaszczyli, a którego początkiem było jedynie nadużycie. To też książęta nie mogli tego zapomnieć sumiennemu urzędnikowi, zwłaszcza, że

<sup>1)</sup> *Unitas civium, terror hostium. Duo sunt regnorum fundamenta: reverentia legum et sapientia pacis.* Drugie zdanie powiedział Ossoliński na sesji sejmowej z dnia 9 listopada r. 1718; pierwsze na sejmie r. 1724. Dla poznania stanowiska podskarbiego na sejmach, porównaj rękopism Zakładu nar. Imienia Ossolińskich nr. 297, str. 133 seq. oraz *Tekę l'odoskiego* tom II, str. 210, 232, 239, 245, 249, 250, 305; tom III, str. 49, 99, 134, 156; tom VI, str. 239, 246, 276, 285, 304, 326, 352, 402, 411, 418.

<sup>2)</sup> Wedle szczegółowego niemieckiego tekstu Dyaryusza, Rostkowski wystąpił: „ungemein heftig und behauptete, der Herr Schatzmeister Ossoliński könne keineswegs zum Marschall gewählt werden, weil er sich zum Landboten in Łomża aufgeworfen hätte und dadurch posel *controversus* geworden wäre.

wbrew ich żądaniom wykazywał, iż sprawa Kunegundy nie może być żadną miarą rozstrzygnięta w Izbie, zanim nie będzie znaną relacya wyznaczonęj dla jęj zbadania komisyi.

Nie pochopuy wcale do wojny i krwi rozlewu, umiejący owszem cenić błogostawieństwa pokoju, dalekim był jednak od chęci okupowania go choćby szkoda i upokorzeniem kraju. W myśl głębszokiej maksy my starożytnych: *Si vis pacem, para bellum* wiedział on, że państwa tylko energiczną i pełną godności postawą zdolne są wzbudzić dla siebie szacunek i poważanie. Dlatego w porze zatargów pomiędzy Polską a Piotrem W. (sesya z 8 października 1718), oświadcza się za wyborem stanowczych kroków <sup>1)</sup>; dlatego żąda, aby wszelkie porozumienie obywateli z przeciwnikiem karać surowo, a czuje się wprost przerażony głosami tych, którzy w dyskusyi o środkach zapowiadają z góry, że nie zgadzają się na wojnę, przez co „*populum furem* na hardą posadzają.”

„I ja nie jestem za tém, objaśnia dalej myśl swoję, aby rozpoczynać wojnę. Ale cóż począć, jeśli pokojowe środki nie dopiszą? Propozycya moja, aby tych co się starali o uzyskanie ulgi od najazdu <sup>2)</sup>, ogłosić za nieprzyjaciół ojczyzny, nie zasługuje na naganę. Zupełnie inne stosunki były dawniej, gdy Rzeczpospolita znajdowała się w seysyi i w ogniu wojny domowęj, wtedy musiał się każdy ratować jak mógł. Ale nie uchodzi to *in statu unito*; nie można już dzisiaj robić dystynkcyi, gdyż wszyscy powinni zarówno znosić *commoda et incommoda*.”

Pan podskarbi nie należał do znakomych mówców. Jakkolwiek, dzięki wyższemu ukształceniu i wyrobionemu smakowi przewyższał o całe niebo pospolitych oratorów współczesnych i on przecież hołdował skażonemu gustowi czasu. Przemawiał zwykle z pewną nienaturalną enfazą, prawdziwym *stylo officioso*, jak trafnie powiedziano w sejmowym dyaryuszu, bawiąc się w tak ulubioną wtedy czezą igraszkę słów, jak np., gdy z powodu zwłoki w obradach ubolewał: „że w sejmie sejmu szukając, w czasie czas się traci” i t. p.

Mimo to, gdy wielki ból patryotyczny targnął mu sercem, gdy patrząc jak jego zaślepieni współziemianie w szale anarchicznym korzystając z fatalnego przywileju *liberi veto*, zamiast obmyślać środki ocalenia rysującego się gmachu Rzeczypospolitej, wszelkie owszem sposoby ratunku odpychają z bezrozumną zapamiętałością, jak gdyby śmiertelny taniec zawodząc na dymiącym już wulkanie:—wtedy ten rzetelny miłośnik kraju, pod wpływem gorącego uczucia, co mu rozsadzało pierś, wznosił się ponad poziom swego zwykłego „oficyalnego stylu,”

<sup>1)</sup> Jużto Piotra W. nie bardzo lubił Ossoliński, w liście do Flomminga, pisanym z Warszawy w maju 1711, donosząc, że hetman w. kor. Sieniawski, z wielu innymi miał jechać do Lwowa dla przyjmowania Cara dodaje: „Pour moi, je n'ai pas trouvé à propos de les suivre, je vais sur mes terres.”

<sup>2)</sup> Tak tłumaczy frazes niemieckiego tekstu dyaryusza: „Befroing zu erhalten.”



z zapalem i natchnieniem patryoty, a z bystrością męża stanu wskazywał lekkomyślnemu tłumowi rozwierającą się u nóg jego przepaść; wtedy odzywał się tak wymownie, że trudno doprawdy pojąć, czemu nie odniosły pożądanego skutku te piękne słowa, które nas dzisiaj jeszcze wstrząsają do głębi, jak wieszczce słowa złotoustego Skargi.

Zegnając 16 listopada r. 1722 Izbę poselską, jako marszałek zerwanego sejmku, mówi z goryczą, że nie potrafi znaleźć wyrazów zdolnych wyrównać boleści jakiej doznaje: „odwołuję się, są jego słowa, do smutnej pamięci przyszłych pokoleń <sup>1)</sup>, co też o nas zgorszona niesformnością naszą sądzić będzie potomność,” a dawszy do poznania, że jej wyrok brzmieć będzie surowo, prawi dalej: „Cóż pomoże przyznawanie się do błędów, gdy już okręt będzie na dnie? <sup>2)</sup>. Daremna do staropolskiej po szkodzie mądrości apelacya!”

Przypomina mówca zwyczaj, praktykowany u „przezornych” Rzymian, że zapisywano troskliwie „za czyjjej dyktatury miasto augmentu, jakąkolwiek klęskę Rzeczpospolita poniosła.” Nie wiem już, dodaje, na jakich tabliczkach zapisze potomność imię nasze, gdy żalona wspomni sobie kiedykolwiek reminiscencyą... Na szańcu i haniebnym stos fatalnych przypadków wystawiona cała, jak szeroka, ojczyzny fortuna. Już jako widzę, (na co drży serce), długo szczęśliwemu, ale zażyć szczęścia swego nieumiejącemu Królestwu temu, ostatnia grozi ruina <sup>3)</sup>. Nie egzageruję z takich zadatków siły grozących nieszczęść, jakie nas czekają klęski w ojczyźnie, jakie nadto od zaostrzonych na reputacyą naszą języków. Nie czas będzie późno przychodzić do rozumu, gdy po takowych akcyach (jako pospolicie doznawamy), następująca żalona katastrofa nauczy nas obserwować i oszczędzać czas dany na obrady; po czasie doznamy, a nie daj Boże na wszystkie potomne wieki, wtedy dopiero poznamy, dokąd pędzimy, gdy już na nic nam się nie przyda wiadomość o niechybnej zagładzie <sup>4)</sup>.

Kończy marszałek żegnaniem Izby w tém smętnym i rozpaczliwym przecuciu, że przeżyje podobnie ojczyznę, jak przeżył godność marszałka. „Zegnam, woła, te ściany poselskie, a bodaj nie w ścianach same kamienie, ze ścian wielkim głosem wołające na tak niedyskretny ku własnej ojczyźnie swojej proceder, nienagrodzone koszta, fatyg i utraty zdrowia naszego żalące się, bo też boleść taka nawet skały mogłaby poruszyć.”

<sup>1)</sup> „*Appello futurorum saeculorum tristem memoriam.*”

<sup>2)</sup> „*Quid juvat errores, mersa jam puppe fateri!*”

<sup>3)</sup> „*Ultima jam venit fatis urgentibus aetas.*” Nie przytaczamy wtrąconych do niniejszej mowy pojedynczych wyrazów łacińskich, tylko całe frazesy, zwłaszcza, że niektórych, jak powyższy, niepodobna przełożyć dosłownie.

<sup>4)</sup> *Tunc sciemus, quo ruimus, cum iam nihil proderit, nos scire ruinas.* Trzymam się tekstu podanego w *Tece Podolskiego*, a różniącego się znacznie od *Swady Ostrowskiego*, *Danejkwicza*.

## II.

Bez ważnych wypadków przeszły Ossolińskiemu ostatnie lata panowania Augusta II, które przeżył spokojnie wśród obowiązków swego urzędu, w żałobie po stracie żony († 1729), Katarzyny Miączyński. Daremnie pragnęliśmy odszukać go między stronnictwami, które się wtedy tworzyły w łonie Rzeczypospolitej. Nie należał on ani do tych co przyrzekali królowi uroczyste forytować na następcę jego syna, Fryderyka Augusta, ani do tych, co walką o wakanse rozrywali kraj, tamowali sejmowe obrady; ani do tych, co dla dopięcia stronnicych celów gotowi byli sprowadzić na kraj obce wojska i już przeciw królewskiemu „despotyzmowi” wzywali sąsiadów.

Posłowie jednego z mocarstw, w których relacjach, a co większa rachunkach, posiadamy niemilosierne zwierciadło odbijające jaskrawo rysy ówczesnych magnatów polskich, milczą o podskarbin upoczywie. Jest w tém milczeniu coś, co mu przynosi chlubę: wiedzieli, że napróżno staraliby się ująć go pieniędzmi czy zaszczytami, bo pierwszymi pogardzał, nie dbał o drugie: wiedzieli, że jedyną normą jego postępowania będzie dobro kraju. Ale mimowoli nasuwa się tu inna jeszcze myśl: posłowie nie rozpisują się o nim dlatego, że się go nie obawiają, że uważają go za naturę szlachetną, lecz bierną, nieco ociężałą; niezdolną do energicznego działania, do wzięcia inicjatywy dla wyswobodzenia ojczyzny od postronnych wpływów, choć tego całą duszą pragnął.

W istocie zbyt mało miał on tej politycznej ambicji, która bywa nieraz matką wielkich czynów, lubo naodwrot nieraz całe kraje wtrąca w przepaść upadku; nie miał wcale tego twórczego geniuszu, który wśród powszechnego zamętu wydobywa z siebie ukryte wprzód siły i talenta, skupia rozproszonych, zagrzewa do czynu niechętnych, wlewa otuchę w zwątpiałych, z żywiołów sprzecznych i niesfornych tworzy jednolitą falangę i prowadzi ją do zwycięstwa. Rzadkie te zalety wyjątkowych ludzi, których nie często zsyła Opatrzność dla szczęścia narodów, nie były udziałem podskarbiego; niedaleka przyszłość miała jednak okazać, że mylili się ci, co wnosząc z jego dotychczasowego biernego zachowania się, posądzali go o brak odwagi cywilnej, co widząc, że się nie pcha naprzód, nie dąży do wpływów i władzy nawet w tak dogodnej ku temu porze, jak w bezkrólewii; mniemali już, że dla miłego spokoju odtrąciłby tę władzę nawet wówczas, gdyby mu ją same wypadki do rąk podały. I to go właśnie w naszych oczach stawia wysoce, że się trzymał na uboczu wtedy, gdy przyszłość widniała w kolorach tęczy, gdy spokojna teraźniejszość najpiękniejsze zapowiadała widoki, a nie zawahał się wystąpić naprzód i ująć steru w chwili, gdy cały widnokrąg pokrył się gęstymi chmurami, dokoła biły pioruny, a z przerażeniem padali na twarz ci, co niedawno narzucali się na ojców i zbawców ojczyzny.

W porze gdy cały naród, odetchnąwszy pełną piersią po zgonie Sasa, zapragnął ujrzyć na tronie popularnego teścia Ludwika XV, a tylko nieuczynne wyjątki, kuszone wybujałą ambycją zajrzały mu korony; podskarbi oczywiście podzielał gorąco uczucia ogółu. Powszechna zaś miłość okazywana Leszczyńskiemu, tém milsze budziła w nim uczucia, że ożeniwszy się przed rokami z Katarzyną Jabłonowską, córką wuja królewskiego, wojewody ruskiego, połączył się ze Stanisławem węzłami dość blizkiego powinowactwa. To też dla ziszczenia ulubionej myśli, pracował jak się zdaje od początku bezkrólewia, wierny jednak swój zasadzie „uszanowania dla prawa,” zawsze w granicach legalnych; co niezupełnie powiedzieć można o prymasie, Teodorze Potockim, który zbyt wielką gorliwością psuł niekiedy sprawę i sam mimowoli podawał broń nieprzyjaciółom. Podskarbi czuł potrzebę większej oględności w działaniu, lubo i on nie należał do umysłów bardzo chłodnych i dyplomatyzujących, co widać z jego głosu na sejmie koronacyjnym. W mowie tej zdając sprawę z sumy 600,000 złp. i zwracając uwagę stanów na olbrzymie wydatki bieżące, oraz na smutny stan skarbu, będącym naturalnym skutkiem trzech niedoszłych sejmów; domaga się zaprowadzenia w nim reform, których przedłożenie wskazuje, jak głęboko we wszystkich gałęziach administracji kraju sięgała władza królewskich kreatorów; żali się gorzko, że za rządów Augusta II, mieszały się do spraw skarbowych „saskiej kamery subiekta,” i żąda „aby na komorach nie cudzoziemskie osoby, ale polska szlachta była” <sup>1)</sup>. O złych skutkach umieszczania przybyszów na tych urządach, wspomina później Ossoliński w manifeste z dnia 17 grudnia tegoż roku mówiąc: „nadto przez takową do skarbu despotyczną ręką cudzoziemskich intruzów, handle wszystkie, któremi *reflorescunt regna*, manifeste upadać będą — *starym już nawożeniem dobrze w tém wyćwiczonych cudzoziemskich industrii*, którzy wprowadzając absolutnie towary, skarbu Rzplitej *in solutione* ceł znać nigdy nie chcieli, przez co najgłówniejsze komory pograniczne, a osobliwie warszawskie, upadać poczęły i upadły” <sup>2)</sup>. Z powyższych słów wnosić możemy, że podskarbi koronny miał nie jeden zatarg z „saskimi subiektami” choć rzecz jasna, że echo tych walk niedoszło do publiczności, bo niewypadało urzędnikowi w burzliwej epoce rozgłaszaniem podobnych zajść, dolewać oliwy do ognia, przyczyniając się do powiększenia ogólnego rozstroju i zamętu.

<sup>1)</sup> Sesja z dnia 23 maja roku 1733. Rękopis Zakładu Ossolińskich, nr. 302, str. 306.

<sup>2)</sup> Jest to manifest, wydany przez Ossolińskiego w Gdańsku 27 grudnia 1733 roku, z powodu uniwersału generała saskiego, księcia Weisencfels z dnia 20 listopada, w którym tenże „oficyalistom skarbowym każe przed sobą z rachunkami pod surową karą stawać,” i nikomu innemu bez swój wiedzy i pozwolenia nie wypłacać z dochodów królewskich i Rzeczypospolitej. „Cudzoziemcowi—czytamy w tym manifeste—w cudzém państwie, generałowi, quid tituli aut juris est do rządzenia i rozkazywania? Jeżeli wojsko sas-

Zarówno w tych przemówieniach i odezwach Ossolińskiego, jak w mowach i pismach wielu innych osób z tamtej epoki, przebiega pewien rys, tkłomaczący nam nadzwyczajną skłonność całego narodu do Leszczyńskiego, niemniej ów gorączkowy zapał, z jakim starano się wykluczyć od kandydatury cudzoziemców. Z różnorodnych, mniej lub więcej wyraźnych objawów, występuje niezaprzeczenie jako wspólne ogółowi uczucie: nienawiść ku Niemcom. Nienawiść ta, gorzki owoc długoletnich smutnych doświadczeń za rządów ostatniego króla, znajduje swój wyraz w słynnym manifestie Adama Tarły, w którym marszałek konfederacji dzikowskiej, źródło ostatniego zatargu między Polską a Rosyją, widzi w niemieckim ministerjum cesarzowej i niedwuznacznie daje do poznania, że gdyby się pozbyła tych fałszywych doradców, nietrudnym byłoby porozumienie między sąsiednimi państwami.

Jakkolwiek patriotyzm podskarbiego wielkiego koronnego miał dość powodów do popierania kandydatury króla Stanisława: trudno przecież nie uznać, że wśród owych pobudek, niemałą rolę odgrywała nienawiść ku Niemcom. Uczucie to, nieszlachetne samo przez się, o tyle tu w lepszym występuje świetle, że nie było wynikiem osobistych uraz i zawodów, ale raczej tych krzywd i klęsk, tego moralnego upadku i upodlenia charakterów, jakie się stały udziałem narodu polskiego w ciągu trzydziestokilkoletniego panowania króla Niemca.

„Polska—pisze on w dwa lata później do sławnego następnie Piłarskiego, księdza Stanisława Konarskiego—tak się zapaskudziła pychą, fałszami, nieszczerością, przez tak długie przeszłego pana rządy, gdzie przez cały czas Niemcy utrzymywali między nami dyfidencją, że gdyby się to (strzeż Boże) odmienić nie miało, życieby się każdemu poczciwemu w takim stanie sprzykrzyło”<sup>1)</sup>.

Nie dziwnego, że wszelkich starań dokładał, aby się stosunki „odmieniły,” że z całego serca pracował, przygotowując grunt Leszczyńskiemu, którego prawość i gołębia czystość miały naprawić to, co zepsuł cyniczny i rozwiązły Sas. Wprawdzie nieposiadamy prawie wcale śladów działalności jego w tym kierunku, i może już uczulibyśmy się skorymi do posądzenia go o apatyę i bezczynność, gdyby mu lepszego w tej mierze świadectwa nie wystawili niepodejrzani zgoła świad-

kie po nieprzyjacielsku weszło, może kraj niszczyć, ludzi ciemnić, omnia quaeque capere et rapienda extorquere, ale choć wglądać in arcana status et arcas Reipublicae, zrzędną to nazbyt ciekawość jest et ultra objectum armorum... Sami królowie wolno i zgodnie wybrani i na tronie osadzeni, nie mogą na to następować, co jest juris Reipublicae, i co bez decyzyi stanów etiam tangere delicatum. Tu zaś Naj. Elkt. Jmci generałowie bez żadnego na prawa i wolność względu, nagle i gwałtownie pergunt ad perdendum Reipublicam.” Rękop. Zakł. Ossol., nr. 302, str. 510—513.

<sup>1)</sup> Kopia listu Ossolińskiego do Konarskiego 25 nowembra 1735 (cyfra) w rękopiśmie Biblioteki Jagiellońskiej, nr. 101, tom IV, rękopismów po Piotrze Małachowskim woj. krak., tom VI.

kwie, bo jawni przeciwnicy, gorliwi słudzy tego, przeciw komu wytrwale walczył, saski minister hr. Wackerbarth i generał jazdy Baudissin, którzy jeszcze w roku 1733, w kilka dni po koronacji Fryderyka Augusta, na użytek swego pana podają charakterystykę wszystkich jego stronników, a na końcu obszernego memoriału, jako walny powód niepopularności saskiej dynastyi w Polsce wymieniwszy ignorowanie szlachty przez Augusta II, dodają: „ułatwiło to grę Stanisławowczykowi, mianowicie prymasowi Czartoryskiemu, Poniatowskiemu, Ossolińskiemu i innym, gdyż mogli działać jak im się podobało.”<sup>1)</sup>

Ustęp ten z relacyi saskich agentów, którzy obserwowali rzeczy z bliska, a wtajemniczeni w akcyą i intrygi stronnictw, doskonale znali położenie, może nam zastąpić brak innych wskazówek historycznych; o gorliwości zaś podskarbiego w sprawie osadzenia Stanisława na tronie świadczy nierównie wymowniej, aniżeli by to uczynić zdołały jego własne gołosłowne zapewnienia, lub panegiryczne opisy pochlebców, bo stawienie pod tym względem Ossolińskiego w jednym rządzie z Teodorem Potockim i z *Faniłą*, którzy niebo i ziemię poruszali, aby przeprowadzić wybór Leszczyńskiego, mówi więcej, i ze względu na osoby autorów bardziej przekonywająco, niż najgorętsze pochwały, wychodzące z innej strony.

Już zatem działalność podskarbiego przed clekcyą nie ustępowała zabiegom najpierwszych w owęj porze stronników teścia francuzkiego monarchy, a później jego zapał i poświęcenie wzrastały w miarę ubywających zwolenników i zwiększających się niebezpieczeństw. Od chwili, gdy elekt przybywszy tajemnie z Francyi, po raz pierwszy ukazał się publicznie spragnionym jego widoku tłumom ludu (10 września w kościele świętego Krzyża), odtąd Ossoliński, który mu tam towarzyszył wraz z marszałkiem wielk. koronnym Muischem, stał się prawie nieodstępny towarzyszem nieszczęśliwego króla, z krótką, mimowolną przerwą, stał zawsze pod jego sztandarem i dochował mu wierności aż do zgonu. Gdy wojska obce zagroziły Warszawie; podskarbi wraz z Leszczyńskim wyruszył do Gdańska, wytrzymał tam z innymi uciążliwe oblężenie, po szczęśliwej ucieczce króla i kapitulacyi miasta, wpadł w ręce zwycięzcy, a tém bezwzględniej był traktowany, że nie chciał wyznać, gdzie jako stróż klejnotów koronnych, ukrył korony i inne przybory potrzebne do koronacyjnego obrzędu, jak złote jabłka, miecz i berło. Drogocenne te przedmioty znajdowały się w bezpiecznym ukryciu, dopóki dochowana była tajemnica ich schronienia, ale byłyby niezwłocznie przeszły w ręce saskie, skoroby się wydała; były bowiem w Warszawie, zamurowane w grobie kościoła księży misyonarzy, gdzie przeleżały nienaruszone przez półtrzecia roku. Usiłowano wymódcz na

<sup>1)</sup> Rzeczony memoriał, znajdujący się w archiwum drezdeńskim, użytkowałem w artykule p. t.: *Saskie stronnictwo w Polsce r. 1733.* (*Niwa*, rok 1877, tom I).

Ossolińskim wyznanie prośbami i groźbami: ale nie należał on do ludzi, którychby można było ująć obietnicą, lub zastraszyć groźbą.

Trzymanego pod strażą w odległym o milę od Gdańska obozie w Pruszczu, odstawiono go 25 lipca do Gdańska, gdzie mu groziły bolesne przejścia. Było to już po przybyciu do Oliwy Fryderyka Augusta, któremu jeńcy mieli składać hołd, rzekomo dobrowolny. Feldmarszałek Münnich, przed niewielu laty zajmował był w Warszawie stanowisko nader podrzędne i skromne. Ze wszystkich jego ofiar najcięższe próby przechodził podskarbi, z którym feldmarszałek w dniu tym osobno się „zamknął” aby z nim mówić „o wyprowadzonych z Krakowa koronach.” W jakich terminach prowadził rozmowę znany ze swój brutalności żołnierz, niewiadomo, bo scena ta odbywała się bez świadków, a Ossoliński nigdy jej nie opisał... Tyle tylko wiadomo, że rozgniewany uporem jeńca Münnich, krzyknął na straż: „weźnijcie go, zaprowadźcie go!” że Ossoliński odprowadzony „pod muszkietami” ponownie do Pruszcza, pod wrażeniem zapewne doznanego upokorzenia, osądził za korzystne dla siebie i dla sprawy udać, że stosując się do twardej konieczności, uznaje elektora królem. Jakoż nazajutrz, ulegając wyraźnemu gwałtowi, po daremnych protestach, w odpowiedzi na które grożono Königsteinem i „tysiącznemi innymi rzeczami,” złożył z innymi przysięgę poddańczą. „Byliśmy—mówi—zaprowadzeni do tego juramentu jak trzoda bydła, *in facie* urągających się cudzoziemców.”<sup>1)</sup>

Mimo wymuszoną przysięgę, trzymany jeszcze przez pewien czas pod strażą, zdołał wreszcie odzyskać wolność, chociaż nie wydał tajemnicy, co zawdzięczał głównie życzliwym staraniom podskarbiego nadwornego koronnego (Moszyńskiego Jana)<sup>2)</sup>.

Złożywszy Sasowi „submisją” i przysięgę, nie z własnej woli, ale jedynie w skutek przymusu, co wypowiada jeszcze jako więzień w liście do Ludwika XV<sup>3)</sup>, poczytywał ją Ossoliński za nieważną,

1) Rękopis Zakładu Ossolińskich, nr. 302, fol. 16; szczegółowy opis sceny w Oliwie podany w *Ojcu Stanisława Augusta*.

2) W liście do „konfidenta z dnia 14 sierpnia, pisany widocznie pod groźbą przymusu, pisze Ossoliński: „JPan podskarbi nadworny wiele mi tu dopomógł do eliberacyi mojej z tego tu aresztu, w którymśmy wszyscy zostawali. Cła nadworne i Ekonomią Sandomierską jużem oddał w dyspozycyę z woli JKMei tegoż JPana Podskarbiego nadwornego kor.; ale wzajem Jmó oddał je znowu ad fideles manus tychże Ichmó PP. Administratorów, którzy odemnie poosadzani, aż do zupełnego—da Bóg—całej Rzeczypospolitej uspokojenia. Jednakże kiedy tam rotmistrze przyjadą do odebrania Ekonomii, jako są naznaczeni JPan Grabowski chorąży warszawski, Mr de Bülau, lubo to tak prętko być nie może, chyba za przyjazdem Króla Jmci do Warszawy—trzeba o tém wczesnie pomyślcć, z Jmó P. Moszyńskim, pisarzem Sandomirskim, rozmówić się, jakoby moje z tychże Ekonomii salwować woły, stada i inwentarze—a Ekonomią żeby tylko oddać, jako mi jest puszczona.”

3) Brulion tego wymownego listu w rękopiśmie Zakładu Ossolińskich,

jako sprzeciwiającą się wręcz dawniejszj, dobrowolnój przysiędze, i ztąd nie uważał się wcale za skrepowanego nią; sądził owszem, że wolno mu, a nawet z obowiązku sumienia wypada skorzystać z pierwszj dogodnój okazji, ażeby powrócić do króla prawowitego. Jakoż spełnił ten zamiar, nie prędzj jednak jak w jesieni, gdyż jakkolwiek zostający na wolnój stopie, ciągle jednak czuł nad sobą baczne oko nieproszonych stróżów, których czujność należało wprzód uspić. Szczęśliwy powrót jego i kilku innych wiernych sług, wielką radością i otuchą napełnił serce biednego Leszczyńskiego.

„Niemają był w tém awantaz króla Stanisława — pisze współczesnik — iż Ossoliński, także Czapski, pomorski i Morsztyn, inflancki wojewodowie, którzy to trzej panowie już się submitowali byli królowi Augustowi, nad wszelkie ludzkie mniemanie w miesiącu nowembrze do Królewca przybyli i przy Stanisławie, jako przy swoim prawdziwym i naprzód obranym królu, szczerze odstawać deklarowali się”<sup>1)</sup>.

W przeciwnym obozie spostrzeżono uciczkę podskarbiego niedość wczesnie, aby jęj przeszkodzić, dość rychło jednak, aby więszą część zapasów i kosztowności, które wyprawił do rezydencyi swego pana przejąc i zagrabić; zawieziono je najprzód do Brunsberga, następnie zaś do Warszawy<sup>2)</sup>. Ale z miłości ku królowi Stanisławowi, dodaje wspomniane powyżj źródło, nic on o to nie dbał, lecz owszem bardzo surowy manifest nakształt listu publikował, w którym przyczyny swojój od-

---

nr. 308, (str. 56—57) noszącym napis: *Ex libris F. M. ducis de Tenczyn Ossoliński*. Tom II różnych papierów i t. d., tu w Lunevillu zebrany i zintroligowany d. 1 Martii 1741 a. W piśmie tém mówi o listach swoich, życzliwych dla sprawy Augusta III, że mu je „podyktowano i gwałtem pisać kazano.”

1) *Historja życia Najjaśniejszego Stanisława I* (r. 1744) str. 499.

2) Z powodu tego wypadku, pani Katarzyna z Jabłonowskich Ossolińska, z własnego widocznie natchnienia, napisała list do Carowej Anny, datowany z Prus d. 7 grudnia 1734 r., który, jak się zdaje z woli męża, nie został wysłany na miejsce przeznaczenia, bo się znajduje w oryginalu, w rękopisie Zakładu Ossolińskich, nr. 307 k. 276—277. Oto jego brzmienie: „Je n'entre pas dans les raisons, ni dans la justification de la résolution prise par mon mari, toujours fidel serviteur de Votre Majesté Imperiale et de ses Serenissimes prédecesseurs, car étant engagé sous serment à un ministère, lequel dans la République partagée ne peut avoir aucune sureté, et luy peut attirer une infinité des envieux (par rapport d'une confusion infinie des revenues publiques) et le mettre mal en crédit auprès de toute la république, il a été obligé par des raisons d'état, suivant l'exemple de ses antécésseurs dans les pareilles conjoinctures pratiquées, de chercher dans le pays ètrangers sa tranquillité: ayant ailleurs tous ses biens ruinés par cette facheuse et jamais attendue guorre civile; ainsi, le sachant de coeur et d'âme intentioné d'observer les ordres de Votre Majesté Impériale, qui s'accordent avec les interêtes de sa Patrie, j'ose très-humblement en mon particulier demander pour luy et pour

mienności badzo jaśnie remonstrował i względem uczynionój królowi Augustowi w Oliwie przymusowój submisyi wiele przynawiał <sup>1)</sup>).

W manifeście tym, ogłoszonym w imieniu własném i towarzyszków, opowiedziawszy gwałty i bezprawia, jakie się działy w Gdańsku i w Oliwie, mówi: „A zatem znalazłszy sposób z osobliwój Opatrzności Boskiej z tój się salwować przepaści et amissam sentiendi rekuperowawszy facultatem, manifestujemy się naprzód przed samym Panem Bogiem, skrutatorem serc naszych, żeśmy nigdy voluntarium assensum do tego nie przykładali, do czego nas przymuszono; manifestujemy się przed miłą ojczyzną naszą, żeśmy się e gremio nieprzyjaciół nie in-szym końcem wydobyli, tylko, abyśmy ją do ostatniego tchu i życia naszego bronili. Manifestujemy się naostatek przed całym światem: że za nic sobie fortuny nasze, decora przodków naszych i same życia mając, to wszystko postradać gotowiśmy, które nam zawzięta nieprzyjacielska potencya wydrzcć może, ale do odstąpienia wiary Bogu, wierności Rzeczypospolitej, utrzymania sprawiedliwości, żadna nas nie przełamie potencya i że Boskiej mocno ufając, ludzkiej się nie boimy <sup>2)</sup>.”

Akt ten, tchnący głęboką wiarą i silném przekonaniem, przedstawiający rzeczy w jaskrawém, lecz prawdziwém świetle, tém większe musiał sprawić wrażenie, że wyszedł zpod pióra człowieka, szanowanego powszechnie dla swój nieposzlakowanój prawości charakteru. Znaczenie i doniosłość jego rosły jeszcze ze względu na budzące się w kraju usposobienie. Zdawało się, że naród, znoszący z początku apatycznie najazd obcych wojsk, oburzony wreszcie nieznośną i upokarzającą gospodarką zuchwałych cudzoziemców, powstanie jak jeden mąż i otrząśnie z siebie sromotne jarzmo saskie. Za niepłonna zapowiedź tego czynu, który byłby godnym wielkiego bądźcobądź, choć rozprzężonego anarchią państwa, posłużyć mogło zawiązanie w tym czasie (5 listopada) w nadwiślańskim Dzikowie konfederacyi, pod laską młodego, lecz gorącego stronnika Leszczyńskiego, Adama Tarty, starosty jasielskiego. Pojawienie się tedy manifestu Ossolińskiego, uderzającego z siłą i prawdą w najdelikatniejsze uczucia narodu, wskazującego mu z ogniem na hańbę obecnego jego położenia w chwili, gdy już nad Wisłą odezwała się pobudka, a w różnych stronach kraju odpowiedział

moi la clémence naturelle de V. M. J. etc. afin que nous puissions ravoir nos *hardes*, qui nous ont été prises et sequestrées par Skr..... Comendant d'Elbing et Colonel des Armes de V. M. J. au château de Brunsberg, dans l'évêché de Varmie, ou elles ont été depuis quelque temps en dépôt. Nous ne nous sentons pas coupables, et surtout mon mari, d'autre crime, si non que servant bien la patrie, soutenant les lois et étant fidel aux engagements de sa conscience, il a choisi ici sa résidence avec moi, jusqu'à ce que la République soit tranquillisée et entièrement rétablie dans l'union.”

<sup>1)</sup> *Historja życia Najjaś. Stanisława*, str. 500 — 501.

<sup>2)</sup> Kopia manifestu w rękop. nr. 308, str. 5 i nast.



jój szcęk oręza, podziałało niezawodnie na ogół jak iskra elektryczna, nawet w zwątpiałych i wahających się wlewając wiarę i nadzieję.

Ztądto w przeciwnym obozie uznano nagłą potrzebę osłabienia doniosłości manifestu, przedewszystkiem zaś zdyskredytowania osoby autora, aby odjąć wiarę jego słowom. Dla dopięcia tego celu potrzeba było niezwykle bystrego umysłu, wytrawnego i giętkiego pióra, a któż je z pomiędzy stronników Augusta posiadał w wyższym stopniu od pana wojewody mazowieckiego, Stanisława Poniatowskiego? Wprawdzie był on świeżo nawróconym na saską stronę, ale toż właśnie jeden tytuł więcej, aby złożyć dowody takiej gorliwości dla nowego pana, na jaką by się nie zdobyli dawni jego stronnicy. Jakoż trudno było posunąć dalej gorliwość, zrećniej się wywiązać z niełatwego do prawdy zadania; ztąd nawet dość obiektywny pisarz współczesny powiada, że wojewoda przywiedzione przez podskarbiego „przyczyny i obwinienia tak mocno refutował, iż trudno osądzić, przy którego stronie prawda została <sup>1)</sup>.”

Trudność rozstrzygnięcia sporu polega przedewszystkiem na niezaprzeczonej wyższości talentu Poniatowskiego, niewątpliwie najznakomitszego człowieka w pierwszej połowie XVIII wieku w Polsce. Lubo pod względem charakteru daleko mu do Ossolińskiego, przewyższa go nieskończenie mistrzostwem argumentowania, umiejętnością grupowania rzeczy i faktów, stosownie do zamierzonego celu, olśniewającą sofisteryą i wreszcie tą bystrością doświadczonego w politycznych sprawach wzroku, która go nie zawodziła. Doskonałością przedstawienia pokrywa on istotne fałsze, jakich się dopuszcza, broniąc saskiej partyi od krzyczących bezprawi, dla przeciwstawienia im małych stosunkowo nadużyć Stanisławowczyków, podnosząc drugie do zbyt wielkich rozmiarów, a co najgorsza, usiłując rzucić cień na czystą postać zacnego podskarbiego, niezawodnie wbrew własnemu przekonaniu, a jedynie w celu dogodzenia interesowi stronnictwa. Ktokolwiek zna współczesne stosunki, a nie da się ułudzić najrećniej ułożonym pozorom, temu w wymienionych kwestyach wypadnie się oświadczyć stanowczo przeciw wojewodzie mazowieckiemu, niemniej natomiast stanowczo przyznać mu słuszność w ocenieniu sytuacji politycznej. Genialny mąż stanu, wyborny znawca ówczesnych rządów europejskich i wzajemnego ich do siebie stosunku, jakim był ojciec Stanisława Augusta, z przebiegu dotychczasowych zdarzeń wyniósł tę smutną pewność, która w wypadkach bliższej przyszłości miała znaleźć, niestety, aż nazbyt silne potwierdzenie, że ani sam w apatyi pogrążony naród nie posiada dość żywotności, ani Francya nie zechce narażać swych sił dla utrzymania teścia swego króla na legalnie pozyskanym tronie.

<sup>1)</sup> Polemika ta, rozpowszechniona w licznych odpisach, dostała się nawet do zbioru traktatów Rousseta. Odpowiedź Poniatowskiego, a obok niej odpowiedź Ossolińskiego na tę odpowiedź, opatrzona jego własnoręcznymi poprawkami, znajduje się w rękopisie Ossolińskich, nr. 308, karta 15—24 i 25—34.

Ossoliński, czy optymistyczniej zapatrując się na świat, nie zwątpił ani o ziomkach, ani o nadsekwańskim sprzymierzeńcu, czy też uważał za rzecz honoru, aby naród nie poddał karku pod ciężkie jarzmo, dopóki mu jeszcze pozostały jakiekolwiek środki obrony, jakiekolwiek widoki powodzenia; i dlatego podtrzymywał w innych nadzieję.

Nadzieja zawiodła, lecz czyż potępić mamy tego, co grzeszył jedynie zbyt pochlebnym sądem o ziomkach? co w szlachetnym złudzeniu chciał się w nich dopukać poczucia narodowej godności i wyrwać ze strasznej apatyj!

Społeczność polska nie była wtedy tak wyczerpana i bezsilna, aby jej mógł zaszkodzić ubytek krwi, wylanéj w obronie ojczystych larów i penatów; chorowała owszem na tę straszną słabość obojętności i ociężałości, z której mogły ją wyleczyć tylko silne wstrząśnienia, a nie nowy sen, do którego ją kołysali sascy piastunowie.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

## NIRWANA

### W O B E C M E T A F I Z Y K I,

czyli ocena podstaw metafizycznych filozofii wyzwolenia w związku z systematami filozoficznymi Schopenhauera i Hartmanna \*).

PRZEZ

*Seweryna Smolikowskiego.*

§ 6. Nowy rodzaj dualizmu filozoficznego.—Bóg-rozum w walce z Bogiem-wolą.—Rozszczepienie w łonie absolutu.—Dwie fazy istnienia: doba jedności i doba wielości.

Łatwém jest nadać pozorną konsekwencyą swoim systematom filozoficznym, w miarę potrzeby zmieniając lub naciągając pewne pojęcia, a inne usuwając z zakresu badań. Dochodzi się wtedy do jednolitej, dla oka przynajmniej, budowy, do pozornej całości architektonicznej. Ale trwałość systematów filozoficznych, podobnie jak każdej budowy, nie tyle zależy od zgodności ozdób i szczegółów pomiędzy sobą, ile od trwałości jej podstaw zasadniczych <sup>1)</sup>.

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. b.

<sup>1)</sup> Porównaj pracy naszej, część III, str. 62.

Za taką podstawę niewzruszoną wszelkiej filozofii, sami nawet współcześni nam pesymiści uznali w zasadzie, jak widzieliśmy <sup>1)</sup>, pojęcie absolutu. Tymczasem styl wznieść się mającej budowy, duch jej, wymagał widocznie zaparcia się tych zasadniczych podstaw architektoniki. Zdaje się też, jakoby nowsi mistrze tej sztuki w zakresie filozofii nie mogli inaczej przedstawić całej grozy nowego stylu, jak budując na zbyt małej lub chwiejnej podstawie, albo też usuwając z silnych w założeniu fundamentów główne kamienie, a przez to czyniąc swoje gmachy rzeczywiście groźnymi i to zarówno dla przyszłych ich mieszkańców, jak i nowozacieżnych robotników.

To też i pojęcie *wyłączności, jednolitości absolutu* <sup>2)</sup>, staje się jedynym tylko stadiem w dziejach myśli filozofów pesymistów. Podobnie jak w głoszeniu *wieczności*, tak i w pojęciu *jednolitego*, systemata ich przepoławiają się, absolut z cechą wyłączności i jednolitości gości w nich wprawdzie, ale gości dopóty tylko, dopóki systemata te goszczą w abstrakcyi, dopóki twórcy ich krążą jedynie w transcendentálnych sferach filozofii swojej. Jak tylko jednak schodzą oni z tych wyżyn oderwanych na pole zastosowawcze, jak tylko głoszą światu *nirwanę* i wymagają w myśl swojej etyki współpracownictwa człowieka z Bogiem, *wyłączność woli* już im nie wystarcza i przybierają do pomocy inną siłę, dotąd lekceważoną przez siebie najzupełniej i na ostatniem umieszczaną stanowisku w ich badaniach filozoficznych. Mówimy tu o *idei*.

To więc co zrazu potępiali, w końcu uznać są zmuszeni, a nieubłagana nemezis logiczna każe im ten drugi, nowy, dotąd wrogi dla nich pierwiastek powołać do życia i wynieść tak wysoko, jak nisko dawniej był szacowany.

Takie wzywianie do pomocy nowych elementów metafizycznych wydaje się nam bardzo naturalnym, gdy zważymy na niewystarczające podstawy filozofii nicości. I nie mogło być inaczej. Dziwić się tylko należy, że to odstępowanie od raz powziętego skrajnego stanowiska—negowania wszystkiego prócz *absolutu woli*, odbywa się u nich tak napozór naturalnie, tak rzec można bezwiednie, a raczej *nieświadomie*, iż sami niekonsekwencyi tej nie widzą i sądzą, że trzymają się i nadal głoszonej przez siebie apoteozy woli, wtedy nawet, gdy całą pewność dojścia do nicości opierają właśnie na *rozumie*, czy to jako *idei* w ogóle <sup>3)</sup>, czy też na rozumie Bożym w szczególności <sup>4)</sup>.

Powiedzieliśmy, że taki obrót rzeczy jest naturalnym wynikiem samej ich doktryny, będącej kołem błędnym bez wyjścia logicznego. I tak pojęcie wszelkiego absolutu, jakkolwiekbyśmy go sobie przedstawiali, z konieczności rzeczy zawsze łączyć się musi z pojęciem *wieczności* i *jednolitości* <sup>5)</sup>, a tęp samym i programat nirwany nie dałby się nigdy

1) Pracy naszej, część III, str. 119—121, 105—110.

2) Pracy naszej, część III, § 5, str. 105—110.

3) Schopenhauer, Hartmann.

4) Mainländer.

5) Pracy naszej, część III, § 2.

logicznie wyprowadzić z wyżyn właściwie pojętego absolutu <sup>1)</sup>. Chcąc bowiem udowodnić możność pogrążenia się wszystkiego w nicosć bezwzględna, potrzebaby temuż absolutowi odmówić wieczności i jednolitości, gdy tymczasem właśnie na przyznaniu cech powyższych istocie bezwzględnej opiera się wszelka filozofia, możność wszelkich dociekań ludzkich <sup>2)</sup>.

Oto koło błędne, w którym z konieczności rzeczy znaleźli się filozofowie-pesymiści; oto położenie bez wyjścia, a raczej w którym jedynym wyjściem logicznym byłoby złożenie broni i uznanie swojej bezsilności. Na taką jednak trzeźwość filozoficzną, na taki heroizm myśli zdobyć się nie tak łatwo. Nieczem niepohamowana chęć udowodnienia tego co zamierzali była dla nich w tém przeszkodą i nic też ich nie powstrzymało od *sztucznych środków* radzenia sobie w tém, rzeczywiście krytycznym położeniu. O takie środki nie trudno, znaleźli też oni sposób wyjścia, ale jak zaraz zobaczymy, sposób czysto mechaniczny, który jednak mając pewne pozory za sobą, może na chwilę wprowadzić w błąd i oszukać nawet samych głosicieli nirwany. I rzeczywiście skoro raz zgodzili się na użycie tego zewnętrznego proceduru, nie pozostało im już innej drogi, jak wprowadzenie *dualizmu* do swojej filozofii, filozofii, która jednak z zasady dążyła do monistycznego na świat poglądu. Jestto wprawdzie nowego rodzaju dualizm, *dualizm ukryty*, gdyż go nie widzą i nie przyznają pesymiści, ale który pomimo to musiał tkwić w osnowie dążeń nirwanowych.

Ślady tego ukrytego dualizmu widzimy: 1) w stawianiu *obok woli* pierwiastku idei, rozumu <sup>3)</sup>; 2) we wprowadzaniu rozsadzającego elementu do łona samegoż absolutu, tworząc przez to antytezę w samym tém pojęciu <sup>4)</sup> i wreszcie 3) w uznaniu bezsilności Boga (?) i domaganiu się od *czasu* i współdziałania *stworzeń*, urzeczywistnienia zamiarów Jego <sup>5)</sup>, to jest pogrążenia się wraz z całym istnieniem w nicosć bezwzględną. Te trzy sposoby radzenia sobie w zachowaniu *pozornej konsekwencji*, są właściwie trzema stopniami *wykroczeń logicznych*, a zarazem trzema stopniami coraz silniej uzewnętrzniającego się dogmatyzmu filozofii pesymistycznej.

I tak *Schopenhauer*, który pierwszy wyniósł na piedestał filozofii niemieckiej pierwiastek woli uznając go za absolut <sup>6)</sup>, pierwszy też po-

<sup>1)</sup> Jak bowiem przepołowić pojęcie wieczności, jak zrównać je z czasowością? A z drugiej strony jakim sposobem rozdzielić pojęcie jednolitego, jakim sposobem logicznie utożsamić jedność z wielością?

<sup>2)</sup> Pracy naszój, część III, § 4 i § 5.

<sup>3)</sup> Schopenhauer.

<sup>4)</sup> Hartmann.

<sup>5)</sup> Mainländer.

<sup>6)</sup> Pracy naszój część III, § 5, str. 105—106.

dał w wątpliwość wyłączność jego, głosząc zaparcie się woli <sup>1)</sup>, a następnie jej usunięcie <sup>2)</sup>, drogą poznania istoty życia i nędz istnienia. Stawiając bowiem nicotę, a ztąd pogardę życia jako cel dla istot rozumnych, *wola ślepej* przeciwstawia on *ideę rozumną*, a tym sposobem powołuje *ideę* do walki z *absolutem* — wola. Pomijamy tę sprzeczność, że umysł, ów *produkt woli, dziecko jej i sługa* zarazem <sup>3)</sup>, ma nam wskazywać inny niż wola do życia, prawdziwy cel istnienia — *nirwanę*; w tej chwili zwrócić tylko pragniemy uwagę na zjawienie się z konieczności rzeczy antytezy w łonie skrajnej *filozofii nicości*, właściwie bowiem *idea* ma tu w końcu zwyciężyć *wolę*. Czémżeż bowiem, jak nie zwycięstwem idei, jest osiągnięcie przez filozofią przekonania, że wola do życia, wola ślepa wprowadza nas w obłąd, że przeciwnie dążyć należy do *nirwany*? Czémżeż, jak nie zwycięstwem idei, jest nawoływanie Schopenhauera do *emancypacji umysłu z pod przemocy woli* <sup>4)</sup>.

Ten dualizm, ta antyteza były nieuniknione i w filozofii *Hartmanna* i tu *wola* musiała zetknąć się z *ideą*, a ta ostatnia zwyciężyła, choćby na chwilę, a w każdym razie na tém zwyciężstwie polega możliwość osiągnięcia nicości, stawianej za cel całemu istnieniu <sup>5)</sup>.

Hartmann, jak widzieliśmy <sup>6)</sup>, wiele mówi o *jednolitości* swojej substancji metafizycznej (*das Unbewusste*) <sup>7)</sup>, a jednak i on zmuszonym jest wprowadzić pewien rozkład do wnętrza tej *jedni powszechnej* <sup>8)</sup>. Chcąc bowiem usprawiedliwić i wyjaśnić możliwość *nirwany*, nie miał na to innego sposobu, jak podkopanie swego *monizmu*. I w jego więc systemacie z konieczności rzeczy zjawia się odcień *dualizmu*, a jeśli Hartmann różni się w czém pod tym względem od Schopenhauera, to jedynie w sposobie przeprowadzenia tej antytezy. Gdy bowiem u Schopenhauera dualizm ten jest rzeczywiście ukrytym i staje się widocznym jedynie przy głębszém wnikięciu w całą osnowę jego filozofii;

1) *Verneinung des Willens*, jako przeciwstawienie do zatwierdzenia, poparcia woli: *Bejahung des Willens*.

2) *Aufhebung des Willens*. Porównaj także pracy naszej część III, str. 127.

3) Pracy naszej część II, str. 54; część III, str. 89.

4) Tak nazywa Schopenhauer chwilę dojścia do świadomości celu — akt, osiągnięcie którego ułatwić ma jego filozofia.

I wedle Hartmanna świadomość osiągamy jedynie przez zwolnienie się umysłu z więzów woli, czyli przez emancypację umysłu od woli. *Das Bewusstsein*, powiada Hartmann, *ist die Möglichkeit der Emancipation des Intellectes vom Willen*. *Philosophie des Unbewussten*, t. II, str. 10.

5) Porównaj tego rozdziału § 8.

6) Porównaj pracy naszej część III, § 5, str. 107—110.

7) Hartmann: *Philosophie des Unbewussten*, C. *Metaphysik des Unb.*, R. VII. *Die All-Einheit des Unb.*

8) *Das All-Eine, das All-Einige Unbewusste*.

to przeciwnie u Hartmanna uderza on odrazu, a to w skutek tego, że chcąc dopełnić niedostateczność metafizyki swego poprzednika, Hartmann z umysłu wprowadza *rozszerzenie* <sup>1)</sup> do łona *samego* absolutu. Sądził on, że tym sposobem ujmie wrogie sobie żywioły świata (*wolę* i *ideę*) w jedno centrum metafizyczne i że przez to właśnie uniknie zarówno dualizmu jak i przyznawania wyłączności jednemu z tych żywiołów. Tymczasem, jak niżej zobaczymy, rozdarł on tylko głoszoną przez siebie *jedną* ducha bezwzględного <sup>2)</sup>, stanął w sprzeczności sam z sobą,—a do syntetycznego pojęcia absolutu, t. j. złączenia woli i idei w najwyższej *osobowości* <sup>3)</sup>, wznieść się nie zdołał.

Oto droga jaką Hartmann doszedł do dualizmu, a zarazem do zaprzeczenia samemu sobie:

I tak przedewszystkiēm zwrócił on uwagę, i sprawiedliwie, na niedostateczność filozoficznej osnowy uzewnętrzniającą się zarówno w przyznawaniu za jedyne, wyłączne źródło świata—*Rozumu* (Hegel), jak i *Woli ślepej* (Schopenhauer). Rzeczywiście, w pierwszym przypadku należałoby także i nielogiczność, przejawiającą się czasami w świecie, uważać za wynik rozumu, za wynik logicznego pierwiastku; w drugim znowu przypadku, jak wyjaśnić celowość i trudno nie widzieć ich odbicia w zjawiskach świata? Otóż, mając dowód na swoich poprzednikach, do czego wiedzie skrajne prześciganie się w tego rodzaju antytezach <sup>4)</sup>, t. j. dokąd prowadzi przyznawanie wyłączności i wszechpotęgi jednemu z tych dwu pojęć oderwanych, (*idei* lub *woli*), wynoszenie pojęć tych do znaczenia absolutu; Hartmann łączy je w jedną substancją, w jeden pierwiastek najwyższy <sup>5)</sup> i głosi, że tym sposobem zajął pośrednie sta-

1) *Zwiespalt*.

2) Porów. pracy naszej część III, § 5.

3) Bo to, że sam Hartmann nazywa swego *Nieświadomego: das absolute Individuum oder das Individuum κατ' ἐξ᾽ οὐχί* (*Philosophie des Unb.*, t. II, str. 156) nie dowodzi jeszcze, by ten sztuczny złopek dwu wrogich sobie pierwiastków, miał rzeczywiście cechy indywiduum, osoby (Porów. pracy naszej str. 108, przypisek 3, oraz str. 114, przyp. 4). Przytoczone przez nas słowa Hartmanna dowodzą tylko, jak dalece sam on czuł niedostateczność hypostazowania pojęć oderwanych; szkoda tylko, że usiłował uniknąć błędu tego prostą zamianą nazw. Zmiana zaś w terminologii nie wpływa na zmianę istoty rzeczy.

4) Hegel i Schopenhauer jednocześnie niemal rozwijali dwie wręcz sobie przeciwne zasady bytu: pierwszy wyłączność *idei*, drugi wyłączność objawów *woli* we wszechświecie.

5) *Das Unbewusste*, który nazywa także *Das All-Eine, das All-Einige Unbewusste*, a to dla uwydatnienia jednolitości tej substancji. Porów. pracy naszej część III, § 5. *Philosophie des Unb.* C. Rozdział I i VII.

*In Unbewussten*, powiada Hartmann, *ist Wille und Vorstellung in un-*

nowisko pomiędzy Heglem i Schopenhauerem <sup>1)</sup>. A otrzymawszy taką pozorną syntezę, sądzi, iż unika niedorzeczności obu swoich poprzedników, gdyż, jak sam mówi, uznaje on: „zarówno *logiczność* <sup>2)</sup>, jak i *nie-logiczność* <sup>3)</sup>, t. j. *ideę i popęd* <sup>4)</sup> do jej urzeczywistnienia, *rozum i potęgę*, plan światów i siłę, treść woli i samą wolę, jako dwie *jednakowo niezależne strony* absolutu, z których żadna bez drugiej istniećby nie mogła, a tém mniej jeszcze jedna z drugiej wyniknąć lub przez drugą być stworzoną <sup>5)</sup>.

Doszedłszy jednakże do takiego określenia absolutu, spostrzegł widocznie Hartmann, że tym sposobem nietylko nie zdoła udowodnić możności Nirwany, ale że nawet istnienia świata i jego początku nie wyjaśni. To też nie zastanawiając się bardzo nad sprzecznością, w jaką wpada, wprowadza wnet nowy, rozsadzający pierwiastek do wnętrza swego bóstwa.

„Przyznaję, powiada on, że owa *Jedność* <sup>6)</sup> nie mogłaby wywołać procesu świata, gdyby nie była sama w sobie *rozszczepioną* <sup>7)</sup>, ale pomimo to unikam błędu <sup>8)</sup>, jakim jest wynoszenie na tron wyłączności *jednej ze stron* tej rozdwojonej *Jedni* i wyprowadzanie z niej drugiej strony jako czegoś podrzędnego.”

„Ani idea, ani wyobrażenie (*Vorstellung*), mówi on dalej, nie mogą być substancją; zarówno pierwsza, jak i drugie są jedynie *funkcjami*, które każą się domyślać odpowiadającego im *subjektu* <sup>9)</sup>.”

Tak pojęty ów *subjekt* czyli owa *substancja absolutna* ma być właśnie owym cennym pomysłem Hartmanna, odkryciem owej prawdy jednoczącej w sobie dwie odrębne strony zjawisk świata, a tym sposobem chroniącej od jednostronności Hegla i Schopenhauera.

To też wynalazkiem tym Hartmannu szczyci się niepomiernie. Porównywa mianowicie swoje stanowisko syntetyczne w filozofii do wygo-

*trennbarer Einheit verbunden, es kann nichts gewollt werden, was nicht vorgestellt wird, und nichts vorgestellt werden was nicht gewollt wird* (l. c. tom II, p. 10).

*Dies ist aber die wahre Einheit von Wille und Vorstellung*, mówi on w innym miejscu, *dass der Wille eben nichts als die Verwirklichung seines Inhaltes dass heist der mit ihm verbundenen Vorstellung, will* (l. c. t. II, p. 13).

1) Hartmann: *Neukantianismus, Schopenhauerianismus und Hegelianismus in ihrer Stellung zu den philosophischen Aufgaben der Gegenwart*. Berlin 1877 r., str. 34.

2) *Das Logische.*

3) *Das Unlogische.*

4) *Der Trieb.*

5) Hartmann: *Neukantianismus*, str. 34.

6) *Das All-Eine.*

7) *Zwiespaltig.*

8) Pocięsza się Hartmann, zobaczmy czy pocieszenie to uzasadnione.

9) Hartmann: *Neukantianismus, Schopenhauerianismus und Hegelianis-*

dnego położenia ministra w parlamencie, ministra, który w obec zarzutów, czynionych sobie przez *lewicę* i *prawicę*, umie zbijać jedne drugimi, a przytém uwydatniać dodatnie strony projektu swego, powołując się to na jedną to na drugą ze stron walczących, z których każda w obronie swojej coś dodatniego w projekcie tym wskazać musi, choćby tylko dla odparcia zarzutów przeciwnego sobie obozu <sup>1)</sup>. Jednakże zapomina Hartmann, że analogia taka nie da się ściśle przeprowadzić i że w położeniu takiego ministra a takiego filozofa, wielka zachodzi różnica. Wprawdzie i w jego projekcie filozoficznym są dwie strony, mogące zadowolnić każda jedną partya, ale partye obozu logicznego myślenia nie wyczerpują się Hegelianizmem i Schopenhaueryanizmem.

Trzeci obóz, któryby należał do rozpatrzenia tej jedni, tej syntetycznej strony jego filozofii, nie zadowolniłby się w żaden sposób pozorną jej syntezą, przeciwnie dopatrzyłby w niej raczej sztucznego zestawiania atrybutów osoby, rozrywania tego ostatniego pojęcia na dwie części i trzymania ich w odwodzie, by na każde wezwanie łączyć je znowu w jedną całość.

Powiedzieliśmy, że to *złączenie idei i woli*, a z drugiej strony to *rozerwanie jednolitości* absolutu, spowodowane zostało w filozofii Hartmanna chęcią wytkłomaczenia zjawienia się świata na widownię bytu, oraz wyjaśnienia, z kąd się wzięło złe i dlaczego nicosć pożąda uszą jest od istnienia.

Ani *wola* bezwiedna, ślepa <sup>2)</sup>, ani *idea* oderwana od woli <sup>3)</sup>, same nie mogłyby, zdaniem Hartmanna, przejawić się, uzewnętrznić się; dla realizacyi ich, dla rzeczywistego ich istnienia potrzeba, by wola była oświecona ideą, a idea oparła się na woli. Świat więc wynikł z połączenia się tych *dwu* pierwiastków i dlatego też jest *najlepszym z możliwych* światów. Nie jest on bowiem wynikiem samej tylko ślepej, bezwiednej woli jak u Schopenhauera, ale przeciwnie w zjawiskach jego przebija także i pierwiastek rozumu czyli idei. Ów to wielki Nieznajomy, ów duch bezwiedny, jako rodzaj opatrności, przejawiającej się zarówno w dążeniach nieorganicznej przyrody, jak i w instynktach jestestw organicznych, nadaje im kierunek, prowadzi do celu. To jednak, że świat jest najlepszym z możliwych światów, nie dowodzi jeszcze, by istnienie w ogóle miało być lepszem od nieistnienia, aby wreszcie życie

<sup>1)</sup> Hartmann: *Erleuterung zur Metaphysik des Unbewussten mit besonderer Rücksicht auf den Panlogismus*. Berlin, 1874 r., str. 8.

Toż samo powtarza Hartmann i w *Neukantianismus, Schopenhauerianismus und Hegelianismus*. Berlin, 1877 r., str. 41; do którego to dzieła wcioloną została powyższa broszura.

<sup>2)</sup> Hegel.

<sup>3)</sup> Schopenhauer.



ludzkie godnym było zazdrości. Ponieważ na istnieniu świata złożyły się dwa pierwiastki, t. j. prócz idei także i wola, ztąd obok rozumu, celowości, widać w nim i nielogiczność; *Nieświadome* przejawia się w nim bowiem nietylko pod postacią myśli, ale i prostą, ślepią woli. Wola zaś, ów pierwiastek wszelkiego życia <sup>1)</sup>, owa przyczyna powodująca wszelkie istnienie, jako oderwana od idei, więc ślepa, bez świadomości, *alogiczna*—kładzie też pieczęć swojej nielogiczności i na cały świat. Samo więc istnienie świata, jako wywołane pierwiastkiem nielogicznym, jest także nielogicznym, słowem jest złém. Jeśli zaś, pomimo tego, widzimy w oddzielnych jego przejawach celowość, t. j. rozum, to przyczyna tego leży w tém, że wola nie mogła sama bez pomocy idei, bez treści pewnej, przejawić się w rzeczywistości, słowem zrealizować swojego dążenia, a ztąd musiała zjednoczyć się z ideą, idea zaś raz zeszedłszy na widownię świata, nadała mu swoją cechę, t. j. logiczność, która towarzyszy też wszystkim zjawiskom świata, udzielając im celowości i rozumu. Słowem wola jako przedstawiająca sam fakt istnienia (*das Dass*) jest ślepią, idea znowu, jako przedstawiająca istotę świata (*das Was*) jest celową; pierwsza przedstawia rzecz daną, istniejącą, druga rzecz istnieć mającą; pierwsza warunkuje rzeczywistość, druga—cel.

Jakież więc jest cel świata, dokąd takowy dąży?

Wedle Hartmanna, podobnie jak wedle Schopenhauera i Mainländera celem istnienia jest nieistnienie, nicość—*nirwana*. Świat, *wolę* do istnienia powołany, dąży ustawicznie do uwolnienia się od woli czyli do nicości. Idea ma zwyciężyć wolę, ową wolę *nigdy nienasyconą istnieniem* <sup>2)</sup>, ową wolę, która podstępem podszła ideę, uwiodła ją, a z tego skojarzenia się, z tej pary zrodził się świat <sup>3)</sup>. Idea więc jest niewiastą uwiedzioną, wciągniętą pomimo swój woli w związek małżeński z *Wolę*. Stało się, nowonarodzony, t. j. świat jest dzieckiem błędu, dzieckiem wydanym na świat wbrew woli. Wszakże troskliwa matka kocha to dziecko swoje i cierpi jego cierpieniem, troszczy się o los jego, a celem jej przyjść mu w pomoc, wyrwać z więzów i tortur istnienia, pogrążyć je w nicość bezwzględną—*nirwanę*.

Oto treść dziejów świata z istoty filozofii Nieświadomego poczerpnięta, oto owe szczęśliwe, ministryalne stanowisko Hartmanna w filo-

<sup>1)</sup> Podobnie jak u Schopenhauera.

<sup>2)</sup> „Wir sahen das der Wille unersättlich ist; wie viel er auch habe, er will immer mehr haben, den er ist der Potenz nach unendlich.” (*Phil. des Unbew.* t. II, str. 436).

<sup>3)</sup> „Aus dieser Umarmung der beiden überseienden Principe, des zum Sein entschiedenen Seinkönnenden und des Reinseienden, wird also *das Sein* gezeugt; wie wir schon wissen, hat es vom Vater sein *Dass*, von der Mutter sein *Was* und *Wie*” (*Phil. des Unb.* t. II, str. 436).

I wedle Schopenhauera *umysł* odziedziczamy po matce, *charakter* po ojcu. Więc idea, rozum gra rolę rodzaju żeńskiego we wszechświecie, a filozofia pesymistyczna na czasie się zjawia, w dobie emancypacji kobiet.

zofii niemieckiej. Na inném miejscu wykazemy, jak w snuciu tego metafizycznego prologu świata kładł on bezwiednie zaprzeczenie samemu sobie, zobaczymy mianowicie przy rozbiorze rękopisów, dawanych nam w osiągnięciu nirwany <sup>1)</sup>, jak *celowość* miesza się z *przypadkowością* w systemacie jego <sup>2)</sup>, a ztąd jak trudno liczyć na ów *wypoczynek*, na ów *spokój*, ów wreszcie *sen wieczny bez marzeń* <sup>3)</sup>, a więc i... bez przebudzenia, jaki filozofia Hartmanna zapewnić ma ludzkości. Tu zauważymy tylko, że przyczyną tych sprzeczności, tych niełączności logicznych systemu Hartmanna, jest właśnie pomysł rozszczępienia (*Zwiespalt*) substancji, niby jedyniej (*das All-Eine*), a złożonej z dwu wręcz sobie przeciwnych atrybutów osobowości: *idei* rozumnej i *woli* ślepej. Sądził Hartmann, że owa *dwójca metafizyczna* wyjaśni mu początek świata i zapewni osiągnięcie nirwany, a przytém ocali monistyczny charakter jego filozofii. Tymczasem przeciwnie, w tej pozorniej syntezie, w tej połowicznej substancji przez niego sztucznie zlepionej, mieści się zaród dualizmu, a nawet przeciwieństwa.

Cała bowiem treść istnienia w ogóle a świata w szczególności, ta ciągła walka dwu żywiołów—rozumu i woli; to ustawiczne ścieranie się tych potęg, to budzących się z uspienia, to cofających się na jakies leże metafizyczne poza kulisy świata widzialnego; wszystko to dramat wieczny, bez początku i bez końca, dramat odegrywany przez dwie walczące o lepsze istoty—*ideę* i *wolę*. Przez zetknięcie się tych dwu pierwiastków powstaje świat, dopóki one w walce, świat istnieje, gdy walka ustaje, świat znika i następuje... *pauza* <sup>4)</sup>. Ale za kulisami tej sceny olbrzymiej na której rozgrywa się tragikomedia świata, aktorowie jej

<sup>1)</sup> Część III, § 8.

<sup>2)</sup> Przyczyna tego mieszanania pojęć celowości i przypadkowości leży w tém, że Hartmann *naukowo* usiłował dowiodć jedynie celowości w *świecie*, w jego *zjawiskach*, ale nie uwzględnił celowości *metafizycznej*, nie dobył jej z gotowego już materiału. Przeszkodą do tego było błędne pojęcie absolutu, a głównie nie zwrócenie dostatecznej uwagi na *wieczność istnienia* (Porównaj naszą część III, roz. II, §§ 2 i 5).

<sup>3)</sup> O śnie takim marzyli filozofowie indyjscy, sen taki jest téż ideałem całej szkoły pesymistycznej. Porównaj pracy naszej str. 48.

O ludzkości, doszłej do zgrzybiałego wieku i wyłoczonej z trzech stadij iluzji, powiada Hartmann:

„*Sie* (die Menschheit) *hat wie jeder sehr alte und über sich selbst klare Greis nur noch einen Wunsch: Ruhe, Frieden, ewigen Schlaf ohne Traum, der ihre Mündigkeit stille*” (*Phil. des Unb.* t. II, str. 389).

<sup>4)</sup> Mówimy *pauza* a nie *nicosć bezwzględna*, albowiem wszystko cokolwiek Hartmann głosi o pewności osiągnięcia celu to jest nirwany, wszystko to nie daje żadnej rękopisów ze stanowiska własnej nawet filozofii jego, z istoty której wynika przeciwnie, że za kulisami świata istnieć wiecznie będą dwie wrogie potęgi, cychające na nową ewolucyą świata, na ponowno puszczenie w bieg wszystkich nędz istnienia. Porównaj niżej tegoż rozdziału § 8.

nie śpią wcale snem wiecznym, bez marzeń i bez możliwego przebudzenia jakby pragnął Hartmann, i nikt też zaręczyć niemoże czy się nie zbudzi który z nich <sup>1)</sup> dla rzucenia drugiemu wyzwania, i czy razem z podniesioną rękawicą nie powstanie nowa ewolucya świata, nie zjawią się nowe męki i cierpienia doczesne a łzy i łkania, walka i rozpacz znowu nie napełnią przestworów świata.

Widzimy więc, że lubo Hartman dążył do połączenia hypostazowanych przez siebie pojęć w jedną substancją najwyższą, uczynić tego nie zdołał, i to właśnie dlatego, że podobnie jak Hegel i Schopenhauer i on wychodził z błędnego kierunku filozofii, jakim jest mieszanie pojęć metafizycznych z psychologią i tłumaczenie tą ostatnią zjawisk *ontologii*. Chciał wprawdzie Hartman poprawić błędy swoich poprzedników, ale to mu się nie udało, gdyż i on oparł swoją metafizykę bytu czyli *ontologię* na hypostazowaniu cech *osobowości* czyli na rozrywaniu tego pojęcia <sup>2)</sup>. Krążył on nieraz około téj prawdy, że pojęcie absolutu musi być absolutnem, że nie może być względnem i rozdzielnem, ale pytania tego nie postawił na odpowiedniemu stanowisku i nie uwzględnił przy snuciu swego poematu metafizycznego; może właśnie dlatego, że jak widzieliśmy, dążność istnienia do nicości nie dałaby się wtedy wyjaśnić a możność osiągnięcia *nirwany* byłaby zakwestyionowaną.

Nikt też tak dalece nie obawiał się antropomorfizmu w określaniu absolutu, co Hartmann, a tymczasem właśnie do łona swego Boga przeniósł on pojęcia z dziedziny psychologii (*ideę i wolę*) z tą nową niekonsekwencyą, że pojęciom tym nadał byty odrębne <sup>3)</sup> a swoją *substancję metafizyczną* <sup>4)</sup> zlepił sztucznie z dwóch tych pierwiastków, zestawiając je czysto mechanicznie a nawet zmuszając do walki w łonie téj-

W każdym razie jednak ta pauza w istnieniu bytu ma wielkie podobieństwo z genezą świata przedstawioną w *Księgach Manu* (Mānava-Dharma-Sāstra). W jednym z werśotów czyli dystychów, czytamy tam następujący dwuwiersz: *Jak tylko Bóg stworzyciel budzi się ze spokoju, świat rozpoczyna swoją ewolucyę; skoro zaś Bóg znów zasypia, świat się rozsypuje*. Porównaj: *Lois de Manou comprenant les institutions religieuses et civiles des Indiens; traduites du sanscrit et accompagnées de notes explicatives*, par A. Loiseleur Deslongchamps. Paris, 1893; ks. I, slokas 52.

1) To jest wola dająca *inicyatywę* istnieniu, owa wola nigdy nie *nasycona*, (*Phil. des Unb.*, t. II, str. 436), i łaknąca życia „*Das wollen-Wollen*, mówi sam Hartmann *schmachtet nach Erfüllung*” (*Phil. des Unb.*, t. II, str. 434). „*Die Ewigkeit des Wollens bedingt die Ewigkeit des Processes*” (*Phil. des Unb.* t. II, str. 429).

2) Porównaj pracy naszój część III, str. 121, 123.

3) Tamże, str. 140. *Neukantianismus*, str. 34.

4) *Das Unbewusste*.

że substancyi. Prawda że walką tą tłómaczy Hartmann zjawienie się i istnienie świata, ale czyliż taki wywód zaspokoi wymagania logiki.

I w taki to zlepek pojęć chciał on tchnąć ducha ożywczego i zmusić go do istnienia; że zaś stwarzać nie daném jest człowiekowi, to i Bóg Hartmanna, przeciw stworzony istnieć nie może, bo niema w sobie pierwiastku życia, jedni organicznój. Prawda, że sztuczny ten zlepek nazywa Hartmann *individuum*, i to *individuum par excellence* <sup>1)</sup>; ale cóż znaczy nazwa, gdy rzecz sama jej nieodpowiada? Zapomniał on widać, że nie *idea* i *wola* tworzą osobowość <sup>2)</sup>, ale że ta ostatnia objawia się nam jako istota cechy powyższe z konieczności rzeczy posiadająca, oraz, że pojęcie osoby bynajmniej nie wyczerpuje się temi dwiema cechami <sup>3)</sup>. Jest to podobna pretensya jak dążenie nauk przyrodniczych do stworzenia indywiduów za pomocą poznania składu chemicznego komórek życiodajnych. Choć i tu jeszcze ta różnica zachodzi, iż przy badaniu przyrody bierze się, a przynajmniej usiłuje się brać na uwagę wszystkie (?) części składowe osobnika, gdy tymczasem Hartmann poprzestaje na zestawieniu *idei* z *wolą*. Jest to jednak postęp względnie do innych przedstawicieli filozofii pesymistycznój, którzy przy budowaniu absolutów swoich zadawałnają się jedną tylko, lubo i wybitną, częścią pojęcia osoby to jest—*wolą* <sup>4)</sup>.

*Mainländer*, jak widzieliśmy <sup>5)</sup>, każe Bogu rozsypać się i tym sposobem chce go uwolnić od wieczności, owój cechy istotnój, od pojęcia absolutu nieodłącznój <sup>6)</sup>. A tym sposobem popełnia błąd podwójny co do pojęcia absolutu, gdyż odmawia mu zarazem i wieczności i jednolitości, pomimo, że w zasadzie jednolitość tę Bogu swemu przyznawał <sup>7)</sup>, nazywając go nawet *die einfache vorweltliche Einheit* <sup>8)</sup>.

Dla wyjaśnienia początku świata musiał on przyznać istnienie absolutu, chcąc zaś koniecznie udowodnić możność osiągnięcia nicości bezwzględnej, był zmuszonym absolutowi odmówić cech jego istotnych, czyli cofnąć to pojęcie z zakresu swojój filozofii.

1) Porównaj pracy naszój str. 140, przypisek 2.

2) Mógłby Hartmann nam zarzucić, że on właśnie unikał przyznania osobowości Bogu, ale, pomijając już ten wzgląd, że nie unikał antropomorfizmu w pojmowaniu absolutu, w każdym razie, to co mówimy o osobowości stosuje się w ogóle do indywiduum, jedném słowem do pewnego centrum władz psychicznych. Osobowość bowiem jest najwyższym objawem takiego jednostwa, a więc jego *species*, *genus* zaś stanowi pojęcie o indywiduum. Porównaj pracy naszój str. 108, przyp. 3 i str. 114, przyp. 4.

3) Porównaj pracy naszój str. 114, przyp. 4.

4) Schopenhauer, *Mainländer*.

5) W części pierwszój pracy niniejszój. Rozdział I, str. 8—19,

6) Tamże, część III, roz. II, § 2.

7) Tamże, część III, roz. II, § 5, str. 110—111.

8) Tamże, część I, roz. I, str. 9.

Jedno prowadzi za sobą drugie; *filozofia nicości* bowiem, jak powiedzieliśmy, jest kołem błędnym, stawia jej głosicieli w położeniu bez wyjścia, bez *wyjścia logicznego* naturalnie, bo nielogicznych wyjść nie zabraknie nigdy, czego zresztą dowodzą i owi trzej wybitniejsi szkoły tej przedstawiciele.

Otóż i Mainländer przedewszystkiém chce usunąć Boga z zakresu bytu, wie on dobrze, że pojęcie absolutu przeszkadza mu będzie w snuciu programu nirwanowego. Innéj rady na to niema, jak tylko rozbić pojęcie jedności absolutnej, tym sposobem ma on nadzieję wyłomaczyć czasowość Boga.

Mainländer chwyta się tego środka ze skwapliwością, zapominając, że przecież nierozdzielność, jednolitość, stanowią właśnie istotę tego Boga, którego opiewa jego filozofia <sup>1)</sup>. To też to przyznawanie pewnych pojęć za nieodzowne, a następnie usuwanie ich przed innemi wręcz im przeciwnemi, słowem to *przepolowanie*, które charakteryzuje całą szkołę pesymistyczną, u Mainländera uwydatniło się najsilniej, a przy najmniej w formie najwyraźniejszej.

I tak doba transcendentálna istnienia i doba istnienia świata, stanowią dwie fazy w filozofii wyzwolenia, fazy wręcz sobie przeciwne, jedną przeczącą drugiej. W pierwszej Mainländer czyni zadość wymaganiom metafizycznego pojęcia o absolutie, w drugiej od pojęcia tego odstępuje.

Do téj niekonsekwencyi zmusiła go, podobnie jak Schopenhauera i Hartmanna, niczém niepohamowana chęć uzasadnienia filozofii nicości. I rzeczywiście chcąc koniecznie dowieść nirwany, przedstawić ją jako rzecz filozoficznie uzasadnioną, Mainländer nie mógł unikuąć pytań metafizycznych, a zwłaszcza ontologicznych. Nie było innéj rady, musiał i on wypłynąć na ów *bezbrzeżny ocean transcendentalizmu*, o niebezpieczeństwach którego ostrzega trzeźwy myśliciel z Królewca. Droga ta rzeczywiście okazała się niebezpieczną, a nawet zgubną dla nowego żeglarza po morzu pesymistycznym. Nie iżbyśmy go w tém ganili, że sięgnął tak wysoko po wyjaśnienie ńędz świata i znalezienie pociechy w przyszłym unicestwieniu ogólném, przeciwnie to *uznanie potrzeby uzasadnienia pesymizmu drogą metafizyki* jest dodatnią stroną filozofii wyzwolenia. Jeśli co zarzucić mu można, to nie *wybranie* téj drogi, ale *sposób jej przebycia*. Taż sama droga *logicznie* odbywana doprowadziłaby go do innych rezultatów, rezultatów wręcz przeciwnych tym, jakie on ogłosił. Wykazaliśmy już, jakie pewniki metafizyczne stawia nam myśl ludzka i jak przeto wygląda nirwana wobec wymagań metafizyki <sup>2)</sup>. Niezależnie więc od tego, dokąd Mainländer na drodze swéj doszedł, przyznać mu należy tę wyższość nad innymi pesymistami, że usiłował przedewszystkiém *wyjaśnić metafizycznie* zaznaczoną przez

<sup>1)</sup> Pracy naszéj, część I, str. 8.

<sup>2)</sup> Tamże, część III, § 2.

siebie *naukowo* <sup>1)</sup> wyłączność woli w zjawiskach świata i cel tej woli—*nirwanę*. U Schopenhauera np., a nawet i u Hartmanna niewiadomo z kąd bierze się w dziejach istnienia *przewaga* woli, a nadto woli ślepiej jeszcze. Zaznaczają oni jej wszechbytność, jej wszechpotęgę, niemal wyłączność w osnowie świata, ale nie wyjaśniają metafizycznej jej przyczyny, pierwotnego jej źródła. Mainländer chciał też widocznie dopełnić tę lukę w filozofii pesymizmu, czuł widać niedostateczność samego zaznaczania zjawiska, pragnął wyjaśnić je, usprawiedliwić. Otóż do ogólnej skarbnicy *filozofii nicości*, dorzuca on swoją perłę, do wspólnej im wszystkim apoteozy woli dołącza on jej genezę, do budowy pauteonu pesymistycznego przykładą swoją własną cegłę. Ta cegła ma być kluczem całego sklepienia. Dotąd filozofia nicości nie była zaokrągloną, jako systemat, brakowało jej związania łuków i utrwalenia budowy. Dorabiając zaś część transcendentálną filozofii, dobę przedświatową istnienia, Mainländer daje prolog do tragikomedii istnienia i życia, przed wprowadzeniem na scenę świata jego aktorów, przedstawia nam metafizyczną jej reżyseryą.

Bóg *znudzony* istnieniem postanawia przerwać tę monotonię, wyrwać się z objęć istnienia <sup>2)</sup>. Tu Mainländer wprowadza trudność nader skomplikowaną, godną zaiste zagadnień i pytań podchwytyjących szkoły scholastycznej, lub niektórych trudności teologii moralnej. I tak Bóg lubo nieograniczony w niczym, spotyka *ograniczenie* właśnie *w swojej nieograniczoności* <sup>3)</sup>. Ten węzeł gordyjski *filozofii wyzwolenia*, przecięty jednak został przez jej twórcę jednym zamachem. *Est modus in rebus*. I jakżeż Bóg Mainländera nie miałby sobie poradzić, chociażby nawet w takiem na pozór bez wyjścia położeniu i cóżby Bóg nie przemyślił? Otóż wpada On na pomysł nader szczęśliwy, naturalnie jeśli to prawda co nam Mainländer *ex tripode* <sup>4)</sup> głosi: Bóg rozszy-

<sup>1)</sup> Mówiąc *naukowo*, nie bierzemy słowa tego w znaczeniu przymioto-wém, ale tylko rzeczowém. Wszystkie nauki przyrodnicze powołane są przez Mainländera do pomocy dla wyjaśnienia: 1) wyłączności objawów woli we wszechświecie, 2) dla wykazania wspólnej dążności wszystkich zjawisk, to jest dążenia do nicości. Oto podstawa naukowa jego systematu. Wykazaliśmy już, o ile podstawa ta jest trwałą u Mainländera. (Pracy naszój, część I, str. 1), tu idzie nam tylko o zaznaczenie metody. Otóż dowiódłszy drogą nauki tych dwu zjawisk w naturze, Mainländer sięga do metafizyki po wyjaśnienie filozoficzne przyczyny tych zjawisk.

<sup>2)</sup> Pracy naszój, część I, rozdz. 1.

<sup>3)</sup> Pracy naszój, część I, str. 11.

<sup>4)</sup> Każę nam bowiem wierzyć w to, czego nie dowiódł. Prawda, że Mainländer widzi dowody na to w zjawiskach świata, a mianowicie nauki przyrodzone, a głównie astronomia, hipotezę tę zdaniem jego stwierdzają najzupełniej. (Porównaj pracy naszój, część I, str. 10). Ale przy rozbiorze *podstaw naukowych* filozofii wyzwolenia (pracy naszój, część III, roz. I, str. 10),

puje się w wielość, stwarza świat, a tym sposobem sądzi, iż cel swój osiągnie. Czego więc sam Bóg nie był w stanie dokonać, tego dopnie on za pośrednictwem świata. *Świat* bowiem, jak widzieliśmy <sup>1)</sup>, *jest środkiem do celu wiodącym, a celem tym nicość!* <sup>2)</sup>.

Otóż i mamy drugą dobę istnienia, dobę świata; śmierć boża stała się światem stworzeniem <sup>3)</sup>, a doba ta jest właśnie dobą *wielości* <sup>4)</sup>. Oto przepołowienie absolutu, oto sztuczne wywikłanie się z nakreślonego sobie zadania: dopełnić luki filozofii nicości, zaokrąglić systemat <sup>5)</sup>.

Pomysł ten jest rzeczywiście własnością Mainländera, jego cegłą kończącą zwój zasadniczy, jego perłą, a wynalazkiem tym Mainländer szczyli się niepomierne. Jeżeli bowiem Hartmann porównywał swoje stanowisko w filozofii do wygodnego położenia ministra w parlamencie <sup>6)</sup>, to Mainländer sięga wyżej po laury, mniej jest skromnym, doniosłość swoją w dziejach nauki porównywa mianowicie do wpływu, jaki metoda Bacona na nią wywarła <sup>7)</sup>.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

wykazaliśmy, o ile dowody te są ściśle naukowe, a ztąd o ile są przekonywające. Że zaś do metafizyki swojej doszedł on, jak sam twierdzi, po szczeblach przyrodzawstwa, nie dziwimy się wcale tym rezultatom.

1) Pracy naszój, część I, roz. I.

2) Mainländer: *Phil. der Erlösung*, str. 325.

3) Mainländer: *Phil. der Erlösung*, str. 108, 321.

4) *Die Collectiv Einheit*.

5) Zadanie chwalebne, ale wykonanie sztuczne, i nie mogło być inaczej przy myśli skierowanej wyłącznie na chęć uzasadnienia z góry nakreślonego planu dla świata—nicości.

6) Pracy naszój, część III, § 6, str. 139.

7) Mainländer: *Phil. der Erlösung*, str. 110.

## Przegląd teatralny.

za rok 1878 \*).

*Pogodzeni z losem*, komedia E. Lubowskiego.—*Czarnokwit*, krotchwila E. Lubowskiego.—*Po śmierci cioci*, komedia Bałuckiego.—*Kalosze*, komedia Jana Al. hr. Fredry.—*Przy kolei*, komedia Jordana.—*Jestem zabójcą*, komedia Aleksandra hr. Fredry.—*Przyjaciele*, komedia Aleksandra hr. Fredry.—*Małbet*, dramat Szekspira.—*Syn puszczy*, dramat Halma.—*Sylwa*, dramat Mosena thala |.—*Pocziwi wieśniacy*, komedia Sardou.—*Kwiat z Tlemcenu*, komedia Legouvo'go.—*Nowożeńcy*, komedia Björnsterne - Björsona.—Występy Ros-siego.

Z pomiędzy innych utworów oryginalnych, powagą i dążnością założenia wyróżnia się czteroaktowa komedia Edwarda Lubowskiego: *Pogodzeni z losem*. Celem autora było postawić pod karzącym prę-gierzem opinii i satyry pewną grupę ludzi, którzy wyrzekając się najszlachetniejszych uczuć bratniej miłości, idealnie pojętych obowiązków oby-watelskich, oddani całkowicie materyalnemu poziomemu celom—godzą się z losem, uginają kark posłuszny pod twardą rzeczywistość, płaszczą się, poniżają, podlą, aby tylko uchwycić jakiś cień pomyslniej karyery.

Autor w zasadzie trafnie uchwycił moralną chorobę, jaka toczy pewne, szczęściem nieliczne warstwy naszego społeczeństwa, co zapar-tuszy się szlachetnych pragnień i wzniostych ideałów ogólnego dobra, mają przed sobą tylko na celu maluczkie ambicje. Tacy ludzie za-przedają się przeciwspołecznym interesom, służą i biją czołem dla otrzymania względów lub protekcyjek mogących im usłać wygodną ścieżkę życiowej karyery. Pomysł to szeroki i śmiały: szkoda tylko że należy do takich, które na scenie niemogą być ucieleśnione z dostateczną jasnością i żywcem ujęte w dokładnie zrozumiałą artystyczną pla-stykę. Są pewne pomysły, pewne idee, które przy praktycznych wa-runkach rozwoju sztuki, niemogą ukazać się w całej pełni na widowni działalności artystycznej. Ztąd też powstaje pytanie: czy należy ku-sić się o upostaciowanie takich pomysłów, jeżeli niemogą one prze-mówić do ogółu całą głębią swjej wewnętrznej treści, jeżeli kryć się ma-ją pod szatą symbolów lub domyślników? Komedia Lubowskiego daje na to pytanie odpowiedź niezbyt zachęcającą; ani publiczność, ani na-wet krytyka niemogła ocenić odrazu jej wewnętrznych celów i zrozu-mieć dokładnie intencji autora. Pod względem artystycznym wobec

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za październik r. b.



wymagań dzisiejszej sztuki, która nie może poprzestać na mglistym kształcie symbolu, taka nieokreśloność jest zasadniczą wadą, zwłaszcza w utworach opartych na tle rzeczywistego życia, lub w uświetnianiu jego malowidła. Gdy zaś komedia przybiera wyraźne cechy tendencyjności; gdy korzysta z nadanych sobie przez nowożytnie prądy artystyczne, przywilejów oddziaływania w duchu pewnych określonych celów moralnych i społecznych: témbardziej chybia swego zadania, jeśli zamiast wyraźnego obrazu i jasnych intencji, staje się po części artystycznym hieroglifem.

O tento szkopał zawadził w *Pogodzonych z losem* obserwacyjny talent pana Lubowskiego, który w *Nietoperzach* stworzył tak szczęśliwie na naszym gruncie komedią typów zbiorowych z satyrycznym odcieniem. Główna sytuacja całego grona *Pogodzonych z losem* serwilistów czapkujących wszechwładnemu księciu, przedstawia się wątpliwie—niejasno. Jeżeli ów książę jest jednym z przedstawicieli rodowej arystokracji, to serwilizm całej tej lichiej gromadki, jest najzwyczajniejszego rodzaju uniżoną czołobitnością, otaczającą panów i półpanków, ale w takim razie, skądże ów książę ma posiadać tak wielką siłę i rozwiązywać w ostatniej instancji bardzo ważne kwestye prawne i sukcesyjne? Ztąd też cały ten stosunek uniżonej kamarylli do księcia, wydaje się niejasnym i fantastycznym; témbardziej, że autor objawy serwilizmu przedstawił w kształtach bardzo dosadnych, jak np. w owej scenie czołobitności przedpokojowej, możliwej chyba tylko w przedsienniu pałacu jakiego wschodniego książątka.

W całej galerii figur autor ukazać się starał, jak owa bezwzględna „zgoda z losem” i zupełna aprobata tego co jest, dla egoistycznych celów upadła ludzi i prowadzi ich do moralnego upadku. Głównym przedstawicielem tego serwilistycznego poniżenia, jest Kazimierz Łaniczki, jeden z bohaterów smutnej komedyi życia nad stan, karyerowicz pragnący ratować byt, nadszarpnięty lekkomyślnie, za pomocą środków lichych i nieszczęśliwych. Człowiek ten ukazuje się nam na granicach uczucia podłości w chwili, gdy tyranizując swą szlachetną żonę Maryą, znoszącą z cichem poddaniem wybryki jego samowoli, sam ją stara się nakłonić, aby zalotami ciągnęła ku sobie owego wszechmocnego księcia, który podbity jej wdziękami, wydałby na jego stronę wyrok w ważnej sprawie sukcesyjnej z pokrzywdzeniem praw innych krewnych. Gdy Marya odrzuci tak nieszczęśliwe współnictwo w lichy intrydze, Łaniczki znęca się nad nią moralnie, a dopiero potem, po chybionym skutku swych zabiegów, uczuwa nagły przypływ wyrzutów sumienia i pada na kolana w ekspiacyjnym ukorzeniu. Liche pobudki takiej przemiany moralnej obniżają dramatyczną wartość tego momentu, w którym zwyczajny tuzinkowy niegodziwiec pozuje na bohatera tragedyi. Postać ta nie rysuje się dość jednolicie w komedyi, jako postać realnie krwista i żywa; jego moralna lichota nie równoważy się z innymi czynnikami estetycznej wartości tak, że w ogóle sprawia wrażenie niezbyt korzystne, a chwilami wygląda jakby zabłąkany z melodramatu do komedyi czarny

charakter. Jego antytezą jest brat stryjeczny Antoni, uosabiający zamię, obywatelską pracę, surowe poczucie i spełnienie społecznego obowiązku. Nie hołdując złotemu cielcowi użycia i świetności materyalnej, Antoni zaparł się nawet szlachetnych pragnień serca, osiadł na rodzinnym zagonie, odnowił rzetelną pracę kwitnący stan dziedzictwa swych ojców i pomimo intryg swego brata, przeprowadził z własną korzyścią ważną sprawę spadkową.

Charakter to sympatyczny, wcielający w siebie zdrowe i dziele zasady życia, pełen szlachetnej prostoty, zahartowany w trudnej walce życia, chociaż pod koniec sztuki autor kazał mu spełniać nadto opatrnościową, moralizatorską rolę, prawić kazania i wymierzać karę na winnych. Pomimo całej wytrawności pisarskiej, p. Lubowski nieustrzegł się w rozwiązaniu sztuki pewnego kaznodziejstwa i akcentowania we frazesach intencji moralnych, które przemawiać winny samą logiką faktów dramatycznych. Pod względem ukształtowania całości, utwór ten przedstawia także niestosunkowe rozwinięcie figur i motywów pobocznych w stosunku do akcji głównej tak, że w skutek tego, części jego nie spajają się z sobą, z należytą jednolitością. Niezależnie jednak od tego architektonicznego błędu przyznać wypada, że pod względem charakterystyki cała galeria tych postaci ubocznych okazuje wytrawną rękę zdolnego pisarza, który w swych utworach powieściowych i dramatycznych powołał do życia wiele odrębnych i dobrze przeprowadzonych postaci, żyjących istotnie realnym życiem, a często też zręcznie odzianych w jego łudzące pozory. Nie powiemy, żeby postaci *Pogodzonych z losem* były kreślone z żywych wzorów, żeby były artystyczną reprodukcją lub streszczeniem pewnej kategorii indywidualności. Noszą one na sobie pewien odcień kompozycji *a priori*, prowadzonej jednak z tą świadomością autorską, że wszelkie postacie realne muszą posiadać pewną wielorakość zewnętrznych znamion i składowych części charakteru, aby mogły sprawić wrażenie naturalności. Przy bliższej analizie możnaby zakwestyonować ten lub ów charakter w utworach Lubowskiego, w stosunku do warunków i żywiołów, w jakich powstać i urobić się musiał w wielkiej pracowni życia. Jednakże posiadają one dosyć barw, rysów zręcznie zestawionych, dosyć kontrastów i przemian tak, że w dobrém uplastycznieniu gry aktorskiej sprawiają łudzące niemal wrażenie. Postacie niewieście autor narysował także delikatnie i subtelnie, otaczając je pewnym wdziękiem pastelowym. Pomimo tych częściowych zalet całość nie sprawia wrażenia z powodu braku skupienia dramatycznego interesu, zarówno w niewyraźnym założeniu, jak i niedosć szczęśliwej budowie. Przeto uwaga widza lub słuchacza przesuwa się po całym szeregu scen mniéj więcéj sobie współrzędnych i nadto odskakujących od siebie stopniem poetycznego efektu; nie wie gdzie się ma zatrzymać, bo nie znajduje górujących akcentów, nie znajduje punktu zbieżności efektów, stanowiących uwieńczenie dobrze pomysłanych i skończenié wykonanych dzieł sztuki.

Podobnym brakiem dramatycznego skupienia grzeszy także drugi utwór p. Lubowskiego: *Czarnokwit*, nie koniecznie właściwie nazwany przez autora krotochwilą, gdyż brak mu żywego ruchu sytuacji i humoru pustego, który swawolnie igra ze zwykłą logiką życia, płacząc jego komiczne zawiłości. I tutaj znajdujemy znowu całą gromadkę figur, których rysunek świadczy o pewnej sobie ręce utalentowanego pisarza, znającego wymagania psychicznej charakterystyki; ale p. Lubowski nie umiał całości nadać odrębnego tonu, nie umiał ustawić figur w wzajemnym do siebie stosunku i skombinować w dobrze pomyślanej akcji. Główna postać w komedii p. Żymalski jest dobrze pomyślanym typem próżnego despoty i samoluba, zaufanego wielce w swą mądrość, ale autor zamiast skupić jego rysy z jednością i siłą, rozproszył je w zbytekiem wielomówstwem.

Prawdziwą także figurą jest hr. Fatygański, moralnie i fizycznie zrujnowany panek, który chce podreperować swą egzystencją małżeństwem z posażną panną Żymalską, zakochaną w młodym a dość ubogim szlacheciu, Tadeuszu Szczwańskim. Papa Żymalski wbrew sercowym aspiracyom swój córki, chce ją wydać dla koligacji za zrujnowanego hrabiego, który chętnie ten targ małżeński prowadzi. Ale handel ten niweczy sprytna wdówka pani Melania, która postanowiła zostać hrabiną Fatygańską i przeciwko p. Żymalskiemu urządziła powszechną rewolucyą przy śniadaniu, mającém uświetnić zaręczyny hrabiego z jego córeczką. P. Żymalski, przed którym wszystko dotąd w domu drżało, jak przed orientalnym despotą, nie może wyjść z zadziwienia na widok tego buntu. Wkrótce jednak wyjaśnia mu się, według jego opinii, tajemnica tego wypadku domowego rokoszu, gdyż desperujący po pijanemu kucharz przyznał mu się, że do jednej potrawy w śniadaniu przypadkiem dodał posiekanego czarnokwitu, czarodziejskiego ziele, zerwanego umyślnie na ementarzu, aby skłonić ku sobie serce pokojówki Basi, w której kocha się do desperacyi.

Akcya komedii rozwiązuje się szczęśliwie kapitulacyą p. Żymalskiego, małżeństwem kochanków i uwieńczeniem sprytnych intryg paui Melanii, której doprawdy gustu trudno zrozumieć, gdyż chuderlawy i zrujnowany panek pod żadnym względem nie może budzić miłosnych afektów.

Obok głównych postaci, któreśmy bliżej zaznaczyli, autor wprowadził tu szczęśliwie pomyślane figury p. Grubanewicza, przyjaciela i krewnego p. Żymalskiego, pasyonowanego fabrykanta sztucznych perfum, oraz poczciwego Dyszlewskiego, zrujnowanego szlacheца, który przez dwa dni nie może znaleźć tak swobodnej chwili, aby z Żymalskim mógł pomówić i wyłuszczyć mu swą prośbę o ratunek w krytycznej chwili. Pomimo tych przymiotów charakterystyki, samo zawiązanie i przedmiot komedyi nie budzi żywszego zajęcia. Kompozycya grzeszy zasadniczą dysharmonią pomiędzy tematem a wykonaniem, gdyż sama akcya, na dość błahych oparta motywach, nadawałaby się do farsy, tymczasem zakres głównych charakterów i stosunków, jakie pomiędzy

niemi zachodzą w pewnych razach, nie mogą stanowić przedmiotu wesołej szykany, ale dostarczają wątku dla przejętego głębszą satyryczną lub etyczną myślą obrazu małostek komedyi ludzkiego życia. Właściwie zatem *Czarnokwit* jest raczej komedią obyczajową, wkraczającą bardzo rzadko w dziedzinę farsowego komizmu. Z tego jednak stanowiska utwór ten pomimo zalet charakterystyki, pomimo kilku scen szczęśliwych, niema dość efektu, dramatycznego skupienia, ważności dążnościowej, lub etycznej werwy, abyśmy go mogli zaliczyć do szczęśliwszych płodów dramaturgii naszej i w szeregu utworów p. Lubowskiego wyznaczyć mu miejsce zaszczytne.

Satyryczną dążnością chlóstania niezgody czynów z zasadami, nacechował p. Bałucki swą trzechaktową komedią: *Po śmierci cioci*, która także nie jest płodem szczęśliwego momentu jego pisarskiej działalności. Bronią szykany i ironii ściga tu autor dość często w literackim naszym świecie wadę blagi, sztucznego pozowania i apostołskiego tonu, fałszywego i obłudnego popisu czczeni frazesami, które maskować mają próżnię umysłu i duszy.

Główna figura komedyi Henryk należy właśnie do takiej grupy twórców czechych, nadętych frazesowiczów, mydlących ludziom oczy namaszczone pozowaniem. Jestto poeta a raczej fabrykant dźwięcznych rymów, wygłaszający sążniste tyrady o ideałach podniosłości uczucia, braterstwa dusz, a w gruncie rzeczy jest bardzo pospolitym i lichym łowcą posagowym, amatorem łatwej kariery zapomocą ożenku. Złakomiony posażkiem panny Pocziwskiej, wieszczyk ów tumani gradem gładkich słówek, tę niedoświadczoną i najwną gąsieczkę, której ambicyi pochlebia to wiele, że poeta składa u jej stóp miłosne hołdy. Olsniona czezą kokieteryą słowa, panienka zapomina dla tego bliźniego o dawnym narzeczonym, pocziwym i dobrym chłopaku, który umie kochać po prostu, po mieszczańsku, bez wyszukaniej blagi i fanfaronady. Byłby może już pan Henryk dostał ładny posażek z dodatkiem miłuchnej panienki, ale zdemaskowała go zrzeczna pani Sabina, u stóp której pan Henryk składał miłosne zapłaty, ale zrejterował następnie pod wpływem posagowego apetytu. Sabina, po śmierci cioci, otrzymała ładną sukcesyjkę, która znakomicie przewyższa posag nowego ideału pana Henryka, który chyżym manewrem zmienia nagle front i powraca niby do dawnego bożyszcza.

Panna Anna, widząc tak jawne przeniwierstwo i zbytnią wrażliwość poety na dźwięk mamony, wraca do dawnego kochanka, który jej zbyt szybko przebacza tę zmienność, a pan Henryk tymczasem, w chwili, gdy myśli że jest już u celu, dowiaduje się, że pani Sabina jest mężatką.

Rozwiązanie takie napawa goryczą zawodu, nietylko spekulującego wieszca, ale także pana Pocziwskiego, egoistę mieszczaucha, który jako daleki krewny traktował dawniej Sabinę z lekceważeniem, a na wieść o jej sukcesyi, rozpoczął niefortunnie zakończone zaloty.

Tę dosyć pospolitą treść sztuki autor przeprowadził przez trzy akta ze zwykłą sobie umiętnością sceniczną budowy, ale całość powłókł zbyt szarym i monotonnym kolorytem i nacechował ją jałowością codzienniej prozy życia. Charakterystyka figur, z wyjątkiem dwu bladych ról kochanków, utrzymana dość jednolicie, ale kontury ich rozpylają się w zbyt niemi wielomóstwie. Sam poeta jest do zbytku paplającym frazeologiem; pani Sabina, jako rozsądna i dowcipna mężateczka, odznacza się także oratorską swadą, gdyż za podszeptem autora wypowiada jego satyryczne poglądy i wyniki przeciwko fałszywej poetycznej blade, stylem zanaszystem artykułów wstępnych. Pan Poczeiowski jest zresztą niezłą *odmianą* typu galicyjskiego mieszczanina, przedstawionego przez autora w kilku już wariantach.

Chociaż tendencyjna strona sztuki posiada pewną satyryczną werwę, uwydatnioną w dość rzutkiiej frazeologii; chociaż układ i prowadzenie akcji są dosyć regularne i harmonijne: jednakże całość rozpylwa się tutaj w tonie płowej przyzwoitej mierności; nie zajmuje ani żywością akcji, ani siłą koniecznych kontrastów, ani wreszcie doniosłością naczelnego założenia, znamionując pewne znużenie talentu sympatycznego pisarza.

Ten sam grzech banalności ciąży na *Uproszonych zalotach*, Kajetana Kraszewskiego, trzech-aktowej, napisanej wierszem, komedyi, którą uwieńczono nagrodą na konkursie lwowskim, urządzonym z aprobatą opinii publicznej. Pomysł *Uproszonych zalotów* na tém polega, że młody, nieśmiały adonis, pan Karol nie może się zdecydować na wypowiedzenie swych miłosnych zapachów panience, która czuje wielkie powołanie do hymenowej doli. Aby ustalić chwiejne serce młodziana, przypuszcza energiczny szturm do panienki stary wojak, który jednak zapędziwszy się w tych uproszonych zalotach, chwilowo nawet przybiera rolę konkurenta seryo i musi sobie wkrótce wyperswadować nie-wczesne nadzieje.

Nic pospolitszego i bardziej jałowego nad treść tej sztuki, oraz jej rozwałkowanie na trzy obszerne akta, wypełnione pustą gadaniną.

Jedyną postacią, posiadającą pewien odcień życia i barwniej charakterystyki, jest ów major, żołnierz Napoleoński, zawołany kłameca, którego faceyjkki i anegdotki są istotnie zabawne i budzą żywą wesołość. Odjąwszy te jednak wtrącone w opowiadaniu obrazki, odjąwszy kilka rysów charakterystycznych owego wojaka, który w końcu staje się także monotonnym i nudnym, wszystkie figury są tu rozpaczliwie pospolitemi komunakami, a całość gładką wierszowaną elukubracją. Gdyby umiętność pisania potocznych a szlifowanych wierszy mogła zastąpić ubóstwo i pospolitość treści; gdyby potulne i miłe gawędziarstwo mogło starczyć za poezją i humor, przyznalibyśmy chętnie *Uproszonym zalotom* literacką i sceniczną wartość, której braku nie zastąpią żadne konkursowe laury.

Jak na pierwszą próbę, zasługuje na pewne uznanie jednoaktówka p. Dąbrowskiego: *Nauczycielka*, która pokazuje przebłysk szczer-

go uczucia humoru i pewną zręczność sceneryi. Jestto dość idylliczny romansik, zaczęty lekkomyślnie przez młodego szafputa w tatrzańskie chatce z młodą nauczycielką, która wpadłszy przypadkiem w donżuańską zasadzkę, umie nakazać szacunek i nadać sobie tyle godności, że chytrego zwolennika łatwych miłości zamienia szybko na .. narzeczonego. Chociaż miłosny wątek tej sztuczki jest cokolwiek ekliwicznie sentymentalnym, a komiczne jej figury rażą trochę karykaturalnością, jednakże autor dość zgrabnie przeprowadził akcyę sztuki, nieźle traktował kilka sytuacji tak, że ze stanowiska skromnego debiutu, mierna zresztą jego sztuczka nie zasługuje na naganę.

Gdy większość poważnie nastrojonych komedyi oryginalnych z roku zeszłego nie może się poszczycić nadmiarem literackiej wartości, z dziedziny farsy możemy zaznaczyć dwie wcale udatne jednoaktówki, które zyskały istotne sceniczne powodzenie. Drobnostka Jana Aleksandra Fredry *Kalosze*, należy do tych scenicznych igraszek, w których błahość motywu zastępuje się zręcznym wydobyciem komicznych efektów, humorem i żywością w traktowaniu sytuacji. Wielce komicznemi są tu kłopoty p. Inickiego, systematycznego filistra, którego do rozpaczki przyprowadza młody szafput i krótkowidz Butowski, zamieniający mu bezustannie kalosze w czasie szarugi i niepogody tak, że zawstydzony jegomość w corazto większym katarze staje się prawdziwą maszyną do kichania. Współcześnie z temi kłopotami kaloszowemi, autor przeprowadził *ex promptu* romansik młodej pary i połączył ją odrazu w sposób może niezbyt logiczny, ale bardzo zabawny. Jestto nikła, ale misterna i zręczna facecyjka, nacechowana właściwą młodemu Fredrze pogodą i naturalnością pustackiego humoru, który płynie z jego fantazyi bujnym i niewymuszonym strumieniem.

Pełną toku życia, werwy i zamaszystości, jest jednoaktowa fraszka Jordana: *Przy koleci*, znamionująca w autorze niemały postęp w o władnięciu sekretami sceneryi. Treść jej polega na tém, że konkurent ślamazarny, nieśmiały i sentymentalny, aby pozyskać względy rezolutnego papy, zmienia się do niepoznania i tak się zapędza w buńczuczny ferworze, że nawet zastrasza rezolutnego szlachcica i pozyskuje rękę jego miłuchnej córeczki.

I tutaj przedmiot zwykły i pospolity, autor potrafił ożywić dosadnym komizmem, szarżowanym trochę, ale szczerym i zamaszystym. Żywy ruch sytuacji i zgrabne *ukreowanie* figur, zalecają tę wesołą i sympatyczną komedyjkę, która sprawia tak miłe wrażenie, jak swobodny śmiech wiejskiego dowcipnisa, pokręcającego węża i zamaszysto opowiadającego uciężne anegdoty.

Z pośmiertnej puściny autora *Zemsty*, poznaliśmy w roku zeszłym jedną tylko komedyę jednoaktową: *Jestem zabójcą*, która nawet w tej nowej seryi nieznanych utworów Fredry nie może być zaliczoną do celniejszych. Treścią jej jest parafrazowana na różne sposoby, od czasów *Cyrulika sewilskiego*, sytuacja starego opiekuna Kokonkiewicza i młodej wychowawicy Maryi, która łącząc z domownikami i na-

rzeczonem, hożym młodzieńcem, panem Morskim, urządza zręczną intrygę, aby od starego, naprzykrzonego adonisa pozyskać pozwolenie na małżeństwo. Samo przeprowadzenie tego wątku, oparte na pomysłach zbyt naiwnych, nie okazuje nawet małej części tej fantazyi, zręczności scenicznej i zamaszystości słowa, jakimi Fredro celuje w swych arcytworach. Obrazek ten ma jednak wartość sceniczną, głównie z powodu charakterystycznej postaci opiekuna, która jest dosyć dokładną i wielostronną i wykonawcy następcza pole do szerokiego opisu. Ten sam pedogryczny safandula Kokonkiewicz ze swą komiczną miłością do młodego dziewczątka, ze swém tchórzostwem i śmieszoną rozpazą, w chwili, gdy zmistyfikowany przez służbę sądzi, że zabił swego rywala: jest istotnie figurą wdzięczną dla aktora nietyle ze względu sił i dosadności rysunku, ile z powodu nagromadzenia kontrastów i przejść najrozmaitszych, które dają pole do gry prawdziwie koncertowej. Nie więc dziwnego, że te sceniczne przymioty, poparte przeznakomitą grą Żółkowskiego w głównej roli, zapewniły tej jednoaktówce pewną trwałość w bieżącym repertuarze.

Niezwykłym powodzeniem cieszyła się także wznowiona komedia Fredry: *Przyjaciele*, która dawniej nie miała na scenie tej popularności, jaką miały inne większe utwory ojca komedyi polskiej.

Nie wdajemy się w tej chwili w bliższą ocenę tej sympatycznej komedyi, poświęconej apoteozie najczystszej przyjaźni i najszlachetniejszej miłości, gdyż należy ona do utworów osądzonych przez krytykę, a w *Bibliotece* prof. Tarnowski wyrzekł o niej swe zdanie w ogólném studyum nad działalnością Fredry ojca. Pisząc się w głównych punktach na wyrok prof. Tarnowskiego, uznając wadliwość w budowie i zasadniczym pomysle, rozwlekłość w prowadzeniu głównego miłosnego wątku, który czasem wpada w zbyt łzawy sentymentalizm; w imię jednak słuszności musimy podnieść i dobitnie zaznaczyć ważne przymioty tej komedyi, niedosyć ocenione przez krakowskiego krytyka. Chociaż bowiem *Przyjaciele* ani siłą charakterystyki, ani dosadnością genialnego komizmu nie dorównują najznakomitszym utworom Fredry, jednakże z pewnością nastrojem uczuć szlachetnych wznoszą się wśród nich najwyżej i grzeją słuchaczy ciepłem serdecznej poezyi. Prawda, że owa miłość tajona Zdzisława i Zofii, dzisiaj może nadto się wydaje lekliwą, że przyjaźń dwu młodych wojaków grzeszy w oczach zimnych sceptyków pewną przesadą platonizmu, ale z jaką delikatnością potrafił tu Fredro oddać nieme walki i poświęcenie dusz najszlachetniejszych, które na oktarzu uczuć bratnich gotowe są złożyć w każdej chwili całopalną ofiarę z najdroższych pragnień i nadziei? Jakżeż głęboką i czystą jest ta miłość bogatej Zofii dla młodego, ubogiego wojaka, miłość, przez którą dusza dumnej kobiety chyli się ku młodzieńcowi z całą otwartością uczucia, niby kielich kwiatu ku promieniom słonecznym? Jakże piękném, chociaż zbyt może lekliwém, jest nieśmiałe, tajone uczucie Zdzisława, który zbrojny szlachetną dumą ubóstwa, nie

śmie podnieść oczu na swą ubóstwianą, aby niedoświadczyć pogardliwego zawodu.

Nieporozumienie tych dwojga kochających się serc opiera się na subtelnych drażliwościach i delikatności uczucia, właściwych charakterom promiennym urokiem wysokiej czystości moralnej i piękna duchowego i dlatego też posiada poetyczny urok dla każdego, kto tylko wierzy w czarodziejstwo potęgi uczuć szlachetnych, w anielskość serc, niezwarzonych studzącym powiewem sobkostwa. Cała ta uczuciowa strona komedyi, chociaż pod względem scenicznym, przeprowadzona zbyt może rozwlekle, posiada wiele, bardzo wiele poetycznego uroku i serdecznego ciepła, które rozgrzewa słuchacza, tém bardziej, że w tych uczuciach bije tętno szczerzej, sympatycznej swojskości.

Nie mało przyczyniła się także do powodzenia komedyi ta okoliczność, że została wznowiona, z powodu czterdziestopięcioletniej rocznicy działalności Żółkowskiego, którego publiczność i zwolennicy sztuki uroczyście w tym dniu i rozgłośnie uczcili, uznając niespożytą siłę, potęgę jego talentu, co do ostatnich chwil zachował swą młodzieńczą dzielność.

Notując ten fakt, tak wyraźnie odznaczony na tle scenicznego ruchu, nie wdajemy się bliżej w ocenę zasług artysty dla naszej sceny, gdyż cała rzesza kolegów wyręczyła nas w tej mierze, a jednomyślny wyrok krytyki i opinii już dawno tę sprawę stanowczo rozsądził.

Rzucając teraz okiem na ogółne rezultaty przyrostu naszej dramatycznej twórczości w zeszłym roku, widzimy, że obok utworu stanowiącego ważną kartę w dziejach literatury naszej, znakomita większość oryginalnych płodów nie miała w sobie siły żywotnej, aby zapewnić sobie mniej lub więcej znaczny okres trwałości na deskach scenicznych. Nawet autorowie, którym świeciła już szczęśliwsza gwiazda powodzenia, tworzyli jakby pod niefortunnym zaklęciem, nie mogąc dorównać wartości poprzednich swoich płodów. Jestto naturalny bardzo objaw, gdyż twórczość dramatyczna tak jak każda produkeya fantazyi, niepodlega prawom postępowego rozwoju, ale falowaniom zależnym często od niewyśledzonych tajemnych przyczyn. Wziąwszy pod uwagę, że *Pan Dumazy* jest utworem, który pojawił się na widownię literacką w roku zaprzeszłym, musielibyśmy zeszłoroczny nabytek oryginalnej literatury dramatycznej uznać za bardzo ubogi, gdyby istotnie w ruchu sceny naszej znajdowała ta gałąź twórczości swe całkowite odbicie.

Daleko korzystniej przedstawi nam się przyrost literacki dramatu naszego, gdy zaznamy, że w roku zeszłym Asnyk napisał *Kiejstula*, Okoński *Piękną*, Rapacki *Maćka Borkowica*, że obok tych utworów, posiadających wyższą literacką wartość, Zalewski zyskał sobie niezwykle i zasłużone powodzenie na letnich scenach, komedją: *Artykuł 264*, pełną żywego ruchu, napisaną efektownie i z niepospolitemi chwilami, humorem i sceniczną zręcznością.



Przy takim uzupełnieniu, plan zeszłoroczny nie może się nazwać ubogim, témbardziej, że trzy wyżej wymienione utwory dopełniają całości obrazu, jako objawy i dążenia ku podnieściejszym zadaniom sztuki. Smutnym tylko jest objawem w rozwoju naszej sceny, że właśnie dzieła promienne światłem wyższego artystycznego posłannictwa, najtrudniej znajdują gościnność na jej deskach, gdy tymczasem niejedna bez szkody literatury zadrzemnąć w pyłe zapomnienia.

Chociaż jednak poważniejsze dramata oryginalne świeciły w roku zeszłym swą nieobecnością, w szeregu nowości repertuarowych, z zadowoleniem zaznaczyć wypada wybitny zwrot reżysyeri, ku temu najwyższemu rodzajowi sztuki dramatycznej, który się objawił w wystawieniu jednego arcydzieła Szekspira i dwu celniejszych dramatów niemieckich.

Tonący w mrokach legendowej fantastyczności *Makbet*, wywarł na deskach naszej sceny wrażenie wcale silne i pomimo ponurego nastroju i niezupełnie świetnego wykonania, zyskał powodzenie.

Pełna energicznej siły poezya Szekspira wywarła swój urok nieprzewyciężony, a tragiczna postać szkockiego wojaka, który dłonią fatalizmu popchnięty, z bohatera stał się zbrodniarzem, oraz demoniczny charakter jego żony, wywołały wrażenie tragicznej grozy, spotęgowane tajemniczym i fantastycznym kolorytem scen czarodziejskich.

W ramach ogólnego sprawozdania niemożemy się wdawać w szczególnie rozbiór arcydzieła, niedłatego jednak abyśmy po tylu studyach krytyków i komentatorów niemieli coś nowego o nim do powiedzenia, gdyż wickuiście żywotna treść dramatów wielkiego poety jest tak niewyczerpaném źródłem dla myślącego badacza, jak wewnętrzne życie człowieka, którego Szekspir tak wspaniale stworzył prototypy. Nie chcąc jednak ubliżać jego pamięci wytartemi komunałami, niemogąc w ramach pracy niniejszej rozwinąć specjalnych i samodzielnych poglądów, notujemy fakt wprowadzenia *Makbeta* do repertuaru jako krok postępu, zbliżający naszą scenę do poziomu europejskich świątyni dramatycznej sztuki, i wyrażamy istotną wdzięczność reżysyeri obecnej za to, że zwróciła znowu swą działalność ku zapomnianym od pewnego czasu sztukom prawdziwie wzniosłej poezyi.

Bardziej jeszcze do wyobraźni słuchaczy przemówił poetyczny dramat Halma: *Syn puszczy*, głównie dzięki swój zewnętrznej malowniczości i romantycznego nastroju. Przedmiotem jego jest uszlachetnienie pierwotnej barbarzyńskiej dzikości przez miłość, oraz apoteoza cywilizacyjnego wpływu kobiety jako czynnika miękczącego dzikość pierwotnych popędów i wciskającego w prozę życia nieśmiertelny pierwiastek poezyi. Pomysł to piękny, ale upostaciowany przez poetę istotnie niemiecką dramatycznością.

W utworze tym uwydatnił się widoczny w płodach poważnych germańskiego dramatu, wpływ filozoficznego systematyzmu. Z budowy i traktowania dramatu widać doskonale, że nieurodził się on w fantazyi autora jako gotowy i skrócony obraz poetyczny, ale napisany

został dla pomyślanego *a priori* filozoficznego założenia. Aby ucieleśnić swą *ideę*, Halm przeniósł się fantazyą w jeden z najmniej znanych momentów życia starożytnego, wybrał przedmiot akcji pozwalający mu roztoczyć malowniczą panoramę obrazów, a niekrępujący fantazyi ścisłością dziejowych danych.

Widzimy tu w fantastycznym obrazie stosunki osadników greckich w Massylii, dzisiejszej Marsylii, z koczującą w sąsiedztwie odrosłą plemienia Gallów, z dzikimi, wojowniczymi i łupieżczymi Tektosagami, których zaledwie nazwę przechowała historia. Na tle plemiennych nieporozumień dziejących się na kilka wieków przed Chrystusem, oraz koczowniczego życia galskiej dzicy, rozwinął tu Halm poetyczny obraz miłości Ingomara, dzikiego wodza Tektosagów, do nadobnej Partenii greczynki, córki Myrona ubogiego marsylskiego płatnerza, która oddała się barbarzyńcom w okup za ojca chwyconego w niewolę. Zostawszy sama w obozie półdzikich barbarzyńców, Partenia potęgą niewieściego czaru podbija ich wodza, który pod wpływem miłości, mięknie, traci swą dzikość; przerzuca się od wybuchów namiętnej żądzy, do rozkosznego upojenia, nareszcie ostatecznie uległszy czarowi greczynki, opuszcza swą hordę, przenosi się do Massylii i z wodza dzikich wojowników, zostaje czeladnikiem starego płatnerza.

Ta szybka zmiana barbarzyńca pod wpływem kobiety i miłości, odpowiada może założeniu autora, jednakże nie jest prawdopodobną, gdyż etnografia dzisiejsza dowiodła, że im niższy stopień cywilizacji posiada dane plemię, z tym większą uporczywością jego członkowie zachowują swe narodowe cechy, opierając się wpływom asymilacyjnym. Pod tym względem niemożę się ostać przed racjonalną krytyką, ani miłość Partenii dla Ingomara, z racji naturalnego wstępu Greków do barbarzyńców obrażających estetyczną ich delikatność, ani tak prędkie ujarzmienie wodza dzikiej hordy. Jest to jednak sytuacja, w którą chętnie wierzymy, której możliwością ludzimy się ochotnie pomimo nieprawdopodobieństwa. Chociaż bowiem dramat nieopiera się na realnym gruncie, daje on nam obraz pojętnej fikcji, gdyż w poezyi widzimy chętnie zwycięstwo odniesione przez idealną moc ducha, lub potężny urok piękna nad szorstką, brutalną siłą fizyczną, której tak często smutna rzeczywistość daje zwycięstwo na tym padole marności i płaczu. Chociaż psychologiczny proces miłości barbarzyńca z greczynką jest oparty na zbyt kruchej podstawie, jednakże Halm umiał odziać go w kształty pojętne, przeprowadzić przez szereg epizodów rozmaitych i malowniczych, których zręcznie obmyślane następstwo, wywiera nawet pewien stopień poetycznego złudzenia. Całe tło dramatu i zarysowanie stosunków dwu plemion jest także zupełnie dowolnym, dla znających prawo etnologii, ale posiada także malowniczy charakter—zmyślony, ale wcale uroczy i poetyczny; tak samo jak wschodnie poemata Byrona lub Moora, które pomimo całej dowolności wykazywanej przez krytyków i podróżników, przemawiają tak żywo do fantazyi.

Pod względem artystycznym *Syn puszczy* nie jest jednolicie skupionym dramatem, ale raczej luźnym poematem dramatycznym, snującym się w szeregu obrazów malowniczych owianych technieniem liryzmu. Wprawdzie w poczciwej miłosnej nadto dźwięczy nuta niemieckiego sentymentalizmu, który w ustach dzikiego syna puszczy brzmi często fałszywą nutą; wprawdzie wątek dzieła wlece się luźno w przerwowym prawie toku: ale na tle całości wybitniejszą dwie główne postacie, pełne oryginalnego kolorytu i idealnego piękna, a całość złożona z malowniczych obrazów, przedstawia się potrosze, jak dość powabna baśń fantastyczna, przemawia żywo do fantazyi słuchaczy, przenosząc ich w idealne światy miłości, wykwitłej w tajemniczym ustroniu.

Ponurą patetyczną tragedią w koturnowym stylu jest Mosenthala *Sylwa* (w oryginale *Petra*), spowinowacana treścią z Szekspirowskim *Romeem i Julią*, z tą tylko różnicą, że zamiast kłótni ulicznych swarów Montecchich i Capulettich, tłem nieszczęśliwych dziejów miłości są tu bratobójcze, zacięte walki Gwelfów i Gibelinów w XIII stuleciu, prowadzone we Włoszech z nieubłaganą barbarzyńską zaciętością. Nienawiść stronnicza występuje tutaj tak jaskrawo, że nawet swym jadem samą miłość zatrąwa. Główna bohaterka tragedyi, energiczna córka włoskiego magnata Tiro hr. Campetri, wykarmiona przez starego ojca w wspomnieniach bratobójczych zatargów, pokochawszy jednego z wrogów, Manfreda, nieprawego syna hr. Ezzelina, ocala go z rąk mściwego ojca, upaja się rozkoszą uczucia wykwitłego wśród wrzawy bojów i zgrzytu nienawiści. Z powodu fatalnego jednak poplątania wypadków, mniema ona błędnie, że kochanek jest zdrajcą i szpiegiem i sama uzbraja miecz zemsty przeciw niemu. Dopiero przed zgonem kochanka, słysząc z ostatniem technieniem wybiegające z ust jego wyrazy tęsknoty i miłości, uczuwa znowu cały bezmiar swój straty i zabija się przy jego trupie.

Tragiczność więc utworu Mosenthala polega tak samo, jak w tragedyi Szekspira na samobójstwie nadmiernie wybujałej miłości, która wiążąc serca bratnią spójnią ducha, niema tyle siły, aby zwyciężyć rozwielnioną w życiu nienawiść, a w smutnym starciu z rzeczywistością, uleż musi zgniecioną przemocą fatalizmu. Gdy Szekspir jednak nad trupami kochanków rozpala jutrznią zgody wrogich sobie rodów, w tragedyi Mosenthala katastrofa nie przynosi żadnej pocieszającej nadziei, ale wymierza tylko karę moralną na tych, co zemstę i nienawiść uczynili dogmatem swego życia. Posępne i cokolwiek przygnębiające wrażenie tragedyi podnosi jej styl koturnowy i deklamacyjność satyryczną, w której się lubują nowsi dramaturgowie niemieccy, hołdujący zbyt niewolniczo tradycyom Goethego i Szyllera. Postacie tragedyi nie są realnie ukształtowanymi organizmami, ale posiadają klasyczną, trochę półposagową powagę. Cały nastrój wytężony i posępny przypomina cokolwiek sztukowany patos stariej fatalistycznej tragedyi. Mimo to jednak Mosenthal nadał niektórym postaciom, zwłaszcza głównej bohaterce, wiele dramatycznej i poetycznej ekspresyi, umiał jędrnie pro-

prowadzić akcją, rozwiązał umiejętnie i potęgował w biegu sztuki, pod względem budowy osiągnął niepospolitą, architektoniczną skończoność tak, że jego zbyt ponura i posępna tragedia, chociaż nie odbija zbyt imponująco od innych dramatów: Halma, Heyse'go, Weilena, Wilbrandta i Jordana, jednakże jest dziełem poważnym i artystycznym, przenikniętym poetycznym technieniem, oraz przybliżonym kolorytem epoki i sprawia wcale silne wrażenie tragicznej grozy.

Z dziedziny francuzkiego dramatu zaznaczyć wypada wznowienie *Mauprata*, będącego przeróbką znakomitego romansu Sanda, dokonaną przez samą autorkę. Prawda, że utwór ten podobnie jak wszystkie tego rodzaju przekształcenia, jest artystycznie trochę nie składnym, prawda, że dużo ma w sobie efektów melodramatycznych; jednakże zaleca się wyborném przeprowadzeniem głównej postaci, nadającej mu piętno wewnętrznej jedności, oryginalnym i do cna poetycznym kolorytem życia francuzkich rozbójniczych rycerzy, tak, że stanowił bardzo pożądane urozmaicenie repertuaru, zajmujące żywo i nie szkodliwie imaginacją słuchaczy.

W dziedzinie komedyi scena nasza w roku zeszłym zapożyczyła mniej niż kiedykolwiek nowości od francuzkiego repertuaru. Najwyborniejszą z nich była pięcioaktowa komedia Sardou: *Poczcwi Wiesniacy*, należąca do trochę dawniejszych, ale najbardziej renomowanych płodów autora: *Rodziny Benoitów*. Obyczajowo-społeczna komedia oparta jest na stosunkach lokalnie francuzkich, nie zawsze dla naszych słuchaczy zrozumiałych. Występuje tu bowiem antagonizm Paryża i prowincyi, który tak wybitnie rysuje się w ostatnich latach dziejów politycznych francuzkich. Komedia Sardou napisana za czasów drugiego cesarstwa, przez niekoniecznie bezinteresownego zwolennika imperyalizmu, przejęta jest potrosze duchem administracyjnego despotyzmu i uwielbieniem dla pięściowych urzędników, pogardliwie traktujących wiejską hołotę. Te polityczne jednak motywy autor schował zrećźnie za kulisy sztuki, okazując tylko spory i niesnaski na partykularzu, wynikłe z niechęci żywołu miejscowego do osiedlających się przybyszów z wielkiej stolicy, którzy narzucają im swą wyższość. Komedia ta zresztą zbudowaną jest według zwykłej metody „wielkiego bawiciela Francyi.” Pierwsze akta są szeregiem barwowo i zrećźnie malowanych rodzajowych obrazków, w których autor wypowiada z niezmierną finezyą swe satyryczne intencye; od aktu trzeciego zaczyna się spletany dramat namiętności, oparty na sytuacjach jaskrawych, na motywach niekiedy bardzo naciągniętych, prowadzony z całą niezrównaną biegłością sceniczną techniki, a nawet od pewnego punktu z psychiczną konsekwencyą i dosadném traktowaniem momentów dramatycznych. Jak zwykle, Sardou łączy tu zdolności bystrego obserwatora, ze sprytem troszeczkę kuglarskim, tak, że dając szereg scen i obrazów będących odbiciem zewnętrznej prawdy życiowej, płacze, wikła sztucznie logikę wypadków, poświęcając nierządco głębszą konsekwencyą dla olśniewającego efektu.

Wartość sceniczna komedyi znakomicie przewyższa jej niezaprzeczone literackie przymioty i zapewnia jej niezwykle powodzenie.

Rozgłosem nieco skandalicznym cieszyła się także trzechaktowa farsa francuzka pp. Najac i Hennequin *Pieszczoszek (Bébé)*, jedna z najgłośniejszych sztuk współczesnego francuzkiego repertuaru. Jest to igraszka sceniczna, oslepiająca szybkim ruchem sytuacji, oryginalnością efektu i żywością dowcipu. *Pieszczoszek* jest niewątpliwie sztuką swywołną, czasem zbyt cyniczną; ale ma w sobie żywotną siłę śmiechu zaprawnego małą ilością ironii, wyśniewającej błędy mieszczańskiego wychowania dzieci, przez miękki i nierozsądny rodziców. Zwłaszcza akt drugi jest pełnym zręczności w sceniczném *imbroglio*, obfitującym w sytuacji o niepowstrzymanej sile komizmu. Bez wątpienia moralna atmosfera tej farsy nie jest budującą, ale przeciwko zbyt surowym wyrokom krytycznego puryzmu, który u nas rozwielił się nad miarę, protestuje: cały bieg historii sztuki, która w dziedzinie komicznej uprawiała i uprawia zawsze pewien stopień moralnej swawoli, przedstawiając bardzo chętnie wesołe rozochocenie się ludzkiej cielesności. Sztuka ma swoje zadanie i swoje prawa rozwoju, niezależne często od zbyt surowego rygoru etyki; jest wykwitem rzeczywistości albo jej odbiciem i służy tak dobrze wesołej igraszce, jak poważnej propagandzie idej.

Dlatego też niebędziemy zbyt rezolutnie wesołego *Pieszczoszka* kamienować kłatwami, jakie rzucali nań krytycy drapujący się ustawicznie w togę akademickiej powagi; témbardziej, że przy tak małej ilości teatrów w zimowym sezonie, reżyserya musi pomyśleć także o zaspokojeniu tych widzów, co pragną płochym śmiechem zagłuszyć choćby na chwilę dręczące troski życia.

Inna farsa będąca spólném dziełem aż trzech francuzkich pisarzy Nr. 36 i 37 (*Des mélinéto de la rue Neslay*) jest jednoaktową facecją, w której cała czereda figur kręci się przez ciąg sztuki w sposób bezładny i hałaśliwy.

Elegancją i wyższy smak artystyczny z nielogicznością założenia łączy jednoaktowa komedia Legouvé'go *Kwiat z Tlemcenu*, idealizująca niezdrową, na marzeniach nerwowej wyobraźni opartą miłość młodego dziewczęcia dla podżytego wojaka, który miał prawo i nadzieję pozyskania ręki jej matki. Pani hrabina poważna lecz niezupełnie jeszcze przekwitła wdówka, oddając rękę swęj jedynaczki, spłaca dawne swe zobowiązania sercowe względem dzielnego wojaka, który z ochotą zgadza się na młodziutką żonę, niepomnąc na to, że za lat dziesięć ona będzie jeszcze pełną życia, rozkwitłą dojrzałą kobietą, a on już starcem. Fakta podobne są możliwe, ale dzieją się wbrew zdrowej logice życia, wbrew prawom natury i niezaskługują bynajmniej na idealizowanie w sztuce, która niepowinna nigdy chorobliwości podnosić do stanowiska wzorów życiowych. Sens moralny tej komedyi może ucieszy zapóźnionych maruderów miłości, którzy zaczynają o niej myśleć gdy przeostać powinni; budzi niesmak w umysłach głębiej pojmujących zdrową

flozofię życia. Niezależnie od tego jednak, Legouvé tak delikatnie rzeźbił postacie i szczegóły sztuki, taki rozwinął wdzięk dyalogu, że jego komedia jest wprawdzie niezdrowém, ale świetném cackiem artystycznym.

Z dawnych komedyi francuzkich ujrzeliśmy komedya: *Walka kobiet*, jeden z utworów niewyczerpanego Scribe'go, który tak długo był prawdziwym królem sceny francuzkiej. Niewdając się bliżej w ocenę tej trochę już przedawniając, ale zajmującej sztuki, zaznaczymy tylko, że należy ona do lepszych utworów „Szekspira chińskich cieni,” że postacie jej żyją owém sztuczném gorączkowém życiem, którego urok ginie bez blasku scenicznych kinkietów. Gra uczuć w walce dwu kobiet o miłość mężczyzny, w której młodość zwycięża nawet serce rywalki; zajmujący bieg akcji na lekko szkicowaném tle stosunków politycznych z epoki restauracyi: wszystko to razem nawet dzisiaj wywołuje zaciekawiające wrażenie, chociaż maniera Scribe'go tak dawno się przeżyła.

Zręczną gawędą, przetykaną nitkami wykwintnego dowcipu, jest jednoaktowa komedyjka: *Czarna i biała* należąca do miłszych drobnotek salonowego dramatu.

Współczesna niemiecka komedia reprezentowaną była nieszczerliwie tylko przez rubaszną, ciężką, niedowcipną farsę *Ojezulek pozwolił*, która nikogo nieubawiła, schodząc bardzo szybko z desek sceny, do składu nieużytków.

Po raz pierwszy chyba od czasu istnienia naszej sceny publiczność warszawska poznała utwór dramaturga skandynawskiego. Dwuaktowa komedia norweskiego pisarza Björnsterna-Björnsona: *Nowożeńcy* ma ulotną wartość, jako studjum małżeńskiego pożycia, będące wynikiem zręcznej i sumiennnej obserwacyi, ujętej w ramy artystyczne. Autor bardzo trafnie odmalował tu anomalią płynącą z niedostatecznego przygotowania się kobiety do obowiązków doli rodzinnej. Młoda mężateczka nadto uległa wpływom rodziców, bałwochwalczo do niej przywiązanych, chociaż kocha niby swojego męża, jednakże nie może się zgodzić na to, aby żyć całkiem dla niego, nie może zapomnieć o tém, że należy do dawniej rodziny, zamiast zostać twórczym czynnikiem nowego domowego ogniska. Młody mąż Aksel, widząc swą fatalną sytuacyą, postanawia ją przeciąć stanowczo i na mocy służącego mu prawa odrywa żonę od rodziców, budząc przez to jej najwyższą niechęć. Wytwarza się z tego między małżonkami sytuacya nie naturalna, przykra, męcząca, którą autor kreślił z wielką znajomością tych dramatów domowych, które chociaż dzieją się w ciszy i zamknięciu, męczą jednak i zużywają tak szkodliwie moralną energią człowieka. Nieporozumienie kończy się dobrze usprawiedliwioną zgodą małżonków, w chwili gdy siła męskiego szlachetnego uczucia, zwycięża dziecinny niedojrzały upór kobiety, oraz ślepy egoizm jej rodziny. Jestto obraz przemawiający prawdą psychologiczną i dobrze wystudyowany z natury, szkoda tylko, że sam temat utworu podatny przeważnie do analizy powieściowej, w ra-

mach dramatu nie mógł być dość efektownym, ani zainteresować szerszego koła słuchaczy pomimo artystycznego opracowania.

Sumując teraz ogólne rezultaty przyrostu repertuaru dramatycznego, widzimy, że pod względem ilościowym sztuka oryginalna była reprezentowaną w roku zeszłym dość pokaźnie, gdyż wystawiono nowych komedyi 10 (aktów 23), a wznowiono jedną (aktów 4); utworów zaś tłumaczonych z innych literatur przedstawiono 11 (aktów 35). Literatura francuzka dostarczyła połowę repertuaru tej drugiej kategorii (sztuk 6, aktów 17), reszta zaś przypada na literaturę niemiecką (sztuk 3, aktów 11), angielską (sztuka 1, aktów 5) i norweską (sztuka 1, aktów 2). Pod względem wyboru i baczenia na wartość literacką utworów, kierownictwo naszej sceny małe tylko popełniło grzeszki, faworyzując niektóre słabe płody oryginalne, w repertuarze zaś tłumaczonym, ilość utworów niegodnych sceny zmalała do minimum, ograniczając się do dwu lichych drobiazgów. Obok wytkniętego już grzechu omijania cenniejszych płodów współczesnej naszej literatury, wadą układu repertuaru było niedostateczne uwzględnienie tych bieżących nowości, które obiegają szybko wszystkie sceny cywilizowanego świata. Chociaż w dobrze zrozumianym interesie każdej sceny tkwić powinna dążność do zajęcia ogółu rychłém zaznajamianiem go z najnowszymi rezultatami twórczości dramatycznej, nasz jednak teatr pod tym względem postępuje krokiem marudera tak, że nierzadko poznajemy po raz pierwszy utwory dramatyczne, gdy już gdzieindziej się przeżyły. Pod tym względem kierownictwo naszego dramatu powinno wytknąć sobie stały systemat i uwzględniać w równej mierze wyborowe nowości tłumaczone oraz oryginalne, dopełniając resztę repertuaru ze skarbcza arcydzieł przeszłości albo też utworami, godnymi wznowienia ze względu na aktorską stronę działalności sceny, która u nas stanowi bodaj czy nie najważniejszy czynnik jej materialnego powodzenia.

Niemożna zresztą pod względem zasadniczego kierunku oceniać jednolicie zeszłorocznych rezultatów działalności dramatu naszego, którego ster kierowniczy od lat kilku w coraz to inne przechodził ręce. To pewna jednakże, że możemy zaznaczyć w tej mierze pewne prognozyki zmian pomyślnych, a nadewszystko bacniejsze zwrócenie uwagi na poważną część repertuaru, tak zaniedbaną od lat kilku. Już poprzednia reżyserya dała w tym kierunku znak życia wystawieniem *Sylwii*, obecna zaś *Makbetem* zapowiedziała nowy zwrot kultu arcydzieł, a pod względem staranności inscenizacyi i układu artystycznego, dała dowody dbałości i postępu.

Pośrednią zasługę ożywienia poważnej części repertuaru naszego, przypisać także należy wpływowi nowej seryi występów wielkiego włoskiego tragika, który w roku zeszłym po raz drugi pojawiwszy się na naszej scenie, ukazał nam wszechstronną potęgę swego zdumiewającego talentu. W roku zeszłym kilkoma treściwymi zarysami, nakreśliłszy ogólną charakterystykę jego gry, opartą na wykonaniu pięciu ról Szekspirowskich; poznawszy jednak obecnie daleko większy cykl jego

kreacyi, czujemy się w obowiązku uzupełnić ten profil kilkoma równie skąpymi rysami, gdyż cel niniejszej pracy i zakres pisma, nie pozwalają na dokładniejszą ocenę całego bogactwa i téj wspaniałej twórczości autorskiej. W rolach Szekspirowskich Rossi ukazał dotychczas jedną metodę gry swojej, opartą na podniesieniu do najwyższej potęgi pierwiastku *estetycznego*, na idealizowaniu wielkich typów Szekspira, opartém na podstawie prawdy psychicznej i ujęciu całości w nieposzlakowane kształty harmonii duchowej i estetycznej. W téj sferze działalności artysty, który jędrny, potężny, acz nieco szorstki styl Szekspira tak starannie przenikał pierwiastkiem *helleńskim*, zaznaczyć wypada mniej pomyślny rezultat jego twórczości w *Ryszardzie III*, przedstawionym bez dostatecznej demonicznej potęgi i zbyt łagodnie wystylizowanym, oraz daleko wyższy stopień poetycznego natchnienia w *Romeu*, oddanym z nieporównaną werwą młodzieńczą, tak, że artysta, pomimo nie stosownego wieku i warunków fizycznych, dokonał prawdziwego cudu odmłodnienia i dał nam poznać cały czar południowej miłości z jój wrzeniem namiętném i rozkosznými marzeniami fantazyi, kołysanej balsamiczném tchnieniem pomarańczowych gajów i zachwyta mi nocy księżycowych.

Czysto klasyczny styl gry artysty, który nim niezupełnie właściwie nacechował swego *Makbeta*, ukazał się w całym blasku w *Neronie* z dramatu *Cossy*, a zwłaszcza w *Koryolanie*, w przeróbce Szekspirowskiej tragedyi, gdzie potęga bohaterka, ujęta w formy wspaniałego antyku, dosięgła swych wyżyn w artystycznym wcieleniu. Obok tych idealnych dążeń Rossi, współcześnie potrafi być pełnym elegancyi aktorem salonowym, jako *Sullivan* w trzechaktowej komedyi Melesville'a i rozwija jednocześnie dwa zupełnie odrębne kierunki realizmu wewnętrznego i zewnętrznego. W głównej roli efektownego dramatu Giacomett'ego: *Śmierć cywilna (Morte civile)*, grając zbiegłego z więzienia skazańca, umiał z wysoką estetycznością formy połączyć styl gry, sięgający szczytu naturalności; uniał najstraszniejsze tortury wewnętrzne, najgwałtowniejsze konwulsye duszy wyrazić w kształtach zdumiewających powściągliwą prostotą, a w konwersacyjnym potocznym tonie odnaleźć niesłychane bogactwo akcentów dramatycznych, wyrażających całą gamę cierpień i porywów uczucia.

Rola ta była arcydziełem pod względem wewnętrznym, skupionej ekspresyi, a w prostej napozór formie ukazała prawdziwy bezmiar duchowej treści. Zupełną antytezę w tym kierunku stanowi *Ludwik XI*, w tragedyi Delavigne'a, zagrany, niezgodnie z pół klasycznym stylem utworu, z nie zrównaną wstrząsającą potęgą jaskrawego naturalizmu. Rola ta była prawdziwą poezią śmiertelnej agonii. Artysta przedstawił w niej walkę resztek potężnej energii z nieustannie wzrastającą fizyczną niemocą, ostatnie wysiłki potężnego charakteru, który bronił się zajądł lodowatym uściskiem śmierci.

Artysta, z nie zrównaną siłą i stopniowaniem objawów fizycznych, przez trzy akta przeprowadził powolne przybliżanie się starego króla



do grobu, postęp fizycznej bezwładności, ujawniający się w nerwowych paralitycznych drganiach, spazmatycznej czkawce i coraz to większym wycieńczeniu. Dosadność naturalistycznego kolorytu przekroczyła zwykłe normy sztuki aktorskiej, wstępując w dziedzinę patologiczną; artysta poświęcił jednak estetyczność, pojowaną w zwykłym znaczeniu siły i prawdy i wywołał ogromne, chociaż przygnębiające wrażenie. Pomimo jednak całej jaskrawości, uchronił Rossi swą kreację od wrażenia wstępu i obrzydzenia, jakie sprawia często przesada pospolitego naturalizmu w sztuce, gdyż zadaniem estetycznym gry jego, nie było przedstawienie agonii samej w sobie, ale walkę energii jednostkowej z fatalizmem natury, którego prawa ciążą tak bezwzględnie nad losem jednostek i narodów.

W całym szeregu ról wielkiego artysty, podług nas, wybitniejszą cztery jego kreacje: *Król Lear*, *Koryolan*, galernik w *Smierci cywilnej* i *Ludwik XI*, reprezentujące zasadnicze i odrębne rodzaje gry jego, z których każdy, oparty jest na zupełnie innej metodzie duchowego kształtowania i artystycznej techniki. Zidealizowany estetycznie realizm, klasycyzm, realizm wewnętrzny i jaskrawy naturalizm, znajdując w nim równie świetnego przedstawiciela, a chociaż przeważnie Rossi tworzy w pierwszych dwu kierunkach, jednakże i w dwu drugich, jako artysta niższym jest tylko ilościowo.

Z tej treściwej charakterystyki wynika, że Rossi, jako aktor tragiczny, jest indywidualnością wyjątkową, która nie da się zaliczyć wyjątkowo do tej lub owej szkoły, do tego lub owego kierunku, ale używa wszystkich i środków, właściwych wszystkim tym szkołom i kierunkom dla przeprowadzenia swoich artystycznych założeń.

W dziedzinie sztuki twórczej, zarówno jak i w dziedzinie wiedzy, znajdujemy takie organizacje wyjątkowe, które górują ponad różnymi prądami, reprezentującymi rozmaite dążenia ku wyżynom wiedzy lub sztuki. Są poeci, badacze i filozofowie, których niemożna zaliczyć do żadnej kategorii, do żadnej szkoły i poddziału, gdyż są kapłanami poezji, sztuki i wiedzy w najogólniejszym ich znaczeniu, podchwytyjąc lub rozjaśniając najgłębsze tajniki bytu człowieka i świata, nie hołdując żadnym hasłom lub sztandarom cząstkowym.

Rossi jest podobną indywidualnością w zakresie sztuki aktorskiej, której jednak sam *wykonawczy* charakter nie pozwoli wzbic się energii duchowej człowieka do tej wyżyny, z jakiej gieniusze rzucają w mętne fale ludzi, potężne, twórcze idee wiedzy lub wiekowe arcydzieła sztuki.

Zastrzegając się w tej mierze od przeceniania doniosłości arcytworów sztuki aktorskiej, zaznaczamy tylko, że Rossi, w stosunku do pomysłów poezji, jest nie tylko wykonawcą, ale często twórcą współczesnym lub modyfikującym, że przekracza tym sposobem niekiedy właściwe granice sztuki aktorskiej. Przekroczenie takie z ogólnie estetycznego punktu widzenia, daje się tylko usprawiedliwić wysoką estetyczną wartością jego pomysłów samodzielnych i uprawnieniem wyjątkowym, ale nie logiką, zasady, gdyż artyzmu wykonawczy, jako taki naj-

lepiej spełnia swe przeznaczenie, gdy nie jest sam sobie celem, ale dzielném narzędziem, krzewiącém wyższe cywilizacyjne postannictwo sztuki.

F. W.

## Tomasz August Olizarowski.\*)

PRZEZ

*Sewerynę z Zoch. Duchnińską.*

### VI.

W końcu roku 1864 zamieszkał Olizarowski w domu weteranów, pod opieką Sióstr Ś. Kazimierza. Otrzymał miejsce z przeznaczonym na ten cel rządowym zasiłkiem, dzięki zabiegom przyjaciela, który w najcięższej chwili przygarnął go do siebie. Celka klasztorna stała się cichą ostoją złamanego burzą poety, jego przedgrobowém schronieniem. Tu miał przemarzyć, przetęsknić, przeboleć ostatnie lata życia. Czasy prób i przygód zewnętrznych minęły już dla niego bezpowrotnie; ale duch poety krzepki jeszcze, pełen żywotnej siły, długo jak orzeł rozbijał skrzydła o szczeble ciasnej klatki, zaczm zdołał oswobodzić się ostatecznie i ubiedz w nieskończoność, zdala od ziemskich burz i zamieci.

Utwory poetyczne Olizarowskiego, kreślone pod pseudonimem Dydyma Olifira, w ciągu ostatnich lat piętnastu, w większej części nie ogłoszone drukiem, wiernym są wyrazem jego duszy, przeobrażającą się bezustannie w coraz to nową postać, ulatującą coraz to skorszym pędem ku słonecznym wyżynom.

Zrazu zaspokojony o pierwsze życia potrzeby, pewny, że mu na jutro nie braknie kęska chleba, ani dachu nad głową, przyjął z myślą swobodną osamotnienie swoje. Właśnie w tych czasach poznaliśmy go bliżej. Odwiedzał nas często, przebywał z nami po dni kilka, pielęgnował z upodobaniem kwiaty w naszym małym ogródku; wieczorami czytywał nam swe ostatnie pieśni i obszerniejsze poemata. W domu naszym nakreślił nawet bardzo charakterystyczną powiastkę: *Car dziewica*, osnutą na tatarskim podaniu; myśl do niej podały mu opowieści starego Tatarzyna Surreja. Oto treść oryginalnego poemaciku.

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. październik r. b.

Dwaj bracia bohaterzy wyszli z jurty, tocząc rozhovor na stepie.  
Starszy, krwawy Bułat, tak wyrzeczce do brata:

Za siódmą górą micszka Car-dziewica:  
Szerokie wieści chodzą o jój sławie...  
A w jurcie u niój, złota nie do wiary;  
Stoły tam złote, słup przed jurtą złoty,  
Wielkie jój carstwo, niezmierne obszary,  
Lud mnogi, mnogie tabuny i skoty.  
Słyszałem o niój od ludzi niestarych,  
Co mieli prawdę na ustach i ozołach,  
Że jeździ wozem o czterdziestu kołach,  
W czterdzieści koni bohaterskich karych.

Krwawy Bułat chce zajrzeć w oczy tej strasznej bohaterce. Zostawia bratu jurtę i trzody, dosiada ręczego bachmata. Koń lotem strzały przemierzył kopytami siedm ziem, wdarł się na siódmą górę; ztąd bohater zmierzył okiem szeroko rozesłane po stepie koczowiska groźnej władczyni. Zbiega co tchu w dolinę, staje przed wielką jurtą, obwieszoną złocistemi makaty. Dziewicy niema w domu, lecz powróci niebawem. I oto zaturkotało czterdzieści kół jój wozu: czterdziestu biegunów zatętni kopytami, że aż ziemia się wstrząsała.

Bułat nie zadrząk: stoi, czeka spokojnie.

Odwiązał tylko pletnię swą od siodła,  
Machnął na próbę, żeby nie zawiodła.

Sroga dziewica zsiada z wozu; krogulczy wzrok utkwiała w Bułata.  
— Precz ztąd! wyrzucić go!—woła z gniewem na sługi.—Ale nim ci spełnili rozkaz, bohater pochwyca wpół dziewczę, wywłóczy na step z jurty; co się okłada twardą pletnią.

Złamana bólem, próżno woła o litość.

Dosyć już, bracie, nie czyń ze mnie żyru  
Wronom stepowym! Opuść: miru! miru!

Bułat nie poprzestaje:

Bił, aż do zatłumień  
Głosu i uczucia: bił aż ustąpiła  
Z krwią czarną, wszystka bohatérska siła,  
Aż się pokazał krwi czerwony strumień;  
Wtedy ją zaniósł do białego morza,  
Wodą zmył zywą, napoił, ocucił,  
Do przytomności, do zdrowia przywrócił  
I nadał pozór, że była jak zorza,  
Gdy wyjdzie z nocy nad morskie odmęty,  
Pokazać światu wdzięków dyamenty.

I stało się na wywrót przysłowiu naszemu: smutne były początki lecz koniec radosny. Bułat zagarnął trzodę i tabuny bohaterki; przez siedm gór i siedm dolin wiedzie ją w tryumfie do jurty swojej. Rzecz kończy się weselem.

Inny rzewniejszy poemacik odnosi się do tychże samych czasów. Wśród długięj, wieczornęj pogadanki, opowiadał nam poeta domową tradycyą rodu swego. Według nięj, tak Olizarowie jak i Olizarowscy, byli daleką odroślą rodu serbskiego Lazara. Po klęsce na Kossowém polu, gałązka tego szczepu, uniesiona wichrem, dostała się w nadnieprzańskie strony i tam na żyznym przyjęła się gruncie. Wkrótce po tęg rozmowie, przyniósł nam dziwnie poetyczny utwór, p. t.: *Car Lazar*. Przytaczamy go w obszernęj treści, jako dotąd nie ogłoszony drukiem.

Byłato jedna z nocy mych bezsennych.  
 Nad Panteonem stał księżę gwiazd cichy,  
 Ubierał miasto w srebrne swe uśmiechy;  
 Za Panteonem kilka chmur ościennyoh  
 Czekało wodza lotnego podróży,  
 Co tam przy źródle zasnął w gaju róży,  
 Trzymając w ręku skrzydła swe rankowe,  
 U których loty odrastały nowe.  
 A w gmachu święta ludzkiego, nad światem  
 Wisiało niebo sklepieniem bogatém,  
 A w gmachu cisza, usta brylantowe  
 Kładła na domy i na drzewa śpiące;  
 Czasem spłoszona dróg żelaznych świstom,  
 Pierzchała w strony, lub na niebie czystém  
 Kryła się między gwiazdy, śpiewające  
 Pochwałę nocy, nieba i księżyca.

Siedziałem w oknie. Wzrok myśli sokołem  
 Za urokami latał górą, dołem;  
 Odblask miesiąca padał mi na lica,  
 I w magnetyczne wchodził związki ze mną  
 I myśli moje z myślami przyrody,  
 Gdzieś w nieskończoność biegały w zawody,  
 Albo rozmowę wiodły potajemną.  
 Dumka tymczasem z pieluch serca wzięta  
 I przeniesiona na mamki do głowy,  
 Poczęła z głowy dobywać rączęta  
 I poza głową szukać sobie mowy.  
 Wtém stanął przy mnie duch Cara Lazara,  
 Pomógł rączętom dobyć się i urość;  
 Lecz zamiast mowy, myśl nadeszła stara,  
 Włokąc za sobą: żul, gorycz, ponurość.

Takowe słowa powiązane w rymy,  
Rzuciła w serca płomienie i dymy.

— „Miałeś tron carski, masz oto ołtarze,  
Naród cię serbski w pieśni serca odział,  
A twój potomek o carze Lazarze.  
Nieszczęsny Polak, patrz, gdzie on się podział  
Na obcej ziemi w przytułku, w szpitalu,  
Z koroną cierpień łączy pieśni żalu!”

Ledwiec te słowa w sercu mém przeczytał,  
Drzwi się rozwarły, wszedł... kto?... próznom pytał.  
Miał gronostaje i szkarłat na sobie,  
Włos długi, złoty, postać męską, razem  
Twarz święcie jasną dobroci wyrazem.  
Wyciągnął ręce zpod purpury obie,  
Mnie do swojego przytulił objęcia  
I duszę moją, jak duszę dziecięcia  
Do swojej duszy przygarnął wesoło;  
Patrzył na moje oczy i na czoło,  
Wziął mnie całego w swoich ócz promienio,  
W błogie i święte owinął wrażenie;  
Mocą nadludzką pociągnął do siebie,  
Przywołał związki wickuiste w niebie  
I w tajemnicach ducha osadził.  
Pamięć, przez ciała zatartą przemiany,  
Dobyl, oczyścił, rozjaśnił, odnowił  
I czterech wieków rozprzezroczył ściany  
I stał się dla mnie tak żywym, tak znany,  
Tak blisko swoim i tak ukochany,  
Żem się jak dziecko, aż do łez rozczulił  
I padł do kolan, całując kolana.  
On mnie raz jeszcze do siebie przytulił:  
I była chwila w niebie tylko znana,  
Kiedy po długim, czyszcowym rozdzieleniu,  
Zejdą się z sobą krewni, przyjaciele  
I kochankowie na złączenie wieczne,  
Na szczęście wieczne.

Ja miałem tę chwilę,  
Tę arcy-chwilę! w niej odżyłem tyle,  
Takie w niej siły zagrały serdecznie,  
Że omal usta nie wyrzekłem mémi:  
Czemu mnie, Boże, zostawiasz na ziemi?  
Jakaż mną wtedy zatrzęsła potrzeba  
Zrzucenia z siebie téj z ciała koszuli,  
Którą wdział duch mój, a ludzie zatruli:  
Jakież pragnienie miałem wtedy nieba!

Tak pragnie domu wędrownik pustyni,  
 Morski podróżnik tak do lądu wzdycha,  
 A jako ziemia i dom się uśmiecha,  
 Kiedy tam czeka miła gospodyni;  
 Tak się uśmiechał do mnie dom ten ducha,  
 O którym wciąż mi gada, wciąż otucha,  
 Gdzie czeka na mnie siostra jój preczystą,  
 Najdoskonalsza miłość wiekuista  
 I gdzie prowadzi trzecia siostra, wiara,  
 Kapłanka serca!..

Rzecznie wyrzekłem do mego przychodnia:  
 Praojcze, woź mnie z sobą! wszak nie zbrodnia  
 Czogoś lepszego, czogoś choiéc dobrego:  
 Żle mi tu... źle mi!..

On na to: — Dydymie,  
 Nie czyn, jak czynią ludzie małoduszni,  
 Dzikim uczuciom i myślom posłuszni;  
 Przed końcem walki nie rzucaj oręża,  
 W walce o przyszłość, wytrwałość zwycięża,  
 Ni się wrywaj z cierpienia kolei:  
 Wielkość cierpienia jest żywota miarą,  
 Idź drogą cierpień! nie gub się w rozwiei  
 Myśli i uczuć; nie czyn się ofiarą  
 Nierządu woli i krótkości widzeń.  
 Nie przyjmuj żadnych do serca ohydzeń,  
 W czuwaniu nad niem nie szcędź nigdy troski,  
 Bo serce zawsze winno być świątynią,  
 W której się święte tajemnice czynią  
 Miłości ludzkiej i miłości Boskiej.

— Ja nie chcę cierpieć!—zawoła poeta—dosyć już wycierpiałem.  
 — A ja małoż przetrwałem boleści?—odpowie Lazar—nadaremno się zżymasz!

Cierpi nasze drzewo

Od pnia począwszy, począwszy odemnie.  
 Ileż cierpiałem, kiodym nadaremnie  
 Królestwo moje choiał przywieść do zgody,  
 Ażeby Turka od Serbii za wody  
 Przepędzić czarne! Ileż było bólu  
 W mém sercu, kiody na Kossowém polu  
 Serbia padła Brankowicza zdradą!  
 Mocno mnie, mocno zabolalo serce,  
 Gdym widział rod mój w takiej poniewierce,  
 Gdy wnuki moje musiały uchozić  
 Z ciałem i duszą, tam, na ruską ziemię!

Jam cię sprowadził z pospolitój drogi  
 I wyprowadził na drogę cierpienia,  
 Między żywota piołuny i głogi;  
 Jam w tobie zasiał bujne te rojenia,  
 Co wszystko w tobie o wiele przerosły:  
 Jam podał skrzydła, co ciebie podniosły  
 Nad poziom ludzki; jam w tobie o sławie  
 Myśl pielęgnował we śnie i na jawie.  
 Pieśni twój, serca twojego pisklęciu  
 Dałem naukę, jak z arfą colską,  
 Na dumek nutę, grać o wniebowzięciu  
 Duchowi twemu; jam cię złączył z Polską  
 Na wieki pieśnią; ja szczęście odsuwam  
 Od ciebie ziemskie! ja nad tobą czuwam,  
 Nad twojém sercem i nad twojém czołem,  
 Czuwam praojcem i stróżem aniołem.  
 Zawierz praojca nad tobą czuwaniu;  
 Wszystkiemi ducha potęgami władaj:  
 Przed końcem walki oręża nie składaj!

Odpowiedziałem w ducha rozerwaniu:  
 — Tak jest, nie ujrzę końca mój niedoli!  
 Niech się duch męczy i niech serce boli,  
 Aby gdzieś, kiedyś, wymówił: zwycięztwo!

On spojrział na mnie oczyma smutnemi  
 I głowę moją schyłał ku ziemi,  
 Ujął w swe dłonie, rzekł błogosławieństwo,  
 Zarzucił uścisk, na pościel mnie złożył  
 I sen zostawił.

Gdy oczy otworzył,  
 Ujrzałem jako promiećmi białemi  
 Dzień noc odganiał od nieba i ziemi;  
 Niebo i ziemia patrzyły z uśmiechem,  
 Na odchodzącą od nich noc z pośpiechem;  
 Kury śpiewały hasło swe poranne;  
 Dzwonek klasztorny wzywał zakonnice,  
 Ażeby niosły przed Najświętszą Pannę,  
 Z modłami usta, serca i żrenico.  
 Nad Panteonu kopułą wysoką,  
 Na obłoczkami zasiane lazury,  
 Dnia zza Tybetu wychodzące oko,  
 Słało potoki złota i purpury.  
 Wiatr obudzony, na drzewach sprobował  
 Swych nowych lotów i z chmur karawaną,  
 W pustyni niebios zwolna powędrował.  
 Jam w myślach pieścił postać ukochaną,  
 Mającą szkarłat monarszy na sobie,

Włos długi, złoty; męzką a zarazem  
 Święcie twarz jasną dobroci wyrazem  
 I ręce ku mnie wyciągnięte obie.

Obok postaci wielkiego protoplasty, inna jeszcze postać przyświecała poccie gwiazdą przewodnią. Równie drogiem było mu wspomnienie Mickiewicza. Rad odwiedzał cmentarz w Montmorency, długie nieraz godziny spędzał na wieszczą grobie. W jednej z tych samotnych wędrówek, wyspiewał pieśń na cześć mistrza i przewodnika swego. Oto jej początek:

Grób Mickiewicza! grób wielkiego męża!  
 Jakże go uczęzę? co w uczczeniu złożę?  
 Gdybym miał oręż i sławę z oręża,  
 Złożyłbym oręż; lub gdybyś Ty, Boże,  
 Dał mi liść wieszczy, zdjąłbym go z méj głowy,  
 I święcie poniósł na ten głaz grobowy.

Życia ziemskiego niebaczny wędrowiec,  
 Skarby mych uczuć zaniosłem w manowiec;  
 Z próżną skarboną wyszedłem z manowca,  
 Lutnia mi tylko pozostała jeszcze;  
 Niechże ją złożę u Twego grobowca,  
 O mistrzu wielki! o wieszczu nad wieszczec!

Z namiotu świata uciekły obłoki,  
 Słońce rozlewa blasków swych potoki:  
 Dokoła jasno, dokoła wesoło,  
 Tu tylko smutkiem mnogie ómi się czoło  
 I mnogie serce spokojność swą łamie,  
 Żalem po Tobie, o wieszczy Adamie!

Jakaż po Tobie ogarnia tęsknota!  
 Gdzie ta kolumna gorejąca ducha,  
 Co szła przed nami w pustyni żywota?  
 Zapadła w ziemię! lecz jeszcze wybuchła,  
 Jeszcze wybuchła przed duszy oczyma  
 I jeszcze przednią straż przed nami trzyma.

. . . . .  
 Mistrzu! spójrz! oto biędna lutnia owa,  
 Którąś ty Izami oblał braterskiemi.  
 Obojętności zaraza morowa  
 Chocę osadowić na niej prochy ziemi;  
 Przyniosłem senną położyć na grobie,  
 Lub na cyprysie zawiesić w żalobie.

I nie myślałem, że ręka niemłoda  
 Zechce ją zbudzić i potrafi zbudzić,  
 K'woli uczczeniu piowcy Walenroda;  
 I rzekłem: po co daremnie się trudzić?



Lecz gdym ją smutny u grobowca składał,  
Twój duch w nią wstąpił, twój duch w niej zagadał!

Nigdy poeta nie potraçał w struny lutni swojej, gdy serce silnie poruszonem nie było. W wielkiej liczbie pieśni, jakie mamy pod ręką, nie znajdujemy żadnej wywołanej pochlebstwem. Rad był jednak uczcić prawdziwą zasługę; pieśń wtedy sama wyrwała się z jego duszy, dźwiękiem samodzielnym, dalekim od konwencyonalnych ogólników. Oto kilka zwrotek z pieśni, poświęconej jednemu z zasłużonych etnografów naszych, odczytanęj publicznie, w dniu, kiedy ziomkowie ofiarowali mu zegarek, na pamiątkę znakomitych jego konferencyi.

Kto tedy na to swój żywot dał,  
By znaleźć prawdę w dziejów odmęcie;  
Kto znalezionej służył wciąż święcie,  
Ten godzien chwały, będzie ją miał.

Z jakąż radością zasłyszysz tam,  
O Tobie gwiazdom podane słowo,  
Podane piersią milionową,  
Oto ten oczy otworzył nam.

W me dobre chęci zaigrał duch,  
Chwyciłem arę biedną do ręki,  
I dobytymi naprędzce dźwięki,  
Traciłem oto o bratni słuch.

Jeżeli w serca padł jaki dźwięk,  
Niech za nim całe to chęci granie,  
Przy upominku, tak pozostanie,  
Jak przy szyszaku piór strusich pęk.

Niemniej oryginalną piosenkę znajdujemy na cześć Deotymy. Poeta skreślił ją zapewne wówczas, gdy improwizatorka nasza przed kilkunastu laty, zachwyciła ziomków w Paryżu swym nieporównanym talentem. Przytaczamy te zwrotki:

Od gwiazdeczki do gwiazdeczki,  
Latała cudna piosneczka;  
Dawnośmy, rzekła gwiazdeczka,  
Nie miały takiej piosneczki.

By pszczołka z kwiatu do kwiatu,  
Tak ona czary swojemi,  
Z gwiazdki do gwiazdki przelata.  
Znieśmy ją, rzekły, do ziemi.

Wraz jedna gwiazdeczka zniosła  
Na ziemię piosnkę niebową,  
Posiała dziecku pod głowę,  
I piosnka z dzieckiem wyrosła.

Ta piosnka nazwiska niema,  
Cudownie wychodzi ona,

Z dziewicy świeżego łona.  
Dziewicą kto? Deotyma.

Słuszny hołd brata w pieśni tém większą ma wagę, że poeta dzi-ki z natury, zamknięty w sobie, nie skorym był do sypania kadzideł. Surowo chłoszcze on zarozumiałość pisarzy goniących za poklaskiem. Znaleźliśmy wśród papierów ustęp nadzwyczaj charakterystyczny. Przytaczamy go aby dać poznać nietylko sposób widzenia poety, ale niemniej jego prozę ostrą, wyrąbaną, jakby rzeźbioną twardém piórem Reja z Nagłowic.

„Jest, mówi Olizarowski, rodzaj dygnitarzy, zwanych geniuszami... Dolo polska, jak ciebie odkłął! czém przebłągać! Dostanie kto skrzydełka jako wróblík, już ma się za orła; świeczkę ma w głowie, mniema że słońce; nauczy się mówić okrągło, składać kunsztownie wyrazy, toczyć zręcznie okresy, albo miotać pod ludzkie słuchy co przyjdzie mu na język i oko; to już kłękajcie narody! Nie uważajże takiego za geniusza, za potęgę, za wyrocznię, ośmiel się wzbudzić go ze złudzeń, rzeknij zdrową a prostą prawdę: to wejdź raczej między tarantule a niedźwiadki.”

Swobodny humor nie opuszczał zrazu poety w zaciszy klasztornej. Przesiadując w samotnej celi z piórem w ręku, żartował wesoło z biedy swojej. To błaga wierszem siostrę Ludwikę o jedną świeczkę łojową; przedstawia ile kraj straci na tém, jeśli myśl wyległa w głowie jego podczas nocy bezsennej, przebrzmi bez wieści nie pochwycona piórem. To znów przejęty na wskroś chłodem zimowym tak dotkliwym w Paryżu, kreśli na świstku swoje skromne życzenia:

Chcę mieć jeszcze surdut nowy,  
Nowe buty i chcę jeszcze...  
Już ja tego nie obwieszczę,  
Myśléć o tém, szkoda głowy.  
Lecz lisiura, ach lisiura!  
Lub baranki, lub wilczura,  
Albo jakieś inne futro,  
O tém myśléć będę jutro;  
I pojutrze i tygodnie,  
I miesiáco myśléć będę,  
Aż na słońcu znów zasiędę,  
I powitam wiatry wschodnie.  
Promieniami słońca złoty,  
Ciepły, rześki i radosny,  
Oddychając technicim wiosny,  
Myśl o futrze puszczyć w loty.  
Liś wawrzynu mnie nie łechce,  
Niech łopucha skroń zarasta,  
Mniejsza o to, sławy nie chcę,  
Ale butów chcę i basta!

Wdzięczny siostrom ś. Kazimierza za przytułek i opiekę w ich domu, wywdzięczał się pisząc rzewne powinszowania od wychowanek na imieniny przełożonej, lub małe komedyjki, zastosowane do pojęcia drobnych dziewcząt, które je odegrywały. Te komedyjki taki znalazły wkrótce rozgłos, że francuzkie siostry Miłosierdzia prosiły o ich przekład i upowszechniły je w szkółkach swoich.

Czasami dowcipny wierszyk poety sprowadził na zakład ś. Kazimierza jakiś niespodziewany zasiłek. Tak było razu jednego na Wielkanoc, skutkiem odezwy nakreślonej w inieniu siostry Maryi do jednego z zamożniejszych panów polskich.

Wielmożny panie hrabio, lubisz śmiać się ze mnie,  
 Śmieć się tedy do woli ale nie darownie;  
 W twych progach staropolska przebywa gościnność,  
 I obrała w nich sobie miejsce dobroczynność.  
 Do nich się więc uśmiecha chwalebny uczynek,  
 W postaci sześciu schabów, tyłuż tłustych szynek,  
 Kielbas łokei dwudziestu. Są to bowiem czasy,  
 Które trzeba koniecznie uwieńczyć w kielbasy.  
 Przy kielbasach i szynkach jest rzecz oczywista,  
 Muszą znaleźć się jaja: tych trzeba czterysta;  
 Zgromadzone kielbasy i szynki i schaby,  
 Zapytają: gdzie baby? muszą więc być baby,  
 Z temi kawa, herbata i cukrowe głowy.  
 Zakończywszy w ten sposób post czterdziestodniowy,  
 Gdy poczniemy święcone wychwalać i dławić,  
 Będziemy ci z wdzięcznością hrabio błogosławić,  
 A ja zaś obliczając twe datki przyjemnie,  
 Powiem wesoło: Hrabio śmieć się, śmieć się ze mnie!

Hrabia śmiał się, lecz hojnie sypaną datkiem: w tradycjach klasztornych pamiętną została ta Wielkanoc.

Ostatni to raz poeta odzywa się na ton wesoły. Nagle myśl jego sposepniała, w duchu nastąpił dziwny przełom: niemało zapewne wpłynęły na to pierwsze objawy astmy. Tego nieproszonego gościa wita on żartobliwie smętnym sonetem.

Astmo dyablicco! czego chcesz odemnie?  
 Za co mnie męczysz tak i tyle czasu?  
 Czy za to żem się ubiegał daremnie  
 O próżną sławę? o marę Parnasu?  
 Czy, żem się duchem bratał potajemnie  
 Z duchami góry, doliny i lasu?  
 Czy żem po miłość chodził w serca ciemnie,  
 Jak po truciznę w pustynie Upasu?  
 Widzisz: ni lauru ani myrtu u mnie,  
 Jak dla zajęcia, dla mnie grzbiet przyjaźni:  
 Fortuna pustą tylko błyskawicą,

Lub ogniem błędnym oczy moje drażni.  
I w świecie dla mnie jakby w ciemnej trumnie.  
Czemu mnie męczysz? czego chcesz dyablico?

Ciemność grobowa ogarnęła umysł poety. Obraz miejsc rodzinnych żywy zawsze w jego pamięci, ale czuje, że pękły ognia łączące go z tymi, których tam pozostawił. Smętnie zwrotki skreślone w dniu wielkanocnym, wiernie malują ten stan tęsknoty i zwątpienia.

Dzień Zmartwychwstania! ileż uciechy,  
Błysło przed moją duszą oczyma;  
Słyszę życzenia, widzę uśmiechy:  
Jakże mi smutno, że mnie tam niema.

Cicho-no cicho, coś serce gada,  
Myśl jakaś przykra duszy się trzyma;  
Byłaby ze mnie tylko zawada?...  
Może i lepiej, że mnie tam niema.

A jednak pragnęłyby złożyć tam skrzydła utrudzone pogonią po świecie niedościągłych ideałów.

W opuszczeniu, w poniewierco,  
Upiór żalu ssie mi serce,  
Sęp zagnieździł się w mem czole;  
I już nie wiem jak poglądać,  
Dokąd dążyć, czego żądać,  
Gdzie odetchnąć na padole.  
Ojczy Bożo! już nie proszę,  
O Edeny, o rokoszo;  
A jedynie błagam jeszcze,  
W nadbużańskiej dozwoł stronie,  
Na sen wieczny w ziemi Ionio,  
Złożyć skrzydła moje wieszczą.

Myśl ta nie opuszcza poety, wypowiada ją coraz to nową zwrotką.

Dla siebie dość mam, jak sen nie przeminę,  
A jeśli naród w tryumfu godzinę,  
Bluszczowym liściem okryje mi skronie,  
I w swym pomieści kiedyś panteonie.  
Czy straż mych kości będzie przy marmurze,  
Czyli też polne pogrzebią je burze,  
Mało się troszczyć, dośćby dla mnie było,  
Nie cudzoziemską okryć się mogiłą.  
Nie obcą mową mieć sen przerywany,  
Nie obcą ręką kwiat na grobie rwany,  
Na Ionio ziemi swój położył głowę,  
I dźwięki pieśni zasłyszć domowo.

Samotność cięży poccie, czuje on jeszcze krzepkie siły, duszą rwie się do czynu... napróżno... droga działania już dla niego zamknięta. Myśl ta doprowadza go do rozpacz.

Już więc mam zgasnąć w mejej samotności,  
 Jak od ócz słońca gaśnie iza jutrenki,  
 Jak ognik błędny od wietrzyka gaśnie,  
 I tak się rozwinę i zagłuchnę właśnie,  
 Jak w puszczy oho samotnej piosenki.

W tym chorobliwym stanie poeta przyszedł do zupełnego zwątpienia, utracił wiarę w własne siły, niema gdzie spocząć myślą. Śpiewa jeszcze, ale nie wierzy w potęgę pieśni własnej, czuje jakby ciężącą na nią klątwę.

Harfo przekłęta! harfo pełna jęków,  
 Nigdyż przekleństwa czas nie zdejmie z ciebie?  
 Nigdyż nie wrócisz do tych błogich dźwięków,  
 Któreś w młodości zostawiła niebie?  
 Duchu ty smutny, nigdyż nie przesiliśz  
 Fali cierpienia, wciąż na ciebie gnanój?  
 Nigdyż ty życia mego nie rozmilisz,  
 Uśmiechem doli, nadzieją wygranój?

\* \* \* \* \*  
 Zanosilo się na sto skrzydeł we mnie,  
 Gdym się do lotu wieszczego sposobił;  
 Gdy przyszło lecieć, szukałem daromnie,  
 I dwojga całych; smutek mnie przerobił,  
 Smutek ołowiem nakrył moją wiosnę,  
 Niémam sił palmy; z ciężaru nie wzrosną.

Ol pieśni biedna, jam sercem po ciebie  
 Chodził do nieba, a danój mi w niebie,  
 Słusznie wierzyłem, że się przedrzeć zdoła  
 Do sere tam ludzkich, że ztamtąd wywoła  
 Zdroje współczucia... Wiecznaż mi tęsknota,  
 Wiecznaż mi droga w pustyni żywota.

W poemaciku *Syn niedoli* głębiej jeszcze sięga do dna zbolałej duszy, wydobywa z niej całą gorycz:

Syn ja niedoli, na mnie bóg Parnasu,  
 Tehnął i położył znak poczui boski.  
 Znak ten odgarniać miał odemnie troski,  
 Bronić przez wieki od zniowagi czasu,  
 A światło życia dobyć ze mnie nowe,  
 Ludzkiemu światu pokazać mą głowę,  
 W krąg otoczoną promienistym wieńcem,  
 Jak głowę słońca... Miałem miliony,  
 Zwyciężyć pieśnią i zostałem jeńcem  
 Boleści ducha. Tryumf błogo śniony,

Smutno się prześnił. Gasnę w samotności,  
 Gasnę by wody samotna kropelka,  
 Lub iskra niebios, zaledwo przez szkiełka  
 Sztuczne widziana.

Z świątyń miłości, nadziei i wiary,  
 Wyszedłem w puste ludzkości obszary;  
 Świat mnie otoczył smutkiem i tęsknotą,  
 Duch mój zdludniał i zostałem oto,  
 Bez zakonnika ślubów, zakonnikiem.

Poeta nie zasklepił się jednak w samolubnej boleści, płacze on łzami drugich, cierpi cierpieniem drugich. Wypowiada to w odczwie do przyjaciela.

Piekłem jest ludzkość i odludztwo piekłem.  
 Wybrałem łejsze, w odludztwo uciekłem.  
 Nie myśl atoli, żebym czuć zaprzestał,  
 Lub żebym o nie już na świecie nie stał;  
 Jest krzyk na ziemi, który mnie porusza,  
 Są płacze, jęki, któremi ma dusza  
 Płacze i jęczy!..

Trawiony goryczą unikał towarzystwa, rad przesiadywał w swojej celi, pomiędzy ludźmi czuł się najbardziej osamotnionym. Pióro jedynym było powiernikiem tych codziennych udręczeń, tej głębokiej tęsknoty. Ileż bólu w tych słowach:

W móm biedném sercu nie puchy, nie miody,  
 Z mojego serca głowę wydobywa  
 Stara żałoba i smutek nie młody,  
 Rzadkim w mój głowie gościem myśl szczęśliwa.  
 A w moim duchu pragnienia i głody,  
 A w mojej duszy ciemność przeraźliwa,  
 Istno w niej kłęby wiją się padalce,  
 Waleczę z rozpaczą, coraz słabiój walczę.

Nie były to owe czeze skargi, powtarzane w chór za Byronem przez tylu niezrozumianych, skłóconych z życiem Child-Haroldów, jakich wydały literatury wszystkich ludów europejskich, w pierwszej połowie XIX wieku. W każdym słowie Olizarowskiego podzwania szczerą prawdą. Żal jego nie udany, potrzebaż mu było wyrabiać go sztucznie w wyobraźni, skoro miał do niego tyle najszustniejszych powodów? Z wyjątkiem wielkich poetów, jak: Mickiewicz, Bogdan Zaleski, Goszczyński i znakomitych krytyków, jak: Tyszyński, Grabowski, Al. Chodźko, ogół nieumiał zrozumieć go ani ocenić. Forma wiersza jego oryginalna, niekiedy chropawa, odstraszała tych, którzy nad głębokość myśli przekładają zewnętrzną ogładę w wyrażeniu. Smutne wreszcie czasy przyszły na początek, powiew realizmu dziwnie ostudził serca. Poeta nasz widział powstającą w umysłach walkę, tę zaciętą walkę

przeciw idealnym marzeniom, która niestety znalazła dziś u nas tylu paradoksalnych rzeczników. Wychowanek—co więcej: jeden z twórców szkoły ukraińskiej, przeczuwał duchem te gromy wzbierające na widnokręgu, które miały ugodzić w gmach romantyzmu, wzniesiony geniuszem wielkich poetów naszych. Wobec tego zamętu pojęć, smutny rozbiitek szamocze się rozpaczliwie, wyrzuca z piersi grad palących pocisków.

Śpiewam wśród trupów,  
 Śpiewam do słupów,  
 Ach! ileż męk,  
 Moje śpiewanie.  
 To serca rwanie,  
 To jęków jęk.

. . . . .  
 Wśród żywych ludu,  
 Gorzej niż w trumnie.  
 Zkąd ludzi taka,  
 Do mnie odraza?  
 Jakby do ptaka,  
 Co sypia we dnie,  
 A nocą głosi,  
 Złe przepowiednie,  
 I śmierć roznosi?

Nie bajroniczne to uniesienia, każde słowo drga bolem, każde kreślone krwią i łzami.

Poeta cierpi nad sobą, ale bardziej jeszcze cierpi nad chorém społeczeństwem. Jakaż to przepaść boleści w owój skardze.

O pieśni moja! pieśni niestety!  
 Przyszłaś ty na świat w bardzo lichą porę,  
 Serce ludzkości stare dogorywa,  
 Stare zepsuciem i starością chore.  
 Na myśli życia próżno się zdobywa,  
 Już zoh to drzewo, co straciwszy korę,  
 Pozótkłym liściom uśmiecha się światu,  
 A nie przyrzeka owocu ni kwiatu.

## VII.

Duch poety wyszedł zwyczajko, rozpacz zamilkła w jego sercu, pokonana siłą woli i żelazną pracą. Z całą energią zabrał się do dramatów. Niepospolita zdolność chwytania charakterów i wprowadzania w grę uczuć ludzkich, wiodła go na to leżące u nas odłogiem pole literatury. Liczba dramatycznych jego utworów dochodzi do trzydzie-

stu <sup>1)</sup>); tworzył je różnemi czasy, połowę ich odnieść możemy do lat ostatnich, przepędzonych w ciszy klasztornej. Niepodobna nam mówić dziś o tych wszystkich utworach. Krytyczne ich ocenienie zostawiamy do innych czasów, ograniczymy się tylko na pokazaniu kilku z nich, aby dać poznać rozmaitość pomysłów i bogactwo fantazyi autora. Gorący czciciel Mickiewicza postanowił przetłómaczyć na wiersz polski dwie dramatyczne jego prace, skreślone prozą francuzką. Jedna z nich, p. t.: *Jakób Jasiński*, obejmuje tylko akt pierwszy dramatu dziejowego z końca zeszłego wieku. Występują w nim obok siebie dwa światy, całkiem od siebie różne strojem i obyczajem; świat staropolski rozmiłowany w przeszłości i świat dworski sfrancuziały na wzór Stanisława Augusta. Też samą myśl rozwinął Korzeniowski w komedyi *Wąsy i Peruka*. Drugi pięcioaktowy dramat Mickiewicza: *Konfederaci Barscy*, zaginął był w dyrekcji jednego z teatrów paryzkich, pozostały tylko w papierach wielkiego poety dwa początkowe akta. Olizarowski przetłómaczył je polskim wierszem w sposób godny oryginału i uzupełnił dzieło trzema następnymi aktami. Praca ta żywo go zajęła, błogostawiał Mickiewicza, iż otworzył mu do niej pole, wdzięczność wyraża w czterowierszu:

Dążąc za Melpomeną w przepaść się dostałem.  
Podajże mi kto rękę: z przepaści wołałem;  
O! mędrki, samoluby, o! bezduszne karły,  
Patrzcie, podał mi rękę Mickiewicz umarły!

Pierwsze dwa akta *Konfederatów* drukowane były w *Przeglądzie krakowskim*; podziwiano w nich bogaty język tłómacza, podzwaniającego tętnem Zygmuntofskiej epoki,

Z oryginalnych utworów wspomniemy tu naprzód *Omanki*, śliczny czarodziejski dramacik. Poeta wprowadza nas w świat fantastyczny, na tatrzańskie podgórze. Królowa Echna panuje tu nad chmurą zaklętych dziewic; rodzone to siostry Wil serbskich i naddnieprzańskich Rusatek. Powołane głosem Echny, wybiegają na połoninę; radzą z nią razem jak zakląć grożące im niebezpieczeństwo. Królowa Kungunda, świeżo owdowiała po królu Bolesławie, przywdziała odzież zakonną i miejsce to obrała na cichą ustron dla siebie i towarzyszek. Tylko patrzeć, stanie krzyż na szczycie tój opoki.

Długo trwa rozhovor. Dziwno bogactwo fantazyi rozwinął poeta w scharakteryzowaniu tych istot tajemniczych. Jedna z nich wy-

<sup>1)</sup> Oto spis wiadomych nam dramatów, komedyi i drobnych obrazków dramatycznych Olizarowskiogo: *Zygmunt z Szamotuł*, trylogia, *Krystyn z Głodowa*, dramat, *Rogniada*, trylogia, *Zemsta Rogniady*, *Konfederaci Barscy*, *Jakób Jasiński*; *Bogusławscy*; *Dziewica Erynu*; *Rada w Chęciwach*; *Wulpołup*; *Morowa*; *Ugrom*; *Etoria*; *Noc hiszpańska*; *Allan i Aurora*; *Wołody*, *Mojna*; *Omanki*; *Na ziemi i niebie*; *Skąpiec chiński*; *Twardowski*; *Prima Aprilis*; *Pod Feniksem*; *Jakie posłanie takie spanie*; *Darmozjady*; *Worów*; *List do Matki Boskiej* i inno komedyjki dla dzieci u ś. Kazimierza.



obraża grozę: pod jęj spojrzaniem wszystko zmienia się w martwy kamień; inna uosabia szaloną boleść. To ofiara strasznego olbrzyma, który ściga ją bezustanku. Posłuchajmy jęj skargi:

SZALONA (*do księżycy*). Schowaj, schowaj twe promienie,

Rzuć mu w oko mgły i cienie;

Niech ślad za mną ma bezdroże:

Do przepaści zajdzie może!

(*do Omanek*).

Przez parowy, przez potoki

I przez rzeki i przez góry,

Stąpa olbrzym jednooki,

Krwawy, chciwy i ponury;

Rozpósciera strach dokoła,

Straszny potwór! czoła nie ma,

Okiem tylko w miejscu czoła

Wzrok wytknięty prosto trzyma

Uczynkami prawo łamie,

A słowami chytrze kłamie.

Każda jego chęć zbójceką,

Każda jego myśl zdradzieceką:

Z jego drogi wszystko znika;

Na biesiadach z upiorami

Po kawałku świat połyka,

A zapija krwią i łzami.

Co ta gada? co ta gada?

OMANKI.

SZALONA.

Nie wierzycie? wam niewiara,

Wam swawola, a mnie kara,

A mnie męka.—Biada! biada!

Od skarg moich ziemia pęka:

Twarz wystaje grozą mroźna,

Z chmur tumanu sterczy ręka

Płomienistym mieczem groźna.

Od mych żalów skały płaczą.

Moje żale co wam znaczą?

W waszych sercach pustki szczerę;

Święci Pańscy z Aniołami

U stóp Pana, nad pustkami

Serc, śpiewają *Miserere*.

Cóż ów olbrzym?

OMANKI.

SZALONA.

Idzie w ślady:

Idzie za mną; z mym pogrzebem,

Z myślą wiecznąj mój zagłady!

Do mnie przypiął swoje prawo,

I uczynił mnie swą strawą;

Cóż więc począć? gdzie się podziąć?

Gdyby ziemią się przyodziać?

Achl co czynić, co z nim począć!  
 Nie da ożyć, nie da spocząć,  
 Wziął mi spokój, wziął mi zdrowie,  
 Rozwścieklił się i rozsrożył,  
 Utkwił topór w mojej głowie,  
 Kolce ostrza sztucznie złożył,  
 I uczynił mojem łozem,  
 I łez szuka nadaremnie:  
 Krew wyciekła już pod nożem;  
 Łzy wyciekły wszystkie ze mnie  
 I krwi nie mam i łez nie mam!

Święta królowa ukazuje się nagle w orszaku zakonnych dziewic, zatyka krzyż na szczycie opoki.

„Tu, rzecze, stanie klasztor; a wy Omanki pobratane z przyrodą płasajcie sobie swobodnie z wietrzykami, radujcie ucho przechodniów słodkim poszeptem waszym.” Szalona patrzy w krzyż Zbawiciela i otucha wraca jój zmysły.

W pośród historycznych dramatów Olizarowskiego, znakomite miejsce zajmuje *Krystyn z Gozdowa*, pięcioaktowy utwór wysnuty z średniowiecznych dziejów Mazowsza. Charaktery osób wybornie tu oddane; akcja postępuje żywo; niedopatrzyć nigdzie próżnej sceny. Szczegółowy rozbiór wykaże niepospolite piękności tego dzieła, dotąd nieogłoszonego drukiem.

Rzecz odbywa się w Płocku. Książę Konrad trawi dnie na rozpuście, miód leje się strugą przy stole biesiadniczym. Obok księcia widzimy dwu możnowładzców; jednym z nich wojewoda Krystyn z Gozdowa; mąż prawy, żelaznego ramienia i żelaznej woli; drugim kanclerz Jan Czapła, ulubieniec księcia, intrygant.

W akcie pierwszym kanclerz przemyśla, jak zgubić nienawistnego mu wojewodę.

Trzeba się bronić wszelkimi sposoby,  
 Trzeba w grę puścić pazury i dzioby;  
 I lisie kity i szpony jastrzębie;  
 Trzeba pokazać żeśmy nie gołębie,  
 Ani kokosze...

Przybywa Mazur Wojtaszek; wraca od Jadźwingów i Litwinów, wysłany tam w celu zawiazania przymierza z sąsiadami. Zdaje sprawę z różnych swych zabiegów.

Przymierza pojąć nie chcą, czy nie mogą;  
 Jadźwing powiada że on już przymierze  
 Zawarł z powietrzem piersią, z ziemią nogą,  
 A ręką z dzidą...

Przy jego wodzu zasiadł po prawicy  
 Głód drugim wodzem, a chłód po lewicy  
 Jako wódz trzeci; on to chce i to wie  
 Co chcą i co mu rzekną ci wodzowie.

Z nim próżno gadać! on z biedy urąga;  
 Gdy ostrzy topór albo łuk naciąga,  
 Dostanie sobie czego mu potrzeba:  
 Strzałą polecą po ptastwo do nieba,  
 W las po zwierzyń, a za brody Narwie  
 Toporem skoczy po skopy, po karwie,  
 Po sadło, krupy, po chleb, po kozuchy,  
 I po żelazo; zresztą ślepy, głuchy...  
 . . . . . Z Gerosem z za Niemna,  
 Téz o przymierzu mowa nadaremna,  
 Uczucie jeszcze z rozumem tam w buncie:  
 Sadzić przymierze na tym dzikim gruncie,  
 To gruszki szczepić na wierzbie, na sośnie.  
 Nim ujrzą światło, co na krzyżu rośnie,  
 Póty tam marne wszelkie nasze trudy.

Kanclerz usnuł już plan zdradziecki; czas mu przystąpić do działania; wypowiada myśl swoją Mazurowi. Wszystek lud Mazowsza rozmiłowany w wojewodzie: potrzeba skłonić ten lud, aby krzyknął pod zamkiem:

„Być Krystynowi na miejscu Konrada.”

Wojtaszek nie pojmuje zrazu, co to znaczy? Zna on nienawiść kanclerza do Gozdawy. Zkądże tak nagła zmiana?

— Nie idzie tu o rzecz ale o słowo, rzecze kanclerz; niechaj pogrożka będzie przestrogą księciu Konrowi.

Prostoduszny Mazur odtrąca tę myśl ze wstrętem:

Rzecz niebezpieczna powierzać to sile;  
 Co budzi się wiekami uspioną.  
 Jeśli lud dzisiaj rozrządzi koroną,  
 Jutro głowami, a pojutrze wszystkiém  
 Rozrządzać zechce, i bawić się będzie  
 Wszystkiém, jak dziecko słomką albo listkiem.

Kanclerz usiłuje złamać ten opór, w kilku śmiałych rysach kreśli obraz księcia Konrada:

Nie widzisz  
 Chmury nad sobą? piorun w niej gotowy!  
 Wiesz, książę w długie nie wdaje się mowy;  
 Weźmie do ucha co mu podam o kim,  
 W chwilę po rzekomym namyśle głębokim:  
 Milcząc, osobę palcem tylko wskaże,  
 Albo wymówi nazwisko, a strażę  
*Ojeze nasz* zmówić zaledwie pozwolą;  
 Oderzną język, lub oczy wykolą;  
 Zetną, powieszą, lub w wieży na spodzie  
 Na wieki zamkną o głodzie, o chłodzie!

WOJTASZEK. Straszne to rzeczy, myśl o nich przeraża,  
 Mrowie przechodzi, podnoszą się włosy:  
 Duch z piersi krzyczy gwałtu w niebogłosy!

— We mnie znajdziesz obrońcę! — zawoła kanclerz; — wykonaj  
 moje rozkazy a hojnie cię nagrodzę. I rzuca mu kiesę pełną złota.

Wojtaszek odtrąca z pogardą złoto; kanclerz klaszcze w ręce:  
 wchodzą dwaj zbrojni sudy:

— Do wieży! krzyknie pan, ukazując Mazura.

WOJTASZEK. Jakiż prawem?

KANCLERZ. Do silnych należy

Takie pytanie.

WOJTASZEK. Bezprawie!

KANCLERZ. Do wieży!

Droga do zbrodni stanęła otworem. Wchodzi Skórka; w nim  
 kanclerz znajdzie powolne sobie narzędzie. Skórka wyciąga chciwie  
 rękę po złoto.

— Nie pora jeszcze! — zawoła kanclerz — to złoto wówczas dopie-  
 ro przejdzie w ręce twoje:

Gdy wielka ludu wykrzyknie gromada:

„Być Krystynowi na miejscu Konrada!”

Skórka wybiega co tchu; nagle daje się słyszcć tętent koni.  
 Kanclerz pokraśniał radością; patrzy w okno, widzi dwu rycerzy w bia-  
 łych płaszczach; mówi sam do siebie z tryumfem:

Henryk de Salza, wielki mistrz krzyżaków,

Jak to oznajmił listem, śle tu posły:

Z Jerozolimy oręż wyniesiony,

Pragnie poświęcić dla naszej obrony;

A wybrał porę, jakby mu do ucha

Dostał się z nieba szept Świętego Ducha!

Podczas gdy kanclerz przyjmuje postów, akt drugi wprowadza  
 nas do izby radnej. Spotykamy tu księżnę Agazyą i wojewodę Kry-  
 styna. Księżna ze zgrozą słucha szalonych okrzyków, dobiegających  
 z ościennéj sali, gdzie księżę biesiaduje z drużyną. Ona tu czuwa nad  
 dziećmi swemi jak lwica nad lwięty swemi; odgania ich od tych pro-  
 gów, aby im do ucha nie docisnął się odgłos rozpustnych pieśni. Kry-  
 styn uspokaja księżnę:

Nierozpaczajmy o księcia Konrada,

Bądźmy cierpliwi. Nastąpią przemiany;

Ja się narażę, nie zostawię pola

Językom hańby, rozpusty, tyraństwa,

Nie wezmą góry krewkość i swawola;

Na pastwę zbrodniom nie zostawię państwa;

Na pastwę czerwom tronu nie zostawię!

Wchodzi Konrad z płomienistém obliczem; odtrąca napomnienia  
 Krystyna; słowa jego ostre jak noże, godzą w pierś nieszczęśliwéj Aga-  
 zyi. W piękném świetle poeta ukazuje nam tę rusinkę:

AGAZYA.

Życie moje lepsze

Tam pozostało, gdzie ty, miły Dnieprze,  
 Okolicami w urok ciągnącemi,  
 Wodą swą zdrową, silną i szeroką,  
 Fal rozigranych gędźby szumiącemi,  
 Myśl mą bawiłeś, czarowałeś oko!  
 Czemuż to oko wtedy nie pobiegło  
 W strony przeciwne, w strony te Wiślane,  
 Gdzie mnie czekały dni łzami zasiane?  
 Czemu przeczucie wieszczę nie ostrzegło  
 Serca mojego, że mi będzie biada,  
 Jeżeli zostanę małżonką Konrada?  
 Czemu kazano milczeć memu sercu  
 I moim ustom, kiedy oznajmiono  
 Że czas mi stanąć na ślubnym kobiercu,  
 I złęgo męża na wieki być żoną?

Akt trzeci odbywa się w téjże sali radnój. Konrad siedzi na tronie otoczony dostojnikami. U stóp tronu staje wojewoda Krystyn, wyrzuca księciu wbrew, niezliczone gwałty i bezprawia. U podnóża zamku tymczasem, gromadzą się tłumy szlachty; słyhać piorunujący wykrzyk:

„Być Krystynowi na miejscu Konrada!”

Przerażony Krystyn, zgaduje matactwa kanclerza; wybiega przeciw tłumom, pragnie uspokoić umysły. Kanclerz tymczasem podsycą gniew książęcy. Konrad woła szalony guiewem:

Te oczy, które mych postępków strzegą,  
 Jak owiec w polu czujne psy pasterza:  
 Chcę się uwolnić od tych oczów jego!

Słowo stało się czynem. W czwartym akcie, kanclerz Czapla stawą przed księciem z misą w ręku:

KANCLERZ. Oto są oczy, które wglądać śmiały

W twoje postęпки, książę nasz a Paniel!

KONRAD (*odwracając się*).

Jakże straszliwe! nie patrzeć mi na nie!

KANCLERZ. Nie będą więcój w postęпки wglądały!

KONRAD. Okropnie patrzają!... żywe jeszcze... żywe,  
 Precz mi... precz z niemi... piekielnie straszliwe!  
 Niech je psy zjedzą, albo je zakopać  
 Głęboko, wodą święconą pokropić,  
 Krzyż osinowy postawić nad niemi,  
 Ażeby upiór nie wyniósł ich z ziemi!...

Wszędy je widzę, kędy się obróćę,  
 Kędy spojrzeniem, kędy myślą rzucę,  
 Wszędy są one; ściany patrzają niemi;  
 Sprzęty, drzwi, okna, wszystko ma je w sobie!

I patrzy na mnie...

(zakrywa oczy rękami)

W jak strasznym sposobie

Patrzę na myśli!

(do Kanclerza)

Ty także masz je na piersi, na rękach,

Na czole!... Precz! precz!

Wchodzi Agazyja. Po chwili Krystyn, z twarzą przewiazaną, spokojny, ale staje przed tronem, usprawiedliwia się z zarzutów:

Książę niewdzięczny! O! mogłeś dać wiarę?

Jażbym to ciebie chciał tronu pozbawić,

I to, gdy w lata zabrąłem już stare,

Gdy nie mam komu spuścizny zostawić?

Wiadomo przecie że z trzech moich synów,

Najstarszy Konrad, cnój otuchy młodzian,

Pod Zawichostem poległ chwałę odzian;

Leszek w niewolę pojman od Litwinów,

Żadnej o sobie nie dał wiadomości;

A Kazimierza bardzo młode kości,

Od pruskiej strony granic księstwa strzegą!

Wkoło zamku wzrasta szalona wrzawa, mieszczenie z ludem wiejskim wciskają się gwałtem do sali.

KONRAD. Czego tu chcecie?

BARTOSZ (przewódzca ludu)

Przychodzim na krzyk zbrodni,

Bez zapytania, godni czy nie godni.

KONRAD. Precz!

BARTOSZ.

Wydarliście oczy wojewodzie,

A naszym oczom i rękom cierpliwość.

Krzyk grozy w całym ozwał się narodzie;

Lud mazowiecki wszystkim pomsty woła.

(do wojewody Krystyna):

Ojczel ty naszemi

Będiesz oczyma! byłeś naszą głową,

Ty byłeś ścianą mazowieckiej ziemi:

Prusowie ciebie bogiem polskim zową,

Polscy cię zową wielkim wojewodą,

My cię zwiem ojcem! Za serca nas wiodą

Gdzie chcą twe słowa; spełnim twe rozkazy;

Mścić się nie będziemy naszych serc obrazy,

Na cichy smutek do domów powrócim.

KRYSTYN.

Ludu mój pełen cnót i poczciwości,

Kto cię nie kocha, nie godzien miłości;

Niegodzien szczęścia, kto na myślach nie ma

Shczęścia twójego! kto z tobą nie trzyma,

Z tobą nie czuje co się czuje w niebie,

Z grzechów i ziemi oczyszczonej duszą!  
 Warto żyć z tobą, warto żyć dla ciebie.  
 Kogo twe cnoty do cnoty nie zmuszą,  
 Nad tym zapłakać: żale go osiędą,  
 Szponami sępów targać serce będą.  
 Niema fal zwrotnych w czasie oceanie:  
 To co się stało, już się nie odstanie.

Wojewoda błogosławi lud, opuszcza salę; lud odchodzi spokojnie za nim.

Kanclerz podsuwa księciu myśl piekielną:  
 Trzeba ten związek przeciąć i tę głowę  
 W ziemię na wieczny spoczynek przesadzić;  
 Bo ufać mędrzec może tylko grobom!

Konrad przyzwala. Gdy kanclerz odszedł, książę mówi szyderczo sam do siebie:

Jako dwa duchy o człowieka duszę,  
 Tak ci o władzę nademną spór wiedli,  
 Nazbyt mi w życie obadwa się wwidli:  
 Więc od obydwu uwolnić się muszę.

(*Wchodzi do sali biesiadniczej, woła w progę:*)

Cóż tak milczycie? czy już macie zadość?  
 W górę szklenice, kruże i puhary!  
 Niech żyje wolność! niech nam żyje radość!  
 Niech żyje książę!

GŁOSY.

KONRAD.

Niech żyje miód stary!

W akcie piątym występuje neinezis z mieczem w ręku. Wojewoda już zamordowany. Wieść o skonie sprawiedliwego, doprowadza lud do wściekłości. Serca palają zemstą. „Krew za krew!” wołają Mazury. Nagle rozbiegł się okrzyk: gore! Wpada zdyszany goniec:

Prusacy czernią wielką na Płock wałą,  
 Po drodze sieją okropności znaki:  
 Mordują, burzą, rabują i palą.  
 Te wkrąg pożary ich dziełem!

TEUM.

Prusakil

Przypada Wojdewunt z oddziałem zbrojnych Prusaków. Zabra-  
 kło ramienia Krystyna! Któż zastąpi im drogę?

Wojdewunt domaga się łupów; rzuca wbrew księciu straszne  
 słowa:

Wkoło po całym mazowieckim niebie,  
 Rozwiesiliśmy czarne i czerwone  
 Płachty pożarów, gwiazdom na zastęg;  
 Posypaliśmy kościołów popiołem!

Przerażony Konrad przyrzeka łupy.

— Nie ma cię, wojewodo!— woła tłum rozpaczliwie.— Biada nam!  
 Bartosz z garstką mieszczan i kmieci przynosi trumnę i stawia ją przed księciem.

BARTOSZ. Sąd jest w tój trumnie... trumna wojewody!

Ta trumna woła o głowę za głowę!

LUD. Głowa za głowę!

KONRAD (*ukazując kanclerza*). Macie winowajcę!

Lud chwytą kanclerza Czaplę, chce go rozszarpać.

KAT (*występując*). Odstąpciel do mnie on należy.

BARTOSZ (*do ludu*). Tak, nieinaczéj; niech go weźmie sobie,

Niech sprawiedliwość po ludzku wymierzy.

Kat uprowadza zbrodniarza. Dwaj komturowie w białych płaszczach, istne widziadła grobowe stoją w milczeniu; szydcerzy uśmiech przebiega im po ustach.

## VIII.

Koroną prac dramatycznych Olizarowskiego, to tragedia *Rognieda*. Piękny utwór posłany w roku 1872 na konkurs do Krakowa, stał się powodem żywych rozpraw między literatami i ciekawej ich korespondencyi z autorem.

Przedmiot dramatu nadzwyczaj zajmujący. Pierwszy to raz tradycya historyczna Rusi z czasów, które poprzedziły Unią, wprowadzoną została na wielką skalę do naszej literatury. Poprzednio już Bogdan Zaleski opiewał Kija, Szczeka i Chorewę, założycieli Kijowa i Radyna co przywiódł Lechów z nad Wisły ponad Sozę <sup>1)</sup>; śliczne to poemaciki, wielkiej doniosłości, jak wszystko co wychodzi z pod pióra Bogdana, ale pierwszy Olizarowski przedstawił w dramacie ważną chwilę przełomu w historii krajów naddnieprzańskich, kiedy ostatni najazd Warego-Rusów zniszczył do gruntu potęgę miejscowych książąt, i ustalił na kilka wieków udzielnosc Rusi. Walka dwu odrębnych żywiołów: słowiańskiego i normandzkiego, tak dramatyczna sama przez się, żywo poruszyła poetę; pociągnęła go niemniej żalosna postać księżniczki połockiej Rogniedy; której gorzką boleść uwiecznił lud w podaniu, zowiąc ją Gorysławą. Rodowód poematu dobrze nam znany; widzieliśmy bowiem, jak ziarno rzucone przyjazną ręką etnografa, badającego wyłącznie tę epokę, zakiełkowało poraz pierwszy w myśli poety, nim wyhodowane pracą wytrwałą, wybujać miało złotym plonem.

Tradycya mówi, że Włodzimierz, syn księcia kijowskiego Światosława, zrodzony z niewolnicy, schronił się po śmierci ojca do Skandynawii, podczas gdy brat jego Jaropełk objął dziedziczne księstwo. Dumni witeź, nie oddał przecież za wygraną. W ciągu lat dwu, gromadzi niezliczone drużyny Normandów, powraca z nimi, podbija nasamprzód księstwo połockie; ztąd kroczy zwycięzko do Kijowa i całą Ruś zagarnia pod swe rządy.

<sup>1)</sup> Rzeka Soza wpada do Dniepru w gubernii Smoleńskiej.



Poeta rozpoczyna rzecz w Połocku na zamku starego księcia Rochwołoda. Władimir przybywa tu nie jako wróg, lecz jako sprzymierzeniec; pieczęcią miru niechaj będzie ręka córki Rochwołodowej, Rogniedy. Młody książę nie widział jęj dotąd, ale wieść o jęj wdziękach dobiegła mu do ucha; bądź cobądź on musi ją poślubić.

Rochwołod odmawia wręcz; sława Władymira nie olśniewa go wcale: sława to straszna, obłana krwi potokiem.

Słyszysz to Władimir; w krótkich słowach wypowiada, dokąd idzie: zakreśla szeroki plan na przyszłość:

Krew dla mnie niema przyjemnych zapachów;  
Miecz w garść mi wrasta, nie dla próżnych strachów:  
Sławę nie gardzę, lecz pewno nie dla nięj  
Zasypiam później i budzę się ranięj  
Niż me bojary, niż drużyny moje.  
Nie, nie dla sławy, tak w zimie jak w lecie,  
I stół, i łożę mam na końskim grzbiecie;  
I wiodę prawie bezustanne boje:  
Wolałbym mirem do tego dochodzić,  
Do czego muszę przez morze krwi brodzić.  
Myśl mam po białym bogu, myśl jedności,  
Wkoło bóg czarny trzyma serca w złości.  
Miecz zatem ciągle muszę kłaść na wadze:  
Mieczem przeważam, mieczem drogi gładzę,  
Po których dążę do jedności Rusi,  
I na Perunal ta jedność być musi!...  
Przechwałki u mnie miejsca mieć nie mogą,  
Bo idę wielką a otwartą drogą;  
Co myślę, mówię; a co mówię, czynię;  
Więc co tu rzekłem z wiatrem nie przeminie:  
Rognieda będzie kijowską kniahinią,  
Moją małżonką, Rusi hospodynią!

— Niechże Rognieda sama wyrokuje o swoich losach—rzecze na to Rochwołod i przywołuje córkę. Księżniczka wchodzi z matką.

— Taką widziałem w snach moich!—zawołał Władimir uderzony jęj wdziękami;—takięj napróżno szukałem dotąd po świecie!

Rognieda z dumą patrzy na zuchwałęgo Normanda. Zagadniona przez ojca, odrzuca z silnëm postanowieniem:

Nie Rogniedy ręka

Rozwiąże trzewik syna niewolnicy!

Duma ta silnięj jeszcze pochwyca za serce Władymira: zawoła z uniesieniem:

O! jakżeś dumną nierozumna!  
Będiesz mą żoną dlatego żeś dumna,  
Mnie trzeba żony dumnięj, okazałęj;  
Mnie trzeba żony, żebym Rusi całęj,

Całemu światu miał co pokazywać  
 Byłaś niemądrą, byłaś nieprzezorną;  
 Potrzeba było z dumą się ukrywać,  
 Trzeba ci było być zwykłą, pokorną,  
 Potulną, drżącą przed mojem wejrzeniem,  
 Kraśnie oblaną dziewiczem splotnieniem,  
 Sługi nie pani i być nie orlicą  
 Przedemną orłem, ale gołębicą:  
 Już nie być moją, chciałybyś daremno!  
 Nie będę twoją!

ROGNIEDA.

Wyrzekłszy to, odchodzi. Na przedstawienia matki, dumny wi-  
 też odpowiada stanowczo:

Władimir mówi, druga wola Boża  
 Mówi na ziemi: nim zaniesie Dźwina  
 Dań od Połoty do Waregów morza,  
 Rognieda będzie niewolnicy syna  
 Panią i sługą! Kniaziu Rochwołodzie,  
 Myśl więc o godach, a nie o przeszkodzie.  
 W obozie czekam: biada będzie, biada,  
 Jeśli cierpliwość moja zawiedziona,  
 Rgiem bawolim w tej stronie zagada!

Władimir oddala się. Dwaj synowie Rochwołoda wracają z ło-  
 wów. Przywołana Rognieda powtarza stanowczo, co wyrzekła przed  
 chwilą.

Moja odpowiedź jedyna,

Nie będę żoną niewolnicy syna!

— Co czynić, ojcze?—zapytują synowie.—Rochwołod nie chce  
 łamać oporu córki: rozkazuje chwycić za oręż.

Bądźmy natychmiast gotowi do boju,  
 Niech wszyscy zdadni wystąpią do wojny;  
 Dwoma pułkami zebrany lud zbrojny,  
 U Perunowych i Torowych progów,  
 Modłami wezwie pomocy tych bogów.  
 Potém ruszycie ku Kijowskiej stronie,  
 W miejscach dogodnych stanicie taborem  
 Z pułkami swymi: Igor zajmie błonie,  
 Bliższe granice; Jaropek pod borem.  
 Stać w gotowości, porządku i zgodzie;  
 Ja z bojarami znajdę się w odwodzie.  
 Jeśli Władimir granicę przekroczy,  
 Zabieży drogę i spojrzym mu w oczy.  
 Liczbą, zaiste, silniejsi wrogowie,  
 Słabszym więc liczyć godzi się na męstwo,  
 Na um, na ducha, na bogów; bogowie  
 Niezawsze liczbie przyznają zwycięztwo!

W drugim akcie Rognieda stoi drżąca w oknie komnaty zamkowej. Żali się na smutną dolę swoją.

Już wyszli bracia; stoją tam, pod borem:

Ojciec wyruszył z witeziów do borem;

Oni nie dadzą biédnej swój Rogniedy:

Oni mnie swoim zastonią orężem.

A nie... to wtedy... tak jest, to i wtedy

Syn niewolnicy nie będzie mym mężem!

Wygląda oknem, patrzy na rzekę płynącą u stóp zamku.

O, moja Połoto!

Smutne na tobie dziś słoneczne złoto,

A twoje fale śpieszą się do Dźwiny,

By z nią ztąd uciec do innój krainy.

U twoich brzegów, jak przed straszną tuczą,

Myśli się kryją w zwiry, w zielska, w kości,

Po twoich głębiach topielce się włóczą,

Miejsz wyszukują do przyjęcia gości.

Straszne, krwi pełne, łez pełne godziny,

Przyniosły tutaj normandzkie Rusiny;

We mnie przyczyna wielkiój tój niedoli,

Przyczyna we mnie, lecz nie z mojej woli!

Wpada matka; na obliczu jój rozpacz: „Riją się!—woła —goniec przybiegł z obozu.”

Już bitwa się toczy,

Mało co mogły widzieć jego oczy;

Taką kurzawą pokryło się błonie

I słyszcć tylko jak krzyczą bojary,

Jak chrzęszczą zbroje, rzą i tętnią konie,

Jak nad tumanem strzał latają chmary!

Rognieda załamuje ręce: „O, matko!—rzecze—zapłac nademną, jam sprowadziła to nieszczęście!

— Duma twoja gubi nas!—odpowie matka!

ROGNIEDA.

Czyjaż wina?

Za czyją sprawą duma jako cnota

Weszła w mą duszę, przeszła do żywota;

Na straży uczuć stanęła boginią,

Którój ofiary ze wszystkiego czyniła?

ROCHWOŁODOWA. Nawet z rodziców?

ROGNIEDA.

Ach! jakież to słowo

Wyrzekłaś matko. *(po chwili).*

Jakże się poświęcę?

Cóż ja uczynię z tём sercem? z tą głową?

Ha! niech związaną za nogi, za ręce,

Do stóp synowi niewolnicy rzuca

I pieśń pogrzebu ze smutkiem zanuć!

ROCHWOŁODOWA. Ojciec i bracia twoi i bojary

Będą woleli bić się do ostatka,  
Niżeli przystać na taką sromotę.  
Wiem co uczynię....

ROGNIEDA.

ROCHWOŁODOWA.

Patrzysz na Połotę!

ROGNIEDA (*całując matkę po rękę*).

Matko! kochanie moje, niech przynajmniej  
Gniewu twojego moc nie spada na mnie;  
Gniewu twojego nad wszystko się boję:  
Gniew twój przechodzi wszystkie siły moje!

*(upada na kolana)*.

Zabij mnie, matko! zabij; lecz pożałuj,  
Złóż mnie na mary, na marach pocałuj  
I oblój łzami!..

Nagle powstaje zgiełk; zabrzmiały trąby Władymira: tłumy  
z okrzykiem pędzą na zamek. Rochwołod staje w progu komnaty.

— Uciekaj!—woła—wszystko stracone!

Uchodź natychmiast, nim przejdą Połotę!

Córka wybiega z matką. W téjże chwili wpada Władymir.

— Gdzie Rognieda?—woła wścickłym głosem.—Nie skryjesz jéj  
przedemną, kniaziu Rochwołodzie! Rozpędziłem twoich witezów, ubiłem  
synów twoich, ale oszczędziłem cię, abyś patrzył na szczęście, na  
chwałę córki twojej! Ja zastąpię ci synów.

ROCHWOŁOD.

Na to nie zdoła przystać moje serce:

Ja ojcowskimi patrzyłbym oczyma,

Na okrutnego mych synów mordercę?

Nie! między nami pojednania niema!

WŁADYMIR.

Tam walki były, nie mordy, nie rzezie,

W boju otwartym legli, jak witezowie,

Synowie twoi i większym ich męstwo

Stało się dziwem, niż moje zwycięstwo!

— Przebaczę ci!—zawoła Rochwołod—lecz pozostaw nas w za-  
łobie naszym: ustąp czempredzój z tego zamku!

— Nie ustąpię!—odrzuca księżę.

— Przejdziesz chyba po trupie moim!—krzyknie starzec—jeśli  
polegnę, przekleństwo ci na wieki!

WŁADYMIR.

Podobna mowa twoja do szczekania

Psa na łańcuchu! Twój kłóty pioruny

Mnie nie dosięgną, bom ja kniaz nad kniazie,

Bo wciąż nademną gwiazda Rusi świeci!

Z drogił w odpowiedź grozisz mi żelazem,

Bądźże z synami pogrzebiony razem!..

*(Bija się. Rochwołod ranny zataczając się na ławę)*.

O! bądź przeklęty ty i twoje dzieci!

Włodzimierz wysadza drzwi, które wybiegła Rognieda. Roch-  
wołod usiłuje powstać... napróżno!.. Krew strumieniem bucha mu

z piersi. Wtém okrzyk dobiega do uszu starca; z rozpaczą poznaje głos córki.

ROGNIEDA (*wbiegając*). Ratunku, ojczel! Okropna godzina!  
Ten potwór Wareg!

ROCHWOŁOD. Co? tyś nie uciekła!

ROGNIEDA. Tyś ranny, ojczel!

ROCHWOŁOD. Bądź zdrowa, jedyna!

WŁADYMIER (*przypadając do Rogniedy*).  
Musisz być żoną niewolnicy syna!

ROGNIEDA. Na dnie Połoty!

(*rzuca się przez okno do rzeki*).

WŁADYMIER. Choćby na dnie piekła!

(*rzuca się za nią*).

Na tém kończy się część pierwsza trylogii. Następuje dziwnie poetyczne *intermedium*. Stary lirnik z wędrownym gęślarzem schodzą się późno w noc nad brzegiem Połoty. Lirnik przyrósł do murów na pół powalonego zamku. On tu niegdyś przychodził z nad Horynia; stary książę połocki Rochwołod, rad słuchał jego dumek. Chętniej jeszcze słuchała ich cudna Rognieda; tęskniła za niemi, „jak za pączkiem róży, jak za śpiewem słowiczym.”

Wyglądała mnie téż co wiosna, mówi Lirnik:

A ja w gościncu, po zwyczaju muszę

Przynieść na dumki przerobioną duszę!

— Biada jéj!—przerwie wędrowny gęślarz.

Znasz-li ją bracie?

— Idę od Kijowa!

— A co tam słyhać?

— Powiadają w mieście

Że już kniachinia wyplakała oczy!

Tu gęślarz smutny kreśli obraz Kijowa: krucy i wrony czarnémi skrzydły przyémiewają tam słońce; Rusałki z nad Dniepru uciekają na Wołyń. Złowrogi to znak wojny. Czy kniahini ściągnęły niedolą!

Lirnik potrącił w struny: *Hore meni, hore!* zanucił drżącym głosem, a potem zwraca się do czasu, kiedy krew strugą czerwoną ściekała do Połoty. On tu był... widział jak okrutny Wareg siekł Połoczan, niby trawę na łące. Opowiada wreszcie straszliwą katastrofę.

Wtém postyszałem z zamku przeraźliwe

Krzyki niewieście: zerwę się na nogi,

Krzyknę: nieszczęście! chcę biedz... w tójże chwili,

Kniaziówna z okna, jasną błyskawicą

Skoczy w Połotę... książę Władymir za nią,

A ja za nimi; a potrzebny byłem,

Bo książę Władymir, gdy Rochwołodównę

Ciągnął za kosę; że był cały w zbroi,

Na wierzchu wody nie mógł się utrzymać.

Ratunku wołał: w sam czas podpłynąłem,

Wyratowałem, lecz jak teraz widzę,  
Lepiejby było nam, we trojgu zostać  
Na dnie Połoty!

Gdy to mówi, brzeg nagle pobiełał: na zamkowym teremie ukazują się cztery widma. To duchy pomordowanych książąt połockich. Stary książę i synowie w zbroicach, kniahini owiana wkoło białym rąbkiem. Rochwołod skinął na lirników, chwilę pogwarzył z nimi. Co im rzekł? niewiadomo; rękę tylko wyciągnął w stronę Dniepru.

Trzecia część trylogii przenosi nas do Kijowa. W komnacie zamkowej Rognieda siedzi nad krośnami, u nóg jej bawi się pięcioletni synek Izjasław. Wechodzi Władymir, trzyma w ręku wieniec wyrzeźbiony z koralu, chce nim ozdobić bogatą kosę żony. Rognieda zrzuca wieniec na ziemię i zawoła z dumą:

Ja chcę wolności, nie drogich kamieni!  
Nie szat kosztownych! chcę miejsca przestrzeni,  
Gdziebym przynajmniej nie widziała ciebie!  
Zamiast purpury, złota i atłasów,  
Daj mi pustynią, wypędź mnie do lasów,  
W najdziksze puszczel na własnyin pogrzebie,  
Z uśmiechem pójdę płakać na wygnaniu;  
Znośniejsze dla mnie bezwodzie, bezchlebie,  
Niż z tobą życie!.. wypuść!..

WŁADYMYR.

Nie wypuszczę!

Nienawiść Rogniedy podnieca jeszcze miłość małżonka. Błaga ją tylko, by zaniechała próżnych łez.

ROGNIEDA.

Twe łzy nie pomogą!  
Wiem, że masz duszę okrutną i srogą,  
Gorzkiemi łzami przeklinam mordercę  
Drogich rodziców i braci rodzonych,  
Połoczan za mnie w Dźwinie potopionych!  
Pobitych w polu, płacze moje serce!  
Ale przestanę płakać niezadługo,  
Przestanę też być nieudolną służką  
I niewolnicą syna niewolnicy.  
Z serca wolnego od łez wydobędę  
Straszną moc zemsty i gotową będę,  
Choćby na zbrodnię!

WŁADYMYR.

Kłamiesz! ja znam ciebie:

Tyś nazbyt dumna!

ROGNIEDA.

We łzach me zamiary

Tonęły dotąd, niby senne mary,  
Ale przestanę płakać! Z suchém okiem,  
Bez serca stanę przed zemsty wyrokiem.  
Z pustyni serca twego jęk wywołam;  
Zdołam ukarać niedoli mój sprawcę.

Chcesz się dowiedzieć, co umiem, co zdołam:

Przypatrz się syna twojego zabawce.

Bawi się nożem!

WŁADYMIER.

IZJASŁAW (*do figurki z drzewa, ubranj jak Władymir*).

Ja ciebie zabiję,

Bo ty zabiłeś moję babkę, dziadka...

WŁADYMIER (*do dziecka*).

IZJASŁAW.

Któż cię nauczył takich rzeczy?

Matka!

ROGNIEDA.

Nie powiesz teraz, żem niezdolna zbrodni!

WŁADYMIER.

Szalonej groźby...

ROGNIEDA.

Radzę ci, tym nożem

I mnie i dziecko pokrajać na sztuki,

Zamknąć w grób mocny i grób nakryć morzem,

Albo głębokim Dnieprem, albo ziemi

Na setne łokcie bryłami grubemi,

Aby nie wyszły na wierzch, nie wyniosły

Nasiona zemsty...

Władymir wydziera nóż z rąk dziecka, rzuca na ziemię, wprowadza syna z komnaty. Rognieda uniesiona rozpaczą pochwyca nóż, biegnie ku drzwiom; nagle zatrzymuje się w progu.

Otóż na progu postawiłam nogę

I oto progu przestąpić nie mogę!

I nóż wypadł z jój słabej ręki. W téjże chwili wchodzi książę Borys na Sławucie, zacięty wróg Władymira. Jemuto niegdyś stary Rochwołod, przyrzekł był rękę córki; o nim to lirnik znad Horynia śpiewał dumki młodej księżniczce. Książę Borys przebywa na dworze kijowskim, patrzy na łzy Rogniedy i krwawy zamiar pomsty dojrzewa w jego głowie. Nienawiść podsuwa mu myśl zdrady. Wchodzi w zmowę z hordami Pieczyngów, koczujących po stepie zadnieprzańskim. On uderzy z nimi na Kijów, wydrze Rogniedę ze szponów okrutnika, splamionego krwią rodziców jój i braci. Oznajmia Rogniedzie tajemny zamach. Księżna z oburzeniem powstaje przeciw zdradzie, nie chce wolności, okupionj krwią nowych ofiar.

Poeta wysoko podniósł ideał bohaterki; najdrobniejszą skazą nie przyćmił jój oblicza. Jeśli w głębokich tajnikach jój serca podzwaniało echo dumki, którą lirnik znad Horynia śpiewał niegdyś o książęciu na Sławucie, nigdy małżonka Władymira, nie przepomniała godności własnej. Cześć jój świeci jasno, jak słońce.

Władymir zbroi się, powołuje drużynę, gotów uderzyć na Pieczyngów. Zwiertzył on zdradę Sławuckiego, ostrzy miecz na kark zuchwałego lennika. Rognieda uwiadomiona o tém przez cyganek, ostrzega księcia Borysa, wyprawia do niego wierną laszkę Wisławę; niech ubiega, gdzie go oczy poniosą, inaczej śmierci nie chybi!

W ostatnim akcie widzimy Rogniedę obok Wisławy. Laszka zdaje sprawę z poselstwa: książę Borys bezpieczny.

WISŁAWA.

Już jemu

Nic tu nie grozi, widziałam z teremem,  
 Jak na brzeg drugi czółnem Dniepr przepłynął:  
 W świat pomknął koniem i z oczu mi zginął.

Silny węzeł łączy serce Rogniedy z sercem laszki, tém silniejszy, że Wisława znalazła balsam na rany pani swojej: cierpiącej ukazała krzyż cierpiącego Zbawiciela.

Księżna patrzy z uczuciem w błękitne oczy branki, przyciska ją do piersi.

ROGNIEDA.

Laszko, my siostry, chociaż my oczyma  
 I licem różne; ja rzadko wesoła,  
 Ty rzadko smutna; lecz różnicy niema  
 W sercach i duszach naszych: prawie jedna  
 Dola nam, tylko że ja więcej biédna!  
 I z twojój wiosny pozrywano kwiecie,  
 I ciebie błogiój pozbawiono doli,  
 I ciebie gwałtem wzięto do niewoli.  
 O! i ty biédna! źle nam, źle na świeciel  
 Ja ciebie kocham, boś ty zawsze szczera,  
 I zawsze dobra; nigdy twoje usta  
 Sercu nie kłamią; czy ci twarz ubiera  
 Złota wesołość, czy jaka myśl pusta  
 Przez skroń przebieży, śmieją się oczęta;  
 A z tego śmiechu widać jak na dłoni,  
 Że w sercu twojém mieszka dobroć święta.  
 Długo méj duszy smutek się nie trzyma,  
 Bo nad mém sercem i nad duszą moją,  
 Pan Jezus czuwa swojemi oczyma.  
 A Jego oczów złe myśli się boją.  
 I smutki wiedzą, że On przyszedł po to,  
 Ażeby kwitło na ziemi wesele,  
 Wielkie wesele i w duszy i w ciele.  
 Serceż ty moje! moje szczere złoto!

*(całuje ją).*

Pokażno krzyżyk!...

*(Podany krzyżyk bierze do ręki, wpatruje się w niego).*

Bóg cierpień, Syn Boży!

Pan Jezus Chrystus... Daj mi go!...

Z ochotą.

WISŁAWA.

ROGNIEDA.

Wiész co? wiész ty co, laszko moja droga,  
 Niech co chce będzie, niech się Perun sroży,  
 On tylko srożyć się umieć... Mnie Boga  
 Trzeba innego... Bóg cierpień!... Syn Boży...  
 Pan Jezus Chrystus... Bóg cierpień!...

*(całuje krzyżyk).*

WISŁAWA.

To mój Bóg!...



W téjże chwili wpada Władymir z orszakiem. Drugiemi drzwiami wchodzi lirnik, staje pokornie w progu. Księżę wściekły gniewem, przypada do Rogniedy, wyrzuca jój zdradę, wie że ostrzegła Sławuckiego.

ROGNIEDA. Jakie ty masz prawo

Zwać mnie zdrajczynią?

WŁADYMR. Jakie prawo? prawo

Męża do żony, pana do poddanki!

ROGNIEDA. Mów: prawo zbójcy do więzionej branki.

Branką twą jestem, a nie twoją żoną,

Nie rozwiązałam twojego trzewika;

Byłam porwaną, gwałtem uwięzioną:

Zostaję w mocy wroga, rozbójnika!

Księżę grozi śmiercią, odwołuje się do bojarów: ci potwierdzają wyrok.

— Podać mi topór!—woła Władymir i chwyta za mordercze żelazo. Wtém występuje lirnik, staje śmiało przed księciem.

LIRNIK. Kniaziu Rusi!

Topór twój pierwój przeczennie przejść musi,

Nim pójdzie dalej...

WŁADYMR. Coto? jak śmiesz? kto ty?

Gdzieś cię widziałem.

LIRNIK. Na falach Połoty,

Siódmy rok temu...

WŁADYMR. Tyś mnie wyratował?

LIRNIK. Jam wyratował.

ROGNIEDA. Lirnik znad Horynia!

Mój złoty lirnik!...

LIRNIK. Poznała kniahinia!...

— Co cię tu przyniosło?—zapyta księżna.

— Twoja niedola, rozkaz księcia Rochwołoda—odręcze lirnik— Dla nas znahorów świat duchów niema tajemnicy.

Gdym z ojcem twoim gwarzył, coś na niebie

Krzyknęło: „ratuj!” wskutek tego krzyku,

Kniaź do mnie rzewnie wyrzekł: „mój lirniku,

Idź na ratunek mojej nieszczęśliwój!”

Serce Władymira uderzyło, widok lirnika, który wyrwał go z to- ni, rozbraja gniew jego. Zawoła do bojarów:

Patrzcie! ten człowiek po bogach ma lico,

Serce u niego w piersiach, orle gniazdo,

A dusza jego patrzy w świat orlicą,

A z jego czoła myśl wygląda gwiazdą.

Ja mocarz, ale tyś mnie przemocował,

Twój duch mocniejszy od mojego ducha:

Żądaj nagrody! mir z tobą... mir z tobą!...

Lirnik odtrąca złoto, nie dba o skarby: co mu po nich?

Władymir poruszony do głębi, rzuca na ziemię topór i po chwili wyrzeczce stanowczo:

Zowią mnie okrutnym,  
I bezserdecznym; mimo że się srożę,  
Prawość, jak twoja, wiele na mnie może;  
Ty od mych progów nie odejdiesz smutnym:  
Bądźże mi wesół... Oto...

*(wskazując Rogniedę).*

Weź ją sobie,

I Laskę... zabierz do Połocka obie.  
O! dzięki kniaziui! na góry, na doły,  
Sam Bojan pośle złote swe sokoły,  
Aby się góry i doliny stały  
Szeroko brzmiącym echem twojej chwały.

LIRNIK.

Książę odchodzi z orszakim. Dawno zapomniana radość błyska na licu księżnej. Ścisła kolejno lirnika i Wisławę.  
Laszko, my wolne! mój lirniku złoty!  
Patrz... to mój Lirnik! przypatrz mu się Laszko!  
Będiesz go swoją bawiła igraszką.  
Chodźże tu do nas bliżej na pieszczoty,  
No, nie płacz stary...

*(ociera mu łzy).*

Nie mówcie nikomu...

My ciebie, Laszko, odwiedzim do domu,  
U twych rodziców pogościmy sobie:  
Ja siostrą twoją. Pojedziemy obie  
Do Mieczysława... on będzie namiestnym  
Ojca mojego, ojcem moim chrzestnym.  
Księżna Dąbrówka chrzestną matką będzie,  
Może też w ślady za nami przybędzie  
Borys do Gniezna, albo do Krakowa.

I oto wchodzą bojary, niosą głowę Sławuckiego na spisie.

BOJAR JEDEN. Gdzie Książ?

ROGNIEDA.

Ha!... co to?

BOJAR DRUGI.

Sławuckiego głowa.

ROGNIEDA.

Serce mi pękło!

*(Chwyta się za serce i upada bez życia na ręce lirnika i Wisławy).*

Taką jest główna treść wspaniałej trylogii Olizarowskiego. Poeta zakończył ją pierwotnie zgodniej z tradycją historyczną. Tradycja ta mówi, że Włodzimierz uwolnił Rogniedę i wraz z synem Iziastawem wyprawił ją do Połocka, oddając jej księstwo Rochwołoda jako dziedziczną własność. Według niektórych historyków, Iziastaw stał się protoplastą znanych w dziejach książąt litewskich.

Dramat wykonany według pierwszego pomysłu, dostał się na konkurs krakowski. Zwrócił on uwagę sędziów, szeregiem pięknych scen i wytwornym językiem; zakończenie jednak spokojne, bez mordu

ani samobójstwa, nie odpowiadało ich estetycznym pojęciom. Komitet konkursowy bijąc czołem przed potęgą Władymira, chciał być też same uczucia przelać w serce Rogniedy. Mamy właśnie przed sobą list jednego z piętnastu członków komisji, pisany do Eustachego Januskiewicza z prośbą, aby pośredniczył w téj sprawie. Przytaczamy z niego mały ustęp: „Dramat jeśli ma wywrzeć silne wrażenie, powinienby zakończyć się katastrofą. Rognieda, uległszy fizycznie Włodzimierzowi, mogłaby znaleźć się w takiem położeniu, że ujęta jego wielkością, skłaniałaby się w końcu sercem ku niemu i wtędyto wierna dumie, lękając się, aby w wewnętrznej walce z sobą moralnie nie uległa, mogłaby sobie życie odebrać. Zakończenie to, zdaniem komisji, byłoby godnem wielkiego przedmiotu.”

„Gdyby autor zgodził się na te i tym podobne zmiany, dodaje członek sądu, zyskałoby na tém sceniczne wrażenie dzieła i pierwsza nagroda byłaby mu przyznana.”

Jeden przecież z pomiędzy sędziów, wytrawny krytyk Karol Witte, podzielał zupełnie pierwotną myśl autora. Napisał do niego list gorący, pochwałak usunięcie ze sceny trupów, których już do zbytku nadużyto. Głos jego nie zdołał przeważać w sądzie konkursowym.

Poeta acz niechętnie, wykonał jednak zmiany. Poszanowanie tradycyi nie pozwoliło mu wlać w serce Rogniedy uczuć, które uczyniłyby ją podobniejszą do Hiszpanki Chymeny, niż do żalostnej Gorystawy, jaką lud umiłował i uwiecznił w podaniu. Ta, co nie rozwiązała trzewika Włodzimierza, wytrwała do końca w nienawiści, ale serce jej pękło; dramat gwoli sędziom konkursowym skończył się katastrofą. Przyznano poecie drugą nagrodę. Prezes komisji w liście pełnym pochwał winszuje mu utworzenia dramatu i pierwszorzędných piękności, jakie się w nim znajdują.

Sarkastyczna żyłka zbudziła się w poecie, nakreślił czterowiersz, który znaleźliśmy pomiędzy papierami:

*Pierwszorzędne piękności, a nagroda drugu,  
Zapytaj, a odpowiedź nastąpi nie długa.  
Pierwszorzędných piękności racya odpowieć:  
Nagrodami pierwszemi nie wieńczą w Krakowie.*

W rok potem przedstawiono Rogniedę na scenie krakowskiej. Publiczność zimno ją przyjęła, śnać brakło znawców do ocenienia wyższorzędnych zalet dramatu. Rzecz dziwna! utwór téj doniosłości nie był nawet drukiem ogłoszony.

Po przedstawieniu sypnęły się krytyki w pismach warszawskich. Gerwazy w *Kłosach* śmiało zawyrokował, że charakterem brak siły dramatycznój, a nawet poezyi. Oświadcza, iż Rognieda wygnana ze sceny nie pokaże się więcej, rad temu, bo go znudziła jako puste marnienie. Dobitniej jeszcze wyraził się korespondent *Tygodnika Ilustrowanego*: ten oskarża autora o zdeptanie wszelkich prawideł, o nieznaną sceny. Dziwi się i to nietylko własnóm, lecz powszechnóm

zdziwieniem, że komisya konkursowa tak słabemu utworowi przysądziła drugą nagrodę.

Pociski te ubodły w serce autora. Odpowiedział na nie satyrycznym poemacikiem, szczerze zaprawnym solą atycką, pod tytułem: *Zemsta Rogniedy*. Widmo kniahini ukazuje się poecie, pyta, czemu ją zamordował wbrew prawdzie historycznej? Autor tłómaczy się jak może: wymaganiem sądu konkursowego, uderza się w piersi, powtarza *mea culpa*; nieprzebłagał ofiary:

Wróć mi moje serce,  
Lub upiorzycą będę mordować mordercę.

Tak woła znieważona i znika. Wtém przybiega chmara szatanów: „nie jesteś geniuszem, autorze *Rogniedy!*” zakrzykną że śmiechem piekielnym.

— Czego chcecie odemnie? — zagadnie poeta — czém mogłem obudzić zawiść waszą?

Zamiast szczęścia, mam oto kilka starych książek,  
I przytułek w szpitalach, i taki pieniążek,  
Co się skrapia łzą mego własnego anioła,  
Co mnie piecze jak ogień, a ogrzać nie zdoła.  
Zamiast żony mam astmę i smutną mam duszę,  
Nię będąc geniuszem, jak geniusz muszę  
Tworzyć i cierpieć za te niefortunne twory!  
I mieć was, co jesteście dla mnie jako zmary;  
Albo jak tabaczkowe wróble czarnołatki,  
Co zabiwszy kanarka wybiegłego z klatki,  
Powiadały do siebie patrząc na ofiarę:  
Czemu miał piórka jasno, nie buro, nie szare?

Oto inny charakterystyczniejszy ustęp:

Co czynię, przebóg, marzę!... przeszło po mnie mrowie,  
Korrespondentów widzę tam oto w Krakowie.  
Pozytywne kapłany, doktory, autory,  
Konzory, prelegenty, sędzie, profesory.  
Przepadłem, jeśli przez nich wiatr powieje ku mnie:  
Zwinę się jako czulek, położę się w trumnie,  
Albo nim z astmą w zmwowie oddech mi przetną,  
Przez tubę dam ich uszom wiedziéć żem nie Etną,  
Ani żadnym wulkanem, ni żadnym Tytanem,  
Ni żadnym Herkulesem, ani tóż Galwanem  
Poruszającym trupy!

Zwraca się w końcu do smutnej bohaterki.

O, moja nieszczęśliwa! lepiój było tobie  
W ośmiowiekowym oichym i głębokim grobie.

Temu, żem cię ożywił w świetcie sztuki Boskim,  
 Ażebys znów umarła w teatrze krakowskim!  
 Cyferblatów, strychulców i desek ofiaro!  
 Spoczywaj trupem sztuki, lub mścicielką marą  
 Stań się dla tych, co ciebie z wartości odarli,  
 I powtórnie zabili, i sami pomarli.  
 W tym żywym świetcie sztuki, gdzie jest Boskie tchnienie,  
 Gdzie uroki swo tworzą czułość i marzenie,  
 Oni każą bez uczuć i bez marzeń tworzyć;  
 Umorzyli poczyją, sztukę chcą umorzyć:  
 Na nich się mścij, ty córko mojego marzenia,  
 Poczęta w duchu moim od Boskiego tchnienia!

## IX.

Mimo tych nieuzasadnionych pocisków na *Rogniedę*, nagroda konkursowa przyznana poecie naszemu, dała mu w kraju nowy rozgłos. Moty w Poznaniu miał prelekcją o pracach Olizarowskiego; później nieco wydrukował w *Tygodniku Wielkopolskim* obszerny rozbiór jego utworów; zachwycał się szczególniej poematem *Bruno*, z którym jak mówi, i krytyka i publiczność obchodziła się dotąd po macoszemu.

Dwa pierwsze akta *Konfederatów barskich*, odgrywane bez przerwy w teatrze krakowskim, grzmiące wywoływały oklaski. Recenzenci *Czasu* podnieśli wyborny język, tętniący echem epoki Zygmunto-wskiej. Uwiadomiony o tych tryumfach listem przyjaciela, poeta smętném okiem rzucił na ten promyczek sławy, który zbyt późno błysnął nad posiwiąłą jego głową. Żalostną myśl wyraził w sonecie:  
*Błędna mara:*

Na Wołyniu, nad Ikwą, pod niebem majowém,  
 Kiedy mnie wszystko jeszcze trzymało przy szkole,  
 Łudzicielka szepnęła: wyleć na mo pole:  
 Znajdziesz wielkie tam szczęście, z wielkiém życiem nowém.

Więc na zawszem się rozstał z mém szczęściem domowém;  
 W świat uniosły mnie skrzydła pawie i sokole,  
 Na nowe wciąż zawody, nadzieje i bole,  
 W stolicy-m świata osiadł widmem pogrobowém.

O! sławo! czarodziejko! dziś ty błędną marą,  
 Przychodzisz poswawolić z moją myślą starą;  
 Lecz już twoja swawola urzec mnie nie zdoła!

Ofiary tobie składać starość nie pozwala,  
 Zdala więc czarodziejko, bądź odemnie zdala!  
 Przyczepiaj twe uroki do młodego czoła!

Zachęcony jednakże namową przyjaciół, wysłał znów na konkurs do Lwowa piękny dramat historyczny: *Krystyna Gorzałę*. Dramat nie



Wlazłeś w kłosa, siedźże w kłosach:  
 W kłosach czekaj na pokłosie!  
 Przyjdzie kolój i na ciebie,  
 Twoja kolój jeszcze w niebie;  
 Twoje pieśni jeszcze ziemia  
 Niech zagłusza i oniemia.  
 Gdy dopełnią się nawozy,  
 W brzegi wróci wylew prozy;  
 Przyjdzie orka, wtedy może,  
 I twe pieśni pług wyorze.

Ale nadzieja ta nie wystarcza pocie. Uderza w skrzydła, wzbi-  
 ja się coraz wyżej a wyżej. ku tym jasnym błękitom, z kąd głos anioła  
 szepcze mu słowa nadziejskiej otuchy.

Nad krainą różnej doli  
 Dobry anioł przelatywał,  
 I po drodze lecąc śpiewał:  
 Pokój ludziom dobrej woli!  
 W ślad anioła ja człek smutny,  
 W ludzkim ciele duch pokutny,  
 Także nucę w mój niedoli,  
 Pokój ludziom dobrej woli.

W tém uniesieniu dusza jego rozwiązana z ziemskich więzów od-  
 zyskuje zupełną wolność. Poeta patrzy bez żalu na przebolełe dni,  
 krzyż podjęty z miłością nie ciąży mu na barkach. Nuta głęboko reli-  
 gijna podzwania w jego pieśni:

Błogosławieni, którzy cierpią wiele,  
 Wyrzekłeś Ojciec przez Syna w kościele;  
 Gdy więc przed Twoim stanę trybunałem,  
 Wyrzeknę tylko to słowo: cierpiałem.  
 A Ty zdjąć każesz ze mnie grzechów brzemię,  
 I razem z ciałem wyrzucisz na ziemię;  
 Wyrzucisz ze mnie wszelką myśl o ciele,  
 I ducha mego umieścisz w niebiosach,  
 Gdzie mnie pieśń przyjmie w niezliczonych głosach:  
 Błogosławieni którzy cierpią wiele!

W ostatnich latach, coraz bardziej dręczony astmą, przewidywał  
 rychły kres życia; myśl jego krąży też bezustannie około grobu. Na kilka  
 miesięcy przed skonem, posłał poeta na konkurs krakowski historyczny  
 swój dramat: *Wincenty z Szamotuł*, rozszerzony w ostatnich czasach  
 do rozmiarów trylogii. „Jeśli, mawiał, otrzymam nagrodę, będzie to  
 na grób.” Niestety, odrzucono trylogią. Wiść o tém doszła poetę na  
 łożu śmiertelném: spokojnie przyjął ostatni pocisk.

Umarł po chrześcijańsku w maju. Zwłoki jego złożono tymczasowo na ubogim cmentarzu w Ivry, z kąd wkrótce zapewne przeniesione będą na Pere Lachaise.

W jednym z dawniejszych poematów, tak zmarły nasz lirnik odzywał się do Polek:

Jedna mi jeszcze zostaje otucha,  
 Że do mojego przyznacie się ducha;  
 Że go w swe myśli, w swe serca weźmiecie,  
 Że się nad jego zadumacie pieśnią,  
 Że poświęćcie jemu łąy i kwiecie.

Może me słowa wmarzą się wam, weśnią,  
 Może uczucia wasze się rozoicęnią;  
 Może pytanie na myśl przyjdzie komu:  
 A ma téż grób on, kiedy nie miał domu?

---

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY

W KRÓLESTWIE POLSKIM \*).

PRZEZ

*Antoniego Wrotnowskiego.*

XI.

Jedną z wybitniejszych cech, odróżniających epokę dzisiejszą od wieków ubiegłych, jest stała myśl i troska o możliwy dobrobyt ludzi uboższych, a w szczególności warstw zarobkujących. Ta zaś myśl ogarnia przedewszystkiem artykuły żywności, pragnąc by każdy w nagrodę pracy mógł się dziś żywić posilniej i zdrowiej. Oddziaływanie w tym kierunku stało się przeto wszędzie zadaniem prawodawców i statystów. Cukier jest właśnie jednym z takich artykułów żywności, których nabywanie dla najmniej zamożnych uprzystępnić, a użycie

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za październik r. b.



między ludnością krajową rozpowszechniać należy. Słynny chemik francuzki poświadcza, iż ten produkt wpływa w najwyższym stopniu na polepszenie warunków higienicznych robotnika, na podniesienie jego dobrobytu i pomnożenie tych przyjemności, które go przywiązują do rodzinnego i domowego ogniska <sup>1)</sup>. Cukier jest jedynym zbytkiem klas niezamożnych, mówił znowu inny słynny statysta <sup>2)</sup>; jak to zaś słusznie zauważono, są one w prawie tego zbytku pożądać, skoro przykład Anglii objaśnia, iż dostępność lub niedostępność, czyli taniość lub drogość cukru jest dziełem samego prawodawstwa. Mieszkaniec Wielkiej Brytanii, kupując funt herbaty, dostaje w każdym sklepie funt cukru darmo, jako dodatek; cena bowiem cukru nieobciążonego podatkiem jest tak małą, iż ginie w cenie herbaty <sup>3)</sup>. Wielka Brytania konsumuje rocznie około miliarda kilogramów cukru, co czyni przecięciowo blisko 30 kilogramów na każdego mieszkańca, czyli przeszło dwa razy tyle, ile wedle urzędowego ocenienia potrzebowałby każdy mieszkaniec Imperyum, przy umiarkowanej konsumacji tego produktu <sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Dumas w r. 1850 minister rolnictwa i handlu we Francyi, w motywach do projektu złożonego ciała prawodawczemu: „Le sucre a marqué sa place parmi les aliments les mieux appropriés aux besoins de l'homme. Lorsque sa consommation s'élève, elle contribue au plus haut degré à améliorer les conditions hygiéniques des classes laborieuses, à accroître leur bien-être et à augmenter ces jouissances de famille qui attachent au foyer domestique.” Patrz, przypisek 1, str. 129, cytowanego dzieła M. Amé, a także De Saint Rémy, str. 209.

<sup>2)</sup> „The poor mans' luxury,” lord John Russel (de Saint-Remy, str. 203).

<sup>3)</sup> Tamże, str. 204.

<sup>4)</sup> Konsumacya cukru w krajach europejskich w r. 1875 wykazaną jest przez dra. R. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 26, jak następuje:

	tonn	mieszkańców	konsumacya przecięciowo każdego mieszkańca
Anglia. . . . .	900,000	31,629,300	28, <sup>450</sup> kilogramów
Niemcy . . . . .	315,000	42,337,874	7, <sup>360</sup> „
Francya . . . . .	275,000	36,377,600	7, <sup>550</sup> „
Rossya. . . . .	250,000	82,135,700 <sup>1</sup>	3, <sup>000</sup> „
Austria-Węgry .	148,800	37,200,000	4, „
Hiszpania . . . .	50,000	16,835,000	2, <sup>950</sup> „
Holandya . . . .	30,000	3,579,400	8, <sup>400</sup> „
Turoya. . . . .	25,000	23,610,000	1, <sup>040</sup> „
Portugalia. . . .	15,000	4,324,000	3, <sup>400</sup> „
Szwecya. . . . .	20,000	5,870,300	3, <sup>400</sup> „
Dania . . . . .	18,000	1,785,000	12, <sup>500</sup> „
Szwajcarya . . .	18,500	2,659,600	7, <sup>350</sup> „
Grecya . . . . .	3,000	1,457,100	2, <sup>100</sup> „
Belgia. . . . .	50,000	4,827,800	10, <sup>308</sup> „
Stany Zjednocz. .	750,000	38,925,000	19, <sup>210</sup> „

Potrzeba rozpowszechnienia konsumacji cukru we Francji była zawsze podnoszoną przez statystów, a wysokość ciążącego na nim podatku jest wynikiłością wstrząśnień wewnętrznych i wojen, przez jakie ten naród wielokrotnie przechodził. Niemożność natychmiastowego obniżenia tego podatku jest zaś poczytywaną za *malum necessarium*; nie daje się bowiem spotykać w druku zaprzeczenie rozpowszechnionego we Francji pojęcia, iż cukier stał się już przedmiotem pierwszych potrzeb <sup>1)</sup>.

Większość statystów projektujących podatkowość w Imperyum, oświadczyła się ze zdaniem wprost przeciwném i jak to już wyżej zaznaczono, poczytała cukier za przedmiot zbytkowy <sup>2)</sup>, skutkiem czego nie uznawała za rzecz właściwą ani badać, jakimi środkami możnaby rozpowszechnić użycie tego pokarmu między ludnością uboższą, ani dążyć do powiększenia ogólnej jego konsumacji w kraju.

Ilość funtów cukru spożywanego w Imperyum, wypadająca na jednego mieszkańca nie jest jednakowo podawaną w urzędowych źródłach; spotykamy bowiem w jedném miejscu, że 4½ funta <sup>3)</sup>, w drugim że 7 funtów <sup>4)</sup>, w innych wreszcie, że 8 funtów jest wyrazem statystycznym rzeczoney konsumacji <sup>5)</sup>. Mierzenie wszakże stopnia konsumacji za pomocą takich przeciętnych, podawane za jój wyraz we wszystkich książkach statystycznych, może wprawdzie służyć do porównań, ale prawdziwego stanu rzeczy ściśle nie uwydatnia. Jakoż 8 funtów rocznie na jednego mieszkańca nie znaczy bynajmniej, iżby

de Saint-Remy, *loc. cit.* str. 206, na podstawie obliczenia podanego przez *Journal des Fabricants de sucre* z dnia 10 stycznia 1877 r., wykazuje konsumacją cukru w Anglii w r. 1876 na 925,000 ton, liczbę zaś mieszkańców na 33,047, 405, na str. zaś 217 i następnej potrzebę około 28 kilogramów rocznie na każdego z mieszkańców Francji, który jest w stanie cukier konsumować. *Żurnal komisji...* str. 26, w przypisku, mylnie więc oblicza konsumację cukru w Anglii na 40 funtów; afirmuje zaś, iż przy prawidłowém, lecz umiarkowaném użyciu tego produktu potrzeba na mieszkańca Imperyum około 25 funtów rocznie.

<sup>1)</sup> Sprawozdawca w ciele prawodawczém francuzkióm hr. Beugnot w r. 1860 objaśniał: la consommation d'aucun produit n'est aussi facile que celle du sucre à populariser, à faire penetrer jusque dans les chaumières... elle est à la disposition d'un législateur intelligent." W inném zaś miejscu tego sprawozdania czytamy: „on ne peut pas assimiler complètement le sucre au pain ou à la viande, mais il a pris chez les nations modernes une si grande place dans l'alimentation, qu'il est devenu un *objet de première nécessité*. Il n'en a pas moins été traité par l'impôt comme un objet de luxe." De Saint Rémy, *loc. cit.* str. 210 i 211.

<sup>2)</sup> *Żurnal komisji...* str. 27.

<sup>3)</sup> *Obzor...* str. 190.

<sup>4)</sup> *Razwitijsje...* str. 232.

<sup>5)</sup> *Izsliedowanija...* str. 102. *Żurnal komisji...* str. 26.

każdy mieszkaniec Imperyum spożył 8 funtów w ciągu roku; ci bowiem którzy są w możności kupować cukier po cenach dzisiejszych, spożywają go rocznie po 28 kilogramów wedle obliczeń zagranicznych, a po 25 funtów wedle rzeczonych źródeł urzędowych. Uznanie przeto iż przy ludności 80 milionów, konsumacja cukru wyraża się przez cyfrę 8 funtów na jednego mieszkańca, przetłómaczone na język dla każdego zrozumiały znaczy, iż używa tego pokarmu co najwięcej 3 miliony osób, reszta zaś 77 milionów zna cukier tylko z widzenia, a po części tylko z nazwy. I tylko te ostatnie cyfry, jako prawdziwy wyraz istniejącego stanu rzeczy, powinnyby właśnie być mianem na oku.

Rozpowszechniając użycie cukru między temi 77 milionami mieszkańców, czyniłoby się właśnie zadosyć owym względem moralnym, skoro ten zdrowy pokarm mógłby dla robotników i włościan zastąpić wódkę, która ich demoralizuje, rozpaja i uboży, a więc wpływając na polepszenie i ogólnego dobrobytu i stopnia moralności zarazem; co wszystko dałoby się zapewnie urzeczywistnić łatwiej w ojczyźnie samowarów, niż w innych krajach kontynentu.

Projekt przyszłej podatkowości nie przyswaja sobie tego celu, podwyższając bowiem podatek od fabrykacji cukru, a tém samém podnosząc koszta produkcji tego wyrobu, musi sprowadzić jego podrożenie w bardzo niedalekiej przyszłości. Rzecz przeto widoczna, iż nie troszczy się wcale o to, by dla owych 77 milionów osób uczynić ten pokarm dostępniejszym. A jednak nawet pod względem fiskalnym doświadczenie wszystkich krajów poucza, iż dochód z każdego podatku pośredniego nie wzrasta bynajmniej przez podwyższanie tegoż podatku, ale przeciwnie jest zawsze następstwem powiększonej konsumacji, którą znowu rozbudza taniość, tylko taniość. Poczta listowa przy wysokim portu nie przynosiła nigdzie tak poważnych sum dochodu, jak dziś przy opłacie kilku fenigów, centimów, lub kopiejek od listu. I gdyby 77 milionów mieszkańców, dla których cukier był dotąd zadrogą, spożywało go tyle, ile wedle urzędowego obliczenia spożywa każda z owych uprzywilejowanych przez los 3 milionów osób, dotychczasowy z téj kategorii dochód budżetowy musiałby wzrosnąć przynajmniej o 25 razy, czyli o 2500% (w stosunku mniej więcej jak 3 do 77), chociażby sam podatek podwyższonym nie był.

Doprowadzenie konsumacji cukru do takich rozmiarów nie może wprawdzie być dziełem ani kilku lat, ani nawet jednego pokolenia; myśl przecież statystów powinaby sięgać w odleglejszą przyszłość i dążyć do celu, chociażby było do przewidzenia, iż on całkowicie osiągnąć się nie da. Każdy dziesięć lat, a przynajmniej każde pokolenie, mogłoby zaznaczać pewien postęp; każdy zaś częściowy wzrost owój liczby 3 milionów osób, konsumujących cukier, sprowadzałby zarazem, acz częściowo, ale niezawodnie i wskazane wyżej następstwa moralne i powiększenie dochodu budżetowego. Każda dziedzina działalności powinna wytworzyć dla siebie ideał, chociażby nie całkowicie i nienatychmiast dościgły i wymagający wytrwałej pracy wielu pokoleń;

źle więc gdy jakakolwiek wyrzekając się wszelkiego ideału, ogranicza się na dniu dzisiejszym i dążeń do doskonałości wcale nie zna. Smutne też wrażenie wywołują poglądy, nie troszczące się bynajmniej o tak liczną ludność robotniczą i włościańską; poglądy prowadzące do tego dla niej rezultatu, iż konsumacja cukru, acz mogąca polepszyć higieniczne i moralne warunki życia 77 milionów mieszkańców, ma być na przyszłość dla każdego z nich jeszcze bardziej niedostępna, niż dziś wobec cen względnie tanich.

Jeszcze smutniejsze wrażenie wywołuje odwrotna strona obrazu, przedstawiająca co najmniej połowę owych dziś od losu uprzywilejowanych 3 milionów osób, umiarkowanie cukier konsumujących, dla których jest on, wedle przytoczonych słów angielskiego statysty, jedynym i prawdziwym przedmiotem zbytkowym, gdyż nie stać ich na to, co się składa na zbytek ludzi zamożnych. Mamy zaś na myśli tych wszystkich, których dochód nie dochodzi przynajmniej 1,000 rubli rocznie, obowiązanych do ciągłej oszczędności, do nieustannych prywacy, do ścisłego rachunku przy każdym codziennym wydatku, skoro każde przerachowanie się nie dozwala im związać końca z końcem i sprowadza deficyt, będący zapowiedzią ruiny w bliższej lub dalszej przyszłości. Jeżeli więc każdy wchodzący pod tę kategorię konsumentów cukru, odmawiając sobie i swój rodzinie wszystkich innych przedmiotów zbytkowych, jest do dziś w możności kupić 25 funtów rocznie, gdy cena tego artykułu wynosi około 15 kopiejek, łatwo przewidzieć, iż będzie zmuszonym poprzestać na 20 lub 15 funtach na osobę, jeżeli mu przyjdzie płacić funt po 20 lub 25 kopiejek <sup>1)</sup>, a więc odzwyczajając się od pokarmu, do którego już nawykł. Podrożenie cukru nie dotknie ani bogaczy, ani rodzin mogących wydatkować po kilka tysięcy rubli rocznie; wszyscy, rzeczywiście zamożni, nie przestaną używać cukru, ile zechcą, nawet nieumiarkowanie, chociażby im przyszło płacić za funt dwa razy drożej niż dziś; ale też za tymi prawdziwie od losu uprzywilejowanymi nie podnosimy głosu.

Nie biorąc ich więc w rachubę i odnosząc powyższe uwagi do wielkiej liczby egzystencji, mogących zaledwie wyżyć ze szczupłego dochodu, w które drogość cukru uderzy przedewszystkiem i najdotkli-

<sup>1)</sup> Dzisiejsze ceny wszystkich przedmiotów pierwszych potrzeb, porównane z cenami takichże przedmiotów, istniejącymi przed laty 50-ciu, przekonują, że pieniąż (nawet srebro i złoto) jako znak zamiany, bardzo wiele stracił na wartości. Rubel kredytowy, jako znak zamiany, obniżył się jeszcze więcej, skoro jego kurs zszedł do 60 kopiejek w stosunku do złota. To też łatwiej mógł być wyżyć w Warszawie przed r. 1830 każdy za 1,000 złotych polsk. rocznie, niż ten kto ma dziś dochodu 1,000 rubli. Do jakichże więc oszczędności groszowych, przy każdym codziennym wydatku obowiązani są ci wszyscy, którzy za 1,000 rubli muszą utrzymać rodzinę, chociażby najmniej liczną i jak dotkliwie uderzy w nich podrożenie cukru, tego objaśnić niema potrzeby.

wię, dochodzimy zarazem do wniosku, że konsumacja cukru musi się zmniejszyć, co znowu pociągnie za sobą dwa nieuniknione następstwa: 1) zmniejszenie produkcji cukru i 2) pomimo powiększenia podatku, zmniejszenie dochodu budżetowego, z téj kategorii otrzymywanego dotychczas.

Nie potrzeba bowiem być na to prorokiem i wystarczy przeczytanie którejkolwiek z lepszych książek ekonomicznych, chociażby tylko jednego z podręczników w materji finansów, aby dziś przewidzieć stadya, przez które, wobec znacznego powiększenia akcyzy przechodzić będzie przemysł cukrowniczy z jednéj i ogólnej konsumacja cukru z drugiejsz strony <sup>1)</sup>. To podwyższenie, podnosząc koszt produkcji,

<sup>1)</sup> Ekonomia społeczna jest, jak wiadomo, nauką obserwacyjną i dedukcyjną, nie zaś inwencyjną; nie wysnuwa przeto żadnych reguł z rozumowania abstrakcyjnego i nie stawia żadnych zasad *à priori*, do których miałyby się naginać fakta i fenomena ekonomiczne; ale przeciwnie, bada przyczyny tych faktów, ocenia następstwa tych przyczyn i tłumaczy te fenomena. Pisma ekonomistów mogłyby przeto przynosić pożytek nawet statystom.

Pytania, mające na celu wskazanie, w kogo rzeczywiście uderza każdy podatek, kto jest w istocie opodatkowanym i kto ostatecznie płacącym, zajmują oddawna wszystkich ekonomistów, o téj materji piszących. Ricardo (*Principes de l'économie politique et de l'impôt* r. 1817) mniemał, iż każdy podatek jest zawsze płaconym przez samych konsumentów, iż producent zawsze go doliczy do kosztów produkcji. J. Garnier (*Traité de finances* 2-c édit. Paris 1862, w rozdz. V, str. 38 *de l'incidence de l'impôt ou de la détermination du véritable contribuable, de celui sur qui retombe l'impôt.*), poświadcza, iż J. Mill i Franklin podzielali to zdanie, iż ostatni z nich mówił: „que le marchand met toujours la taxe sur sa facture.” Tak samo uczył już Adam Smith w drugiejsz połowie zeszłego wieku (*Recherches sur la nature et les causes de la richesse des nations, traduct. de Germain Garnier, Paris, 1859. Ks. IV, rozdz. 6*), mówiąc: „l'impôt est payé en fin de compte par le dernier acheteur ou le consommateur.” Proudhon w dziele: *Théorie de l'impôt* (patrz u Feliksa Cohen *loco citato* str. 52) z niemniejszą wyrażał się energią: „tout impôt se résout en une taxe de consommation.” J. B. Say, uznając zdanie powyższe zasadnym ze stanowiska abstrakcyjnego, czynił przeciwieś uwagę, iż w praktyce część podatku pozostaje ciężarem produkujących, a tylko część dotyka konsumujących; uczył przeto, iż „ce sujet n'admet point d'opinion absolue. Il n'est probablement aucune espèce de contribution, qui ne retombe sur plusieurs classes de citoyens.” J. Garnier (*loco citato* str. 39—41) zarzuca brak ścisłości poglądom Say'a, czyniąc zarazem uwagę, iż ilekroć podatek, wedle zdania Ricarda, spada na samych konsumentów, należy je uzupełnić wyrazami *en général et à la longue*, fakta bowiem przekonywają, iż owo przenoszenie ciężaru z producenta na konsumujących, nigdy nie następuje wprost, bezpośrednio i bez odpowiednich z jego strony usiłowań. „Il n'ya donc pas de loi générale à formuler pour l'incidence, la répercussion ou la diffusion des impôts,” konkluduje tenże autor, skoro odpowiedź na powyższe pytania dla każdego

dotknie w pierwszej chwili same fabryki, ale tylko na czas krótki i przejściowo; po pewnym bowiem czasie cena cukru będzie się stopniowo podnosić, skoro przy cenach dzisiejszych żadna fabryka ostałby się

podatku wypada inaczéj i skoro przy ocenianiu rozróżniać należy podatki istniejące oddawna, od ustanawianych nanowo, naturę przedmiotu opodatkowanego, przypadkowe lub ciągle, czasowe lub stałe następstwa pobieranej opłaty; przedewszystkiéim zaś mieć na oku prawo zaosiarowania i zapotrzebowania (*de l'offre et de la demande*) rzeczonoego przedmiotu, ono bowiem odpowiednio do przypadku i do okoliczności bardzo zmiennych dozwala producentowi odzyskać od konsumentów całość lub tylko część opłaconego przezeń podatku.

Do takich samych poglądów dochodzi *Esquiross de Parieu (Étude sur le système d'Impôt: Histoire des Impôts généraux sur la propriété et le revenu)*. Poświadczywszy, że „l'incidence des taxes ne peut être considérée comme réalisant une réflexion complètement destructive des premiers effets naturels de l'imposition,” przytoczywszy nastépnie, że „l'impôt reste au moins immédiatement, à la charge de celui qui le paie, si l'objet sur lequel il est assis n'est pas susceptible de restriction; il est rejeté en tout ou en partie sur d'autres contribuables, si l'objet sur lequel il est assis est susceptible de restriction et la répercussion de l'impôt est en raison même de la facilité de cette restriction,” tenże uczoney jest także zdania: „qu'il n'y a pas de loi générale à formuler pour l'incidence, la répercussion ou la diffusion des impôts, que cette question est insoluble dans sa généralité, qu'il faut pour en apprécier l'importance et les conséquences, examiner de près les principaux effets directs ou indirects de divers impôts.” Przedmioty konsumacyi dzieli *Parieu* na zbytkowe i pierwszych potrzeb, oświadczając, iż wpływ podatku na pierwsze zależy od okoliczności i zwyczajów ludności: „si le consommateur use de la faculté qui lui appartient de restreindre sa consommation, c'est le producteur de l'objet de luxe qui verra ses profits diminuer. Il supporte aussi l'influence de l'impôt, mais suivant l'état du marché des salaires, il fait supporter une partie de cette charge aux ouvriers qu'il emploie.” Mówiąc zaś z koloj o przedmiotach pierwszych potrzeb, zaznacza co nastépuje: „les impôts sur les consommations de nécessité absolue, en tant que ces taxes portent sur les riches ou même sur les personnes peu aisées, mais qui vivent autrement que de salaires, ne tombent que sur les consommateurs. En ce qui concerne les salaires, l'effet de l'impôt est rejeté sur ceux qui salarient le travail par le renchérissement des salaires; atténué par l'augmentation du prix des objets produits et par la concurrence qu'amène un plus grand nombre de bras, que la cherté des denrées contraint au travail.”

Wszystkie te zasady są już powszechnie uznanemi i przyjętymi przez ekonomistów, nie chcemy przeto tego i tak zbyt długiego przypisku powiększać innemi jeszcze cytacyami. Przedmiot zresztą wychodziłby z zakresu tego studyum i zestawiliśmy to kilka zdań i poglądów tylko dla tego powodu, iż one na statystów, obmyślających metody podatkowe, wkładają właśnie obowiązek zwracania bacznéj na to uwagi, jak się podatek w wykonaniu rozłoży

nie mogła; inaczej bowiem, każda płacąc podatku dwa razy więcej niż dotychczas, musiałaby wyrabiać ten produkt z widoczną dla siebie stratą.

Cena nie ogarnie odrazu całego podwyższenia podatku tylko dlatego, iż dzisiejsza produkcja cukru jeszcze przewyższa jego konsumpcję.

Położenie rzeczy wejdzie przecież niezadługo w 2-gie stadyum, w którym ów stopniowy wzrost ceny cukru zacznie oddziaływać na zmniejszanie jego konsumpcji, co znowu złamie równowagę między zapotrzebowaniem i zaofiarowaniem tego produktu. Że zaś ten wzrost jeszcze nie będzie równoważnikiem powiększenia akcyzy, a cena cukru jeszcze nie będzie pokrywać kosztów jego produkcji, wyniknie ztąd kryzys, wśród którego fabryki gospodarczo-rolnicze i mniejsze, nie zasobne w kapitał, niemające ani siły do czynienia wydatków na przyrządy, przyspieszające dobywanie soku z buraków, ani do przetrzymywania cukru na składzie przez czas dłuższy, znajdą się w konieczności spieniężać swoje produkta bez względu na stratę, czyli niżej kosztów produkcji. Takie przedaże nie dozwolą wprowadzić na to, by ceny cukru wzrosły raptownie, ale jednocześnie będą za sobą pociągać zamykanie rujnujących się fabryk, dopóki potrzeby ogólnej konsumpcji krajowej, już wówczas znacznie mniejsze od potrzeb dzisiejszych, nie przewyższą ogólnej produkcji cukru. Na wywóz zaś tego produktu za granicę rachować niema żadnej podstawy. Dopiero więc z chwilą, gdy runie ostatnia fabryka z liczby tych, które nie będą mogły owego kryzysu przeżyć, ustali się cena cukru w ten sposób, iż całe podwyższenie podatku znajdzie się w jej wzroście i wtedy cukrownictwo wejdzie w stadyum 3-cie, które mogłoby się zwać normalnym, gdyby nie obawa nowego za lat kilka podwyższenia zasad, norm lub skali podatku. Przy ostaniu się mniejwięcej połowy dziś istniejących fabryk, czyli przy zmniejszeniu dzisiejszej produkcji cukru o jakie 30 lub 40%, podatek spadnie już ostatecznie na samych konsumujących, ale też wobec wyższych cen tego produktu i ogólna jego konsumpcja odpowiedniemu ulegnie zmniejszeniu. Zamknięcie zaś znacznej liczby fabryk i koniecznie

i w kogo ostatecznie uderzy, skoro każdy podatek prawie nigdy nie jest ponoszonym przez opodatkowanych bezpośrednio, lecz bardzo często spada na ogólną konsumpcję całego kraju, którą dotknie prędzej lub później. *Les questions de consommation, czyni słuszną uwagę Foliks Cohon (loco citato str. 58), ne tient aux intérêts les plus essentiels du bien-être des populations laborieuses et à la sécurité même de l'ordre social; c'est dès lors, un devoir rigoureux de se préoccuper toujours de l'incidence d'un impôt au moment même de sa création et de se déterminer moins encore par l'évidence de son principe, que par la gravité de ses conséquences.*"

W tytuł materyałach, starannie przez nas studyowanych, nie znaleźliśmy przecież wzmianki wskazującej, iżby te wszystkie konsyderacje były branami pod rozbiór lub mianami na oku.

idące za niem zmniejszenie ogólnej produkcji cukru, pociągnie znowu za sobą obniżenie ogólnego dochodu z akcyzy, pomimo powiększenia jej norm.

## XII.

Podrozenie kosztów produkcji, uwydatnione w rozdziałach poprzedzających, a padające w tak wysokim stosunku na każdy z główniejszych jej czynników, nie byłoby zapewne powstrzymało rozwoju naszego przemysłu cukrowniczego, gdyby utrzymały się były dawniejsze ceny cukru i poprzednia łatwość jego zbytu. Te przecież ceny obniżały się jednocześnie z powiększaniem się rzeczonych kosztów; co znowu potęgowało trudność już z samego pogarszania warunków produkcji dla fabryk wynikającą.

Jakoż cena cukru rafinowanego w r. 1836 wynosiła w Petersburgu jeszcze rubli 13 kop. 43 za pud i obniżała się dopiero w miarę rozwoju cukrownictwa w Imperyum i stopniowego zmniejszania przywozu tego produktu z zagranicy <sup>1)</sup>. W październiku 1878 r. cena cukru nie-

<sup>1)</sup> Przywóz cukru zagranicznego do Imperyum zmniejszał się w następującym stosunku:

w roku	1849	przywieziono	cukru surowego	2,033,773,	rafinow.	150,504	pud.
„	1850	„	„	1,974,984	„	56,432	„
„	1851	„	„	1,836,989	„	75,941	„
„	1852	„	„	1,876,550	„	62,685	„
„	1853	„	„	1,288,442	„	75,117	„
„	1854	„	„	986,441	„	144,001	„
„	1855	„	„	842,202	„	161,945	„
„	1856	„	„	1,128,164	„	203,579	„
„	1857	„	„	1,440,199	„	197,735	„
„	1858	„	„	1,258,914	„	11,624	„
„	1859	„	„	957,000	„	1,419	„
„	1860	„	„	977,139	„	1,202	„
„	1861	„	„	1,092,436	„	279	„
„	1862	„	„	1,262,660	„	4,663	„
„	1863	„	„	2,150,806	„	22,743	„
„	1864	„	„	1,658,086	„	1,919	„
„	1865	„	„	214,983	„	715	„
„	1866	„	„	1,415,988	„	3,924	„
„	1867	„	„	581,649	„	3,654	„
„	1868	„	„	89,122	„	1,025	„
„	1869	„	„	76,388	„	750	„
„	1870	„	„	23,290	„	95	„
„	1871	„	„	4,419	„	26	„
„	1872	„	„	494,466	„	3,413	„
„	1873	„	„	119,871	„	927	„



rafinowanego w Kijowie i w Warszawie wynosiła już tylko 4 ruble 25 kop., do 4 rub. 40 kop., w Moskwie zaś około 5 rubli za pud <sup>1)</sup>; wiadomo zaś, że różnica cen między cukrem surowym i rafinowanym nie przechodzi półtora rubla na pudzie. Porównanie tych cen <sup>2)</sup> doprowadza

w roku	przywieziono cukru surowego	941,796,	rafinow.	923 pud.
„ 1875	„	1,428,440	„	5,611 „
„ 1876	„	494,158	„	1,157 „
„ 1877	„	1,102	„	404 „
„ 1878	„	618	„	33 „

(Razwitijs... str. 250).

<sup>1)</sup> *Techniczeskij listok*, wychodzący w Kijowie, jako dodatek do wydawnictwa pod tytułem: *Zapiski kijewskaho otdielenija Imperatorskaho Ruskaho Techniczeskaho Obszczestwa*, nr. 12, z dnia 15 października 1878 r., podający wiadomość o sprzedaży 19 partyi cukru, loco, Kijów, Warszawa i Moskwa, tworzących razem 376,000 pudów.

<sup>2)</sup> Materiały urzędowe dostarczają następujące dane statystyczne, pod względem cen puda cukru surowego w Petersburgu, obliczonych średnio każdego roku:

roku 1841	— rs. 7 kop. 82	roku 1856	— rs. 8 kop. 86
„ 1842	— „ 7 „ 62 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„ 1857	— „ 8 „ 95 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
„ 1843	— „ 7 „ 75	„ 1858	— „ 7 „ 43 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
„ 1844	— „ 7 „ 49 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>	„ 1859	— „ 7 „ 47 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>
„ 1845	— „ 8 „ 31 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„ 1860	— „ 7 „ 51
„ 1846	— „ 7 „ 61	„ 1861	— „ 7 „ 49 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>
„ 1847	— „ 7 „ 61	„ 1862	— „ 7 „ 61 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
„ 1848	— „ 7 „ 97 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>	„ 1863	— „ 7 „ 26
„ 1849	— „ 8 „ 61 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„ 1864	— „ 7 „ 19 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
„ 1850	— „ 8 „ 21 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„ 1865	— „ 7 „ 12 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
„ 1851	— „ 7 „ 34 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„ 1866	— „ 7 „ 12 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
„ 1852	— „ 7 „ 5 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>	„ 1867	— „ 7 „ —
„ 1853	— „ 7 „ 23	„ 1868	— „ 7 „ —
„ 1854	— „ 8 „ 25	„ 1869	— „ 7 „ —
„ 1855	— „ 8 „ 55	„ 1870	— „ 5 „ 40 do 6 rs.

(Dokład z r. 1871, str. 73 i 74).

Dokład, str. 75.

Z cen znowu cukru rafinowanego (*Trudy komisiji z r. 1864. Prilożenijs k'osobomu mneniju 9 czlenow*, nr. 10), zapisaliśmy w tekście cenę z r. 1836 rub. 13 kop. 43.

Cen z epoki od r. 1871 nie podają rzeczony materiały urzędowe z r. 1879, co do cen cukru w Warszawie, znaleźliśmy w materiałach zebranych przez J. Blocha te dane: w r. 1866 rs. 4 kop. 81, w r. 1867 rs. 4 kop. 35, w r. 1868 rs. 4 kop. 20, w r. 1869 rs. 4 kop. 12 <sup>1</sup>/<sub>2</sub>, w r. 1875 rs. 4, w r. 1876 rs. 3 kop. 85 za kamień 24 funtowy. Od kilku lat cena ta ulega nie wielkim fluktuacyom niżej, lub wyżej 3 rub. za takiż kamień, z wyjątkiem wszakże pamiętnego kryzysu z r. 1876, o którym była już w tém piśmie obszerniejsza wzmianka.

do wniosku, że na taniść każdego produktu wpływa najskuteczniej jego produkcja krajowa, rozdzielająca się na kilkaset fabryk, a tén samém uniemożliwiająca wszelkie sztuczne podwyższanie cen; przed istnieniem zaś i rozwojem cukrownictwa, w Imperyum cukier musiał być drogim nietylko z powodu cła, ale być może jeszcze bardziej dla tego, iż ani publiczność, ani kupcy detaliczni nie byli w możności sprowadzać towaru sami, ale kupowali z drugiej ręki od kilku, lub kilkunastu domów handlowych *en gros*, pomiędzy któremi porozumienie co do utrzymania pewnej wysokości cen było zawsze możliwém i łatwém i które mogły być działać monopolicznie. I w istocie obniżenie cen cukru było następstwem rozwoju fabryk i powiększonej jego produkcji, nie stosującej się bynajmniej do leniwego wzrostu konsumpcyi tego produktu w kraju <sup>1)</sup>, wskutek czego popyt w handlu okazywał się być niższym od zaofiarowania. Ten zaś brak równowagi między ogólną produkcją i ogólną konsumpcją cukru wywołać musiał między fabrykami konkurencją *in minus*. W szczególności zaś obniżenie cen cukru w Warszawie było następstwem i owęj konkurencyi rozwijającej się wewnątrz Imperyum i utrudnionego przez nią zbytu. Cukier zagraniczny wchodząc na targ petersburski, pogorszył jeszcze położenie tutejszego przemysłu cukrowniczego, owemi dwiema przyczynami już silnie osłabione.

Jakoż pierwsze fabryki wznoszone w Królestwie, nie spotykając żadnego współzawodnictwa w kraju, stawały się odrazu panami placu, cała bowiem ilość wyrabianego przez nie cukru znajdowała zawsze kupujących i szła na miejscowe spożycie. Jednocześnie z wzrostem liczby tutejszych fabryk zbudowana droga żelazna petersbursko-warszawska otworzyła naszemu przemysłowi cukrowniczemu bardzo ważne miejsce zbytu: Petersburg, zasilający tym produktem większą część europejskich gubernii Cesarstwa. Rzeczona droga żelazna przyszła w samą porę dla naszych fabryk, a nawet oddziałała na zwiększenie ich liczby; w epoce bowiem otwierania na niéj ruchu, coroczna ich produkcja zaczęła już była przewyższać potrzeby ogólnej konsumpcyi Królestwa. Cała przeto przewyżka cukru nie spożywana w kraju, musiała szukać dla siebie miejsca zbytu poza krajem i znalazła je właśnie w Petersburgu i na innych placach handlowych Cesarstwa. Ten stan rzeczy trwał jednak nie długo, jednocześnie bowiem z zakładaniem fabryk w Królestwie, rozwijać się zaczął przemysł cukrowniczy w Cesar-

<sup>1)</sup> Ogólna konsumpcja cukru w Imperyum obliczana była w latach 1863 i 1871, tylko po 3 funty na mieszkańca. (*Trudy komisiji... str. 11. Dokład... str. 42*). Obliczenie widocznie mylne, polegające na wykazach fiskalnych, podających tę tylko ilość cukru, jaka podlegała opodatkowaniu. Dzisiejsze dane wykazują 8 funtów na mieszkańca tylko dlatego, iż dzisiejsze normy są trzy razy wyższymi od norm istniejących w latach 1863—1870, więc i do rachunku akowzy wchodzi dziś trzy razy więcéj cukru niż wówczas. Rzeczywiście powiększenia ogólnej konsumpcyi cukru w Imperyum w ciągu ostatnich lat 15, albo wcale niéma, lub co najwyżej wynosi ono bardzo mały procent.

stwie, a zwłaszcza w blizkich nam prowincjach: Ukrainie i Podolu. Jako przed rokiem 1840 było w tych guberniach tylko 4 fabryki cukru, zaraz przecież w następnym lat dziesiątku, w jednej gubernii kijowskiej powstało nowych fabryk 37 <sup>1)</sup>. W r. 1875 liczba fabryk cukru wynosiła już w gubernii kijowskiej 75, w gub. podolskiej 51, w wołyńskiej 10 <sup>2)</sup>. Szukając miejsca zbytu dla swoich cukrów, zwróciły się one z konieczności także ku Petersburgowi i innym głównym targowiskom tego produktu w Cesarstwie.

Wytworzyło się więc silne współzawodnictwo przeciwko cukrom pochodzącym z Królestwa ze strony rzeczonych fabryk, potęgowane jeszcze dowozami tego produktu z innych gubernii Cesarstwa, o których to dowozach żadnego dać nie możemy objaśnienia, nie znając warunków produkcyi fabryk, istniejących poza Dnieprem. Współzawodnictwo zaś fabryk ukraińskich i podolskich inusiało być groźném dla cukrów pochodzących z Królestwa, skoro te fabryki wskutek taniości buraków mają koszta produkcyi znacznie mniejsze, niż fabryki tutejsze <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> W roku 1841 fabryka 1, w r. 1843 2, w r. 1844 6, w r. 1845 3, w r. 1846 3, w r. 1847 10, w r. 1848 8, w r. 1849 1, w r. 1850 3 fabryki (z materyałów J. Blocha).

<sup>2)</sup> *Razwitiye...* str. 239.

<sup>3)</sup> Koszta produkcyi odniesione do stu funtowego centnara buraków w pięciu fabrykach gub. warszawskiej (ze sprawozdań których już kilkakrotnie podawaliśmy dane), wynosiły w r. 1874/5 rs. 1 kop. 5; także koszta z pięciu fabryk za Bugiem wynosiły w téjże kampanii jak następuje:

w fabr. Turbów	po 355, <sup>74</sup> k. na 12-pud. berk. czyli po 74, <sup>11</sup> k. na cent.
„ Jaropowco	„ 261, <sup>70</sup> „ „ 54, <sup>52</sup> „
„ Spiczyńce	„ 355, <sup>74</sup> „ „ 74, <sup>11</sup> „
„ Szczodrowo	„ 319, <sup>17</sup> „ „ 66, <sup>50</sup> „
„ Dziadowczyzna	„ 363, <sup>11</sup> „ „ 75, <sup>65</sup> „
czyli przecięciowo	„ 331, <sup>00</sup> „ „ 68, <sup>98</sup> „

W kampanii znowu 1877/8 koszta produkcyi w fabrykach gub. warszawskiej (po odjęciu kosztu rafinowania), wynosiły przecięciowo po kop. 80 na stu funtowy centnar. Takież koszta w 12 fabrykach za Bugiem w téjże kampanii, wedle drukowanych sprawozdań na 12-pudowym berkowcu wynosiły:

w fabryce Mironówka	rs. 3 kop. 05
„ Chochutwa	„ 3 „ 26
„ Pijo	„ 3 „ 80
„ Piwco	„ 4 „ 19
„ Szpanów	„ 3 „ 55
„ Dziadowczyzna	„ 3 „ 39
„ Turbów	„ 2 „ 76
„ Mizocz	„ 4 „ 08
„ Borszcze	„ 3 „ 78

Ta różnica kosztów produkcji, wypadająca na korzyść fabryk ukraińskich i podolskich, pozwalała tymże fabrykom posyłać swe cukry do Petersburga nawet wozami, chociaż fracht wynosił był wówczas przeszło półtora rubla na pudzie <sup>1)</sup>, a następnie galicyjską drogą żelazną Karola Ludwika na Lwów, Kraków, Warszawę; jeszcze przecież i wówczas różnica frachtu zapewniała tutejszym fabrykom, chociaż częściowe zrównoważenie owęj różnicy kosztów produkcji, a tém samém konkurencya na targu petersburskim była dla tychże fabryk łatwiejszą. Od chwili przecież połączenia rzeczonych gubernii z Petersburgiem drogami żelaznymi w kierunku prostym, niema już prawie żadnej różnicy na kosztach odstawy cukru do tegoż miasta od Kijowa i Warszawy; skutkiem czego tutejsze fabryki niemają już téj samej łatwości zbytu co w pierwszych 20-u latach swego istnienia i muszą w Petersburgu zniżyć swe ceny odpowiednio do sprzedaży dopełnianych przez cukrownie ukraińskie i podolskie, mogące spieniężać swe cukry taniej, wobec tańszych kosztów produkcji.

Wśród téj konkurencyi, będącej w każdym państwie jedną z naturalnie tworzących się dźwigni każdej działalności ekonomicznej, wszędzie zaś widoczną oznaką i koniecznym następstwem zwiększonej produkcji, idącej na pożytek klas niezamożnych i podnoszącej zarazem stopień narodowego bogactwa; a więc wobec warunków, jakie się wszędzie dla każdej gałęzi przemysłu wytwarzają same, w sposób naturalny, stanął do walki z fabrykami Cesarstwa i Królestwa współzawodnik sprowadzony sztucznie, a już od pewnego czasu od konkurencyi usunięty. Tym współzawodnikiem był, jak już wzmiankowano, cukier zagraniczny, pragnący odzyskać utracone poprzednio miejsca zbytu w Cesarstwie; sprowadziło go zaś obniżenie ceł, dokonywane pod wpływem być może bezwiednym ekonomicznej teoryi *wolnego handlu* (*du libre échange*) i chęci stopniowego zbliżania się do tego systematu przez obniżanie ceł. Ani zmiana wiekówéj polityki handlowéj, ani nowe poglądy na cła nie dadzą się bowiem wytkómaczyć inaczej.

Walka systematu wolnego handlu z systematem protekcyjnym toczy się na zachodzie Europy od połowy wieku XVIII; od czasów Franciszka Quesnay we Francyi i Adama Smith w Anglii. Zamknięta w Anglii po roku 1840 na korzyść pierwszego z tych systematów,

w fabryce Czooczelnik	rs. 3 kop. 48
„ Szczodrów	„ 2 „ 90
„ Jaropowoo	„ 2 „ 90

czyli z przecięcia po rs. 3 kop. 49, oo na stufuntowy centnar czyni kop. 70,03. Głównym powodem téj różnicy kosztów jest tania cena buraków na Ukrainie i Podolu, przecięciowo nie dochodząca 23 kop. za centnar stufuntowy, czyli rubla i kilkanaście kop. za 12-pudowy berkowioo, co znaczy iż tamtejsze fabryki płacą tyle za 480 funtów, ile tutejsze za korzec 300-funtowy.

<sup>1)</sup> Rubli 1 kop. 95 w r. 1863 (*Trudy komisiji* str. 182); rubli 1 kop. 50 w r. 1871 (*Dokład.....* str. 44).

przez prawa cłowe, noszące nazwę wielkiej reformy słynnego ministra Roberta Peel, nie ustaje na kontynencie, dzieląc ekonomistów na dwa wielkie stronnictwa, rzecz można, na dwa obozy wytrwale i namiętne się ścierające. Głównym placem boju jest znowu ta sama Francya, która już tylokrotnie roznosiła po Europie światło i do której dziś jeszcze zwracać się należy po wskazówki we wszystkich pierwszorzędnych naukowych kwestyach.

Po stronie systematu wolnego handlu, pojmovanego mniej lub bardziej absolutnie, stoi prawie cała dzisiejsza plejada ekonomistów francuzkich: Towarzystwo ekonomii politycznej w Paryżu, profesorowie téj nauki w uniwersytetach i wyższych zakładach naukowych i z nielicznymi wyjątkami autorowie dzieł w téj materji wychodzących, używający rozgłosu lub sławy. Mniej wprawdzie liczni ekonomiści, stojący wytrwale przy systemacie protekcyjnym, mają znowu za sobą szereg mężów stanu i statystów, poczynając od Jana Colbert, słynnego w dziejach ministra, sekretarza stanu i generalnego kontrolera finansów za Ludwika XIV. Pragną oni, by dzisiejsze społeczeństwa nie czyniły rozbratu z tradycją i by czerpiąc naukę w historii, nie ulegały urokowi teoryi, którą właśnie zwalczyć usiłują. Musi zaś ten urok być rzeczywiście pociągającym, skoro pod jego wpływem drugie Cesarstwo zbliżyło się ku rzeczonym teoryi przez zawarcie traktatów handlowych i reformę taryfy cłowej, przeprowadzoną w r. 1860. Reforma ta wszakże jeszcze nie zadowolniła stronników teoryi wolnego handlu, chociaż rzuciła popłoch w obozie przeciwnym i spor we Francyi jeszcze rozstrzygniętym nie jest.

Obrońcy teoryi wolnego handlu opierają się przedewszystkiém na doniosłym prawie *solidarności rodu ludzkiego*; obrońcy zaś systematu protekcyjnego odwołują się znowu do prawa *solidarności narodowej*, jeszcze bardziej, a w każdym razie niemniej doniosłego. Pierwsi, nie czyniąc różnicy między odrębnymi organizmami narodowymi, widzą w całej ludzkości jedną wielką rodzinę; pragną więc, by na skutek solidarności rodu ludzkiego tanieść produktów szła na ogólny pożytek, by więc każdy mógł kupować wyroby zagraniczne, gdy ich cena jest niższą od ceny wyrobów krajowych <sup>1)</sup>. Drudzy znowu: nie chcą poświęcać interesu społeczeństw, tworzących odrębne organizmy narodowe dla interesów owéj wielkiej rodziny, będącéj ideałem, jeszcze na bardzo długo niedościgłym—na pierwszym stawiają miejscu każdą z aglomeracyi państwowych, wytworzonych przez szereg wieków ubiegłych. Zaznaczywszy zaś, iż żadna z takich całości narodowych nie byłaby w możności ani przeznaczeń swoich spełniać, ani nawet na drodze cywilizacyi za innymi podążać bez przyswojenia swemu organizmowi wszystkich głównych gałęzi przemysłu, oświadczają, iż wobec tak wielkiego celu, udzielanie opieki i pomocy przemysłowi krajowe-

<sup>1)</sup> Mówią zaś językiem ekonomistów, iżby *użyteczności darmo, utilités gratuites*, były dla każdego zarówno dostępnymi.

mu jest najzupełniej prawowitem; niedogodności zaś z pobierania ceł, nawet dla krajowców wynikające, muszą właśnie być przyjmowane jako wynik solidarności narodowej, pociągającej do poświęceń, bez których nawet sama miłość ojczyzny traciłaby swe doniosłe znaczenie.

Wkraczając znowu w dziedzinę polityki, stronnicy teorii wolnego handlu wychodzą z założenia, że każdy naród winien produkować to, co może produkować taniej niż inne, zamiana zaś międzynarodowa dozwoli każdemu zaopatrywać swe potrzeby tam, gdzie się okaże być najkorzystniejszym. Poczytują przeto zniesienie ceł za następstwo zasady braterstwa ludów; mniemają wreszcie, że wolny handel zapobiegnie wojnom, a przynajmniej je utrudni i uczyni rzadszemi. Wedle zaś obrońców systematu protekcyjnego, każde państwo powinno być zawsze do wojny przygotowanym, zarówno pod materialnym jak i militarym względem; poczytując przeto rozwój wszystkich główniejszych gałęzi przemysłu krajowego za warunek potęgi każdego narodu, mniemają, iż w skutek nieograniczonej konkurencyi zagranicznej, państwa ekonomicznie mniżej rozwinięte i słabsze, mogłyby się właśnie znaleźć w niemożności prowadzenia wielu gałęzi przemysłu krajowego, a tём samém popaść w zależność narodów swą kulturą silniejszych i zamożniejszych, zależność zwłaszcza w czasie wojny szkodliwą dla interesów wyższego rządu.

Ekonomiści, a zwłaszcza ci z pomiędzy nich, którzy żądają radykalnego i absolutnego zastosowania teorii wolnego handlu do stosunków międzynarodowych, stoją na gruncie indywidualizmu, uwzględniającego przedewszystkiém interes osobisty i wygodę jednostek, chociażby ze szkodą organizmu narodowego, do którego one należą. Znosząc granicę między państwami, a więc pomijając rzeczzone organizmy, stawiają oni jednostkę bezpośrednio w obec całej ludzkości, a wyrazu jęj dobra szukają w summie dogodności, spływających na wszystkie jednostki w całym świecie. Obrońcy zaś systematu protekcyjnego czynią znowu interes jednostek zależnym od interesu organizmu narodowego, do którego każda z nich należy; szukają więc wyrazu dobra ludzkości w summie dogodności na te organizmy spływających, łączności zaś między jednostką a całą ludzkością nie pojmują inaczej, jak przez pośrednictwo tychże organizmów narodowych.

Obadwa zresztą obozy, wchodząc na grunt ekonomiczny, przyjmują za punkt wyjścia *pracę ludzką*, słusznie poczytywaną za najgłówniejszy z czynników produkcji. Każdy z nich podejmuje walkę w interesie tójże pracy i rozchodzą się dopiero przy wyborze środków, mających jęj interes zabezpieczać. Stronnicy teorii wolnego handlu stawiają na pierwszym miejscu *taniość* przedmiotów, potrzebnych do utrzymania człowieka; obrońcy znowu systematu protekcyjnego, poczytują *łatwość zarobkowania* za rzecz nierównie dlań ważniejszą, sądząc, iż kwestya *zamożności ogólnej* ułatwia w każdym kraju względną drogość przedmiotów pierwszych potrzeb, że więc i nad kwestyą taniości dominować powinna.

Ta różnorodność argumentów, stawianych za i przeciw, jest przeto dowodem, iż walka między dwoma systematami nie daje się zamknąć w dziedzinie samej ekonomii politycznej i społecznej. Oba dwa obozy przyzywając na pomoc wyniki innych gałęzi wiedzy ludzkiej, potracają o najżywotniejsze zadania społeczne i o zasady wyższego rzędu. Walka staje się przeto w wysokim stopniu interesującą dla wszystkich ludzi myślących i nie może być obojętną dla czytającego ogółu.

Podnosząc zaś pytanie, czy i co mogłoby uzasadniać poglądy statystów rosyjskich dla systemu protekcyjnego nieprzyjemne i zwrot polityki finansowej Imperyum ku teorii wolnego handlu, znajdujemy się nawet w konieczności zestawić w najogólniejszych rysach to, co w tym przedmiocie zostało z obu stron wypowiedzianem. A podnosimy to pytanie tylko dla tego powodu, iż owe poglądy miałyby wpływ na losy jednej z głównych gałęzi przemysłu polskiego i na umieszczone w tymże przemyśle znaczne kapitały naszych współziomków.

### XIII.

Zasada swobodnej zamiany wszelkich owoców działalności ludzkiej, zamknięta w granicach każdego organizmu państwowego, czyli wolność handlowa wśród jednego i tegoż samego państwa (État), poczytywana dziś za prawo przyrodzone, każdemu służące i ze zwyczajami narodów europejskich zrosła, ma już znaczenie jednej z główniejszych podstaw każdego społeczeństwa. Wobec zaś korzyści dotykanych i dla każdego widocznych, jakie z niej płyną, wolność handlowa przyjmowana jako sprawa wewnętrzna każdego organizmu państwowego, nie może już dziś ulegać zaprzeczeniu. Dawniej jednakże zapatrywano się na ten przedmiot inaczej. Do połowy zeszłego wieku cyrkulacya i zamiana we Francyi odbywać się mogły mniej więcej swobodnie tylko w granicach jednej prowincyi, a czasami tylko w granicach jednego okręgu, pomiędzy bowiem prowincyami agenci skarbowi pobierali opłaty od wywozu i wwozu produktów, zupełnie tak samo, jak to czynią dziś graniczne komory cłowe <sup>1)</sup>.

Znosząc te granice przez słynne edykta z r. 1774, 1775 i 1776. Colbert wytworzył zarazem dla stosunków międzynarodowych systemat *równowagi handlowej* (*de balance du commerce*), zwany także systematem *merkantylnym*. Ten słynny mąż stanu <sup>2)</sup> wychodził z założenia, iż złoto i srebro są *jedynemi* kapitałami, tworzącemi bogactwo

<sup>1)</sup> *Léonce de Lavergne*, membre de l'Institut: *Economie rurale de la France, depuis 1789*. Paris, 1860 r., str. 12.

<sup>2)</sup> „Colbert fit de la France non plus seulement une nation exclusivement agricole, mais un grand pays industriel et l'on sait tout ce que ce dernier mot implique de progrès,” pisze H. Baudrillart: *Diction de l'économ. polit.* tom I, str. 301.

rzeczywiste narodów, mogą się bowiem gromadzić i bez ograniczenia, a więc do nieskończoności działać jako czynnik produkcji. Z uwagi zaś, że narody regulują swą zamianę tak samo jak jednostki (indywidualia), wnosik, iż kraj przywożący więcej towarów niż ich wywozi, musi pokryć różnicę gotowizną i *vice versa*. Mniemał przeto, iż rządy są w obowiązku utrudniać przywóz, a ułatwiać wywóz produktów, w celu wprowadzania w cyrkulacją krajową różnicy pokrywanej w złocie lub srebro między owym wywozem i wwozem <sup>1)</sup>.

Tak samo zapatrywał się na stosunki międzynarodowej zamiany, niemniejszej od Colbert'a używający sławy Jakób Necker, generalny kontroler finansów od r. 1777 do 1781 <sup>2)</sup>, aczkolwiek nie wątpił, że Francja do przyjęcia szerokiej wolności handlowej, już wówczas była gotową, nie pojmował przecież téjże wolności inaczej, jak przy jednoczesnym jej przyjęciu przez wszystkie rządy w Europie; co wszakże mniemał być rzeczą nie do przeprowadzenia <sup>3)</sup>.

Teorią równowagi handlowej zaakcentował przeciw najsilniej Fryderyk August Ferrier, generalny dyrektor administracji komor granicznych za pierwszego Cesarstwa, a później członek izby parów, pod wpływem ówczesnej polityki, energicznie wykazując narodowi francuzkiemu całe niebezpieczeństwo konkurencji angielskiej i dowodząc, iż Anglia jest w stanie zalać Francją swemi produktami fabrycznemi, nie dając jej w zamian ni złota ni srebra <sup>4)</sup>.

Ten więc systemat, obok założenia, iż drogie metale tworzą rzeczywiste bogactwo narodów, podniósł był dwa pojęcia doniosłego wpływu na ekonomią każdego państwa, a mianowicie: 1) konieczność rozróżniania potrzeb, praw i interesów każdego oddzielnego organizmu narodowego, od potrzeb, praw i interesu jednostek w skład tegoż organizmu wchodzących; i 2) obowiązek każdego rządu starania się o większy wywóz produktów od ich wwozu, a co najmniej o równowagę między ich wywozem zagranicę i ich wwozem do kraju.

Usiłowaniam Jana Colbert i jego następców zawdzięcza wprawdzie Francja, iż nie upadła pod ciężarami wynikającemi z ówczesne-

<sup>1)</sup> *Histoire de la vie et de l'administration de Colbert* par Pierre Clément sous-chef au ministère des finances. Paris, 1846 r.

<sup>2)</sup> „Sa retraite fut considerée comme une calamité publique, et plusieurs souverains lui offriront la direction de leurs finances,” mówi o nim de Molinary. *Dict. de l'écon. polit.* t. I, sir. 272.

<sup>3)</sup> W dziele: *De l'administration des finances de la France*. Paris, 1784 r., 3 tomy.

<sup>4)</sup> W dziele: *Du gouvernement considéré dans ses rapports avec le commerce ou de l'administration commerciale opposée aux économistes du XIX siècle*. Paris, 1805 roku, 3 edit. W tém dziele na str. 203 czytamy: „quelle différence y a-t-il pour la France entre 12 millions jetés au fond de la mer et 12 millions employés à acheter du thé? qua reste-t-il de ce thé dans le pays au bout d'un an?”



go jój ustroju społecznego i politycznego; z historyi bowiem wiadomo, jak dalece nieprzyjaznymi były dla ogólnego dobrobytu tego narodu ostatnie zwłaszcza lata panowania Ludwika XIV i rządu Ludwika XV. Niezależnie wszakże od usiłowań, podejmowanych przez wielkich mężów stanu, w celu ukrócenia nadużyć, ulepszenia praw i urzędzeń i reformy ówczesnego układu społecznego, sprawą téjże reformy zaczął się być zajmować we Francyi każdy, kto umiał czuć i myśleć, a na ogólną niedolę obojętnym nie był. Liczne a cenne pisma z owéj epoki pochodzące, przynoszą przekonanie, jak żywy interes budziły wówczas w narodzie francuzkim wszystkie kwestye społeczne. Świetna plejada uczonych, streszczała ten ruch umysłów; rozpoczął zaś ich szereg Franciszek Quesnay, lekarz z powołania, jeden z celniejszych myślicieli pierwszej połowy wieku XVIII. Powszechnie uznawany za założyciela nauk ekonomicznych, był on zarazem twórcą teoryi nazwanej później systematem *Fizyokratów*, od tytułu dzieła, jakie był wydał w druku <sup>1)</sup>.

Quesnay, jego przyjaciel Gournay, który ówczesne dążenia nauki streścił był w słynnej do dziś regule: *laissez faire, laissez passer*, Jakób Turgot, baron de l'Aulne, minister marynarki a następnie generalny kontroler za Ludwika XVI <sup>2)</sup> i cały zastęp ówczesnych i późniejszych ekonomistów, w przekonaniu, że pod hasłem cywilizacji pocznie się wkrótce era pokoju, wolności, poszanowania praw i moralnego rozwoju człowieka, przyjęli zarazem zasadę absolutnej wolności handlu, nawet dla stosunków międzynarodowych. Temu zaś usposobieniu umysłów dziwić się zanadto nie można, gdy się zwróci uwagę na to, iż Europa nie była jeszcze wówczas świadkiem, ani ćwierutowania na szmaty krajów niepodległych, ani podbojów, pociągających za sobą zagubę dla oddzielnych organizmów narodowych, mających jeszcze żywotne warunki dalszego istnienia, ani dzikich okrucieństw rewolucyi francuzkiej i idącego w ślad za nią terroryzmu, ani wreszcie niszczących wojen pierwszego Cesarstwa. Ci wszyscy myśliciele, idealizując naturę ludzką i całe społeczeństwa, zawiele bezwątpienia mówili o prawach człowieka, a nie lub zamało o jego obowiązkach, ale w dobrej wierze mniemali, że i człowiek i całe społeczeństwa podążać będą do samej tylko doskonałości i do niej najkrótszą pójść zechcą drogą; nie mogli zaś przewidzieć, iż nawet po upływie lat przeszło stu, jeszcze będzie uroczyście głoszonem prawidło, wedle którego siła ma stać nad prawem.

<sup>1)</sup> *Physiocratie, ou constitution naturelle du gouvernement le plus avantageux au genre humain.* Paris, 1768 r. Physiocratio znaczy układ, porządek naturalny społeczeństw. Nazwa fizyokratów przyjętą została dopiero w r. 1846 przez Akademią Umiejtności moralnych we Francyi; w zeszłym wieku wszystkich uprawiających naukę ekonomii zwano ekonomistami, bez różnicy teoryi jaką przyjmowali.

<sup>2)</sup> W dziele: *Repléxions sur la formation et la distribution des richesses.* Paris, 1766..

„Bóg, obciążając człowieka potrzebami, pisał Turgot, i czyniąc z jego własnej pracy jedyne źródło, z którego je zaspakajac może, uczynił z prawa pracy (*du droit de travailler*) własność każdego człowieka; ta zaś własność jest najpierwszą, najświętszą, najbardziej nieprzedawnialną ze wszystkich.” W rozwinięciu tego poglądu, fizyokraci wykazywali nietylko konieczność zniesienia przeszkód i ciężarów, jakie dla pracującego wynikały z dawnego ustroju społecznego, ale jednocześnie dowodzili, iż każdy powinien mieć swobodę i spieniężania i kupowania gdzie zechce, wszystkiego co wytworzy i czego zapotrzebuje.

Powyższe poglądy, stawiane mniej więcej luźno, acz założeniu systematu merkantylnego przeciwne i nieograniczonej swobodzie zamiany widocznie sprzyjające, nie tworzyły jeszcze oddzielnego systematu, przyjmującego za hasło *absolutną* wolność handlu i podnoszącego walkę przeciwko wszelkim cłom protekcyjnym. Teorią wolnego handlu (*du libre échange*) ujął poraz pierwszy w ściślejszą metodę Adam Smith, szkot, i usprawiedliwiał ją w taki mniej więcej sposób, w jaki jest pojmowaną do dziś przez całą szkołę ekonomistów. I zaprzeczyć temu nie można, iż w obec ustroju stosunków ekonomicznych w Anglii, a w szczególności, wobec wielkiego rozwoju przemysłu i handlu i stojącej przez długie lata na porządku dziennym kwestyi zbożowej, stawienie i popieranie systematu wolnego handlu było wówczas i do dziś jest dowodem prawdziwego patriotyzmu po stronie każdego Anglika.

W rzeczy przemysłu i produkcji fabrycznej, Anglia trzymała się wówczas stale systematu prohibicyjnego, zaprowadzonego prawem, ogłoszonym jeszcze przez Cromwella pod nazwą *aktu żeglugi*; i nie przeczą bynajmniej najzdolniejsi z pomiędzy obrońców teorii wolnego handlu, iż temu aktowi, temu systematowi prohibicyjnemu zawdzięcza ona swą dzisiejszą zamożność i siłę, pozwalającą jej stawać bez obawy do konkurencyi z całym światem. Pod względem przecież produkcji rolniczej, polityka angielska była zawsze chwiejną, a prawa zbożowe widocznie niesprawiedliwymi i szkodliwymi dla ogółu.

Jakoż, przez długie czasy Anglia, produkując zboża mniej niż tego wymagały potrzeby konsumacyi krajowej, sprowadzała corocznie znaczną jego ilość z zagranicy. Wkrótce przecież po rewolucyi z roku 1688, rząd zamierzył był zachęcić rolników do powiększenia produkcji zbożowej, a nawet wywołać wywóz zboża angielskiego za granicę, za pomocą premii płaconych przez skarb od każdego wywożonego kwarteru. Tej kosztownej polityki trzymała się Anglia do połowy XVIII wieku; z początkiem zaś drugiej jego połowy przerzuciła się w drugą ostateczność: płacenia znacznych premii pieniężnych każdemu sprowadzającemu zboże z zagranicy do kraju. Tę nową metodę postępowania przyjęła była pod wpływem teorii słynnego w owych czasach rolnika Artura Young, dowodzącego, że nigdy nie zbraknie zboża na potrzeby konsumacyi krajowej; że narody produkujące pszenicę, dostarczą jej zawsze tyle, ile Anglia zażąda i za cenę tańszą od ko-

szków produkcyi zboża w trzech połączonych królestwach Wielkiej Brytanii; że więc będzie zawsze korzystniejszą i dla rolników i dla ogółu, gdy uprawa rolna zostanie zwróconą do produkcyi siana i roślin pastewnych, rolnicy zaś zajmą się głównie wychowem bydła; skóry bowiem, łój i mięso dostarczą więcej zatrudnienia fabrykom i handlowi zagranicznemu, dwóm głównym źródłom pomyślności narodu angielskiego.

Działo się to zaś właśnie w epoce rozbudzenia opisanego wyżej ruchu umysłowego we Francyi i wygłaszania przez szkołę fizyokratów nowego poglądu, wolności handlowej widocznie przyjaznego. Patryotyzm Adama Smitha umiał z tego położenia skorzystać. Byстрыm swym umysłem przewidzieć mógł on być bezwątpienia szkodliwe dla kraju następstwa, idące za porzuceniem produkcyi zboża, a temsamem doprowadzenie Anglii do stanu zależności od zagranicy pod względem głównego przedmiotu pierwszych jej potrzeb. A te następstwa znalazły były wkrótce wyraz w podrożeniu zboża, którego cena przecięciowa w ciągu całego wieku XVII i w dziewięćdziesięciu pierwszych latach następnego stulecia wynosząca od 40 do 42 szylingów, podniosła się była o drugie tyle w roku 1794 i w tej wysokości utrzymała się przez lat kilka, pomimo, iż wedle oświadczenia jednego z ministrów, w roku 1795 parlamentowi złożonego, rząd wydał był w ciągu jednego roku na zaopatrzenie kraju w zboże 10 milionów funtów sterlingów. Cena zboża w pierwszych dziesięciu latach wieku bieżącego wynosiła o 2½ raza więcej, niż za systematu dawniejszego i nie była w żadnej proporcji do ceny istniejącej jednocześnie w innych krajach Europy <sup>1)</sup>.

Widząc, iż zniesienie ceł obniżyłoby cenę zboża corocznie do Anglii sprowadzanego i jednocześnie zamieniłoby całą Europę w wielkie miejsce zbytu dla angielskiej produkcyi fabrycznej, już wówczas rozwiniętej poza kres potrzeb miejscowych, Smith stawił w roku 1776 teorią wolnego handlu <sup>2)</sup>, za którą poszła Anglia dopiero w r. 1840, przyjmując wzmiankowane już prawa zbożowe Roberta Peela. Tej teorii stał przedewszystkiem na przeszkodzie systemat merkantylny; pragnąc przeto tę przeszkodę usunąć, uderzył był Smith w założenie, w ów punkt wyjścia, z którego twórcy tegoż systematu wyprowadzali ostateczne swe konkluzye. Oświadczył przeto, że rozpowszechnione pojęcia o potrzebie równowagi handlowej rodzą się z mylnego poglądu na znaczenie i zadanie złota i srebra, wykazując, że te metale są wprawdzie bardzo użytecznym narzędziem cyrkulacji i zamiany, ale nie są bynajmniej, ani *jedynem* bogactwem narodu, ani *jedyną* tegoż

1) Senator Germain Garnier, str. LXVIII i LXXX przedmowy do przekładu na język francuzki dzieła Adama Smitha *Recherches sur la nature et les causes de la Richesse des Nations*. Paris, 1859. *Diction. d'écon. polit.* tom II, str. 352.

2) W powyższém dziele wydanem w języku angielskim, właśnie w chwili, w której Turgot domagał się swobody dla pracy.

bogactwa oznaką; że nie reprezentują ani całości kapitału krajowego, ani nawet jego części najistotniejszych: przyrządów produkcji przemysłowej i rolniczej, mających dla rozwoju pracy i bogactwa narodu daleko większą wartość niż złoto i srebro. A stawiając Anglię za przykład, wykazywał, iż w skład kapitału każdego narodu wchodzi to wszystko, co jest produktem pracy, mającym wartość zmienną, co bądź w stanie materiału surowego, bądź po przerobieniu tegoż materiału, zasila cyrkulacją ogólną. Smith dowodził także, że o przyciąganie lub zatrzymywanie w kraju złota i srebra, żaden naród niema potrzeby się starać, a żaden rząd nie jest w możności skutecznie na to wpływać, skoro ruch drogich metali odbywa się wedle praw najzupełniej niezależnych od wszelkich przepisów lub urządzeń państwowych, a mianowicie wedle wskazówek i potrzeb interesu osobistego; każdy bowiem kupuje też metale tam, gdzie się zbyt nagromadziły i gdzie z tego powodu są tańszymi i nawzajem, przenosi je tam, gdzie się stały rzadszemi, a więc droższemi <sup>1)</sup>; że złoto i srebro otrzymuje się tylko za towary i produkta: nie zabraknie więc drogich metali żadnemu z krajów produkujących i mających wiele do zbycia, zupełnie tak samo, jak nie zabraknie obcych towarów i produktów narodowi mającemu wiele złota i srebra. Wwozić przeto drogich metali więcej nad rzeczywistą potrzebę kraju, jestto zmniejszać w tymże kraju ich wartość zmienną i właśnie powodować ich przenoszenie za granicę. Mówił wreszcie, że wyrazy: „pieniądz jest rzadki” znaczą najczęściej nie to, iżby istniał brak monety, ale iż handel krajowy nadużywszy kredytu, jest w niemożności dalszego zapożyczania pieniędzy, czego dowodem pośpiech, z jakim spłoszona gotowizna wraca w cyrkulacją zaraz po przywróceniu zaufania i jednoczesny napływ drogich metali, dowożonych z zagranicy przez samą spekulacją prywatną.

Powyżej streszczone poglądy Adama Smitha, uznane i poparte przez wszystkich uprawiających naukę, prostując dawne pojęcia o znaczeniu drogich metali, rzeczywiście mylne, obaliły zarazem założenie i punkt wyjścia systematu merkantylnego. Ostały się przecież owe

<sup>1)</sup> Zdanie to popierał J. B. Say, profesor ekonomii w Collège de France, autor cennego dzieła: *Traité d'économie politique, ou simple exposition de la manière dont se forment, se distribuent et se consomment les richesses* (Paris, 6-édit., 1841), mówiąc: „co n'est pas un solde à payer ou à recevoir qui fait voyager les métaux précieux, c'est uniquement le rapport de leur valeur dans les deux pays.” Michał Chevalier wyraża się zaś jeszcze onergiczniej: „un écu ne travaille pas, tandis qu'une machine travaille,” krytykując systemat merkantylny, żąda wszakże, by każdy naród miał narzędzie zamiany obfite i trwałej wartości; gdy jednak złoto i srebro poza tą potrzebą jest nieprodukcyjnym, a więc część od téjże potrzeby zbywająca staje się szkodą dla kraju, iżby przeto tenże *plus* był zastępowany czém innóm. (*Cour d'écon. polit. fait au Collège de France*. Bruksella, 1845, tom I, str. 147 i 149; tom III, str. 316 i nast.).

dwa pojęcia przez tenże systemat podniesione, o konieczności uwzględniania interesów każdego odrębnego organizmu państwowego i o obowiązkach każdego rządu starania się o większy wywóz produktów od ich przywozu z zagranicy; pojęcia, przeciwko którym ani Smith, ani żaden z głośniejszych ekonomistów wyraźnie się nie oświadczył, a które we wszystkich pismach, bądź pomijano milczeniem, bądź nawet uznawano w sposób mniej, lub więcej wyraźny. Pierwszemu z tych pojęć sam Smith nie musiał być przeciwnym, skoro stworzył systemat głównie dla dobra własnego kraju i skoro zastanawiał się nad tém, który z dwu narodów i w jakim stosunku korzysta z wzajemnej zamiany swych produktów <sup>1)</sup>. Przyjmują zaś to pojęcie uczeni wszystkich krajów: Fryderyk List, uważany za twórcę *zollvereinu* <sup>2)</sup> opierający się na idei, że naród jest pośrednikiem między każdą jednostką, a całym rodzajem ludzkim; słynny profesor Wilhelm Roscher <sup>3)</sup>, John Mill przy ocenianiu aktu żeglugi Cromwella <sup>4)</sup>, Karol Perin, profesor prawa publicznego i ekonomii politycznej w Louvain <sup>5)</sup>, Michał Chevalier <sup>6)</sup>, jeden z najgorliwszych obrońców teorii wolnego handlu i prawie wszyscy o toż pojęcie w pismach swych potrącający.

<sup>1)</sup> W księdze II, rozdz. IV, cytowanego wyżej dzieła: *Recherches...*

<sup>2)</sup> W dziele: *Das nationale System der politischen Oekonomie*. Stuttgart, 1841.

<sup>3)</sup> *Principes d'écon. polit.*, przekład na język francuzki przez Ludwika Wołowskiego. Paryż, 1857; „l'économie politique est autre chose qu'une simple juxta position d'une multitude d'économies privées, tout aussi bien qu'un peuple est plus qu'une simple agrégation d'individus, et la vie du corps humain autre chose qu'un pur amalgame de principes chimiques.” Tom I, s. 23.

<sup>4)</sup> *Principes d'écon. polit. avec quelques unes de leurs applications à la philosophie sociale*, przekład z angielskiego, tom II, str. 526 i 528; patrz przekład tegoż dzieła na język polski, wydany w Petersburgu u Jozafata Ohryzki, 1860 rok, tom II, str. 491.

<sup>5)</sup> W dziele: *De la richesse dans les sociétés chrétiennes*. Paris, 1861, t. I, str. 506.

<sup>6)</sup> „Oui tout peuple dénombrant une grande population, occupant un vaste territoire, est bien inspiré de viser à la multiplicité dans la production de la richesse. Oui, lorsqu'il touche à la période de la maturité, il fait bien de s'y préparer, il commettrait une faute s'il y manquait. Cette division du travail, ou pour employer selon la remarque de List et de J. S. Mill, une expression plus appropriée, cette combinaison complexe d'efforts très-divers, est avantageuse à la prospérité nationale, et une des conditions du progrès national en tout sens. Elle est en effet beaucoup mieux que ne pourrait l'être une production peu variée, en rapport avec la diversité des aptitudes individuelles et avec la diversité des circonstances et des facilités que présente un territoire étendu.” W rozdziale VII dzieła: *Examen du système connu sous le nom de système protecteur*.

Konieczność znowu pociągająca każdy oddzielny organizm narodowy lub państwowy do rozwinięcia wszelkich usiłowań w celu zapewnienia ciągłej przewagi, a przynajmniej ciągłej równowagi między wywozem produktów krajowych zagranicę i przywozem produktów zagranicznych, jest znowu dla każdego z tych organizmów kwestyą życia lub śmierci. Jak każda jednostka musi baczyć na to, iżby jej wydatki nie przewyższały jej dochodu, gdyż inaczej uszczuplając sam kapitał, dążyłaby nieogłędnie do bliższej lub dalszej swjej majątkowej ruiny; tak samo każdy organizm narodowy musi rozwinąć wszelkie ku temu usiłowania, iżby coroczna jego konsumpcya nie przewyższała corocznej jego produkcji, gdyż inaczej żyłby kosztem kapitału krajowego, a zmuszony pokrywać niedobory pożyczkami publicznymi, szedłby prostą drogą do zupełnego zubożenia i bankructwa. Jak każda jednostka jest odpowiedzialną za naruszenie równowagi między swemi wydatkami i dochodami i czyni oszczędności, czyli dochodzi do dobrobytu i zamożności tylko wtedy, gdy na swe utrzymanie wydaje mniej niż zarabia; tak samo każdy organizm narodowy jest odpowiedzialnym za naruszenie równowagi między ogólną swą konsumpcyą i ogólną swą produkcyą i tak samo czyni oszczędności, czyli zwiększa swą zamożność i swój ogólny dobrobyt tylko wtedy, gdy produkuje więcej niż konsumuje <sup>1)</sup>. Ze zaś wyrazem każdego organizmu państwowego jest jego rząd, istniejący wszędzie w tym właśnie celu, iżby się o dobrobyt tegoż organizmu troszczył, tak samo jak o dobrobyt każdej jednostki starać się winna ona sama, o dobrobyt zaś każdej rodziny ten kto na jej stoi czele; rząd przeto ma widoczny i niewątpliwy obowiązek pilnie śledzić stosunek wywozu i wwozu produktów i sprzyjać wywozowi, a więc nie ułatwiać przywozu z zagranicy takich przedmiotów, jakie są już produkowanemi w kraju (*similaires*) i właśnie tworzą gałąź miejscowego przemysłu.

I w istocie, równowaga między wewnętrzną produkcyą i konsumpcyą w każdym kraju jest treścią ekonomii *społecznej*, tak samo jak równowaga między wywozem produktów krajowych i wwozem zagranicznych, jest treścią ekonomii *politycznej* <sup>2)</sup> i głównem zadaniem państwo-

<sup>1)</sup> Jules le Bastier: *Théorie de l'équilibre économique ou esquisse d'une base nouvelle d'économie sociale*. Paris, 1858, str. 50. Gruntowna książka zasługująca na odczytanie. Tegoż autora nie znane nam dotąd inne dzieło: *Défense du travail national ou nécessité de la protection commerciale, démontrée à l'aide des principes, des faits et du calcul*, z samego tytułu dozwala wnosić, iż tenże autor nie należy do obozu ekonomistów, broniących teorii wolnego handlu.

<sup>2)</sup> W innych naszych studyach mieliśmy już sposobność zwrócić uwagę na różnicę istniejącą między ekonomią *społeczną* i ekonomią *polityczną* (*Drogi żelazne w Królestwie Polskiem. Prawa podróżujących*. Warszawa, 1876, str. 37 i *Równowaga między interesem towarzystw prywatnych, a interesem ogółu*. Warszawa, 1878, str. 53). Przedmiotem tej ostatniej są właśnie stosunki ekonomiczne między oddzielnymi organizmami narodowymi i państwowymi

wém, spadającym na każdy rząd w rzeczy zamiany międzynarodowej. Niemógłby on zostać obojętnym widzem przewagi przywozu produktów i towarów nad ich wywozem, nie dlatego iż w takim razie umniejszała-by się summa drogich metali cyrkulujących w kraju, ale właśnie dlatego, iż przewaga przywozu przynosiłaby niewątpliwy dowód na to, iż kraj więcej konsumuje niż produkuje, a więc idzie do ogólnego zubożenia. A w bilansie rocznym *plus* wywozu nad wwozem możnaby jedynie zmniejszać o wartość takich przedmiotów sprowadzonych z zagranicy, które w ciągu danego roku niespożyte, pozostają remanentem na lata następne w charakterze przyrządów do produkcji miejscowej, jak np. szyny i tabor dla dróg żelaznych, maszyny i narzędzia fabryczne i t. p. Tylko bowiem takie przyrządy mogłyby być dla kraju równoważnikiem szczyrby zrobionój w ogólnym jego majątku przez większy wydatek niż dochód.

Z powyższego stanowiska systemat równowagi handlowej jest i będzie prawdziwym tak długo, jak długo nie przestaną istnieć oddzielne organizmy narodowe i państwowe i dlatego nazwa *systematu równowagi ekonomicznój* uwydatniałaby ściślej dzisiejsze w tój materji pojęcia i dawną nazwę mogłaby zastąpić z pożytkiem. Niéma téż żadnego statysty, powołanego do udziału w administracyi finansowości lub ekonomią własnego kraju, któryby wykazów wywozu i wwozu produktów uważnie nie studyował i za pomocą odpowiednich ceł nie usiłował rzeczonój równowagi swemu krajowi zapewnić.

Sami nawet ekonomiści około sztandaru wolnej międzynarodowej zamiany zgrupowani, chcąc uwydatnić korzyść mającą spływać na Francją z traktatów i taryf 1860 r., stawiają cyfry wykazujące, iż na skutek tój reformy polepszył się stosunek między wywozem i wwozem produktów i towarów, że przeto Francją tak samo jak przed rokiem 1860 nie przestaje produkować więcej, niż konsumuje <sup>1)</sup> i czynić oszczędności, które wedle ówczesnych obliczeń powiększać miały zamożność narodu corocznie o miliard franków.

i dlatego dawniej Fr. List, a obecnie redaktorowie czasopisma miesięcznego, wychodzącego w Brukseli pod tytułem: *L'économie nationale des peuples*, zowią ją ekonomią *narodową*. Mniemamy, że ta nazwa nie uwydatnia samój rzeczy, skoro i ekonomia *społeczna* acz zamknięta w granicach miejscowych stosunków, jest także *narodową*. Utrzymujemy więc rozróżnienie, usprawiedliwione przez nas bliżej w rzeczonych studyach.

<sup>1)</sup> Ludwik Wołowski, członek Instytutu, senator, w dziele: *La liberté commerciale et les resultats du traité de commerce de 1860*. Paris, 1869, str. 23 i nast. Słynny ekonomista, acz jeden z najgorliwszych obrońców teoryi Adama Smith nie mógł przecież nieuznać, iż równowaga między wywozem i wwozem jest kamieniem probierczym całej reformy. Dobrze bowiem pojmował przewagę rezultatów *faktycznych* nad każdą teorią abstrakcyjną; jakoż na początku cytowanego dzieła wyrzekł: nous appartenons à cette école qui, fort répandue en Angleterre, regarde l'économie politique comme étant avant tout une matière de faits, *matter of facts*," str. 4.

To pośrednie uznanie zasady ze strony przeciwników wszelkiej protekcji, wynikającej dla przemysłu krajowego z pobierania ceł od produktów i towarów wprowadzanych do Francji, zasługuje na zaznaczenie i na zachowanie w pamięci. Rzecz bowiem widoczna, iż oni przestaliby rzeczonęj reformy bronić, gdyby skutek nięj przywozy produktów angielskich przewyższyły były wywóz produktów francuzkich. W każdym zaś razie, każdy i wszędzie, ekonomiści tak samo jak statysci bez różnicy do którego narodu należą, powinni by z owego uznania wyciągnąć dla siebie naukę i przy obmyślaniu systematów cłowych utrzymanie lub zapewnienie własnym krajom owęj równowagi ekonomicznęj mieć zawsze na pierwszym planie.

Idąc za tą właśnie uwagą nie byliśmy w możności ani pojąć, ani odgadnąć, dla jakiego powodu statysci rossyjscy odstąpili od długoletnięj polityki finansowęj, zapewniającęj protekcją wszystkim gałęziom przemysłu krajowego i usiłującęj utrzymać równowagę między wywozem produktów miejscowych, a wwozem produktów zagraniczuych i co mogli mieć na celu, wywołując obniżenie cła od cukru zagranicznego do rubla i kop. 50, pomimo iż było do przewidzenia, że zagranica z tego obniżenia korzystając, zacznie dostarczać cukier do Imperyum, w którém już ujawniała się była produkcyja tego artykułu większa niż potrzeby konsumacyi miejscowęj i że tym sposobem bilans rzeczonęj równowagi w jednęj kategorii cukru pogorszy się przeszło o milion rubli, jak to miało miejsce w r. 1875. *(Dokończenie nastąpi).*

## KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA \*).

Dzieła uwieczczone przez Akademię francuzką.—Poemat na zadanie konkursowe: *Wielza i poezya*.—Dzieło p. Meruy: *Życie we Francji za czasu Truwerów* i t. d.—Podróż po Ameryce południowęj: Brazylii, Chili, Boliwii i Peru, przez p. Ursel, sekretarza legacyi francuzkięj.—Przyjęcie podróżnika portugalskiego Sorpa-Pinto, przez Towarzystwo Geograficzne w Paryżu.—Mapa wskazująca miejsce urodzenia mężów najsłynniejszych we Francji.—Rzeźbiarz Marcello: *Księżna Colonna di Castiglione*.—*Hetman Maksym*, powieść Etienne Marcel.—Pieśni szwajcarsko-niemieckie z powodu kongresu przyrodników w St. Gall.

Doroczna uroczystość w Akademii francuzkięj, z powodu rozdawania konkursowych nagród, coraz to więkšej nabiera doniosłości, w miarę jak wzrasta liczba nagród za literackie prace. Do kilkudziesię-

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za październik r. b.



sięciu dawniejszych, przybyły w tym roku trzy nowe: najświetniejszą z nich ufundowała pani Reynaud, wdowa po słynnym filozofie, autorze dwu pomnikowych dzieł: *Ziemia i niebo*, *Duch Galii*. Nagroda ta pod tytułem: *Prix Jean Reynaud*, wynosząca 10000 franków, przyznana będzie co rok odpowiedniemu laureatowi, przez jedną z pięciu Akademii składających Instytut. W tym roku rozpoczęła kolej Akademia francuzka; nagrodę otrzymał p. Bornier, autor tragedyi bohaterzkiej p. t.: *Córka Rolanda*. Mówiliśmy obszernie o tym poemacie dramatycznym przed czterema laty, kiedy go poraz pierwszy odegrano; dodajemy, że przewidywania nasze spełniły się w zupełności. Tragedya obsypywana gorącemi oklaskami Paryżan, w ciągu stu kilkudziesięciu przedstawień zapewnia dziś autorowi nowy tryumf i zjedna mu niewątpliwie zaszczytne miejsce w Akademii. Piękny ten utwór, znany u nas z przekładu Lucyana Siemińskiego, drukowanego w *Ateneum*.

Inna dawczyni p. Józefa Juglar, powodowana szlachetną myślą, powierzyła Akademii 3000 franków, z zaleceniem aby połowę sumki ofiarowano jednemu z zasłużonych emerytów w zawodzie literackim, drugą zaś połowę obdarzono utalentowanego młodzieńca, obierającego tenże zawód. W myśl donatorki Akademia rozdzieliła nagrody między zasłużonego starca p. Michała Masson, a młodego poetę Karola Cros. Masson przed laty pięćdziesięciu ważne zajmował stanowisko w literaturze, należał on do tych młodych szermierzy, którzy z Wiktorem Hugo podnieśli dzielnie sztandar romantyzmu i zapewnili mu tryumf. On pierwszy do literatury francuzkiej wprowadził żywioł czysto ludowy. Jego *Opowiadania przy warsztacie Daniela Kamienniarza* i *Pamiętniki dziecka ludu* zyskały wówczas wielką popularność i utrzymały ją dotąd, a co więcej stały się zbawiennym antidotem przeciw zgubnym teoryom, jakimi dziś tylu pisarzy zatrąwa umysły i serca biednej ludności robotniczej. Karol Cros ze swój strony dał się poznać zbiorem ulotnych poezyi i monologów. Wśród tych, poemat p. t.: *Rzeka (Le Fleuve)* na szczególną zasługuje uwagę.

Trzecia ustanowiona w tym roku nagroda (*prix Monbine*), w ilości 3000 franków, pięknym jest świadectwem téj dobrze zrozumianej oszczędności, stanowiącej główną cechę charakteru francuzkiego. Kasyer paryzkiego banku Monbine, składając przez lat wiele centym do centyma, zebrał kilkadziesiąt tysięcy franków. Blizki śmierci, bez rodziny i krewnych, zapisał kapitalik ucziwie zapracowany dwum kolegom, agentom bankowym, którzy otaczali starca synowską opieką i osłodził mu lata ostatnie. Szlachetni spadkobiercy otrzymany dar zamienili na akademicką nagrodę, przywiązując do niej imię starego przyjaciela. Ta nagroda w ilości 1500 franków rozdzieloną została pomiędzy dotkniętego paralizem, zdolnego pisarza Ksawerego Aubryet i wdowę po Henryku Monier, zasłużonym pedagogu.

Inną znów nagrodę fundacyi *Lambert*, otrzymał nestor pedagogów francuzkich, dziewięćdziesięcioletni i ociemniały Quitard. Starzec ten od młodości pracuje bez wytchnienia. Siedmdziesiąt lat temu napisał

pierwszą książkę p. t.: *Morale en Action*, która wielokrotnie przedrukowana, rozbiegła się po świecie w 600,000 egzemplarzach. Na tegoż konkursu niewidomy starzec nadesłał świeżą pracę.

Wielką nagrodę *Gaubert* (20,000), Akademia przysądziła p. Chantelauze, za dalszy ciąg *Historji kardynała Retz*, wykazujący misye dyplomatyczne w Rzymie sławnego męża stanu. W roku zeszłym autor otrzymał już podobną nagrodę za pierwszą część tego ważnego dzieła.

Drugą nagrodę *Gaubert* sąd przyznał księdzu Mathieu, autorowi *Dziejów Lotaryngii i Baru*. Sumienna ta i głęboka praca daje poznać nietylko przeszłość jednej prowincyi, ale wiernym jest obrazem całej monarchii francuzkiej za dawnego porządku. Styl pełny życia podnosi znaczenie tej pracy, czyniąc ją dostępną nie samym tylko erudytom.

Połowę nagrody *Therouanne* otrzymał Ernest Denis autor dzieła p. t.: *Hus i wojny Husytów*. We wstępnej części historyk pokazuje pierwsze symptomata wielkiego przewrotu religijnego, objawiające się już w wieku XII. W drugiej części Jan Hus występuje na widownią. Autor przedstawia go jako człowieka głębokiej wiary, przekonanego do ostatniej chwili życia, iż nie odstąpił od zasad Kościoła katolickiego, mimo że podkopał jego podwaliny i otworzył drogę reformacyi. W dalszym ciągu skreślony obraz pięćdziesięcioletnich zapasów, które strumieniami krwi zbroczyły czeską ziemię. Sąd akademicki oceniając talent i erudycyą historyka, czyni jednak zastrzeżenie, iż w zanadto świetnych barwach przedstawia bohatera swego, stawiając go na zbyt wysokim piedestale.

Drugą połowę tej nagrody otrzymał Feliks Rognan za dzieło historyczne p. t.: *Duch rewolucyjny przed wielką rewolucyą*. Autor jaszkrawo maluje stan Francyi w XVIII w. Ruina finansowa, nadużycie przywilejów, skandale dworskie, nędza ludu: wszystko to oddawna niechybny zapowiadało przewrót. Przeczuwał go Ludwik XV, kiedy nakreślił w liście znaczące słowa: „Wnukowie moi będą mieli niemały kłopot z republikanami.” P. Rognan przedstawia w porządku chronologicznym, opierając się na niezbitych faktach, stopniowy rozkład dawniej monarchii. Według niego, duch filozoficzny uważany dotąd za motor prądu rewolucyjnego, był raczej wpływem jego niż przyczyną. Królewskość postradała już urok, kiedy filozofia długo ukryta w cieniu podniosła nakoniec swój sztandar. Wielu zapewne nie dzieli poglądów autora, samo przecież nagromadzenie materyałów i zręczne ich zestawienie nadaje dziełu niepospolitą wartość.

Nagroda *Guerin* (4000 fr.), przypadła uczonemu Karolowi Aubertin za olbrzymią pracę: *Historyą języka i literatury francuzkiej w średnich wiekach*. Według świadectwa sekretarza Akademii, dzieło to jest koroną wszystkich prac konkursowych; będzie obowiązkiem naszym poświęcić mu obszerny rozbiór: dziś ograniczymy się na pobieżnej wzmiance. Znakomity erudyta, w dwu obszernych tomach przedstawił historyczny rozwój literatury, od pierwszych jej początków do XVI wie-

ku. Aby pojąć znaczenie takiej pracy powiemy tylko, że pomniki średniowiecznej poezji, zachowane w *Bibliotece Narodowej*, składają się z 800 rękopismów, a obejmują do 4,000,000 wierszy. Dodajmy do tego liczne kroniki prozą, ocenione krytycznie. W końcu autor skreślił obraz epoki odrodzenia, dając poznać wielki udział, jaki przyjęła Francya w umysłowym ruchu ówczesnym, zbyt wyłącznie przypisywanym Włochom.

Mniejszą nagrodę *Guerin* (fr. 1000) otrzymał Gustaw Boissiere, autor historycznego dzieła p. t. *Zarys podboju i administracji rzymskiej w północnej Afryce, a mianowicie w Numidyi*. Autor długo przebywał w Algerze jako inspektor Akademii, zbadał więc na miejscu starożytnych pisarzy łacińskich i świadectwem ich popiera swe wywody. W końcu dzieła stawia kolonizacyą rzymską obok francuzkiej i wykazuje, że Francya przez lat pięćdziesiąt więcej nierównie uczyniła na pożytek Afryki północnej, niż Rzymianie w takim samym przeciągu czasu.

Nagrody *Bordin* (3000 fr.) rozdzielono pomiędzy dwu pisarzy: połowę otrzymał Alzateczyk Karol Schmidt za historyczny pogląd na literaturę Alzacyi w epoce odrodzenia. Autor wyprowadza na widownią wiele nieznanych imion, kreśli biografie zapomnianych dziś pisarzy, rozbiiera ich łacińskie kroniki i satyryczne poemata, ważne zarówno pod względem literackim jak i historycznym.

Drugą połowę nagrody przysądzono innemu Alzatecykowi, panu Lishemberger za *Studjum nad Goetem*. Krytyk przebiega kolejno wypadki z życia poety, pokazuje wpływ ich na rozwój geniuszu: słowem z utworów poetycznych wysnuwa psychiczną biografią. Obrazy pełne życia, skreślone świetnym stylem podnoszą znaczenie tej pracy.

Konkursowa nagroda *Langlois*, za najlepiej dokonany przekład, dzielnym stała się bodźcem do przyswajania literaturze francuzkiej znakomych dzieł zagranicznych. Z dziesięciu prac nadesłanych, Akademia uwicynczyła dwie: *Przekład dzieł Synecyusza*, filozofa i poety greckiego, nawróconego w IV wieku na Chrystyanizm. Tłumacz, pan Druon, poprzedził rzecz pełną erudycyi rozprawą, o filozofach i poetach szkoły aleksandryjskiej. Drugą część nagrody otrzymała pani Lorcen, za wyborny przekład z angielskiego języka kilku dzieł słynnych podróżników dzisiejszych. Zbiór ten złożony z dziesięciu wielkich tomów, obejmuje *Podróże Burtona, Liwingstona, Schweinfurta, Camerona i Stanleja*; rozwija zatem przed nami cały świat afrykański, którego odkrycie należy do największych zdobyczy XIX-ego wieku. Pracowita laureatka zmarła w kilka dni po swym tryumfie konkursowym.

Z działu filologicznych nauk, nagrodę *Desperouses* otrzymało trzech lingwistów: Chabaneau, autor ważnych badań nad czasowaniem słów francuzkich, z historycznym poglądem na przemiany zaszłe w kolei wieków; p. Chambure za glosaryusz *Merwanu*, jednego z podrzeczy bretońskich i p. Luchaire autor badań filologicznych nad językiem pirenajskich Basków i nad różnemi gałęziami języka langwedockiego.

Nagroda *Jouy*, przeznaczona za dzieło bądź fantastycznój, bądź krytycznój treści, z poglądem na dzisiejsze obyczaje, przysądzoną została panu Drumont, autorowi zajmującej książki p. t.: *Mój stary Paryż*. Pilny badacz, swobodnie przebiega od jednego przedmiotu do drugiego. Zaczynając rzecz od wystawy 1878 roku, cofa się wstecz, ogarnia wzrokiem dwie poprzednie wystawy. Kraży potem wśród nowych ulic i bulwarów, co chwila potrąca o jakieś dawne wspomnienie, porównywa czasy przeszłe z teraźniejszymi, bawi i naucza zarazem.

Nowa nagroda fundacyi *Vilet*, przypadła utalentowanėj powieściopisarce pan Bentzon. Prace nadesłane przez nią na konkurs, dostały się pod sąd Juliusza Sandeau. Przytaczamy tu chlubne świadectwo tego akademika, który jak wiadomo należy sam do pierwszorzędných powieściopisarzy dzisiejszych. „Nazajutrz po kłęskach naszych, mówi Sandeau, pojawiły się pierwsze próby pióra pani Teresy Bentzon. Pomimo źle wybranėj chwili, próby te zwróciły przecież uwagę; zajęły szczególniej tę część publiczności, która szuka w powieściach zdrowych zasad i myśli ucziwych. Odtąd rok za rokiem, coraz nowe utwory puszczane w świat spokojnie, bez sztucznego rozgłosu, świadczyły o dojrzewającym talencie autorki. W każdym z nich widocznym był postęp, dowód niezmordowanėj pracy. Obrazy te werném są odbiciem teraźniejszego społeczeństwa; gorące uczucie ożywia każdą powieść, ale autorka patrząc na życie trzeźwém okiem, mimo że unika moralnych sentencyi, poddaje przecież artystyczne swe pomysły, pod niezłomne prawa moralnych zasad. Ostatnie dwa dzieła: *Wyrzut* (le Remord) i *Zapora* (l'Obstacle) chlubnie przypieczętowały jój sławę i zasługę.”

Drugą nagrodę téjże samėj fundacyi, otrzymał p. Juliusz Claretie za przesliczną powieść *Chorągiew* (le Drapeau), o której mówiliśmy w przeszłym sprawozdaniu.

Osobny dział premiów konkursowych tworzą nagrody fundacyi *Monthion* w liczbie ośmiu, przeznaczone wyłącznie za prace nacechowane myślą moralną i pożyteczną. Stu dwudziestu autorów nadesłało na konkurs dzieła swoje. Pierwszą nagrodę otrzymał najsłuszniej Hektor Mallot, autor dwutomowėj powieści p. t.: *Sans famille*. Dziwnie to zajmująca powieść; bohaterem jój mały chłopczyk bez rodziny, wystawiony na najtwardsze próby, łamiący się z nimi zwycięzko, dzięki dobrym ludziom, jakich Opatrzność zsyła mu w chwilach najcięższych. Powieść przeznaczona dla niedorostłój dziatwy, zajmuje również dojrzałych czytelników. Wydana w roku zeszłym, pojawia się w coraz to nowych edycyach; można wróżyć jój długotrwałą prpularność, jaką niegdys pozyskał *Robinson Crusoe*.

Taką samą nagrodę przysądzono panu Boneau-Avenant, autorowi ciekawėj monografii księżnėj Aiguillon, siostrzenicy kardynała Richelieu, słynnėj w XVII wieku z wielkich cnót i nieprzebranego miłosierdzia. Postać ś. Wincentego à Paulo, promienieje tu nad wszystkimi. Kardynał Richelieu w otoczeniu rodzinném, przedstawia się

sympatyczniej, niż pod piórem dawniejszych historyków, którzy śledzili w nim głównie wielkiego męża stanu.

Pan Michel odebrał trzecią nagrodę za monografią Vaubana wielkiego inżyniera i gorącego patrioty, któremu Francya przez lat 150 zawdzięczała swe bezpieczeństwo. Potrzeba było dział oblężniczych Kruppa, aby zdruzgotać w proch ten szereg baszt warownych, osłaniających Alzacyą i Lotaryngią od zarenkich sąsiadów. Pracowite życie Vaubana, jego niezmordowana wytrwałość, zapory jakie złamał siłą żelaznej woli: wszystko to przedstawione jasno, w sposób żywy i dramatyczny.

Czwartą nagrodę przysądzono p. Simonin, znanemu ekonomście, za trzy dzieła: *Złoto i srebro*, *Świat amerykański*, *Wielkie porty handlowe we Francyi*. W pierwszych dwu, autor oprowadza czytelnika po Ameryce Północnej, tłumaczy szybki rozwój Stanów Zjednoczonych, daje poznać miejscowe instytucye, społeczeństwo, obyczaje, przemysł, jak niemniej filantropijne zakłady. Następnie wdzierą się do wnętrza ziemi: pokazuje słynne kopalnie kalifornijskie, wykłada popularnie tajemnice metalurgii. W dziele poświęconém handlowym portom francuzkim, zatrzymuje się kolejno w Hawrze, w Marsylii, w Nantes i Bordeaux; wytyka niedostatki w ich urządzeniu, a zarazem jako biegły inżynier wskazuje zaradczę środki, które użyte w porę, mogą zapewnić Francyi panowanie na morzu.

Profesor filozofii Compayre, autor pedagogicznego dzieła, otrzymał piątą nagrodę Monthion. W dwutomowej pracy p. t.: *Historja krytyczna doktryn, tyczących się wychowania publicznego we Francyi, od XVI wieku*, uczony pedagog podejmuje najważniejsze zagadnienia społeczne czasów dzisiejszych. W końcu stawia na przyszłość nowy systemat zanadto fantastyczny. Akademia nagrodziła historyczną stronę dzieła, czyni jednak zastrzeżenie co do konkluzyi: utrzymując że w przedmiocie wychowania, unikać należy gwałtownych przewrotów i niebezpiecznych mrzonek.

Szóstą nagrodę przysądzono panu Dautier, autorowi obszernej i ozdobnej publikacyi p. t.: *Niewiasty w społeczeństwie chrześcijańskim*. Wspaniały to szereg obrazów historycznych, w których kobieta przeważnie zajmuje stanowisko. Śladem patrycyuszek rzymskich i świętych dziewic pierwotnego Kościoła, pojawiają się tu w kolei wieków piękne postacie: Blanki z Kastylii, Joanny d'Arc, świętej Teresy. Szereg ich kończy siostra Rozalia, zmarła przed laty kilku, wspomina-na dotąd z błogostawieństwem przez ubogą ludność paryżką.

Dwie ostatnie nagrody przypadły panu Lucyanowi Paté za zbiór pieśni natchnionych gorącym uczuciem patriotycznym, i p. Godefroy autorowi nowej monografii Dziewicy Orleańskiej, wydanej w wielkim ilustrowanym tomie.

Pozostało nakoniec ogłoszenie konkursowego sądu na potężny utwór, do którego temat zadany był przed rokiem. Zadanie trudne: *Poczyń wiedz!* oto przedmiot i tytuł żadanego poematu. Stu dwudzie-

stu siedmiu poetów nadesłało swoje utwory. Żaden z nich, jak się wyraził sprawozdawca, nieodpowiedział w zupełności nadziejom Akademii; większa część konkurujących poniżyła wiedzę, opiewając głównie praktyczne jej korzyści. Sąd wyszczególnił jednak dwa poemata, między dwu laureatów rozdzielił konkursową nagrodę: jeden z nich p. Denayrouse, młody inżynier, drugi Jerzy Renard, szwajcar, profesor literatury w Lozannie.

Akademik Rousset odczytał najcelniejsze wyjątki z obu uwieńczonych utworów. Dajemy w przekładzie ustęp z poemaciku p. Renard.

Poeta, błędząc po lesie o zachodzie słońca, spostrzega dwie tajemnicze dziewice, osłonięte białym rąbkiem. Jedna z głową ku ziemi pochyloną, spoczywa na murawie półsenna i półomdłała, jak kwiat przepalony skwarem słonecznym. Druga pełna krzepkiej siły, z kompasem w ręku, staje przed nią, usiłuje rozbudzić ją z uspienia. Głos jej słodki, lecz każdy dźwięk odbrzmiwa metalicznie. Posłuchajmy jak *Wiedza* przemawia do *Poezyi*.

Pomniesz, siostrze, te czasy, gdy zapal jednaki  
Pchał nas do rączych lotów promiennemi szlaki?  
Łączym, pełne otuchy, pierś z pierśią, dłoń z dłonią:  
Po jednej pędzim drogą szaloną pogonią.  
Ziemia, morze i niebo, wszystko nas zachwyca,  
Myśl naszą dręczy świata wielka tajemnica;  
Ty, aby ją rozwiązać pytasz mnie z otuchą,  
Ja, na wieszce twoje pieśni choiwiwie skłaniam ucho.  
Krótka jedność, nietety! Wnet ogniwo pęka,  
Rychło nas w dwa rozdroża pohnęła czasu ręka;  
Prawda błysła mi słońcem: umysł mój spragniony  
Goni za nią, łudzące zdziera z niej osłony.  
Aby tej czarodziejce spojrzeć oko w oko.  
Ja wdzieram się z mozołem, ku gwiazdom, wysoko!  
Twoje ucho poszmer wody rozkosznie potrąca,  
Ty słuchasz co z wietrzykiem gwarzy trzcina drżąca;  
Chwytasz ich słodki poszept, aż pieśń twa powtórzy  
Skargę duszy dziewiczej i westchnienie róży;  
By ukryć przed oczyma bolesne sero rany,  
Rzucasz na rzeczywistość rąbek z tęcz utkany.

Długie wieki uniosła w przepaść czasu fala:  
My siostry, czemu krążym wciąż od siebie zdala?  
A jeśli czasem w drodze wzrok nasz się napotka,  
Serce silniej uderzy, w duszy radość słodka!  
Czy pomniesz jak ramiony splecione silnemi,  
Przeszłyśmy razem, siostrze, po Helenów ziemi;  
Później pod okiem Romy, w miłości i zgodzie,  
Podjęłyśmy tu berło w nadsekwańskim grodzie:  
Wozora Goethe nam rozwarł swe gościnne progi,  
I natchniony ten młodzian, sercem naszym drogi,

Chenier, co od wieku w kraju Franków słyńc,  
 Ku czci naszój, on wspólną zbudował świątynię!  
 I czemuż tu jedności stargana nié złota?  
 Czemu, gdy nas dziś porwał nowy prąd żywota,  
 Głos kona w twojój piersi i wzrok twój przymglony?  
 Zabrakłoż wonnych kwiatów na łące zielonój?  
 Wysłażesz słodyczy i rosy do syta,  
 Że nie wzleciśz od ziemi, pszczołko pracowita?  
 Miój ufność, jam przy tobie, wskażę ci zdroj świeży,  
 Twe serce z mojm sercem, niech się znów sprzymierzy!

I umilkła, a mnie jeszcze  
 W uchu słowo dzwoni wieszczce;  
 Otulony leśnym mrokiem,  
 Gonię sercem, chwytam wzrokiem,  
 Tajemnicze dwie siostrzyce,  
 Nieśmiertelne nieba córy;  
 Nagle wietrzyk rozwiął chmury,  
 Słońce padło im na lico.  
 Wiedza pieśni ramię poda,  
 Pieśń odpowie szczęścia łzami,  
 Obie rzekną: wieczna zgoda,  
 Wieczna miłość między nami!

Znaczna liczba nagród nie wystarczyła jednak na uwieńczenie dzieł, które sąd akademicki wyróżnił z pomiędzy wielu nadesłanych na konkurs; zalecił je zatem w sposób zaszczytny dla autorów. Nie wdając się w ocenienie tych dzieł, wymienimy przynajmniej tytuły: pochwała akademicka daje niezaprzeczoną rękojmię ich wartości.

Z pomiędzy dzieł historycznych otrzymały chlubną wzmiankę następne prace: *Studjum nad życiem Henryety Maryi*, córki Henryka IV, małżonki króla angielskiego Jakóba, przez hr. de Baillon; *Monografia Henryka de Latour d'Auvergne* (Turenusza), słynnego w rycerskich dziejach Francyi, przez p. Armagnac; *Włochy w XVI wieku*: szereg życiorysów najznakomitszych polityków, poetów i uczonych z epoki odrodzenia: Machiawela, Aryosta i innych, przez p. Treverret; *Życiorys hr. Chormoisy*, bratanki Ś. Franciszka Salezego, dla której Ś. biskup genewski napisał słynną *Filoteę*, przez Juliusza Rey z Genewy; *Młodość Elżbiety, królowej angielskiej*, przez Ludwika Wieszener; *Kardynał Bessarion*, przez profesora Henryka Vast; *Rozprawa nad duchem czasu w historyi*, przez Filipa d'Ussel.

Z działu krytyki literackiej, zwróciła uwagę Akademii praca p. Lamarre: *Kamoens i Luizyada*. Autor wykonał nowy przekład portugalskiej epeoi i nowemi szczegółami wzbogacił biografią poety. Znaczenie tego dzieła podnosi jubileusz, zapowiedziany w Lizbonie, z powodu trzechsetletniej rocznicy śmierci autora *Luizyady*. Dramatyczne przygody Kamoensa nie skończyły się z jego życiem. Wiadomo,

jak nieszczęśliwy rozbitek, uczepiony do deski, przypłynął do brzegów Mako, podnosząc w górę drogi rękopis, który miał zapewnić mu nieśmiertelność; wiadomo też, jak umarł w nędzy i opuszczeniu. Niedosyć na tém; grób jego przywalony gruzami, podczas pamiętnego trzęsienia ziemi w Lizbonie, zaginął gdzieś bez śladu. Uderzyła wreszcie godzina: Portugalczycy rozbudzeni ze snu dwuwiekowego, odgrzebali kości poety, wzniesli mu wspaniały grobowiec i dziś oto powołują uczonych ze wszystkich kończyn świata, na swe duchowe gody. Trzeci z kolei kongres literatów odbędzie się w Lizbonie, podczas jubileuszowego obchodu.

Zalecone również przez Akademią dwutomowe dzieło pani Mary Summer p. t.: *Powieści i Legendy Indyi starożytnéj; Bohatérki Kalidasa i Bohatérki Szekspira*. Pierwszy tom obejmuje szereg poetycznych podań, które posłużyły za wątek do *Tysiąca i jednej nocy*. W drugim tomie autorka porównywa niewieście typy Szekspira do typów indyjskiego dramaturga Kalidasa. Nazwisko Summer jest pseudonimem pani Foucaux, małżonki słynnego orientalisty, profesora w kolegium francuzkiém.

Otrzymał niemniej pochwałę p. Fallex, za *Antologią poetów łacińskich*. Tłómacz zebrał najpiękniejsze ustępy z czterdziestu poetów, słynnych w Rzymie, do IV-ego wieku ery naszéj. Popularny ten zbiór pokazuje całe bogactwo starożytnéj literatury tym, którzy niemają czasu ani możności, śledzić jéj w oryginalnych dokumentach.

Zpomiedzy dzieł treści filozoficznéj, Akademia podnosi pracę pana Liard: *O nauce pozytywnej i metafizyce*. Autor z wielką siłą dyalektyki rozbiera doktryny sensualizmu, które liczą dziś tylu zwolenników. Szczególną zwróciła uwagę uczonych głęboka dyskusya nad teorjami pozytywistycznymi i nad doktryną ewolucyi.

Liczba zaleconych powieści świadczy o pomyślnym zwrocie na tém polu literatury. Przytaczamy tytuły w oryginale: *Sœur Louise*, przez Karola Delys; *La fin du Marquisat d'Urrel*, przez Henryka de la Madelène; *Primarozą* przez Maryan'a; *Boisgentil* przez panią de Presencé; *Les histoires de mon Oncle* przez P. S. Stahl. Szczególną pochwałą Akademia zaszczyca dzieło pani Comberousse (wydane pod pseudonimem Emma Erwin), pod tytułem: *Heur et malheur*. Powieść to nadzwyczaj zajmująca, wolna od wszelkich skandalów: „matka może bez obawy dać ją do czytania młodéj córce, z wielkim dla niéj pożytkiem.” W ten sposób sekretarz Akademii chwali powyższą pracę.

Dodajmy tu jeszcze dziwnie zajmujące dziełko p. t.: *Podróż rodziny wokół świata, własnym jachtem Sunbeam*, opowiedziana przez matkę. Autorką téj pięknej i pożytecznej opowieści jest angielfka pani Brassier. Przekład francuzki przedstawiony był do konkursu Monthion, który wyłącza tłómaczenia. Dlatego tylko nie otrzymał nagrody.

Pracowity badacz dawnych czasów, Antoni Meray, wydał niedawno ciekawe dzieło w czterech tomach, tyczące się życia i obyczajów



starodawniej Francyi. Bogate źródła znalazł autor w odwiecznych kronikarzach, w niezliczonych pieśniach Truwerów, a nakoniec w zbiorach dawnych kazań. Pierwszy tom dzieła nosi tytuł: *Życie w czasach Truwerów*; drugi: *Życie w czasach sądów miłości*; dwa ostatnie: *Życie w czasach wolnych kaznodziejów, poprzedników Lutra i Rabelais'go*. Rzecz kończy się na wieku XVI.

Francuzka literatura posiada już niejedno dzieło w tym przedmiocie, ale praca pana Meray tę wyższość ma nad innemi, że autor lepij od poprzedników rozpatrzył się w oryginalnych źródłach, wydobył z nich więcej danych i żywszemi barwy odmalował zamarłe od wieków społeczeństwo.

W długim szeregu obrazów przesuwają się przed nami, to starodawne uczty i łowy, to ciekawe posiedzenia sądowe. Wiadomo, że we Francyi feudalnej, sama tylko zwierzchnia warstwa dźwigała na barkach losy kraju; lud rolniczy orał w pocie czoła swój zagon, bez udziału w sprawach publicznych. P. Meray ukazuje nam głównie wielkich panów i drobną szlachtę; czasem jednak odchylił wrota biednej chaty wieśniaczej. Widzimy np., jak za Ludwika VII, lud w Normandyi zbiera się gromadnie; silny liczbą, postanawia zrzucić jarzmo nieludzkich panów. Raoul, hrabia z Evreux, rozbraja tłumy, łamie gwałtem ich opór. Porządek zapanował w Normandyi: „lud żałobliwy, jak śpiewa truwer, Robert Wace, płakał na zgłiszczach spalonych wiosek.” Jednym wydarto oczy z głowy, drugim powyrywano zęby, innym nogi odrąbano toporem. Przewodzców spalono na stosie, lub zanurzono w roztopionym ołowiu... i porządek zapanował w Normandyi!

Bezrząd rozpościera się wszędzie, grozi zarówno wielkim jak i małym. Znajdujemy tu ciekawą odysseę królowej Eleonory, odrzuconej małżonki Ludwika VII. Otoczona licznym orszakiem, królowa powraca do Akwitanii, dziedzicznej posiadłości swojej. Wielcy panowie krogulczem okiem patrzą na tak ponętną zdobycz; Eleonora zarówno piękna jak bogata. Koło Blois czyha na nią Tybald hrabia Chartres z uzbrojoną drużyną; chwyta ją, więzi w warownym zamku, chce ją gwałtem zmusić do małżeństwa. Dzięki wiernym dworzanom swoim, królowa ucieka szczęśliwie zpoza kraty.

W bliskości Tours nowy zamach; Godfryd Plantagenet, książę angielski czyha z rycerstwem nad Loarą. Eleonora wymknęła się z drapieżnych jego szponów. W Poitiers wpada w ręce trzeciego następnika: był nim Henryk Plantagenet. Ten pozyskał rękę królowej; z małżeństwa ich miał się zrodzić sławny Ryszard Lwie serce.

Król Ludwik święty pragnął wszelką siłą powstrzymać nadużycia i ukrócić swawolę możnych. Autor pokazuje go pod historycznym dębem w Vincennes, jak skłania ucho na skargi uciśnionego ludu i surową wymierza sprawiedliwość. Przykład króla oddziałł na kilku wielkich panów. Jeden z nich Tybald z Szampanii, sławny truwer XIII wieku, zaprowadził w stolicy swojej Troyes porządek wzorowy na te czasy. Pod czujnym okiem hrabiego, poddani żyli spokojni i bezpiecz-

ni. Dobry rząd sprawił, że „cała Europa przybiegała do Troyes na sławny jarmark.” Przybysze składali pieniądze i towary pod opiekę hrabiego; ten zwracał im depozyt z nieposzlakowaną sumiennością. W starłej kronice zapisano ciekawe zdarzenie:

Kramarz wędrowny przyprowadził klacz na zamkowy dziedzi-  
niec, prosząc o dozór nad nią i rzekł: iż zdaje bydłę swoje na łaskę Pa-  
na Boga i pana hrabiego. Zapędzono klacz na łąkę; nocą zjadły ją  
wilki. Kramarz z płaczem przybiega na zamek.

— Ileż oceniasz twoje bydłę?—zapyta hrabia.

— Sześćdziesiąt soldów—odpowie kramarz.

— Masz trzydzieści—rzecze do niego Tybald—tyle winien ci je-  
stem, skoro powierzyłeś klacz twoję w połowie mojej, w połowie Bos-  
kiej straży: od Pana Boga odbierzesz sobie resztę.

Kramarz odchodzi smutny, w drodze spotyka mnicha.

— Co ci jest, człowieku?—spyta zakonnik—wyglądasz jakoś bar-  
dzo zafrasowany. Opowiedz mi twoję zgryzotę; mów śmiało: jam prze-  
cie sługa Boży.

— Kiedy tak—odpowie kramarz—zapłaćże mi jegomość trzy-  
dzieści soldów, które winien mi Pan Bóg.

Zakonnik odmawia; sprawa wytacza się przed sąd hrabiego: ten  
przyznaje słuszość kramarzowi.

— Pan Bóg—rzecze Tybald—winien mu trzydzieści soldów,  
niechże sługa uiszi się z długu za Pana.

Autor opisuje biesiady ówczesne, nie ustępujące pod względem  
zbytku ucztom starożytnych Rzymian. Dla rozweselenia biesiadników,  
gospodarz domu wymyślał rozmaite mistyfikacje. Stawiano np. wśród  
stołu piramidalny pasztet ogromnych rozmiarów; za podniesieniem po-  
krywy z ciasta, chmara gołębi ulatała w górę: wypuszczone sokoły  
chwyciły je w powietrzu. W innych pasztetach mieszczono znów ży-  
we zające; karzełki goniły je po sali przy poklasku obecnych. Piękna  
pani domu, chcąc uczyć gości w szczególny sposób, brała z własnego  
talerza najsmaczniejsze kęski i kładła mu na talerz paluszkami, obmy-  
temi w wodzie różanej lub lawendowej. Widelec był jeszcze przedmio-  
tem zbytku, za czasów Henryka Walezyusza.

Z przygód łowieckich przytoczymy tu jedną, bardzo charakterys-  
tyczną. Ludwik XI polował raz z orszakiem dworskich panów; wy-  
puszczony sokół chwyci w powietrzu zdobycz; w téjże chwili orzeł zry-  
wa się ze skały, uderza na sokoła, wydziera mu łup gwałtem. Nastę-  
puje zacięta walka: sokół wychodzi z niej zwycięzko; orzeł z rozdartą  
piersią pada na ziemię, pod okiem zdumionych myśliwców. Dworzanie  
przyklaskują sokołowi, sam tylko król nie dzieli ich zapału. Biedny  
sokół drogo przypłacił tryumf: Ludwik XI skazał go na śmierć jako  
królobójcę, że powążył się wyzwać do zapasu króla ptaków! Dreszcz  
przebiegł po wasalach: zrozumieli groźną przestrogę.

Od lat kilku wydawca Plon zasila francuzką literaturę coraz nowemi opisami podróży. Niema zapewne książki ciekawszej i bardziej pouczającej, nad dobrze opisaną podróż, ożywioną etnograficzném badaniem, ale niestety, książka taka należy jeszcze do literackich osobliwości. Publikacje Plona przechodzą inne wartością rzeczywistą. Od słynnej *Podróży wkoło świata*, hrabiego de Beauvoir, o której mówiliśmy w swoim czasie, wydał on całą seryą wyborowych dzieł w tym kierunku. Wymienimy tu: *Listy znad Bosforu* Karola de Mouy; *Japonią malowniczą*, *Podróż po Szwecyi (en Karyole)* p. Vidal; *Wycieczkę w góry Szkockie (Dans les Highlands)*; opisy *Antyllów*, *Wyspy Kuby* i t. d.

Ostatnie dzieło, wydane kilka miesięcy temu: *Podróż po Ameryce Południowej (Séjours au Brésil, au Chili, en Bolivie et au Peru)*, przez p. Ursel, sekretarza legacyi, tém ciekawsze jeszcze od innych, że opisuje mało znane kraje i ludy. Brak nam miejsca na szerszy przegląd tej publikacyi, poprzestajemy też na jej zaleceniu. Autor jednym rzutem oka ogarnia wyspę Juan Fernandez, oddaloną o paraset mil morskich od Chili. Na wyspie tej, genialny pisarz angielski pomieścić niegdyś Robinsona Cruzoe, najpopularniejszego może z bohaterów nowożytnej literatury. Szczególne to losy tej wyspy! Oprócz wymarzonego rozbitka, mieściła ona w niedawnych czasach inną jeszcze ofiarę. Był nią zbrodniarz skazany na śmierć, którego rząd chilijski utaskawił w chwili egzekucyi, zamieniając karę na wieczne wygnanie. Człowiek ten, pozbawiony wszelkiej broni, nabył tak wielkiej wprawy w nogach, że doganiał w biegu dzikie kozy i chwycił je na arkan.

Flora i fauna podzwrotnikowych krajów żywo zajmuje autora. Między innemi pokazuje on prawdziwą osobliwość, należącą zarówno do świata zwierzęcego jak roślinnego. Jestto owad, który przed śmiercią zagrzebuje się w ziemię. Z nóg jego mają wyrastać listki, kadłub pęcznieje, staje się tuberkulą, lecz zachowuje kształt pierwotny. Łodyga rozwija się pomału i wiosną pokrywa ładnym błękitnym kwiatem.

Zostawiamy przyrodnikom rozwiązanie tej botaniczno-entomologicznej zagadki; niechaj oni objaśnią, czyli autor nie był w błędzie, powtarzając zbyt łatwowiernie opowieści tubylewów.

Znajdujemy również ciekawy obraz kopalni złota w Morro Velho, eksploatowanych przez kompanią angielską, pod dyrekcją superintendenta Gordona. „Jednej niedzieli, mówi autor, byłem świadkiem szczególnego przeglądu. Gordon ustawił szeregiem cały pułk czarnych niewolników, utrzymywanych na żołdzie kompanii. Naliczyłem przeszło pięciuset mężczyzn i kobiet w mundurach. Kobiety miały spódniczkę białą, szal w pasy, na głowie chusteczkę czerwoną; przodownicy, wysunięte na front, odznaczały się szalem czerwonym i szewronami tegoż koloru, u dołu spódnicy, w liczbie odpowiedniej do stopnia. Mężczyźni w niebieskich bluzach, z czerwonymi wyłogami, nosili na głowie mały czerwony toczek. Szamerunek na rękawie odznaczał kapitanów. Wpóśród karabatalionu, zatknięty był maszt: po-

wiewała z niego chorągiew królowej angielskiej. W szczególny sposób ta chorągiew rzucała cień na czarnych niewolników: zakrawało to na mistyfikację.”

Paryżkie Towarzystwo Geograficzne przyjmowało uroczyście w wielkim amfiteatrze sorbońskim, podróżnika portugalskiego Serpa-Pinto, który zszedł wszerz Afrykę Południową i oznaczył na mapie jeziora i rzeki nieznane dotąd w świecie geograficznym. Eksploatator opowiadał, po francuzku wobec licznego zgromadzenia, przygody swój szesnastomiesięcznej podróży i niebezpieczeństwa, jakie przebył, wystawiony na strzały tubylców, na pazury drapieżnych zwierząt, wreszcie na żądła jadowitych owadów. Trudy jednak nie były bezowocne. Godny następcą Vasco de Gamy, odkrył na stepach Afryki Południowej, wielkie jezioro Makarkari, różniące się tém od innych, że stosownie do pory roku, łożysko jego zupełnie wysycha i pozostawia tylko słone kałuże lub całe napełnia się wodą. Rzeka Botlete łączy to jezioro z inném jeziorem Ngami, położoném dalej na zachód. Tu nowa osobliwość geograficzna: płaszczyzna przecięta rzeką tak jest niska, że stosownie do deszczów podzwrotnikowych, padających z jednej lub z drugiej strony, prąd owiej rzeki odwraca kierunek, to płynie z zachodu ku wschodowi, to od wschodu na zachód.

Odkrycia etnograficzne podróżnika portugalskiego, zasługują niemięj na uwagę. Znalazł on nad rzeką Kubango murzynów całkiem białych; cera ich jaśniejsza niż u europejskich plemion. Włos mają krótki, wełniasty, policzki wystające, oczy osadzone ukośno jak u Chińczyków; budowa ciała odznacza się krzepkością. Prowadzą życie koczownicze, podzieleni na małe grupy; żyją wyłącznie z łowów.

W raporcie do Towarzystwa geograficznego paryżkiego przedstawiono mapę, okazującą miejsce urodzenia mężów najskynniejszych we Francyi. Podług téj mapy cała północ, a mianowicie kotlina Sekwany, blższy na połę poezyi, mimo że opinia ogólna przypisywała zawsze stronom południowym przewagę uczucia poetycznego. Wykaz nowy dowiódł, że na północy zrodzeni są najznakomitsi poeci: Ronsard, Malherbes, Corneille, Racine, Molier, Boileau, Lafontaine, Wolter, Berenger, Musset, Delavigne.

Zamiłowanie w naukach objawiło się téż przeważnie na północy. Świadczą o tém: Laplace, Elie de Beaumont, Ducange i inni. Toż samo tyczy się i malarstwa: Poussin, Lessueur, Decamps, Horacy Vernet, Delaroche, wszyscy rodem z północnej Francyi.

W stronie północno-wschodniej przeważa zdolność do taktyki wojennej; Alzacya i Lotaryngia wydały wielu walecznych wodzów: Joanna d'Arc, jak wiadomo, rodem z Lotaryngii.

Kotlinę Rodanu nazwano matką krasomówców. Bossuet, Flechier, Massillon, Ravignan, Guizot, Perrier, Thiers, zrodzeni wszyscy na południu.

Filozofowie i prawnicy pochodzą w większej części z prowincyi środkowych, z kąd wyszli: Pascal, Kartozyusz, Daguesseau, L'Hopital, Dupin i wielu innych.

Okolice Garonny i w ogólności stoki Pirenejów, wydały najznakomitszych finansistów i najpierwszych mężów stanu.

Kto zwykł odwiedzać wystawy rzeźb i obrazów w Paryżu, pamięta popiersia i symboliczne figury z podpisem Marcello, wykonane z nieporównanym wdziękiem i wysokiém pojęciem sztuki. Ogół brał je za utwory utalentowanego artysty włoskiego; szczupłe ledwie grono wtajemniczonych wiedziało, że pod tym pseudonimem kryje się kobieta, wielka pani, znana w paryzkim świecie, wdowa po księciu Colonna di Castiglione Aldovrandi. Śmierć rozdarła zasłonę. Znakomita artystka zmarła tego lata w Castellamare, nad zatoką Neapolitańską, w czterdziestym drugim roku życia, w pełnej sile wieku i talentu.

Urodzona w Szwajcaryi francuzkięj, w Fryburgu, panna d'Affry, przepędziła tam pierwszą młodość. W r. 1856 zaślubiła w Rzymie księcia Colonna; żyła z nim ledwie kilka miesięcy: książe umarł w końcu tegoż samego roku. Odtąd dwudziestoletnia wdowa oddała się sztuce z całym zapałem. Mistrzem jej w malarstwie był Hebert, dyrektor szkoły francuzkięj w Rzymie, ale rzeźba miała się stać prawdziwym jej tryumfem. Wykształcona pod okiem rzymskich mistrzów, wystąpiła po raz pierwszy na wystawie paryzkięj w r. 1863, z trzema wytwornemi biustami: z tych popiersie *Bianki Capello* wywołało oklask powszechny. W kilka lat potem wystawiła *Gorgonę*, co tym większy dało jej rozgłos. Na wystawie powszechnęj w r. 1867, znawcy podziwiali dwa nowe jej utwory: *Hekate* i *Cerbera*, zamieszczone w wydziale włoskim. Imię Marcello przebiegało wtedy z ust do ust; galerye tak publiczne jak prywatne, pragnęły pochwiliwić się utworem włoskiego artysty.

Paryż posiada kilka dzieł z podpisem Marcello; na wschodach Wielkięj opery widzimy mistrzowskie popiersie *Pytyi*. Piękny biust *cesarzowęj Eugeni* zdobik jedną z sal ratuszowych. W galeryi luksemburskięj zwraca uwagę posąg *abisyjskięj niewiasty*. Na późniejszych wystawach podziwiano biust *Maryi Antoniny* i *Margaretę* Fausta. Biskup Strosmajer nabył do zbiorów swoich cudną *głowę Chrystusa*, prawdziwe arcydzieło.

Za czasów Cesarstwa, księżna Colonna przebywała stale w Paryżu, gdzie urządziła sobie przepyszną pracownię, istne muzeum, pełne arcydzieł i pomnikowych zabytków.

Podczas wojny 1870—1871 r. przebywała w Genewie. Niespokojna o drogocenne zbiory swoje, skoro Paryż otwartym został, sprowadziła je do Szwajcaryi. Temi skarbami obdarzyła dziś rodzinne miasto Fryburg, przeznaczając testamentem znaczną sumę na urządze-

nie muzeum pod imieniem *Marcello*. Zwłoki księżnej przewiezione téż będą do rodzinnego miasta.

Autorka, znana pod pseudonimem Etienne Marcel, wydała w tych czasach nową powieść p. t.: *Hetman Maksym*. Rzecz dzieje się na Ukrainie. Charaktery osób wprowadzonych do działania, oddane z niepospolitym talentem. Uderza wśród nich typ głównego bohatera Maksyma, jak niemniej starego kozaka Semena i dziewczeczki z ludu Oksany. Postacie te widocznie pochwycone z natury, autorka bowiem przebywała czas jakiś na Ukrainie, poznała tamtejsze obyczaje i miejscowe stosunki. Wypadki rozwijają się w dziwnie dramatyczny sposób: styl wytworny, obrazowanie pełne życia. Nie wątpiny, że piękna ta powieść, rozpowszechni się wkrótce w ilustrowaném wydaniu, na co zastępuje pod każdym względem.

W sprawozdaniu z uroczystości akademickiej, mówiliśmy o poematach na zadany temat p. t.: *Poczyja wiedzy*. Podczas kiedy stu dwudziestu siedmiu poetów francuzkich pracowało mniej więcej udalnie, nad pojednaniem dwu niebiańskich dziewic, sześćdziesięciu przyrodników szwajcarsko-niemieckich realizowała po swojemu myśl Akademii francuzkiej. Mówimy tu o świeżo wydanym zbiorku pieśni p. t.: *Lieder-Sammlung der Sanct-Gallischen naturwissenschaftlichen Gesellschaft*. Pieśni te ułożone były na cześć kongresu przyrodników, odbytego w St. Gall, w końcu miesiąca sierpnia.

Obie półkule świata przysłały reprezentantów swoich na ów kongres, złożony z 350 czynnych członków. Narady naukowe kończyły się co wieczór ucztą, podczas której pieśni te śpiewane były przy toastach. Przedmiotem żartobliwych zwrotek były teorye naukowe lub zjawiska przyrody, tłumaczone w sentymentalny sposób. Jedna pieśń np. opiewa gorącą miłość kwasu do alkali; w drugiej goryl rozwodzi żale swoje na transformistyczne doktryny; przeklina Darwina i Vogta, iż go poniżyli, czyniąc go protoplastą ludzkiego rodu; w innéj znów ichtyozaur przedstawia geologiczną formacją swéj epoki. Twórczość pomysłów niesłychana: tu kartofel opiewa swoją odyssę; tam odwieczny granit podnosi głos w imię tysiąca wieków, tu znów śpiewa guano żalósne treny wygnania. Pieśń żab, powtarzana chórem, szczególnie wywoływała oklaski. Przewodnikiem tych chórów, a nawet autorem jednéj pieśni, był Karol Vogt, profesor z Genewy, słynny propagator transformizmu.

Hrabia Ksawery Korczak Branicki wydał świeżo książkę wielkich rozmiarów p. t.: *Les nationalités Slaves, Lettres au Révérend Père Gagarin*. Dzieło obejmuje ciekawe szczegóły, które autor miał sposobność zaczerpnąć z rodzinnych tradycyi. Co do Słowiańszczyzny, staje po stronie teoryi Viquesnel'a i Henri Martin. Rzecz kończy się rozprawą o nihilizmie.

## Kronika poznańska.

6 października.

*Germanizacya, walka kultury* z jednej, a z drugiej strony wysiłki nasze, aby się opierać tym plagom pruskim: oto treść, jaką wszystkie ztąd korespondencye wypełniać się muszą. Germanizacya ani na krok nie ustaje, kultury walka w różnych odcieniach trwa ciągle jeszcze, my znów ciągle się bronimy i oganiamy. Czas obecnych wyborów na sejm pruski pokazał najlepiej, że niemcy tutejsi trwają w nieprzychylności otwartej do nas i że mimo chaosu w jaki popadli, mimo straszliwych odgrózek między sobą, ostatecznie jednak względem nas znajdują jakiś *modus*, który ich połączy. My się społecznie razem trzymamy, mimo różnicy zdań, czego dowodem *wiece* wyborcze i sprawozdania posłów naszych z ubiegłej kadencji trzechletniej sejmu pruskiego.

Poznań wybierał ten raz 216 wyborców, większość więc absolutna wynosiła 109. Polaków zdołano wybrać tylko 64, reszta przypada na Niemców i Żydów. Oto bilans wyborczych sił w samym mieście Poznaniu, który nam nie rokuje zwycięstwa. Na prowincyi w znacznej części górą jesteśmy jeszcze, ale przeglądając spisy pojedynczych wyborów okręgowych, dostrzeżemy łatwo, że w każdym majątku kupionym przez Niemca przybywają zaraz liczne głosy niemieckie. Zwykle tak bywa, że słudzy obawiają się głosować nie na tego, którego chleb jedzą. Im więcęj w ogóle Niemcy wykupywać będą polskich majątków i polskich chłopskich gospodarstw, tembardziej uszczuplać się będzie liczba wyborców Polaków. W jakiej mierze zaradzić ubytkowi gospodarzy chłopskich potrafi instytut kredytowy dla małych posiadłości, czas dopiero pokaże. Instytut sam wszedł już w życie przed trzema miesiącami i udziela pożyczek, jak dotąd, bez zbytnich utrudnień na grunta chłopskie, począwszy od 6000 marek wartości takowych.

Ruch i krzątanie się w sprawie wyborów nie przeszkodziły nam zainteresować się obchodem jubileuszu zacnego J. I. Kraszewskiego, na który wyjechały mnogie od nas deputacye. Deputacyi woluntaryuszów z Księstwa przewodniczył August Cieszkowski. Inne przetrzynałe towarzystwa także deputatów wysłały; w dzień zaś jubileuszu wystąpiły wszystkie poznańskie pisma z artykułami jubileuszowemi. W ogóle nie znajdowały pisma nasze za rzecz stosowną występować w tych swych świątecznych artykułach z uwagami ujemno-krytycznemi. Wyjątek stanowił *Kuryer Poznański*, który aby mężowi nie chcącemu się z jego dążnością solidaryzować, nie przepuścić tego i ten raz bezkarnie, uznał za odpowiednie swemu dogmatycznemu stanowisku wymienić grzechy jubilata duchowe obok zasług jego. Tym sposobem

wypadł artykuł *Kuryera*, jak francuz nazywa *aigre-doux*. Jubileusz Kraszewskiego starano się po większych miastach naszych uświetnić przedstawieniami amatorskiemi. Tak np., w Poznaniu odbyło się 30 września świetne przedstawienie w teatrze polskim, urządzone przez towarzystwo Stella. Teatr był szczelnie zapełniony.

Przesłałem wam niedawno statystyczne niektóre dane o *szkołach miejskich w mieście Poznaniu*. Dziś raz jeszcze wracam do téj kwestyi. Rozporządzenia ministra oświecenia Falck'a i procedura na mocy takowych wprowadzona w szkolnictwo, wyrządziła nam *w ogóle* straszliwe szkody, co łatwo bardzo wykazał da się na przykładzie wziętym ze szkół miasta Poznania.

Szkoły elementarne miejskie były, nim nastąpiła era Falck'a, wyznaniowemi i miały na swém czele odpowiednich kierowników i skład nauczycielski; język nasz aczkolwiek już zaniedbywany, miał przecież jeszcze prawo obywatelstwa. Odpowiednio do tego miały więc szkoły elementarne katolickie katolickich, protestanckie protestanckich, żydowskie żydowskich nauczycieli; religii uczyli odnośni nauczyciele, do spowiedzi sposobili dzieci kapłani parafialni w szkole lub w kościele; język polski był w szkołkach katolickich wykładowym, przyczém nauczyciele mieli obowiązek powtarzać z uczniami to, czego ich po polsku nauczyli, w języku niemieckim. Zasada tedy pedagogiczna była przestrzegana, nie zniechęcano zasadniczo rodziców i uczniów, nie utrudniano nad miarę uczniom nauki.

Magistrat poznański miał wprawdzie już dawno na celu przeistoczenie szkół elementarnych, co np. widoczném było z okazji projektu do prawa szkolnego, wniesionego w listopadzie r. 1869 przez poprzednika ministra Falck'a. Wówczasto bowiem wystąpił zaraz magistrat petycją do sejmu, żalącą się na nieuwzględnienie życzeń miast większych, do jakich się zalicza Poznań, wywodzącą dalej, iż projekt pomieniony nadaje Kościołowi prawa, a nie żąda od niego obowiązków, podczas gdy zwala na miasta same tylko ciężary. Magistrat żądał koniec końcem oddania szkół gminom miejskim i wykluczenia Kościoła, jako uprawnionego czynnika, z dziedziny szkolnictwa, z przyczyn tak patriotyzmu pruskiego, jak i zasady autonomii miejskiej.

Rozprawy dotyczące w sejmie pruskim nie osiągnęły przecież ostatecznego rezultatu, a wojna Niemców z Francją, która niebawem wybuchła, kazała odłożyć do późniejszego czasu całą kwestyą szkolną.

Nastaje ministerjum Falck'a, rozpoczyna się *Kulturkampf*. A chociaż ustawa szkolna nowa nie zostaje przedstawioną w sejmach, ma tradycya prusaczyzny sposoby znane, a nader dogodne, przeprowadzania swych celów drogą administracyjną *Bestimmungs*, *Verordnungs* i t. p. *Auseinander setzung*'ów. Na sejmie z r. 1872 przechodzi ustawa o *dozorze szkół*, oparta na zasadzie wyłącznego prawa państwa nad szkołami. Tym sposobem rozerwany zostaje węzeł, który łączył dotąd szkołę z kościołem. Duchowieństwo chociaż gotowość swą



oświadczyło niesienia i nadal pomocy swój szkołom, pominięte zostało. W trop za powyższą ustawą o dozorze szkół, pojawiają się *Allgemeine Bestimmungen über die Volksschule* z 15 października, 1872. W nich domaga się minister Falek zwrotu nauk na drogę t. z. *realiów*. Pozbawienie zaś księży dozoru nad szkołami przybiera tak wielkie rozmiary, że bodaj już który duchowny zostaje inspektorem. Nauczyciele nie potrzebują już dozorować młodzieży w kościele. Rząd prawa swe rozciąga nawet i na udzielanie religii. Księżom nie wolno udzielać w szkołach elementarnych nauki religii; jeśli zaś chcą dozorować taką, skazywani są na kary. Rząd oświadcza zarazem, że udzielanie misyi kanonicznej nauczycielom świeckim religii jest zbyt cenne, bo każdy nauczyciel już z upoważnienia rządu ma prawo uczyć religii. A kiedy księża chcą poza lekcyami planem przepisanimi udzielać w szkole religii, zakazują im tego władze.

Ministrowie oświecenia wydając swe *Bestimmungen* i *Verordnungen*, zwykli pozostawiać wolne ręce władzom prowincjonalnym w zastosowaniu takowych *do potrzeb miejscowych*. Korzystają z téj wolności niepomiernie władze poznańskie. Prezes naczelny poznańskiego wydaje na d. 27 października 1873 r. *Verordnung*, w którym wyrządza krzywdę i nauce religii i językowi, otwierając obszerne pole inspektorom szkolnym do nadużyć. Daje im bowiem władzę decydowania, czy w swoim czy w obcym języku uczyć się mają dzieci religii i o ile zepchnąć da się w téj lub owój szkole język ojczysty dzieci.

Zniesiono tedy zrazu drogą administracyjną dawne przepisy, później skasowano osobną ustawą (jak już nadmieniliśmy) inspektorów duchownych, a mianowano świeckich *systemowi* hołdujących, nareszcie zmieniono aż artykuły odnośne konstytucyi państwa, aby zniweczyć wpływ kościoła, podczas gdy równocześnie *żelazny księż* wypowiedział naszemu językowi zagładę.

Wtenczas to magistrat miasta Poznania pośpieszył z nielada gorliwością w wyzyskaniu położenia rzeczy. *Szydła z miecha wyszły jak najwyraźniej*. Chciał autonomi i otóż jak jój użył: Wszystkie szkoły elementarne zamienił na bezwyznaniowe, niebacząc na głoszoną tyle razy przez siebie dawniej maksymę, że szkoła nie powinna być nigdy polem *politycznych* prób. Usunął inspekcją duchowną, wprowadził język niemiecki jako wykładowy, nie zważał ani na petycye rodziców, ani na fakt obniżającego się poziomu nauki, byle dojść do celu. *Sprawozdanie magistratu z r. 1878* taki nam przedstawia rezultat stanu szkół miejskich: 1) w szkole przygotowawczej, przyłączonej do szkoły realnej, było 97 uczniów, z których 39 katolików. Religii uczył nauczyciel, sama zaś szkoła realna nie udzielała wcale religii. 2) W szkole t. z. średniej, było 1028 uczniów, z których 290 katolików. Dyrygentem jój protestant. 3) W szkole t. z. obywatelskiej, było 913 dzieci, z tych 370 katolików. Dyrygentem protestant. 4) Pierwsza szkoła miejska zawierała 696 dzieci, z tych 474 katolików. Dyrygentem protestant. 5) Druga szkoła miała 750 dzieci, z których 500 katolików. Dyrygentem protes-

tant. 6) Trzecia szkoła miała 1145 dzieci, z których 914 katolików. Dyrygentem znów protestant. 7) Czwarta szkoła miała 1246 dzieci, z których 804 katolików. Dyrygentem także protestant. Ogółem było więc 5875 dzieci, z których 3390 katolików, 2900 ewangelików, reszta żydów, a więc 58 procent dzieci katolickich, 35 procent ewangelickich, 7 procent żydowskich.

*Kuryer poznański* czując potrzebę wytoczenia krzywd naszych w specjalnym memoriale, podał w swych łamach projekt, aby publiczność dostarczyć zechciała w tym celu dat stosownych. Pomysł to dobry, ale jakżeż rzecz się ma z jego wykonaniem? Nie wiemy dobrze, ale zdaje nam się, że trudno ono na razie przyjdzie i że praktyczniej podobno byłoby interpelować w sejmie ministra nowego po Falcku, oparłszy się na materyałach, jakich niezawodnie nie omieszka dostarczać kolejno naszym posłom, doprowadzona do ostateczności opinia publiczna, mianowicie gdy zważymy, że ministerium oświecenia już od dość dawna nosi się z zamiarem projektu do organicznego prawa o wychowaniu publicznym w państwie pruskiem.

W ostatnich czasach poleciła odnośna władza inspektorom szkolnym, aby każdy z nich wybrał w swym okręgu kilkanaście szkół, w których nauczyciele *na próbę* rozpocząć mają *już w najniższym oddziale* szkoły elementarnej wykład li po niemiecku, a więc w oddziale, do którego dzieci siedmio i ośmioletnie uczęszczają! Przypatrzmy się teraz na przykładzie, jak ten i ów gorliwy kulturtreger-inspektor, stosuje się do powyższego polecenia. Otóż zamiast w kilkunastu szkołach *na próbę*, we wszystkich sobie podległych szkołach *na dobre* praktykuje wielu inspektorów daną wskazówkę, a wszystkie petycje, przedstawienia, wystąpienia i mowy posłów, nie zdołały dotąd zapobiedz temu.

W parze z temi zamachami idzie demoralizacya klasy nauczycieli, którym za pilne uczenie dzieci niemieckiego języka, udziela rząd nadzwyczajnych dodatków pieniężnych, a którzy, naturalnie, zaniedbują często inne, konieczne potrzebne przedmioty, a rzucają się z całą usilnością na dresurę niemiecką.

Przed erą Falck'a dość jeszcze korzystnym był stosunek liczebny uczących się dzieci do nauczycieli w szkołach miejskich poznańskich. Dziś i to się zmieniło, bo podczas gdy na jednego nauczyciela ewangelickiego wyznania przypada 34 dzieci, na jednego katolickiego przypada 67, na Polaka zaś nauczyciela aż 87 dzieci. Na 3,370 dzieci katolickich, jest 50 nauczycieli katolików, a na 2,100 ewangelickich dzieci, jest ich 69-iu.

Usunięcie na bok nauki religii, tego żywiołu najrdzenniejszego wychowania, jakież miało pociągnąć za sobą inne skutki, jeśli nie rozluźnienie i indyferentyzm? Inspektorowie nowi szkolni, którzy czuwają nad szkołami, żądni będąc *karyery*, schlebują prądowi, przewodniczącemu aż do ostatnich czasów i bądź przycisk kładą na poglądy Haecclów i Büchnerów w dziedzinie wiary, bądź język nasz traktują,

ićcie jak mowę czerwonych Indyan. Czy obecnie, gdy nowy pojawił się minister oświecenia, zmiana ku lepszemu nastanie u nas, któż wie? Przepuszczać to można, ale twierdzić byłoby niewczesnym.

Są krytycy którzy zarzucają, że w ogóle nie traktowaliśmy z należytą gorliwością sprawy wychowania publicznego tam gdzie należało; żeśmy od roku 1874 nie upomnieli się o nią na sejmach prowincjonalnych poznańskich, jakkolwiek mieliśmy uprzednio w tym względzie po sobie i reprezentantów niemieckich, którzy wraz z nami głosowali byli za uwzględnieniem języka polskiego, na podstawie rozkazu gabinetowego z maja r. 1842; żeśmy w ostatnich mianowicie latach niedość skrętnie i stanowczo chodzili za sprawą szkolną na sejmach pruskich. Odgłos tej krytyki odezwał się i w waszych pismach w sierpniu, a mianowicie w *Gazecie Warszawskiej* nr. 194. Tymczasem ciągle walki, jakie staczało koło nasze sejmowe w obronie języka w ostatnich trzech latach, dadzą się bez trudności wymienić, przytoczyć nawet możemy posłów, którzy je podejmowali. Wykazywał np. poseł Kantak rezultaty znakomite, osiągnięte przy wyższych zakładach naukowych przez profesorów rodaków—dopóki wykładali w języku polskim, a smutne skutki odkąd język polski wykluczony został z gimnazyów. Tenże poseł występował w obronie języka i poza obrębem szkół wyższych. To samo czynił poseł ksiądz Jażdżewski. To samo poseł ksiądz Stablewski, który w znakomitych mowach wykazywał nadużycia językowe królewskiego komisarza ustanowionego dla zarządu arcybiskupiego nad majątkiem dyecezyalnym i uzyskał, iż dozorem kościelnym przyznać musiano prawo przysyłania rachunków, etatów i protokołów czynności w języku polskim. Tenże sam poseł bronił języka w szkołach ludowych i inspekcji szkolnej. Inni posłowie bronili języka w innych sferach działalności, jak np. poseł Kyskowski, który wywalczył prawność jego w towarzystwach agronomicznych i na wiecach, jak poseł Magdziński, który dowiódł jak nieobliczone szkody ponosi lud z przyczyny niebiegłych w języku polskim tłumaczy sądowych i mianowania sędziami polubownymi takich osób, które nie znają należycie języka polskiego. Mógłbym jeszcze więcej przytoczyć momentów obrony języka przez naszych posłów w Berlinie, ale myślę, że podane wystarczą na odparcie zbyt ostrych zarzutów.

Teatr nasz ciągłych przysparza kłopotów. Mimo nielada pomocy pojedynczych kilku osób, mimo przeznaczenia na cele teatru zebranej z wystawy obrazu *Pochodnie Nerona* kwoty, pozostało jeszcze na budżetu 6000 marek długu. Z akcyonaryuszy, którzy się jeszcze nie uiścili, jedni upadli niepomiernie majątkowo, drudzy nie nadsyłają rat jakby się należało. Oprócz spłacenia tego długu, potrzeba jeszcze opędzać bieżące wydatki, a na to nie posiada spółka teatralna żadnego zapasu. Dodajmy do tego, że brak jest zupełny jakiegobądź sumy subwencyjnej dla sceny, a okaże się, że źleby było z naszym teatrem, gdyby taki stan rzeczy pozostał. Tymczasem zabłysła nadzieja zmiany

na lepsze, co w znacznej części zawdzięczamy inicjatywie zacnego jubilata Kraszewskiego. Odezwał on się w drugiej połowie minionego miesiąca w *Dzienniku*, wskazując konieczność nieodbitą stałego dla sceny funduszu. Głos jego poparła i ta okoliczność, że przemówił z doświadczenia nabytego w Żytomierzu, gdzie także sam budynek, bez subsydyów dla sceny, byłby nie osiągnął celu, co zresztą jasną jest rzeczą. Kraszewski razem z odezwą swą nadesłał 400 marek datku na nasz teatr i ofiarował się nadto zjechać do Poznania w tym jeszcze roku i wystąpić z kilku odczytami na cele teatru. Zaraz po odezwaniu się p. Kraszewskiego, zabrał głos w *Dzienniku*, czy istotnie, czy nie, to mniejsza, pewien anonim z Gniezna, proponujący składkę dla sceny pod nazwą: *fundusz Kraszewskiego*. I otóż nadchodzą obfite składki, które do dziś wynoszą już sporą sumę, 1500 marek. Swoją drogą odezwała się do *wszystkich* rodaków i rada nadzorcza teatru; złożona z pp. Taczanowskiego, Żyskowskiego, hr. Mielżyńskiego, Oberfelta, Potockiego, Żychlińskiego, Cegielskiego, Dobrowolskiego i Kuzstelana, dając obraz właściwego stanu teatru i wzywając do składek na instytucją, której był tak potrzebny na kresach naszych, ustalić da się tylko z udziałem całego naszego społeczeństwa. Zdziesiątkowane Poznańskie jest już na to za słabe, zważywszy mianowicie, że tyle jest innych potrzeb, których w żaden sposób spuszczać z oka niepodobna. Można mieć niepłonną nadzieję, że rodacy z okazji jubileuszu Kraszewskiego zebrani w Krakowie, wezmą do serca tę sprawę, którą szanowny jubilat zapewne wnieść wśród obchodu nie omieszkał.

Gmach teatru niemieckiego ukończony i lada chwila otwarty zostanie dla sceny. Chciano na otwarcie wystąpić z uroczystością urzędową na koszt miasta. Prócz głosów polskich w łonie reprezentantów, odezwały się przecież i niemieckie przeciw dotyczącemu wnioskowi i wniosek szczęśliwie przepadł. Gdyby podobne wnioski miały powodzenie, wycieńczyliby *nasi najserdeczniejsi* kasę miejską, na którą przecież nie sami Niemcy się składają. Dość już tego, że teatr niemiecki wybudowano sobie nie zważając na to, że nam nic do niego, a zato tem więcej do kasy miejskiej, na którą się porówno z Niemcami składamy.

O większych wydawnictwach książkowych nie słysząc, z mniejszych przytaczamy: *Zywoł Jezusa Chrystusa*, dla ludu napisany przez ks. Tłoczyńskiego, oraz rzecz archeologiczną pana Jażdżewskiego p. t.: *Wykopalisko jarocińskie a mianowicie monety Bolesławów czeskich*. Skarb pod miasteczkiem Jarocinem wykopany w sierpniu 1878 roku, składał się z monet, ze złomków ich, oraz ze złomków ozdób arabskich złożonych i srebrnych i kawałka blachy srebrnej wążącej blisko 500 gramów. Blachę i złomki monet stopiono, pozostały tylko monety. Z tych było czeskich i do nich podobnych 107, pół brakteatów, mianych za pieniążki Mieczysława I 3, arabskich 11, niemieckich, włoskich, anglosaskich aż 658, bizantyńskich 2. Najnowsze na-

leżą do lat 1004—1012 (Jaromira czeskiego), najstarsze do lat 995—1102 (Henryka IV). Pomędzy znaczną ilością tak zwanych *Wendensfennige*, niema przecież żadnych wśród nich Ryksówek, coby mogło służyć za wskazówkę, że ich przed rokiem 1036 nie bito, ale dopiero w ostatnich czasach panowania Chrobrego. Autor mówi, że wykopaliszko to jarocińskie mieści w sobie znaczną część znanych dotąd typów czeskich, i stara się, oparty na najnowszych badaczach, mianowicie niemieckich, dać w swęj broszurze przyczynek do wyjaśnienia wątpliwości i sprostowania niejednej pomyłki przy oznaczaniu monet trzech Bolesławów czeskich popełnionej. Następnie umieszcza pan Jażdzewski, wstrzymując się od apodyktycznego sądu, czy które z tych monet są polskie, opis dokładny takowych wraz z wizerunkami, na osobnych umieszczonych tablicach.

Trudno mi przy zakończeniu niniejszėj kroniki nie wspomnieć o licznych śmierciach, jakie od końca czerwca uszczupliły i tak już nieliczny zastęp starszych obywateli. Umarł jeden z niewielu już żołnierzy z przed czterdziestu ośmiu laty, Napoleon Rekowski; umarł syn generała Chłapowskiego Tadeusz, długoletni poseł na sejmy pruskie, współfirmowy Tellusa, osobistość sympatyczna i dążąca zawsze do zgody wśród swarów naszych; zmarł E. Taczanowski, z którym można się było nie zgadzać, ale który miał tę charakterystyczność, że ani joty nieodstąpił od sztandaru, jaki sobie był obrał, odkąd wszedł samodzielnie w życie obywatelskie.

Oprócz obchodów pogrzebowych tych trzech obywateli, mieliśmy jedną jeszcze dziwnie rzewną uroczystość żałobną, w dniu 28 sierpnia w samym Poznaniu. Chcemy tu mówić o szczątkach zakonnicej Teresanki, które z podziemi byłego kościoła tegoż zakonu wywożono z grobów, w których spoczywały w przebiegu kilkuset lat, na cmentarz miejski ś. Maryi Magdaleny. Klasztor zamieniony po kasacych na mieszkania prywatne, ma być rozebrany, a na tém miejscu stanie nowy lazaret miejski. Szczątki zakonnicej w liczbie siedmdziesiąt, przewieziono w pomienionym dniu w czterech trumnach białą i wieńcami przystrojonych, a umieszczonych na czterech karawanach, na ziemię cmentarną. Wszyscy księża poznańscy towarzyszyli żałobnemu temu obchodowi, a wielki napływ publiczności nadał mu iście narodową cechę. Odprowadzała ludność polska ciche służebnice wiary, do którėj rozrostu za życia w ojczyźnie się przyczyniały.

NASI POECI  
W LITERATURZE POWSZECHNEJ.

PRZEZ

*Feliksa Jezierskiego.*

I.

*Polish Literature*, autora bezimiennego. Tegoż: przekład wierszem *Willi* z Wallenroda.—Wzmianki o Litwie u poetów angielskich wieku XIV.—*Mary Stuart*. Drama in fünf Aufzügen v. Julius Słowacki. Uebersetzt v. Ludomil German (Leipzig, 1879).

W miarę, jak sprawcy wielkiego przesilenia w poezji naszej, jeden po drugim usuwają się nazawsze z pola działalności osobistej, jest to zjawiskiem wysokiej otuchy dla następców, że zgon człowieka nie jest zgonem geniuszu, że organiczna ciągłość myśli nie zrywa się tu ani na chwilę. Wyjąwszy chyba wiekopomną część wśród swoich, niema podobno wyższego zadatku nad ową przedmiotową nieśmiertelność mistrzów, którzy w oczach lub za pamięci naszej zgaśli, jak wprowadzenie ich utworów na widownię piśmiennictwa powszechnego, czyto przez poglądy sprawozdawców, czyto przez wierne a szczęśliwe ich przekłady. Prawda, że z pośród wielu studyów i ocen pisarzy zagranicznych, niewielki poczet utrzymał się na szczycie zadania, niewielki poczet zdołał ustać bez pochwiania się, przeciw podszeptom tendencji albo przesądom etnograficznym; że w niewielu przekładach zachowano wszystkie tętna pierwowtoru, ale w każdym razie stosunki umysłowości zagranicznej do płodów naszego pióra, w nowy wchodzi porządek. Z dwojakich pobudek witamy to przejście: z pobudek godziwej samolubności i z gorącego życzenia, aby piśmiennictwa obce i w tym nowym kierunku widnokrąg swój rozszerzały, odświeżały. Zamierzamy przeto przyjrzyć się bliżej ważniejszym tego rodzaju nowościom, gdzie i praca i natchnienie idą poważnie, gdzie niejedyn piedestał, przeznaczony dla naszych pieśniarzy, godzi i nas samych z sumieniem krytycznym, jako dowód wobec szerszego świata, żeśmy nie łudzili się w naszych ku nim hołdach.

Naturalnie, że wcale mówić tu nie myślimy o rzemieślniczych robotach owych *Powag bez teki*, co to uważają sobie za punkt honoru narodowego i nasze i innych plemion piśmiennictwa zaliczać do rzędu niewyzwolonych i ku wielkiej naszej rozkoszy nie zapuszczają oka głębiej w nieprzystępną dla siebie ich potęgę. Ale trudno przemilczeć głosy i to głosy dojrzałe prasy angielskiej, tak żywo wglądając w od-

żywiająca sferę działalności obcych dotąd dla siebie a wielkich społeczeństw. Trudno przemilczeć o prawdziwych *studies* krytyków niemieckich, np. Ludwika Kurtzmana, wyświecającego stosunki Goethego do poetów polskich (z powodu półwiekowej rocznicy odwiedzin wejmarskich 28 sierpnia), oraz Aleksandra Pechnika (*Herman i Dorothea i Ostatni zajazd na Litwie*)<sup>1)</sup> i t. p.

Przegląd nasz rozpoczynamy od rozprawy bezimiennego pisarza angielskiego, którą zamieścił w kwietniowym zeszycie: *Westminster Review* pod napisem: *Literatura polska (Polish Literature)*. Jakkolwiek faktyczny punkt wyjścia w podobnego rodzaju sprawozdaniach jest rzeczą dowolną, dajemy jednak przed czytelnikiem krótkie usprawiedliwienie w tym względzie. Studium niniejsze nawskroś tchnie taką życzliwością dla naszego słowa, tak niekłamaném uznaniem dziejowego stanowiska naszej myśli w piśmiennictwie powszechném, że pod anonimem, w pierwszej chwili, gotowiśmy byli domyślać się człowieka *naszej* społeczności. A jednak to studium nie wyszło z pod pióra ziomka; przypadkowe znamiona, pewne drganie ręki przy podnoszeniu kwestyi języka, każą się pod przyłbicą domyślać cudzoziemca, a przy odwoływaniu się do źródeł i świadectw piśmiennych—anglika. Na wstępie autor osnuwa w okół obrazu draperyę historyczną, którą tym razem pominąć musimy, pomimo znaczących jej zalet.

Język polski, mówi autor, dla anglika zawsze był kamieniem obrazy; nagromadzenie spółgłosek i *mniemana* jego szorstkość, stała się u nas przysłowiem i źródłem fałszywie skierowanej jowialności. Nie podejmuje się przecież, co też poczytujemy mu za wielki takt logiczny, rehabilitować naszej mowy. Mowę téj dojrzałości i potęgi, jak naszą, znieważyłyby wszelkie tego rodzaju usiłowania. Rozumie to nasz autor i bynajmniej się nie kusi o zakrywanie tych męzkich linii, téj fonetycznej wielmożności, w której jeden z uczonych francuzkich upatrywał powody częstego zapalenia gardła u ludzi naszej strefy. „Może w sądzie krajowca, mówi on, przyjdzie upatrywać stronność w téj sprawie, lecz jeżeli pragniemy usłyszyć głos połącznego rzecznika w obronie mowy polskiej wobec cudzoziemców, to przypomnijmy sobie wyrazy męża wymownego, a przytém niepodręcznego poety: Kazimierza Brodzińskiego.” I tu mamy w całej rozciągłości podany wiersz śpiewaka *Haliny*, znany, spodziewamy się, każdemu z czytelników. „Kiedy w Rzymie przybito tablicę na domu, w którym mieszkał Mickiewicz, dopiećż to nasze gazety uraczyły publiczność komentarzami! Rzeczywiście, fakt, że istniał mąż taki, którego Gete uznał za najwyższego z poetów nowożytnych, fakt podobny był prawdziwém *odkryciem*. A przecież ilużto naliczymy anglików, którzyby kiedyś zasłyszeli o Niemcewicu, Zaleskim, Słowackim?” (str. 360).

Nadmieniamy nawiasowo, że sprawozdaniemi z piśmiennictwa polskiego jak i z dziejów, prasa angielska zajmowała się niegdyś gorli-

<sup>1)</sup> Hermann und Dorothea und Herr Thaddeus oder der letzte Sajazd.

wie. Już przed pół wiekiem przeszło, sir John Bowring podawał przekłady z pisarzy polskich, jak z drugiej strony dzisiejszy laureat, Alfred Tennyson, poświęcił imieniu Bolesława najpiękniejszy ze swoich sonetów. Nader ciekawym, pod względem dziejowym (do wieku XVIII), jest pismo Lind'a p. t.: *Letters concerning the present State of Poland* (Londyn, 1774 r.). Autor nasz ma za złe Carlyl'owi zdanie jego, wyrażone o Polsce w życiu Fryderyka W. „tego apostoła subordynacy i bohatera, co się nosił z żelazną rękawicą i lichemi wierszami francuzkiemi.”

Sir John Bowring, dopiero co wspomniany, pomiędzy innymi, dał przekłady z *Wojny Chocimskiej* Krasickiego w swoich *Wzorach literatury polskiej* (*Specimens of Polish Poets*, 1819 r.). Jeżeli zaś zważymy tę okoliczność, że Robert Southey, poeta pierwszej wielkości w konstelacyi romantyzmu angielskiego, mógł już czytać przekłady J. Bowringa, w takim razie wyjaśni nam się owe dziwne pokrewieństwo pomiędzy *Myszeidą* Krasickiego, a piękną balladą Southey'a p. t.: *Bishop Halto* (Southey urodził się w czterdzieści lat później od Krasickiego).

Autor nasz po ogólnych zarysach dziejowych i etnograficznych, z wielkim przeprowadzonych uznaniem, przedstawia podział historii pieśni polskiej (na pięć okresów): *a*) od wprowadzenia Chrześcijaństwa do Kazimierza W.; *b*) do Zygmunta I; *c*) do zaprowadzenia szkół jezuickich; *d*) do roku 1795; *e*) od upadku do chwili obecnej. Trudno nie podziwiać mrówczej usilności, z jaką obrobioną tu została, nietylko nowoczesna epoka oraz wiek Zygmuntownski, ale nawet okres literatury ludowej i kronikarskiej, tak polskiej jak i łacińskiej. Wyjawszy pewne, nieliczne usterki lingwistyczne pisarza (jeśli to nie błędy drukarskie), widać tu odczytanie na wielką skalę, a cóż nad to wymowniej dowodzić może współuczucia ku przedmiotowi? Rzecz szczególna, że po tantej stronie kanału tak świetnie, chcieliśmy powiedzieć, z tak obiektywną dokładnością odelśniewają się wielkie postacie pieśni naszej i wiedzy, iż *najbliższym* sąsiadom ziomeków autora, rumieniłoby się wypadało w obliczu prawdy krytycznej.

Autor zebrał tu i związał harmonijnie prawie wszystkie wydatniejsze fakta, nawet z epoki pierwszych Piastów: od pieśni *Bogarodzicy* (przyczém nie zapomniał i wypisu z księgi rachunkowej Zygmunta I, zachowanej w archiwum Warszawskiem, tak brzmiącego: *Rustico, qui cantabat Boga Rodzica* <sup>1)</sup> *coram domino principe ad mandatum S. M. dedi 3 grossos*), od pieśni ludowych, kryjących się w kronikach Marcina Gallusa i i., aż do prawa magdeburskiego i to na podstawie najświeższych opracowań. Podajemy tu wydatniejsze rysy.

Pod okresem Piastowskim autor odżałować nie może, że pod twardą skorupą łaciny i to niesłychanie kwaśnej łaciny (*unusually*

<sup>1)</sup> Pieśń *Bogarodzica* przetłóżył na język angielski tenże sir John Bowring.



*crabbed*), śliczna mowa Polaków rozkluwać się nie była w stanie. „Wszelako, pod ową skorupą, w kronice Marcina Gallusa, kryje się utwór wysokiej ceny, szczególnie z tego względu, że zawiera najdawniejsze kształty legendowego majestatu, jakim dzieje Polski tchną tak doniosłe.”

W nazwisku Kadłubka autor domyśla się zepsutego może niemieckiego: Gotlieb (?). „Wielka to strata, powtarza autor, wielka, że takie posągi rzeźbiono z martwego materiału. I możemy śmiało twierdzić, że gdyby pierwotny Gibbona zamysł: napisania swojego dzieła w języku francuzkim, doszedł był do skutku, straciłby na tém zarówno sam dziejopisarz, jak i piśmiennictwo angielskie.” W następnym okresie z wysokim uznaniem odzywa się o kronice Bielskiego; wszak, mówi, dzieło to powstało w czasach, kiedy Anglia dziejopisarzem narodowym jeszcze poszczycić się nie mogła, chyba, że podoba się nam widzieć dziejopisarza w osobie Holinsheda, Halla, albo Graftona. Akademię Jagiellońską nazywa stojącą do dziś dnia arką ku uchronieniu dzwiku rodzimego od skażenia, obok nekropolu królów, Zygmunta, Jana Kazimierza i śpiącego wickuiście pod białym marmurem, bohatera: *Młota Ottomanów* (*Malleus Ottomanorum*).

Poważną kartę przynajmniej autor dla Jana Kochanowskiego. Szymonowicz szczególnie zajmuje go, z powodu sielanek; żałuje, że zeszedł już z widowni pieśniarskiej, pocieszając się tém, że Tennyson wskrzesił je w *Fermierze północnym*. Skardze, obok wysoce krasomówskich zalet, przyznaje olbrzymią odwagę cywilną, kiedy wobec sejnu ośmielał się rzucić gromy i straszliwe proroctwa. Uśmiawszy się serdecznie „z okrucieńskiego tchórza (Henryka), ściganego temi apostołami: *Serenissima Majestas, cur fugis*,” autor przechodzi do Klonowicza, Kromera i t. d.

W następnym okresie rozwodzi się nad ujemnym wpływem Jezuitów, upadkiem smaku i twórczości narodowej. Rysów do ułożenia tej epoki, pod względem politycznym, zapożycza z *Historji polskiej* Bernarda Connor, ogłoszonej w r. 1698. Z zasłużoną pogardą mówi o czasach popuszczania pasa, z przekąsem o Trembeckim, z podziwem o Węgierskim, w którym widzi rodzaj polskiego Churchilla. Co do ostatnich chwil dziejów państwa, autor odsyła czytelnika do dzieła: *Podróże Coxę'a* (*Coxe's Travels*).

Najsympatyczniejszą dla niego postacią z owej epoki, jest utwórca *Śpiewów historycznych*, którego nazywa prototypem Körnera i Pętkońskiego.

Wszystkie jednak dotychczasowe rysy były u autora jakoby prologiem do wielkiej sceny, którą następnie otwiera z całą uroczystością przed czytelnikami, poczynając od Mickiewicza.

W zapytaniu o (mniemanym, podług niego) wpływie Bajrona, ku wielkiemu zadowoleniu z naszej strony, ani wzmianki tu niema. Mówi wprawdzie, że w chwili wystąpienia Mickiewicza, wpływ romantyzmu

w Europie, osiągnął szczytu swojego, uosabiając się w Niemczech w Bürgerze, a następnie Getem i Szyllerze, we Francyi zyskując dojrzałość w Wiktorze Hugo. Ale pierwsze hasło tego kierunku w Anglii, autor upatruje w pracach Bishopa Percy, wydanej w r. 1765 p. n.: *Szczałki dawnéj poezyi angielskiej* i dlatego to już wówczas Shakespeare przestał być „pijanym dzikusiem” Woltera; że romantyzm w Polsce, pomimo silnego oporu ze strony klasyków, tak chciwie i tak stanowczo chwycił grunt, pochodziło to, podług autora, ztąd, że atmosfera nawskroś przesiąkniętą była legendami, jak nigdzie. I potrzeba było tylko człowieka z geniuszem, któryby pierwiastkami téj atmosfery owładnął. Autor przytém—i tę niedokładność zresztą łatwo przebaczymy—Mickiewiczowi przypisuje wprowadzenie poraz pierwszy sonetu do poezyi naszéj. Z *Sonetów Krymskich* szczególniej zachwyca go: *Burza, Bakozy Saraj i Grób Potockiej*. W *Konradzie Walenrodzie* autor ze szczególnym naciskiem wpatruje się w dwulicowy typ bohatera poematu. Opowiedziawszy treść utworu i tragiczne rozwiązanie, przytacza owe znane zdanie historyka o Walenrodzie, jako mistrzu: „że umarł w szaleństwie, bez ostatecznego namaszczenia i błogosławieństwa kapłańskiego.” Zwyczaj ówczesny puszczania się na wędrowkę żołnierską i walczenia w szeregach zakonu, autor objaśnia między innymi i takim szczegółem, że i Henryk IV, król angielski, nim wstąpił na tron, walczył poprzednio w szeregach rycerzy teutońskich. W Anglii te walki były powszechnym przedmiotem rozmów i one to nam tłómaczą znaczenie następujących wierszy Chaucer'a w jego *Powiesciach kanteburyjskich*:

„Rycerz to był, a zanieo, a ozerstwo  
 Kroczył po bożym on świecie;  
 Kochał, miłował wiarę, rycerstwo,  
 Czołem bił czi i kobiécio.  
 Brał bohaterskie krwią namaszczenie,  
 Za morzami, w Tramizonie  
 Krwawomi poty znoił się w bitwie:  
 Na Rusi, Prusach i Litwie <sup>1)</sup>).

Autor nasz widocznie przywiązał się najserdeczniej do poematu o Walenrodzie. W ciągu swojej rozprawy daje nam przekład całej pieśni *O Wilii i Pięknéj litwince*. Do jakiego stopnia wczuł się we wdzięki téj perełki, sam czytelnik osądzi, skoro ją przytoczymy w dosłowném tłómaczeniu, z przekładu jego, ślicznym, antymakrowym rymem dokonanego.

„Wilia nasza, matka dzikich potoków leśnych, toczy piaski złoto pod przeczroczem wód lazuruowych; lecz czystsza jest w sercu córka pięknéj Litwy naszéj, świetniejszą obliczem, gdy pije jéj wody.

<sup>1)</sup> Urywek z powieści p. t.: *Rycerz (the Knight)*. Chaucer żył w wieku XIV (ur. 1328 † 1400).

Wśród wdzięcznych dolin kowieńskich płynie Wilia nasza, a wokół rosną narcyzy i tulipany. Ale weselsi niż kłamny blask róż i tulipanów, są młodzianie u stóp litwinki (*the litwinka*).

Temi doliny, z ich kwiecianóm okryciem, gardzi Wilia dla Niemna, swego oblubieńca—tęskni litwinka wśród litwinek za obcym, którego pokochała jej serce.

Niemeu dzikiemi ramiony, jak olbrzym, młodą kochankę kołysze na chłodzie burzliwej piersi, a uniosłszy z tryumfem, społem z nią zapada w szalone fal przepaści.

I ciebie, luba litwinko, srogie dole rozłączą z ojczystemi dolinami; pochłonięta w mrocznej otchłani zapomnienia, zaginiesz ty—ale sama jedna, ale uwiądłszy z boleści.

Strumień szalony, serce szalone, nadaremnie opłakiwać, Wilia bieża a serce dziewicy ujął dziki czar miłości; znikła Wilia w Niemnie ukochanym, a dziewica płacze w zapomnianém pustkowiu."

Dla bliższego unaocznienia wierności, wdzięku i energii, przytaczamy pierwszą zwrotkę pieśni *Wilia*:

Our Wilia, the mother of wild forest torrents,  
Rolls sands of pure gold' neath her clear azure currents;  
But purer in heart is our Litva's fair daughter,  
And brighter in cheek as sho drinks of the water.

Stawiając *Pana Tadeusza* na pierwszém miejscu, uważa go przytém za arcydzieło poezyi typowej; *Pan Tadeusz*, to Litwa. „Poeta marzył sobie, iż odrodziciela Europy znalazł w Napoleonie III i mówią że ostatnim jego utworem była oda na cześć jego.”

Rozstając się z umiłowanym przez siebie wieszczem, autor daje treściwe rysy żywota Mickiewicza i kończy ponowieniem wzmianki o pamiątkowej tablicy w Rzymie i wyrazach hołdu, jakie z tego powodu wyszły z ust hr. Mamiani.

Autor, jak widać z dość częstych zestawień, obeznanym jest z piśmiennictwami i innych członków rodziny słowiańskiej. „*Maryja* Malczeskiego, poemat gorąco ulubiony i podziwiany przez ziomek jest powieścią w stylu Bajrona, podobnież jak i Puszkina: *Bakczy Saraj* i *Jeniec kaukazki*. Już sam początek *Maryi* jest tak energiczny, że nie mogąc w granicach mojego studyum rozszerzać się, nie śmiem tóż wrywać cegiełek z majestatycznej budowy. Przytém czytelnik zechce mieć na pamięci harmonią mowy polskiej, jak wogóle języki słowiańskie odznaczają zdumiewającą spójnością dźwięku z myślą.”

Przy zdaniu o Słowackim (str. 379) jest pewna, ale skromna wzmianka o *niejakiémś naśladowaniu* (*a certain imitation*). Ponieważ jednak do kwestyi Bajronizmu w Słowackim, wrócić nam jeszcze przyjdzie ponownie, przeto ograniczamy się na przytoczeniu ogólnego poglądu autora na stosunki romantyzmu angielskiego do poezyi europejskiej. Oceniając postawę Słowackiego wobec Bajrona, autor dodaje: „ależ pamiętajmy o tём, że anglik odegrywa wielką rolę w wytworze-

niu się szkoły romantycznej wśród całej Europy i jakkolwiek nowsi poeci zatarli jego pamięć w Anglii, to przecież wpływ jego na lądzie jest jeszcze wszechmocnym: ogień i rdzenność, malujące się w najcenniejszych jego utworach, jego zupełna niezależność od naszego sektaryzmu i innych słabostek wyspiarskich, uczyniły go najgłośniejszym z poetów obecnego wieku zagranicami ojczyzny i zapewne nie zblaknie ta świetność, pomimo wszelkich, chwalebnych zresztą usiłowań wielu zapaleńców do rozpostarcia wpływu Wordswortha za kanałem. Dziś Bajron stanowczo jest niemodnym w Anglii, wśród powszechnego zwrotu ku typom średniowiecznym, ale podrzędnym poetą nie mógłby być też człowiek, który takim ku sobie podziwem zapalił Getego, a geniuszem swoim natchnął takich wieszczów jak: Musset, Mickiewicz.”

Podręcznymi satellitami Mickiewicza mało się zajmuje autor. Z żyjących poetów wysoko podnosi Lenartowicza. Jego utwory mają być najwymowniejszym świadectwem onomatopiecznej działalności języka polskiego. „Nadzwyczajnej potęgi ruchu,” jaką dostrzega w jego wierszu, zapewne nie umiał sobie autor wytkomaczyć istotną sprężyną, t. j. ludowością Lenartowicza, tajemnicą niepojętego zbratania się z przyrodą. Również mniej szczęśliwem zdaje się nam zestawienie *Zamku Kaniowskiego z Maryją*.

Co do innych poetów najbliższej generacji, autorowi wymyka się z oczu ciągłość organiczna; wierząc w twórczą niezawisłość gieniuszu, nie troszczy się o wyjaśnienie, a raczej wyprowadzenie faktów najświeższych z przeszłości. Z utworów Syrokomli, którego *nom de plume* ma być Kondratowicz (sic) najwyżej stawia *Córę Piastów*. Z powodu instynktów ludowych, jakich tętna czuć się dają w utworach Syrokomli, poeta ten przypominać ma Nekrasowa i Nikitina. Szczerze żałujemy, że autor zbyt mało zajmował się Krasińskim. Tylko bowiem napomyka o *Nieboskiej komedji* i jeszcze jednym mniejszym utworze.

Wbrew obranemu tytułowi, winniśmy jeszcze dodatkowo nadmienić o dziele prozy w niniejszem studjum. Snać pod wysokiem wrażeniem poezji naszój, autorowi zabrakło równoważnego uznania dla innych gałęzi piśmiennictwa naszego. Wszakże i tu uderzają go posągowe postacie.

„Byłoby nie do przebaczenia (str. 380—381), gdybyśmy pominęli imię Lelewela, tak szczytne zajmującego stanowisko w historyografii;” wymownym świadectwem powagi autorskiej Lelewela, jest serdeczna przyjaźń, jaką zaszczycał go Altmeyer, profesor historii nowożytnej w uniwersytecie Brukselskim. „Z ust tego męża słyszeliśmy wiele zajmujących szczegółów, o ostatnich dniach życia wielkiego dziejopisarza. U Altmeyera przytém miało zachować się niemało i innych zabytków po Lelewelu. Co się stało z nimi następnie, nie wiemy.”

W Kraszewskiego wszechstronnej działalności podnosi także i dziejopisarską i za główną na tém polu zasługę, poczytuje mu obfite

zebranie mitów, podań i zwyczajów Litwy. Wspomina też i o znaczeniu Kraszewskiego jako poety. Ponieważ zaś zapowiada jeszcze dalszy ciąg studyum swojego, domyślać się przeto należy, że Jubilat i inni mężowie dzisiejszej konstelacyi, znajdują tam godne dla siebie miejsce. Litwa w szczególny sposób zajmuje autora. Nadmieniwszy, że mowa litewska w ciągu wieków nie wytworzyła w sobie téj dojrzałości, aby się stać mogła organem piśmiennictwa, wysoko jednak stawia znaczenie jój w zakresie filologii porównawczej, „a przytém, odzywa się w zapale, pamiętać należy jakichto mężów wydała Litwa w wieku ostatnim.”

W dziedzinie mowoznawstwa podnosi prace A. Małeckiego i Fr. Malinowskiego, „którzy nadali badaniom językowy krój, nawskróś naukowy.” Herkulesowy trud Lindego, naturalnie tu pominiętym być nie mógł.

Ze czterech ognisk umysłowości (Kraków, Poznań, Lwów, Warszawa), jedno tylko, a mianowicie Poznań, daje autorowi powód do zadumania się. Widocznie zabrakło mu czasu, a może i specjalnych materyałów, działalności tego ogniska dotyczących. Również nie dość jasno autor nasz sformułował sobie pojęcie o historycznym do siebie stosunku rozlicznych warstw naszego społeczeństwa.

Rodzinę mowy naszej autor oblicza na 9 i pół milionów. Czynniki jednak pojedyncze téj sumy nie zdają się nam dość ściślemi. Zresztą, jak sam wyznaje, brał je z *Revue Slave* (Warszawa, tom I). W przeciętném wrażeniu, jakie sprawia na nas studyum: *Polish Literature*, uważamy je za bardzo ważny nabytek dla piśmiennictwa angielskiego.

Autor głównie tym razem zamierzył opracować okresy pierwotne naszej umysłowości, a to dla unaocznienia ziomkom swoim, że nie jest to jakaś literatura wczorajsza, że jeśli nie rówiennica Chaucera, to pośpieszająca za Skeltonem a rówiennica Spensera. Nie wątpimy, że do tego rodzaju prac przykładają rękę i nasi ludzie pióra, spędzający chwile gościny na czémś żywotniejszém, jak wyścigi t. j. na rozpraszaniu przesądów o mniemanym zastoju i apatyi naszego społeczeństwa.

Oprócz sumiennych studyów, szczególniej nad okresem łacińskim piśmiennictwa w Polsce, autor wziął sobie za podstawę: *Monumenta Poloniae historica* (wydanie Bielowskiego), *Bibliotekę pisarzy polskich*, wychodzącą w Lipsku: „Wspomnienie o Adamie Mickiewiczu,” p. A. Niewiarowicza.

## JUBILEUSZ

### pięćdziesięcioletniej pracy literackiej J. I. Kraszewskiego.

Poczet uroczystości, jakich świadkiem i uczestnikiem był Kraków, w pierwszych dniach ubiegłego miesiąca października, nieodwołalnie i najprawowociej zajął już niewzruszoną kartę w rocznikach naszej umysłowości, i zaprawdę, nie nadużyjemy wyrazu, nazywając ten obchód: wielkim świętem w dziejach literatury. Wszystkie też nasze gazety szlachetnie współzawodniczyły z sobą, co do pośpiechu w udzielaniu wiadomości i co do ciepła barw w przedstawianiu wrażeń każdodziennych z uroczystości.

Wiadomo, że od pewnego czasu nasz Jubilat stał się być przedmiotem szczególniejszej czujności literackiej i w prasie zagranicznej. Obcy, zwykle niezbyt skorzy do uznania wielkości poza ich widnokretem świecącej, tym razem uchylili czoła ze czcią, zapytując się z niedowierzaniem: „czyliż istotnie możliwem jest, aby wogóle wybrańca w ojczyźnie uznano prorokiem.” Mamyż przypomnieć, że i tu, obok pobudek rodowo-literackich, niewątpliwie inny jeszcze, jakiś domyślny urok kierował piórem sprawozdawców. Byłto bowiem przedewszystkiem hołd składany olbrzymowi pracy duchowej, ale, dopowiedzmy przytém, byłto akt uznania literatury naszej już za organ pierwszego rzędu w piśmiennictwie powszechnem. Już nie my tylko *pro domo*, ale prasa zagraniczna odzywała się niejednokrotnie, że „twórczość tego męża płodnością swoją graniczy z mitem i to zarówno obszarem, jak i stopniem potęgi.”

Taki mąż więc, nietylko wobec swoich, ale i w obliczu ludzi pióra wszystkich narodów, z właściwą sobie skromną samowiedzą, ale i z poważną śmiałością mógł przyjąć podano sobie ramię prowadzące do Kapitolu, w imię woli powszechniej.

Wśród natłoku faktów zaznaczymy najgłówniejsze.

Miasto, już na dni kilka przedtém, przepięknie gośćmi z najodleglejszych krajów przybyłemi, w dniu 2 października pośpieszyło na dworzec kolei, oczekując przybycia Jubilata. O godzinie 3 i pół po południu przybył on w towarzystwie d-ra Weigla, wiceprezydenta miasta i p. Baranieckiego, prezesa izby handlowej. Powitany przez prezydenta, d-ra Zybkiewicza, przez komitet, inteligencją, młodzież akademicką i cechy, wśród gorących okrzyków: „niech żyje!” dostojny gość wsiadł do powozu w towarzystwie prezydenta miasta i wśród szpaleru młodzieży i chorągwi cechowych odprowadzonym został do hotelu „drezdeńskiego,” gdzie go oczekiwała rodzina. Niestychny zapach, z jakim zgromadzona publiczność witała w czasie prze-

jazdu ukochanego pracownika, rozrzewnił go głęboko—do łez. Rynek był przepełniony; straż ogniowa utrzymywała porządek. Ksiądz biskup Dunajewski, bawiący czas niejakiś w Wiedniu, na ten obchód powrócił. Jubilat tegoż dnia wizytował księdza biskupa.

Dnia następnego, w piątek, hr. Badeni, delegat rządowy, przybył do hotelu Drezdeńskiego z oznajmieniem, że Najjaśniejszy cesarz austriacki raczył zaszczyścić Jubilata krzyżem komandorskim orderu Franciszka Józefa. O godzinie 10-ój Jubilat w towarzystwie prezydenta, komitetu i rajców, udał się do kościoła Panny Maryi. Dla dostojników krajowych, profesorów, delegatów i rodziny Jubilata przeznaczono prezbiterium; Jubilat zajął miejsce w stalach, mając obok siebie marszałka sejmu hr. Wodzickiego i prezesa Akademii Umiejętności Majera. Celebrował ks. biskup Dunajewski, w otoczeniu licznego duchowieństwa. W czasie celebry artyści i amatorowie, pod kierownictwem Żeleńskiego i Richlinga, wykonali pienia religijne, jako to: *Kiedy ranne wstają zorze, Wszechmocny Boże*, utworu Gómołki i *Boga Rodzico*. Chrześna córka Jubilata, panna S., odśpiewała z prawdziwym talentem *Ol Salutaris*, Studzińskiego. Po ukończonem nabożeństwie i poświęceniu szczytowej gałki Sukiennic, Kraszewski udał się w towarzystwie prezydenta do delegata namiestnictwa, hr. Badeniego, dla odebrania z rąk jego krzyża komandorskiego.

Około południa rozpoczęła się uroczystość jubileuszowa. Prezydent miasta wprowadził Jubilata do ogromnej, wieńcami przystrojonej sali Sukiennic. Na środku jej urządzono estradę dla dygnitarzy i dla rodziny Kraszewskiego. Wprowadziwszy Jubilata, prezydent podał mu chleb i puchar z soli wielickiej. Po obu stronach estrady ustawiono stoły, założone darami. Po powitalnej kantacie Asnyka, z muzyką Żeleńskiego, prezydent miasta zagaikł uroczystość świetną mową, po której wręczył Jubilatowi wieniec srebrny od miasta Krakowa. Następnie z kolei podnosili głos delegaci: dr. Józef Majer w imieniu Akademii, dr. Ksawery Liske w imieniu uniwersytetu lwowskiego, jako rektor, wręczając Jubilatowi dyplom honorowy na doktora tegoż uniwersytetu; rektor wszechnicy jagiellońskiej podobnyż wręczył mu dyplom. Dalej nastąpiły przemówienia od politechniki lwowskiej, Towarzystwa Prz. Nauk poznańskiego, toruńskiego; Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu; Komitetu jubileuszowego warszawskiego; Zakładu imienia Ossolińskich; miasta Lwowa; Szkoły w Dublinach i różnych korporacji naukowych i przemysłowych; hr. August Cieszkowski przemawiał od ziemian wielkopolskich. Następnie szły głosy deputacyi pruskich, szlązkich, wielkopolskich; delegata od polaków austriackich (p. Żaby); od polaków petersburskich (dr. Spasowicz); od polaków z Włoch hr. Szczawiński-Brochocki, członek deputacyi, do której należeli Siemiradzki i rzeźbiarz Rygier. W imieniu Czechów, Morawian i Szlązaków przemawiali: dr. Tonner (po polsku), dr. Czela-kowski, dr. Fanderlik; szczególnie zapał wzbudziło przemówienie p. Czyhalika (w imieniu akademickiej młodzieży czeskiej). Również

świetnym było przemówienie W. Arnese (po francuzku), delegata od Akademii Mickiewicza we Włoszech. Dr. Biesiadecki przemawiał w imieniu lekarzy polskich. P. Madejski, prezydent miasta Lwowa oznajmił Jubilatowi, że w tej chwili odbywa się we Lwowie otwarcie ulicy *Kraszewskiego*. Glajczar, włościanin ze Szlązka przemawiał w imieniu ziomek (ontó następnie podczas uczty w przemówieniu swoim protestował żywo przeciw mniemaniu, jakoby język szlązaków nie był polskim). Tłumaczem uczuć od ziomek, w Chicago mieszkających, z ich upoważnienia, był p. Walery Elias; podobnież Anczyc od mieszkających w Szwecyi, hr. Sołtan od polaków w Gdańsku. Oprócz tego nadesłano mnóstwo telegramów. Ale prawdziwem uwieńczeniem było przemówienie najdostojniejszego bohatera uroczystości. Nazywa on je *Moja spowiedź*. I rzeczywiście, utrudzony, a niestrudzony pracownik odstania swoje serce przed narodem w tym głosie *majestatycznym pokorą*.

Po skończonych przemówieniach, a wiele z zamierzonych i wykonać się nie dało dla braku czasu, na piętrze wystawiono dary, aby publiczność oglądać je mogła.

Wieczorem nowe czekały hołdy Jubilata. W teatrze przedstawiono jego komedią: *Miód kasztelański*, w której występował Królikowski, Modrzejewska, Hofmanowa, Rychter, Ładnowski. Po ukazaniu się w łoży, przystrojonej wieńcem laurowym, Jubilat powitany został grzmotem oklasków. Widowisko zakończonem zostało żywym obrazem na temat ze *Starój basni* i inne.

W dniu czwartym zrana miała miejsce wycieczka do Wieliczki, a następnie obiad w Sukiennicach.

Po spełnieniu pierwszego toastu, wniesionego przez marszałka sejmu hr. Ludwika Wodzickiego na cześć Najjaśniejszego cesarza austriackiego, nastąpiły liczne przemówienia (Liski'ego, Spasowicza, Majera). Wieczorem w teatrze przedstawiono komedią *Panie kochanku*.

Dnia piątego, w niedzielę, w hotelu Victoria miała miejsce uczta literacka, na którą zgromadzili się główni przodownicy inteligencji krajowej. Wśród rozlicznych przemówień (Szujskiego, Tarnowskiego, Zyblikiewicza, Cieszkowskiego Augusta) podniósł głos Siemiradzki; ofiarowanie przez niego *Swieczników Nerona* dla Sukiennic, wywołało niewysłowiony entuzjazm. Na zakończenie uroczystości danym był bal w Sukiennicach, a następnego dnia wieczorem, wywdzięczając się za prawdziwie obywatelską ofiarność Siemiradzkiego, urządzono na cześć jego wspaniałą korowód z pochodniami.



# PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Prawo kościelne katolickie*, napisał dr. Edward Rittner. Tom II, Lwów, 1879, str. 416.

Mamy przed sobą drugi i ostatni tom *Prawa kościelnego* dr. Edwarda Rittnera. O pierwszym podaliśmy już sprawozdanie w roku zeszłym (*Bibl. Warsz.* Grudzień, 1878), dziś więc odsyłając do niego czytelnika, przystępujemy wprost do rozbioru dalszego ciągu pracy dr. Rittnera.

Wyłożywszy w tomie I, oprócz ogólnych podstaw umiejętności prawa kościelnego (wstęp) naukę o hierarchii (część I), przechodzi autor w tomie II do nauki o sprawowaniu rządów kościelnych (część II) i o stosunkach prawnych kościoła poza hierarchią (część III). Nauka o jurysdykcji kościoła t. j. o władzy działania, jaka z mocy prawa nadana jest członkom hierarchii kościelnej, stanowi dla prawnika najważniejszy rozdział prawa kanonicznego. Na tém polu bowiem kościół występuje przeważnie jako instytucya zewnętrzna, uorganizowana wprawdzie ku osiągnięciu celów nadziemskich, jednakże za pomocą środków doczesnych, które sobie stwarza mniej więcej tym samym trybem co państwo. I tak podobnie jak ono potrzebuje kościół najpierw prawo się ukształtować. Rozumiem przez to, że powinien zarówno swój ustrój, jak i działalność poddać pod pewne ogólne przepisy prawne, któreby miały dla wszystkich jego członków stałą moc obowiązującą. Że zaś kościół jest instytucją niezależną od państwa, i od wszelkiej innej władzy ziemskiej, przeto przepisy te przez nikogo narzucone mu być nie mogą, lecz wynikać muszą z własnej jego woli. A zatem kościół podobnie jak państwo powinien przedewszystkiem posiadać *władzę ustawodawczą*. Idąc dalej przekonamy się, że kościół byt swój owarunkowawszy pewnemi stałemi przepisami prawa, nie może być obojętnym na sposób stosowania ich w praktyce. Kościół nie może bez widocznej ujemy dla wyższych swoich celów znosić cierpliwie, aby drogi, które on uznał za wiodące do tychże, były zagradzane objawami woli bądź to pojedynczych osób, bądź to innych władz publicznych z jego wolą niezgodnymi. Tak więc w imię odrębnego zadania, jakie posiada kościół i odrębnych warunków, jakie mu są potrzebne do urzeczywistnienia takowego, należy przyznać kościołowi w granicach jego sfery właściwej moc przestrzegania nienaruszalności praw swoich. Moc ta winna się objawiać tak w prostowaniu wszelkich zбочeń zaszytych w stosunkach prawnych kościoła, jako też i w użyciu odpowiednich przeciwko podobnym zбочeniom wymierzonych

środków karnych. Znaczy to, że kościół podobnie jak państwo powinien posiadać pewną celom jego odpowiadającą i od niego tylko zależną *władzę sądową*. Nareszcie dla kościoła nie wystarcza jeszcze oparcie ustroju i działalności swojej na stałych zasadach prawnych oraz zapewnienie sobie ich nienaruszalności za pomocą władzy sądowej. Kościół bowiem jako instytucja prawna, powołany jest do działania na zewnątrz, a działanie to jak wiadomo, z warunkowane jest zawsze przez środki materialne, bez których w społeczeństwie można wprowadzić bardzo wzniosłe myślenie, bardzo mądre wydawać ustawy, bardzo sprawiedliwe wygłaszać wyroki, lecz niepodobna iść skutecznie ku praktycznemu urzeczywistnieniu swoich zadań. Na to potrzebne są ogólne środki istnienia materialnego, środki zapewniające kościołowi niezależność jego bytu już nie od wpływów jakichś innych potęg społecznych, lecz od nacisku zgubnego, jaki brak niezawisłego stanowiska majątkowego musi koniecznie wywierać na wszelką działalność zewnętrzną. Innemi słowy, kościół powinien posiadać swoją własną sferę praw majątkowych i niezależnie móżz niemi rozporządzać. Gdy zaś do téj administracyi czysto ekonomicznej przyłączymy całą sumę działań kościoła, jako instytucyi polityczno-prawnej, która w każdym czasie powinna mieć prawo urządzać stosunki swoje zgodnie z duchem swoich ustaw zasadniczych, a swobodnie od wszelkich wpływów obcych, dojdziemy do przyznania kościołowi obok już wspomnianych władz ustawodawczej i sądowej, jeszcze trzeciej, mianowicie *administracyjnej*.

Podobny mniej więcej chód myśli przewodniczył układowi części II *Prawa kościelnego* dr. Rittnera (§ 86). Nosi ona ogólny tytuł: *Sprawowanie rządów kościelnych* i rozpada się na trzy następujące rozdziały: I, *Władza ustawodawcza* (str. 12—26), II, *Władza sądowa* (str. 27—138) i III, *Władza administracyjna* (str. 139—278).

Zatrzymamy się chwilę nad ogólnym tytułem téj części. Wyznajemy, że nie możemy go sobie dokładnie wytłómaczyć ze stanowiska naszych poglądów na władzę kościelną i jej gałęzie. Wnosząc z miejsca, jakie w ogólnym systemie władz kościelnych przyjętym przez naszego autora zajmuje sprawowanie rządów, możnaby mniemać, że na pojęcie tych ostatnich składają się jedynie trzy władze w systemie powyższym uwzględnione. Tymczasem te trzy władze są tylko narzędziami, za pomocą których możliwem się staje sprawowanie rządów kościelnych. Istota zaś tych ostatnich tkwi głębiej i z innych zasad wyprowadzoną być winna niż te, które służą za podstawę trzem wymienionym gałęziom władzy kościelnej. Sprawowanie rządów kościelnych stanowi jakby czwartą, wyższą władzę kościelną, która zarówno ustawodawstwu, jak i sądownictwu i administracyi kościelnej nadaje wyższy kierunek zgodny z pierwotną, całkowity rozwój kościoła ogarniającą i urządzającą zasadą. Objaśnijmy to bliżej. Każda z trzech władz, o których wyżej była mowa, ma być wprawdzie postawioną w zawisłości od jednego kościoła, jednakże na każdą z nich wy-

wierają nacisk przeróżne wypadki życia historycznego, przeciw któremu obronić się mogą tylko znalazłszy w samym kościele silny punkt oparcia, jakąś jedną centralną siłę, któraby je wszystkie koło siebie skupiała i wszystkim najwłaściwszy nadawała kierunek. Otóż właśnie tą siłą centralną kościoła jest jego *władza rządząca*. Ta władza zaś nieco inaczej przedstawia się dr. Rittnerowi. On przez nią rozumie jedynie wszystkie działania zewnętrzne kościoła, do których go upoważnia jego władza ustawodawcza, sądowa i administracyjna; my zaś upatrujemy w niej prócz tego samoistne czynniki, te zaś wywodzimy z istoty kościoła, jako instytucji obdarzonej własną, pierwotną zasadą życia i w imię tej zasady nadającą ten, a nie inny kierunek wszystkim powyższym swoim działaniom zewnętrznym. Ztąd najbliższym celem rządu kościelnego dla nas nie będzie, jak dla dr. Rittnera, „zapewnienie społeczności kościelnej wszelkich zewnętrznych warunków bytu” (§ 86), bo to jest zadaniem częścią ustawodawstwa, częścią zaś sądownictwa i administracji kościelnej, a będzie nim nadanie tym warunkom takiej kombinacji, któraby kościołowi pozwoliła najpełniej wywiązać się ze swego posłannictwa dziejowego. Nad tём posłannictwem, ma się rozumieć nie tu jest miejsce obszerniej się rozwodzić, ani też sprawdzać o ile podstawy jego zastępują na uznanie; jednakże pytań tych nie dotykając, w każdym razie przyznać musimy, że kto ma jakąkolwiek władzę, posiada ją ku jakiemuś celowi, cel zaś ten jest siłą, która władzę ku sobie przyciąga po pewnej ze wszystkich możliwych dróg za najodpowiedniejszą uznaną. Na tę siłę składają się tutaj wszystkie czynniki, z których kościół istnienie swoje wywodzi, a zatem częścią zasady nadprzyrodzone jego bytu, a te w systemie prawa kanonicznego uwzględnione być należycie nie mogą, częścią zaś jego organa zewnętrzne wedle tych zasad ukonstytuowane, a te są natury prawnej i winny odpowiednie stanowisko w powyższym systemie uzyskać.

Wprawdzie dr. Rittner o tych organach nie zapomina i w tomie I swojego dzieła poświęca im obszernie miejsce; jednakże chodzi nam tutaj nie tyle o rzecz samą, ile o jej stosunek do innych przedmiotów prawa kanonicznego, który to stosunek wedle nas przedstawiony jest niewłaściwie przez autora. Hierarchia—to organy, za pomocą których kościół sprawuje swoje rządy, jej działalność to niejako tych rządów dla prawnika wyraz najoczywistszy. Mylnie zaś sądziłiby ci, którzyby w sprawowaniu tych rządów nie widzieli nic innego prócz funkcyj uchwalania ustaw, przestrzegania ich nienaruszalności, oraz zawiadywania gospodarstwem kościelném. Zaiste funkcyjne te mieszczą się tutaj, lecz nie stanowią wszystkiego. Pojęcie rządów kościelnych jest obszerniejszém. Zawiera ono prócz funkcyj powyżej wyszczególnionych, a nawet prócz tak zwaną jurysdykcyi wewnętrzną (*jurisdictio interna, forum conscientiae*), która jako natury wyłącznie duchowej nie nadaje się do traktowania prawniczego, jeszcze wszystkie czynności kościoła, czy to w zakresie prawa publicznego, czy też prywatnego, za pomocą których tenże usiłuje wytknąć nietylko własnym działaniem, lecz w ogóle

wszelkim sprawom życia ludzkiego drogę, którą on uważa za najskuteczniejszą dla urzeczywistnienia na ziemi królestwa Bożego. Dlatego też nie pojmujemy oderwania tego pojęcia z jednej strony od hierarchii kościelnej (część I), z drugiej zaś od stosunków prawnych poza hierarchią (część III). Kwestya to, przyznajemy, bardziej naukowego niż ściśle pozytywnego charakteru; jednakże gdy takich kwestyi nietylko nie wyłączamy z programu wykładów uniwersyteckich, lecz niemal chcielibyśmy im przyznać dominująco w nim stanowisko: nie możemy więc nie zaznaczyć w sprawozdaniu z książki, mającej właśnie takiego wykładu założenie, o ile kwestye tego rodzaju zostały w niej uwzględnione i jakie mianowicie otrzymały rozwiązanie. Z tej to przyczyny sam nagłówek części II, pracy dr. Rittnera nasunął nam powyższe obszernie rozumowanie.

Jeśli zaś teraz zwrócimy się do samej treści tej części, mianowicie do trzech jej rozdziałów składowych, powtórzyć co do nich będziemy zniewoleni to, co już z okazji tomu I wyraziliśmy t. j., że odnośny materiał znalazł w nich uwzględnienie wyczerpujące, oraz wykład jasny, celom praktycznym najzupełniej odpowiadający. Przez cele praktyczne zaś rozumiemy tutaj przedewszystkiém widoki ściśle szkolne, t. j. te, o których każdy uczeń gotujący się do egzaminów pamiętać powinien, gdy usiłowania swoje w tym kierunku chce mieć uwieńczone skutkiem pomyślnym. To też jako podręcznik szkolny, książka dr. Rittnera posiada bardzo wiele niezaprzeczonych zalet. Szkoda tylko, że język w ogóle w niej poprawny, nie jest jednak wolny od licznych prowincjonalizmów, częstokroć bardzo rażących. Nad prowincjonalizmami temi rozwodzić się tutaj obszerniej nie będziemy, są one bowiem poczęści powtórzeniem tych, któreśmy zaznaczyli w sprawozdaniu z tomu I, poczęści zaś tej samej co one natury. Dlatego też wystarczy, gdy odsyłając autora do wspomnianego sprawozdania, raz jeszcze zwrócimy jego uwagę, iż obowiązkiem jest piszącego wyzwać się od wyrażen, uświęconych może w jakimś kółku partykularném, lecz niezgodnych z powszechnie w narodzie pewnym obowiązującymi zasadami języka. Piszący bowiem wobec tych zasad jest niejako urzędnikiem mającym stać na ich straży; sam więc szanować je bardziej niż ktokolwiek inny powinien. I tak wolno panu A. lub B. mówić *obżalowany* (str. 43) zamiast *oskarżony*; *zaprzeczenie* zamiast *odmówienie* (str. 69); *polegać w czym*, zamiast *polegać na czym* (str. 206), albo że „majątek na cele kościelne poświęcony *utrzymany być powinien* stale i wyłącznie *swemu przeznaczeniu* (str. 236), co jak się domyślać trzeba, ma znaczyć, że majątek ten ma być użyty wyłącznie na cele kościelne; wolno jest, powtarzamy, w ten lub inny sposób niegramatyczny, gdy takowy uświęcony jest zwyczajem pewnej miejscowości, wyrażać się człowiekowi nie występującemu publicznie na widowni literackiej. Jednakże autorowi, zwłaszcza gdy zkadınąd słusznie mu się należy tytuł powagi naukowej, podobne odstępstwa od ogólnie uznanych praw językowych darowane być nie mogą.

Wracamy do dalszej treści książki dr. Rittnera. Chcielibyśmy zwłaszcza zastanowić się nad tytułem pierwszym rozdziału III, części II, mającym za przedmiot stanowisko kościoła pod względem prawno-majątkowym. Tu przede wszystkim zwraca naszą uwagę pytanie o podmiocie majątku kościelnego (§ 120), t. j. kogo właściwie należy uważać za właściciela rzeczy przeznaczonych na cele kościelne. Autor zaznaczając, że pod tym względem powstawały rozmaite „nieraz dziwaczne teorie” i do takowych zaliczając zdanie przypisujące własność rzeczy kościelnych samemu Bogu lub Chrystusowi, a także ubogim, papieżowi, lub szczególnym gminom kościelnym, dochodzi do przekonania, że jedyną uzasadnioną opinią jest ta, która za *właściciela majątku kościelnego uznaje sam kościół, jako osobę prawną* (str. 180). Na tej samej wszakże stronie autor dodaje: „w obrębie jednak tej teorii, nie ustał jeszcze spór o właściwy podmiot majątku kościelnego, a spór ten tyczy się pytania, czy jako tę osobę prawną uważać mamy kościół w całości, czy też poszczególne instytucje kościelne, a więc czy przyjąć należy jeden podmiot, lub tyle podmiotów, ile jest samoistnych zakładów kościelnych?” Autor skłania się ku ostatniemu zdaniu, motywując je tak: „skoro w kościele powstały samoistne urzędy i instytucje, wydzielono dla każdego urzędu i instytucji osobny majątek, który niezmiennie przy takowych pozostał,” a dalej, „że owe instytucje miały samoistny byt ekonomiczny, że nabywały dla się prawa majątkowe, że między sobą wchodziły w stosunki prawne, co byłoby wprost niemożliwem, *gdyby cały majątek kościelny jednego miał właściciela*” (str. 180).

Naszem zdaniem całe to rozumowanie grzeszy dwoma błędami: raz: zawiera w samym sobie sprzeczność, powtórnie wychodzi z założenia fałszywego. Sprzeczność widzimy w jednoczesnem uznaniu za słuszną teorię, wedle której właścicielem majątku kościelnego jest sam kościół jako osoba prawna i przyjęciu tyłu właścicieli tego majątku, ile jest poszczególnych instytucji kościelnych. Wyznajemy, że dla nas pogodzenie tych dwu poglądów jest niezrozumiałe. Albo kościół jako osoba prawna będzie jedynym właścicielem majątku na jego cele przeznaczonego, albo nim być przestanie, a w tym razie jego instytucje poszczególne, będą właścicielami tegoż zarówno niezależnymi jeden od drugiego, jak od całego kościoła. Lecz wtedy, pytamy się, czy będzie można mówić o majątku kościoła? Nie. Będziemy wprawdzie mieli majątek papieżki, diecezjalny, parafialny, będziemy mieli dobra należące do tego lub innego instytucji kościelnego; lecz majątku, któryby uważać można za własność kościoła jako całości prawnej, szukalibyśmy próżno ze stanowiska tej teorii. A jednak jeśli w systemacie praw mamy własności kościelnej wydzielić osobne miejsce, to tylko uznając za jej podmiot sam kościół. Z tém nawet autor nasz się zgadza. Jakże więc objaśnić ten drugi jego pogląd wprost pierwszemu przeciwny? Wątpimy przecież, aby dr. Rittner w każdym poszczególnym instytucji kościelnym upatrywał sam kościół. A jednak

tylko tym sposobem usunąłby nam z przed drogi powyżej wytkniętą sprzeczność. Drugi błąd autora, o którym wspomnieliśmy, tkwi w założeniu fałszywem. Naszém zdaniem, dr. Rittner zamało odróżnia pojęcie majątku kościelnego od pojęcia jego własności. Można być podmiotem pierwszego, nie posiadając tytułu właściciela. Pojęcie majątku bowiem jest przedewszystkiem natury konkretnój, pojęcie własności zaś—zasadą oderwaną. Majątek jest to rzecz względna, która stosownie do okoliczności danój chwili, podmiotowi swojemu w szerszym lub ciśniejszym przysługuje zakresie; własność jest to tytuł bezwzględny, którego treść nie zależy od okręgu zamykającego jej stosowanie na zewnątrz. Tak właściciel dwu włók ziemi posiada wprawdzie majątek mniejszy niż ten który ma ich dwadzieścia; wszakże obaj posiadają jeden i ten sam tytuł własności. Podmiotem majątku można być na rozmaitych prawach, podmiotem własności na jedynj tylko i niezmiennj zasadzie. Wynika ztąd, że z okoliczności posiadania przez poszczególne instytucje kościelne odrębnych praw majątkowych, nie wypływa jeszcze, iżby każdy z nich był podmiotem własności kościelnej. Tym podmiotem mógłby on być tylko w takim razie, gdyby tyle było na prawie własności majątków kościelnych, ile jest instytucji poszczególnych i gdyby każdy z tych instytucji był majątkowo zupełnie od innych, jako téż od całego kościoła niezawisłym. Tak jednakże nie jest. Każda parafia, każda dyecezya jest wprawdzie pod względem majątkowym dziedziną od innych niezależną, jednakże zawsze o tyle tylko, o ile za takąą przez kościół została uznana. Tylko tytułem nadanych sobie przez kościół praw, może każdy poszczególny jego instytucji zająć względem majątku kościelnego stanowisko odrębnego podmiotu. Innemi słowy, wedle nas jak w każdym innym kierunku swojej działalności, tak i w majątkowym każdy z poszczególnych instytucji kościelnych jest tylko względnie niezależny, mianowicie o tyle, o ile przez kościół jako całość do tego został uprawniony.

Prawda, że niedozwolone jest, jak powiada autor (str. 180) „przeniesienie majątku z jednego kościoła do drugiego, choćby nawet do innj dyecezyi;” lecz argument ten nie przeciwko naszemu pogładowi, jakby chciał autor, lecz właśnie za nim najwymowniej przemawia. Cóż znaczy bowiem ten zakaz? Nic innego, tylko że żaden z poszczególnych instytucji kościoła nie jest o tyle właścicielem swego majątku, aby go przenieść z własnej woli na rzecz drugiego. Bardziej jeszcze teorią naszą popiera to co autor na str 181 podaje: „gdy instytucji kościelny przestaje istnieć, lub gdy *bezpośredni cel*, na który majątek kościelny został przeznaczony nie da się osiągnąć, majątek nie przepada jako rzecz niczyja, lecz pozostaje do dyspozycyi władzy duchownej, która go *przeznaczaj na pokrewne cele kościelne*.” A zatém władza kościelna może przenosić majątek kościelny od jednego instytucji do drugiego, lecz żaden z instytucji prawa tego nie posiada. To zaś utwierdza nas w przekonaniu, że właścicielem rzeczywistym majątku kościelnego

jest kościół jako osoba prawna, a nieposzczególne jego instytucje, które są tylko organami, zapomocą których kościół zadanie swoje wypełnia.

Przechodzimy do dalszego ciągu. Rozdział czwarty części drugiej ma za przedmiot: *Rząd kościelny na zewnątrz*. Tu autor rozbiera stosunek kościoła do państwa i do innych wyznań. Pierwszy z tych stosunków rozpatruje autor z podwójnego stanowiska: historycznego (§ 133) i dogmatycznego (§ 134). Część historyczna opracowana jest jasno i zwięźle. To są jej zalety. Ujemną stronę stanowi tutaj zaledwie pobieżne traktowanie konkordatów, o których dr. Rittner udziela nam tylko skąpe i nawet dla wymagań szkolnych niewystarczające wiadomości. Nas jednak przedewszystkiem uderzył tutaj sposób, w jaki autor wykłada stosunek kościoła do państwa ze stanowiska tak zwanej teorii „państwa nowożytnego,” czyli „państwa prawnego” (str. 257—258). Wyłożywszy, że wedle tej teorii państwo obejmuje wszystkie sfery życia ludzkiego, a zatem i kościelną, w granicach przez prawo wytkniętych, dochodzi autor do wniosku „że kościół może uzyskać obszerne prawa, ale posiada je jedynie z nadania państwa i z mocy ustaw państwowych.” Wkrótce zaś potem dodaje: „państwo samo więc odgranicza sferę kościelną od państwowej i t. d.” Tak właściwie nie jest.

Teoria państwa prawnego nie przyznaje państwu roli tak dalece dyktatorskiej. Państwo jest wedle niej tylko organem prawa. Prawo zaś dopiero jest zasadą rządzącą wszystkimi stosunkami życia ludzkiego i wydzielającą każdemu z nich właściwy okrąg, stosownie do jego doniosłości i przeznaczenia dziejowego. A zatem nie dlatego kościół posiada pewne prawa, że takowe zostały mu nadane z mocy ustaw państwowych, lecz że przyznanie ich kościołowi odpowiada wymaganiom prawa i z tego tytułu narzucone zostało jako obowiązek ustawodawstwu państwowemu. A zatem nie państwo samo odgranicza od siebie sferę kościelną—stosunek ten urządza prawo i czyni go dla obu stron obowiązującym. Tak pojmują teorię państwa prawnego najznakomitsi jej wyznawcy, tak ją zapewne pojmuje też i nasz autor, a ustępy przez nas wytknięte, należy chyba położyć na karb niewłaściwości wyrażenia. Przekonywa nas o tém zwłaszcza § 134, w którym autor rozpatruje stosunek kościoła do państwa ze stanowiska dogmatycznego. Zamiarem dr. Rittnera nie było tutaj dać nam o tym przedmiocie wykładu wyczerpującego, a tylko w kilku ogólnych uwagach zarysować swój pogląd na takowy. Pogląd ten stawia autora w rzędzie wyznawców teorii państwa prawnego, tak jak my ją pojmujemy. Od stosunku kościoła do państwa, uświęconego bądźto ustawodawstwem jednej ze stron interesowanych, bądź też umową obopólną (konkordatem), odróżnia autor stosunek oparty na wymaganiach prawnych i moralnych i temu ostatniemu bezwzględnie przyznaje pierwszeństwo. Ustawa może być niesprawiedliwą, konkordat może być wymuszony siłą lub podstępem; postulaty zaś prawa i etyki zawsze są nieomyślne. Z przyjemnością zaznaczamy ten pogląd autora jako jedną z prawdziwych ozdób jego książki.

O stosunku kościoła do innych wyznań, który autor bardzo pobieżnie rozбира w § 135, tyle tylko powiemy, że na nim kończy się część druga książki dr. Rittnera, poczem następuje trzecia i ostatnia, mająca za przedmiot *stosunki prawne poza hierarchią*. Tu znajdujemy wykład prawa małżeńskiego (rozdział I) i o stowarzyszeniach religijnych (rozdział II). Prawo małżeńskie otrzymało tutaj uwzględnienie wyczerpujące tak co do swoich podstaw dogmatycznych jak i wysokiego znaczenia, jakie posiada w praktyce życia. Sposób wykładu autora jest tutaj dziwnie jasny i odznacza się wyborném ugrupowaniem odnośnego materiału. To téż rozdział o prawie małżeńskim stanowi wedle nas najpiękniejszą część książki dr. Rittnera i już sam przez się wystarcza, aby zapewnić jej szeroki rozgłos w naszym piśmiennictwie.

Na tym wyrazie najwyższego uznania miło nam zakończyć sprawozdanie z pracy dr. Rittnera. Byłoby pożądaném, aby coraz więcej książek téj co ona wartości, wzbogacało naszą literaturę naukową i rozkrzewiały wśród naszego społeczeństwa szlachetne zamiłowanie wiedzy. Wiedza bowiem, choć nie zawsze sama przez się, w każdym jednak razie, wdrażając swoich czcicieli do pracy i dążeń wzniosłych, jest jedną z najpotężniejszych dźwigni siły narodów, jedną z tych, co to im упаść nigdy nie pozwalają.

Edm. Krz.

*Gramatyka języka polskiego dla użytku młodzieży. Ułożył Stanisław Gargulski, przełożony Zakładu naukowego. Warszawa, bez daty druku, str. VIII i 125.*

Powszechnie uznaném jest zdanie, że daleko wdzięczniejsze jest pole pracy właściwie naukowój, aniżeli opracowywanie dzieł w zakresie elementarnym: w tym ostatnim razie autor stanowczo wyrzec się musi wszelkiój oryginalności, wszelkich pomysłów nowych, poglądów szerszych, a natomiast całą bacność swoją skupić musi w szczegółach dydaktycznych, w wymierności układu, w jasności i dostępności dla umysłów dziecinnych i t. p. drobiazgach, które niezawsze nawet dostrzeżone być mogą przez krytykę, lubo autora kosztowały może nie mało trudu. I dlatego właśnie krytyk dzieł podobnych, występujący w roli sędziego i niejako pośrednika pomiędzy autorem a młodzieńcem, któremu dać ma jakieś dzieło do ręki, powinien dobrze się obrachować z swoim sumieniem naukowym i pedagogicznym, by zdołał ocenić tę mozolną a niewdzięczną pracę, nietylko bez uprzedzenia i bez złej woli, ale z możliwą bezstronnością, któraby nigdy nie przepomniała o warunkach, w jakich się znajduje autor wszelkich dzieł elementarnych. Obok téj bezwzględnie najzupełniej słusznej uwagi, mając



zamiar ocenić wartość dzieła powyższym napisem objętego, nadmienić musimy i o tém, że autorowie dzieł elementarnych niemają prawa lekomyślnie traktować swojego przedmiotu, a owszem, nigdy zapominać nie mogą, że książkę elementarną ułożyć częstokroć jest trudniej, niż jakąś pojedynczą monografią; że chcąc być przedstawicielem jakiejś nauki dla umysłów dziecinnych, potrzeba wprzód specjalnie, gruntośnie samemu ją zbadać, znać, jak to się musi, ostatnie słowo badań naukowych, by, usunąwszy stronę hypotetyczną tych badań, przyswoić i udostępnić młodzieży istotne postępy nauki.

Niestety! pomimo wypowiedzianego wyżej stanowiska krytyka, piszący sprawozdanie o naszych pisemkach, język polski na celu mających, niema téj pociechy, żeby sumiennie mógł przyznać wielkie zalety dziełom u nas od czasu do czasu wychodzącym. Gramatyka zwłaszcza, nauka tyle ważna i tak dotkliwie w danych warunkach potrzebna, była zawsze w tém nieszczęśliwém położeniu, że autorom naszym albo brakło poprostu wszelkich dokładniejszych wiadomości o ostatnich wynikach nauki, albo samo opracowanie dzieł było pobieżne, z wadliwym planem, albo z wadliwém wykonaniem. Wyglądamy oddawna praktycznej i popularnie wyłożonej gramatyki języka polskiego, ale jak dotąd, wyglądaliśmy zawsze napróżno.

Czy p. Stanisław Gargulski był szczęśliwszym od innych, czy zdołał zadowolnić słuszne wymaganie współczesnej krytyki, o tém czytelnik się dowie z następnego sprawozdania.

Przedewszystkiém przyznać potrzeba, że strona zewnętrzna książeczki bardzo korzystnie się przedstawia: druk bujny i wyraźny, korekta dobra, cena dziełka bardzo przystępna (kop. 35); wszakże starannie przejrząwszy zawartość samej gramatyki, mało co nad to korzystnego powiedzieć możemy o *Gramatyce języka polskiego* p. Gargulskiego. Autor powiada o sobie, że jest długoletnim pracownikiem na polu nauczycielskiém, że ma „własny na wykład pogląd;” my zaś bacznie szukając tego „poglądu” nie dostrzegliśmy go nigdzie, ani w metodycznym względzie, ani w naukowych badaniach: jestto najzwyczajniejsza kompilacya z dwu, a najwięcej z kilku książek tego rodzaju. Mniejsza zresztą o ten „własny pogląd,” że jego nie widzimy, jeszcze zato na autora gniewać się niemamy prawa; chodzi o to, czy ta kompilacya ma zalety elementarne, czy nie rozmija się z prawdami istotnej nauki?

Żeby odpowiedzieć na powyższe pytanie, rozpatrzmy treść dziełka w szczegółach, a następnie będziemy mieli prawo, skupiwszy to pojedyncze ustępy dzieła, wydać odpowiedni sąd o wartości całego utworu.

We wstępie jest mowa o pisaniu i mówieniu, a niema nic o czytaniu, t. j. jaki jest stosunek tego czytania do nauki gramatyki. Czyżby tedy autor sądził, że czytanie leży poza obrębem nauki? nie, bo w umieszczonych na końcu dzieła „rodzajach wypracowań” (str. 124), jest mowa o tém, żeby „rzeczy przeczytane dobrze zrozumieć,” a w „słowie wstępném” mówi p. Gargulski „o wprawie w głośno i bie-

głe czytanie, o wyjaśnieniu wyrazów i t. d." Ztąd tedy wniosek, że autor nie umiał określić nauki, jak ją sam pojmował. Ale bo też określenia zwykle są rzeczą najtrudniejszą, gdyż w nich leży cała rdzeń wiedzy, a nawet istota obszaru tej wiedzy.

W głosowni nie rozróżnia autor *głoski* od *litery* i pisze wszędzie: *głoski* (litery) lub *litery* (głoski); jaki ztąd zamęt w głowie dziecka zrodzić się musi, odgadnąć nietrudno. W *głosowni* nie spotykamy wyjaśnienia różnicy samogłosek i spółgłosek; to zaś, co p. Gargulski mówi na str. 4 i 91 o samogłoskach pochylonych, mimowolnie nasuwa myśl, że autor stanowczo lekceważy sobie prawdy naukowe, o których, choćby z gramatyki Małeckiego, dowiedzieć się można; natomiast pan Gargulski coś tam improwizuje o wymawianiu ludowém, o tém, że *o* i *e* kreskują się „dla zwrócenia uwagi na ich wymowę” (?). Wymawianie ludowe i prowincjonalne jest tak rozmaite, że jeżeli p. Gargulski na niem zechce opierać swoje zasady, to stworzy chaos. W dziale zaś spółgłosek tak oszczędny p. Gargulski, że ani w glosowni (str. 6), ani w pisowni (str. 94) nie wyjaśnia istoty spółgłosek mocnych i słabych, tyle ważnych w początkowém nauczaniu. Natomiast figurują spółgłoski *szorstkie* i to nowość niczém przez p. Gargulskiego nieusprawiedliwiona.

Na str. 7 mówi p. Gargulski: „*imię* jestto *nazwisko* jakiej rzeczy, zamiast: *nazwa*, *nazwanie*.” Liczb imienia autor zna tylko *dwie* i z tego powodu w nieforemnościach starannie lawiruje. żeby ominąć wszelkie trudności, wypływające w skutek nieznamomości liczby podwójnej, tak np.: *oko*, *ucho*, wymienione są w mianownikach, a dopełniacz opuszczony.... ale jeżeli przemilczć autorowi się udało, to wygłasza absurd, jak np. gdy mówi o wyrazie ręka: „7-my l. p. *w ręku* albo *w ręce*” (str. 22). Przymiotniki i ich geneza nieznanie p. Gargulskiemu: *syty*—*sył*, *pełny*—*pełen* nazywa *skróceniem*. Równie też nie dowiódł się uczeń od p. Gargulskiego, co to jest *stopień* przymiotnika? i zkąd wypływa zasada tego stopniowania. Podział imion na sześć form przypomina prastare czasy Teodozego Sierocińskiego. Po upływie pół wieku, wskrzeszony Sierociński wygląda tu jak Piotrowin, z tą tylko różnicą, że składa świadectwo nie *prawdzie*, ale *niedbalstwu* p. Gargulskiego. W dziale liczebników, czytamy liczebniki *składowe*, oznaczające z ilu części przedmiot jest złożony (str. 28) i do nich należą zarówno: *dwakroć*, jak *dwukrotny*, jak *podwójny*. Piękne wtajemniczenie się w ducha mowy polskiej, która tak bogatą jest w tej części mowy! Co się tyczy odmian liczebników, to ponieważ p. Gargulski nie chce znać liczby podwójnej, w dopełniaczu liczebnika *dw* przyznaje tylko: *dwóch*, naprzekór tym wszystkim, co prawd językowych bronią, a nawet posuwa się do takiego hazardu, że narzędnik rodzaju żeńskiego pisze: *dwoma* (str. 28). Sądziłyśmy, że to już chyba zawielki hazard i sprawdzaliśmy, czyto nie omyłka drukarska, ale autor każe nam wierzyć, że w jego książce od str. 10—52 błędów niema.

Na str. 51 uczy nas, że *swój* jest zaimkiem zwrotnym, ale może być „zarazem dzierżawczym;” wszakże jest dotąd tajemnicą, kiedy bywa jednym, a kiedy drugim; na str. 34 dowiadujemy się, że zamiast zaimka *my* „przez grzeczność” używają się rzeczowniki: *pan, pani, państwo*. Słowa czasowe i zasady ich odmian, równie, jak odmiany inion, należą do tych poglądów zacofanych, które nigdy nie miały znaczenia naukowego, a obecnie od wielu lat zapomniane, nie wiedzieć poco wskrzeszone zostały przez p. Gargulskiego. Niema tu mowy o temacie, spójkach, końcówkach, a natomiast występują tak nazwane przez autora „pierwiastkowe (?) samogłoski” *a, e, i, y*, wedle których cechują się słowa foremne.

Na str. 52 jest wprawdzie mowa (w pięciu wierszach) o słowach nieforemnych, ale dlaczego one nazywają się „nieforemnymi,” kiedy przecie wszystkie przytoczone czasowniki mają te same „pierwiastkowe samogłoski” w osobie 3-iej liczby pojedynczej, jak np.: *ciąć—tnie. iść—idzie* i t. d. Części mowy nieodmienne, jako łatwiejsze do wykładu, mniej rażących zawierają błędów, ale i one nie wolne są od usterków. „Przyimek, powiada p. Gargulski, jestto wyraz, odnoszący się do imienia rzeczownego,” a sam przytacza wyraz *przezeń*, który już obala jego określenie, o znaczeniu zaś i stosowaniu do piśmni przyimków nierozłącznych *ob, prze, wy, roz, wz*, uczeń p. Gargulskiego nic się nie dowie. Logiczne wyjaśnienie znaczenia niektórych przyimków także sprostowaniu podlegają: *z* oznacza względ *połączenia*, mówi p. Gargulski. Więc w zdaniu: *wychodzą z domu* ma także być ten względ? *w* oznacza względ *zajęcia*; tego już zrozumieć niemożna. „Przysłówek jestto wyraz, odnoszący się do słowa” (str. 55). Z tego by wypadało, że po polsku niemożna powiedzieć: *bardzo dobry, nieco głośno*, bo p. Gargulski odmawia przysłówkom prawa określania przymiotników i innych przysłówek. P. Gargulski wogóle wielki kładzie nacisk na zewnętrzną stronę języka, mniej dbając o logikę, widoczne to między innymi i w określaniu spójników, gdy mówi, że one łączą „dwa wyrazy” (str. 57). Oko wprawdzie widzi niekiedy połączone dwa wyrazy za pomocą spójnika, ale trzeba tylko nieco staranniej poznać istotę zdań ściągniętych, a przekona się p. Gargulski, że spójniki w języku łączą lub oddzielają tylko myśli, zdania. W rozgatunkowaniu spójników znalazły się u p. Gargulskiego jakieś spójniki *wątpliwości* i do nich należą: *lubo lecz, pomimo*. Mnie się zdaje, że takie wynajdywanie nowych podziałów do zbyt rozmaitych i bez tego rozgatunkowań spójników, tylko *wątpliwość* zrodzić może w czytelniku w dodatnie strony „własnego poglądu” na gramatykę p. Gargulskiego.

O spójnikach podwójnych, tak ważnych do zrozumienia budowy niektórych okresów, niema tu nawet wzmianki, ale bo też „pogląd” autora na okresy stoi w sprzeczności z tém wszystkiém, co dotąd napisali teoretycy nasi o tém ważniejszym zgrupowaniu zdań.

Na str. 64 mówi p. Gargulski (a na str. 80 jeszcze raz powtarza), że „okres jestto myśl główna (?), objaśniona i dopełniona koniecz-

nómi w *tym* razie (?) zdaniai podrzędneii." Przy takim określeiiu oczywiście nie może być mowy o dwuzielności okresu (o poprzedniku i następniku), która właśnie daje możliwość szerszego i kunsztowniejszego rozwinięcia myśli, a ząd oczywisty wniosek, że p. Gargulski nie pojmuje istoty okresu, albo raczej ma tylko swój „pogląd." O tém zresztą dotykałniej się przekonywamy na str. 80 i 81, gdzie czytamy improwizacye p. Gargulskiego o okresach *związtych, potoczystych i mieszanych*. Z trzech ustępów podanych za wzór, tylko drugi jest istotnym okresem; dwa inne są mową wręcz przeciwną okresowej budowie i w teoryach zwykle nazywana bywa *ucinkową*. Po takim zrozumieniu istoty okresów, czytelnik się domyśli, czego można się spodziewać o „przymiotach okresów; dla osobliwości więc zanotujemy tylko, że p. Gargulski uczy Mickiewicza jasności i całości okresów. Niezrozumienie istoty okresu w logiczném następstwie poprowadzić za sobą musiało i zły wykład znaków przestankowych, a zwłaszcza średnika i dwukropka.

Z całej składni najlepiej opowiada autor o budowie zdania, t. j. o jego częściach składowych i o gatunkach zdań, tak, że ustęp ten byłby jedyną jasną stroną dziełka, nie obrażającą prawd naukowych, jeśliby i tu nie znalazła się chwiejność i nieumiejętność skupienia uwagi ucznia na wydatniejszych zasadach języka. Tak np. na str. 63 mówi wprawdzie autor w uwadze „o skracaniu zdań zależnych," ale mówi tak ogólnikowo, niedbale i pobieżnie, że uczeń nie dowie się nawet, kiedy można, a kiedy nie należy skracać zdań przydanych? A przecie bez tej znajomości uczeń nigdy poprawnie i logicznie pisać nie będzie.

Inne części składni, a zwłaszcza „składnia zgody" stosunkowo lepiej są traktowane, o tyle przynajmniej, że nie spotykamy rażących błędów, a nawet niektóre prawidła dostępne i praktycznie są wyłożone, jak np. zgoda w liczebniku *milion, tysiąc* (str. 66 § 239). Nie zgodzi się tylko nikt z autorem, żeby szyk polski mógł być *dowolny* i że *ucha własnego* radzić się powinien. I nieprawdziwa i wiele to niebezpieczna zasada, zwłaszcza dla dzieci, które naraz kilku języków się uczą, żadnego jeszcze nie znając gruntownie, łatwo tedy szyk obcy przyswajając sobie mogą, a p. Gargulski zgóry im daje do tego absolucyą, skoro twierdzi, że szyk nasz *dowolny*.

Do bardzo słabych ustępów należy również prozodya języka. Czytamy wprawdzie napis: *budowa wiersza*, ale co jest ten wiersz, p. Gargulski nigdzie niemówi. Mówi na wstępie o wierszu *z głoskowym* i jak nazywa *rytmicznym* (t. j. toniczny, miarowy), nie jasno mu się przedstawia jeden i drugi, gdy np. wiersz trochaiczny: *Złoci wieczór Jan Podola* zalicza do *z głoskowego*, a wreszcie, gdy autor sądzi, że wiersz *z głoskowy* zależy tylko „na pewnej oznaczonej liczbie głosek..." i o przycisku w tym wierszu wcale mowy niema, jak gdyby go tam nie było. Natomiast przy wierszowaniu miarowém w dwu zdaniach wspomina o przycisku, ale pomimo swego lakonizmu zdołał postawić się w najzupełniejszej sprzeczności z sobą, bo raz mówi: „*każdy* wyraz ma

przycisk," a o kilka wierszy niżej dodaje: „w wyrazach jednozgłoskowych *niema* akcentu" (str. 77).

Oprócz właściwej gramatyki w dziełku p. Gargulskiego, spotykamy i wiadomości stylistyczne. Jaki jest jednak związek między temi naukami, uczeń się nie dowi z tego dziełka, a krytyk niezdoła zrozumieć planu autora: robi bowiem p. Gargulski najfantastyczniejsze przeskoki od jednego działu nauki do drugiego, a nawet od samej nauki gramatyki do stylistyki. Tak np. po składni szyku idą „postacie zapobiegające wadom *stylu*" (str. 72); a co jest ten „styl," uczeń ani półsłowem uprzedzony nie był. Często nawet podziały i tytuły bujniejszym drukiem oznaczone tak są zdradliwe, że nie tylko ucznia, ale nawet znającego przedmiot czytelnika w błąd wprowadzają; jak np. pod napisem: *Wyrzutnia*, w dalszym ciągu czytamy o barbaryzmach... Nie dopatrzwszy się związku logicznego w tym jego układzie, czytelnik pragnąłby przynajmniej więcej szczegółów spotkać w niektórych ustępach, jak np. w tych barbaryzmach, które dziś tak wynaturzają czystość polszczyzny. Ale autor zwykle jest bardzo oszczędny i oględny, może dlatego, by uczeń p. Gargulskiego, mając więcej wzorów barbaryzmów, nie porównał ich ze stylem twórcy gramatyki, w której, niestety, uchybienia językowe i to bardzo rażące, nie rzadko spotykamy. Tak np.: autor wszędzie używa czasowania zwrotnego czy zaimkowego zamiast czynnego, jakiego duch języka naszego wymaga (rodzaj *poznaje się*, zam. poznajemy i t. d.); wszędzie kładzie chętniej przymiotnik określający przed rzeczownikiem na sposób rossyjski (polski język zamiast język polski); niekiedy nawet na tenże sposób formuje czas przyszły (będzie robić); wreszcie wymknie mu się dziwoląg tego rodzaju, jak używanie w liczbie mnogiej takich rzeczowników, które z natury swojej są ułomne co do liczb (np. „opisy znanych miejscowości, *przepędzań wakacyi*" i t. d. str. 124); a nawet zdarzają się w jego dziełku tak monstrualne neologizmy, jakich ustrzedz się umięją lepsi uczniowie klasy drugiej, jak np. na okładce napisany tytuł: „tablica konjugacyi łacińskich, zatwierdzona *uczonym komitetem...*!"

Po takim uprawnianiu kalectwa językowego, byłoby już prawie zbytecznym oceniać wartość metodyki autora, z którą p. Gargulski także chciał się popisać. Mamy jednak obowiązek choć słówko wspomnieć i o tym dziele; bo jeżeliśmy wzięli pióro do ręki by sprostować błędy gramatyczne pana Gargulskiego, to wcale nie z zamiłowania roztrząsania cudzych błędów, ale jedynie powodowani świętym obowiązkiem czuwania nad możliwą w danych warunkach czystością języka naszego. Książka jego znajdzie się przecie w ręku dzieci, które sprawdzić i poprawić jego uchybień nie są w możności; przeciwnie, usterki te przyswoją sobie bezwiednie. I trzeba potem długiego czasu i pilnych studyów, by to skażenie językowe, zaszczerpione w dzieciństwie, można było sprostować i zdobyć poprawniejsze zasady mowy.

W ogólności znać, że autor przedewszystkiem jest zwolennikiem metody mnemonicznej, w staroświeckim tego słowa znaczeniu: stara

się być treściwym, zwięzłym, wszędzie paragrafuje nawet drobne ustępy, jak się zdaje dlatego, żeby uczeń *wykuł* to wszystko na pamięć. Zresztą, jestto tylko moje przypuszczenie, wobec tego lakonizmu w nienaturalny sposób wypływające. Na dowód, że ten lakonizm bywa niekiedy nie lada łamigłówką, nie tylko dla umysłów dziecinnych, ale i dla czytelników dojrzałych, przytaczam dosłownie z zachowaniem jego znaków przestankowych, następujący ustęp: „Porządku myśli” (str. 121): „zaprowadzenie porządku między myślami, zależy na postawieniu najbliższej myśli głównej, i innych myśli określających i dopełniających.” Ze zaś autor zwykłej dziś metody genetycznej zwolennikiem nie jest, przegląda już z tego, że prowadzi wykład nie od myśli i zdań, ale od głosek, sylab, części mowy i t. d.

Wreszcie, chcąc dać pojęcie czytelnikowi o metodzie autora, przytaczam następujące ustępy z *Cwiczeń*: 1) „z całej stronicy jakiej książki wypisać wyrazy, w których po *g* i *k* postawione *i*; 2) na trzech stronicach książki podkreślić jedną linijką rzeczowniki, a dwiema przymiotniki; 3) utworzyć zdania z wyrazów: *mierzysz, taką, odmierzą, jaką, miarką, ci*; albo: *domu, domu, w, gość, w, Bóg*” i t. d.

Sądzę, że wszystkie wyżej przytoczone szczegóły będą dostateczną podstawą do wniosku o gramatyce p. Gargulskiego, że dziełko to daje smutne o sobie świadectwo: nieznajomości rzeczy najkardynalniejszych; pomijania tego, co istotę rzeczy stanowi; rozpowszechniania z zupełną naiwnością błędów najbardziej rażących; a w metodyce samej, zaprzatanie się drobiazgami scholastycznymi, nie wspólnego z nauką niemającami, martwe jakieś panowanie rutyny, z której więzów nie zdoła uwolnić się ani swobodniejszy polot myśli młodzieńca, ani poprawność, czystość i logika języka.

Z pewnego względu daje powyższe dziełko jeszcze smutniejsze świadectwo stanu języka wogólności, a zwłaszcza wśród uczącej się młodzieży. Bo proszę zważyć, czyż niesłusznie przyjść może komuś do głowy, że musiało już nastąpić w języku dziwne jakieś rozluźnienie, dowolność z anarchią graniczająca, skoro taki beztreściowy zlepek zalecać pragną, jako kodeks prawd językowych. *Summa injuria* bezkarne przedzierzgnąć się pragnie w *summum jus!* To też każdy, komu jest drogą skarbnica mowy swojej, spodziewam się, że wespół ze mną protestować będzie przeciwko takim kodeksom językowym; a nawet, chcę wierzyć, że i sam autor niefortunnej *Gramatyki*, pomimo cierpkiego nieco słowa naszego, przyznać zechce racją recenzentowi i jeżeli zapragnie podług swego dziełka wykładać naukę języka polskiego, to bezwątpienia uzna potrzebę rdzennego przerobienia głosowni, odmiany imion i słów, a także w pojedynczych ustępach usunie te przynajmniej uchybienia, które powyżej były wskazane.

A. B.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Październik 1879.*—Na samym wstępie wiadomości o bieżącym ruchu prac piśmienniczych, głos uznania literackiego i obywatelskiej wdzięczności obowiązuje nas do wspomnienia o niesłuchanie ważnej, istną ofiarnością kierowanej publikacji: *O nakładach biblioteki kórnickiej*. Z 85 numerów téj publikacji, oprócz których pięć znajduje się obecnie w druku, przytaczamy najważniejsze z dziedziny historii i literatury: *Pamiętniki Jana Kilińskiego*.—*Statut litewski*. Zbiór praw litewskich od r. 1389 do r. 1529. Tudzież rozprawy sejmowe o tychże prawach od r. 1544 do r. 1563.—*Liber geneleos illustris familie Schildovioie MDXXXI*.—Łukasz Górnickiego: *Droga do zupełnej wolności*. *Acta Tomiciana*. Epistolae, legationes, responsa, actiones, res gestae Serenissimi principis Sigismundi ejus nominis primi, regis Poloniae M. ducis Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae domini. Per Stanislaum Górski.—Zbylitowski Andrzej: *Żywot szlachowca we wsi*.—*Annales Stanislai Orichovii Okszii*—*Annales domus Orzelsciae*.—*Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum*.—*Źródlopisma do dziejów Unii Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego*. Część III.—*Zabytek dawnéj mowy polskiej*.—Stanisława Orzechowskiego: *Policya Królestwa Polskiego*.—*Offener Brief des Abgeordneten Grafen T. Działyński an den Abgeordneten Freiherrn von Vincke*.—*Ustawy prawda polskiego napotrzebnieysze, krotko z łacińskich wybrane, na polski język dla wszelkiego człowieka prostego, a prawo wiedzieć potrzebuującego, przełożone*. J. P. Roku Pańskiego 1563.—Marcin Kwiatkowski z Rożyc: *Wszystkkiej Lisslandzkiej ziemi, iako przed tym samą w sobie była, krotkie a pożyteczne opisanie*.—*Collectanea vitam resque gestas Joannis Zamoyscii illustrantia*.—*Źródlopisma do dziejów Unii Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego*. Część II, oddział pierwszy.—*Zabytek heraldyczny*. Przedruk 2-go rozdziału ze *Zwierzynca* Mikołaja Reja.—*Mowy M. T. Cyncerona*, przełożone przez E. Rykaczewskiego.—*Listów M. T. Cyncerona ksiąg ośmioro*, przełożył E. Rykaczewski.—*Pisma krasomówcze i polityczne M. T. Cyncerona*, przełożone przez E. Rykaczewskiego.—*Pisma filozoficzne M. T. Cyncerona* <sup>1)</sup> przełożył E.

<sup>1)</sup> Rozbiór i ocenę téj pracy, pismo nasze poda w swoim czasie.

Rykaczewski.—*Cyryl i Metody*. Streszczenie najnowszych poszukiwań przez Leonarda Rettel.—*Laurea sive arbor Tarnoviana, 1644*.—*Komedye Plauta (Aulularia, Mostellaria, Trinummus, Captivi)*, przełożył dr. Jan Wolfram.—*Tragicy greccy*. Przekład Z. Węclewskiego.—Tom I: *Tragedye Eschylosa*.—Tom II: *Tragedye Sofoklesa*.—*Pamiętnik podróży odbytej r. 1661—1663 po Austrii, Włoszech i Francyi*.—*Słowniczek łacińsko-polski wyrazów prawa magdeburckiego z wieku XV*.—*Ortyle Magdeburkie*.—*Gulistan*, to jest *Ogród różany*, z oryginału perskiego przełożył W. z Bibersteina Kazimirski.—*Acta Tomiciana*, t. IX.—(Mikołaja Reja): *Apocalypsis*.—*Marchoń*.—*Statut Wiślicki* w polskim przekładzie z r. 1460.—*Prawa polskie Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagielly*.—*Prawa książąt Mazowieckich*, przełożone na język polski przez Macieja z Różana r. 1450.—*Kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski*, obejmujący dokumenta tak już drukowane, jak dotąd nie ogłoszone, sięgające do roku 1400.—(Jana Tarnowskiego): *Consilium rationis bellicae* (w języku polskim, w Tarnowie r. 1558). Przytęm znajdują się obecnie w druku: *Pamiętnik Towarzystwa Nauk Seisłych*, t. XI.—Ernest Sągajto: *Geometrya wykreslna*, in 4-to.—Przedruk homograficzny kodeksu porycko-puławskiego, zawierającego tak zwany *Psalterz królowej Judwigi*.—*Acta Tomiciana*, t. X, zawierający rok 1528.—*Kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski*, tom IV.

— Jeden z obywateli powiatu Opoczyńskiego ogłosił w numerze 227 *Kuryera Codziennego*, konkurs na napisanie książki popularnej dla włościan „któraby w formie najprostszej, najprzystępniejszej i najbardziej przemawiającej do umysłów prostaczych, zawierała cały zasób moralnej i praktycznej wiedzy dla włościanina naszego. Forma tej książki niema być suchym, dydaktycznym wykładem, ale żywą opowieścią, przemawiającą jednocześnie do rozumu i do wyobraźni, opierającą się co chwila na przykładach praktycznych i związanych z obrazami lub opisami realnego życia. W tym celu może być złożoną z opowieści lub gawęd jednego człowieka, który winien być typem i uosobieniem praktycznej mądrości ludowej.” W dalszym ciągu swęj odezwy jako treść dzieła wskazuje autor konkursu potrzeby religijne i moralne, obowiązki społeczne, prawa osobiste stanu włościańskiego, prawa gminne, wyjaśnienie stosunku włościanina do władz administracyjnych i sądowych. Dalej jeszcze ma być o główném powoływaniu życiowém wieśniaków, o gospodarstwie, dobrej orce, hodowli bydła, pszczolnictwie i t. p. Nadto należy przedstawić konieczność uczenia się rzemiosł, wskazać niektóre ogólne wiadomości z weterynaryi i higieny. Nareszcie opowiadający „który w młodości swojej bywał tu i owdzie, a w swoim życiu czytał to i owo, powinien dać wiadomość o innych krajach i ludziach, tłumaczyć o ile się da zjawiska atmosferyczne przyrody, a w ostatku różne historie o wielkich złych i dobrych ludziach.”

Słowem ma to być poniekąd encyklopedia włościanina, wskazująca mu to wszystko co w życiu moralną i praktyczną jego stanowi potrzebę.



Termin konkursu oznaczony jest na dzień 1 stycznia, 1881 roku. Sędziami prac nadsyłanych do redakcyi *Kuryera Codziennego*, według warunków konkursowych mają być: proboszcz z Klwowa ksiądz Bagiński, b. sędzia pokoju powiatu Opoczyńskiego p. Drużbacki, oraz b. sędzia gminy Przysucha p. Krasuski, którzy jeszcze według własnego wyboru wezmą do współdziałania dwu literatów. Dzieło uznane za najlepsze otrzyma 500 rs. nagrody, a prócz tego własność literacka nagrodzonego dzieła pozostanie przy autorze, który gdyby nie znalazł nakładcy na nie, obywatele powiatu Opoczyńskiego dostarczą potrzebnego funduszu.

— W Toruniu w dniu 16 b. m. odbyło się posiedzenie wydziału historycznego Towarzystwa naukowego toruńskiego. Ks. prof. Kujot czytał: *Zapomniana kasztelania i ziemia pomorska*, ks. proboszcz Gapiński: *Monografia Nawry*; Adam Sierakowski: *Pokłosie polskie na rumuńskiej niwie*.

— *Stara Baśń* Kraszewskiego z ilustracyami Andrioll'ego wyszła świeżo z druku. Jestto wydanie zbyt kowe, mogące iść nawet o lepsze z podobnemi wydawnictwami angielskiemi.

Na czele książki (formatu dużego in 4-to), pomieszczono portret Kraszewskiego, wewnątrz 24 drzeworyty starannie wykonane.

— Pan Juliusz Mien, znany tłumacz Słowackiego, przełożył na język francuzki powieść J. I. Kraszewskiego: *Hrabinę Cosel*. Praca ta przypisana Jubilatowi znajduje się już w handlu księgarskim.

— Zastużona firma księgarska Józefa Zawadzkiego w Wilnie, wydała na cześć J. I. Kraszewskiego dzieło zbiorowe p. t.: *Upominek wileński, pismo zbiorowe poświęcone J. I. Kraszewskiemu na pamiątkę pięćdziesięcioletniej rocznicy jego zawodu literackiego*.

— Z prac polaków wydawanych w obcych językach, mamy obecnie do zanotowania dzieło B. Statkowskiego, które wyszło u Gauthier-Vallars'a w Paryżu p. t.: *Ingénieur à Tiflis, Problemes de la climatologie du Caucase*.

— *Wiek* donosi, że w Pradze Czeskiej poczęło wychodzić nowe czasopismo zeszytowe, miesięczne p. t.: *Ruch*. Redakcyą objął Fr. L. Hovorek, znany tłumacz *Mazepy* Słowackiego, kilku prac Kraszewskiego, Błizińskiego i K. Zalewskiego. W pierwszym zeszycie, pomiędzy innemi, znajduje się bardzo ciekawy artykuł p. t.: *Mąż ducha żelaznego*, przyczynek do poznania J. I. Kraszewskiego na polu naukowym. Autor tego artykułu p. H. Sokolov stara się chociaż w szczupłych ramach przedstawić wszystkie wybitniejsze prace i kierunek tychże prac naszego pisarza.

Samo pismo ma się przedstawiać bardzo okazańie. Między współpracownikami jego, spotykamy pierwszego rzędu siły literackie, jak Karola Lenskiego, Jarosława Vlcek-Bożena Justova, Edwarda Jelinek, J. Cervenka i innych.

— *Figaro* w jednym z ostatnich numerów, podając wiadomość o ukazaniu się u wydawcy Vanier'a przekładu *Bajek Krasickiego*, do-

konanego przez pannę Blanę Norblin, a wydanego staraniem jęj rodziny, w te się słowa odzywa: „Niezależnie od interesu literackiego, jaki przedstawia dla nas ten pośmiertny przekład bajek księcia arcybiskupa gnieźnieńskiego (*sic*), pochodzących z wieku zeszłego, a mających zapoznać nas z utworami wielkich poetów narodu, który zniknął (*sic*), a zawsze jednak sympatycznego, *Bajki* te mają dla nas tę jeszcze ciekawą stronę, iż przedstawiają dziwną mieszaninę słodczy słowiańskiej oryginalności i ducha francuzkiego.”

Słusznie w oburzeniu pisze *Wiek*, że *Figuro*, wysyłając swoich korespondentów do kraju zulusów, czy nie uznałby za stosowne przysłać jakiego ze swoich współpracowników nad brzegi Wisły, aby przekonać się mógł, że nad jęj brzegami, od jęj źródła do ujścia, wciąż jeszcze mieszka i żyje naród, którego Krasicki w XVIII stuleciu był poetą.

— We Lwowie zaczęto wychodzić nowe pismo: *Szewc postępowy*, dwutygodnik, poświęcony interesom szewców, wydawany staraniem korporacji szewckiej, pod redakcją p. Filipa Zielińskiego.

— Szkoła rzemiosł dla kobiet, otwarta została w Warszawie przez panią Suchowiecką, z dniem 1 października. Uczennice kształcić się w niej będą teoretycznie i praktycznie.

— W dalszym ciągu wydawnictwa dzieł *Juliana Bartoszewicza* ukazał się tom IV, a zarazem ostatni: *Historji pierwotnej Polski*. Mieści on obszernie wyłożone dzieje Polski w podziałach od Władysława IV do końca panowania Mieczysława Starego.

— W handlu księgarskim ukazały się między innymi *Obleżenie Warszawy*, przez Walerego Przyborowskiego; *Zwerciadłana zagadka* (drukowana poprzednio w *Kronice Rodzinnęj*), przez Deotymę. Trzy epizody z dawnego życia szlacheckiego: 1) *Święcone w Lubuniu u wojewody Stepkowskiego*; 2) *Córka hetmańska*; 3) *Mirza-Tadż-El-Fuher* (emir Waclaw Rzewuski), przez Piotra Jakę Bykowskiego.

— P. Stanisław Kosiński, inżynier budowniczy, wydał broszurę: *O warunkach akustycznych wymaganych w budowie*.

— Od nowego roku ma wychodzić w Warszawie pismo przeznaczone dla ludu p. t.: *Opiekun domowych i pożytecznych zwierząt*. Zadaniem pisma będzie przyzwyczajanie ludu do dobrego obchodzenia się ze zwierzętami.

— Wyszła obecnie z druku ciekawa praca p. Jana Zawiszy, tytuł jęj: *Rezultaty poszukiwań archeologicznych w Krolestwie Polskiem w latach 1877, 1878 oraz w roku bieżącym*.

— W berlińskim *Resilenztheater* przedstawiono świeżo *Posażną jedynaczkę* Aleks. hr. Fredry syna.

Znakomity komik niemiecki Dessoir, grał rolę Szumbalińskiego. Krytyka berlińska jaknajpochlebniej wyraża się o sztuce „sympatycznego poety polskiego, którego potężny talent i pomysłowy humor zamiało dotąd w Niemczech zostały ocenione.”

— Przed kilku tygodniami znaleziono w Czarnolesiu uszkodzoną tablicę grobową. Po odczytaniu jej okazało się, iż jestto kamień grobowy, położony przez Jana Kochanowskiego nad mogiłą rodziców jego: Piotra i Anny z Biańczowa.

— W tymże prawie czasie, za staraniem jednego ze skrzętnych zbieraczy p. Z., odszukano w Iwanowicach, w Kaliskiem, metrykę słynnego obrońcy Częstochowy, księdza Augustyna Kordeckiego.

— Niemieckie Towarzystwo nauk, sztuk i ogólnej oświaty we Frankfurcie nad Menem, przesłało J. I. Kraszewskiemu, z okoliczności jubileuszu, adres z powinszowaniem, oraz dyplom na członka honorowego.

— *Wykład systematyczny logiki, t. j. nauki o porządku istności.* Część fundamentalna: Metodologia. Napisał dr. A. Molider. Kraków, nakładem J. Kamińskiego. Drukiem W. Kordeckiego, 1879.

— *Teorya wyznaczników (Determinantów).* Kurs uniwersytecki wyłożył Maryan Aleksander Baraniecki. Paryż, nakładem właściciela *Biblioteki Kornickiej*, przewodniczącego w Towarzystwach Naukowej Pomocy i Nauk Ścisłych w Paryżu, 1879.

— *Encyklopedyi Rolnictwa i Wiadomości z nią mających*, pod redakcyą J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i S. Przystańskiego, t. V, zeszyt X, XI i XII. Warszawa, 1879. Główny skład i ekspedycya w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— *Algebra*, przez G. H. Niewęgłowskiego, profesora matematyki w Paryżu. Część pierwsza: *Algebra elementarna*. Paryż, nakładem właściciela *Biblioteki Kornickiej*, 1879.

— J. I. Kraszewski: *Bratanki*, powieść z podania początku XVIII wieku, t. I i II. Warszawa, 1879. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i spółka.

— *Z różnych sfer*, nowele i obrazki Emilii Orzeszkowej. Serya 1, t. I i II. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1879.

— Roman Nowina: *W starym piecu dyabeł pali*, przysłówie dramatyczne w 1 akcie, wierszem oryginalnym napisane. Nakład R. Czykowskiego w Łowiczu. Warszawa, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1879.

— *Francesko z Rawenny*, tragedia w pięciu aktach, przez W. H. Warszawa, druk Władysława Dębskiego, 1879.

— *Pieśni Hejnego*, przekład Aleksandra Kraushara, wydanie nowe przejrane i dopełnione. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1880.

— Dra. Karola Schenkla: *Cwiczenia greckie*. Podług 10 wydania niemieckiego do języka polskiego zastosował dr. Zygmunt Samolewicz. Wydanie trzecie. Lwów, nakład Karola Wilda, 1879 r.

— W tych dniach opuścił prasę tom V *Zbioru praw i rozporządzeń rządu*, który, jak wiadomo, ma zastępować dalszy ciąg dawnego *Dziennika Praw Królestwa Polskiego*. Wydane poprzednio cztery tomy tego zbioru, obejmowały wszystkie obowiązujące w Królestwie Polskiem przepisy i rozporządzenia rządu, ogłoszone we właściwej drodze prawodawczej w ciągu lat 1871, 1872, 1873 i w pierwszej połowie 1874. Ukończony obecnie tom V-ty zawiera prawodawstwo za drugie półrocze tego ostatniego roku. Redakcja *Niwy*, której nakładem *Zbiór Praw* wychodzi, ogłasza na okładce tomu V, że tom VI, który obejmie prawa obowiązujące w Królestwie Polskiem, wydane w ciągu pierwszego półrocza 1875, wyjdzie z druku niebawem. Tom ten między innymi obejmie ważne prawodawcze przepisy o zaprowadzeniu reformy sądowej.

---

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Za redaktora odpowiedzialnego dr. Karol Jurkiewicz.

Wydawca *Józef Berger*.

# FRANCISZEK MAKSYMILIAN OSSOLIŃSKI,

PODSKARBI WIELKI KORONNY 7).

PRZEZ

*Klemensa Kanteckiego.*

### III.

Od chwili niemal połączenia się z Leszczyńskim, Ossoliński był jego prawą ręką, najpierwszym i najzaufanyszim doradcą i jakbyśmy dziś powiedzieli, ministrem spraw zagranicznych. W charakterze tym występuje on w listach do różnych stronników króla Stanisława, przede wszystkim zaś do oboźnego koronnego, Jerzego Ożarowskiego, zaszczyconego ważną misją do Francji. Korrespondencya tych dwu ludzi, przechowana w całości <sup>1)</sup>, wskazuje dowodnie, jak niesłychanie trudnym i kłopotliwym było stanowisko podskarbiego; przekonywa, że sprawa już wtedy była niepowrotnie straconą i że najświetniejszy talent dyplomatyczny nie mógł jej ocalić. Nie brakło wprawdzie pięknych przyrzeczeń z różnych stron, z kraju i zagranicą: chełpili się Polacy gorącą miłością do prawowicie wybranego króla, ale na popieranie go wychodzili zaledwie garstkami, podczas gdy nieprzyjaciół wystawiał całe armie. Zaręczali Francuzi, że nigdy nie dopuszczą, aby teść ich władcy uległ brutalnej przemocy; głosili, że tylko w jego interesie rozpoczęli walkę z cesarzem, ale wistocie wspierali go jedynie szczupłymi, nieregularnie wypłacanymi zasiłkami pieniężnymi. Czekali zaś sposobności, aby wojnę z korzyścią dla siebie zakończyć, a zawiedzionego Stanisława zniewolić do abdykacyi.

Skąpe te subsydia nietylko nie wystarczały na „ukontentowanie” resztki wiernych magnatów i szlachty, na wynagrodzenie im szkód, zadanych przez nieprzyjaciół, ale nawet na żołd żołnierza, a lubo naród imię Leszczyńskiego nieustannie miał na ustach i czuł do niego niezawodnie szczerą sympatją, do bezinteresowności i poświęcenia niezawsze bywał skłonny. „Wiadomy geniusz narodu naszego, pisze starosta stobnic-

<sup>\*)</sup> Dokończenie — patrz zeszyt za listopad r. b.

<sup>1)</sup> W cytowanym wyżej kopiaryszu Małachowskiego, na którym się głównie opioro będziemy; z niego to czerpiemy, gdziekolwiek poniżej nie przytaczamy specjalnie źródła, podając tylko imiona korrespondujących i datę listów. Wskazywanie stronnie byłoby tu zresztą niemożliwym, gdyż rękopis jest niedokładnie foliowany.

ki, z Krakowa 3 września tegoż roku, gorszy od szwajcarskiego: bez pieniędzy nie nic zrobi...”

Wojsko polskie w XVII i XVIII wieku bywało zwykle anarchiczne, nickarne i skore do łupieztwa; jakżeż sobie poczynać musiało, gdy ujrzawszy się panem położenia, zdemoralizowane i niepłatne, sądząc, że mu wszystko wolno, nie chciało słuchać rozkazów Tarła i Steinflichta, ani zleceń wysyłanych z Królewca, lecz samo sobie nakreślało plan dalszego działania.

Nadaremnie w porozumieniu z Francją usiłowano tę niesformą zgraję pchnąć na posiadłości Fryderyka Augusta lub cesarza Karola VI; nadaremnie dwór królewiecki wystawiał korzyści, „wynikające z inkursyi wojska koronnego do Szlązka albo do Saksonii:” daremnie zaręczał, że „na tém zawisło wszystko szczęście Rzeczypospolitej <sup>1)</sup>.” Wykazywał on: 1. „Że wojsko polskie mogłoby mieć wyżywienie bez ekspensy kraju swego i bez tak ciężkiej ruiny, która się dzieje. 2. Moskwa byłaby obligowana do marszów rujnujących i cale sobie niepożytecznych, idąc za wojskiem lekkim. 3. Saksonia, jako w wielkim strachu będąca z odgłosu o tój wojsk polskich inkursyi, prędkoby się zwinęła i zmieszała, a gdyby jeszcze miała odnieść jakową ruinę, pewnieby elektor niemiał więcej żadnych ztamtąd nadziei i posiłków utrzymania się dłużej w Polsce. Tenżeby to był skutek w Szlązku przeciwko cesarskim złym ku Polsce naszej intencyom i takowa dywersya pewnieby poparła visibilter operationes bellicas Najjaśniejszego króla Imci francuzkiego i najjaś. koligacyi Polsce naszej przychylnych. Et e contrario siły cesarskie nad Renem, będąc daleko mniejsze, pewnieby więcej pozwoliły łatwości do marszu francuzkiego ku Saksonii po najpierwszych sukcesach wojsk francuzkich nad temiż nieprzyjacielskimi, bardzo już osłabionemi nad Renem przy pomocy Pana Boga, jako obrońcy najpierwszego justae causae <sup>2)</sup>.”

Wojsko pełne malkontentów, fomentatorów i huczków, przedstawiało widok bardzo ponury; zamiast słuchać rozumnych perswazyi, wykrzykiwało zuchwale i butnie przeciw swym przełożonym, głosząc publicznie to, „co było przed kilku tygodniami i sacrilegium myśleć.” Ożarowski, wstąpiwszy po drodze do obozu, rozłożonego na pograniczu pruskiem pod Kargową, nasłuchiwał się tych żołnierskich rezouowań dosyta.

-- Panowie nas łudzą i zwodzą—wołali rycerze, skorsi do sejmikowania i grasowania po kraju, niż do boju. Obiecali, że króla Imci w Pomeranii lub bliżej zastaniemy, że będziemy mieli pieniądze, jak tylko zbliżymy się ku granicy pruskiej, że sukursy gotowe zastaniemy; teraz na jatki nas w ciasny kąt zaprowadzili i otwierają, że salwować się trzeba do Szlązka i Saksonii.

1) Kopia listu Ossolińskiego do Ożarowskiego z dnia 4 marca 1735 r.

2) Rękopis Zakładu Ossolińskich, nr. 307. karta 227.

Niedość na tém: 'sejmikowicze złożyli koło, domagając się zareczenia, że ich wodzowie nie poprowadzą do Saksonii, ani do Szlązka; „inaczej bez wielkiego tumultu i sedycyi żadną miarą obejść się niemoгло.” Wojewoda lubelski Tarło i generał Steinlicht niemieli tu już prawie żadnego znaczenia; dawszy im żadaną obietnicę, przyrzekłszy rychłą zapłatę, patrzeć jeszcze musieli na to, jak zuchwała tłuszcza dopuszczała się bezkarnie łupieztwa „z niewyraźną kraju ruiną i przekleństwem,” odstręczając serca mieszkańców od sprawy króla Stanisława, któremu niby to służyła. „*Origo* téj tragedyi, dodaje obożny, zda się być foment tych, którzy związku wojska i marszałkowstwa związkowego sobie życzyli, jako i od duchów saskich, których niemało.”

Sądzi on, że dla zapobieżenia nadal tak opłakanyim stosunkom, należy oczyścić wojsko z żywołów burzliwych, dwieście kilkadziesiąt niekompletnych chorągwi zredukować do stu pełnych i karnych, a „huczków” puścić do domów, aby jadem anarchii nie zarażali towarzyszów; nadto zaś przesać 200,000 dukatów na półroczny żołd, aby żołnierz nie potrzebował sam sobie szukać wyżywienia. Chcąc jednak być pewnym pożądanego skutku, trzeba nadto jeszcze „prezencyi pańskiej,” potrzeba, aby Leszczyński osobiście pokazał się w obozie.

Z powodu ostatniej rady, sam król Stanisław odpowiada listem z 21 marca, wykazując, że jój posłuchać nie może. „Gdybym ztąd wyjechał, mówi, co jest rzecz wielkiej konsekwencyi, któż mnie ubezpieczyć może, że wojsko przy granicy brandeburskiej Pomeranii znajde, które ulla tenus inaczej w tym kącie jak jest, utrzymać się nie może przy następującym na nie zewsząd nieprzyjacielu, chyba przez armistycium, od którego fatale et funestum exemplum pana wojewody kijowskiego odrażać powinno, bo inaczej nieprzyjaciel pewnie na nie nie pozwoli, chyba obsaczywszy naszych, że tandem będą musieli przez kapitulacyą salvari. A zatym póki z łaski Pana Boga nie nastąpi dies salutis, trzeba i niemasz inszego sposobu, tylko tabory porzucić, a jako ojcowie nasi wojowali, celeritate circuire, bez żadnej dalszej konsyderaacyi nadać sobie kraju, czyto Saxonią, czyli Ślązk, czyli Węgry (sic) — eventus probat, że to unum porro necessarium <sup>1)</sup>.”

1) Gdy wojsko nie przostawało napierać się przybycia króla, jak dziecię widoku matki, wysłano z Królewca pismo, złożone z ośmiu punktów, a przechowane w rękopisie Ossolińskich, nr. 307, karta 227—228, pod tytułem: *Motiva, które są przeciwne wyjechaniu pro nunc do wojska polskiego, albo do poblížszego gdzie z nim się zniesienia J. K. Mci P. N. M-go. Lo-szczyński* „żadną żywą miarą nie może opuścić Królewca, nie porozumiawszy się wprzód z królem pruskim, a porozumienie się spowodziłoby znaczną zwłokę. Nie należy wystawiać drogiej osoby królewskiej na niebezpieczeństwo. „Prezencya Jego nie jest potrzebna wojsku, kiedy jest ubezpieczone, że się znajduje w Królewcu i ztąd może odbierać wszelkie instrukeye i rozkazy.” Przyjazd Stanisława byłby dla wojska raczej ciężarem, niż korzyścią; myśl o bezpieczeństwie tak dostojnej osoby, tamowałaby może nieraz jego plany,

Było rzeczą nietrudną do przewidzenia, że wojsko w językowej szermierce tak waleczne, a sądzące, że mu wolno iść za głosem własnych przywidzeń i zachcianek, gdy przyjdzie rzeczywiście do walki z nieprzyjacielem, mniej się okaże bohaterskiem i nieustraszonem. Jakoż książę Sachsen-Weissenfels na czele nielicznych sił z łatwością zniósł te luźne i swawolne zaciągi pod Stężycą, a wtedy mężni „fomentatorowie” i dzielne „huczki” najsamprzód salwowali się na terytoryum Fryderyka Wilhelma.

Gdyby ta klęska nie była pozostała bez zbawionego wpływu na rozswywołone żołnierstwo, gdyby władzę nad niem objął utalentowany i energiczny generał, któryby przytém mógł regularnie wypłacać żołd podwładnym, jeszceby można było sądzić, że kampania nie przejdzie bez pewnych korzyści, gdyż jak donosi Ossoliński (6 maja), gdy z niedobitków 36 chorągwi przybyło do dywizyi Michała Potockiego, wojewody wołyńskiego, siły króla Stanisława dochodziły do cyfry 10,000 ludzi. Chciał dziejowy fatalizm, że Francya, jak gdyby pragnąc się coprędzej wycofać i uwolnić od niewygodnych zobowiązań, wbrew tradycyom słynnej hojności dla niezamożnych aliantów, dla Polski okazała się nad wszelki wyraz skąpą. Stary pedant, kardynał Fleury, nie tylko niemiał geniuszu Richelieu'go i Mazarin'a, niemiał nawet politycznej ambicji i poczucia honoru, bez których niepodobna być dobrym mężem stanu. Wolał rzucać na marne te drobne kwoty, które pod naciskiem dworu od czasu do czasu „posyłał, aniżeli znaczniejszemi subsydjami umozębnić polskim przyjaciołom skuteczniejsze działanie. Owa mizerna jałmużna zdolna była szczupłą „czeladkę” Leszczyńskiego ocalić na razie od głodowej śmierci, nie mogła jednak żadną miarą uczynić jój groźną dla przeciwnika.

Kardynał zatrwożony śmiałemi zabiegami marszałka Villars, który chciał nad Wisłą zatknąć francuzkie sztandary, rzec niemal można, że raczej się sinucił, niż cieszył z francuzkich zwycięstw, bo jedy-ną jego dążnością było jaknajrychlejsze zawarcie pokoju.

W następstwie tak małodusznej polityki wersalskiego gabinetu, król Stanisław musiał patrzeć z bolem, jak bezowocnie mijały najpiękniejsze okazy naprawienia zagrożonej jego sprawy. Chciał on teraz

„ambarasowałaby effectum expodycyi na Ślązk lub do Saxonii.” Fryderyk Wilhelm, który mu nie wypowie gościnności, dopóki siedzi w Królewou, gotówby go nie przyjmując, skoro bez jego wiedzy wyjedzie, bo „turpius eicitur, quam non admittitur hospes.” Pismo to, z którego przytoczamy drobno wyjątki, kończy się optymistycznem zaręczeniem: „Ale Wojsko Koronne może być asekurowano, że jako Francya nie dobyła miecza dla innéj przyczyny, tylko dla obrony Wolności polskiej, tak i teraz wszystko czyni i czynić będzie, co może, dla najprędszego dania sukursu jój i dla postawienia wszystkich rzeczy w Polsce na tychże stopniach, na których zawazo były; ależ trzeba, żeby i Polska nie zapominała do utrzymania się w tymże samym stanie. *Racye do tego punktu są jaśniejsze nad samo słońce.*”



znowu zatrudnić żołnierza, wysyłając go albo „obces aż do Szlązka,” albo na uwolnienie więzionego jeszcze ciągle prymasa Teodora Potockiego, którego wtedy feldmarszałek Münnich „tyrańską manierą do Warszawy gwałtem zaprowadzić rezolwował się,” grożąc mu wieczną niewolą na Syberyi, jeśli nie uzna Fryderyka Augusta, ale czuł, że francuzkie skąpstwo udaremni te plany <sup>1)</sup>. „Kłopot w tém nad kłopoty, żali się Ossoliński, że tych powracających wojsk niémamy czém kontentować, ani posiłkować. Pieniądzy tu absolute niemasz przy takich rozchodach, jakie tu ciągle rosną, a niepłatnego wojska niepodobna przymusić do dobrej i szczerzej wojny i do posłuszeństwa należytego.”

To téż nie oni króla, ale król ich słucać musiał. „Wojsko litewskie, pisze podskarbi 13 maja, pod komendą Imci pana Massalskiego, dywizya zaś Imci pana wojewody wołyńskiego pod komendą Imci pana Gurowskiego, stolnika podolskiego; trzecia item dywizya Imci pana Zebrzydowskiego, gdy żadną miarą na inkursyą namówić się dać nie chcieli, musiał tandem król Imć dla utrzymania téj garści ludzi in obedientia confederatione Reipublicae, dać wszystkim anticipative kwartalną regularną płacę i tak szczęśliwie wyszedłszy z Warmii, poszli w głąb Litwy.” W zamian za wypłacony naprzód żołd przyrzekli wprowadzić ci rycerze „dotrzymać panu sacrosancte fidelitatem, ale (co wielce charakterystyczne) tylko usque ad futura subsidia” i to jeszcze pod warunkiem zastrzegali sobie: „byleby nieprzyjaciel pozwolił im tyle czasu...” Snać postanowili już z góry niebardzo się trudzić i narażać. Tym nieprzyjacielem zaś, którego się tak bardzo bali, był zaledwie pięciotysięczny oddział generała Birona; poszedł on „w te tropy za nimi, niemało wlokących się za wojskiem rabusiów nabiwszy, naodzierawszy i w niewolą zabrawszy.”

Oprócz tych partyi nie wiele wojska pozostało Stanisławowi. Donosi z Królewca 17 maja Tarło, że możnaby było wprowadzić zebrać ze sto chorągwi, „gdyby ich było czém kontentować,” ale zaledwie „na 12 chorągwi jedną ćwierć wymógł, że zapłacono,” inni prozjeżdżali się po domach.

<sup>1)</sup> Prymas miał wielki żal do politycznych przyjaciół, że nie skorzystali z dobrej wówczas sposobności uwolnienia go. Zachęcany później do wytrwania w wierności dla Leszczyńskiego odpowiadał: „To Waszmoście chcecie, żebyśmy się znowu z płaczom rozjeżdżali, kiedy mnie z jednym lokajem porwą? siedzę już rok w niewoli, czemu mnie nie starali się uwolnić, tylko mnie zwodzą jak dudka.”

Przytaczający te słowa kapitan Sołtyk, dodaje od siebie (1 lipca z Łowicza): „To jest pewna, że wiedzieli w Królewcu, że księcia ruszają z Torunia, mogliby byli wysłać ludzi, toby byli gdzie około Płocka, lub gdzieindziej księcia odbili, czego się książę spodziewał,” Kończy pan kapitan uwagą, która się zapewne wtedy z niejednej wyrwała piersi: „Ale téż tym panom w Królewcu możemy dobrze w oczy powiedzieć, że nas zwodzą.”

Z tych co wyruszyli na Litwę, nie wielką miał Leszczyński pociechę; nie długo się oni wystugiwali za wymuszone na nim pieniądze, uciekali nieraz pod lada pozorem, choć im nawet nic nie groziło. „Odebraliśmy wczoraj, są słowa Ossolińskiego z dnia 20 maja, list od Imci pana Massalskiego, dający o tém znać, że wojsko litewskie i inne przy nim będące, dużo się tą swoją terażniejszą strwożyło sytuacją i przy ciężkiej nuży swojej i ogłodzonym tamecznym kraju, rozjeżdżać się znacznie tak towarzystwo, jak oficerowie do domów swoich gwałtem poczęli. A dywizya wołyńska dla niezgody i emulacyi swoich przekłetych, prawie się już cała rozpierzchnęła. Saskie też fakcye dużo się już tam zagęściły, a najbardziej z tą insynuacją, że od Francyi już nulla securitas obiecanych sukkursów i subsidiorum.” Jedni więc szli w rozsypkę, inni dopuszczali się jawnej zdrady: „pułk lekki królewskiej chorągwi 12, pod komendą Baranowicza, poszedł w oczach wojska litewskiego do Moskwy.” Naczelnik hufców litewskich miał jak się zdaje najlepsze chęci, ale odstąpiony przez towarzyszków, nie zdołał się ostać w trudnym położeniu. „Imci pan Massalski, mówi Ossoliński 24 maja, z małą bardzo liczbą wybranych poczewych ludzi, gdy się nigdzie z wojskiem przebrać nie mógł, jako był zamysłał w głąb Litwy, znalazłszy we wszystkich przeprawach i traktach zastąpione, zasiekane, przekopane drogi, współ z Imci panem Gurowskim, regimentarzem dywizyi polskich, rejterować się musiał nazad w Prusy brandeburskie.”

Schroniwszy się na terytoryum pruskie, czuły się te niedobitki bezpiecznemi, ale biada temu co w naiwniej ufności liczył na przyjaźń Prus! Generał Katt, choć królowi Stanisławowi w swego pana imieniu oświadczał najserdeczniejszą przyjaźń, skoro tylko postyszał, że polacy bez pozwolenia pruskich władz przekroczyli granicę, pod pozorem zapobieżenia „dalszym inkonweniencyom” i wojnie z Rosyją, począł uchodzących niedobitków traktować po nieprzyjacielsku. Prusacy zarówno wojskowi jak cywilni, korzystając z fatalnego położenia nieszczęśliwych, poczynali sobie z właściwą temu narodowi szlachetnością... „Tak oficerowie, jako i szlachta, świadczy podskarbi, sami prawie równie zdzierali, rabowali i zabijać dopomagali tych, którzy się rejterowali w Prusy, co się niedawno stało w Augenburku, że gdy się tam po rozproszeniu wojska rejterował Imci pan regimentarz Massalski, gwałtem go pułkownik tameczny Bork najść kazał, porucznika petyhorskiego, nazwiskiem p. Bosnata, gwałtem wziąć kazano, prowadząc zbito, stłuczono, samego Imci pana Massalskiego naszarpawszy się.”

Massalski, Gurowski, Zebrzydowski, Ogiński, starosta przewalski (ostatni straciwszy cały trzechtysięczny z górą oddział, samoszóst tylko uszedł) i inni, którzy przynajmniej życie zdołali unieść, „odpadłszy od koni i wszelkiego rysztunku,” który ugrzązał w rękach gościnnych Prusaków, prawie o żebraczym chlebie dowlekli się do Królewca. „Trzeba to wszystko żywić, dodaje z westchnieniem Ossoliński, a było to zadanie

nie łatwe, bo różnych wojskowych, oficerów, towarzyszków i pułkowników zjechała się niemała „kupa” około 3000, a wszyscy uważali, że im się należy nielada nagroda za nadludzkie ofiary i poświęcenia... Nieliczny zastęp tych, którzy uszli rąk rosyjskich i pruskich, znalazł bezpieczny tymczasowo przytułek w zasiękach puszczy: łomżyńskiej, przasnyskiej i ostrołęckiej, życzliwie przyjęty przez dzielnych Kurpiów, za sprawą pułkownika Raczyńskiego. Ten „wczesnie przybywszy, już im tę ułożył był i zjednał rozumnie rejteradę.”

W puszczykach tych krył się niemal jedyny zawiazek przyszłej armii Stanisławowczyków, jedyna niemal, acz słaba nadzieja przyszłych powodzeń; rozumiejąc to dobrze Leszczyński, wspierał „Kurpików” o ile tylko dozwalały szczupłe jego środki. „Rachuje się tam ludzi, donosi podskarbi 17 czerwca, blisko 10 (?) tys. ale że to zbierana drużyna, nie wiem czy wytrzymają generalny atak, jeżeli Moskwa gromadząca się przypuścić go zechce. Posłaliśmy tam prochu, kul i lenung na miesiąc dragonii, która się tam znajduje; z dywizyi litewskiej i koronnej rachuje się na 300 ludzi.”

Wypadało więc myśleć i o mieszkańcach puszczy, o bezczynnych zbiegach siedzących w Królewcu i dawnych tamtejszych rezydentach, przedewszystkiem „marszałkach, konsyliarzach i asystentach konfederacyi,” bo tym spustoszone i zagrabione dobra, nie mieli więc środków do życia i o nowych przybyszach, „bo kto tu przyjedzie to po to aby co wziął,” a tymczasem skarb po największej części świecił pustkami.

„Dusza nas boli, wzdycha Ossoliński, kiedy wygnani poczciwi ludzie z Polski i W. Księstwa litewskiego, z miłości dla ojczyzny i kochanego pana naszego prawie mendicantes tu recurrunt, a niemasz ich czém ani pocieszyć, ani posilić.”

Tryumfowali sasi i urągali się ze stronników króla Stanisława, a wielu zdesperowawszy, „szli jak na lep i przysięgali ex necessitate insuperabili.”

Rząd francuzki tęp najwięcej zawinił, że podtrzymywał w polakach systematycznie nadzieje, których nie chciał, czy niemógł ziszczyć; zaręczał ciągle, że mogą liczyć na Szwecyą i Turcyą, a nadto, że Francya „póty od persekucyi wojny z cesarzem nie odstąpi” dopóki Leszczyńskiego „na tronie nie umocni i nie utwierdzi.” Po smutnych dotychczasowych doświadczeniach wiedziano wprawdzie w Królewcu, że owych szumnych obietnic niemożna brać za zupełnie dobrą monetę, ludzono się jednak niemi, bo ludzie chętnie w to wierzą czego pragną. Ministrowie nadsekwańscy, jakby brak czynu chcieli zastąpić słowami, do ostatniej chwili nie szczędzili najpiękniejszych obietnic, z prawdziwie machiawelską sztuką oszukując łatwowiernych Sarmatów. Widząc niegodne ich postępowanie obie królowe, żona i córka Leszczyńskiego, mówiły im z tęp serdeczném uczuciem, które powinno było wzruszyć i do szczerości pobudzić:

— Nie gubcie nam króla, mnie męża, mnie ojca; rewokując go, poślijcie po niego: niedbamy o wasze obietnice, nie zawódźcie nas dalej i waszego króla, nie podawajcie nas dłużej światu całemu na śmiech.

Ale słowa te płynące z głębi zbolątego serca, skłaniały obłudników tylko do tém śmielszych kłamstw. „Odpowiadają, proszą, zaklinają, mówi sekretarz Ożarowskiego, sławny Pijar, ksiądz Stanisław Konarski, (z którego pisma tu korzystamy) poprzysiegają, żebyśmy tego cośmy tak długą, stateczną, nieporównaną cierpliwością zyskali, niecierpliwością nie zgubili... Przekonają się wszyscy, że Francya nie prowadzi wojny tylko dla króla i wolności polskiej i że jój nie przestanie póki tego nie dopaie. *Revera, wyznają sami, co i my im mówimy, że nie mogłaby mieć brzydszój infamii Francya i szpetniej stracić sławy i kredytu, jako gdyby się nasz król nie utrzymał* i asekurują, że hono-ru i interesu swego w tém nie opuszczą <sup>1)</sup>.” Trudno było doprawdy wydać na siebie surowszy wyrok! Ossoliński mówi z goryczą: „te wszystkie nadzieje do żywego nam prawie dojadły,” a przecież i on woła nieraz: „Owo zgoła nulla jus spes in armis nostris, a Deo auxilium nostrum et in prosperitate armorum najjaśniejszych koligowanych potencji,” zapominając o tém, że najlepiej zawsze liczyć na siebie, nie spuszczać się na cudzą pomoc, że i Bóg tym tylko pomaga, co sobie sami pomagają.” Wytyka sam podskarbi tę zdrożną apatyą swemu stronnictwu mówiąc: „a my zdamy się jak uspionemi, et solam coeli wyglądamy clementiam,” przyznaje też, że Francuzów mógł istotnie zwyciężyć opór wojska polskiego, bo marzyli, aby polaków „wciągnąć do Szlązka dla prędszego złączenia się z nimi.”

Celem usprawiedliwienia własnej bezczynności zdobyto się wtedy na szczególną teoryą, godną stanąć obok téj sławnej maksymy, że Polska nierządem stoi, bo powiedziano, że „Polacy wojować sami nie chcą, ale się za nich inni biją... <sup>2)</sup>.”

Poddawano się w ten sposób nedorzecznym nadziejom, zwracając wzrok pełen tęsknego oczekiwania ku Francyi, Szwecyi i Turcyi. Wśród podobnych złudzeń i niewieścich lamentów, rzadko kiedy odezwał się głos mężki, wyrażający potrzebę liczenia tylko na własne siły. Ufnosć do tych sił była wtedy w Polsce tak małą, że nie spróbowano ich nawet w porze, gdy kraj zalany do niedawna cudzoziemskimi wojskami, dzięki europejskim zawikłaniom uwolnił się od przeważnej ich części, gdy żołnierz rossyjski podążył na plac boju nad Ren, przeciw Francyi, a w ziemiach polskich pozostało zaledwie po kilka tysięcy Sasów i Rossyan, co powtarzają jednozgodnie wszystkie ówczesne korespondencye. Był to jedyny czas do akeyi; cóż kiedy naród się nie podniósł. Znajdowali się wprawdzie tacy, co go chcieli wyleczyć ze zgu-

<sup>1)</sup> Kopia listu ks. Stanisława Konarskiego do Ossolińskiego, z Marly, 23 września, 1735 r.

<sup>2)</sup> „Punkta pro informatione posłom podane na przyszły sojm (1735) z Królowca, w rękopisie Piotra Małachowskiego.”

bnój choroby oglądania się tylko na obcą pomoc, co wołali głosem wielkim, aby sam o sobie myślał i działał na własną rękę—ale były to nieliczne wyjątki, a ich odezwy, to *vox clamantis in deserto*. Do podobnych zaszczytnych wyjątków należał Narzymiski, starosta bobrownicki, piszący pod dniem 30 sierpnia do Ossolińskiego z przekazem: „Dziękuję za nowiny bardzo pocieszne i nadzieje nasze utwierdzające, tylko Mci Dobr. wybacz mi, że te nowiny są bardzo dobre dla tych, którzy penitus rzeczy zważają i dla dobrych katolików, u których jest ta fides: credere, quod non vides... Ale podobno WMPan nie wiesz, że teraz już w naszej Polsce nie tak dobra wiara i chyba, że zobaczą visio-nem beatificam Pana swego, którego wolnemi głosami obrali, zmocnionego należycie.”

Po tym szyderyczym przycinku idzie ustęp, świadczący o patryotycznym zapale starosty. „Trzeba koniecznie, są jego słowa, zacząć co agere w Polsce, i gotówbym przysiąc na wszystkie Sakramenta, że gdyby teraz JKMość choć w kilka tysięcy regularnego wojska wyszedł, co żywo by się wiązało i odrywało od tamtej strony, i co żywo czy szlachta, czy chłopci, biłoby Sasów, ile że w nich jeszcze jest i znajduje się prawdziwy żelus in maxima parte ku Panu naszemu, a potem któż wie, czy będzie? Trzeba tu Dobr. koniecznie, żeby jedna ze dwu rzeczy stała się a prędko: albo do Polski wnieść, albo do Saxonii wtargnąć, siu secus perimus, bo choćby nad Renem najlepiej się działy rzeczy, to kiedy tu w Polsce nie będziemy robić, to to w długą pójdzie...”

Słowa powyższe, choć na pozór grzeszą optymizmem, w istocie wiele zawierały prawdy. Szlachta gotowa była wtedy naprawdę sijać na koi: ale od chęci do czynu daleko, a postanowienie to płynęło też z mniej wzniosłych pobudek, aniżeli byśmy może życzyli. Zniósłszy dotąd tyle upokorzeń, rzucanych jej nieustannie w oczy, uczuła się pobudzoną do ogólniejszego chwycenia za broń dopiero wtedy, gdy ją dotknięto w tém, co w skutek powszechnego już naówczas rozmiłowania się w materialnym dobrobycie poczytywała za najwyższe dobro na ziemi, to jest w materialnych dostatkach. Gospodarka cudzoziemskich wojsk w Polsce była rzeczywiście bezprzykładną, zdzierstwa przechodziły wszelką miarę.

„Kontrybucye ogłoszone pieniężne, opowiada Ossoliński 19 sierpnia, jakie nigdy nie bywały i których nigdy żadne dobra wypłacić nie mogą. Uważ WMPan proportionem, kiedy na samą ekonomią malborską, która już miała generalne libertacye, włożono 680 porcyi na miesiąc, począwszy a 1-ma Junii ad ultimam Augusti, rachując na cały kwartał, wyniesie summa więcej jak 30,000 talerów. Ergo ta summa superat roczną intratę tej ekonomii. Tak ciężkie, ale jeszcze i cięższe na dobra nasze szlacheckie generaliter wszystkie przeładowania. Jam już swoich dóbr i okupować nie kazał; fiat z niemi voluntas Dei, już bez tego zniszczone, zrabowane. Okupując je i wyniszczając się z ostatniego grosza, kiedy tandem tego nie stanie, może przyjść na ten koniec,

że ich i spalą, a tak dwójka byłaby szkoda, i ostatni grosz wyszypałby się i fortunaby zginęła."

"Już tak się Sasi naprzykrzyli nieznośnemi kontrybucjami, donosi jakiś nieznany korespondent z Warszawy, że szlachta wolałaby dać ostatni kawałek chleba *auxiliaribus copiis*, aby executionem świeżo wydanych uniwersałów zastanowili," a zacy Rudziński kasztelan czercki, woła z rozpaczą (20 września): "Szlachta jak dusze z czyśca wyciągają ręce, wypatrując oczyma jakikolwiek podjeźdźnik, dla zatamowania tych kontrybucyi... Teraz prawie po kilkadziesiąt tylko Moskwy po województwach znajdujących się, ostatnią kroplę krwi *ex corpore mystico* wyciągają, na kilkadziesiąt milionów wybrawszy. Sukkursu kiedy już żadnego mieć nie będziemy, to się z desperacji już i sami salwujemy!"

Przewidując, że troskliwy o los ojczyzny Leszczyński mógłby się wstrzymać od stanowczej akcji z obawy, aby dla niepewnych widoków nie narażać kraju na zupełne zniszczenie, upewnia pan kasztelan: "Jeżeli chodzi Panu o ruinę kraju od naszych, większa się dzieje od wybierania tak wielkich milionów. Dla miłości Boskiej nie opuszczajcież rady mizernej mojej!"

Nie brakło, widzimy, dobrych chęci, brakło niestety inicjatywy, brakło człowieka, któryby jak Czarniecki skupiał chętnych i wiodł ich do boju. Zdawałoby się, że w tak ważnej chwili, da hasło do wybawienia puszcza Mazowiecka. Pokładano w niej istotnie wielkie nadzieje; podskarbi mówi o niej: „to Mantua nasza, ultimum antemurale.” Ktoś inny utrzymuje, że „aby wojsko jakie z Litwą zebrane i z kurpikami złączone stanęło na granicy, musieliby z Warszawy zagranicę uchodzić Sasi.”

Ale owa Mantua nie była już tём co przed rokiem. Wśród innych okoliczności byłoby mogło niezawodnie wyjść z niej zbawienie narodu. Podczas gdy jeszcze cała prawie Polska pod obuchem najazdu niemogła odetchnąć swobodnie, ta wybornie przeciw nieprzyjacielowi zabezpieczona warownia, dawała możność zgromadzenia dostatecznych sił i przygotowania ich do walki, zanimby poszły w ogień. Było w niej już kilka tysięcy ludzi gotowych do wojennej służby, a liczba ta rosłaby z dniem każdym, gdyby ochotnicy, których nie brakło, znaleźli tu niezbędne zapasy. Niestety! wieści nadchodzące z tój Mantuy, nie brzmiały pocieszająco. „Chorągiew Pańska na puszczy, pisze Rudziński (5 września) do Ossolińskiego, dużo zrujnowana, *compator*, co z nią czynić, bo wszyscy co kto z tój puszczy powróci, to narzekają, że głód ciężki. Ja nie wiem jak ją rekrutować będzie. Wielki tam nierząd, słyszę, pachotcy puciekali” i t. d.

Równocześnie pani Rudzińska, żona kasztelana, energiczna i pełna patriotyzmu kobieta, w smutnym rzecz przedstawia świetle. „I teraz, pisała, na puszczy głód, a jak mrozy uderzą, to forteca otwarta będzie.”

Głód nie jest zachęcającym doradcą; to też z czasem strasznie się przerzedziło w puszczech. Mało kto pozostał w nich oprócz samych

kurpiów, którym szlachta niesłusznie podobno nieufała. „Wierz mi WMPan, donosi Ossolińskiemu (14 września) Brzeziński, marszałek łomżyński, który tam miał komendę, że prawie umieram na to nieszczęście, że przynajmniej trzechset ludzi nie mam, a Bóg widzi, cudbym z nimi zrobił. Dziw, jaką ochotę mają kurpikowie, tylko do pola wyjść z nimi, wierzyé im niepodobna, chyba ich między siebie wzięwszy.”

Napróżno czekał pan marszałek na posiłki; „chyba pretendujecie, woła wkrótce potem z oburzeniem, aby tych ludzi garstkę, w wielkiej pracy będących, zgubić samymi furwachtami.”

Pamiętano o tém w Królewcu; postanowiono ogołoczone z ludzi i broni puszcze, umocnić i zaopatrzyć w jedno i w drugie, ale spełnieniu tego zbawienego pomysłu stanął znów na przeszkodzie ciężki niedostatek. „Kiedy generał Steinflicht, pisze z boleścią w dniu 20 września Ossoliński, tylko 60,000 czerwonych złotych na to wszystko potrzebował, aby tam potrzebną in omnem casum ubezpieczyć retiradę powstającym extrema resolutione przeciw Warszawie (to jest przeciw rezydującym w niej Sasom) Polakom, tego dotychczas wykonać nie możemy.”

Sumy téj nie zdołano zebrać, jakkolwiek Ossoliński i kilku innych gorliwych patryotów „dogadzając tym gwałtownym potrzebom,” pozostawiali srebra i klejnoty swoje na wysokie procenta. Ten fatalny brak pieniędzy czuć się dawał na każdym kroku. Wojsko koronne gotowe było stanąć na zawołanie, ale nie prędcój, dopóki by nie odebrało żołdu. „Obawiają się, streszcza ich zarzuty podskarbi w liście z dnia 30 września, aby porwawszy się na nieprzyjaciela a bez siły, całą zimę nie przyszło tłuc się po lasach i po całej Polsce a naostatek wpaść w taką sieć, jak pod Stężycą przeszłego roku.”

Udało się wreszcie generałowi Steinflichtowi zebrać w puszczech oprócz wyborowego tysiąca z górą kurpiów, około 800 żołnierza częścią polskiego, częścią cudzoziemskiego, ale zaledwie zgromadzeni, zaczęli dezercerować „ob defectum wypłacenia lenungów tygodniowych.”

Zmniejszającą się z każdym dniem załogę, obległo 1200 rossyan i 500 sasów; a gdy pozamarzały trzy rzeki, „które najbardziej niedostępną tę puszcze czynią,” padła (w pierwszej połowie grudnia) polska Mantua, padło ostatnie przedmurze polskiej wolności po uporczywej obronie. Pułkownik Paszkowski wypadłszy skrycie w kilkaset koni na oblegających, wyciął kilkudziesięciu rossyan, ale musiał uchodzić przed przemocą. Blizko przez cały dzień bronił się generał, poczem cofnął się ku pruskiej granicy, opuszczony w ostatniej chwili przez kurpiów. Biednym tym ludziom, którzy tyle wycierpieli dla sprawy Stanisława, wyrzucano „zdradę,” głoszone że przekupieni... Godzi się jednak zapytać, czy kurpiowie, którzy chwycili za broń tłumnie, gdy zaledwie drobna garstka szlachty wystąpiła w pole, okazali się więc patryotyczniejszymi od niej; mieli się narażać na niechybną zagładę, gdy już nie było widoków powodzenia? Zbyt wielkie zaprawdę wymaganie i sąd nad wszelką miarę surowy!

Wyobraźmyż sobie, jak boleśnie ranić musiały prawą i szlachetną duszę Ossolińskiego wypadki, któreśmy tu naszkicowali pokrótce albo jego własnymi, albo też do niego wystosowanemi słowy, pomijając z konieczności niejedną ze spraw, które położenie królewieckiego dworu czyniły niecznośnóm, a między niemi uajważniejszą: wymagania gabinetu berlińskiego, dokładającego wszelkich starań, aby przyrzeczeniami swego poparcia skłonić Leszczyńskiego do odstąpienia Prus Królewskich<sup>1)</sup>. Jeżeli dziś nas, przestrzemienią półtora wieku od owój pory oddzielonych, nas, którzy znamy smotę lat następnych: na samo wspomnienie owych chwil wstyd i smutek przejmują do głębi; cóż czuć musiał mąż, zrodzony w epoce najświetniejszych zwycięstw Sobieskiego, natchniony gorącą miłością dla ojczyzny i dla tego, który ją wtedy uosabiał: dla króla Stanisława! Wobec ogromu takich klęsk publicznych, maleją i nikną zapewne cierpienia dotykające nas osobiście; ale w podskarbiego dotkliwsze jeszcze, niż w innych godziły ciosy. Był on, jak już wiemy, najpierwszym doradcą i ministrem Leszczyńskiego, niekiedy sam jeden tylko dzielił z nim tajniejsze plany<sup>2)</sup>; na niego więc przedewszystkiem spadła ta gorycz, jaka się wylewa z narodu podczas wielkich nieszczęść." Garstka wybrańców, która dla utrzymania Stanisława wszystko położyła na kartę i wszystko straciła, widząc się zawiedzioną przez Francją, nie pomyślała, że ci co stali u steru, padli również ofiarą swój dobrej wiary, ale składała na nich winę całego nieszczęścia, posądzając ich prawie o złą wolę.

Było to już nad siły podskarbiego; znękany tyłu zawodami, w końcu października zachorował obłożnie. Przymusowe usunięcie się na czas pewien od spraw publicznych, oszczędziło mu chwilowo ostatecznego rozczarowania, które w Królewcu wywołało powszechną rozpacz: zatajono przed chorym, że Francya, zawierając traktat, wydała Polskę na łup narzuconego jój Fryderyka Augusta, od Stanisława zaś zażądała abdykacyi. „Mój kochany podskarbi reconvalescit, pisze sam Leszczyński 22 listopada do Ożarowskiemu, ale jeszcze nie pozwalam mu wiedzieć najmniejszej rzeczy co się dzieje, żeby znowu nie zapadł, i tego coś pisał cyframi nie komunikowałem mu, sam tylko horrenda przeczytawszy, podnoszę do Pana Boga ręce, aby ci dodawał sił i cierpliwości.”

Nie dbający o własną dolę, tylko o kraj i o wiernych sobie stronników, pełen zaparcia się siebie i poświęcenia, mówi Leszczyński w temże samém piśmie: „A zatem czekam dostatecznej informacyi WMPana,

1) Obszorne wyjątki z korespondencyi Ossolińskiego w tój sprawie, podałom w *Ateneum* w *Ojcu Stanisława Augusta*; w odprawie danój natarczywości pruskiej, nie widzę zasługi podskarbiego, bo na Leszczyńskiego nie potrzeba było wpływać pod tym względem.

2) „Taka to u nas sprawa, że nie wiemy kogo się strzedz; już teraz musimy we trzech, we dwu czynić dyspozycye.” (Ossoliński do Ożarowskiemu).



nim zaczęę płakać irremparabilia fata ojczyzny mojej, z tém się protestując przed Bogiem i WMPanem: *si tempestas est ex me, projicite me in mare*, ale salwujcie ojczyznę. Nie trzeba WMPanu opisować, co się interea z mojem sercem dzieje i z temi, którzy się do niego przykowali. Dla Boga, niech nie będziemy dłużej *in hoc ambiguo et violento statu*. Ja siebie samego w tym razie zapominam, ale niech wiem, jako i jakim sposobem ratować tych, którzy dla mnie sakryfikowali się." W tym samym duchu przemawia i później; „trzeba pamiętać, upomina, że dłużej klasztora niżeli przcora i to wszystko czynić, co pro re et salute ojczyzny należy."

Ten tragiczny finał politycznego dramatu, który się rozpoczął pod nader pomyślną wróżbą, długo tajono przed Ossolińskim, bo jeszcze w liście królewskim z dnia 13 grudnia czytamy: „Mój kochany podskarbi, nie będąc jeszcze in statu wiedzy, co się z nami dzieje, donoszę WMPanu, że ja listy ostatnie i cyfry, któreś do niego pisał, odebrał, niemogąc mu dać ullam notitiam tego, co continent."

Wreszcie nie można było tać dłużej przed rekonwalescentem nowin, powszechnie już znanych; musiał on wychylić kielich goryczy aż do dna, musiał znosić cierpkie wyrzuty i przekleństwa zawiedzionych. „Wszyscy nas tu przeklinają et detestantur," mówi z rozdartem sercem; ale od najstraszniejszych przekleństw dotkliwsze zapewne były dlań wymówki, czynione w podobnym tonie, jak list Rudzińskiego z 26 grudnia. „Rozumiałem, żali się rozpaczliwie kasztelan, po tak wiele przynoszących mi od WMPana Dobr. nadziejach i częstych w listach assekuracyach, że po długiej expektatywie cieszyć się mieliśmy na tronie z Pana naszego kochanego, aż zamiast konsolacyi, zastaję u żony mojej nieszczęśliwą wiadomość, nad którą łzami się zalawszy, język drętwiejąc, serce obumierać musi... Nie żałuję zniszczonej fortuny, ani honoru mi odebranego i konsekrowanych azardów na tej nieszczęśliwej wojnie, na której bodajby się była wprzód ziemia rozstąpiła i grzeszne ciało moje przysypała, aniżeli teraz słyszeć o zgubie Pana naszego i wolności naszej!"

Smutnie się kończył rok 1735; smutniej jeszcze zaczynał następny. Zupełne bankructwo polityczne i finansowe; oto zwyciężone określenie położenia królewskich wygnañców. „Już też ostatnia mizerya jeła się wszystkich Polaków, mówi podskarbi, bo nie tylko że tu żadnego za bramę wypuścić nie chcą, ale wielu ich w areszcie aktualnie trzymają, jako to: biskupa wileńskiego i smoleńskiego, Horaina, sufragana wileńskiego; Polakom zacnym, marszałkom, konsyliarzom w długach gospodarze konie gwałtem i rynsztunki zabierają. Pan kochany nieborak codziennie prawie ab ejulatu populi unęczony, zkąd na nas wszystkich skóra drżeć zaczyna, że nie widzimy horum malorum końca."

Kiedy pod wrażeniem tylu ciosów woła: „widzi Bóg, że w tém utrapieniu dni nasze wickami nam się stają," niema w tém wcale przesady. On i Leszczyński byli w tej strasznej porze prawdziwymi

męczennikami. „Znasz WPan, odzywa się do Ożarowskiego, naród nasz, że kiedy się nie mają do czego ściągnąć, to prawie jak we furią wpadają. Niepodobna nam się tu ukryć ab hoc furore, i po ulicach nas wołają: żeście szalbierze, że dla waszych szalbierstw zginęliśmy!”<sup>1)</sup>).

„Ja więcj na sesyą nie pójdę, dodaje, bo nie wiem co mówić i co radzić.”

Nie będziemy się dziwili zwątpieniu podskarbiego, gdy się dowiemy, że Francya doprowadzając mistyfikacyą do ostatecznych granic, równocześnie z żądaniem od króla Stanisława abdykacyi, obiecywała wielkie korzyści dla jego stronników w układającym się w Wiedniu traktacie, skoro tylko spełnią jęj żądania; a gdy król przystał konfederacyi ów akt, powstały wielkie rozruchy. „Suplikowali króla JMci (3 lutego) per viscera misericordiae nad naszą ojczyzną, żeby ich do tego nie necessitował; odesłali nazad tę abdykacyą, niechząc jęj odpieczać.” Zdradziecka Francya stała się celem ogólnej nienawiści i wzgardy. Nieszczęśliwi oświadczały, że „wołą na kolanach iść do Fryderyka, niżeli wziąć przed się takową aleam fortunae z traktatu, który o nas bez nas skonkludowany, ultimam ruinam praw i wolności przynosi.”

Nareszcie w dniu 23 marca 1736 roku nastąpiło w Królewcu rozwiązanie nieszczęśliwej dzikowskiej konfederacyi, poczem Leszczyński ruszył ze smutkiem do Francyi, a reszta wiernych mu dotąd stronników pośpieszyła z uznaniem Fryderyka Augusta. „Sam jeden tylko Ossoliński, opowiada współczesnik, rozumiał mieć racyą tam pozostać i przedsięwziął rezolucyą trzymać się statecznie króla Stanisława.” Niebawem i on podążył na ziemię wygnania.

#### IV.

Nie wiemy dokładnie, kiedy i wśród jakich okoliczności puścił się Ossoliński na dobrowolne wygnanie; pierwszą wiadomość o swym pobycie na obczyźnie, daje nam w liście pisanym ze stolicy Francyi, w połowie grudnia r. 1736 do brata, Jana Ossolińskiego, starosty drohickego, późniejszego kasztelana gostyńskiego:

„....O sobie oznajmuję—pisze tam—żeśmy tu oboje przy łasce Pana Boga zdrowi, żyjemy prawdziwie in beatitudine hujus mundi, bo przy łasce i dobrodziejstwach Pana naszego na niczym nam nie schodzi, ale tęż nad to, co nam potrzeba, przy utrzymaniu terażniejszego rangu naszego, szeląg się nam nie (zostanie pro zapas; successu chyba

<sup>1)</sup> Dla związku połączyliśmy w tém zdaniu wyjątki z dwu listów Ossolińskiego, z 17 i 24 stycznia 1736 r.

<sup>2)</sup> Z Paryża 15 grudnia 1736 r. Prawie cały niniejszy rozdział osnuty jest na listach Ossolińskiego, znajdujących się w zbiorze autografów Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich, nr. 1123 do 1147.

temporis, kiedy Pan Bóg wejrzy na naszego Pana i będzie już osadzony in terra promissionis, mamy wielką nadzieję w dobroci serca Jego, że nas nie opuści.”

Powyższe zastrzeżenie pozwala nam wnosić, że pozostali w kraju krewniacy zbyt wiele liczyli na pomoc ex-podskarbiego. Nie myśli on jednak uchylać się od służenia im w miarę możności, a starszego syna pana starosty, imieniem Aleksandra, podejmuje się wziąć na wychowanie. „Jak da Pan Bóg—mówi—że już stanę w Lotaryngii, gdzie jest akademія w Lunewillu, sławna na całą Europę, gotówem posłać po niego aż do Gdańska gubernera, człeka słusznego, który mi go ztamtąd sprowadzi aż na miejsce i dam mu taką edukacją, jako własnemu dziecięciu mojemu.”

Względy Ludwika XV i Leszczyńskich spływały nietylko na samego Franciszka Maksymiliana, jako najwierniejszego stronnika króla Stanisława, lecz także i na jego młodszego syna Józefa. Z radością wspomina o tém uszczęśliwiony ojciec:

„O moim synu młodszym oznajmuję, że nadspodziewanie moje srodze grzecznym i godnym czyni się tu człekiem. Z łaski N. Królowej Imci polskiej, osobliwej téż Dobrodziejki mojej, jest mianowany premier Chevalier d'honneur z znaczną pensją, która funkcyą jest tu najgodniejszą w tym kraju i zawsze ludzie z najpierwszej familii i les princes du sang zwyczajnie honorowani tu nią zostają. Jestto dla niego wielka dystynkcyą a dla mnie wielkie w tym razie szczęście. Do tego odebrał z łaski N. Króla Imci francuzkiego chorągiew kawaleryi w regimencie Imci Pana Graffa Belleisle, generała lieutenanta Wojsk francuzkich, godnego i zacnego w tym kraju Kawalera, który ma za sobą ciotecznią siostrę żony mojej, M-e la Comtesse de Bethune.”

Historya młodości tego młodzieńca, późniejszego wojewody wołyńskiego, jest wcale zajmującą. Dowiadujemy się o nię z listu króla Stanisława, pisanego 19 marca 1735 z Królewca do ks. Żabizewskiego, spowiednika królowej Maryi, listu zbyt ciekawego i charakterystycznego, abyśmy go nie mieli powtórzyć <sup>1)</sup>.

„W téj ufności, mój kochany Tatusiu, że mnie i wszystkich poczywanych ludzi lubisz obligować, adressuję ci syna mego kochanego P. Podskarbiego Koronnego, o którym trzeba, żebyś wiedział wszystkie circumstancye. Ociec z dzieciństwa destynował go do stanu duchownego, do którego zdał się mieć inklinacją tak dalece, że będąc prawie wychowany w seminaryum, żadnej nie pokazał chęci do odmienienia tego stanu, owszem zdał się mieć wszelką do niego dyspozycyą z natury swojej, z modesty i wszelkich dobrych obyczajów, a do tego falując na oczy i nie zdając się być sposobnym do świata. Aż tandem tu w Królewcu zléj się podobno kompanii chwyciwszy, wokacya poczęła go odpadać tak dalece, że koniecznie chciał *in instanti* zrzucić suknię. Co niesłychanie poturbowawszy ojca, nie chcąc z jedułej strony bynaj-

<sup>1)</sup> Kopia tego listu w rękopisie Zakładu Ossolińskich nr. 307.

mniej go przymuszać, z drugiej nie widząc, jeżeli go ta lekkość jako młodego nie minie i jeżeli w wokacyi, którą dotąd miał, non perseverabit, tandem po dłuższej deliberacyi łaskawy i rozumny ociec, wziął rezolucyą posłać go do Paryża, tę mu uczyniwszy deklaracyą, żeby wszedł do seminaryum de St. Sulpice, tam przy duchownych naukach dobrze examinował swoją wokacyą, dając mu de caetero na wolą, jeżeli by jej nie miał, pobywwszy w tym seminaryum jakiś czas, że mu wolno będzie porzucić ten stan i w wojsku służyć, in quem casum piszę do pułkownika mego, Wiltza, aby go w regimencie moim przyjął na kadeta. Expedi tedy, to wyraziwszy, żebyś mój kochany Tatusiu, sam go z rąk swoich i z dobrą rekomendacyą twojej kochanej Pani oddał au supérieur du séminaire de St. Sulpice i t. d."

Przyszłość miała okazać, że pan Józef, choć „falował na oczy i nie zdawał się być sposobnym do świata, wołał na nim pozostać, niż szukać szczęścia w stanie duchownym.

Pan starosta drohicki, lubo wdzięcznie przyjął braterską propozycyą, dopiero w dwa z górą lata potem wyprawił syna do Francyi. Stał się staroście w Lunevillu 14 kwietnia 1739 r.; o serdeczności, z jaką go przyjęto, świadczy list Ossolińskiego, pisany nazajutrz do brata.

„Wyjeżdżałem przeciwko Olesiowi — czytamy tam — ex impatientia widzenia go, o trzy mile ztąd na pierwszą pocztę, i tam całą kompanią uregalowawszy podróżnym obiadem, przywiozłem go tu sain ad hanc Regiam samym wieczorem, chcąc go tymczasem privatissime lokować w apartamentach moich, nimbym go tu condigne sporządził ad praesentationem N. Państwu mojemu. Ale N. Pan mój kochany simili impatientia ductus, w tym momencie jak się dowiedział, z zwykłej ku nam wszystkim dobroci swojej w tym prawie momencie przyszedł do apartamentów moich, i zaraz się w nich powitać pozwolił kochanemu Olesiowi, i o nim łaskawe swoje dał iudicium, że z fizyognomii i actu swego omnia bona et solatia obiecujący domowi i familij naszej, i że właśnie twarz reprezentujący Inci Xa. Kor. Kwestyonował go o wszystkięd podróży, na każde pytanie ślicznie mu prudenter et referenter odpowiadał."

Ustęp powyższy maluje wybornie stosunek Leszczyńskiego do przywiązanego sługi i przyjaciela, a przytém okazuje, jak serdecznie usposobionym był nasz bohater do rodziny. Dotrzymał on w całej pełni przyrzeczenia danego bratu, zajmował się „kochanym synowczykiem," jak własnym synem, nie żałował na jego wychowanie znacznych kosztów, wziął ze sobą do Frankfurtu na elekcya cesarską; następnie w Paryżu dawał mu na życie po 500 talarów miesięcznie, a nawet psuł go trochę, jeśli wolno wierzyć, że „tego aniołka ad hunc dignissimum surculum familii swojej tak piastował i pielegnował, jako jedyną źręcię w oku swoim." Zdaje się istotnie, że czuł szczególną słabość do chłopca, którego uważał za uosobienie wszelkiej doskonałości. W każdym liście rozpręta się nad jego nieczrówanemi zaletami, nie waha się

nawet przepowiadać, że „ten jest pierwszy tego wieku w imieniu naszym, który podźwignie honor imienia naszego i famili naszej.” Przepowiednia się nie ziściła; „Oleś” nie dobił się nigdy wybitniejszego stanowiska w społeczeństwie i niczem zgoła nie powiększył chwały imienia Ossolińskich.

Choć nie był równie hojnym dla innych krewnych, podskarbi przy każdej sposobności jednak składał im dowody swój życzliwości. Siostrze Olesia, „kochanej Franusi,” posyła to „modne korneciki,” to „sztuczkę materyi letniej i modnej,” a przytém zadaje sobie wiele trudu, aby ją wyśwatać za bogatego starostę jabłonowskiego, Antoniego Granowskiego; bratowój: „pewne zwierciadło partykularne i nowój inwency, które osobę tak reprezentuje sztucznie i w takim portrecie, jak się sama żywa znajdować może.” Oprócz Aleksandra Ossolińskiego wziął na wychowanie wnuka, Kostusia, syna córki Anny, wydanej za Józefata Szaniawskiego, podstolego koronnego, którym się nieminiej serdecznie interesował. „Gdy ich obydwu wystawię, mówi w liście do bratowój, jak życzę, na konsolacyą Waszą, zawołam do Pana Boga: *nunc dimitte servum tuum Domine in pace*, do pożądanój, a daj Boże szczęśliwój, którą codziennie Panu Bogu suplikuje, wieczności mojej.”

Skory do pomagania nietylko swoim, ale i obcym, chętnie się podejmował opieki nad przysyłaną z Polski młodzieżą, na czem zwykle źle wychodził, a za poniesione ofiary nie doznawał nieraz nawet słowa podziękowania. „Drudzy się Boga niebojący rodzice, mówi rozżalony, pozapominali tu swoich dzieci, przysławszy ich, co wszystko jest moim wielkim ugryzieniem, bo ja przez dobre serce i przez miłość narodu naszego, wszystko to suplementować muszę, a mnie nawet i responsu nie dają na moje listy...”

Nielitościwie wyzyskiwany, nie mógł już na drugiego synowca, Antoniego, żyć tyle, jak na jego brata, tém bardziej, że i dochody podobno się znacznie zmniejszyły. Jeśli pan Antoni sądził, że za pieniądze stryja będzie mógł żyć w stolicy świata równie świetnie jak Aleksander, doznał przykrego zawodu. „Jabym sobie miał za szczęście dopomódz mu z własnego grosza, pisze Ossoliński do bratowój z Lunevillu, 10 maja 1749 r., *ale czasy się tu dla nas odmienily*, a ja się sam oglądać muszę na dalszy koniec samego siebie i z całym tu domkiem moim, i nie jestem w stanie uczynić większej przysługi dla Imć Pana Antoniego, jako mu się przyłożyć do przyszłej rezydencyi paryzkiej stem czerwonych złotych.”

Jestto ostatni ze znanych nam listów Ossolińskiego; o siedmiu następnych latach życia, które mu jeszcze pozostały († 1 lipca 1756 r.), nie posiadamy już żadnej wiadomości.

W pierwszych szczególnie latach swego pobytu we Francyi, doznawał wszelkiego rodzaju względów i zaszczytów, jako najpierwszy minister i najwierniejszy poddany króla Stanisława; zczasem zacierała się pamięć tych zasług, zinniejszały się też objawy wdzięcznego uznania ze strony francuzkiego dworu i rządu. Jak dotkliwie odczuwał to

zapomnienie Ossoliński, możemy wnosić z tych oznak radośnego uszczęśliwienia, jakie wywołały zlewane nań wpierv łaski.

Podczas pobytu we Frankfurcie, niema dość słów na opisanie, jako się nam tam powodziło i z jakim honorem, z jaką satysfakcją przepędziliśmy tam czas pięcioniedzielny." W zachwytyt wprawiają go ciągle zaszczytne wyróżnienia ze strony najznakomitszych figur. „Elekeya cesarska, pisze pod koniec stycznia 1742 r. szczęśliwie stanęła 24 praesentis; obrany cesarzem zgodnemi głosy elektor Imć bawarski a król czeski terazniejszy. Dzieci („Oleś i Kostuś") tu więcj obaczą, niż przez dziesięć lat peregrynacy swojej widzićby mogli; codziennie tu są na assamblach, prezentowani wszystkim królom, panom i książętom, ministrom cudzoziemskim; niech sami opiszą, jak tu są szczęśliwi i estymowani."

Ale najwyraźniej widać, w liście do synowca, jak żywo obchodzily go te honory. „Au reste, kochany Olesiu, pisze doń z Lunevillu 19 maja 1740 r., posyłam ci mes preuves originares, którem teraz świeżo oprawić kazał, et quon m'a donné przy kreacyi mojej na kawalerstwo Orderu Ducha i Michała Świętego; przeczytawszy to i przejrzawszy się w tém należycie, znajdziesz tam nie mało konsolacyi dla siebie i dla imienia swojego, a potém zważysz, co to Bóg dla mnie uczynił i par conséquent dla familii naszej, której to już wszystko od ad posteritatem manebit, i każdy się tu z niej we Francyi będzie mógł pokazać z niezmarszczonóm okiem..."

To zamiłowanie zewnętrznego blasku, tę usilną i do pewnego stopnia usprawiedliwioną chęć powiększenia lustru swego domu, posunął on nawet dalej, niżby się może godziło, tytułując się statecznie księciem, a swoją żonę w listach do najbliższego rodzeństwa mianując „kochaną księżną" <sup>1)</sup>. Czynił to jak się zdaje w porozumieniu z Leszczyńskim, aby jako reprezentant wiernego mu stronnictwa wobec Francyi tém większą otoczyć się powagą. Niemniej przeto do książęcego tytułu nie miał on wcale prawa. Pisał się wprawdzie kanclerz wielki koronny „dux in Ossolin," na podstawie przywileju otrzymanego od papieża i cesarza Ferdynanda II i z tego to powodu zapadła w r. 1638 uchwała sejmowa, wprost przeciw niemu wymierzona, a zabraniająca wszelkich zagranicznych tytułów. Ale pomijając już tę uchwałę, obostrzoną jeszcze w r. 1673, tytuł książęcy nadany Jerzemu Ossolińskiemu nie odnosił się do całego rodu, lecz tylko do jego męzkich potomków, tak, że go nawet córki nie dziedziczyły, a jak wiadomo, jedyny syn kanclerza Franciszek, umarł bezdzietnie za życia ojca. Na podskarbiego więc, nie idącego w prostęj linii od kanclerza, godność ta żadną miarą spadać niemogła. Wiedząc to w kraju, w inny sposób tłómaczono sobie genezę owego księstwa, bo nie przypuszczano, aby było urojonóm; oto ogłoszono, że Ludwik XV mianował ex-podskarbiego księciem i parem

<sup>1)</sup> Dopiero później otrząsł się z tej wygórowanej próżności, bo już panią Katarzynę nazywa „swoją kochaną żonką," albo „Kasię swoją kochaną."

Francyi („duc et pair de France”), a wiadomość ta podawana już około r. 1740 w biografjach króla Stanisława, utrzymuje się dotąd we wszystkich książkach, nie wyjmując *Monografi* Kossakowskiego (t. II, str. 131). Tymczasem jestto widocznie grubą ponyłką. Ossoliński pisze się księciem już w r. 1736, wkrótce po przybyciu do Francyi, a w cztery lata później wyliczając zaszczyty, jakie nań spadły z łaski arcy-chrześcijańskiego króla, nie wymienia wcale księstwa i parostwa, choć znając jego próżność, niepodobna wątpić, że niebyłby o nich zamilczał. O tak niezwykłym wyróżnieniu cudzoziemca byłiby też coś wiedzieli francuzi, znalazłby się u nich jakiś ślad nominacyi; tymczasem zapewnia dyrektor Archiwum Ministerstwa spraw wewnętrznych <sup>1)</sup>, że zarządzone przezeń poszukiwania pozostały zupełnie bezskuteczne, że ztąd wiadomość tę należy uważać za mylną.

Z obydwoma synami, choć się nieźle pokierowali, dość częste miał Ossoliński kłopoty, bo nie zawsze postępowali po jego myśli. Niedoszły książdz, którego zachowanie we Francyi zyskało ojcowskie pochwały, powróciwszy do ojczyzny, znów zaniepokoił kochające serce rodzica. Z tego powodu pisze stroskany ojciec (22 kwietnia, r. 1739) do pani starościny drohickiej, która podejmowała się swatania kawalera: „Ach! Meia dobrodziejko, dałby to Pan Bóg, żeby się tam tak uczynił i wystawił godnym, żeby do tego przyjść mógł szczęścia za promocyą i staraniem WM pani dobrodziejki. Dawnoć ja mu tu już czyniłem te propozycye z refleksyami wielkiego awantagu i szczęścia jego, bom też miał trochę komunikacyi w tym punkcie, ale to mało sprawiło attencyi. Wiem, że tam będzie miał honor powitania WMci państwa, wyrozumięj to wszystko WM pani rozsądnie z niego i daj mi znać; jeżeli ma łaskę Pana Boga, będzie pewnie od tój oświecony, że się tego chwyci, a ja natenczas, jako łaskawy i sprawiedliwy ojciec, wszystkobym uczynił z mojej strony coby mógł.”

Czy tą rojoną przez stryjankę osobą była późniejsza żona Józefa Ossolińskiego, Teresa ze Stadnickich, na to niéma w listach wskazówek.

Nierównie większe niezadowolenie wzbudziło w ojcu postępowanie starszego syna, starosty nurskiego, który chciał się widocznie bawić

1) W piśmie urzędowém, które zawdzięczam uprzejmości bawiącego w Paryżu dla studyów dra Stanisława Lukasa, pisze p. Alfred Maury: „directeur général des archives nationales,” w miesiącu lipcu r. b., jak następuje: „Monsieur! Vous avez écrit le 3 courant pour me prier de faire rechercher les documents relatifs à F. M. Ossoliński, grand trésorier de la couronne de Pologne, qui émigré en Franco en 1736, y aurait été créé duc et pair.

„J'ai l'honneur de Vous donner avis, que les recherches prescrites par moi dans le fonds de la Maison du Roi et dans celui de la chambre des comptes, n'ont produit qu'un résultat négatif et qu'aucune pièce aux archives n'est établi, que le grand trésorier Ossoliński ait obtenu du roi la duché et pairie.

w bezczynnego malkontenta. O nim to pisał do bratowej, z Lunevillu 26 sierpnia 1741 r., z niezwykłą stanowczością i mocą.

„Imię X. kanclerz koronny pisał tu do mnie po kilka razy, żaląc się na Tomasza, syna mego, że dworu nie pilnuje, że się w domu zagrzebał i na próżnowaniu trawi dni swoje, przez co choćby dwór tameczny mógł co dobrego dla niego uczynić, nie wpatrując się w jego osobę i w jego akcyę, nie dla niego uczynić niemoże. Jeżeli to czyni przez upór, abym ja o nim większe uczynił staranie niż mogłem, tego się nie doczeka, dosyć jam dla niego czynił; ale kiedy z tego profitować nieumiał, niechże się teraz stara o siebie kiedy chce; czy on będzie domatorem, czy republikantem, mnie to jednakowo, *pourvu qu'il tache d'être honnet homme et envers Dieu et envers le monde*. Odemnie póki żyję, więcej mieć nie może, bo ja dla miłości dzieci, a jeszcze źle się rządzących, chleba zebrać sam niepowiniennem. Na tym świecie gołąbki pieczone nikomu w gębę padać nie będą; trzeba się starać o kawałek chleba przez samego siebie ile mogąc, a wreszcie Pan Bóg dopomoże, kiedy się go bojemy. Już u mnie tego nie dogoni, co opuścił par sa propre fatalité et la mauvaise conduite. Nie sam ja tego byłem sędzią, ani obserwatorem, ale wszyscy tu poczciwi ludzie; ainsy il s'en doit prendre à luy même. Jeżeli będzie chciał być grzecznym, Pan Bóg mu pomoże przy mojem błogosławieństwie; jeżeli kontynuować będzie niestateczne i nierządne życie swoje, tan pire (sic) pour luy. Ja na to pewnie nie umrę, ani się już o to nigdy frasować nie będę.”

Wkrótce potem ożenił się Tomasz Ossoliński z Teresą Lanckorońską, kasztelaną gostyńską, a wtedy znów sposób zawarcia tego związku nie przypadł do smaku ojcu. I teraz więc żali się bratowej w liście z 2 grudnia 1741 r.

„Panu staroście nurskiemu i samój Imci pani staroście odpisuję na listy. Winszuję im odmiany stanu, ależ mi to przecie markotno i bardzo żałośno i u ludzi wszystkich godnych w wielkiem podziwieniu, że się ten mariage zakończył bez komunikacyi punktów interezy ślubnej i bez aprobacyi żyjącego ojca i całą fortunę w rękę swoich i posesyi mającego, jako się to po całym świecie praktykować zwykło. Mnieć to nic nie szkodzi, ileżem ja już dosyć dobrze przywykł do takowych nierozsądnych akcyi dzieci moich, ale téż to pewnie synowi memu nieuczyni żadnego honoru i awantagu.”

Nie był to jednak srogi ojciec i łatwo go było przebłagać. „Te ekskuzy, pisze do bratowej 24 lutego 1742 r., które mi WM pani dobr. czynisz z procederów syna mego, nie tylko że akceptuję całym sercem, ale całe ten interes i tego państwa nowo złączonego pożycie oddałem łasce i providencyi Pana Boga, ponieważ tak się spodziewam, że to za wolą i predestynacją jego świętą wszystko się zakończyło i przy mojej renowacyi codziennego błogosławieństwa, zawsze do tegoż Pana Boga wzdycham, żeby im dopomagał we wszystkich zamysłach ich przy tém szczęśliwem pożyciu, które prowadzą.”



Wszystko więc pomyślnie się załatwiło, a zaniedbanych formalności dopełniono następnie, jak świadczy znajdująca się w metryce koronnej intercyza państwa starostwa nurskich z dnia 26 czerwca 1742 r.

Poznawszy nieco prywatne stosunki Ossolińskiego na wygnaniu, radziłyśmy niezawodnie dowiedzieć się jak wpłynął pobyt wśród obcych na jego polityczne zapatrywania, na jego stosunek do ojczyzmy. Czy może zdala od ziemi oświecił go z tej gorącej miłości do ziemi rodzinną, jaka go ożywiała, gdy oddychał jej powietrzem, czy zubożył ją na jej losy, odkąd przestał być jednym z aktorów rozgrywającego się nad Wisłą dramatu? Na pytanie to łatwa odpowiedź, jakkolwiek listy pisywane przezeń z Francji do rodziny, są treści wyłącznie potocznej i prywatnej, a spraw politycznych wcale nie dotyczą. Unikając jednak systematycznie poruszania tych drażliwych kwestyi, niemógł się autor wstrzymać niekiedy od pewnych cisnących się natrętnie pod pióro aluzyi, które odbrzmiewają jakby cichym westchnieniem, posyłańcem tęsknicie na ojczyznę błonia, a tępym wymowniej przemawiają do duszy, im są zwęższe i prostsze.

Jak wzniósł się do swego stanowiska na tułactwie, wskazują słowa wypowiedziane do bratowej, którą prosi aby życzliwie zechciała przyjąć dary od niego i od żony, „jako od wygnańców z ojczyzny swojej, tylko przecież dobrowolnych, przytęp przy sprawiedliwości i honorze narodu swego obstawających” „i ten tu dla nas jest, dodaje nie bez szlachetnej dumy, największy zaszczyt i przed Panem Bogiem i przed światem...”

Że boleśnie odczuwał smutny stan Rzeczypospolitej, chylącej się coraz bardziej ku upadkowi, świadczy początek listu do pani starościny drohickiej z 26 sierpnia, r. 1741: „Niech będzie Pan Bóg pochwalony, moje kochane państwo, że w tym nierządzie naszym polskim i przy tej tam niesprawiedliwości, która jest największą opresją wszystkich poczciwych i spokojnych ludzi, w dobrém i czerstwym konserwuje was zdrowiu...”

Bolał on nad krajem, wydany na łup niegodnego faworyta i jego kreator, ale też nie spodziewał się dlań zbawienia ze strony rewolucyi, przygotowywanej pocichu przez Józefa Potockiego i skore zawsze do anarchii żywioły. Dobro kraju stawiać wyżej ponad partyjne widoki, nie pragnie wcale rozdmuchania tych palnych materyałów w płomień nowej wojny domowej, z obawy że zamiast oczekiwanych korzyści, urosłyby ztąd jedynie gruzy i zgliszcza. Dlatego też w dwa niespełna miesiące potem (21 października), wyraża życzenie, tępące uczuciem najszczerzego, bo wolnego od wszelkich ubocznych celów patriotyzmu: „Imć pan marszałek de Belleisle odjechał na kampanię do wojsk francuzkich, pod komendą elektora Imci bawarskiego w Austrii będących. Wielki się tam w tym kraju ogień zaczął i niewiem, jak go Pan Bóg uśmierzy; *daj tylko, Panie Boże, aby bez naruszenia ojczyzmy naszych*, ile przy tej konfederacyi, o której słyhać i która nie wiem, jakim instynktem i jakim końcem zaczyna się.”

## RZUT OKA

### na piśmiennictwo w Ameryce południowej.

(WEDŁUG ŹRÓDEŁ HISZPAŃSKICH \*).

PRZEZ

A. G.

Józef Rivera Indarte.

(ur. 1814 † 1845 r.).

Urodzony w mieście Cordova, w prowincyi Tucuman, Rivera Indarte w dwudziestym roku życia skończył naukę prawa na uniwersytecie Buenos-Aires, otrzymał stopień doktora i natychmiast z młodzieńczym zapałem rzucił się w szranki dziennikarstwa.

Przy ówczesnym stanie rzeczy, pod rządami Rozasa, nie mogło go minąć więzienie a następnie wygnanie. Przebiegając Brazylią i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, uczył się i zastanawiał wiele, zagłębiał się w pracach nad filozofią i polityką, a zabawiał się z muzami, pisał rozprawy, broszury i poemata.

A potem przybył pod wrota rodzinnej ziemi, lecz progów jej przekroczyć mu niewolno. Pozostał więc w sąsiedzkiem a gościnnem Montewideo i ztamtąd patrząc na srogi ucisk, gnębiący nieszczęsną Argentynę, zaciętą prowadził walkę z jej ciemnym ciemiężcą. Jeżeli na chwilę wypuszczał z ręki oręż, to tylko dlatego, aby nią ująć pióro ku podtrzymywaniu zasad, ku rozbudzaniu obywatelskiego ducha w swoich współziomkach. A kiedy obrońcy prawa odnosili zwycięstwo lub klęskę ponieśli, wtenczas młody szermierz chwycił w dłoń lirę i pieśń podnosił: jużto gorącą zapałem, już boleścią rozżaloną.

Sześć lat tak wytrwał na wyłomie, aż dopóki śmierć nie zwalczyła mężnego serca. Prawie już konający, stygnącą ręką, jeszcze w ostatniem wysileniu, dzielnie służył dobrej sprawie.

Rivera Indarte umarł w 31 roku życia, na wyspie św. Katarzyny, w państwie Brazylijskiem.

Charakter swojej poczyi określił on sam najlepiej w przedmowie do jednego ze swych utworów. „Poczya moja, mówi on, jest romantyczną i chrześcijańską, nie dlatego abym rozmyślnie chciał jej nadać ten kierunek, ale dlatego, iż obowiązek z natury swojej romantycznym jest,

\*) Patrz zeszyt za październik r. b.

romantycznymi są jego idee, jego mowa; dlatego, iż człowiek w bóleści, iż ten co *cierpi prześladowanie*, mimowolnie podnosi ducha ku Chrystusowi zbolełemu i rozpiętemu na krzyżu Kalwaryi. O! tak, to jest prawdą; cierpienia nie są ani klasyczne, ani mitologiczne, ani bezbożne."

A w przedmowie do innego poematu p. t.: *Don Cristobal*, mówiąc o poezji w ogólności, tak się wyraża: „Poezja ma posłannictwo kary i nagrody; powinna mieć życie rzeczywiste, a nie gubić się w platonizmie idei lub w uduchownianiu miłości.” Mało też znajdujemy pomiędzy utworami tego poety podmiotowych lub erotycznych, ale te istotnie tchną spirytualnym uczuciem, przeczystą miłością nad zmysłową, jak np.: *Wiersz do...* napisany na morzach Meksykańskiej zatoki. Do téj saméj kategorii zaliczyć można pełny wdzięku i uczucia wiersz: *Zielona wstęga*.

Lecz w większej części utworów swoich, poeta nie zadał kłamu myśłom wypowiedzianym w przedmowach. Do takich należą: *Jeniec Chrześcijański*, *Król Baltazar*, *Eulogia Perez* i *Płak morski*, pełny poetycznej fantazy i rzewności.

W ogóle zarzucają mu nadmiar opisowości. Zarzut ten szczególnie dotyka jego poematu *Do maja*, przedstawionego na konkursie 1841 r. w Montewideo. Cały ten poemat składa się z małych obrazków: wygnaniec znajduje się na starym cmentarzu Montewideo; w złudzeniu zdaje mu się, że słyszy jak się podnosi tysiące głosów i powołują do broni przeciwko europejskim przywłaszczycielom. Indianie opowiadają swoją nędzę. Następuje walka; kastylskie zastępy cofają się. Ukazuje się ojczyzna niepodległa. Lecz... zaraz się znów odzywa głos smutny, bolejący: to skarga żałosna jednéj z ofiar tyrana Argentyny; wylicza popełnione przez niego zbrodnie. Ocknął się wygnaniec: nie wie sam, czy w rzeczywistości słyszał te pieśni wojenne, te smętne elegie... lecz sam z kolei głos podnosi, prorokując ojczyźnie błogą przyszłość i hołd składając wielkiej chwale maja.

Poemat ten, pomimo piękności wiersza i formy, nie otrzymał na konkursie żadnéj zaszczytnéj wzmianki.

W politycznych pismach, rozproszonych po rozmaitych dziennikach, Rivera Indarte stawał zawsze w obronie sprawy moralności i prawa.

### Florencio Balcaroe.

(ur. 1815 † 1839 r.).

Krótki, bo zaledwo rozpoczęty żywot, mało dostarcza materiału dla biografa; lecz pilny badacz umysłowego rozwoju jakiegokolwiek narodu, nie poczyna za zbytęcną wzmianki, choćby krótkiéj o młodzieńcu, którego pierwsze kroki na polu nauk i piśmiennictwa zapowiadały jeden ze znakomitszych talentów swojéj epoki.

Florencio Balcarce umarł bardzo młodo, liczył bowiem zaledwie 24 lat życia. Był on synem słynnego z meztwa i prawości generała Balcarce, którego rodzina rozproszyła się i niektórzy z jój członków mieszkają od wielu lat w Paryżu, gdzie pozyskali sobie wysokie poważanie w gronach ludzi zacnych i świątłych.

Po ukończeniu nauk w Buenos-Aires, Florencio na dwa lata przed śmiercią udał się do Paryża. Tam słuchał wykładów najzdolniejszych profesorów. Ze szczególném zamiłowaniem oddawał się filozofii i belletrystyce, a dziwna bystrość i jasność pojęcia ułatwiały mu szybki postęp na obranej drodze.

Wziąwszy się do pióra, przełożył znakomicie na język hiszpański kurs filozofii sławnego profesora Laromiguière. Nadto w czasopismach argentyńskich ukazały się godne uwagi artykuły jego, treści filozoficznej i literackiej.

Poezye, które Balcarce zaczął wydawać w najpierwszej prawie młodości, pochlebne doznały przyjęcia u najcełniejszych literatów jego kraju. Wiersz jego gładki, dykeja poprawna, a pieśń swą już umiał nastrajać na niejedną nutę. Jakaż to swoboda, jaka werwa młodzieńcza, w humorystycznym wierszu: *Mleczarz*. Głębszą myśl zawiera charakterystyczny obrazek *Cygaro*, poezya prawdziwie amerykańska. Wiersz *Do Florindy* i romans *El Picaflor* (gatunek ptaszka) pełne tkliwości i świeżego wdzięku. Całkiem różny charakter nosi *Epistola do Wiktora Silva*, w dniu odprawienia pierwszej mszy. Tu góruje siła natchnienia, myśl wzniosła, w skreśleniu szczytnego postanowienia kapłana.

Najpiękniejsze poezye napisał Balcarce wyjeżdżając z Buenos-Aires: *Pieśń do pięknych cór Argentyny* i *Pożegnanie ojczyzny*. To ostatnie tak rzewne, tak żalosne, jakby jęk boleści, wzniosłe, jakby modlitwa. Poeta patrzył na gromadzące się chmury coraz czarniejsze, zwiastuny srogich nieszczęść dla ukochanej ojczyzny; czuł się chorym, oddalał się z pod rodzinnej strzechy, do której niemiął powrócić jak tylko na krótką chwilę, by pod jój cieniem ducha wyzionąć i wśród przeczuć bolesnych zanućć śpiew łabędzi.

### Gertruda Gomez de Avellaneda.

(ur. 1816 r.).

W tych właśnie chwilach, gdy za Atlantykiem gasła jedna z gwiazd świetnych, co zeszyły na niebie Kuby, druga z nich najżywszym jaśniała blaskiem, na drugiej półkuli świata, na horyzoncie staréj Hiszpanii. W ojczyźnie Józefa Herdii ujrziała poraz pierwszy światło dzienne Gertruda Gomez de Avellaneda, w mieście Puerto-Principe, gdzie ojciec jój miał urząd prefekta miejscowej marynarki. Matka jój była Krecolką z krwi hiszpańskiej.

Na tém kolonialném wychowana wygnaniu, gdzie nie było ani szkoły ani teatru, młoda Gertruda sama sobie rozwijała umysł i budziła wyobraźnię: czytaniem niektórych poetów hiszpańskich, oraz widokiem tego tropikalnego nieba, o którym powiada poeta, iż to jest „najpyszniejszy baldachim przez samego Stwórcę rozwieszony nad świąteczną uroczystością, odprawiającą się ku Boskiej czci Jego.” W dzieciństwie już tworzyła rymy, opiewając to, na co jęj oczy patrzyły. Bardzo młodo straciła ojca, a matka jęj wszedłszy w powtórne związki małżeńskie z hiszpańskim pułkownikiem, popłynęła z nim do Europy, zabierając z sobą piętnastoletnią zaledwie córkę.

Najprzód wylądowali we Francyi i zabawili kilka miesięcy w Bordeaux, następnie udali się do Koruny zkąd pochodził pułkownik. Południowa Francya i północna Hiszpania, uczyniły wrażenie posępnej Północy na dziecku podzwrotnikowej strefy, znającém tylko pałające niebo i uroczy jasne noc. Wygnańca tych promienistych krain daleko silniej dotyka *Nostalgia*, aniżeli europejskich wygnańców: młoda Gomez długi czas tę chorobę cierpiała. W chmurnym dniu grudniowym z taką bolesną odzywa się skargą:

Króluj, o słońce, króluj na niebieskim stropie  
I ogniem życiodawczym roztlęj moje łono;  
Bez światła, bez otuchy, zmartwiałe, ścieśnione,  
Łaknie promyka z twoich gorących płomieni.

Pod twą błogą pieśczęcią niech kiełkują trawki,  
Niechaj lody pękają pod twojemi żary;  
Ukaż się groźnej zimie na urągowisko,  
O! królu firmamentu, przyjdź, głos mój cię woła!

Od szczęśliwej krainy, gdzie w moje kolébkę  
Złote z twoich promieni spływały potoki,  
Z młodu los mię okrutny oddalił na wieki.

Pod inném niebem, na innéj ziemi ja płaczę...  
Znicś już dłużej nie mogę tych błyszczących śniegów,  
Ta zima mię zabija! słońce, ty mię ratuj!

Wreszcie, posunąwszy się dalej w głąb Hiszpanii, mieszkając w Kadyksie i w Sewilli, nanowo odżyła. Skoro drzemiacą wyobraźnię rozzarzyły napowrót jasne słońca promienie, wkrótce znów świeżą wykwitła poezją.

Gertruda, otoczona hołdami w Grenadzie i w Sewilli, zagościła później na wielkim świecie madryckim. I tam również obudziła niezwykły podziw i zapach. Cudna jęj piękność wydawała się jakby przejrzystą obłoną duchowych jęj wdzięków. W oczach Hiszpanów miała ona podwójny urok: wieszczki narodowej i nawpół cudzoziemki. Talent jęj, tchnący siłą i wielkością, odznaczał się zaletą o tyle rzadką w Hiszpanii, iż mogła uchodzić za oryginalność: smak wybredny i ściśła poprawność, cechowały jęj utwory. Młoda Kubanka czarowała wszystkich, którzy ją słyszeli; nadane jęj przez wielbicieli imię *Tula*,

zastępnęło szeroko. Jój poezye liryczne, wydane w dwu następujących po sobie latach, musiały się znajdować we wszystkich salonach, a potem w ręku każdego. Najpierwsza z jój tragedyi *Alfons Munio*, przedstawiona w Madrycie, przyjętą została z najwyższym uniesieniem. Wieńce kwiatów posypały się do stóp autorki, serenady odprowadziły ją do jój mieszkania, przezwano ją kastylską Melpomeną, akademie głosiły jój pochwały.

Sława jój przeszła i za Pireneje, gdzie krytycy dostrzegają w jój utworach widoczny wpływ francuzkiej nowoczesnej poezyi, nie wytykając wszelako tego naśladownictwa, jako ujemnej strony, a raczej szcząc się tém, iż tak znakomity talent kształcił się w pewnej mierze na takich wzorach, jak: Lamartine i Wiktor Hugo i przyznając, jak wiele na odwrót ten ostatni z hiszpańskiej poezyi zapożyczył świetności i wspaniałej barwy. W rzeczy samej p. Gomez Avellaneda, w pierwszej młodości wiele tłómaczyła i naśladowała z tych dwu poetów. Wpływ ten daje się nawet uczuć w utworach, do których natchnienie czerpała poetka we wspomnieniach rodzinnej ziemi, dokąd zawsze myśl jój biegła. Nawet pieśń rzewna, którą uczciła świeży grób antylskiego poety, młodego Heredyi, może wydawać się poniekąd echem znanych dźwięków, więcej niżli kreacją twórczego talentu. Jednakże z laty duch jój spotęźniał i wydobył z siebie własną twórczość, a samodzielność myśli napiętnowała oryginalną cechą jój poezye. I tak, w czasie kiedy rząd francuzki skłaniał się ku myśli wprowadzenia do Paryża zwłok Napoleona I; kiedy w zgromadzeniu prawodawczém toczyły się w tym względzie gorące rozprawy, wywołując nieskończone pochwały i apoteozę bohatera: w tejsze chwili głos cudzoziemki zaprotestował z godnością przeciw téj myśli, mieniając ją niepolityczną i niepoetyczną zarazem.

„Poprzestań, o Francyo, na chwale, jaką mąż ten napełnił twoje ziemie! dosyć ci widziéć w dziejach wielkie jego imię z twojém połączone! Wystarcza ci ten pomnik, na którym potężna jego prawica wyrzyła w spiżu ślad wiekopomny! Zostaw, zostaw światu ten grobowiec odosobniony, poważny, w którym surowy przeznaczeń wyrok więzi olbrzyma ambicyi i dumy, wśród skał jałowych i pustych, gdzie morze z niezrozumiałym gwarem rozbija u stóp jego spienione bałwany.

„Zostaw go tam! Ani pienia, ni modlitwy nie brzmią tam dla niego, na téj twardej opoce, wokół odludnej jego mogiły a tak wymownej w swoim milczeniu! Zostaw go tam! bez orszaku, zamknięty samotnie, niech śpi na swoim głazie nagim i ponurym, ten król bez dynastyi, a niechaj nie wraca po to, by w ciasnych Panteonu murach twojej, o Paryżu, szalonej słuchoć wrzawy!

„Groblem dla niego Święta Helena. Imiona Wagram, Austerlitz, Marengo, Jena, nie przychodzą tam zakłócać jego smętnego cienia; ani pyszna kolumna grobowca tego swemi nie osłania orły; przy nim nie dźwięczy trąba ani działa nie grzmi. Na téj oto skale olbrzymie widmo, przysłonięte w milczeniu płaszczem swojej sławy, patrzac na

przemijające przewroty i prawa, surową pozostaje nauką ludom i mo-  
 carzom!"

Dla poetki ideałem wielkiego męża nie jest bohater-pogromca, lecz bohater-obywatel, Washington, któremu poświęca wiersz gorącej  
 czci i uwielbienie.

W dojrzałym wieku nie zagał w niej zapal do wszystkiego co wielkie, szlachetne i piękne: wzniosłem uczuciem tchną wszystkie jej utwory; lecz im dłużej na świat patrzy, tém bardziej błędną w oczach jej świetne ułudy, co widać już w jej pieśni *Do młodości*. Pełen wdzięku i prostoty wiersz *Do nadziei*, maluje stan duszy pragnącej już tylko ciszy, ustronia, życia na łonie przyrody, zdala od miejskich zgiełków, od widoku złych namiętności, które burzą pokój świata.

Nowa atoli zmiana w jej życiu na nowe wprowadziła ją tory. Piękna i urocza Gertruda, otoczona rojem wielbicieli, doszła do trzydziestego roku życia, nie znając i nie pragnąc uczucia miłości. W końcu wzruszyło ją głębokie przywiązanie młodego człowieka, zajmującego wybitne stanowisko w Zgromadzeniu kortezów. Oddała mu swą rękę, ale po to tylko, aby mu osłodzić ostatnie chwile życia. Pedro Sabater, stargawszy przedwcześnie siły w politycznych zapasach, wśród burzliwych szamotań się anarchii, już prawie dogorywał trawiony piersiową chorobą. Słynna poetka stanęła przy boku jego z imieniem małżonki, a spełniała zadanie czutój siostry i anioła pocieszyciela. Gdy grób się zawarł nad towarzyszem tych krótkich a bolesnych dni jej życia, w długiej żałobie ocknęło się poetyckie natchnienie i pieśń ją zawiodła na religijne pole. Tu każda z jej poezyi jest modlitwą, wywnętrznieniem zbolatėj duszy. „Obca w tym świecie, radości jego nie rozumiem, ani on nie zdolen zajrzeć w głąb tój otchłani przepętnionėj boleścią, a którą los niekiedy po wierzchu kwiatami przysłania... Wulkan śmierć w łonie swém kryjący, a zwieńczony zielenią.” W istocie, widząc jak hojnie uposażyło ją niebo, nadzwyczajną pięknnością, rzadkim talentem, jaką była otoczona sławą, jakimi hołdy uczczona, mógł świat jej szczęścia pozazdrościć; lecz w dusznej spowiedzi przed matką boleści pokazuje się, ile to serce zdawna już cierpiało. „Sieroctwo kołysało mię w powiciu, dziecinne lata śmiechu nie znały, a starość nie będzie miała pociechy. Patrzę wokoło!... nié mam ani ojczyzny, ani domowego ogniska! Jestem ptaszę bez gniazda, zwiędły bluszcz bez podpory!...”

W końcu osierocoone serce zwróciło się całkiem do Boga, duch jej skierował się ku najwyższemu polotom, dosięgnął tych wyżyn, kędy na skrzydłach religijnego natchnienia unosiła się poezya świętėj Teresy. Znikome świata uczucia i sprawy, ustąpiły jej z przed oczu, miłość i nadzieje zestrzeliły się w gorącej wierze, krzyż sobie obierając za cel i godło. W tym wysokim nastroju ducha utworzony *Hymn do krzyża*, tchnie majestatyczną powagą, jakąś kapłańską uroczystością, a przytém takim pokojem, taką prostą wiarą, iż wątpić nie można, z jak czy-

stego i prawdziwego natchnienia popłynęły te harmonijne rymy, których tylko w oryginale ocenić można niewysłowiony urok i piękność.

„Ja pieśń wznoszę na cześć krzyża! Niechaj się obudzi świat! Ludy i króle słuchajcie! Niech wszechstworzenie przed naszym umilknie słowem! A Ty, Najwyższy Twórco harmonii, co dźwięki rozdajesz morzu, wichrom, ptastwu; Ty memu głosowi mężkiej użyz siły, by godnie wyśpiewał moc i wielkość krzyża!

„Podnieście w górę wasz sztandar chwały, wy, szczytni wiary szermierze! Pod cieniem jego narody niech sławią jego zwycięstwa. W górę podnieście aż tak wysoko, by tam dojść nie mógł szmer bezbożności....

„W górę królewski proporzec, który zjawieniem się swoim strącił groźne pogan bogi ze szczytów Olimpu w otchłań. W górę, jak w on czas, gdy nim Konstantyn swoją cesarską skroń opromienił, orły rzymskie zatknąwszy pod bożkiem *Labarum*.

„W górę jak w on czas gdyśmy barbarzyńców, w tryumfie na zgliszczach praw i narodów, nad upadłymi godły cesarstwa, widząc go mocnym i niezachwianym, zdjęte podziwem stanęły. Oni rumaków swoich kopytami zdeptali pyszną świetność Europy, syci już bojów, zwycięstw i łupieży... Lecz zwyciężony, u ołtarzy krzyża, zwyciężę uczył korzyć się i modlić.

„W górę tak wnieście jak nam się ukazał, pokój niosący, bo swém słodkim jarzmem chce uszlachetnić ludy Ameryki wyswobodzone wołą Opatrzności. Zmienne koleje czasu równie szybko niewolę noszą albo wyzwolenie; czas krok postąpił: i oto część świata nie będzie dłużej hołdowniczką drugiej; ale Inkasów i Azteków słońce świeci nad niewzruszonym Kalwaryi pomnikiem.

„Ach! wnieście w górę, bo ludzkość się chwieje... On jój podpora! Patrz, jak ona szuka, dumna a trwożna, zuchwała a słaba, depcze dziś stopą wczorajsze bożyszcze, w odmęcie myśli miota się, szaleje, świat zakłócając własne targa siły...

„Kwitnij, kwitnij święte drzewo! niech gwiazda prawdy cię opromienia, a strumień łaski niebieskiej, niech Twój olbrzymi podsycy korzeń!

„Rozpostrzyj Twoje konary! niech słabe plemię Adama pod Twym świętym spocznie cieniem, jak świat szeroki i długi!

„Niech wieki w swoim pochodzie wielbią Cię, a Ty im panuj! niebiosa, ziemia i piekło niechaj Ci pokłon składają!

„Ty dźwigasz Boga co się stał człowiekiem i Ty człowieka podnosisz do Boga!



## J ó z e f M a r m o l.

(ur. w 1818 r.).

We wszystkich republikach Ameryki Południowej znaném jest imię Marmola; wielka część utworów jego, zarówno gorące wywołała pochwały literackiego areopagu, jak żywy zapal u ogółu publiczności. Bo Marmol w poprawnym języku, w starannej formie, harmonijnym wyśpiewał wierszem uczucia wrodzone sercu człowieka, bez względu na stanowisko jakie tenże zajmuje: wolność, wiarę i miłość. Za silniejszą jeszcze pobudkę do tak wielkiej popularności uważać można i to, że Marmol w swoich poezjach, dramatach i powieściach ukazuje się wiernym wyobrazicielem Ameryki: prawdziwie amerykańskimi obrazami, wystowieniem i duchem. A małoż uroku otacza imię poety, który ziemię rodzinną opiewając z miłością, jednocześnie służy jój czynem, i za wolność, a raczój za sprawiedliwość srogie ponosi prześladowanie.

Don José Marmol urodził się w Buenos-Ayres ku końcowi 1818 roku; nauki odbył w témże mieście i w sąsiedniém Montevideo.

W dwudziestym roku życia dostał się w okowy dzikiego dyktatora Rozasa, który się narzucił rzeczypospolitej argentyńskiej w chwilach rozstroju nowourządzającego się społeczeństwa, wśród rozterek i zawichrzeń domowych.

Na wilgotnym więziennym murze, czterowersz śmiały i podniosły myślą, skreślony młodzieńczą ręką, objawił poetę, oraz duszę silną, niepodległą, pomimo kajdan krępujących ciało. Gdy mu się powiodło wy dostać z rąk swego prześladowcy, Marmol odbył wiele podróży, ale zawsze tylko w Ameryce; jużto z kolei udając się do Bandy Orientalnej i do Brazylii, to znów zwiedzając rzeczypospolite nad Oceanem Spokojnym; a wszędzie i zawsze, jak powiada jego amerykański biograf „brząkając na strunach swojej złotój lutni, zbierając kwiaty i wieńce, krzewiąc miłość swobody i smak literacki, słodząc długie godziny wygnania, przyczyniając uroku do szczęścia tych co jeszcze nie cierpieli.”

Sam Marmol określa charakter swojej poezyi w krótkiej przedmowie umieszczonej na czele jego utworów, których zbiór wyszedł w Buenos-Ayres w 1854 r. Tak się w niej wyraża:

„Dwa pokolenia, rzec można, żeglowały po morzu rewolucyi argentyńskiej, i jak gdyby oba pragnęły wyryc głęboko losy swoje w pamięci czasów: każde z nich miało swój chór poetów, którzy dzieje swojej epoki wyśpiewali z uczuciem i prawdą.

„Potężna, świetna i pyszna, jak laury zwyciężkie, jak chwała rodzinnój ziemi, muza niepodległości wielkie dni jój tryumfu z zapalem opiewa.

„Rzewnym obleczona smutkiem, zadumana, rozboleła nad losami ojczyzny, brzękiem jój kajdan natchniona, muza wolności, pospołu z wolnością pognębiona i wygnana z krain dalekich, z tułactwa po morzach, szle na skroń matki wieniec krwi i łzami jój dziełek zroszony.

„Do tej ostatniej epoki należą poezyc, które dziś w świat puszczamy; należą one do liczby tych westchnień serdecznych, z obczyzny na argentyńskie pobrzeża zastanych na skrzydłach zefiru, albo na smętnym księżycu promieniu; do tych tonów z duszy płynących, któremi piewcy nasi objawiali niedolę ojczyzny i w przyszłość budzili nadzieję, przez ciąg tej długiej ciemności nocy.

„Wieczni tułacze, dziś na jednych pobrzeżach, jutro na innych, biedni, zrozpaczeni dzisiaj, jutro promieniejący otuchą i nadzieją, oddani na pastwę kapryśnym a niezbłaganym losom przeznaczenia, wygnañcy poeci i pisarze nie byli w stanie, ani to możebnym było, ofiarować swemu krajowi dzieł wykończonych i doskonałych. Pracując za popędem serca, dzieci epoki burzliwej, w niepewności osobistego losu, złożyły u stóp wspólnej kochanki tylko garstkę kwiecica z różnych stref i czasów: kwiaty to ręką nadziei sadzone, stargane męczeństwem, uszczknięte dłonią wiary i miłości.

„Wszyscy zadanie swoje spełnili.

„Otóż więc macie i moje, sieroty bezbarwne, bez związku, jednością w nich tylko uczucie. Dla wszystkich to kwiatki leśne, dzikie; lecz dla mnie one bardzo drogie, albowiem każdy z nich mi przypomina łzy i nadzieje, co mi na serce kropelkami spadały w czasach onych, kiedy życie wieczną było walką obecną doby z przeszłością, a ciosy krzesały te świetne iskry poezyi, na których dzisiaj nam zbywa.”

Wiernie takiemu scharakteryzowaniu odpowiadają, pomiędzy innymi, piękne poezyc Marmola do hrabiny Walewskiej, której mąż był przez jakiś czas agentem francuzkim w Buenos-Ayres. W czasie pobytu tej rodziny na argentyńskiej ziemi, przyszła na świat i niebawem tam zmarła mała ich dziecina. „Dałaś aniołka ojczyźnie mojej, lecz macierzyńskiej przy kolebce pieśni burza La Platy odwrotrzyła i przestraszony cherub uleciał w niebiosy...” Poeta odzywa się do zbolatej matki w imię „braterstwa łez” jakie ich odtąd łączy; i dla niej także drogą będzie ta ziemia, jakby po jej dziecięciu pozostała kolebka, a łzy jej płynąć będą pospołu ze łzami tysiąca argentyńskich matek. Przygnębiony nieszczęsną kraju swego dolą, widzi jakby okrutny fatalizm ciężący nad Argentyną: tu wszystko musi cierpieć i płakać. „Uchylając dopióro jutrzeńki dni twoich szkarłatny rąbek, czyś ty płakać umiała? Ach! przybyłaś tutaj i zaraz życia twojego kwiaty od gorzkich łez poblakły!” Przecież w końcu promyk wiary i nadziei przedziera się przez te czarne chmury. „Módl się, Pani, mówi, za tę ziemię, na której dziecina twoja światło dzienne ujrzała; może kiedyś słysząc o niej wyrzeczysz z dumą: to była jej ojczyzna!”

Też same uczucia, które wywołały z serca poety smętne treny i skargi żałosne, wydarły z tegoż łona ogniste gromy gniewu, grozy i klatwy na głowę sprawcy tylu klęsk strasznych, jakie przez lat szereg nie miały gnębiły Argentynę. Wiersz w strofach *Do Rozasa*, również jak poezya pod tytułem: *Dzień 25 maja 1843 roku*, skreślony na pamiątkę rocznicy niepodległości argentyńskiej i promienistemi zgłoskami,

jak rozpaloném żelazem piętnują tę demoniczną postać, ku wiecznej ohydzie przyszłych pokoleń. Wobec tak wielkich krzywd i pohańbienia, tylu potoków krwi i łez wytoczonych z narodu przez drapieżnego nikczemnika, serce przepomina chrześcijańskiego przebaczenia, „o tygrysach niebyło mowy w przykazaniach Synaju... Najlepszy z najlepszych przeklął lucypera, a więc i ciebie Rozasie ludzkość ma prawo przeklinać. Zemsta mojego nigdy nie zakłóciła serca i jako człowiek przebaczam ci moje więzienie i okowy, lecz jako argentyńczyk krzywd mojej ojczyzny nie!”

Jednym z najcelniejszych utworów Marmola jest poemat pod tytułem: *Pieśni pielgrzyma*. Wprawdzie nazwa poematu nie zdaje się tu właściwą, lecz jako obrazy opisowe, jako fragmenta poezji lirycznej, dziwnie piękne zawiera w sobie utwór ten ustępy, „istne wiązanki wonnego a cudnego kwiecica,” jak się o nich wyraża jeden z współziomków autora. Jak wysoko krytyka amerykańska stawia *Pieśni pielgrzyma*, świadczyć o tém słowa napisane przez jednego z pierwszorzędných poetów, Jana Guttierrez. Przytaczamy wyjątek z tej oceny:

„Karlos (imię pielgrzyma) jest Haroldem ojczyzny i przyrody. Bohater angielskiego wieszczą wśród grobów i wspomnień ponurą myśl oprowadza. Pielgrzym opuszczając wzrok na dół podziwia kwiaty na ziemi; podnosi go na gór szczyty, na zenit i opiewa światło w godzinach jego najpiękniejszych blasków; zwraca oczy na horyzont, przypatrując się zorzy porannej i wieczornym brzaskom, na obłokach znajduje niezliczone motywa do najwspanialszej poezji. Pielgrzym bezustannie czerpie natchnienie z dwu tajemniczych światów, z dwu wiecznie żywych źródeł: z serca i z przyrody.

„Marmol przebaczył swoje *więzienie i okowy* i my też nieledwie przebaczymy tej ręce, która go od domowego oddaliła ogniska, gdzie byłyby mu pozostały obcemi wrażenia tropikalnej strefy i mórz podbiegunowych. Należy bowiem wiedzieć, iż *Pielgrzym* utworzonym został i napisanym na pokładzie okrętu, w ciągu podróży pełnej cierpienia i niebezpieczeństw, od Zwrotnika naszej półkuli aż po 65 stopień szerokości południowej, gdzie go zagnały burzliwe wichry, nie pozwalając przepłynąć za południowy cypel Ameryki.

„*Pielgrzym* jest hymnem na cześć przepychów amerykańskiej przyrody, jest wiernym odzwierciedleniem najserdeczniejszych uczuć poety, wygnańca, kochanka, rozmyślającego nad sobą samym, lub zatopionego jużto w raju, już w piekle tej wielostronnej przyrody naszego ładu. Czytajcie pieśń jego *Do obłoków*, pieśń *Do Zwrotników!*...

„Są tacy, którzy jeszcze zaprzeczają istnieniu rodzinniej amerykańskiej poezji, w końcu jednakże będą umieli uznać naszą samoistość w piśmiennictwie, jak ją już w polityce uznano; tak jedna jak druga, nie są to już kwestye, lecz fakta. Poeta powinien czuć to co opiewa, a czuć całą duszą; poeta powinien malować, a malować z prawdą przyrodę. A jakież to serce, jakie barwy najwierniej oddadzą miarę uczuć

tryskających z amerykańskiego społeczeństwa i wielkie obrazy jego ziemi? Tylko serce miłością Ameryki natchnione, tylko barwy rozlane na równinach, górach, rzekach i morzach amerykańskich. Wszakże my mamy już przeszłość: chlubne boje, narodowe uroczystości, znakomitych mężów, których ze łzami składaliśmy do grobu. Azaliż cudzoziemiec przyjdzie opiewać to co tylko nam tętna serca poruszać może? Tylko amerykański *Pielgrzym* może się tak unieść dumą w swojej pieśni do Ameryki, w pieśni, która poczęści jest prorocstwem, a poczęści rzeczywistością stwierdzającą się codziennie.

„Ameryka jest dziewicą, która światu śpiewa, wróżąc mu błogą swobodę... Spocznij europejski świecie, szlachetny ojcze wieków, które już do kresu dążą; spocznij, a tymczasem ręka matki mojej Ameryki przygarnia twą dziatwę do łona i karmi ją swym chlebem. Dlaczegoż nie? skoro nie wojnę nam niesiesz, przyjdź zbierać u nas bogate plony; na narodzenie się nowych narodów mamy ziemi więcej niż widzisz przestrzeni dla gwiazd na niebiosach. Wsparta na złotych kolumnach Ameryka, to klejnot wszechświata! Przedemną jej góry... u stóp mych jój morze... ja patrzę na nią, pysznię się i łzy mi zpod powiek płyną!..”

„Lecz na tych obszarach amerykańskiego lądu ma *Pielgrzym* swoje rodzinne pobrzeże; tam jego miłość najserdeczniejsza, tam najdroższe wspomnienie! Instykt serca więcej aniżeli busola sternika oznajmia mu iż mimo niego przepływa; wprzód nim ziemię dojrzyć może, już poznał niebo swoich lat dziecińczych.

„Otóż te morza co stopy jej myją, oto te niebiosy co złocą jej skroń! Tam jest Buenos-Ayres, orlica w okowach! co wczoraj tak górnice wznosiła swój lot!

„O, kraju mój! gdzież są wielkie dni twój chwały, szczęśliwe dni, którym błogosławił Bóg? My synowie twoi, wygnańcy, tułacze, gorzką łzą boleści zraszamy nasz chleb!

„Gdy nam cię odjęto, ziemio ojców naszych, szczęśliwy kto może ujrzyć niebo twe!

„Tak, to twoje niebo, twoje to obłoki, świecące od złota i szafiru barw! O matko! jeśli by wiedzy mi zabrakło, jaby mi po nich poznać, że ty jesteś tam!

„Jak piękne twe morza, jak dumnie wzdymają bałwany, jak dzielnie podnoszą swój głos! O! niech z szumem fali na ten ląd popłynie w żałosnym westchnieniu: bądź zdrów kraju mój!

„A gdy wygnanego z ziemi w żywioł obcy czeka grób bez krzyża, nie zroszony łzą, o morze! spiętrz fale i skrzepłe me zwłoki ponieś tam i wyrzuć na rodzinny brzeg!

„Ach! czyliż nie zstąpi sprawiedliwość z nieba, byś mogła, o matko! ujrzyć synów twych? Czy jak dla głów naszych o schronię żebremy, przyjdziecie nam prosić u obcych o grób?

„Czarnęj chmury zbrodni, co mroczy ci czoło, czyż nigdy nie zedrze z niego Boża dłoń? Nigdyż nie zaświeci dobroczynne słońce i tej krwi czerwonej nie wywabi płam?

„Ach tak! mam nadzieję!... Łzy które wylewasz, są jakby jutrzeńki rannęj świeże łzy; wszak po nich zielenięj maj kwitnie na błoniu, one nam zwiastują nowy słońca wschód.

„Tymczasem gdziekolwiek jesteście jęj syny, w górę nośmy czoło wśród twardej prób; niech dumne w boleści argentyńskie serce nie upada mówiąc: bądź zdrów kraju mój!”

Pomiędzy wspomnieniami *Pielgrzyma* występuje często uroczą postać niewieścia, tkliwa i piękna Marya, którą najczystszem ukochał uczuciem, która „dłoń liłościwą wyciągnęła do tułacza i wonny kwiat rzuciła na jego drogę...”

„Bóg w niezgłęzionych tajnikach tworzenia ma jedno naczynie na każde dusz dwoje; w chwili narodzin kruszy to naczynie i cieniuchną związkę dwojga dusz rozrywa. Rzucona w labirynt życia i świata, każda z nich wrodzonym wiedziona popędem, po osobnej kroczy drodze i każda za różnym śladem pośród dusz tej szuka, która jeduëm z nią technieniem żywot otrzymała.

„Odnależć ją niebiańskiem szczęściem jest na ziemi, ale najszczęśliwem duszy udrgęzeniem błędzić po świetle, patrząc na jedną po drugiej, a w żadnej nigdy tej nie napotkać, która do miary jęj uczucia trafia.

„Karlos ją znalazł...”

Najrozmaitszych wrażeń i uczuć ludzkiego serca przebiegłszy całą gamę w swych pieśniach, ostatniej dał poeta tytuł: *Noc ciemna*.

„Gdzie ten bezbożnik co zapiera się Boga, nie pojmując swojej zbrodni że się zapiera sam siebie? Idźcie geniusze nocy i tę ślepą duszę sprowadźcie tu, niech zadrży!

„Tu, gdzie świat niknie z przed oczu i w nicość za sobą ludzkość pociąga: gdzie wśród ciemności i bezdennych toni, dusza staje w obliczu wieczności i Boga.

„Tu, gdzie się pycha korzy na kolana wobec wielkości nieśmiertelnej Istoty; gdzie najszczytniejsze widzimy cuda w ogromach jakie ogarnia niebiańska Jęj wszechmoc.

„Tutaj, gdzie człowiek nikłym jest proszkiem, niesionym na falach wśród niezmiernych przestworów, czując w strasznej trwodze niezbadane otchłanie i poświat wicheru w ciemnościach.

„Tu wreszcie, gdzie człowiek z Bożego rozkazu jak Bóg jest potężnym i jak On Bogiem, i w śród oceanów, w pośród czarnej nocy, idzie urągając lotnym wiatrów prądom.

„Panie, ja Cię pojmuję: Ty boskiego Twego ducha w technieniu miłości rozlewasz po wszechstworzeniu; czy to jest światło, czy noc, wiatr, morze, rosa, drzewo, czyli człowiek lub drobny robaczek, wszędzie Ty jesteś, o Panie!

„Ja Ciebie czuję w mojem sumieniu: dotykam Cię w każdym kwiatku; słyszę Cię, gdy straszna huczy burza; widzę Cię w jasności porannej zorzy i wśród téj czarnej ciemności przed Twojem padam obliczem.

„Niechże więc tu przyjdą gdzie moją nastrajam lutnię, a tu poznają, co to jest co my nazywamy Bogiem, uwielbią Jego uśmiech, za drżą przed Jego gniewem, ukorzą się i oniemieją.”

Marmol, poeta przedewszystkiem liryczny, próbował swego talentu i w innych rodzajach: w dramacie, w romansie historycznym.

Chwalono bardzo dramat jego w pięciu aktach pod tytułem: *Poe-ta*. Znajdujemy w nim dosyć akcyi dramatycznej, niektóre sceny zajmujące, wiersz bardzo piękny: z tém wszystkiem lepiej się nam podoba w Marmolu poeta liryczny aniżeli dramatyczny. Większą ma mieć wartość inny z jego dramatów p. t.: *Krzyżowiec*.

Napisał także Marmol powieść historyczną *Amalia* <sup>1)</sup>, osnutą na tle dziejów Argentyny pod dyktaturą Rozasa: żywemi barwami odmalował w niej obraz téj smutnej a dziwnej epoki, z tém większą prawdą, iż sam był widzem i aktorem straszego dramatu, jaki się za jego młodości odgrywał na jego rodzinnéj ziemi.

Oprócz tego wydawał Marmol pisma treści politycznej, redagował dzienniki. W sprawach publicznych czynny biorąc udział, po upadku Rozasa zasiadał na ławie wybrańców ludu, gdzie się odznaczył jako znakomity mówca.

### Juan Carlos Gomez.

(ur. w roku 1820).

W pięknej krainie Bandy Oryentalnej, w Urugwaju, gdzie na każdej drodze postęp jest tak widocznym, piśmiennictwo także nie pozostało na niższym stopniu, aniżeli w innych dzielnicach hiszpańskiej Ameryki. Zastępnymi tam już z pióra niejedni: uczony a satyryczny Figueroa, rzewny Berro, natchniony Magarino Cervantes, Heraclio Fajardo, Hidalgo i inni. Wśród tego zastępu pisarzy, w pierwszym rzędzie przedstawia się Juan Carlos Gomez, urodzony w Montevideo 1820 r., jeden z najznakomitszych w Ameryce prawników i publicystów.

Młodzieńcze lata życia jego przypadły na tę epokę, kiedy wyswobodzone już rzeczypospolite ulegały najgwałtowniejszym i najkrwawszemu przewrotom, wywoływanym przez trybunów i demagogów. Każdy umysł wyższy a prawy, tém mocniej uczuwał pragnienie wolności, tém zdrowsze w sobie o nią wyrabiał pojęcia, im więcej widział ją w piekielne wtłoczoną otchłanie przez własne ręce jej rzekomych wielbicieli. Téj przeto sprawie Gomez poświęcił się całą duszą, a bę-

<sup>1)</sup> Powieść historyczna *Amalia*, była przełożoną na język polski.

dać zmuszonym wcześniej opuścić kraj rodzinny, bezustannie w jej obronie pisał bądź w Rio-Janciro, bądź w Valparaiso, gdzie przez jakiś czas redagował dziennik *El Mercurio*.

Za powrotem nad brzegi La Platy, przyjął na siebie redakcją *Trybuny*, w której artykuły jego pióra nabrały rozgłosu aż w Stanach Zjednoczonych, a nawet między europejskimi publicystami.

Obdarzony niepospolitym talentem poetyckim, Gomez lutnię swoją oddał także na usługi ukochanej sobie idei, jak ją czuł i pojmował, widzimy to już w pierwszej części jego pieśni p. t: *Wolność*.

„W gorących godzinach wczesnej młodości, umysł mój z zapałem o wolności śnił; pogrążon w marzeniach czekam tej jutrzenki, co wieczną jasnością oświeci cały świat.

„Biędne ja dziecię, może nigdy, nigdy dzień tak upragniony nad moją nie zabłyśnie skronią! Może nigdy, nigdy ojczyzna moja nie ujrzy sprawdzonych przyszłości snów!

„Czy namiętności w długoletniej walce piękne jej nadzieje w kwiecie zwarzyły? Czyli Wszechwładny prósb moich nie słyszy lub dla użyźnienia, burzy każde wiec?..

„Śledziłem zawsze zwroty twego błędnego biegu, szukając cię u ludów, o ukochana Wolności! I wieki przebiegając, myśl poety rozdarła ciemną przeszłości noc.

„Ręka Boga samego zaznaczyła cię w prawach nadanych na szczycie wyniosłego Synaju; lecz kiedy w miejsce sędziów lud o królów prosi, szukam Cię już napróżno: ciebie już nie było tam!

„Równiny Maratonu, Platei błonia, widziały cię jasną jak przebiegałaś szeregi: Grecya wśród bojów tak zolbrzymiała, że imienia twojego udźwignąć niema już sił.

„Solon obywateli dał miękkim Atenom; Solon ich nauczał równości dogmatów; a tuż ludy pod jarzmo karki uchyliły, bo Solon zarazem *ludzkości* nie uczył ich.

„Zawiścią się trawia, gromią ostracyzmem; więzienie nagrodą synowi Tymona; ślepy fanatyzm poi cykuta, kościom Focycona mogiły nie chce dać.

„Tam dalej, na cichych Eurotasu brzegach, zwycięzki oręż Sparta na twoim składa ołtarzu: a nędzne Iloty w okowach jęczą, użyźniając jej pola rosą swoich łez.

„Po tej pięknej krainie pamiątkami zasianej, przeleciał krwawy namiętności uragan i na kartach, gdzie zbrodnia zapisuje zwycięztwa, daremno byś wolności szukać chciał.

„Tam, na pustym brzegu szerokiego Tybru, ostrze Brutusowego sztyletu drogę ci otwiera, i zpoza pomroczy rodzicielskiej żałoby, w dumnym jego oku błyszczy ogień twój.

„Potężna Roma w górę wznosząc głowę, wczoraj jeszcze schyloną pod ciężarem korony, niezwyciążona, orłami swemi świat cały przygniotła i barbarzyńską jej potęgę oplakuje świat.

„I zuchwali Rzymianie wolnymi się mianują, podczas gdy podbijają sobie niewolników, gdy dzielni Grakowie pod sztyletami patrycyuszów legli, zato, że ciebie wzywali tam!

„Rozsiadła się nad światem, olbrzymie świetna, trofeami zwyciężona, czas ujarzmiła; lecz Roma wielka tylko, póki trwają boje; wolność w Romie nie wycisnęła śladów stopą swą.

„Greków i Rzymian doszły do nas imiona, zwiększone może odległością ich bytu; cienie wieków przysłoniły nam ich nicosć; przez dziecięstwa pryzmat przeszła chwała ich.

„O wolności! serce moje napróżno cię wzywa; siłę się znaleźć ciebie, oczy moje cię nie widzą!... Lecz nie, widzę, błysnęła radosna twoja jutrzeńka pod słomianą strzechą w nędzném Betleem.

„Ztamtąd na męczeństwo wyjdzie Tryumfujący, Ten, co krwią Swoją stwierdzi prawo Synaju: poda je człowiekowi mówiąc: *Odtąd*, nie uczynisz tego co nie chcesz aby uczyniono ci.

„Wtenczas się ludzie w braci zamieniają, bo połączeni węzłem świętej wiary! Wtenczas przeznaczenie tajniki swoje objawia i zaczyna się urzeczywistnienie świetnych moich snów!

„Lecz napróżno zabłyśłeś, ślepym był świat stary i nie mógł dojrzyć niebiańskiej twojej piękności! Jeżeli on bezbożnie hołdu uwielbienia ci odmawia, trzeba ci szukać ojczyzny, gdzie się narodzić masz.

.....  
 O życiu prywatném Gomez'a wiadomo, iż los je przez ciężkie przeprowadzał koleje i w najdroższych uczuciach serce jego boleśnie było dotkniętém, co zresztą łatwo poznać po tonie kilku jego utworów jak: *Cedr i Palma, Lzy poświęcone matce, Na śmierć poety Berro* i t. p. Streszczonym obrazem stanu jego duszy mogą być harmonijne strofki nakreślone w albumie p. t.: *Stojąca woda*.

„W srogim losów niepokoju spoczywać nad brzegiem strumienia, który nie szumi, nie szemrze, nie bieży jak nadzieja umarły — to nie jest żyć.

„To nie jest życiem dla tego co się urodził nad brzegiem burzliwój i gwałtownój La Platy, której wody mkną pędem do walki z falami mórz.

„Być może, iż w zaraniu dni twoich, przezroczym zorzy przysłonięta rąbkiem, znajdujesz słodczye życia, gdziekolwiek do marzenia pochyliłz skroń.

„Być może, iż pragniesz, aby zapomniana zdrzemnąć się snem pokoju, bo kiedy zewnątrz cisza panuje, wtedy w twém sercu jest ruj.

„I miłą ci będzie drzemiąca woda, która twój zachwyty błogo ukolysze, podczas gdy kreślisz na piasku szczęśliwój miłości znak.

„I lubą ci rozkosz tajemnej ustroni i brzeg cichego jeziora, który swą świeżosć i spokój bez miary rozleje na twoje sny.

„Tu więc gdzie wiatr nie jęczy, ni powiew rozkoszny drzew nie kolysze, niechaj ci płyną zaciszne godziny, bez obawy w sercu żyj.



„Jam się w burzy urodził i dlatego lubię huk szumiących fal: ty spoczywaj sama nad brzegiem twego strumienia—ja idę do morskich wód.”

### Bartłomiej Mitre.

(ur. 1821 r.).

Imię to należy zarówno, a może więcej jeszcze, do historyi jak do literatury amerykańskiej. Mąż stanu i wojownik, historyk i poeta, Mitre jest jedną z najznakomitszych osobistości Ameryki Południowej. Imię jego wmieszane w wiele z najgłówniejszych wypadków życia politycznego kilku ze stanów łacińsko amerykańskich, wypłynęło z nich zawsze bez skazy i zawsze z nowym chwały promieniem. Nieskazitelnej prawości w stosunkach prywatnych, Mitre szanowanym jest od przyjaciół, ubóstwianym przez rodzinę. W publicznym życiu najwznioślejszy patriotyzm cechuje wszystkie czyny tego surowego republikanina, który z zapałem i niezmierną poświęcał się czci wolności. Ojczyźnie swojej służy piórem i orężem, krwią i duchem, rozumem i natchnieniem, każdą cząstką żywota swojego.

W bardzo młodzińskich latach rozpoczął tę służbę, której aż dotąd ani na chwilę nie porzucił. W 17 roku życia już ujął w rękę lutnię i oręż, w tymże samym roku został kapitanem, w 23 podpułkownikiem, w 31-ym pułkownikiem, w 39-ym generałem brygady.

Urodził się w Buenos-Ayres dnia 26 czerwca 1821 r.; w tymże mieście odbywał nauki, a później w Montevideo.

Przy oblężeniu Montevideo i przez ciąg wojen od roku 1838, odznaczył się Mitre mężstwem i zdolnością. W Montevideo redagował *Nową Erę* i kilka innych dzienników.

W roku 1846 udał się do Boliwii, gdzie uorganizował szkołę wojskową, założył dziennik *La Epoca* i na niejednym polu wielkie położył zasługi, między innymi jako dowódca artylerji w kilku ważnych potyczkach. W końcu pozyskał sobie powszechne uznanie, szacunek i przyjaźń ówczesnego prezydenta republiki. Doszedłszy do wysokich szczytów i dostojęństw, nie mógł jednakże uniknąć zawiści i prześladowań, nieuchronnych wśród wewnętrznych zawichrzeń nowych republik. Zmuszony wyjechał do Chili, oddał się tam dziennikarstwu. Pod jego redakcją wychodził *El Mercurio de Valparaiso*; a przytém został Mitre współpracownikiem *Postępu* w Santjago. Ująwszy sztandar opozycji, dobitnie i energicznie walczył o reformy śmiało lecz konieczne.

I tu mu się nie poszczęściło: wygnany, przeszedł do Peru; lecz niebawem znów powrócił do Chili, gdzie był obecnym rewolucji 1851 r.

Nareszcie Argentyna, wyswobodzona zpod jarzma Rozasa, z radością przyjęła w ojczyście progi wyborową swoją działość, tak długo prześladowaną.

Od pamiętnéj bitwy pod Monte-Caseros aż do dnia dzisiejszego Mitre ukazuje się ciągle na pierwszym planie politycznéj widowni w La Plata, jużto jako deputowany w Izbach, jużto jako minister wojny w oderwanej prowincyi przemienionéj w udzielne państwo: a na każdym stanowisku pozyskał sobie szacunek i uznanie ziomków i cudzoziemców; z każdym dniem imię jego zyskiwało więcéj rozgłosu, jego wpływ więk-szej nabierał powagi. Na zgromadzeniach dowiódł niepospolitych talentów oratorskich.

Kiedy z końcem roku 1859 właśnie pomiędzy Buenos-Ayres a konfederacyą doprowadziły do zbrojnego z obu stron wystąpienia, na czele wojsk nowego państwa dowodził generał Mitre, mianowany wkrótce generałem brygady.

Bitwa pod Cepeda dnia 23 października zakończyła tę wojnę, a układy utrwały pokój. Generał Mitre w téj okazji dał wymowne dowody uniarkowania, okazał się biegłym politykiem i dyplomata.

Wyniesiony na pierwszy urząd w swojej prowincyi, sprawował rządy z zadowoleniem wszystkich stronnictw, nie zbaczając nigdy z legalsnéj drogi.

Już Mitre i jego przyjaciele zdołali uzyskać pożądaną reformę konstytucyi, już wszystko szło po myśli i generał Urquiza już ustąpił z prezydentury, kiedy nowe niesnaski zamęciły *umowę familijną*. Nie tu miejsce na opowiadanie i sąd o zaszyłych podówczas wypadkach; dosyć jest nadmienić, iż z obu stron ważne popełniono błędy, obu stronom zbywało na duchu pojednawczym. Pomiędzy rządem w Parana a rządem w Buenos-Ayres wymieniono kilka not dyplomatycznych: każda strona protestowała, każda mniemała, iż słuszność jest przy niej. Rozprawy pokazały się bezskutecznymi: w obydwu obozach gromadziły się wojska, ogromnie czyniono przygotowania. Generał Mitre na czele swoich hufców przekroczył granice prowincyi Buenos-Ayres i spotkał idącego naprzeciwko sobie generała Urquiza z dobrze wyćwiczo-nym żołnierzem. Dnia 17 września 1861 roku, w miejscu zwaném Pavon, znów działa zagrzmiały. Zwycięstwo sprzyjało obrońcom Buenos-Ayres, pogromca Rozasa pierzchnął. Mitre pozostawszy panem pobojuwiska, przyłożył rękę do rychłego ukończenia wojny, do utrzymania najściślejszój karności. Nie wdając się w sądy nad słusznością pobudek do wojny, nie wypada wszelako przemilczéć, iż prowadzoną była w sposób godziwy i szlachetny, o ile to jest możliwém w wojnach domowych, iż nie popełniono żadnéj zbrodni, uszanowano zwyciężone-go, opiekę zapewniono wszystkim bez wyjątku.

Po tym tryumfie jednego stronnictwa, rząd ogólny sam ułatwił drogę zwycięzcy i uprościł stan rzeczy, albowiem prezydent p. Derqui rzekł się swego stanowiska i odjechał do Bandy Oryentalnéj; wice-prezident i ministrowie uznali się niekompetentnymi do rządzenia, a generał Urquiza ustępował ciągle we wszystkich.

Prowincye złożyły tymczasowo ster rządów w ręce generała Mitre, a następnie zwołano kongres, naznaczono wybory i głosowania na

przyszłego prezydenta rzeczypospolitej: wybranym został bohater bitwy pod Pavon.

Od tej chwili życie generała Mitre należy wyłącznie do politycznych dziejów; czyny jego, tudzież ich ocena nie mogłyby się pomieścić w szczupłych ramach pobieżnego życiorysu, mającego głównie na względzie zawód jego literacki.

Na tym polu Mitre dał się najprzód poznać jako znakomity publicysta. Studyjąc sumiennie wszelkie kwestye odnoszące się do potrzeb krajowych, nie mógł nie zastanowić się głęboko nad jego dziejami. Łatwo się można o tym dowodnie przekonać, czytając skreśloną przez niego *Historję generała Belgrano*, jednego z najznakomitszych mężów, jakimi szczyli się Ameryka. Jeżeli opis dziejów narodu nie jest zupełnym bez życiorysów najwybitniejszych jego postaci, to znów z drugiej strony, dzieło, o którym mowa, nie może się nazwać prosto biografią pojedynczej jednostki: jestto obraz całej epoki. Autor zwraca uwagę na główne peryody kolonialnych rządów; opowiada, jak w strefach La Platy zaczęły kiełkować pierwsze pojęcia wolności, jak się rozwijały i zakorzeniły; kreśli dzieje angielskich najazdów, daje nam poznać stan umysłowy w chwili ogłoszenia niepodległości; mistrzowskim pędzlem maluje wizerunki głównych aktorów wielkiej rewolucyi wyswobodzenia, takich jak: San Martin, Balcarce, Alvear, Moreno, Rivadavia, Pueyrredon i w i., pojedynczo ustawia obrazy wspianego dramatu, uprzytomnia nam wszystkie walne bitwy, stoczone przez zastępy narodowe i wojska Metropolii.

W dziele tym wychodzą na jaw plany organizacyi politycznej i społecznej jakich probowano, idee monarchiczne, rodzące się w umysłach głównych przewodzców rewolucyi, jak Belgrano, Rivadavia, San Martin.

W końcu witamy wraz z dziejopisem jutrzeńkę amerykańskiej niepodległości: już sztandar wolności powiewa nam przed oczyma, lecz równocześnie zarysowują się na widnokręgu złowrogie chmury, zwiastujące owe straszliwe burze, które zwiemy wojną domową.

Kilka z ważnych chwil występuje tu plastycznie, każda osobistość tej pamiętnej epoki odwzorowana biegłym pędzlem, każda bitwa przedziwnie opowiedziana, bez pominięcia krytycznej analizy planów każdego wodza. A jak autor umie rozplómić duszę, sławiąc tryumfy, jak wstrząsa serca, tragiczną grozą malując niepowodzenie amerykańskiego oręża!

I nie jest ta historia tylko malowniczą opowieścią zdarzeń; krytyczny rozbiór przyczyn, które wydały tyle rozlicznych skutków w ciągu tych niepowszednich zapasów, czyni ją jednem pasmem ważnych nauk: jestto kurs logiki, prawodawstwa, strategii, polityki. Głęboki umysł dziejopisa, stworzył prawdziwie historyzoficzne stronnice. Jak w treści tak w formie posiada ta praca najgłówniejsze zalety, jakie powinny znamionować historyka: zwięzłość, malowniczość, bezstronność.

Generał Mitre był założycielem Instytutu historyczno-geograficznego w Buenos-Ayres i w Montewideo.

Przy tak wielkiej, a różnostronnej działalności znajdował Mitre wolne chwile czasu i umysłu do utworów z dziedziny powieściopisarstwa i poezji. Wydał w Valparaiso nowellę p. t.: *Samoistność*, o której najznakomitsi krytycy amerykańscy pochlebnie się wyrażają. Z poezji jego znanym jest w Europie jeden tylko tom wydany p. t.: *Rymy*. Przedmowa w formie listu do znakomitego literata Dominika Sarmiento, jest zarazem traktatem o rytmie i rymie, tudzież dzielnie poetyczną obroną poezji. W zbiorze tym zawarte utwory Mitrego są przeważnie z zakresu poezji lirycznej. Talent jego z łatwością nagina się do wyrażenia różnorodnych uczuć, wzniosłych, tkliwych i rzewnych. W każdym utworze forma, język, koloryt, wybornie odpowiadają obranej treści.

Wiersz *Na porażkę pod Quebracho*, jest odezwą do młodzieży, przypominającą czém byli jój ojcowie. Jestto pieśń nowego Tyrteusza, tryskająca ogniem i tą siłą, co to mimowoli wstrząsa, porywa i zapala.

Takąż samą cechą napiętnowana poezya *Do słońca, 25 maja 1844 roku*; w niej poeta streścił dzieje bohaterskich czynów narodu, a następnie smutnej jego niewoli pod jarzmem ohydneho tyrauna; żywa boleść nad straszną niedolą nie wygasiała wiary w ostateczny tryumf prawa i swobody. „Napróżno stary świat przeżyty woła: złoto! złoto jest bożyszczem ziemi! bo wymowne czyny świadczą, iż u ludów męzkiego ducha i dzielnych, bożyszczem jest uczucie święte, wzniosłe...”

Obok tych silnych i męzkich tonów, jakimi brzmi lutnia patryoty i żołnierza, jakże mile wpada w ucho dźwięczna melodia z ojcowskiego płynąca serca:

#### *Do mojej córki Delfiny.*

Białe kwiecie! co zlewasz na dni moje zoicha  
 Drogocenne balsamy z wonnego kielicha;  
 Jutrzenko! co mi siejesz odblaski różowe,  
 Jak słońce ciepły promień na żebraka głowę;  
 Piosenko! której podźwięk tak słodko mnie wzrusza,  
 Że gdy ciebie posłyszę, drga miłością dusza;  
 Łzol ty perło przeczysta, co zronił ją z góry,  
 Nad niedolą człowieka anioł srebrnopióry;  
 Strumyku! co zasilasz kroplą żywój wody,  
 Pierś tęsknego wędrowca, łaknącą ochłody;  
 Gołąbkol! co w gniazdoczku tulisz senną głowę,  
 Bo nie trwożą cię wichry, ni chmury gradowe;  
 Córko moja! snuj błogo twoje sny przeczytaś,  
 Gdy słodko cię oplotły ręce macierzyste!  
 Z téj obfitój krynicy matczynego łona,  
 Niech się poi pierś twoja prawdy upragniona;  
 A każda jój kropelka wążczy w umysł młody,  
 Skarby szlachetnych myśli, cnót przyszłych zarody.

Długo one spać będą, aż ukryty w chmurze,  
 Grom przemknie błyskawicą po twych snów lazurze!  
 O! wtedy, mój aniele, posiew onót bogaty,  
 Co kielkuje w twém sercu, wyda pełne kwiaty;  
 I tych kwiatów woń cudna twą duszę ogarnie,  
 Bo skarb złożon w pierś dziocka nie przepada marnie.  
 I zdrowym cię balsamem napoją niebiosa,  
 I skarga twój boleści, jak ożywcza rosa,  
 Rozprysnie się po ziemi w kropelek tysiące,  
 I woń białych gwoździków rozsieję po łące.  
 Bo iza to kwiat, co rośnie na wianek dla Pana,  
 Gdy z głębi oichéj duszy święcie wyplakana.  
 Lica iza nie zroszone, to piaszczysta niwa:  
 Bóg rosy jój poskąpił, nie będzie tu żniwa!

. . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .

W pieśni *Nad grobem poety* widać nastrój religijny, chrześcijański, głęboko filozoficzny. W podobnym rodzaju wiele utworów znajduje się w tym zbiorze Mitrego poezyi.

Spotykamy w nim także i erotyczne urywki, zawsze udatne i tchnące idealnym uczuciem. Utwór p. t.: *Welon*, przypomina pieśni dawnych trubadurów lub wschodniej poezyi kwiaty.

(Fragment z tego utworu drukowanym był w *Bibliotece Warszawskiej* z 1870 roku).

Z pomiędzy wielu innych drobniejszych wierszyków różnego rodzaju i nastroju, zwracają uwagę oryginalnością swoją stepowe, że je tak nazwiemy, piosenki, coś nakształt ukraińskich dumek i kozaków. Wieje z nich duch rodzinnej poezyi amerykańskich stepów, bije tętno życia téj junaczéj ludności, co króluje na *Pampie* natrzęsając się z wszelkich władz i więzów krepujących cywilizowaną społeczność. Takim jest Mitrego *Partyzant*, może nieco zidealizowany, lecz pełny życia i werwy, dyszy nieukróconą swobodą, a uderza prawdą miejscowego kolorytu. Również piosnka *Do konia*, przedziwnie naśladuje gminne Gauchów śpiewki.

### *Mój koń.*

(Pieśń gaucza).

„Konik mój młody,  
 Z wichrem w zawody,  
 Prześciga loty strzał!  
 Puśó mu wędziła,  
 Orle go skrzydła  
 Stepem poniosą w cwał.  
 „W bojową wrzawę,  
 Gdy włócznie krwawe

Olśnił mu nagle wzrok,  
 W ziemię zuchwałej,  
 Kopytem wali,  
 Postawi dęba w skok.  
 „Niech-no podhwyce,  
 Arkan w prawicę,  
 Nozdrze mu wzdyma wstręt,  
 Płoną mu ślepie,  
 Jak gdy po stepio  
 Lecim za strusiem w pęd.  
 „Siwosz mój drogi,  
 Z iskier ma nogi,  
 Miast oczu gwiazdy dwie;  
 Doń jak do dziewy,  
 Mój czarnobrewy,  
 Serco się żartko rwie.”  
 Gaucz sławi konia,  
 Nagle przez błonia  
 Grzmi dźwięk bojowych trąb,  
 Schwyci się grzywy,  
 Pędzi z nim siwy,  
 Owian w kurzawy kłęb.

### Abigail Lozano.

(ur. 1823 r.).

Wśród wstrząśnień zakłócających od lat tylu Amerykę południową i wobec silnego pociągu wszystkich zdolniejszych umysłów do politycznej szermierki, dziwić się przychodzi wszechwładnemu poezji prądowi, torującemu sobie drogę mimo tak wielu wrogich mu warunków. Dla młodzi poświęcającej się umysłowym pracom, stoją tam otworem zawody: lekarski, prawny, teologiczny, lub wojskowy. Ale na polu czysto literackim można iść tylko przebojem, wbrew tysiącnym zawadom. A jednak nie zbywa na ochotnikach, co się rzucają na te cierniste bezdroża, parci snąć siłą rzeczywistego natchnienia. Do tegoto zastępu należy Abigail Lozano.

Urodził się około 1823 r., w mieście Walencyi, w Rzeczypospolitej Wenezuela. Rodzina jego podupała na mieniu, nie była w stanie dać mu stosownego wykształcenia. W bardzo młodym wieku mieszkając w Puerto Cabello, choć bez żadnej nauki, dał się poznać światu, gdy na tak rzewną zaśpiewał nutę, iż poruszył wszystkie serca. Jeden z pierwszych jego trenów dostał się do dziennika *El Venezuelo*. Redaktor onego zachwycony pięknością wiersza, umieścił go w swoim piśmie, bardzo podówczas rozpowszechnionem, a młodego poetę zaprosił na współpracownika do części literackiej. Lozano przyjął wezwanie

i przeniósł się do Caracas. Opuszczając Puerto Cabello, zęgnął je smętna pieśnią:

Z sercem ściśniętóm i z niememi usty,  
Twe malownicze opuszczam wybrzeże;  
Dźwięk tylko pieśni jałowy i pusty,  
Żebrak-trubadur rzucam ci w osierze.

Gdy poraz pierwszy załkałem żałośnie,  
Inny mi powiew lzy osuszył z oka;  
Tum przybył dzieckiem i czułem jak rośnie,  
Ze mną tęsknota w mój duszy głęboka.

Próżnom ją śpiewał, gdy uśmiech goryczy,  
Niekiedy drżące wykrzywił mi wargi;  
Ach! tyś nie odczuł rany tajemniczój,  
Wolny od bólu, tyś nie pojął skargi!

Kiedym wysnuwał żal z duszy mój głębi,  
Tyś twe okręty popychał na morza,  
I pieśni marły, jak stada gołębi,  
Pędzone wichrem na spickło przestworza!

\* \* \* \* \*

Niebawem różnica w poglądach politycznych pomiędzy poetą a redaktorem, rozprzegła ich związek. Lozano usunął się od współpracownictwa, a połączywszy się z gronem młodzieży, zaczął na swoją rękę wydawać literackie czasopismo.

Około tegoż czasu puścił w świat pierwszy tom swoich poezyi p. t.: *Smutki duszy*. Książka ta sławę swojego autora poniosła aż za morza. W Madrycie wyszła w r. 1847 *Wiązanka wyborowych poezyi hiszpańskich*, a w liczbie ich pomieszczono *Pieśń do Boliwara*, utwór Abigaila Lozano, któremu krytyka nieszczędziła wielkich a zasłużonych pochwał.

Ukazał się wkrótce i drugi tom pod tytułem: *Godziny cierpienia*. Przyznając mnóstwo wysokich zalet tym poezjom, zarzucano im tylko smętny nastrój treści, ton wiecznie płaczliwy. Wolnoż z tego robić zarzut poecie? zapewne, jeżeli sztucznym żalem sili się bajronowską przedrzeźniać szkołę. Lecz czy kto może śmiać się, gdy go naprawdę serce boli, gdy mu się na płacz zbiera? Poeta sam odpowiada w utworze noszącym tytuł: *Nie dla mnie nadzieja!* „Gdym na ten świat przyszedł, już zastałem kolebkę moją łzami zroszoną... Teraz mi mówią: „śmiej się, piewco, nudzisz swoim płaczem,” usłucham, lecz jeśli wam to niemiłe iż moja lutnia skargi rozwodzi, dajcież mi błysk nadziei, lub serce coby nie wdychało... Ach! oni może nie wiedzą, iż bywają w duszy boleści zasiane w najpierwszém lat zaraniu, jak żałobne cyprysy...” Lozano nie nastraja z umysłu pieśni swój na ton żałosny, a co się wylewa z duszy boleścią przepęknioną, co szczerem tchnie uczuciem, to rzewnej poezyi nie przeszkadza piękną być i wzniosłą.

Pobyt jego w Caracas nie potrwał długo. Wielka a nieszcześnie-liwa miłość, którą opisał w namiętnych strofach *Nereida z Anauco*, wy-

gnała go daleko od miejsca, gdzie tak zajaśniał talentem i tyle odbierał oklasków. Ile w miłosnych jego poezjach jest wdzięku i słodczy, tyleż w następnych, gdy i te przysły nadzieje, gorzkiego widać rozczarowania.

Osiadłszy w San-Felipe, po niejakiem czasie Lozano ożenił się. Nowa ta w życiu zmiana, nie ostudziła w nim gorącego do poezji zamiłowania. Trzeci tom jego utworów większe jeszcze miał powodzenie aniżeli dwa poprzednie. Już i w tamtych spotykamy tu i owdzie dramatyczne obrazy, świadczące o bogatej wyobraźni poety. W następnych pieśniach jawniczysze jeszcze złożył dowody, iż na niejedną umie śpiewać nutę. Jeżeli często zwątpienie przemogło i odbiło się w ciężkiem westchnieniu, to ileż znów razy natchnienie mu spływa w błogiem ukojeniu na widok uroczych przyrody cudów. Jakież zachwyt a przytém jaki spokój wieje z jego poezji *Kwiat majowy*, albo *Wspomnienie Puerto-Cabello*, lub nawet z krótkiego wierszyka do *Nocy*:

Anioł pokoju wieczorem na łące  
Już pocałunkiem ukołysał kwiaty,  
Ostatnie z lasu dźwięki słodko brzmiące  
Rój trubadurów zasłał mu skrzydlaty.

Ucieka światło, chmara sylfid cicha  
Lekko powietrzne przobiega obszary;  
Na świat uśpiony z czarnego kielicha  
Odurzające rozlewa nektary.

Ucieka światło, anioł nocy krooczy  
Po białym rąbku, leciuchno ku górze;  
Rozbija namiot w eteru przezroczy,  
Utkan gwiazdami na ciemnym lazurze.

Aniele nocy! kiedy skrzydła twoje  
Otulą ziemię, niby całun czarny,  
Ptastwo i drzewa, potoki i zdroje:  
Z pogwizdem wichrów szła ci hymn ofiarny.

A wszystkie te czary i głosy przyrody, jak mu wymownie szepczą o Stwórcy, a wrażenie to w jak szczytne słowa umiał przelać poeta w wspaniałym hymnie *Do Boga!*

Wielkie czyny, wielkie postacie natchnęły także nieraz jego muzę i wywołały znakomite utwory, jak *Oda do Bolíwara*, *do generała Paez* i do wielu innych bohaterów Ameryki. W rzędzie tego rodzaju utworów spotykamy także wiersz do Napoleona <sup>1)</sup>.

Nad wszystkie zaś najszczytniejszym a męzkim tonem zabrzmiała pieśń *Do wolności*.

Obok osobistych cierpień, smutna nieraz dola rodzinnego kraju nie mało wpłynęła na posępny nastrój jego poezji. Lozano trzymał się zawsze zdala od polityki; wstrętne mu były owe ustawiczne szamo-

<sup>1)</sup> Drukowany w *Bibliotece Warszawskiej* w roku 1870.



tania się, najczęściej bezowocne a zawsze męczące. Lecz przyszedł czas, kiedy oburzony uciskiem i gwałtami niecną szajki, która pod hasłem rodziny Monagas, przez lat kilka tyranizowała Venezuelę, śmiało wstąpił w otwarte szranki po stronie tych, którzy przeciw ciemnościom powstali w r. 1854. Przez lat kilka różnie ważyły się losy. Lozano poznał prześladowanie, więzienie; aż dopiero w r. 1858, gdy sprawiedliwość odniosła górę, otrzymał zaraz przyzwoity urząd, później zasiadł w izbie deputowanych.

Około roku 1861 został mianowany konsulem peruwiańskim. Ta posada, na której sobie zjednał życzliwość ogólną, pozwalała mu zajmować się pomnażaniem i ogładzaniem swoich lirycznych utworów, przygotować nowe ich wydanie.

Jeżeli wyobraźnią jego tak silnie czarowały wdzięki amerykańskiej przyrody, jeśli miłość ku rodzinnej ziemi tak żywo poruszała tętna jego serca, iż każde z tych uczuć stało się obfitą źródłem natchnień do tylu poetyckich utworów; to widzimy oba te uczucia w całej pełni zespolone w kreacyi mistrzowskim nakreślonej językiem, w pieśni pod tytułem:

### Ameryka <sup>1)</sup>.

Zwieńczona w miękkie powoju warkocze,  
Gór szerokimi objęta ramiony,  
W słodkiej rozkoszy pędzi dni urocz  
Ziemia przośliczna, raj wiecznie zielony.

Ludzi ją kilku Ameryką zwało,  
Jój dziatwa imię przyjęła to z laty;  
Nad nią siedzibę usłały wspaniałą:  
Sylfida, wróżka i seraf skrzydlaty.

Z lasów stuletnich powiew tajemniczy  
Wonic na skrzydłach przynosi jój latem;  
Wokoło cichój kolébki dziewiczej,  
Bucha jaśminu wonnym aromatem.

Wzniosłe jój czoło dyademem wieńczą  
Wysmukłe palmy z rozwianemi włosy;  
Córy pustyni, co dobę młodzieńczą  
Na spiekłych piaskach przeżyły bez rosy.

Po skał jój złomach w blasku pełnym pychy  
Perłami tkane kaskady się toczą;  
A ich podnóża wonnemi kielichy  
Barwisto kwiatki oplotły urocz.

Stare jój dęby co wieki przetrwały  
Z czołem ku niebu sterczącym ponuro;  
Obsiadły rojem ptaki—kardynały  
Światnie tyryjską przybrane purpurą.

<sup>1)</sup> Przekład p. S. D.

Bogowie morza bezdennych odmętów  
Zdobią ją w muszle, w konchy i korale;  
Jasnymi wstęgi z pereł, z dyamentów  
Brzeg jój piaszczysty oplotły wspaniale.

I któż określi te rąbki błyszczące  
Którymi kibiś czarodziejka słońi?  
Niewinna, strojna w uroków tysiące  
Piękna, niebiańska ziemia snów i woni!

Po jój łagodnym przebiega lazurze  
Złoty rój chmurzek purpurą strzępiony;  
Noc jój, to namiot rozpostarty w górze,  
W gwiazd promienistych utkan miliony.

Oko jój dziewię żarem słońca błyska,  
W szal wprawia zmysły i nęci tak mile;  
Rzekłbyś, zbłąkano z eteru zjawiska,  
Stopkami ziemi dotknęły na chwilę.

Ich śniado lica, ich krucze uploty,  
Łono tajemną drgające rozkoszą;  
Serce two szarpia płomiennymi grotty,  
W świat istnych czarów twoję myśl unoszą.

O! niech two lasy wdzieją strój godowy,  
Z skał niech się toczą kaskady przezrocze;  
Niech wonny powiew twojój sennój głowy  
Palm twych zielone kołysze warkocze!

Niech noc gwiazdziasta rozleje swe czary  
Na two powieki, gdy w słodkiem śnie toną;  
Niech żartkie słońce promiennymi żary,  
Do czynu krzopkie rozbudzi two łono!

Na twoich kwiatów uwiedłe kielichy,  
Błada jutrzienka niech roni lzy czysto;  
Niechaj rozwiesza ze mgły welon oichy  
Na twoje łąki, na pola kłosiste!

Niech ci, hurysko, szumią lasy twoje,  
Niech cię piosenką zbudzą ptacy leśni;  
Niechaj ci gwarzą wód krynicznych zdroje:  
Ocknij się ze snu w miłości i pieśni!

Niech na two łono Bóg zlewa potokiem:  
Mądrość i spokój, pomyślność i cnotę;  
Gwiazda nadziei skryta chmur pomrokiem,  
Niech na twą przyszłość sioje blaski złoto!

Niech geniusz wieków po dniach klęsk i burzy,  
Skrzydła nad tobą roztoczy wspaniale;  
W natchnieniu wieszczóm niech on ci wywróży  
Wieszczą szczęśliwość, nieśmiertelną chwałę!

## Józef Antonio Calcaño.

(ur. 1827 r.).

Młodziuchnego poetę z Nowej Grenady, którego imię wszystkie w Ameryce powtarzały dzienniki, prosiła kubańska Safo, uroczą i śpiewną *Tula*, o jaki utwór do czasopisma wydawanego przez siebie w towarzystwie kilku kobiet piszących. W odpowiedzi na to wezwanie, Donia Avellaneda otrzymała wiersz pod tytułem: *Czarodziejka i geniusz lasów*. Widzimy tam śpiewaka, żeglującego po morzach, gdy nagle zjawia się przed nim piękna czarodziejka; zawiązuje się pomiędzy nimi rozmowa:

„Amerykański wioślarczy—mówiła mi—przytwierdź łódź wędrowną, nie bój się, jesteś mi bratem. Gwiazda moja, widziałam, na twojem zrodziła się niebie. Ja jestem Antyl dziecię: do palm krainy przybiłam z łódką moją.”

„Dusz kusicielko, zwodzisz mię—odpowiedziałem.—Zastawiasz siłą na ufność moją. Ale ja wiem dobrze, jaka twa potęga: ty czarujesz! Puść mię, pozwól mi uciekać! Ani łódki niemasz, ani ojczyzny niemiałaś: przychodzisz z nieba, tam się zrodziłaś; jak z niego zstępowałaś promienista, widziałem cię. Do wiosła! ach, łódki moja, szybko odbijajmy od brzegu! Uchodźmy!”

Próżne usiłowanie! Więźniem zostałem!

„Więźniu!—mówiła śmiejąc się z mój troski—daremnie uciekać, widziałeś sam. Słyszę, iż na dźwięcznej fletni grać umiesz. Zaśpiewaj, ja cię posłucham.”

„Czarodziejko!—rzekłem—dziwne dla ciebie będą melodie geniusza gór. Pieśni mych tylko góry słuchają; są one smętne, lecz będą śpiewały.”

Aż oto widzę z różanych krzewów, w lekkich płasach, w białych welonach, prześlicznych wróżek uroczy tłum. Śpiew ich wdzięczny wiatr roznosi; chcę do ich chóru wnieszać moją pieśń: o głos zefiru proszę.... on dla mnie głuchy! o poszmer rzekę, ptaszęta o nutę, o szum cieniste gaje.... ale wszystko napróżno!

Pleciony w perły z morskimi konchami koszyk podniosła. I widziałem jak jej wróżki najcudniejszemi, najcenniejszemi kwiaty hojnie go napełniły.

I znów mi czarodziejka mówi: „Kwiatów mi daj z doliny twojej.”

„Chciałbym ci oddać wszystkie—rzekłem—lecz czyliż znajdę takie jak twoje? Piękna syreno, z tego koszyka kwiatów pełnego, żaden choć najcudniejszy nie jaśnieje godnie ciebie!

„Ale mam kwiat jeden, wspomnienie miłości tęsknej duszy przechowuje on dzieje i chowam go dlatego że smętny.

„Prosisz mię o kwiaty? weź ten, zachowaj. Słyszałem że go zwa: *Nie zapominaj o mnie!*”

.....

Tym leśnym geniuszem był Józef Antoni Calcaño, urodzony w roku 1827 w Nowej Grenadzie, a wychowany w Caracas, stolicy Wenezueli. W tamecznych zakładach naukowych skończył kursa literacko-filozoficzne, a następnie wstąpił do wyższej szkoły wojskowej. Lecz niezwalczona siła parła go na inną drogę. Muza poezji wabiła go swemi uśmiechy, cudnemi obrazy sny jego barwiła, niebiańskie zsyłała mu widzenia. Nie myślał walczyć z tą pokusą młodzian, gdyż w ósmym roku życia już się rozspiewał istnie jak leśne ptaszę i zaraz mnogie jego piosenki ukazały się we wszystkich największej wziętości używających czasopismach Wenezueli: pochwytyły je w lot przeglądy i inne pisma zagraniczne i imię wdzięcznego liryka szeroko rozstawiły. Jeden z najznakomitszych amerykańskich krytyków tak się o nim wyraża: „Młody Calcaño jest poetą uczuciem, myślą i słowem. Dusza jego uposażona niewyczerpanemi skarby czucia i miłości. Jego słowo jest wiernym tłumaczem wszelkich uczuć: od głosu serca rozradowanego, aż do bolesnego wykrzyku zranionej duszy. Język ma poprawny, wiersz pełny harmonii, w której nie razi ani jedna fałszywa nuta. Natchnienie i sztuka służą mu zarówno. Pieśni jego są zwierciadłem wszystkich barw amerykańskiej ziemi, przesiąknięte wonią pysznego naszego ogrodu. Znany mu ów tajemniczy a nieokreślony język przyrody. Obdarzony umysłem kontemplacyjnym, duszą wzniosłą, sercem tkliwem, lubuje się we wszelkich dźwiękach doliny, morza, lasów. W wierszach jego słyszy się plusk wody i szum wiatru. Wielostrunna ta arfa odtwarza zarówno wściekłe uderzenie fali, rozbijającej się o twarde skały, jak miękki szmer pocałunków, któremi zefir pieści lilie polne. I tak, np. *Pieśń żeglarska* jest pełna siły i ognia, śmiałości w obrazowaniu, uroku w opisach, głębokich myśli, jakie kontemplacja morskich obszarów budzi w poccie. Też same cechy znamionują wiersz pod tytułem: *Burza*. A znów takie piosenki jak: *Dziecinne kochanie*, *Idę płakać nad rzekę*, *Gwiazda wieczorna* i mnóstwo innych tego rodzaju odznaczają się prostotą, wdziękiem, rzewnością. W poezji szerszych rozmiarów *Nad brzegami Tamairy*, spotykamy nader piękne obrazy przyrody, owiane tęsknotą za latami pierwszej młodości, nie posępną wszakże a ujmującą. Obok dzielnej ody p. t.: *Orły*, jakże różnym odznacza się nastrojem oda *Do mojej duszy!* Z tego ostatniego rodzaju filozoficznych jego poezji nie do najcenniejszych, lecz do najkrótszych należy wierszyk: *Ciało i dusza*.

„Tak ci źle ze mną, o! duszo moja, już mnie na wieki porzucić chcesz?”

„Osłabłeś, biedny mój przyjacielu, dla ciebie spocząć przyszedł już czas.”

„Ach! od kolébki jam cierpiał tyle, tak mię okrutnie nękał zły los!”

„To też od twego na ten świat przyjscia towarzyszyły ci moje łzy.”

„Czułem ja zawsze jak w mojem łonie, do nieba za mną wznosiłaś głos; lecz dziś ty cała szczęściem jaśniejesz, kiedy ja nędzny ze strachu drzę!”

„Bo mnie znów świeci jasność niebieska, anielskie skrzydła do lotu rwą!”

„A na mnie czeka ziemia zgłodziła! już pała żądzą pożarcia mnie!”

„Nigdyś innego niemiał przybytku; ukój więc bracie zmartwie nie twe.”

„Przec mi nic dałaś nic z twego światła? Przecz o twém niebie mówiłaś mi?”

„Nam przeznaczono błąkać się razem, do końca nie rozumiejąc się: jak kwiat na swojej buja łodydze, jak płynie gwiazda przez górny szlak.”

„Więc byt nasz życiem kwiatu i gwiazdy; lecz dziś, gdy tracą zapach i blask, tyś jest płomieniem, ty jesteś wonią, jam ciemna kula, jam zeschły kwiat!...”

„Niech dobroczynna twa matka ziemia pokój twój skroni, oczom da sen!”

„Niel ona dzieci własne pożera! któż mię z jój objąć uwolni, kto?”

„A jeśli ona łono rozdziera, bo na niej cięży spłata ich win? A oni ślepi swoim oporem, chcą odkupienia opóźnić dzień!”

„Cóż mi objawiasz?... o biedna matkol... Więc wstaw się za nią do Boga, idź! Weź mię mogił!”

„Zaufaj Ojcu!”

„Duszo, umieram!”

„Ja żegnam cię!”

## Stanisław Murzynowski.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

O Murzynowskim, jako pisarzu z epoki Zygmuntofskiej, pobieżne tylko znajdujemy wiadomości. Wiszniewski w *Historji literatury*, mówiąc o *Biblii Radziwiłłowskięj*, dodaje w przypisku, że po wydaniu téj *Biblii* i *Nowego Testamentu* z nięj wyjętego, miało wyjść w Królewcu nowe tłumaczenie *Nowego Testamentu* przez Stanisława Murzynowskiego, o którym Budny wspomina pod r. 1574, a którego jednak nigdy nie widział <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Tom VI, str. 580, przypisek.

Estreicher zaś w *Bibliografii Polskiej XV i XVI stulecia*, wspomina o Murzynowskim, jako autorze "dzieła: *De justificatione et justitia fidei Regiomonti*, Weiureich 1552 in 8 vo <sup>1)</sup>).

Mając obecnie pod ręką książkę w języku polskim z połowy XVI wieku, której autorem jest Stanisław Murzynowski, a o której żadna z licznych *Historji literatury*, ani nawet *Bibliografja Estreichera* nie wspomina, uważamy, że zrobimy przyjemność naszym bibliofilom, dając szczegółowy opis tego dzieła, a autorowi naznaczymy właściwe stanowisko, jakie na kartach literatury naszej z epoki Zygmunto夫斯基 dla czystości i piękności języka zająć powinien.

Książka ta nosi tytuł: *Historia żalosu i straszliwa o Franciszku Spierze, który się dla bójazni ludzkiej, prawdy pańskiej zaprzął i dla tegoz iest na strach swiātu nieslychanym obycaiem skaran.*

Poniżej tytułu są dwa epigrafy:

Psalm XLIX.

„Intelligite haec, qui obliviscimini Deum ne quando rapiat, et non sit, qui eripiat.”

Mat. X.

„Ktoby się mnie zaprzął przed ludźmi, zaprę się go i ja przed oicem moim który jest w niebiesiech.”

Książka ta in 8-vo min. drukowana charakterem gockim do mowy polskiej zastosowanym, obejmuje kart nieliczbowanych 80. U spodu tylko znaczone są arkusze literami, na przedostatniej karcie jest litera U<sub>111</sub>, a na téjże *verso*:

„Drukowano w Królewcu przez Alexandra z Litomyśla, nakładem Jana Seclucyana, tudzież przed poczęciem roku 1551 <sup>2)</sup>.”

Z przedmowy dowiadujemy się, że autorem czy téż tłómaczem tego dzieła jest Stanisław Murzynowski z Suszyc.

Ponieważ w swoim czasie była to książka wysoko tendencyjna, nim więc przystąpimy do wykazania jej zalet językowych, wypada nam przedewszystkiém potrącić o historją.

Książę Albert pruski, gorliwy protektor rozwijającego się w tym czasie protestantyzmu, zamierzył wydać *Biblię* w polskim języku i nie robił tego, o ile nam się zdaje, z rozmiłowania się w polskiej mowie, ale wprost z widoków politycznych, aby znaczną część swoich poddanych polskiego pochodzenia, tak zwanych Mazurów, odciągnąć naprzód od jedności religijnej kościoła katolickiego, a następnie i od całości plemienia polskiego. Polecił więc Sabinusowi, rektorowi uniwersytetu

<sup>1)</sup> Estreicher p. 171.

<sup>2)</sup> Aleksander z Augerda pospolicie Böhm, t. j. Czoch zwany, rodem z Czoeh, wydał Seclucyana *Nowy Testament* 1551, tudzież 1552 r. część II-gą; z Królewca przeniósł się do Szamotuł i do Łosza, jak Arnold zapewnia, był rodem z Lutomyśla w Czochoch (J. B. Bandtkie: *Historja drukarń w Królest. Polskiem* etc.).

Królowieckiego, ażeby pisał do Melanchtona (1545 r.), aby mu przysłał teologa umiającego po polsku, do wydania *Biblii* w tym języku. Melanchton przysłał Staphilusa, który gdy nie mógł, czy też nie umiał dogodzić chęciom księcia pruskiego, pracę tę powierzono Seklucyanowi <sup>1)</sup>.

Jan Seklucyan, poufały przyjaciel Lutra, pierwszy krzewiciel wyznania lutereckiego w Wielkiej Polsce, rodem z Bydgoszczy, był kaznodzieją przy kościele P. Maryi w Poznaniu; uczyniwszy wyznanie wiary, na rozkaz Zygmunta I oddalony został od tego kościoła w r. 1525. Gdy jednak nie przestał krzewić swojej nauki, a po wydaniu książki: *Wyznanie wiary chrześcijańskiej*, gdy zdań swoich odwołać i podanego pisma podpisać nie chciał, oddalono go z urzędu, obwołano za heretyka i na dożywotnie więzienie skazano. Tymczasem Albert, książę pruski, zabrał go prawie gwałtem do Królewca w roku 1540, a w następnym został on kaznodzieją przy *Tumie* i przy kościele farnym w Królewcu.

Seklucyan zajmował się w Królewcu rozpowszechnieniem w języku polskim *Pisma Świętego* i innych pism w duchu nowej nauki pisanych, miał nawet upoważnienie senatu akademickiego do sprzedawania tych książek w kolegium. To przedsięwzięcie w początku szło dobrze, ale później znacznie osłabło, jak to widzieć możemy ze słów samego Seklucyana w prośbie do rajców miasta Królewca w r. 1563 zamieszczonych.

„Już przeszło od lat dwudziestu w tych trzech miastach ciężkie i zmudne odbywam prace, nietylko każąc, lecz po wszystkich trzech miastach, przedmieściach i wioskach J. O. Xięcia biegając, wszystkie pieniądze którem z Polski był przywiózł, w części na życie, w części na druk książek nabożnych, gdym był w urzędzie, wydałem—książek któremi się cała Polska, Ruś, Mazowsze i Litwa budowała. Bo jać to pierwszy, będąc na tym urzędzie, nabożne książki na język polski przetłómaczyłem, niektóre sam napisałem i wydałem i cały *Nowy Testament* na język polski przełożyłem i własnym kosztem wydałem. Z tych polskich książek jakiegokolwiek miałem utrzymanie; ale teraz nietylko moje książki, ale i cała nauka saksońskich kościołów, wyrzucona jest przez sakramentarzy w Polszcze, na Litwie, na Rusi, w Mazowszu i Podolu, a wszystkie kąty zapełnione są ich książkami; a ja nie wiem z czego żyć będę w mojej starości z drobnymi działkami.”

Seklucyan dożył zmian religijnych przez Stankara i Braci Czeskich sprawionych, umarł w Królewcu 1578 r., mając lat około 80.

Nadmieniliśmy o działalności religijnej Seklucyana dlatego, że onłożył nakład na wydanie książki, której tytuł wyżej podaliśmy. A wiadać, że do rozpowszechnienia tego dziełka przywiązywał niemałe znaczenie, albowiem na odwrotnej stronie tytułu zamieścił swój wiersz z nadpisem: *Napominanie*, polecający tę książkę swoim współwyznaw-

<sup>1)</sup> *Hist. Lit. Polskiej* Wiszniewskiego.

com. Nie zamieszczamy tego wiersza, bo ani formą, ani treścią, na bliższą uwagę nie zasługuje.

Ważniejszą jest przedmowa do czytelnika przez Murzynowskiego napisana, którą z zachowaniem pisowni w całości podajemy.

### *Ku Czytelnikowi.*

„Rozumiem temu namilejszy Czytelniku, że mi to nie ieden za osobliwe głupstwo smiele poczyta, iż z wielu uczonych Polaków, rzadko który co pisze ku czytaniu pospolitemu, a ja będąc człowiekiem i nauki i rozumu niewielkiego, nie tylko się ważyć pisać, ale też to cobych napisać, dopuszczam za podpisaniem imienia moiego drukować, a czynię to nie Łacińskiem językiem, s którego dziś pospolicie naukę sądzą, ale polskiem; który isz nam iest iakoby przyrodzony, wiele ich umiema, żeby im, niemogła być żadna rzecz pożyteczna a poważna wypisana, abo ieśliby mogła tedy by to krom wszelakiej trudności każdemu ktoby chciał przyszło,—I stąże niektorzy, za lekkie sobie ludzie ważyć, ty którzy co popolsku piszą, zwłaszcza ieśli swe imiona podpisują.

„Leć to wszystko mnie nie nieobychodzi, Bo ieśli inszy milczą, ja nie wiem dla czego to czynią, abo ieśli w tym przed panem Bogiem wymowieni będą, To wiem, że się godzi scygiłowi spiewać, nie tylko kiedy słowik milczy, ale też kiedy śpiewa. Drugą też wiem, że moje pisanie dalibóg może być komu pożyteczne, nikomu (ile z niego iest) szkodliwe. Przytym nie wstydzę się dlatego za nie, isz to jest Polskie a nie Łacińskie, Bo iako żydzi, Grekowie, Łacinnicy i insze narody, swemi języki czystych a poważnych i zbawiennych rzeczy, dosyć popisali, którym się dziś wszyscy dziwujemy, tak nie wiem przecz bychmy tegosz i my Polacy językiem naszym dokazać nie mogli, gdybyśmy braciei naszej którzy obcych języków nieumieją, ku zbawieniu, enocie, rozumowi, sławie i pożytkowi serdecznie pomoc chcieli, iakośmy wszyscy winni, chcemyli być niefałszywemi chrześcijany.

„Jeśli się też komu widzi, że nauka i praca tego który pisze, z języka się polskiego okazać nie może: To niech tak będzie chcieli, Ja acz niewiem ieśli połączynie, ieśli popolsku gorzy pisać, iednak dla bliźniego ktoregom miłować winien. popolsku wolę, a na iego pożytku przedstawiając: od pana Boga odpłaty czekam.

„Tak że imienia moiego podpisowaniem, tego samego na więcyi pragnę, aby inszy, tym rychle i prawdziwie wierzyli, gdy się podpisac, iei powiedacz niewstydzi. A krotko mówiąc, gdy co czynię, więcyi się na pana Boga oglądami niszli na ludzie.

„Ktorego tei świętyi abychmy się wszyscy więcyi nisz tego misernego swiata rozmiłowali i z okrutnych się złości naszych upamiętać mogli, zebrałem na polski język tę żalostną Historią z łacińskiego pisma wielu uczonych ludzi, widząc że prawie tak iako inszy pogani o pana Boga nie nie dbamy i nisz iego boski gniew wzgardziwszy, iako nie ludzie, żywiemy, wszystko sobie na ziemi więcyi ważąc, nisz chwałę tego



ktory nas był sobie ku téi stworzył, i teras ieszcze chowa, owabysmy to dobrodzieistwo iego uznać chcieli, a tak wciekwszy się do miłosierdzia iego zbawieni byli.

„Ku czemu, aby nas czytanie tyi to Historjiei ktora się dopiero tak dwie lecie s stała przywiodło, racz nas w tym wysłuchać stworzycielu nasz miły, Muie co się dotycze, przyjąłbych to wielmi rad za miłą, a wdzięczną zapłatę by największyi pracyi moieii, nie tilko tyi dosyć rownyi.

„Ktora tesz iesli komu iaki pożytek przyniesie, niedbam za to choc mi nigd dziękować nie będzie, byle dziękował, naprzod panu Bogu, Potym niektorem osobliwym dobrodzieium moiem, Jako Jego M. Książęciu Pruskiemu, Ich M: panum wojewodom Innowłodzławskiemu, i Płockiemu, i Castellanum Brześkiemu i Dobrzyńskiemu, którzy mi po Oicu i niektórych przyjaciółach moich, ku naukam moim pomoc raczyli. Na ostatek godzien iest nieposledniei dzięki i ten który tę Historią swym nakładem drukować dał, na imie K. Jan Seclucjan, który dla pożytku inszych nietilko sam rzeczy ku zbawieniu pożyteczne pisze, ale tesz i na to nałożyć s swą wielką szkodą nielituie, gdy kto inszy co pożytecznego napisze.

„A za ty swoje posługi i utraty, nie widzę któraby po nas polakach wdzięczność uznawał, bo iedni nie mamy co dać, drudzy dostateczni, na prozne chleby i niepotrzebne rzeczy wolą utracać, nisz tego ktory się o nasze zbawienie stara i wzdłuża namniejszą rzeczą zapomoc.

„A to wszystko stął pochodzi, że o przyszłym żywocie niemyslemy i zda się nam większa szkoda kiedy trzy grosze utraciem, nisz kiedy zbawiennyi drogi niewiedząc i pana Boga nieznając do piekła z inszemi iść musiem, cosmy mogli za równą rzecz z miłości ku panu bogu w wierze prawyi uczynioną, wiecznyi radości używać. Ktoryi ia tobie wiernie sprzam czytelniku miły, A stem nielitui ostatka posłuchać.”

„Stanisław Murzynowski s Suszyc.”

Murzynowski pisał się z Suszyc <sup>1)</sup>, miejscowości położonój w Ziemi dobrzyńskiej i należał do starożytnego rodu Ogończyków, szeroko w téjże ziemi osiadłego, z którego wyszli Kościeleccy, a od majątności w Ziemi dobrzyńskiej położonych, jak: Radziki, Działyń, Murzynowo, Czarne, Żale, Zbojno, rodzina ta przybrała nazwiska Radzikowskich, Działyńskich, Murzynowskich, Czerskich, Żelskich i Zboińskich. Paprocki i Niesiecki mówiąc o Murzynowskich powiada, że jesto dom starodawny jednój z Działyńskimi dzielnice. O Stanisławie bliższych niēmamy szczegółów, z przedmowy którąśmy zamieścili dowiadujemy się,

<sup>1)</sup> W *Dyplomatarjuszu* Rzyszczowskiego w t. II, na str. 232, w Dyplomacie nr. 240 z r. 1321, opisującym granice dyeccezyi kujawskiej i płockiej, wymieniona jest wieś Suszyc, dziś do parafii Szpethala należąca; w Dyplomie nr. 391 z r. 1441 w tymże tomie na str. 489 powiedziano jest, że Michal Grabyn, dziedzic Suszyc, Kępę na Wiśle oddał biskupowi i kapitule włocławskiej, za las zwany Cioślino.

że miał możnych protektorów, którzy przyczynili się do jego wykształcenia. Ukształcenia swojego dowody pozostawił w pismach polskich i łacińskich, drukiem ogłoszonych. Budny w przedmowie do *Nowego Testamentu* w r. 1574 wydanego, wysoko ceni tłumaczenie królewieckie tegoż *Testamentu* przez Murzynowskiego, dodając, że było młodzieniec nieładajako w języku greckim uczony, którego śmierć zawczasie zabrała <sup>1)</sup>. Być może, że Murzynowski chwyciwszy się nowej nauki, sposobił się do stanu duchownego, a nawet jaki urząd piastował, ale na to niémamy żadnego dowodu. Historia *O Spierze* nie jest prostém tłumaczeniem, ale jak sam autor w przedmowie powiada, jest zebraniem z różnych pism łacińskich i ułożeniem w jedną całość; treść jej następująca.

W miasteczku Citadella, niedalekiem od Padwy, mieszkał Franciszek Spiera, „który był człowiekiem zacnym i wziętym, a to iż w nim była mądrość i rozum osobliwy i miał w prawie biegłość niepospolitą, a był znakomitym prokuratorem, skąd też był i ku sławie w onym okolicznym kraju i między swemi ku dostojęństwom i dostatkowi niemałemu przyszedł. Ten ku tem darom panskim, był też obdarzon od pana Boga żonką cnotliwą i dziećmi z nią niegorszemi, których było iedenascie, przytem nad ty wszystkie dary Boże, z miłosierdzia panskiego przyszedł też był iakoby na sześć lat przede śmiercią, naprzód ku obaczeniu grzechów swoich, potem ku takiemu uznaniu prawdy niebieskiej a drogi żywota wiecznego, że się też był, mając z tego wielką roskosz i wesele a o ochłodę dusze swojei, na to wszystek udał, iakoby nietylko sam pana Boga i sposób a drogi zbawienia swojego wiedział, ale żeby też i inszy przezeń, byli k'temu przywiedzeni, s czego się on wielmi kochał. Począł więc uczyć drogi zbawienia, naprzod dom swój i przyjaciół, potem też i insze s któremi skład a życie miewał.”

Znaleźli się nieprzychylni, którzy pragnąc go o gardło lub pozabawienie majątności przyprowadzić, albo też zmusić do ucieczki i mienie zostawić, oskarżyli go przed Janem z Casy, legatem papieskim w Wenecyi, „jako wielkiego Luterana.”

„Spiera dowiedziawszy się o tem, a obawiając się, żeby Legat nad nim jakiego okrucieństwa nie używał, nadto oglądając się na żonę i dzieci aby im majątności jego nie pobrano, skoroby uznany został za heretyka i na śmierć i utratę dóbr skazanym był, postanowił wszystko odwołać i aby Legata ubłagać, z dobrej woli stawić się przed nim pierw nim ten go zawezwie.

„Wyznania Spierzy z rozkazania Legatowego zapisano i on się ręką swą na to podpisał; następnie Legat niejako prześlągany, przyjął go w łaskę, rozkazawszy aby nazajutrz wracał do domu i tam jawnie i publicznie, przy zgromadzeniu miasta, jasnie się wszego co przedtym twierdził i uczył odprzysiągł, a Kościołowi Rzymskiemu w żadnej się rzeczy nie przeciwiać przyrzekł.

<sup>1)</sup> *Hist. Lit. Polskiej* Wiszniewskiego, t. VI, str. 587.

„Spełniając to polecenie Spiera w niedzielę poranu, gdy było po mszy, stanął na okazałym miejscu, gdzie byli ci, które przedtém uczył; byli księża, był starosta i ludu jako on powiadał około dwu tysiąca.

„Przed któremi to wszystkiemi odprzysiągł się tego wszystkiego przedtem nauczał. Nad to powiedział, że przeciw rzeczom przez rzeczonym ucząc błędził i s prawdy zwiedzion był; a teraz przyszedł na drogę światłości i prawdy i od kacerstwa się ku Matce Świętej, Kościołowi Rzymskiemu nawrócił.

„Ale powróciwszy do domu, wszystkie te grzechy stały mu na pamięci, a stąd rozmnożył się w nim strach potępienia wiecznego, wpadł w rozpacz nieuleczoną, poczęli go duszni nieprzyjaciele straszyc, sumnienie gryźć, ogień piekielny jeszcze na tym świecie palić.”

Odtąd Spiera uważał się za potępionego i odrzuconego od łaski i miłosierdzia Bożego; wszelkie środki przez rodzinę i przyjaciół użyte aby go z téj niemocy duszownej i cielesnej uleczyć, okazały się bezskutecznymi, umarł nie pojednawszy się z Bogiem. Niektorzy z jego przyjaciół (z wielkiem zgorzeniem autora) przypisywali ten stan jego melancholii i obłąkaniu; inni zaś wnieśli „że to był dowód wyraźnej karni Bożej za odstępstwo, i aby ta karni jego pańska, tém jawniejszą światu była.”

Pomijam obszerne dysputy jakie w Padwie, dokąd go przewieziono celem uleczenia z téj niemocy, odbywał Spiera z doktorami, teologami i ludźmi uczonymi; na wszystkie ich argumenta że o swoim zbawieniu i miłosierdziu Bożem wątpić nie powinien, wciąż prawie jedno odpowiadał: „chce tego Bóg, abych ja to karcenie za grzech cierpiał, chce mnie dla was wystawić na przykład gniewu swego, znam to iżem jest potępion, znam, iżem już na śmierć skazan i więzszy jest mój grzech niż miłosierdzie Boskie.”

„A zaiste (powiada autor) była żalosna rzecz, patrzeć na człowieka tak poważnego i już letniego (bo tedy miał około pięćdziesiąt lat) przytem znać w nim wielki rozum, niepoślednią naukę, pamięć niepospolitą, wymowę dziwną, a przedsię go słyhać, a on sam siebie potępia, wymową rzadko słyhaną, przeciwko sobie wywody czyni i cokolwiek kto, by namędrzyi, ku jego pociesze przywodzi, to on na swe złe, s wszystkich podziwieniem obraca, ani się ten naiduic, ktorego by on mowy przeciwko sobie nie obrócił.”

Jak widzimy, dążność w rozpowszechnieniu téj książki była jasna, aby przyjmującym nową naukę wykazać, jak niebezpieczną było rzeczą powracać do starych błędów, i jak Bóg przykładem na Spierze chciał okazać, w jaki sposób tego rodzaju odstępstwa karać umie, nawet w życiu doczesnym.

Dziś, kiedy umilkły namiętności religijne, pisma tego rodzaju zaledwie posiadają podrzędne historyczne znaczenie, ale je wysoko podnosi język jakim były pisane.

Już Lelewel zauważył że dzieła polskie z XVI wieku tak oryginalne jak i tłumaczone, dla języka nie małego są interesu i z tego powodu bywają mocno poszukiwane <sup>1)</sup>).

Wiszniewski zaś mówiąc o Seklucyanie i *Postylli* przez niego wydanej w 1556 r. uważa, że ta *Postylla* nie zdaje się być dziełem Seklucyana, czego nietylko z dziwnie pięknej polszczyzny (a Seklucyan w niej nie celuje) domyślać się można, ale i sam powiada, że tylko niektóre na święta kazania przydał." W innym zaś miejscu dodaje: „że język tej *Postylli* jest równie czysty a niekiedy piękniejszy od języka Skargi" <sup>2)</sup>).

Otóż ten dziwnie piękny język spotykamy w *Historji o Spierze* ułożonej przez Murzynowskiego, bardzo więc prawdopodobne, że jego utworem są owe *Postylle*, których język tak wielkie pochwały wywołał u Wiszniewskiego.

A chociaż Budny wysoko podnosząc tłumaczenie królewieckie *Nowego Testamentu* przez Murzynowskiego, dodaje, że szkoda iż tłumacz nie mógł go drugi raz przepatrzeć a wydać, bo acz po polsku grubo mówił i pisał, aleby to był czas wypolerował gdyby nie śmierć zawczesna <sup>3)</sup>; my jednak z tém zdaniem Budnego zgodzić się nie możemy, bo ani on, który pisał później (1570) ani współcześni w dziełach swoich oryginalnych i tłumaczonych, nie wytrzymają porównania z polszczyzną Murzynowskiego.

Zamięściliśmy w całości przedmowę i opowiedzieliśmy *Historję Spierzy* mniej więcej wyrazami samego tekstu, ażeby z tych wyjątków sam czytelnik mógł ocenić jak pięknym, czystym i wyrobionym językiem pisał Murzynowski, i że to jego dziełko, bez zaprzeczenia, zaliczone być powinno do najcelniejszych pomników mowy ojczyściej, z czasów Zygmuntofskich.

G. Z.

<sup>1)</sup> *Bibliograficznych ksiąg dwoje*, tom I, p. 136.

<sup>2)</sup> *Historja literatury polskiej*, tom IX. str. 231.

<sup>3)</sup> *Historja literatury polskiej* Wiszniewskiego, tom VI, str. 586 i 7.

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY  
W KRÓLESTWIE POLSKIM \*).

PRZEZ

*Antoniego Wrotnowskiego.*

XIV.

Kwestya znaczenia drogich metali nie wyczerpywała przecież przedmiotu i nie miała téj doniosłości, iżby sama jedna pociągnąć mogła umysły ku systematowi wolnej międzynarodowej zamiany. Żądając zniesienia wszelkich ceł prohibicyjnych i protekcyjnych musiał Smith usprawiedliwiać, iż one są dla dobrobytu społeczeństw absolutnie szkodliwemi, a tém samym przenieść dyskusyą na szersze i ogólniejsze pole. Korzystając zaś z przygotowanego dla siebie przez Fizyokratów gruntu, chociaż się z nimi w poglądach abstrakcyjnych i spekulatywnych wcale nie zgadzał <sup>1)</sup>, stawiał przedewszystkiem ten

\*) Dokończenie— patrz zeszyt za m. listopad r. b.

<sup>1)</sup> Quesnay (autor dzieła: *Le tableau économique*, wydanego w r. 1760) z liczną pleadą uczonych, którzy jego poglądy rozwijali, wytworzył był oddzielną szkołę fizyokratów, nie tylko ekonomiczną, ale i filozoficzną, a nawet polityczną zarazem. Wychodząc z założenia, że światem rządzi jednocześnie prawa i fizyczne i moralne, utrzymywał, iż idee pokoju, prawa i braterstwa między ludźmi nie opierają się wyłącznie na dogmacie nieśmiertelności duszy i życia poza grobem, ale także na poszanowaniu i stosowaniu się do owych praw naturalnych, których gwałcenie nie przechodzi na téj ziemi bezkarnie. Badanie przeto tych praw, poczytując za rzecz konieczną i najbardziej pożyteczną, a na ludzi żyjących w społeczeństwie, zapatrując się głównie jako na konsumentów i producentów, fizyokraci oceniali naukowo co jest dla każdego najbardziej użytecznym.

Te zaś idee odnoszące do ekonomii, przyjmowali za punkt wyjścia, iż główną cechą bogactwa jest materya; wartość przeto i użyteczność pracy mierzyli ilością materyi surowej, jaką taż praca zdoła zawiądnąć. Skutkiem czego charakter produktyjności przyznawali tylko rolnictwu, poczytując inne gałęzie przemysłu za bezowocne, chociaż im nie odmawiali pewnej użyteczności; przed wszystkimi zaś klasami ludności przyznawali pierwszeństwo właścicielom ziemi. W konkluzji więc dowodzili, że oprócz czystego dochodu, jaki daje ziemia po opłaceniu kosztów uprawy rolniczej i utrzymania właścicieli,

pewnik, iż do podniesienia każdego państwa z najniższego stopnia barbarzyństwa do najwyższego stopnia zamożności, nic innego nie potrzeba, oprócz pokoju, umiarkowanych podatków i znośnego (*tolérable*) wymiaru sprawiedliwości, gdyż resztę sprowadzi sam naturalny bieg rzeczy. Z tego wychodząc założenia, rozwinął był Smith szereg poglądów, przyjmowanych przez liczny zastęp ekonomistów społecznych i późniejszych. Te poglądy uzupełnione teorią Jana Chrzciciela Say, o znaczeniu miejsc zbytu (*débouchées*)<sup>1)</sup>, dają się streścić jak następuje.

Trzy są główne czynniki produkeyi: ziemia, dostarczająca materji, praca człowieka, która też materją zużytkowyya i kapitał, two-

społeczeństwo innego dochodu niema, że więc jest najbardziej zainteresowane, iżby czysty dochód z ziemi wzrastał; od tego bowiem wzrostu zależy potęga każdego państwa, a nawet postęp cywilizacyi. Różniąc się z obrońcami systematu merkantylnego w pojęciach o znaczeniu drogich metali, kapitałom obsługującym rolnictwo, fabryki i handel, nadawali fizyokraci znaczenie *uposażenia* tych gałęzi przemysłu, bez której to *dotacyi*, jak się wyrażali, nie byłoby ani bogactwa, ani właścicieli ziemi. Zyski zaś na produkeyi fabrycznej i na handlu poczytywali za wydatki, które są nieuniknionym ciężarem społeczeństwa, lecz zupełnie nieprodukeyjnym dla interesu ogólnego tegoż społeczeństwa, które przeto należy ograniczać przez dopuszczenie swobodnej konkurencyi. Uważali wreszcie, iż każdy podatek spada ostatecznie na produkeyą rolniczą i dlatego żądali zniesienia wszystkich podatków pośrednich, a ustanowienia jednego podatku od dochodu z ziemi, tylko bowiem temu podatkowi przyznawali prawowitość.

<sup>1)</sup> Say, ekonomista używający wielkiej w Europie sławy, wykazując także (w dziele już zacytowanym), że mylnie były pojęcia twórców systematu merkantylnego o znaczeniu drogich metali, dowodził: że każda *praca użyteczna* jest zarazem *pracą produkeyjną*. Każdy bowiem produkt, bez żadnego wyjątku wyobraża bądź *użyteczność nową* przed jego wytworzeniem zupełnie dla społeczeństwa nieistniejącą, bądź *powiększenie użyteczności już istniejącej*, nadane rzeczom, a nawet i samym ludziom, a będące owocem pracy wykonanej w tym celu. Objasniał dalej, iż właśnie postęp przemysłowy polega głównie na zwiększeniu na przyszłość stopnia współdziałania, jaki w dzieło produkeyi niosą człowiekowi *czynniki naturalne*, a zwłaszcza *sily samej przyrody* dla każdego dostępne; ten bowiem współdziałanie, nowonabyty lub powiększony, każdą produkeyą czyni płodniejszą, nie wymagając na to więcej pracy; płynące zaś ztąd użyteczności stają się dziedzictwem ogółu (*tombe dans le domaine commun*). Poczytując zaś *miejsca zbytu* za jedną z najistotniejszych użyteczności, jakie są właśnie przystępnymi dla każdego, a więc jakie idą na pożytek tegoż ogółu i stawiając te *débouchées* w rzędzie najpożyteczniejszych czynników naturalnych, do rozwoju produkeyi dopomagających najskuteczniej, a służących każdemu darmo, Say pierwszy sformułował regułę: *que les nations ne payent les produits qu'avec les produits, et que toutes les lois qui leur defendent d'acheter les empêchent de vendre*.

rzący się przez gromadzenie produktów surowych lub przerobionych. Każdy z tych trzech czynników jest w dziele produkcji zarówno potrzebnym, obfitość przecież kapitałów szczególniej wyróżnia narody bogate od ubogich, skoro przy braku kapitałów, nawet ziemia nie jest uprawiana, jak należy, suma pracy krajowej zmniejsza się, a przynajmniej nie może być powiększaną, a więc ekonomiczna działalność nie może nabrać odpowiedniego rozwoju i żadne udoskonalenia możliwemi nie są, bez pomocy bowiem kapitału nie mogą być czynionemi. Postęp w rolnictwie lub w przemyśle, w żadnym momencie historyi nie przekracza przeto granicy określonej sumą kapitału w każdym z tych momentów istniejącą; kapitały zaś bez różnicy postaci, jaką przybierają, powiększają się nieinaczej, jak przez oszczędność. Należy więc ocenić, który z dwu systematów: ograniczeń, czy pełnej swobody ruchu, protekcyjny czy wolnej zamiany, więcej sprzyja czynieniu oszczędności?

Otóż, społeczeństwo usiłujące kierować handel zewnętrzny na drogi sztucznie przez siebie oznaczone i w tym celu ułatwiające przywóz materiałów surowych (*matières premières*), a wywóz fabrykowanych jest w błędzie gdy mniema, że tym sposobem wpływa na powiększenie i sumy swęj pracy i swego kapitału zarazem. Społeczeństwo bowiem, tak samo jak jednostka, bez względu na istniejący systemat cłowy, kupuje wszystkie produkta nieinaczej jak za inne produkta i sprowadzając z zagranicy przedmiot, którego potrzebuje, musi dać w zamian inny przedmiot odpowiedniej wartości. Jest zaś widocznem, iż nie innego dać nie może, jak to co wyprodukowało samo, lub co zostało dlań wyprodukowanem gdzieindziej. Że zaś wartości zamienne ustalają się przedewszystkiem wedle sumy pracy włożonej w przedmiot wystawiony na sprzedaż, więc i zamiana produktu na produkt nie jest czem innem, jak zamianą pracy za pracę i będzie zawsze rzeczą dla działalności społecznej obojętną zamieniać z zagranicą materiały surowe na fabrykowane, lub *vice versa*, skoro w każdej z tych hipotez zamienia się tylko suma pracy za odpowiednią sumę pracy.

Z tego punktu zapatrywania nie należy w stosunkach międzynarodowych obawiać się zamiany z narodami stojącymi na wyższym stopniu rozwoju przemysłowego, ona bowiem wychodzi właśnie nażytek społeczeństwa mniej rozwiniętego pod względem produkcji fabrycznej, skoro tym jedynie sposobem korzysta ono z *taniości* wyrobów zagranicznych. Społeczeństwo mniej w przemyśle rozwinięte daje tym narodom mniej swych produktów, a więc mniej swęj pracy za to, czego potrzebuje i tym sposobem czyni oszczędność, idącą na powiększenie pracy krajowej, zupełnie tak samo, jak kupiec wywozący wartość 100 gotowizną, płodami rolniczemi, lub wyrobami fabrycznemi, zwiększa swą korzyść, gdy otrzymuje w zamian produkta zagraniczne, które na miejscowych targach może spieniężyć za 105 lub drożej.

Otóż systemata ograniczeń (prohibicyjny i protekcyjny), zmuszając całe społeczeństwo płacić drogo za to, co ono mogłoby mieć od za-

granicy tanio, przeszkadzają czynieniu oszczędności lub zmniejszają jej sumę, utrudniają lub opóźniają tworzenie się kapitałów, tamują postęp fabrykacji miejscowej, a produkuje najwłaściwsze naturze ziemi lub geniuszowi każdego narodu pozbawiają naturalnych miejsc zbytu i poświęcają interesa wielkiej liczby mieszkańców interesowi klas uprzywilejowanych. Rzeczony systemata zwracają wprawdzie ku pewnym gałęziom przemysłu więcej rąk i kapitałów, niżby to miało miejsce w kraju przy naturalnym biegu rzeczy (t. j. przy wolnej zamianie z zagranicą); czynią to przecież z widoczną tegoż kraju szkodą, skoro pracę i kapitały odwracają od innych kierunków, mogących dlań przynieść większy pożytek. Jakoż inicjatywa jednostek wszędzie oceni najlepiej, jaki rodzaj produkeyi da zyski największe; że zaś wątpliwości nie ulega, iż ogół korzyści danego społeczeństwa na jego międzynarodowej zamianie składa się właśnie z sumy zysków otrzymywanych przez wszystkie jednostki w jego skład wchodzące, taki więc wywóz i przywóz produktów, który najbardziej bogaci owe jednostki, bogaciłby zarówno kraj i państwo.

Wszystkie te poglądy przyjęte zostały przez całą szkołę ekonomistów francuzkich bez żadnych modyfikacji lub zastrzeżeń. Liczni uczeni, których nazwiska stały się powagami, różniąc się między sobą w innych kwestyach ekonomicznych, pismem i słowem stale i jednomyślnie utrzymują, że zniesienie ceł protekcyjnych leży zarówno w interesie i konsumentów i producentów; że zapewniłoby pierwszym *taniość*, drugim zwiększenie korzyści, czyli *wzrost dobrobytu*. I to swe przekonanie podnieśli ekonomiści do wysokości dogmatu naukowego, w obronie którego w swych pismach, wychodząc z granic umiarkowania, często wyrażają się z lekceważeniem o każdym, kto ich teorii bezwarunkowo nie podziela, jak gdyby ta teoria była jedną z prawd ewangelicznych lub miała znaczenie dogmatu religijnego; a tak przecież nie jest <sup>1)</sup>.

Że w tym kierunku poszła cała falanga uczonych, zgrupowanych około sztandaru z godłem: *laissez faire, laissez passer i przeciwnych*

<sup>1)</sup> Dowodem tej namiętności jest także wydawnictwo pod każdym zresztą względem szacowne: *Dictionnaire de l'économie politique* (2 tomy, Paryż 1854 r.). 38 słynnych ekonomistów szkoły francuzkiej przyjęło w tém wydawnictwie czynny udział: Bastiat, Baudrillard, Cherbuliez, Chevalier, Clément, Cuvier, Faucher, Garnier, Molinari, Pariou, Passy, dwaj Say'c, Vivien, Wolowski i w. i. Pisząc o autorach i statystach lub o dziełach przeciwnych systematowi wolnej międzynarodowej zamiany nie ograniczali się oni na przedstawieniu obiektywném, ale każdego autora lub statystę i każde dzieło krytykowali surowo za to, iż nie podziela zdania krytykujących. Całe wydawnictwo byłoby przecież pożyteczniejszóm, gdyby nie przeistaczało się w środek propagandy jednej teorii, jednego systematu, nie było odbiegło od metody dla każdej encyklopedyi najwłaściwszej i obiektywnie dawano o każdym przedmiocie bezstronne objaśnienia.



wszelkiemu mieszanii się społeczeństwa i jego rządu w rzeczy rozdziału owoców pracy, można to tłómaczyć nastrojem umysłów we Francyi, usiłującym z każdej zasady abstrakcyjnej wyciągnąć wszystkie konsekwencye logiczne i wprowadzać je w życie *quand même*. W tym samym przecież szeregu przeciwko cłom protekcyjnym stanęły także wszystkie szkoły socjalizmu <sup>1)</sup>, a nawet ci z ekonomistów, którzy wychodząc z założenia, iż najgłówniejszem zadaniem ludzkości, wśród wszelkich jój przeobrażeń dziejowych, jest właśnie zapewnianie sprawiedliwszego rozdziału owoców pracy, żądają, iżby to zadanie podjęły rządy i załatwiały je za pomocą wzajemnych między sobą porozumień <sup>2)</sup>. Dopuszczają więc mieszanie się rządu w działalność ekonomiczną; tak samo jak rzeczony szkoły żądają, by on regulował nawet warunki konkurencyi miejscowej; jedna tylko zamiana międzynarodowa ma zostać poza wszelkim z jego strony wpływem i odbywać się wedle reguły, *laissez faire, laissez passer*, przeciwko której przecież w stosunkach miejscowych jednocześnie powstają.

Wobec tój zgodności zdań w rzeczy ceł protekcyjnych, zgodności nie zawsze jak widzimy wytłómaczyć się dającej, było rzec można oznaką dobrego tonu zaliczać się do obrońców teoryi wolnego handlu. Wywierata tóż ona przeważny wpływ, jak każda nowość lub moda. Pod koniec zwłaszcza panowania Ludwika Filipa, zaraz po owój reformie Roberta Peel, tyle dobrobytu i taniości zapowiadającej, nikt niemógł się we Francyi za systematem protekcyjnym odezwać, bez narażenia się na zarzut obskurantyzmu i wstecznictwa. I w istocie możnaby mniemać, iż umysły pociągane były urokiem wyrazu *wolność*, niezadając sobie sprawy, że ta wolność idąc na korzyść narodów, rozporządzających większą siłą produkcyjną, może się stać wolnością, przywilejem i protekcyą tylko dla przemysłu zagranicznego. Wśród takiego usposobienia umysłów, rozpoczęły się były rządy Napoleona III, przychodzącego właśnie z tradycyą tym usposobieniom wprost przeciwną.

Jakoż w ciągu naszego opowiadania, już mieliśmy sposobność wskazać poglądy Fr. Aug. Ferrier na warunki międzynarodowej zamiany. Poglądy te były wierném odbiciem myśli samego Napoleona I, dobrze znanej z dziejów, a uwydatnionej w jego pamiętnikach z wyspy Ś-tój Heleny <sup>3)</sup>. Anglia wyjednawszy w r. 1786 zgodzenie się Francyi

1) St. Simon'a, Ovon'a, Fourier'a i t. p.

2) Hieronim Adolf Blanqui, dyrektor akademii rzemiosł i profesor ekonomii w konserwatorjum sztuk i rzemiosł, doputowany, w dziele: *Précis élémentaire d'écon. polit.* (2-o édit. Paris, 1842 r.); Jan Sismondi ze Szwajcaryi w dziele: *Nouveaux principes d'économie polit., ou de la richesse dans ses rapports avec la population* (2-o édit. Paris, 1827).

3) Czynniki bogactwa narodowego dzielił Napoleon I w tym sposobie: „1) *L'agriculture*; l'âme, la base première de l'Empire. 2) *L'Industrie*; l'aisance, le bonheur de la population. 3) *Le Commerce extérieur*; la surabondance, le bon emploi des deux autres.”

na traktat handlowy dla produkcji angielskiej dogodny, usiłowała po zawarciu pokoju w Amiens do zasadowego traktatu powrócić, grożąc ponowieniem kroków wojennych w razie nieprzyjęcia tego jej żądania. Nie zgodził się na nie Napoleon I, niechcąc, jak pisze, oddawać przemysłu francuzkiego w niewolę angielską <sup>1)</sup>. Cóżby powiedział dziś ten wielki wojownik, a jeszcze większy prawodawca, organizator i administrator kraju, wobec statków parowych i dróg żelaznych, które obniżając fracht produktów, pozbawiają produkcją krajową nawet tej protekcyi, jaką dawniej przy znacznych kosztach przewozu zapewniała sama odległość.

Nie tak energicznie i w nie tak stanowczy sposób oświadczały się za systematem protekcyjnym rządy starszej linii Burbonów. Minister handlu w gabinecie Martignac'a, de Saint-Cricq, wobec opinii publicznej, systematowi Adama Smith coraz bardziej przychylniej, odpierając w Izbie zarzuty opozycyi, zajął był inne stanowisko. Rozwijane przez niego poglądy rządu na przedmiot dają się streścić jak następuje.

Narody są w dobrobycie i powiększają swą konsumacyą tylko przez pracę. Głównym jej czynnikiem, zwłaszcza w kraju tak rozległym i tak ludnym jak Francya, jest niewątpliwie *handel wewnętrzny*, ustalający wartość wszystkich naturalnych bogactw krajowych i plonów

„L'agriculture n'a cessé de gagner durant le cours de la Révolution. Les étrangers la croyaient perdue chez nous. En 1814, les Anglais ont été pourtant contraints de confesser qu'ils avaient peu ou point à nous montrer. L'industrie ou les manufactures et le commerce intérieur ont fait sous moi des progrès immenses. L'application de la chimie aux manufactures les a fait avancer à pas de géants. J'ai imprimé un élan qui sera partagé de toute l'Europe.

„Le commerce extérieur, infiniment au dessous dans ses résultats aux deux autres, leur a été aussi constamment *subordonné* dans ma pensée. Celui-ci est fait pour les deux autres; les deux autres ne sont pas faits pour lui. Les intérêts de ces trois bases essentielles sont divergens, souvent opposés. Je les ai constamment servis dans leur rang naturel, mais n'ai jamais pu ni dû les satisfaire à la fois.” (*Memorial de S-te Hélène*).

<sup>1)</sup> „Nous avons à présent le secret du traité de commerce de 1786. La France crie encore contre son auteur, mais les Anglais l'avaient exigé sous peine de recommencer la guerre. Ils voulurent m'en faire autant après le traité d'Amiens; mais j'étais puissant et haut de cent coudées. Je répondis qu'ils seraient maîtres des hauteurs de Montmartre que je m'y refuserais encore, et ces paroles remplirent l'Europe.

„Ils en imposeront un aujourd'hui, à moins que la clameur publique, toute la masse de la nation ne les force à reculer; et ce *servage* en effet serait une infamie de plus aux yeux de cette même nation, qui commence à posséder aujourd'hui de vrais lumières sur ses intérêts” (*tamże*). Zapominając zaś nie należy, że przytoczone wyżej zdania Napoleona I, będące wyrazem zasad na najwyższe zasługujących uznanie, niemają nic wspólnego ze słynną *blokady*

rolniczych, wszystkich produktów miejscowego przemysłu fabrycznego i wszystkich kapitałów nagromadzonych w kraju. Zbadanie, w jakich warunkach najlepiej i najpożyteczniej rozwijać się może ten główny czynnik pracy krajowej, ten handel wewnętrzny we Francji, jest więc pierwszorzędnym zadaniem jej rządu. Rząd nie miał przekonania, a raczej wątpił czy tenże handel mógłby się należycie rozwijać w ówczesnym stanie produkcji francuzkiej, w razie gdyby Francya kupowała gdzieindziej to, co zagranica mogłaby jej dostarczyć taniej niż przemysł miejscowy, chociażby nawzajem przedawała innym narodom to, co one produkowały, drożej. A obliczając ceny kosztu produkcji różnych towarów i wyrobów francuzkich i porównyując je z cenami handlowymi, miejscowymi i angielskimi, de Saint-Cricq wykazywał, iż wobec taniości tychże towarów i wyrobów zagranicą, Francya porzucając systemat protekcyjny, weszłaby na drogę zaopatrywania się zagranicą w prawie wszystkie artykuły żywności, a we wszystkie przedmioty fabrykowane, dające właśnie zajęcie największej liczbie rąk, a więc i sposób do życia dla największej liczby mieszkańców. Niemogąc dopatrzeć jakim sposobem dałyby się wytworzyć inne zarobki dla ludności krajowej, dotychczasowych pozbawionej, zwracał się do owego pewnika ekonomicznego, wedle którego produkta płacą się tylko produktami; wyznając iż ten pewnik nie jest dla rządu zaspakajającym, skoro narody tak samo jak jednostki, mogą żyć i kupować kosztem kapitału i tak samo jak one dochodzić do ruiny. Nie przecząc wreszcie, iż wysokie cła oddziałują na podrożenie różnych przedmiotów, tamują rozwój handlu morskiego i utrudniają wywóz niektórych wyrobów produkcji francuzkiej; de Saint-Cricq poczytywał te następstwa za konieczność, której Francya poddać się musi dla zadosyć uczynienia swym interesom wyższym, ogólnym.

Zwracając z kolei uwagę na to, że ceny produktów miejscowych muszą się obniżać w miarę postępu przemysłowego, czyli w miarę ulepszeń fabrykacji, samą konkurencją miejscową wywoływanych, że udoskonalenia i wynalazki pociągają za sobą rozwój przemysłu krajowego, ten zaś rozwój dostarczy stałego zajęcia marynarce i rozszerzy zarazem miejsca zbytu dla płodów rolniczych; de Saint-Cricq zaafirmował, iż poświęcać wszystko dla samej taniości, byłoby to narażać się na niebezpieczeństwo kupienia od zagranicy w ciągu krótkiego czasu tak wiele, a przedania w zamian tak mało, że *niestarczyłoby wreszcie środków ani do kupowania, ani do przedawania* <sup>1)</sup>. Gdy główniejsze

*kontynentalną, użytą przez tegoż monarchę za broń przeciwko Anglii, a słusznie uznaną przez historyków za błąd i polityczny i ekonomiczny zarówno. Skutkiem zaś wprowadzenia w czyn powyższych zasad, doszła była Francya za pierwszego Cesarstwa do wielkiego dobrobytu materialnego.*

<sup>1)</sup> „Sacrifier au bon marché, c'était courir grand risque d'avoir, en peu d'années, tant acheté et si peu vendu qu'il ne nous restât plus de moyens d'acheter ou de vendre.” Amé, *loc. cit.* t. II, str. 492.

gałęzi przemysłu francuzkiego, konkludował minister, idąc drogą postępu, odpowiedniego nabiorą rozwoju, niechaj wtedy Francya przyjmie, a nawet wywoła walkę konkurencyjną z zagranicą; ale nim to nastąpi, niechaj dla własnego przemysłu zachowa własne a wspaniałe targowisko krajowe i niechaj Izba, nieprzyjmując wniosków opozycji, poczyta za rzecz udowodnioną, iż *należy kupować u innych jak najmniej tego, co jesteśmy w możności produkować sami* <sup>1)</sup>.

Nie uznawał przeto w tój materji żadnych zasad absolutnych, nie przyjmował żadnego systematu *à priori*, ale żądał, iżby praca krajowa niebyła pozbawioną opieki wynikającej z poboru ceł, bez poprzedniego obliczenia i porównania sił każdój z osobna ważniejszej gałęzi przemysłu tych krajów, które mają sobie czynić konkurencyą, a więc, iżby wyczekiwać chwili, w której zniesienie lub obniżenie tych ceł nie mogłoby już na żadne niebezpieczeństwo narazić istnienia żadnej z tych gałęzi przemysłu francuzkiego. Wszelki przeto krok na drodze reformy cłowej czynił zależnym od ścisłego rachunku następstw, mającego determinować jój pożytek dla kraju i przekonać, że na nią nadszedł czas właściwy <sup>2)</sup>.

Żaden z mówców rządowych we Francji nie opuszczał już później stanowiska, jakie zająłbył de St. Cricq, względem teoryi wolnego handlu i każdy z nich w obronie systematu protekcyjnego poprzestawał na rozwijaniu tych samych co on argumentów. To samo da się powiedzieć o pismach ekonomistów, nie opuszczających sztandaru protekcyjnego, chociaż niektórzy z nich, utrzymując, iż teoria Smitha jest absolutnie niemożliwą, usiłują utrzymać samą zasadę, zamianie swobodnej międzynarodowej bezwarunkowo przeciwną.

Mianowicie zaś też same poglądy rozwijał (między 1840—1851) słynny ekonomista niemiecki Fryderyk List <sup>3)</sup>, uznawany jak już wspomniano, za twórcę *zollvereinu*. Dzielnąc historją każdego narodu na trzy okresy: barbarzyństwa, wzrostu i rozwoju, potęgi zresztą i siły, dowodził, iż wolność handlowa jest dla każdego narodu potrzebną w okresie pierwszym, skoro bez niej trudnoby mu przyszło wyjść ze stanu barbarzyństwa; że systemata zakazowe i protekcyjne są koniecznymi w okresie drugim, skoro bez nich żaden naród nie mógłby ani rozwinąć przemysłu fabrycznego, ani wytworzyć marynarki handlowej. Dopiero więc w okresie trzecim pełnego rozwoju działalności ekonomicznej i w stanie wielkiego dobrobytu, naród w pełni swęj siły może

<sup>1)</sup> „Ténona pour établi qu'il ne faut acheter aux autres que le moins possible de ce que nous pouvons produire.” (Tamże tonżo tom, cytacya na str. 493).

<sup>2)</sup> Il invoqua surtout des questions d'opportunité et de force relative entre les industries rivales.” Amé, loco citato, t. II, str. 491.

<sup>3)</sup> Friedrich List's gesammelte Schriften, Stuttgart, 1850. Patrz: *Die Freiheit und die Beschränkungen des auswärtigen Handels, aus dem historischen Gesichtspunkt betrachtet, i Das nationale System der politischen Oekonomie.*

stopniowo obniżać cła i zbliżać się do teorii wolnego z zagranicą handlu <sup>1)</sup>. Profesor Perin należy także do rzędu tych, którzy nieuznając ani absolutnej protekcyi, ani absolutnej wolności handlu z zagranicą, mniemają, „iż każdy człowiek rozsądny przyjmuje pierwszą z nich pod warunkiem, by niewychodziła z granic sprawiedliwości i by stosowaną była w sposób zmuszający produkcją krajową do rozwoju i postępu, zamiast popierać jęj zastój w bezowocnej rutynie <sup>2)</sup>).

Z pomiędzy zaś ekonomistów stojących przy zasadzie protekcyi absolutnej, należy się szczególniej wzmianka wicehrabiemu Augustowi de Saint Chamans, radcy stanu i deputowanemu przed r. 1830 <sup>3)</sup> i Juliuszowi Le Bastier <sup>4)</sup>.

Ale i pomiędzy ekonomistami należącymi do obozu przeciwnego, bardzo wielu i to najświetniejszych mistrzów nauki, schodzi się z poglądami ministra de St. Cricq, nie przecząc bynajmniej ani temu, iż protekcyja dobrze zastosowana może być na pewien czas użyteczną dla kraju, ani temu, iż nawet przechodząc do systematu wolnego handlu istnieje konieczność zachować wielkie umiarkowanie i oględność, iżby przez zniesienie lub obniżenie ceł protekcyjnych, od bardzo dawna istniejących, nie narazić na upadek tych gałęzi przemysłu krajowego, które się pod

<sup>1)</sup> Szanowny profesor uniwersytetu w Louvain, Karol Perin, *loc. cit.*, t. I, str. 505, tak ocenia poglądy Lista: „un célèbre économiste allemand, List, a fondé sur le principe de la solidarité nationale une théorie des échanges internationaux, qui apporte aux principes absolus du libre échange des restrictions considerables. Pourvu que l'on conserve aux principes de cette théorie leur caractère essentiellement relatif et qu'on évite d'en induire ce qui ne s'y trouve point contenu, le principe d'une protection absolue et immuable du travail national, on reconnaitra que le système de List repose sur une donnée d'une vérité incontestable.”

<sup>2)</sup> *Tamże*, tenże tom, str. 506 i 512. Na téjże stronie czytamy trafne oconienie absolutnej wolności handlowej: „mais dans notre temps de hardiesso, ou pour mieux dire d'extravagances sociales, il s'est formé une école, qui tend à une application radicale et absolue du libre échange. Les principes de cette école sont tels que, si jamais ils pénétraient dans le monde des affaires, ils auraient pour effet de désorganiser la production et de ruiner les classes qui vivent du travail de leurs bras. Cette école tient de plus près qu'on ne croit aux théories de materialisme et d'individualisme qui forment le fonds de toutes les doctrines révolutionnaires de notre temps.”

<sup>3)</sup> Autorowi dzieła: *Du système d'impôt fondé sur les principes d'économie politique*. (Paris, 1820), poczytywanego za najbardziej wyczerpującą obronę ceł protekcyjnych.

<sup>4)</sup> W cytowanym dziele: *Théorie de l'équilibre économique*. Zasady absolutnej protekcyi bronili także: Temistokles Lestibondois deputowany, w dziele: *économie politique des nations, ou système économique applicable aux différentes contrées et spécialement à la France*, (Paris, 1847); Lequién w dziele: *du libre échange et des prohibitions douanières*, (Paris, 1850) i t. d.

ich osłoną rozwinęły. Jakoż sam nawet Smith wyraźnie przyznawał, że w dwu przypadkach przemysł krajowy *powinien być*, w dwu zaś innych *może być* protegowanym przeciwko przemysłowi zagranicznemu. Mianowicie zaś za dwa przypadki *konieczności* ceł protekcyjnych poczytywał: a) bezpieczeństwo kraju, ważniejsze dlań od najszerzego dobrobytu, skutkiem czego uważał, iż należy pewnemi dogodnościami zachęcać każdą gałąź miejscowego przemysłu, potrzebną dla obrony, lub dania siły krajowi i z tego właśnie względu usprawiedliwiał *Akt żeglugi Cromwella* z roku 1651, acz oparty na idei monopolu i cłach zakazowych, a więc zadający kłam najdonioślejszym wynikom nauki <sup>1)</sup>; b) opodatkowanie na rzecz skarbu narodowego daną gałęzi miejscowego przemysłu, skutkujące podrożeniem jej produkcyi odpowiednie wysokości tegoż podatku; przyznawał bowiem że należy wtedy dać téjże gałęzi opiekę przeciwko konkurencyi takiegoż przemysłu zagranicznego i tym sposobem przywrócić równowagę, z zastrzeżeniem jedynie dokładnego zbadania, w jaki sposób i do jakiego stopnia podatek obciąża téż produkcją. Przypadki znowu, w których cła protekcyjne *mogą* być pożytecznemi dla kraju są: a) gdy zagranica za pomocą praw zakazowych lub protekcyjnych, utrudnia wywóz swych produktów a przywóz angielskich, można przeciwko niej użyć odwetu, ilekroć jest nadzieja, iż tym sposobem zmusi się ją do porozumienia i b) gdy pod osłoną ceł protekcyjnych potworzyły się w kraju zakłady fabryczne; nie możnaby bowiem bez wielkich dlań niedogodności pozbawiać je téjże protekcyi nagle, ale postępować należy bardzo powoli i z wielką oględnością <sup>2)</sup>.

Fryderyk Bastiat, autor głośnych w swoim czasie *sofizmów ekonomicznych*, oświadczał wyraźnie, że się zgadza na protekcyę umiarkowaną <sup>3)</sup>, niemniej od Bastiata gorliwy obrońca teoryi wolnego handlu Michał Chevalier uprzedza przeciw, że dalekim jest od téj myśli, iżby przemysł francuzki pozostawić bez obrony w walce z warsztatami angielskiemi, które więkшими rozporządzają siłami i dlatego sam żąda rewizyi taryfy francuzkiej <sup>4)</sup>. I w ogólności wszyscy ekonomiści liczący się z faktami, z rzeczywistością, z potrzebami daną chwili,

<sup>1)</sup> Prawo Cromwella z roku 1651, modyfikowane wielokrotnie przez parlament (w latach 1825 i 1826) zostało całkowicie zniesioném dopiero w roku 1849. Parlament uznał wtedy, iż ono już się przeżyło i już swemu zadaniu przestało czynić zadosyć, ale podstawom tegoż prawa nie stawiał zaprzeczenia.

<sup>2)</sup> W cytowanym dziele: t. II, ks. IV, rozdz. II.

<sup>3)</sup> „Je n'ai pas de répugnance à dire quel est mon vœu... Je voudrais que l'opinion fût amenée à sanctionner une loi de douanes, conçue à peu près en ces termes: les objets de première nécessité paieront un droit ad valorem de 5%, les objets de convenance 10%, les objets de luxe 15 ou 20%” (*Sophismes économiques*, 3-e édit., Paris, 1847, str. 9).

<sup>4)</sup> *Examen du système commercial connu sous le nom de système protecteur* (str. 202—213). To zdanie jest zresztą wynikiem uznania solidarności narodowej: „Le principe de la solidarité nationale une fois reconnu,”

przyjmują teorią wolnego handlu za ostateczny cel, ku któremu narody dążyć powinny stopniowo, bez narażania na upadek tych gałęzi przemysłu, które się rozwinęły pod systematem protekcyjnym. Ilekroć zaś dla którego z piszących wstępnym jest sam wyraz *protekcya*,

czytamy tamże: „il reste à savoir quelle on sont les conséquences légitimes et si parmi ces conséquences figure le système protecteur, notamment avec les caractères qu'il a reçu de nos protectionnistes. En s'étayant de la solidarité nationale, on allègue en faveur du système protecteur que, pour tout grand corps de nation, une fois l'âge de la maturité arrivé, c'est une nécessité dans l'intérêt de sa civilisation même, d'acclimater chez soi chacune des principales branches de l'industrie; qu'il ne suffit pas d'être agriculteur, qu'il faut être commerçant et manufacturier; qu'il faut avoir non seulement quelques manufactures spéciales, mais chacune des grandes catégories manufacturières; qu'il faut être navigateur. Jusque là le programme est judicieux.”

Uznawszy następnie potrzebę przyswojenia wielkich gałęzi przemysłu każdemu organizmowi państwowemu (patrz cytacją w rozdz. XIII tego studyum); i objaśniwszy, że sama natura zakreśla pod tym względem granicę, że np. Anglia i Północne Niemcy nie mogą produkować wina, autor tłumaczy swą myśl jak następuje: „Les limites que la nature elle-même pose à l'extension de l'industrie de chaque peuple, ces sortes d'interdits à l'esprit d'entreprise de chaque grande nation, laisse encore ouvert un espace immense, la majeure partie du domaine des manufactures. On peut remarquer encore que ces limites naturelles ne sont pas absolument fixes, que le progrès des sciences et des arts tend à les reculer sans cesse. L'Europe est parvenue à faire rendre à son propre sol des substances qu'on aurait crues réservées aux régions tropicales; le sucre en est le plus frappant exemple. Mais tous les bons esprits reconnaitrons qu'à chaque instant il est sage d'accepter ces limites telles qu'elles sont marquées par les connaissances humaines au moment dont il s'agit. Sous ces réserves” (a przyjmie je bez wątpienia każdy); „nous tenons pour établi qu'il est bon à toute agglomération nationale, à un groupe d'hommes tel que celui qu'offre la France, ou les îles Britanniques, ou l'Allemagne, ou la Russie, d'aspirer à s'approprier la pluspart des grandes industries et de s'y appliquer effectivement. Ainsi je me garderai bien de blâmer le désir qu'eurent Colbert en France, Cromwell en Angleterre de susciter, chacun dans sa patrie une puissante marine commerciale. Je tiens pour excellente la pensée que, plus récemment, ont eue des hommes d'Etat éminants, chez tous les grands peuples de l'Europe, de faire naître autour d'eux les divers industries manufacturières, ce qui ne veut pas dire qu'il convienne de louer sans distinction les mesures qu'ils prirent pour atteindre leur objet. J'irai même plus loin dans la voie des concessions, je le puis en toute sûreté de conscience. En égard au temps dans lequel vivaient Colbert et Cromwell, et même des souverains ou des ministres beaucoup moins éloignés de notre âge, et postérieurement jusqu'à l'époque qui précède la nôtre, on peut soutenir avec avantage, que la protection douanière fût alors légitime et opportune, sans que de ce précédent on puisse aucunement s'autoriser pour l'époque actuelle.”

jako przeciwstawienie wyrazu *wolność*, ten cła protekcyjne zwie *kompensacyjnymi* i już potem nie zaprzecza, iż za ich pomocą należy *wyrównywać* na korzyść przemysłu krajowego warunki produkcji z przyjaźniejszymi gdzieindziej warunkami produkcji zagranicznej <sup>1)</sup>. Tym sposobem doktryna większej części ekonomistów zbliża się w praktycznych swych konkluzjach do stanowiska zajętego przez ministra de St. Cricq i jego naśladowców. Do tych zaś, którzy nie zwracając uwagi na wyższość sił przemysłu zagranicznego i nie licząc się z rzeczywistością, żądają absolutnego wprowadzenia systematu wolności handlowej, bez żadnego względu na jego następstwa dla kraju, można w istocie zastosować przytoczone wyżej zdanie profesora Perin'a.

I ci jednak niechęący w swych pismach nie poświęcić z logicznych wyników teorii, posuwanych do krańcowości (*logiciens à outrance*), działają wprost przeciwnie temu co piszą, ilekroć im przychodzi kierować finansami, lub wpływać na ekonomią krajową; wtedy bowiem, jak to zauważono nie bez pewnej dozy soli atyckiej, sztandar swój chowają natychmiast do kieszeni <sup>2)</sup>.

Żaden też naród na kontynencie nie opuścił dotychczas systematu protekcyjnego i żaden rząd nie widział się być upoważnionym poświęcać rzeczywistość dla uczynienia zadosyć wynikom nauki, przywiązującej zamato wagi do faktów, które same jedne mogły być tymże wynikom należytej dodać powagi. Żaden rząd niemógł przyjąć reguły, wedle której produkta płacą się produktami w tém znaczeniu, jakie do niej przywiązawali ekonomiści; nietylko bowiem można za produkta

<sup>1)</sup> Tak czyni Leonce Laverne, jak świadczy cytacya str. 179 i 180 w tylokrotnie powoływaném dziele de St. Rémy.

<sup>2)</sup> „Lorsqu'il arrive, ce qui n'est pas sans exemple, que les vicissitudes de la politique portent à la tête de nos finances quelque économiste de profession, le premier soin du pauvre homme, c'est de mettre son drapeau dans sa poche, d'enfermer ses principes dans son tiroir et d'agir comme s'il n'avait jamais rien dit, ni rien écrit,” pisze książę Wiktor de Broglie (*Considérations sur la liberté commerciale*. Revue de deux mondes, z dnia 15 czerwca 1879 r., str. 848). Pomiędzy zaś kilku przykładami, jakie na dowód przytacza, najwybitniejszym jest przykład barona Louis, pierwszego ministra finansów we Francyi, po upadku Napoleona I, męża stanu wielkich zdolności i wielkiej siły charakteru. Objął on był wydział finansowy w chwili złamania przez Anglią systematu kontynentalnego, wtedy właśnie, gdy Francya uszczuplona w swych granicach, nie miała jeszcze ani komór, ani straży granicznej i gdy towary i produkta wchodziły do niej zewsząd, wolność zaś była właśnie w modzie do pewnego czasu przynajmniej, miał więc sposobność wprowadzić system wolności handlowej na podstawach jak najszerszych. A jednak Baron Louis, acz najgorliwszy uczeń Adama Smith i najzarliwszy zwolennik jego teorii, natychmiast zaprowadził we Francyi systemat protekcyjny, zrazu niecześnie, za pomocą kilku środków rządowych, a wkrótce jawnie, przez prawo z dnia 17 listopada, 1814 r.



płacić z kapitału i wtedy kraj idzie do ruiny pod ekonomicznym względem, ale co jeszcze ważniejsza, sama materya, będąca przedmiotem przemysłu i pracy, jest w każdym kraju co do swęj ilości ograniczoną i nie mnoży się w nieskończoność. Gdyby więc skutkiem napływu produktów zagranicznych upadło kilka ważniejszych gałęzi przemysłu krajowego, zajęta przez nie ludność niemogłaby się zwrócić ku innej pracy w pozostałych kierunkach działalności ekonomicznej, już dostatecznie obsłużonych, a w nieskończoność mnożyć się niedających; nie miałyby więc ani pracy, ani zarobków. Każdy przeto rząd na kontynencie, zamiast oceniania naukowej wartości tego, lub innego systemu cłowego, ma raczej obowiązek zbadać, czy każda z ważniejszych gałęzi przemysłu krajowego (o której zachowanie dba), już dobrze obsługiwana przez klimat i naturę ziemi, przez nawyknięcie ludności pracującej, przez wyrobienie jęj zdolności i przez nagromadzone kapitały, może nadal istnieć i pomysłnie się rozwijać bez potrzeby dalszej osłony taryf cłowych <sup>1)</sup>.

To właśnie pytanie podjąwszy w r. 1860, rząd Napoleona III polecił przedewszystkiem wyższej radzie rolnictwa, handlu i przemysłu zebrać dane i na ich podstawie uznać, iż w ówczesnym stanie produkcji francuzkiej można było odstąpić od zbytniej surowości ówczesnej taryfy cłowej bez szkodliwych następstw dla kraju <sup>2)</sup>. Zniesiono zatem istniejące jeszcze bezwarunkowe zakazy wprowadzania do Francyi niektórych produktów zagranicznych <sup>3)</sup>, zwolniono od cła wszystkie materyały surowe (*matières premières*); cła zaś protekcyjne od przedmiotów fabrykowanych utrzymano w wysokości 30% *ad valorem*. Wszystkie te zmiany objęte zostały traktatami handlowymi, zawartemi między Francją i Anglią, a rozciągniętemi następnie do Belgii i kilku innych krajów <sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Anglia nie pobiera żadnych cel od przedmiotów fabrykowanych (Amé, *loc. cit.* t. II, str. 521); jest bowiem przeświadczoną, że żadna produkcya zagraniczna niemoże konkurować z angielską. Zanim jednak tego przekonania nabrała, trzymała się Anglia systematu protekcyjnego, od którego odstępując powoli i stopniowo, statysci angielscy objaśniali przy każdej sposobności, iż chcą zawsze godzić potrzeby budżetowe z protekcyą przynależną przemysłowi krajowemu (Duo Victor de Broglie, *loc. cit.* str. 856 i 857). Kwestya zaś zbożowa i artykułów żywności, stała zawsze w Anglii poza obrębem systematu cłowego, a jęj rozwiązanie wchodziło w zakres *polityki*, która nad teoryami ekonomicznemi nigdy dominować nie przestanie.

<sup>2)</sup> To zbieranie danych (*enquête*) trwało od 1 maja do 24 sierpnia 1860 r. Minister handlu pytał o zdanie nie tylko przedstawicieli każdej gałęzi przemysłu krajowego, ale także i znakomitości przemysłowe z Anglii, Belgii i Szwojaryi w celu poznania stosunków produkcji krajowej w jęj konkurencyi z zagranicą (Amé, *loc. cit.* t. I, str. 311).

<sup>3)</sup> Wymienia je Amé, *loc. cit.* w przypisku str. 287, t. I.

<sup>4)</sup> Amé, *loc. cit.* t. I, roz. XIII. Ludwik Wołowski, *loc. cit.* str. 48.

Czy te zmiany przeprowadzone w kierunku teorii wolno handlowej przyniosły Francji lub Belgii więcej pożytku niż szkody, o tém cudzoziemcy niemają kompetencji wyrokować <sup>1)</sup>; mogą tylko zaznaczyć, iż w samej Francji i Belgii zdania są pod tym względem bardzo podzielone <sup>2)</sup>. Godzi się wszakże zwrócić uwagę na to, iż jedném z poczytywanych następstw zastosowania wolności handlowej, miała być wedle ekonomistów *taniaść* wszelkich artykułów pierwszych potrzeb, a tymczasem drożyzna wszystkich artykułów żywności, czyli tego co każdy musi kupować codziennie, przybrała wszędzie przerażające rozmiary właśnie po roku 1860, a staniały w nieznacznym stosunku tylko takie przedmioty, które (jak np. perkale) każdy kupuje raz na rok; że więc pod względem zaprowadzanej taniaści, próba uczyniona w kierunku teorii wolno handlowej zrobiła widoczne *fiasko*. Spodziewać się należało, iż wobec takiego niepowodzenia, podkopującego ten właśnie argument, który najsilniej przemawia do klas pracujących, ekonomiści stawiać zaczęły teorią wolności handlowej w sposób mniej absolutny. Publiczność bowiem interesuje się jedynie cenami istniejącymi w handlu detalicznym, nie zaś naukową wartością teorii abstrakcyjnych i po-

<sup>1)</sup> Sądy niektórych naszych dzienników o świeżej reformie ołowej przeprowadzonej w Niemczech w kierunku protekcyjnym, były zadorywoze i przedwczesne. Powtarzamy, że cudzoziemcy nie są kompetentnymi do oceniania już dziś téj reformy, z objaśnień zaś składanych parlamentowi niemieckiemu przez mówców rządowych dałby się raczej wyprowadzić ten wniosek, że wobec upadku przemysłu niemieckiego, niemożęcego widać wytrzymać konkurencji z krajami Zachodu, książę kanclerz uznał konieczność pójsicia w ślady Colbertta i Cromwella, lub wzięcia za przykład silnie protekcyjne prawodawstwo Stanów Zjednoczonych Ameryki. Kwestya ceł zbożowych, acz mogęca oddziałać na drożyznę artykułów żywności, także niemożę być dostatecznie ocenioną bez danych, dla cudzoziemca jeszcze niedostępnych. Gdy jednak jest wiadomém, że Niemcy w latach normalnego urodzaju produkują tyle zboża, ile potrzebują na konsumacyę wewnętrzną i gdy z drugiej strony jest do przewidzenia, że w latach anormalnych nieurodzaju, dekret cesarski zawiesi pobór cła od zboża zagranicznego na czas, dopóki deficyt nie zostanie pokrytym i w téj przeto kwestyi wypadaloby powstrzymać się z sądami i oczekiwac na fakta wykazujące rezultat rzeczonej reformy w praktyce.

<sup>2)</sup> Czego dowodem ciągło w obu krajach dyskusye w ciałach prawodawczych i nieustajęco spory w druku za i przeciw systematowi protekcyjnemu, np., pismo miesięczne wychodzące w Brukselli: *L'économie nationale des peuples* jest jednym z objawów trwania téj walki. Główny redaktor tego czasopisma Juliusz Borain wydał w Brukselli 1878 r. książkę p. t.: *Les énormités du libre échange anglais*, książkę z powodu namiętnego stylu graniczącą z pamphletem i wprawdzie niemającą żadnej wartości naukowej, zawierającą przecież mnóstwo cyfr i danych statystycznych w celu wykazania, że utrzymanie teorii wolno handlowej w stosunku z Anglią, musi spowodować ekonomiczny upadek kraju, nawet tak przemysłowego jak Belgia.

żytek lub szkodliwość każdego systematu podatkowego lub cłowego mierzy wyłącznie taniością, lub drożyzną w tymże handlu. Ekonomisci przecież, jak słusznie zauważono, stają w obronie absolutnej wolności handlowej, dla honoru chorągwi <sup>1)</sup> i temu bezwzględnie przypisać należy, iż właśnie po roku 1860 zwrócili się nawet przeciwko cłom *fiskalnym* <sup>2)</sup>.

Prawowitość ceł fiskalnych nie była poprzednio zaprzeczana przez żadną szkołę; jeżeli bowiem podatki źle oparte, lub wydatkowane nieprodukcyjnie, są w imię i nauki i polityki i moralności potępianymi przez wszystkich myślicieli, wszyscy przecież bez różnicy obozu, do którego należą, zgadzają się na to, że podatki ustanowione dobrze, rozłożone sprawiedliwie i użyte produkcyjnie, przynoszą społeczeństwu więcej niż mu zabierają, iż są one właśnie najenergiczniejszym wyrazem idei stowarzyszenia ludzi w organizmy narodowe i najsilniejszą dźwignią działalności społecznej. Jakoż narody, któreby odmawiając podatków nie wytwarzały środków potrzebnych do ciągłego udoskonalania całego swego przyrządu społecznego, szłyby niewątpliwie prostą drogą do upadku. Postęp moralny, naukowy i ekonomiczny, wymiar sprawiedliwości, bezpieczeństwo na wewnątrz i na zewnątrz tym jedynie zapewnia się kosztem. Wiemy z własnego doświadczenia, iż niedające się obliczyć, a najsmutniejsze następstwa i kara wymierzona z największą lichwą spada w bliższej przyszłości na każdy naród, który kiedykolwiek poskąpi podatku na czynienie zadosyć tym wszystkim potrzebom swego interesu ogólnego. To niebezpieczeństwo jest znaniem wszystkim ekonomistom bez różnicy ich poglądów na teorią wol-

<sup>1)</sup> „On dispute pour l'honneur du drapeau.” Victor du de Broglie, *loc. cit.* str. 859.

<sup>2)</sup> Wiadomo, że cła są *ab initio* fiskalnemi, gdy padają na takie przedmioty z zagranicy sprowadzane, których kraj u siebie niema i których sam nie produkuje, jak np., od wina lub jedwabiu w Królestwie Polskiem. Cła zaś pobierane od takich wyrobów, które są już przedmiotem produkcji krajowej (*industries similaires*), przestają być protekcyjnymi i przeistaczają się w cła także fiskalne, ilekroć nie osłaniają do tego stopnia miejscowego przemysłu wobec konkurencyi zagranicznej, iżby on mógł mieć za swe wyroby cenę dozwalającą mu nadal istnieć, *prix rémunérateur* zwaną. Udeterminowanie tej ceny jest wprawdzie trudnem, gdyż koszta produkcji (*prix de revient*) w żadnej gałęzi przemysłu nie są ani stałe, ani we wszystkich fabrykach jednakowe. Wysokość ich bowiem jest zależną od miejscowości, rozmiarów i środków komunikacyi każdej fabryki, od ilości jęj rocznej produkcji, od stosunku jęj własnego kapitału obrotowego, lub stopnia łatwości kredytu, wreszcie od znajomości rzeczy administratora fabryki i zdolności, z jaką prowadzi jęj interesa. W każdej przeto gałęzi przemysłu taż sama cena może bogacić jedną, a rujnować drugą fabrykę. W rzeczy podatku i ceł należy więc brać w rachubę cenę *przeciętną*, jako najbliższy, acz tylko przybliżony wyraz dla całej gałęzi danego przemysłu.

ności handlowej, żaden z nich zasadzie podatków przeciwnym nie jest; z pomiędzy zaś wszystkich podatków, cła fiskalne są niewątpliwie opłatami najsprawiedliwsiemi i najmniej uciążliwemi. To też w chwili najgorętszej walki przeciwko systematowi protekcyjnemu, toczącej się we Francyi pod koniec panowania Ludwika Filipa, Bastiat krytykując podstawę ceł protekcyjnych, najwyraźniej uznawał prawowitość ceł fiskalnych<sup>1)</sup>. A jednak gdy Léonce de Lavergne poddał był w r. 1868 pod rozbiór paryzkiego Towarzystwa ekonomistów pytanie, czy cła zniesione jako przyrząd protekcyjny, mają być utrzymanemi w charakterze przyrządu fiskalnego? nie otrzymał odpowiedzi twierdzącej i chociaż dowodził, że cło jest podatkiem najmniej uciążliwym, że pożyteczniej jest obciążać opłatami na rzecz skarbu produkta zagraniczne niż krajowe i lepiej żądać sto milionów więcej od ceł, a jednocześnie umniejszyć w zamian o sto milionów inne podatki uciążliwsze; większość ekonomistów na posiedzeniu obecnych uznała, iż pobór ceł fiskalnych będzie zawsze protekcyą ukrytą, pozwalającą krajowcom przedawać produkta po cenach wyższych niż te, któreby istniały wobec konkurencyi zagranicznej, niczém nie krępowanej<sup>2)</sup>.

Przyznając prawu solidarności narodowej znaczenie donioślejsze i stanowisko dominujące nad prawem solidarności rodu ludzkiego, przyjmujemy zarazem poglądy statystów francuzkich, przeciwne doktrynie międzynarodowej zamiany nieregulowanej cłami protekcyjnymi; a nawet nie wahamy się wyrazić, że dopóki świat nie przestanie się składać z organizmów narodowych lub państwowych, a każdy z nich mieć będzie właściwe sobie prawodawstwo i podatkowość, dopóty każdy z nich mieć będzie zarazem swój odrębny interes, bardzo często sprzeczny z interesem innych takichże organizmów; skutkiem czego znajdzie się w konieczności osłaniać cłami te gałęzie swego przemysłu, w których istnieniu upatrywać będzie jeden z warunków rozwoju swjej kultury lub swjej cywilizacji. Każdy z tych organizmów będzie usiłował rozwinąć swą międzynarodową zamianę w stosunkach z organizmami w przemyśle stabszem, tak samo jak to dziś czyni Anglia; ale żaden z nich nie zechce znieść ceł protekcyjnych w stosunkach z organizmami mającemi produkcyą więcej rozwiniętą i silniejszą. Te bowiem cła będą zawsze jedynym środkiem równoważącym warunki w konkurencyi przemysłu krajowego z przemysłem zagranicznym.

1) „La douane peut être une machine fiscale aussi bonne qu'une autre. Je suis si loin de démander la suppression des douanes, que j'y vois pour l'avenir l'ancre de salut de nos finances.” (*Sophismes économiques*, 3 éd. Paris. 1847, str. 8).

2) Sprawozdanie z posiedzenia rzeczowego Towarzystwa, odbytego d. 5 marca 1868 r., na którym rozbiegano pytanie przez Léonce'a de Lavergne wniesione: *La douane en disparaissant comme instrument de protection, doit-elle être maintenue comme instrument fiscal?*

A porównując warunki produkcji Królestwa Polskiego w ogólności, w szczególności zaś fabrykacji cukru w témże Królestwie, jako bezpośredniego przedmiotu tych studyów, jesteśmy w konieczności przyznać, że ona stoi na protekcyi ceł i nie mogłaby nawet u siebie w miejscu wytrzymać konkurencyi z przemysłem nietylko angielskim lub francuzkim, ale nawet z produkcjami narodów sąsiednich.

Zwracając się zaś do pytania konkretnego podjętego przez nas w rozdziale poprzedzającym, czyli odnosząc zestawione wyżej poglądy do przemysłu Cesarstwa w ogólności, a w szczególności do fabrykacji cukru z buraków, poważamy się te uczynić uwagi, że naród, który, jak uczą jego właśni historycy, rozpoczął był swą karierę ekonomiczną dopiero od Piotra W., który do dziś uznaje jeszcze potrzebę oznaczania u siebie rejonów i czynienia między nimi różnicy w rzeczach podatkowych i który na kartach swych dziejów nie zapisał dotąd nazwisk równoznaczających z nazwiskami Colbert'a i Necker'a, ma przed sobą pilniejsze i ważniejsze zadania ekonomiczne, niż podejmowanie próby systematu wolności handlowej, nie przyjętego dotychczas przez żaden kraj kontynentu.

Ogromne przestrzenie zamknięte granicami Imperyum i jego 80 milionowa ludność, czynią z jego targów jedno z większych, a w przyszości uczynić z nich mogą jedno ze wspanialszych miejsc zbytu (*débouchée*). Są one głównym bodźcem niezaprzeczonego zresztą rozwoju przemysłu krajowego, w ciągu zwłaszcza ostatnich lat 20-tu; zadaniem statystów jest więc te miejsca zbytu obrócić na pożytek własnego organizmu państwowego; zachować je dla miejscowych produkcji, jako jedną z dźwigni przemysłu krajowego i ogólnego dobrobytu. Otworzenie zaś rzeczonych targów dla produkcji zagranicznych byłoby właśnie temu zadaniu przeciwném. Nieustające usiłowania Prus i Niemiec, zagarnięcia tych targów są najwyraźniejszym tego dowodem. Imperyum jest zresztą w tém szczególném położeniu, iż bez względu na wysokość swój taryfy nie potrzebuje się bynajmniej obawiać, iżby jego zboże i inne materiały surowe miały nie być kupowanemi przez zagranicę, która bez tego zboża i bez tych materiałów obejść się nie jest w możności; długiego zaś szeregu lat jeszcze na to potrzeba, ażeby miejscowy przemysł rozwinął się do tego stopnia, iżby dlań miejscowe targi okazały się być zaszczuplemi. Wobec czego ciągły rozwój ekonomiczny i wzrost ogólnego dobrobytu byłyby właśnie niewątpliwemi, gdyby zbliżanie się do systematu wolności handlowej było stanowczo zaniechaném. A nawet, gdy przemysł krajowy rozwinię do tego kresu, że już wszystkie potrzeby mieszkańców zaspakajać potrafi, jeszcze i wtedy mógłby on nie troszczyć się o pozyskanie dla swych produkcji miejsc zbytu na Zachodzie, mając przed sobą cały Wschód, któremu najskuteczniej nieś może cywilizacją, właśnie za pomocą stosunków handlowych.

Systemat protekcyjny będzie więc dla Imperyum na bardzo długo oczywiście koniecznością i dlatego w materiałach przygotowawczych

do nowej ustawy o podatku od cukru spodziewaliśmy się wyczytać wnioski o podwyższenie cła, podwyższeniu akcyzy odpowiednie i o przywrócenie różnicy między drogą lądową i morską. Cła bowiem wszędzie i zawsze są w ścisłym związku z podatkowością; dotychczasowe rubel 1 kop. 50 od puda, jak to wyżej wykazano rachunkiem, zaledwie nazwać się mogą protekcyjnymi; z chwilą zaś podwyższenia akcyzy o 200%, a przynajmniej o 100%, *przeistoczą się one w cła czysto fiskalne*. Co znaczy, iż względem przemysłu cukrowniczego, Imperyum wejdzie (być może bezwiednie) na drogę wolności handlowej. Krok bardzo ważny, jak nas uczy historia podatkowości krajów Zachodu; a jednak w odczytanych przez nas materyałach i źródłach nie dostrzeżliśmy ani żadnych wniosków, ani żadnych w tej materyi objaśnień.

## XV.

Ze wszystkich przeto trudności, stających w poprzek na drodze dalszego rozwoju cukrownictwa w Królestwie, a potęgujących się co lat kilka, najdonioślejszemi są: podatkowość w swój zasadzie wadliwa i systemat cłowy w swych celach chwiejny.

Tym wszystkim trudnościom stawiając czoło, znalazła wprawdzie ta gałąź przemysłu przypadkową pomoc w upadku waluty rossyjskiej; pomoc bez zaprzeczenia rzeczywistą i skuteczną, ale nie tej trwałości, iżby braną być mogła za podstawę do pozytywniejszych wniosków na przyszłość. Jak to bowiem już nadmieniono, rubel kredytowy może wrócić do kursu, po jakim był przyjmowany w Europie pod koniec roku 1863, a tém samym obalić wszelkie rachuby, jakieby fabrykacya cukru czynić chciała na podstawie dzisiejszych ceduł giełdowych. A w tej pomocy, wynikającej z upadku waluty rossyjskiej, już mieszcza się zarazem i ufatwienie zapewnione fabrykom przez skarż w rodzaju francuzkiego *drawbaku* i rozkaz pobierania cła w złocie, a nawet korzyść z wyjątkowego zapotrzebowania tutejszego cukru przez zagranicę, wywołanego anormalnym nieurodzajem buraków na Zachodzie. Jakoż przepis o zwrocie podatku od cukru wywożonego zagranicę, wydany jeszcze w r. 1872, acz w zasadzie roztropny i pożyteczny, pozostawał przecież martwą literą, aż do początku zawikłań wschodnich, które obniżyły kurs rubla kredytowego i fabryki znalazły się w możności zeń korzystać dopiero wobec *agio* 65 do 75% na kurancie pruskim <sup>1)</sup>. Pobieranie znowu cła w złocie równa się jego podwyższeniu, dopóki rubel kredytowy nie wróci do swój wartości. Wykazaliśmy zresztą rachunkiem, że nawet podrożenie cukru we Francyi, owym nieurodzajem buraków spowodowane, nie byłoby dozwoliło fabrykom Królestwa przedawać swe cukry zagranicę, gdyby jednocześnie nie był przyszedł upadek waluty rossyjskiej.

<sup>1)</sup> Zwrot podatku od cukru wywożonego zagranicę, zapewnionym został poraz pierwszy postanowieniem komitetu ministrów z d. 5 marca 1872 r. (*Dokład. str. 59; Obzor. str. 148 i 150*).

Nie zaprzeczając bynajmniej doniosłości téj pomocy, musiał przecież przemysł cukrowniczy szukać w samym sobie środków, mogących go zastąpić przed niebezpieczeństwem, jakie mu groziło ze wszystkich stron razem i rzeczywiście rozwinął we wszystkich kierunkach działalność, przynosząc świadectwo rozumu i energii.

Jakoż w celu zapewnienia sobie buraków, zawierających największy, o ile można, procent słodczy, fabryki same dostarczają bezpłatnie plantatorom nasienie buraczane, sprowadzane z zagranicy, zobowiązując ich, iżby nie używali innego <sup>1)</sup>. W celu zaś postawienia plantatorów w możności dopełniania odpowiedniej uprawy buraków, fabryki czynią im zaliczenia dwojakiego rodzaju: jedne bez hypotecznego zabezpieczenia po 20 rubli na każdą morgę, wydawaną w połowie na wiosnę a w połowie na jesień; drugie za zabezpieczeniem hypotecznym, czynione w sumach znacznych (po kilka, kilkanaście, a nawet po 30,000 rubli), wypożyczanych na procent w stosunku 6% rocznie, zwracanych w ciągu lat kilku, przez odpowiednie co rok potrącania z ceny za dostawione buraki. Właściciele ziemscy w tych okolicach, w których istnieją cukrownie, mają przeto kredyt łatwy i tani i korzystają w szerokim zakresie z tego położenia wyjątkowo dogodnego <sup>2)</sup>.

Fabryki pomyślały jednocześnie o udogodnieniu odstawy buraków. Niezależnie przeto od pobudowania dróg żelaznych lub bitych, łączących fabrykę z najbliższą stacją drogi Warszawsko-Wiedeńskiej lub Bydgoskiej, pourządzały zarazem komunikacje drogami bitymi między różnemi miejscowościami i fabryką lub jéj składami buraków, istniejącymi w znacznych od niéj odległościach. Słowem, acz we własnym, dobrze zrozumianym interesie, fabryki cukru zapewniły rolnictwu krajowemu bezporównania większe ułatwienia i dogodności, niż każda inna gałąź przemysłu, która od niego kupuje materiały surowe, lub która jest z nié w stosunku.

W obec znowu podrożenia buraków o 100% w stosunku do cen płaconych przed r. 1850 i konkurencyi fabryk ukraińskich i podolskich, płaćcych tyle za berkowiec 480 funtowy, ile fabryki Królestwa płaćą za korzec 300 funtowy, nie mogły one swego istnienia zabezpieczyć inaczej, jak przez podniesienie procentu wydajności cukru. Pilnie

<sup>1)</sup> Koszt zakupu tego nasienia, ponoszony przez fabrykę, wynosi przeszło 5,000 rubli rocznie; drukowane sprawozdania towarzystw akcyjnych są tego dowodem; por. np.: *Sprawozdanie Warszawskiego towarz. fabr. cukru za rok 1877/8*, str. 7, wykazujące, iż w tymże roku fabryki: Walentyńów i Tomczyu wydały na ten cel 5,044 rubli 65 kop., Ostrowy zaś 6,966 rubli 95 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> kopiejek.

<sup>2)</sup> Zaliczenia hypoteczne na uprawę buraków wynosiły z d. 31 lipca 1878 r. w Warsz. towarzyst. fabryk cukru rnb. 262,076 kop. 54 <sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w fabryce Józefów rub. 117,684 kop. 79; w fabryce Dobrzelia rub. 54,673 kop. 24 (porów. *Bilanse tychże Towarzystw*, zamieszczone w drukowanych *Sprawozdaniach za rok 1877/8*). W ciągu r. 1878/9 sumy tych zaliczeń znacznie wzrosły w tych fabrykach.

badając techniczną stronę fabrykacji we Francyi, w Belgii i w Niemczech, korzystały one z każdego wynalazku, podnoszącego tę wydajność i niezwłocznie zaprowadzały u siebie nowe urządzenia fabryczne, nie szcędząc na to kosztów. I rzeczywiście, zamiast 5 lub 6 funtów (jak przed r. 1850), otrzymują one 9 funtów cukru z centnara buraków <sup>1)</sup>; gdy tymczasem fabryki Cesarstwa pozostały przy wydajności normalnej, zaliczanej do akcyzy; co poświadcza urzędowe źródło <sup>2)</sup> i co zresztą wykazują drukowane ich sprawozdania. Bez tej powiększonej wydajności nie mogłaby już istnieć żadna fabryka cukru w Królestwie.

Większa wydajność nie byłaby sama jedna równoważyła podrożeń buraków i jednoczesnego obniżania się cen cukru; fabryki przeto zwróciły swe usiłowania ku oszczędnościom na innych kosztach produkcji. Droższą pracę ludzką zastąpiły maszynami, ilekroć i gdzie było to możliwem. Wobec rosnących cen drzewa, zwróciły się do węgla kamiennego, a następnie do miatu węglowego i w tym celu powiększyły liczbę kotłów, zaprowadziły ruszty i inne odpowiednie urządzenia ognisk i rur w taki sposób, iżby przy używaniu najtańszego z materiałów opałowych, otrzymywać zeń największą siłę ognia i najwięcej pary, tę zaś ostatnią zużytkowywać kilkakrotnie tak długo, dopóki się da. Na tej jednej kategorii opału otrzymano już bardzo znaczne oszczędności wydatku <sup>3)</sup>. Z uwagi, że każda najmniejsza oszczędność na produkcji z centnara buraków, chociażby wyrażająca się w setnych ułomka kopiejki, pomnożona przez liczbę centnarów przerabianych w każdej kampanii, tworzy poważną rubrykę, fabryki studyują troskli-

<sup>1)</sup> Wedle ksiąg fabryki Hermanów, wydajność cukru z centnara buraków w latach od 1838/9 do włącznie r. 1867/8 wyniosła przecięciowo po 6 $\frac{1}{4}$  funt. Wydajność ta wzrastała następnie jak następuje: w r. 1868/9 8,84 funt.; w r. 1869/70 8,65 funt.; w r. 1870/1 8,80 funt.; w r. 1871/2 9,34 funt.; w r. 1872/3 8,91 funt.; w r. 1873/4 9,03 funt.; w r. 1874/5 9,59 funt. Można więc za podstawę rachunku przyjąć 9 funt., czyli 9%. Wedle znowu ksiąg fabryki Krasiniec (w gub. Płockiej), taż wydajność wynosiła: w r. 1868/9 8,<sup>11</sup> funt.; w r. 1869/70 7,<sup>65</sup> funt.; w r. 1870/1 8,<sup>29</sup> funt.; w r. 1871/2 7,<sup>90</sup> funt.; w r. 1872/3 7,<sup>70</sup> funt.; w r. 1873/4 8,<sup>23</sup> funt.; w r. 1874/5 9,<sup>22</sup> funt.; w r. 1875/6 9,<sup>10</sup> funt.

<sup>2)</sup> *Kratkij' oczerk...* str. 227 „tolko na zawodach Carstwa Polsk, w wychodach sachara (w widzio peska ili rafinada) okazywałos poczti postojannoje prewyszenije (za weśma nemnogimi iskluczonijami), czto, kak i bolszyje wychody utfelia, ukazywajet na bolije tszczatelnuju ich rabotu.”

<sup>3)</sup> W fabryce Ostrowy opał kosztował w r. 1875/6 rub. 113,566 kop. 88; w r. 1877/8 rub. 80,102 kop. 55. Jeszcze znacznieszą oszczędność wykazują drukowane sprawozdania fabryk: Walentynów i Tomczyn, które wydatkowały na opał: w r. 1873/4 rub. 125,589 kop. 14; w r. 1874/5 rub. 95,719 kop. 58 $\frac{1}{2}$ ; w r. 1875/6 rub. 82,401 kop. 85 $\frac{1}{2}$ ; w r. 1876/7 rub. 76,089 kop. 84; w r. 1877/8 rub. 59,357 kop. 32, czyli o połowę mniej niż przed 5 latami.



wie każdą pozycję kosztów fabrykacyi i czynią wszelkie możliwe usiłowania, by każdą z nich obsłużyć mogły taniej.

Wszystkie w powyższych celach czynione wydatki, acz bardzo znaczne, były zawsze wydatkami produkcyjnymi, skoro wpływały na doskonalenie fabrykacyi i warunkowały postęp przemysłu cukrowniczego. Znaczne przecież kapitały wydatkowały także fabryki na maszyny i urządzenia nie polepszające fabrykacyi, lecz tylko ją przyspieszające, śpieszniejsza bowiem fabrykacya była koniecznością wobec dotychczasowego systematu podatkowego i często podwyższanych norm akcyzy dziennego przerobu; te zaś wydatki, jak wykazano w ciągu tego studyum, były dla ogólnej ekonomii kraju widocznie bezowocnymi.

Fabryki poświęciły znaczne kapitały nawet w ostatniem trzechleciu na cele wyżej wymienione <sup>1)</sup>. Ileżto milionów wydały wszystkie

<sup>1)</sup> Fabryka Hermanów wydatkowała w ciągu lat 10 (1865/6—1874/5) na wydoskonalenie swęj fabrykacyi rub. 176,886. Fabryka Józefów wydatkowała na też cele: w r. 1874/5 rub. 47,741 kop. 89; w r. 1875/6 rubli 33,436 kop. 68; w r. 1876/7 rub. 36,376 kop. 60; w r. 1877/8 rub. 7,703 kop. 15, czyli razem w ciągu 4-oh lat rub. 125,258 kop. 32; niezależnie od wydatków na odnowienie zużywających się przyrządów, czyli tak zwane rekonstrukcyje, wynoszących w ciągu tychże 4-oh lat rub. 15,942.

Fabryka Dobrzelin powiększona i przerobiona w r. 1873 kosztem przeszło 200,000 rub. wydatkowała na nowe urządzenia w r. 1874/5 rub. 12,402 kop. 11; w r. 1875/6 rub. 4,164 kop. 69; w r. 1876/7 rub. 4,465 kop. 1; w r. 1877/8 rub. 16,645 kop. 74 i wyznaczono na tenże cel na r. 1878/9 rub. 30,000, razem rub. 67,677 kop. 35.

Fabryka Ostrowy wydatkowała na nowe urządzenia w r. 1875/6 rubli 41,139 kop. 6; w r. 1876/7 rub. 11,102 kop. 98<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w r. 1877/8 rubli 14,437 kop. 26<sup>1</sup>/<sub>2</sub> i wyznaczono na tenże cel na rok 1878/9 rub. 30,000, razem rubli 96,679 kop. 31.

Fabryki Walentynów i Tomozyn wydatkowały na tenże cel w r. 1872/3 rub. 36,000 kop. 78; w r. 1873/4 rub. 50,496 kop. 34<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w r. 1874/5 rub. 4,406 kop. 22<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w r. 1875/6 rub. 22,602 kop. 39; w r. 1876/7 rubli 13,480 kop. 47; w r. 1877/8 rub. 27,594 i <sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop. i wyznaczono na rok 1878/9 rub. 30,000; razem w ciągu lat 7-ju rub. 184,580 kop. 21<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; niezależnie od wydatków rekonstrukcyjnych rub. 22,607 kop. 24<sup>1</sup>/<sub>2</sub>.

W drukowanych sprawozdaniach, z których powyższe cyfry są wypisane, niéma rozróżnienia wydatków nieprodukcyjnych na samo przyspieszanie fabrykacyi, od wydatków na jęj udoskonalenie; rozróżnienie to byłoby niewątpliwie pouczającym w kwestyi oddziaływania systematu podatkowego na przemysł cukrowniczy.

Objasnić jeszcze należy, że wszystkie wymienione wyżej fabryki, pod względem urządzenia i zaopatrzenia we wszystkie przyrządy fabryczne są niewątpliwie pierwszorzędnymi w kraju. Mogłyby przeto iść bez nowych nakładów, gdyby nie potrzeba zaprowadzania nowych ulepszeń i wynalazków, a w części nie konieczność takich przyrządów i maszyn, które pozwalają na przyspieszanie fabrykacyi.

razem na doskonalenie fabrykacji przez cały czas istnienia w Królestwie téj gałęzi przemysłu.

Ta przecież praca, połączona z tyłu nakładami, nie pozostała bezowocną, skoro jednocześnie z powiększeniem wydajności cukru, kosztą jego fabrykacji znacznemu uległy pomniejszeniu <sup>1)</sup>. W tym zaś podwójnym rezultacie szukać należy odpowiedzi na pytanie, jakim sposobem przemysł cukrowniczy w Królestwie zdołał dotychczas uniknąć upadku wobec tyłu trudności, jakie zewsząd gromadziły się na jego drodze.

Era wynalazków nie jest jeszcze zamkniętą; fabryki więc nie przestaną bezwątpienia i w przyszłości łożyć kosztą celem zapewnienia sobie dalszego postępu technicznego. Stać bowiem w miejscu, gdy fabrykacja doskonali się gdzieindziej, gdy albo dochodzi do większej wydajności cukru, albo mniejsze ponosi kosztą przerobu buraków, znacząłoby (jak zresztą w każdym przemyśle), cofać się wstecz i zbliżać do upadku. Nieustanne przecież zmiany norm podatkowych, pociągają fabryki do wyrzucania przyrządów i maszyn acz nie pozostawiających nic do życzenia i funkcjonujących dobrze i do zastępowania ich innymi. Te zmiany są zazwyczaj bardzo kosztownymi, skoro maszyny i przyrządy wychodzące z użycia, przedawać wypada po cenach starego żelazta i miedzi. Takież bezpośredni skutek norm podatkowych, mających od września 1880 roku zastąpić normy dotychczasowe, będzie wkrótce dla każdego widocznym, przed tym bowiem terminem fabryki prasowe przeistoczą się niewątpliwie na dyfuzyjne.

Nowsze fabryki cukru w Królestwie urządzone były wedle systemu dyfuzyjnego, przedstawiającego pewne ułatwienia w samej fabrykacji. Nie przeistaczano przecież fabryk prasowych, będących jeszcze w stanie zupełnie dobrym; praktyka bowiem przynosiła przekonanie, iż one nie ponoszą bynajmniej ani większych kosztów fabrykacji, ani nie otrzymują mniejszej wydajności cukru, ani wreszcie pod względem wysokości corocznych czystych zysków, nie stoją niżej od fabryk dyfuzyjnych. W celu zaś przeistoczenia swego systemu prasowego na dyfuzyjny, każda fabryka byłaby w konieczności ponieść jednorazowy wydatek mniej więcej 60,000 rs.; wydatek, wobec dotychczasowych rezultatów fabrykacji na prasach, widocznie tylko *pour l'a-*

<sup>1)</sup> Kosztą fabrykacji cukru, odniesiono do stu funtowego centara buraków, w fabrykach Walentynów i Tomozyn (wprawdzie łącznie z kosztami przerafinowania tegoż cukru) wynosiły: w r. 1873/4 po rubli 1 kop. 20; w r. 1874/5 po rubli 1 kop. 15<sup>1/2</sup>; w r. 1875/6 po 96,<sup>07</sup> kop.; w r. 1876/7 po 97,<sup>35</sup> kop. w r. 1877/8 po 90,<sup>46</sup> kop.

Takież kosztą w fabryce Ostrowy wynosiły w r. 1875/6, po 97,<sup>70</sup> kop.; w r. 1876/7 po 91,<sup>5</sup> kop.; w r. 1877/8 po 89,<sup>10</sup> kop. W fabryce zaś Dobrzelin: w r. 1873/4 po rub. 1 kop. 15,<sup>14</sup>; w r. 1874/5 po rub. 1 kop. 10,<sup>72</sup>; w r. 1875/6 po kop. 99,<sup>00</sup>; w r. 1876/7 po kop. 92,<sup>40</sup>; w r. 1877/8 po kop. 91,<sup>61</sup>.

*mour de l'art* i bez żadnego pożytku. Wobec wysokości przyszłych norm do obliczenia dziennego przerobu na prasach, każda z pierwszorzędnych nawet fabryk prasowych musiałaby wyrabiać cukier z widoczną swą stratą; każda z nich przeto będzie w konieczności przeistoczyć się w dyfuzyjną przed rozpoczęciem kampanii 1880/1 roku i poświęcić w tym celu znaczny kapitał <sup>1)</sup>.

## XVI.

Nadejdzie przecież chwila, w której wszelkie dalsze usiłowania fabryk, wykazane w rozdziale poprzedzającym, do ostatecznego dojdą kresu. Chociażby w skutek przyszłych wynalazków i dalszego rozwoju mechaniki dawała się wydobywać z buraka i ta część cukru, jaka dotychczas pozostaje w wytlókach; i ta przecież część nieskończoną nie jest, lecz jak każda materya ma właściwą dla siebie granicę, która udaremni wszelkie dalsze usiłowania. Dowodzić zaś nie ma potrzeby, iż dalszemu zmniejszaniu kosztów fabrykacyi cukru położy kiedyś kres sama natura rzeczy.

Nie da się dziś ani przewidzieć do jakiego stopnia owe usiłowania fabryk będą jeszcze możliwemi i skutecznemi, ani bliżej oznaczyć kiedy właśnie nadejdzie ów moment, w którym cukrownictwo zaprzestanie oczekiwać dalszego powiększania wydajności cukru, lub dalszego zmniejszania kosztów fabrykacyi; ani wreszcie ocenić, jak będą się stawiać te oba czynniki produkcji w każdym ze stadyów, przez które przechodzić mu przyjdzie, zanim do rzeczzonego dojdzie kresu. Każdy przeto statysta ma obowiązek brać w rachunek dzisiejszą wydajność cukru i dzisiejsze koszta jego fabrykacyi, czyli za punkt wyjścia przyj-

<sup>1)</sup> Stosunek podwyższenia podatku dla każdej fabryki, któraby nie zmieniła liczby i wielkości dotychczasowych pras, podatku, jaki musiałaby płacić w skutku nowych norm, zatwierdzonych na dwa okresy: 1880/83 i 1883/6, objaśnia tablica następująca:

wymienienie fabryki	liczba pras użytych obec- nie do fabr.	w kampan. 1878/9		wedle nowych norm			
		przyjman. do rachunku akc. i z przer. na dobę berk.	płaciła więc akcyzy za ka- żdą dobę fa- brykacyi po rubli	poczytywać się bę- dzie, iż przerobiła w ciągu. każd. dob. berk.		musiałaby więc pła- cić akcyzy za każdą dobę fabryk., rubli	
				w okr. 1880/3	w okr. 1883/6	w okr. 1880/3	w okr. 1883/6
Ostrowy . . .	8	544	326 k. 40	1305, <sup>0</sup>	1568, <sup>64</sup>	757 k. 25	909 k. 81
Walentynów.	2	210	126 —	613, <sup>48</sup>	736, <sup>40</sup>	355 „ 82	427 „ 11
Tomczyn. . .	2	210	126 —	404, <sup>02</sup>	484, <sup>04</sup>	234 „ 33	281 „ 29
Dobrzelin. . .	3	315	189 —	919, <sup>5</sup>	1104, <sup>0</sup>	533 „ 73	640 „ 67

mować dane istniejące, wiadome. Na ich zaś podstawie czynione obliczenia prowadzą do wniosku, iż wobec norm na dwa trzechletnie okresy (1880/3 i 1883/6) bardzo znacznie podwyższonych, fabryki gospodarczo-rolnicze i mniejsze, a zwłaszcza nie mające środków do przestoczenia się na fabryki dyfuzyjne, zaczęły upadać z początkiem kampanii 1880/1 r.; cały zaś przemysł cukrowniczy zginie z chwilą, w której cło od cukru zagranicznego przestanie być skutecznie protekcyjnym.

Stoi więc ta gałąź przemysłu wobec dwu alternatyw: jednej, już dziś niewątpliwiej, a której ostatecznym wyrazem będzie zmniejszenie liczby fabryk cukru w Królestwie; drugiej, jeszcze niepewnej, ale obecnie powstrzymanej samym jedynie kursem rubla, grożącej zupełnym upadkiem wszystkich fabryk, w razie gdyby statysci, ulegając urokowi teorii wolnego handlu, odstąpić mieli od systematu protekcyjnego. Obiedwie oddziaływać będą ujemnie na ekonomią Królestwa i dobrobyt jego mieszkańców; w szczególności zaś staną się szkodliwymi dla rolnictwa krajowego.

Jakoż koniecznym warunkiem ogólnego dobrobytu w dzisiejszych zwłaszcza społeczeństwach jest zachowanie różnorodności kierunków działalności ekonomicznej, czyli istnienia każdej z główniejszych gałęzi przemysłu, której sprzyja klimat i natura gleby, a której nie są przeciwnymi charakter, usposobienie lub nawyknięcia mieszkańców kraju. Każdy zresztą pojmując, do jak smutnego stanu musiałby dojść naród nawet rolniczy, gdyby poprzestając na samej uprawie ziemi i hodowli zwierząt, wyrzekł się wszelkiej produkcji fabrycznej i pozostawił odłogiem dziedzinę przemysłową, tak troskliwie obsługiwaną gdzieindziej. Nie potrafiłby on wtedy ani podnieść, ani zachować nawet swęj kultury rolniczej; musiałby pozostać za innymi nawet pod względem cywilizacyi i cofać się wstecz wtedy, gdy inne społeczeństwa idą wytrwale naprzód.

Cukrownictwo należy właśnie do rzędu tych gałęzi przemysłu, które stają się wszędzie dźwignią ogólnej kultury krajowej, dodatni bowiem wpływ przemysłu na ogólny dobrobyt potęguje się, ilekroć przedmiotem tegoż przemysłu jest właśnie przerób krajowych płodów rolniczych. Tę właściwość cukrownictwa uwydatnia urzędowe źródło, przyznając fabrykom cukru znaczenie kolonizatorów, roznoszących w Rosyji światło pod względem technicznym i handlowym <sup>1)</sup>. Wobec zaś rezultatów z ubiegłych lat czterdziestu i nabytego doświadczenia, dodatni wpływ tej gałęzi przemysłu na rolnictwo nie może już nawet być podawany w wątpliwość, skoro uprawa buraków nie tylko nie zmniejszyła nigdzie produkcji zboża, ale właśnie dopomogła do jej wzrostu <sup>2)</sup>. Wszędzie bowiem przynosi skuteczną pomoc i staje się rzeczywistym ułatwieniem dla kultury rolniczej.

<sup>1)</sup> *Razsadnikow miestnaho komerczeskaho i techniczeskaho obrazowanija. Trudy...* str. 3.

<sup>2)</sup> „Nous pouvons affirmer d'une manière générale et absolue,” pisze

Chcąc to pojąć i ocenić, należy mieć na pamięci warunki wzrastania i rozwoju roślin, wykryte i dokładnie zbadane przez chemików. Uczą oni mianowicie, że rośliny tak samo jak twory organiczne od chwili rzucenia ziarna w ziemię, przechodzą wszystkie stopnie swego rozwoju, za pomocą właściwego pożywienia, tak samo dla nich koniecznego, jak karm dla ptastwa lub zwierząt; że tém pożywieniem dla roślin są materye powstające z nieustannego łączenia się pomiędzy sobą różnych pierwiastków, istniejących w częściach składowych i atmosfery i roli, czyli z tak zwanych *związków* między rzeczonymi pierwiastkami; że rośliny pochłaniając wytwory powstające z tych związków, ogołacają rolę z części rzeczonych pierwiastków, czyniąc ją przez to mniej urodzajną; gdy zaś nie wszystkie pierwiastki odnawiają się wskutek działalności samej przyrody, lub jęj działalność nie odnawia ich w stosunku potrzebnym do należytego wyżywienia roślin na roli w ten sposób zubożonej następnie sianych, wynika więc ztąd konieczność z bogacenia téjże roli za pomocą nawozów, których działalność polega właśnie na tém, iż wytwarzają inne związki między wzmiankowanemi pierwiastkami, a więc i nowe materye na pożywienie roślin i tym sposobem zastępują tę część siły rodzajnej gruntu, jaką rośliny poprzednio na nim rosnące już mu były zabrały.

To wzbogacanie roli nawozami, połączone ze staranną i umiejętną jęj uprawą, jest wszędzie wyrazem i treścią kultury rolniczej, bez której ziemia ubożona i pozbawiana corocznie części rzeczonych pierwiastków, musiałaby dziczoć i prędzej lub później zamienić się w jałową.

Wytwarzanie nawozów jest przeto jedném z główniejszych, a nawet najgłówniejszém z zadań każdego rolnika. W dzisiejszych warunkach produkcji rolniczej w Królestwie Polskiem, a témbardziej w Cesarstwie, wzbogacanie ziemi nawozami sztucznemi, chemicznemi, a bardzo drogiemi, niemogłoby jeszcze wytrzymać rachunku i jako opłacające się w rzadkich, a bardzo wyjątkowych warunkach, jest jeszcze niedostępném dla ogółu rolnictwa krajowego <sup>1)</sup>. Stoi więc ono na nawozach bydlęcych, które chociaż wytwarzane własnymi siłami w każdym

Delamarre w dziele *La vie à bon marché* „qu'en supposant le quart d'un grand domaine cultivé en betteraves, tout le sucre retiré est profit, et les trois autres quarts de la terre produisent autant de bénéfice net, qu'en aurait donné l'ensemble, s'il n'y avait point eu de culture de betteraves. Il est acquis d'un autre côté, que la culture de la betterave a beaucoup contribué aux progrès remarquables de l'agriculture dans les départemens du Nord.” (Porównaj Amé, *loco citato*, przypisek na str. 114, tom II).

<sup>1)</sup> *Głos profesora Jakóba Natansona na konferencji rolniczej o nawozach sztucznych, odbytej w dniu 25 września 1874 r.* (Warszawa, druk Sikorskiego) str. 10 i 15.

majątku ziemskim, są zawsze jednym z kosztowniejszych czynników produkcji rolniczej <sup>1)</sup>.

Sama *ilość* nawozów, czyli stosunek między liczbą morgów umierzwionych corocznie w każdym warsztacie rolniczym do ogólnej jego przestrzeni, nie jest jeszcze wyłączną miarą jego kultury; bogactwo bowiem roli zależnym jest jednocześnie i od *jakości* kładzonego nawozu. Rolnik przeto zadaniu swemu czyni wtedy zadosyć, gdy jest w możności żywić swe inwentarze pokarmami skoncentrowanemi (otrębami, makuchami i t. p.), czyli inaczej, gdy części składowe roślin, a zwłaszcza mineralne, w tych pokarmach pozostające, przejdą w nawóz i wraz z nim będą zwracane roli w zamian za owe materje pochłonięte przez też rośliny w ciągu poprzedniego ich rozwoju i wzrostu <sup>2)</sup>. Ze względu na *jakość* nawozów bydłowych, gospodarstwo rolne, któreby mogło przerabiać u siebie wszystkie swe plony i spieniężać je w postaci już przerobionej, zachowując na karm dla inwentarzy otręby, makuchy, wywar i wszystkie pozostałości, przedstawiałoby ideał warunków dla racjonalnej i doskonałej kultury rolniczej. Istnienie każdej gałęzi przemysłu, która dozwala rolnikowi zbliżyć się, a chociażby iść w kierunku tego ideału, jest więc pożytecznym dla rolnictwa krajowego i wpływa dodatnio na jego rozwój.

Jedną z takich gałęzi przemysłu jest właśnie cukrownictwo. Majątkom plantującym buraki, ułatwiają fabryki kulturę rolniczą przez zwracanie wytlóków, będących pożywnym pokarmem dla zwierząt, przez oddawanie odchodów defekacyjnych wraz z innymi pozostałościami fabrycznemi, będących bogatym nawozem, a nawet przez samo wprowadzenie uprawy tej rośliny do systemu rotacyjnego. Przy pomocy wytlóków rolnik jest w możności trzymać większą liczbę inwentarza <sup>3)</sup>, a więc wytwarzać większą ilość nawozu, który zawierając części składowe buraka w wytlókach pozostające, wzbogaca rolę. Wzbogacają ją także odchody wapienne i inne pozostałości fabryczne; samo zaś wprowadzenie buraków do rotacji zasiewów zmusza rolnika do używania lepszych narzędzi, do staranniejszego spulchniania roli i do takiej uprawy gruntu, która idzie na pożytek innych roślin, na tymże gruncie później sianych.

W porównaniu z rolnikami na Podolu i Ukrainie, rolnicy w Królestwie Polskiem są pod względem plantacji buraków w warunkach widocznie przyjaźniejszych, skoro otrzymują wyższe za swój produkt ceny,

<sup>1)</sup> Profesor Jakób Natanson w powyższej publikacji (str. 12) oblicza na 10 kop., koszt wytworzenia centnara nawozu bydłowego.

<sup>2)</sup> Tamże str. 10. *Części składowe* roślin dzieli profesor Natanson na *organiczne i mineralne*: do pierwszych zalicza głównie węgiel, wodor, tlen i azot; do drugich zaś kwas fosforny, potaż, wapno i magnezyą (str. 2 i 5).

<sup>3)</sup> „Dans la culture de la betterave rien n'était perdu, car la pulpe qu'on retirait des presses constituait une excellente nourriture pour les bestiaux” (Amé, *loc. cit.*, str. 113, t. II).

ponoszą zaś mniejsze koszta uprawy <sup>1)</sup>. Ceny płacone za buraki przez tutejsze fabryki są też wyższymi od cen płaconych w Niemczech <sup>2)</sup>.

Tak się stawia porównanie korzyści *pośrednich*, otrzymywanych przez plantatorów w Królestwie i w krajach sąsiednich. Stosunek przeciętnej korzyści *bezpośrednich*, a mianowicie czystego zysku rolników z każdego plantowanego morga wypada zupełnie inaczej. Przecięciowy bowiem plon buraków z 300-prętowego morga podaje urzędowe źródło na 65 berkowców przy urodzaju średnim, na 82½ przy urodzaju dobrym; na Ukrainie zaś na 75 berkowców przy urodzaju średnim, na 125, a nawet 150 berkowców przy urodzaju dobrym <sup>3)</sup>. Wiadomo zaś że w Niemczech morga magdeburka (180 prętów) daje po sto korcy buraków.

To porównanie, wykazujące niższą rodzajność naszej gleby w stosunku do gleby ukraińskiej, niższy zaś stan naszej kultury rolniczej w stosunku do gospodarstw niemieckich, stawia się w rzeczywistości jeszcze gorzej. Chociaż bowiem są u nas gospodarstwa produkujące po 100 do 150 korcy buraków z 300-prętowego morga, poczytywać je wszakże należy za wyjątki, skoro fabryki z całej liczby corocznie kontraktowanych morgów otrzymują nie po 65 berkowców, ale po 65—70 korcy i na tej ostatniej liczbie, jako rzeczywiście przeciętnej, opierają rachunek każdej rozpoczynanej kampanii. Ta zaś ostatnia cyfra jest właśnie dowodem, iż chociaż plon buraków wynosi po 100, a nawet po 150 korcy z morga w niektórych plantacjach, w innych wszakże czyni zaledwie po korcy 50 lub mniej.

<sup>1)</sup> Według urzędowych źródeł, koszt plantacji dziesięciny (blisko 2 morgów 300-prętowych) wynosić ma w Królestwie od 40—60 rs. (*Ekonomiczeskija słowija...* str. 145), w gub. kijowskiej od 70—80 rub., w podolskiej od 140—160 rub. (tamże str. 132 i nast.). Rzeczywiste koszta uprawy i sprzętu 1 morgi 300-pręt. folwarku buraków w Dobrzelinie wyniosły w r. 1875 po rub. 29 kop. 10, a mianowicie: orka pierwsza rub. 2, orka druga z pogłębieniem rub. 3, dwukrotne zabronowanie rub. 1 kop. 50, odwrócenie ziemi na wiosnę rub. 2, następne zabronowanie kop. 75, wyoranie redlin rub. 1, zasianie morgi kop. 30, pierwsze pielenie rub. 1 kop. 60, drugie pielenie i przecorywanie rub. 3, trzecie pielenie rub. 2 i poprawka ostateczna rub. 1 kop. 50; wykopanie rub. 6; przegony i końcowanie redlin kop. 45; odstawa buraków do fabryki rub. 4 (z materyałów J. Blocha).

<sup>2)</sup> Fabryki w Królestwie, jak wyżej objaśniono, płacą w przecięciu tyle za 300 funtów buraków, ile fabryki na Ukrainie i Podolu płacą za 480 funtów, przy dalszej i trudniejszej odstawie buraków do fabryki po 15—20 wiorst, drogami niezwirowanymi (*Ekonomiczeskija słowija...* str. 134). Fabryki w Niemczech płaciły w r. 1875 za sto funtów buraków wagi ołowój, jedną markę, czyli licząc *pari* po 30 kop., że zaś sto funtów w. o. = 122, <sup>13</sup> funtom rosyjskim, cena przeto za tutejszy centnar wynosiła 31 kop.

<sup>3)</sup> *Ekonomiczeskija słowija...* str. 126 i 144.

Każdy dostrzeże, że wobec obliczonych wyżej na rs. 30 kosztów uprawy, sprzętu i odstawy buraków z 300-prętowego morga, korzyść rolnika z produkcji 50 korcy lub mniejszej odpowiednią nie jest; w tym zaś niefortunnym dlań rezultacie tkwi przyczyna skarg i zarzutów, podnoszonych ze strony niektórych plantatorów przeciwko fabrykom, ilekroć one zamykają kampanią z wyraźniejszą swoją korzyścią. Nie użala się bowiem ten, któremu morga wydając od 100 do 150 korcy, zapewnia czystego dochodu od 60—110 rs., już po opłaceniu kosztów uprawy, sprzętu i odstawy i pokryciu odpowiedniej części podatków, ciężarów publicznych i kosztów ogólnych gospodarstwa, na też morgę z rozliczenia spadających.

Obniżenie ceny o kilka kopiejek na centnarze, które wobec pogorszonych warunków produkcji cukru przez nowe normy podatkowe przewidywać się daje, może wprowadzić zinniejszy ów czysty dochód, nie do tego przecież stopnia, iżby stawał się nieodpowiednim do pracy, kosztów i sprawiedliwych oczekiwań rolnika; kiedy przeciwnie nawet podwyższenie téjże ceny o kilka kopiejek na centnarze, wobec tego co wyżej powiedziano, już przewidywać się nie daje, jeszczeby nie zwiększyło do tego stopnia czystego dochodu plantatorów, sprzątających po 50 korcy buraków z morga, iżby ich oczekiwaniom stawało się zadosyć.

Pieniężne rezultaty uprawy buraków, tak samo jak każdej innej produkcji rolniczej, mogą być dostatecznie powiększonymi nieinaczej, jak przez powiększenie rodzajności roli, a więc przez jej wzbogacenie nawozami i doprowadzenie do możliwego stopnia kultury, a właśnie do tego celu fabryki cukru noszą rolnictwu pomoc pośrednią. Bezpośredniej bowiem musi ono szukać wyłącznie we własnej energii i we własnych zasobach i dla zwiększenia siły produkcyjnej warsztatu rolniczego pod względem liczby ziarn plonu czynić na mniejszą skalę to, co cukrownictwo czyniło dla zwiększenia siły produkcyjnej swych przyrządów fabrycznych, pod względem otrzymania większej liczby funtów cukru z centnara buraków.

Wzbogacenie ziemi jałowej, lub z owych pierwiastków wytwarzających dla roślin pożywienie znacznie zubożonej, będące dziś powszechnie uznawaną koniecznością, nie jest wprawdzie zadaniem łatwem. Większej i średniej własności utrudnia je mianowicie brak zasobów pieniężnych, ta bowiem własność jest, jak wiadomo, znacznymi obciążona długami <sup>1)</sup>. Wobec plonów małych, wysiewom nieodpowiednich, większa część rolników zaledwie jest w możności pokryć z dochodu roczne podatki i ciężary gruntowe, koszta prowadzenia gospodarstwa i procenta od długów dziś istniejących; w ogólnej przeto regule wzo-

<sup>1)</sup> Własność ziemską jest we wszystkich krajach obciążoną długami, ziemia bowiem jest codziennie przedmiotem sprzedaży, działów spadkowych i innego rodzaju umów, z których powstają zobowiązania pieniężne ze strony właścicieli majątków ziemskich.



gacanie roli za pomocą zaciągania nowych długów byłoby lekarstwem niebezpiecznym. Rozprzedać część obdłużonego majątku, spłacić długi otrzymanymi za nią pieniędzmi i jeszcze wytworzyć fundusz na kulturę warsztatu rolniczego, do szczuplejszych zredukowanego rozmiarów; byłby to środek niewątpliwie racjonalny i być może jedynie skuteczny, stoją mu przecież na przeszkodzie służebności włościańskie. Tylko gospodarstwa w bliskości fabryk położone mogą wzbogacać rolę, a więc zwiększać swą kulturę bez konieczności uciekania się do tak radykalnego i trudnego środka; dla każdego z nich więc upadek bliższej fabryki cukru będzie niewątpliwą klęską.

## XVII.

Na rok przed rozpoczęciem kampanii 1885/6 r., prawdopodobnie więc w końcu 1883, lub w początkach 1884 r., statysci przystąpią znowu do projektowania podatkowości na przyszłość <sup>1)</sup>. Zarówno w interesie przemysłu cukrowniczego jak i rolnictwa krajowego, zarówno ze względu na dobrobyt, jak i na ogólną ekonomię krajową, życzyć należy, iżby odstępując od metody dotychczasowej, a utrzymanej jeszcze na lat sześć, metody której wadliwość sami uznają, dali wówczas pierwszeństwo jednemu z systematów podatkowych, niepociągających upadku fabryk cukru, ale raczej sprzyjających dalszemu rozwojowi tej pożytecznej gałęzi przemysłu.

Ta zaś zmiana metody, nawet zamierzeniom fiskalnym wyszłaby na pożytek.

---

<sup>1)</sup> Nowy przepis o poborze akcyzy od cukru na przyszłość od r. 1886/7 zapowiada zdanie rady państwa pod dniem 15 maja 1879, zamienione w prawo (*Gazeta Polska* z sierpnia 1879, nr. 181 i numeru poprzedzające).

NASI POECI  
W LITERATURZE POWSZECHNEJ \*).

PRZEZ

*Feliksa Jeżerskiego.*

II.

Poprawka w obrazie autora rozprawy angielskiej: *O literaturze polskiej*.—Wspomnienie odwiedzin wejmarskich r. 1829 p. Kurtzmana.—Ludwik German, tłumacz *Maryi Stuart* Juliusza Słowackiego.—Słówek p. G. o naszej literaturze dramatycznej.—Saturday Review o Matejce i Siemiradzkim.

W poprzedniem sprawozdaniu podaliśmy czytelnikom głos krytyka angielskiego o naszych poetach; autor przytoczonego tam obrazu *Piśmiennictwa polskiego* postanowił sprostować błędny sąd ziomeków swoich o literaturze naszej, albo raczej odnowić w ich pamięci żywe niegdyś, ale od pewnego czasu zacierające się wrażenia. Odpowiedniem do tego celu zdawało mu się skreślić dzieje *poezyi* polskiej, stanowiącej podług niego, prawą stronę naszego ruchu literackiego. Obojętniejsze nieco obejście się autora z naszą prozą, zapewne pochodziło z tej ogólnej przyczyny, że utwory natchnienia prędsze i szersze dają odgłosy wśród piśmienniczej wszechspołeczności—*sermo pedestre*... Szczególnem zrządzeniem losu, energiczne sprostowanie nastąpiło na drugiej półkuli świata angielskiego.

Oto w pięknym artykule swoim p. Sygurd Wisniowski (*Bluszcz*, nr. 44 i 45) opowiada nam, że podczas odwiedzin swoich, złożonych Longfellow'owi, sędziwemu śpiewakowi *Elsyi*, a jeszcze bardziej (tego jesteśmy pewni) jako śpiewakowi *Puławskiego*, podał pomienioną wyżej rozprawę z rozległym od siebie komentarzem o prozie polskiej. Serdecznie dziękujemy p. Sygurdowi Wiśniowskiemu za to, że *spełnił obowiązek*. A nie niema świętszego nad spełnienie świętego obowiązku, dobrze jest opinią o swoich przytrzymać w locie, nim się rozchodzieć pocznie, dobrze jest ostrzedz obcych, że ona wprawdzie nie była fałszywą, ale w każdym razie jest tylko *pół-opinią*.

Podając zdanie prasy angielskiej o naszych znakomitościach, nie możemy pominąć wielce pochlebnego jej głosu o wielkim poecie pędzla. Z powodu wystawy monachijskiej, czytamy w *Saturday Review*: „Panu-

\*) Patrz zeszyt listopadowy Bibl. Warsz.

jąca opinia o przeżyciu się sztuki w Austrii, znalazła potwierdzenie na wystawie monachijskiej, gdy z drugiej strony widocznem jest, że wcielone królestwa, uposażone młodzieńczą siłą żywotną (Węgry, Czechy, Tyrol, Kraj Polski), zdolne są począć nową i rodzącą się sztukę. Uderzającym przykładem takiego świeżego i żywotnego rozwoju jest: Jan Matejko." Również donośnie odzywa się to pismo o Siemiradzkim.

Wracamy do poetów pióra.

Z powodu półwiekowej rocznicy „odwiedzin wejmarskich” (d. 28 sierpnia), J. Kurtzmann poświęca sympatyczny obrazek literacki Mickiewiczowi (*Magaz. Liter. d. Auslandes* nr. 35) i Getemu, p. t.: *Stosunki Getego do poetów polskich*, przyczynek do literatury Getowskiej. „Poczet pielgrzymów, udających się niegdyś do Wejmaru dla odwiedzenia Getego, polacy powiększyli kontyngensem wprawdzie nie licznym, ale wielkiego imienia. Był tam Mickiewicz i Odyniec, hr. Fredro, Andrzej i Edward Koźmianowie i Wincenty Pol.” P. Kurtzmann skłania się ku mniemaniu, że poemat *Dziady* w pewnym względzie jest i antytezą Fausta i Wertera. Ubolewa p. Kurtzmann, że *Dziady* w przekładzie niemieckim dotąd ogłoszonymi nie zostały. Czytelnicy zechcą przypomnieć sobie, że nadmieniliśmy już o znakomitym przekładzie *Glossy Świętej Teresy* Zygmunta Krasieńskiego, dokonany przez Zygfrйда Lipinera. Otóż ten młody, świetną przyszłość rokujący pisarz, przełożył jedno z najpiękniejszych miejsc w *Dziadach*. Przytęm z pisma p. Kurtzmanna dowiadujemy się, że istnieją dwa niemieckie tłumaczenia *Dziadów*, jak dotąd zostające jeszcze w rękopismach, a mianowicie: dr. Weiss'a w Gumbinie i młodego księcia Lippe-Szaumburg. O obszernym rozbiórce *Dziadów* p. Blumenstocka późnij pomówimy; wiadomo zaś czytelnikowi, co w swoim wyrzekła George Sand o tym poemacie.

Mamy tu również, dokonane przez Paumanna, tłumaczenie znanego wiersza albumowego. Pół wieku minęło, jak dostojny wieszcz umieścił go w książce pamiątek przyszłej towarzyski dołi i niedołi. Podajemy tu obok pierwotworu przekład, bo zewszeczmiar na to zasługuje.

„Die Werbung beginnt: schon seh' ich die Shaaren  
Daher ziehen des Fussvolks, Uhlanen, Husaren;  
Voraus ihre Nahmen gleich Fahnen sie tragen,  
Im Stammbuch ein buntes Lager zu schlagen.  
Und bin ein Held einst, im Kriege ergraut,  
Der traurig zurück auf den Lebenslenz schaut,  
Dann mögen alle Kamraden hier lesen,  
Dass stets ich als Flögelmann treu dir gewesen.”

Zaczyna się werbunek, widzę zdala, goni  
Ogromna ciżba pieszych, ułanów, luzarów,  
Niosą imiona nakształt rozbitych sztandarów:  
Chcą w Albumie założyć obóz różnej broni.

Stanie się, będę wtenczas siwym bohaterem  
 I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,  
 Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku  
 Jam w tej armii pierwszym był grenadyerem.

Poświęciwszy serdeczne wspomnienie W. Polowi, p. Kurtzmann podaje w końcu, już jako przyczynek do dziejów Getego, wiadomość o liście Zeltera, pisanym do Getego w d. 28 września 1829 r. W liście tym Zelter, mówiąc o rozrzutności poety i nazywając go „złym gospodarzem,” wspomina o przesłanych 50,000 guldenach do Polski. Jeden z magnatów polskich miał ofiarować Getemu podarunek pieniężny, ale poeta nie przyjął ofiary, odstępując ją na rzecz polskich tłumaczy jego utworów.

Jako dopełnienie do dziejów literatury Mickiewiczowskiej zagranicą kraju podajemy, tymczasowo, wzmiankę o artykule p. t.: *Niedokończony traktat Mickiewicza o Bajronie i Getem*. Obszerniejszą wiadomość odkładamy do jednego z następnych zeszytów Biblioteki.

Przechodzimy do oceny równie doniosłego faktu, przekładu *Maryi Stuart*, o którym poprzednio daliśmy byli przedwstępny wiadomość. Oceniając fakta podobnego rodzaju, czuje się cały ciężar warunków obowiązujących sprawozdawcę

Przygłuszać tu w sobie przychodzi najszczerze tętna, potłumiać wrażenia, na których sformułowanie zapewne i wyrazówby brakło, a pozostaje ocenić jedynie: stopień przejrzystości tej nowej powłoki i orzeknąć: czyli pod nią ocalał majestat obliczów pierwowzoru naszego.

O jedno tylko ustępstwo upraszamy czytelnika w chwili, kiedy mamy przed oczyma przekład *Maryi Stuart* Juliusza Słowackiego, o prawo dotknięcia w krótkości tak zwanęj kwestyi jego *bajronizmu*. Jeśli w pośród nas pomieniony stosunek stał się już prawie przysłowiowym, coż dziwnego, że obey dziejopisarze piśmiennictwa, chórem go jednoznacznie powtarzają. Czyż ten stosunek naprawdę da się postawić tak nieomylnie, aby jakiś tam niemiecki, elementarz literatury w skutek tego poważzył się utwórce dramatu *Maryja Stuart* nazywać aż naśladowcą? Zgodnież to z powagą, z dumą tego olbrzymiego ducha, aby zbierać miał pióra odpadłe ze skrzydeł orła, z taką naiwnością, z jaką Rachel powtarza (w *Żydówce*) słowa Grety (Getego) konającej w więzieniu?

„Smutna to rzecz być wnukiem,” jak powiada czeladnik *Fausta*, a poczyna Bajrona jestto jak owa *Księga żywota*, w której każdy odnaleźć może wszystko, czego tylko zapragnie. Ileżto takich pawich piórek ukazałybyśmy mogli u dramatyków obecnej chwili (np. angielskich), którzy podczas pierwszych dopiero wzlotów Słowackiego, jeszcze w najlepsze pisali pensa w szkole Iteńskiej, a tak mocno, tak dotykalnie go przypominają? albo czy przypuścić mamy, że czytali *Maryję Stuart* Słowackiego? Ale czemuż i w poważnym, energicznym studyum Lipnickiego (którego bynajmniej nie zaliczamy do rzędu krytyków,

protekeyjnie traktujących piśmiennictwo polskie, t. j. *nieznających go z urzędu*) w studyum jego: *Bohaterowie romantyzmu polskiego (die Helden der polnischen Romantik)* czytamy? „Słowacki (obok powołanego z epoki klasycznej dowcipu i satyry) ze szczególnym zamiłowaniem maluje takich bohaterów, którzy stoją w sprzeciwieństwie ze stosunkami świata rzeczywistego. Są to istoty nieszczęśliwe dla siebie, zagubne dla innych <sup>1)</sup>, one to zapewne snuć się musiały przed wyobraźnią filozofa „Bezwiedności,” kiedy w swojej ctyce zapisał to zdanie: „tylko mąż o silnym miłosierdziu jest zdolnym do silnej rozkoszy okrucieństwa...” „Botwel, mówi dalej autor pomienionego studyum, występuje w *Mary Stuart* Słowackiego, jak Bajronowski bohater, z obliczem bladym, z uśmiechem na ustach wzdurliwym, piekielnym.” Jaki? więc już i poblednąć i uśmiechnąć się gorzko niewolno, aby nie ściagnąć na siebie poszlaki naśladowania Bajrona? Że Botwel, że Mindowe należą do sfery demonicznej, na to się zgadzamy, że Botwel jest wcieleniem złego, zgadzamy się i na to, bo tém on jest rzeczywiście, dziejowo. Ależ takim samym jest Botwel w kolosalnej tragedyi Swineburne'a. Owszem, gotowiliśmy więcej jeszcze przyznać na rzecz opinii autora, a mianowicie, że Słowacki przyrzekł „w powieściach swoich *mało* zatrudniać czytelnika sobą i swojemi uczuciami, a w dziełach scenicznych jeszcze usilniej nie dać widzieć siebie, kryjąc się za osoby działające,” ale zapowiedzi swojej wiernym nie pozostał; że „założywszy sobie być niezależnym od otoczenia swojego wieku, wbrew Dantemu, Wolterowi, Bajronowi, a natomiast mieć przed oczyma Szekspira, jako bezprzykładną potęgę, stojącą obiektywnie, niezależnie, na wysokości człowieka i jego rysów, jakoby władzą Bożą malowanych i stworzonych <sup>2)</sup>,” nie mógł jednakże, bo i nie powinien był przesięgnąć poza święty okrąg położenia i warunków swojego czasu i stanął do chóru w napół-przejrystej obstonie. Wszystko to przyznajemy, ale taka postawa zaczerpaną została z dalszego ogólniejszego zbiornika typów, aniżeli Bajronizm. W świecie myśli, który tak obszernym jest. „że można w nim wyciągać nieodparte granicami ramiona <sup>3)</sup>,” rzecz taka sama, nie jest rzeczą *łąz* samą. Nie każdy, co mówi o widzeniu *przed oczyma duszy* jest Szekspiryjanistą; ani Bajronistą nie jest Horacyusz, przeto że nazywa człowieka: prochem i cieniem; ani klasykiem jest Edgar Poe, chociaż w jego elegii kruk siada na popiersiu Minerwy. Słowacki i Bajron są to dwie siły o równym stopniu, to znaczy, że z równym natężeniem myśl ich przyciąga pierwiastki ze wszystkich krańców, do tworzenia potrzebne, a z drugićj strony z równą gwałtownością uderza tam, gdzie tak w życiu ludzi jak i w życiu światów zaczyna się warstwa nieprzejrysta, zagadkowa. Nie, Słowacki nie jest

<sup>1)</sup> Botwel, Mindowe, Bielecki, Balladyna, Gwinona. Wkrótce otrzymamy studyum p. Eugen. Lipnickiego: *Historja romantyzmu polskiego*, będzie to zapewne całość, z której dotąd znaliśmy tylko ustępy.

<sup>2)</sup> <sup>3)</sup> Wyrazy Słowackiego o sobie samym.

naśladowcą, a przedewszystkiem w *Maryi Stuart*. Tego, co wszechmocnie rozdała skrzydła ptakom powietrza, skrzydele rybom wód, a typy duchowe ludziom i ludom ziemi, Tego sprawą jest, że tchnął w obu jednaki rodzaj i jednakową moc zasięgania na rzecz sztuki pierwiastków dobrego i złego.

Zwracamy się do zadania głównego. Jestto przekład rymem, z silnie akcentowaną miarą, zwykle sześciostopowy: w pewnych, odpowiednio zadaniu miejscach, spotykamy i pięciomiar. Rozmaitość w taktach, zacięcia początkowe, to jambowe, to trochaiczne, z ręcznie tu i owdzie wybiegająca stopa daktyliczna, udatne przełamywanie wiersza w dyalogu, zawiśnięcie na poważnej, długiej nucie, zgolażenie wszelkich sprężyn złudzenia dźwiękowego, nadają przekładowi znamiona doskonałej formy zewnętrznej. Na równi z formą, utrzymanym jest i duchowy tok utworu. Po każdym odczwaniu się poczuwamy, czyje to serce bije. Słowacki zmartwychwstał w przekładzie. Co dalej orzeknie krytyka niemiecka pod względem specjalnym, jako o utworze swojego piśmiennictwa, to już rzecz nie nasza. Dla pokazania czytelnikowi wierności przekładu, niekiedy aż dosłownej, z rzadką parafrazą, zestawimy niektóre ustępy tłumaczenia z pierwotworem, a to kierując się najgłówniejszymi sprężynami: scenicznością, charakterem, uczuciowością w różnych jej odstonach. Dla skrócenia, przytaczając ustępy, odwoływać się będziemy do stronnic książki przekładowej.

W 8-jej scenie aktu trzeciego <sup>1)</sup>, kiedy Duglas, ukrywający się dotąd za krzesłem królowej, naciera ze sztyletem na Rizia, Marya chce go powstrzymać groźbą, że kat oderwie mu ostrogi i spoliczkowaniem shałbi go wobec ludu na rusztowaniu. W odpowiedzi na *próżną* groźbę Maryi, Duglas odpowiada groźbą rokoszu wasalów, albo odplynięciem do Francyi, gdzie potrafi zostać *harfisarzem* (jak Rizio).

„Tam, mówi tłumacz, otulę się w jego płaszcz jedwabny, z temi piórami strusiem, z tym mieczem złotym wyglądać będę jako wtórobraz podstępnego włocha i wnet zbiorą się naokół mnie błazny francuzkie i wnet znajdę fałszywe zaloty na dworze... zyskam łaskę możnych i brzdąkać będę na arfie; może tylko poznają mię po krwi na rzesach, piórach zgniecionych, zbrukanój szacie. Giń, włochu... Niel Sztyletem ręka ta robić nie umie, nie wprawiała się nigdy.” Słowacki mówi:

„Mogę się w ten płaszcz jego jedwabny zawinać,  
Woznę te strusie pióra, woznę ten miecz złoty;  
Podłogo włocha dobrze nauczę się roli:  
Wnet mię zgraju francuzkich trefniów okoli,  
Na dworze królów zdradno rozpocznę zaloty...  
Wkradnę się w łaski możnych, harfisarzem zostanę,

<sup>1)</sup> W przekładzie stron. 51, 52.

Chyba mię zdradzi kropla krwi na mojem czole,  
 Lub to szaty splamione, pióra połamane.  
 Giń, włochu! Nie! sztyletem nie mogę uderzyć:  
 Nigdy nie zabijałem sztyletem.

Królowa grozi, nakazuje, błaga, aby oddalił krwawe obrazy: ona nigdy krwi nie widziała. Na to Duglas (u tłómacza):

„O! bodajby tu dokoła były ściany ze zwierciadeł, abyś na śmierć jego patrzeć mogła tysiąc razy. Niech jego rżenie śmiertelne (Todesroecheln) brzmi tobie w tysiącu chórów, abyś je po tysiąc razy słyszała.”

Słowacki:

„Chciałbym, żeby tu były zwierciadlane ściany,  
 Abyś śmierć jego mogła widzieć tysiąc razy!  
 Chciałbym, żeby jęk Rizia, echem powtarzany  
 Zabrzmiął, abyś go mogła słyszeć tysiąc razy.”

Kiedy Darnley chce, aby wyniesiono trupa Rizia, Duglas odpowiada na to ponurym lakonizmem, który pomimo drobnego przesunięcia głównej myśli nic nie stracił w przekładzie (str. 53).

„Ja tu przyszedłem mordować, a nie psuć rzemiosło grabarzom.”

Słowacki zaś mówi:

„Przyszedłem zabijać, lecz nie wynosić zwłoki: wołajcie grabarzy.”

W monologu (koniec aktu III-go), ściśle dotrzymaną jest myśl Botwela; powiada on sobie, że nie zrozumie napomknien Maryi o mężu, dopóki nie powie: „zabij króla!” ale w ostatnim wierszu tłómacz nieco ją ochłodził.

„Chce, żebym myśl jej odgadł? nie, ja nie rozumiem,  
 Aż mi powie: Botwel! zabij, zabij króla!  
 Za mniejszą cenę nie chcę zabijać: nie umiem.” (Słowacki).

Tłómacz zaś tak kończy (str. 56):

„Chce, abym odgadł? ja nie rozumiem, aż mi jawnie powie: zabij go! Za inną cenę, o, Pani, to się nie staniel!”

W pierwszej scenie aktu IV (Marya i Botwel) mamy jeden z tych rysów, co to w naszym pocie-młodzieńcu, już lwią potęgę zapowiada; w ręku Słowackiego już tu widać ów skalpel psychologiczny, który go tak jaskrawo spokrewnia z Shelley'em. Jestto rozmowa dwojga zbrodniczych kochanków przed portretem męża Maryi, pod którego Botwel podsadził już miąg.

„Słuchaj mię Botwel! kobieca-ż to działać się odważy? Patrz, ten obraz na ścianie, podobny, aż do przemówienia (*wie zum Sprechen ähnlich*). Jak dobrze trafione są rysy Henryka: jego blade oczy ścigają mię, znieść nie mogę, upatrują mię one, w serce mi się wciskają i dręczą. Sztuka nigdy nie zdoła dopiąć oddania wyrazu tego oblicza: *moje to myśl wniosło piekło w ten obraz*” (str. 59).

## Słowacki:

„Słuchaj, słuchaj, kobieta na cóż się odważy?  
 Patrz, Botwolu! ten obraz wiszący na ścianie,  
 Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka!  
 Ściga za mną oczyma. Nie zniosę twój twarzy!  
 Patrz, za mną się obraca, wzrokiem mię przenika;  
 O! ten wzrok nie jest dziełem ludzi i malarzy:  
 Na obraz szatan przeniósł myśl moją...”

W całej tej scenie, w arcydziele psychologii, gdzie dwie siły szatańskie idą z sobą na bój wzajemnymi skrytościami o to, kto pierwszy wymówi fatalny wyraz, tłumacz wychodzi zwycięzko; załujemy tylko, że ta ciągłość piekielna wypruwających się nawzajem myśli dwojga kochanków, zluźnioną została, skoro Marya zamiast powiedzieć: ja chciałam *zgonu* obrazu (jak jest w pierwotworze), powiada u tłumacza (str. 60): „tak, ten obraz *zniszczyć*—tak, tak, tego chciałam.”

W akcie I-ym scenie 5-ój, Nick, błazen Henryka, ubolewając nad położeniem króla, smutnie zapowiada sobie: „Nicku, śmiać się nie będziesz, *wesołość zabiłem*.” Tłumacz kładzie w usta błazna prawie toż samo: „Teraz radość moja *umarła* i mój śmiech jasny <sup>1)</sup>,” ale szkoda nam tego wykrzyknika o zabiciu wesołości, gdyż Słowacki wyraźnie zamierzył tu sobie aluzją do znanych słów Makbeta: „Makbet zabił sen.”

Zwróćmy się teraz do sytuacji, rzeczywiście Szekspirowskim rylcem rzeźbiącej ów pogrom duchowy, zwany w etyce codzienną wyrzutem sumienia, a psychicznie znaczący: rozstąpienie się istoty ludzkiej na dwie połacie, z których jedna sili się uprzedmiotnić sobie drugą i zgnieść ją naciskiem. Mamy takich sytuacji kilka w *Maryi Stuart*. Oto scena 2, aktu IV-go, znów pomiędzy Henrykiem królem i jego błaznem. Nick stara się uspokoić w Henryku budzące się co chwila wybuchy sumienia, z powodu zabicia Rizia, ale Henryk nie słucha go: obraz zamordowanego staje mu wciąż przed oczyma. Przekład (stro- na 66), wyjąwszy jedno tylko pociągnięcie pióra, nieco zwichnięte, nie tu nie pozostawia do życzenia. Król mówi do Nicka:

„Patrz, tam stoi w dłuższej szacie śmiertelnej, jak gdyby chciał mi otworzyć tajemnicę zgonu. Niemy, krwawy, blady, mnie żądać się zdaje. Widziałem, jak sztylety krwawo rozpruły jego ciało, a oto z trumny znowuż przychodzi *zdrowy i świeży*... Precz, Rizio, bo mi z ran zablźnionych krew płynie. Wszystko dałbym w ofierze, aby ciebie ożywić. Nie skarż się, odejdz, aby mię nie we śnie nie trapiło. Chcesz mojego snu? w grobie śnić nie możesz spokojnie? Czyż i tam snu nie-ma?...”

U Słowackiego *zdrowy i świeży* brzmi tak:

„A on wstał z grobu, świeży, jak z *kołyski* dziecię.”

<sup>1)</sup> W przekładzie str. 11.



Zdarza się niekiedy naszemu przekładcy zarównać myśl pierwotworu tam, gdzie jest jój przytrudno wypętać się z krępujących form stylowych, albo gdzie poeta mniej zważał na te formalności. Paź, dla pogłaskania serca królowej wspomnieniem o Botwelu, opowiada, jak on rzucił się w pogoń na łodzi za kwiatkiem, który wypadł z włosów królowej:

„Nagle twarz jego pobladła, stanął przy sterze i w głębią spozierał; *widział* on tam, jak mniemam, straszliwe postacie, mroczne podstępne potwory” (str. 29).

Słowacki mówi: „Patrzył w głębiny wody, *jak gdyby* w tój wodzie...”

Podobnież udatném jest wyrażenie: „Ale pomiędzy śmiercią a hańbą jest tylko próg mały” (str. 42) i t. p.

Z kolei zwróćmy się tam, gdzie już nie groza, nie żar zemsty bucha, lecz słodka rzewność powiewa. Oto np. pożegnanie się umierającego Nicka z lubą, ale odległą chatą ojczystą. Jestto ostatnia scena aktu IV (str. 73), w której przed skonaniem swoim, dziecko umierające od trucizny. Nick, zrzuca maskę błazna, płacząc nad tém, że nędza zmusiła go do wdziania czapki z dzwonekami i śmiania się za szylingi, kiedy sercu nieraz na krwawy płacz się zbierało.

Nic rzewniejszego nad tę sielankę agonii, prawdziwy śpiew łabędzia. Serdecznie téż dotrzymał tłómacz każdej nuty; podkreślamy tylko jeden pół-wyraz, bo spójnik w wierszu ostatnim, z uwagi, że nie osłabia myśli, ale ją przeistacza zupełnie:

„Przed daleką podróżą, raz jeszcze chcę pobyć pod strzechą rodzicielską. Tam, w polu chatka uboga, podług starego zwyczaju ściany jój poczerniały od dymu; w izbie obraz, a przed nim lampa. W bramie widzę psa na straży, tam wysoko sterczy dąb o mszystych gałęziach—O! Boże! Tam na progu widzę, jak mój staruszek ładuje pług, a pochyla się nad pacierzem. Tam, we łzach, przędzie biędna matka i śpiewa pieśń, którą słyszałem w kolebce. Ach! ktoaby to myślał, że ztamtąd przyjdzie na świat istota, która się przyda *jedynie* do śmiechu.”

Nie to miał na myśli Słowacki, że owe dziecię na nic się nie przyda, tylko na błazna; owszem, uważał on za rzecz niewiarogodną, aby w przybytku nędzy urodzić się mogła istota *zdolna* do śmiechu:

„O! któżby, któżby sądził, że pod dachem nędzy,  
Urodzi się istota, co się będzie *śmiała*.”

Tak tedy, bezwiednie prawie, uniesieni ciągiem piękności przekładu, zatrzymaliśmy się najdłużej nad Nickiem—na dowód, do jakiego stopnia współczujemy temu zdaniu Leonarda Sowińskiego, że „ta postać jest może najwdzięczniejszą rolą w całym poemacie i najgłębszą naturą ze wszystkich figur w nim działających 1).”

1) *Rys dziejów literatury polskiej*, t. III, str. 337.

Zupełnie równolegle od tój sceny idzie przedostatnia scena dramatu (w przekładzie str. 91), gdzie Marya przed samym wybuchem miny, przemawia nad świeżym trupem swojego pazia i następnie pada na kolana przed krucyfiksem... zapewne dla modlitwy (zupełnie tak samo, jak w Botwelu Swineburne'a, gdzie dostojny biskup Ross zapewnia królowę, „że Bóg nie zapomni o niéj w onéj godzinie i z grona dzieciak swoich nie wyrzuci; a ciężar i kolor ziemskich jéj grzechów, uczyni bielszym i lżejszym, niż jest śnieg i wełna).”

Na zakończenie téż powtórzymy głos sentymentalnéj okrutnicy, w chwili kiedy paź omdlewa.

*Marya.* „Paziu, o mój drogi paziu! wymów słowo, wymów, mój luby, tylko słowo. O! niestety, czyliż i ta młoda dusza gnicić ma w grobie, o nie! on umrzeć nie może.

*Paź* (wątłym głosem). Wkrótce znikną bóleści. Jestem śpiący; czy ty mię kochasz?

*Marya.* O! z całego serca. Wzbudź się, kochanku; napij się wina, tylko kropel kilka: może cię to wzmocni.

*Paź* (drżąc). Piłem wino przed chwilą. O! Maryo! moja droga. O! (umiera).

*Marya.* Paziu! życie moje! Wołam, proszę, budzę; już serce bić nie będzie. O! Boże, czyliż za grzechy moje to dziecię ma ginąć? Od zbrodniczego technienia mojego ludzie umierają dokoła. Niegodną jestem kary, ono zabić mię nie chce <sup>1)</sup> (kłęka przed krucyfiksem).

„Paziu! moje życie!

Paziu mój wołam, budzę, a on się nie budzi!

Boże! za moje zbrodnie skarałeś to dziecię,

Powiew zbrodni koło mnie już zabija ludzi,

A mnie zabić nie może, jak niegodną kary.”

Z przytoczonych ustępów nie wątpiny, iż przekonał się czytelnik do jakiego stopnia tłumacz wniknąć musiał we wszystkie tajniki pierwotworu, skoro go tak wiernie, tak niekiedy dosłownie powtórzył. Praca niniejsza, jak w ogóle znane nam tłumaczenia niemieckie naszych przodowników, dowodzą przytóm jeszcze ogólniejszego faktu; pokazują one, do jakiego stopnia, pomimo dźwiękowej i składniowej różnicy, oba języki na podstawach *pojęciowych* są, powiedziéćby można, jednym i tym samym językiem; *są* nim, a nie stały się nim przez jakoweś historyczne podlegnięcie jednego pod drugi. Albo i w świecie pojęciowym istnieją, podobne jak w świecie organicznym, pewne rodzaje i rzędy; albo téż istnieją tam pewne wyżyny, na których

<sup>1)</sup>

Page! mein Leben.

Ich rufe, bitte, wecke. Sein Herz will nicht klopfen,

O! Gott! für meine Sünden soll dies Kind verderben?

Von meinen frevlen Atem Menschen ringsum sterben,

Ich bin der Strafs unwürdig, mich kann er nicht tödten.

indywidualności, różnice, odmiany, koniec końcem zbiegać się muszą jako w punkcie zetknięcia.

Cokolwiek wyrzeknie krytyka niemiecka o tej pracy p. Ludomira Germana, my przyjmujemy ją jako już należącą do naszego grona, gdyż w poważnych przekładach mistrzów naszych upatrujemy ów wspomniany na wstępie zadatek *szerzego*, istniejszego ich żywota, obiektywny ich nieśmiertelności. Tyle o Maryi.

— Krytyk niemiecki p. G... (choć nie usuwamy przyłbicy, domyślamy się reszty zgłosek), daje nam krótki rzut oka na dramat polski, który tym razem, jako wychodzący poza ramy naszego planu, zostawimy bez obszerniejszego sprawozdania, ograniczając się na kilku rysach. Dramata Słowackiego uznając za utwory olbrzymie, w dramacie francuzki Mickiewicza, krytyk widzi tendencyjność i to znamię podkreśla (i w tym właśnie względzie nie zgadzamy się z krytykiem). Ze współczesnych pisarzy komedyi wysoko stawia utwory K. Zalewskiego, „który dziś najzasłużeńiej (*mit vollem Rechte*) władnie w świątyni Talii, a dotychczasowemi utworami swojemi wielką przyszłość rokuje.” „Obok niego stoi Bliźniński, przez swoje rzeźwe obrazy życia.”

Z równem uznaniem odzywa się o Bałuckim, Sewerze, Lubowskim i innych, zamykając poczet imieniem Jubilata, jako twórcy komedyi: *Panie Kochanku*.

## PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY.

Pisma treści dydaktycznej: 1) *Jak sobie dziatwa radziła*, opowiadania nauczające dla czytelników od lat 9 — 13, spisała Anastazyja Dzieduszycka 1877 r. 2) *Z dziedziny przyrody*, przez Annę Carey, przełożyła z angielskiego Anastazyja Dzieduszycka 1877. 3) *Świat zwierzęcy w obrazkach*, zebrany dla młodocianego wieku przez autorkę *Wieczorów czwartkowych* 1876. 4) *Mały i wielki świat dziecięcy*; spolszczył i zastosował Józef Grajner 1876. 5) *Z domu i ze szkoły*; opracował według źródeł niemieckich i zastosował dla dzieci naszych Jozef Grajner 1877. 6) *Ziemia i jej mieszkańcy*; opisy malownicze krajów, ludów i obyczajów, z najocześniejszych autorów ojczystych i cudzoziemskich, oraz własnych prac zebrał Stanisław Stroynowski 1877. 7) *Europa w obrazach*, opisy malownicze i t. d., zebrał Stanisław Stroynowski 1878. 8) *Znakomite niewiasty*, szkice opracowane przez Wandę Żelocką 1877. 9) *Z rodzinnej zagrody, życiorysy*; napisał K. W. Woycicki 1877. 10) *Pokój dziadunia*, opowiadania z dziejów przeszłości dla młodocianego wieku; napisał K. W. Woycicki 1878. 11) *Biblioteczka dziadunia*, zarys literatury polskiej w opowiadaniach dla dziatwy; napisał K. W. Woycicki 1879.

Niejednokrotnie słyszeć się dają narzekania na niepoliczone jakoby mnóstwo metod nauczania, z których każda stara się wywalczyć

sobie zwycięstwo nad poprzedniczką swoją, jużto nowym pomysłem, już też nową formą wykonania starego tematu. Co rok, powiadają, zjawia się jakiś nowy środek, czy sposób wpajania w umysły dzieci i młodzieży tych prawd i nauk, które dawniej z większą gruntownością jednym trybem wykładano; każdy nauczyciel ma pretensją do reformowania dydaktyki, krzyczy na zastarzałą rutynę, jako na śmiertelny jad trujący umysły dziecinne, zabijający rozwój ducha, tłumiący pojęcia samodzielne. Ten chce ułatwić naukę do tego stopnia, żeby uczeń wchłaniał w siebie rzeczy już doskonale przeżute, inny chce twardej owoc nauki przemienić na miazgę łakotniczą, podstawiając zabawy w miejsce studyów; inny przeciwnie chce wyteńczyć wszystkie władze wychowawca do najwyższej skali możliwej, albo i niemożliwej, byleby uczeń sam sobie zdobył prawdę, lub urojenie. Jeden chce wszystko okazać wychowankowi, jak jest w rzeczywistości i wałęsa się z nim po wszystkich końcach miasta czy wsi, po wszystkich rękodzielnianach i fabrykach, po wszystkich menażeryach i ogrodach, błądzi po skałach i lasach, przebiega gościńce i ścieżki. Drugi zamyka cały świat w obrazkach i na martwych malowankach pragnie obudzić poczucie żywej natury.

Jeżeli usuniemy z uwagi objawy szarlataneryi dydaktycznej w osobistościach niedowarzonych i niedouczonej; jeżeli marzeń pedagogicznych nie będziemy utożsamiali z wyrozumowanym szeregiem prawd, to w narzekaniach powyżej naszkicowanych odnajdziemy znaczną dozę przesady, wynikającą z niezrozumienia różnicy, jaka zachodzi pomiędzy zasadami dydaktycznymi, a sposobem ich stosowania. Zasady są w ogóle nieliczne i nie zmieniają się z roku na rok; na wyrobienie ich potrzeba nieraz długiego szeregu stuleci, ale zaastosowanie ich w praktyce jest tak różnorodne, jak są różne usposobienia wychowawców i uzdolnienia nauczycieli. Pierwsze gruntowne podstawy dydaktyki nowożytnej rzucił wielki pedagog czeski wieku XVII, Jan Amos Komenski (Komeniusz, 1592—1671). Nieśmiertelną jego zasługą było zebranie w całość systematyczną przygodnie dawniej wypowiedzianych maksym, dotyczących zarówno nauczyciela w stosunku do ucznia, jako też samych nauk i wychowawca. On-to w nauczaniu kazał zwracać baczną uwagę na różnicę usposobień w wychowawcach, on-to kazał działać jednocześnie na wszystkie zdolności jego, a więc nietylko na pamięć lub na uczucie, lecz także na rozum i wyobraźnię; on-to jest istotnym twórcą tak zwaną nauki o rzeczach zarówno pod względem teoretycznym, kiedy mówi, że oglądanie własnymi oczyma starczy za dowód, jak i pod względem praktycznym, kiedy pisze swój sławny *Orbis pictus* (1657).

W rozwinięciu tych zasad dwa stulecia zrobiły postęp ogromny, lecz same zasady zachowały dotychczas wartość niezachwianą. *Świat malowany* Komenskiego jest praojcem wszystkich dzisiejszych pism ilustrowanych dla dzieci, wykładających czy to ogół wiadomości najpotrzebniejszych w życiu, czy też jakąś naukę specjalną. Praojciec ten

wygląda bezwątpienia bardzo patryarchalnie; strój jego razi już nasze oczy, a prócz tego ma on swoje przywyknienia, przesady i nałogi, któreby z dzisiejszemi pojęciami nie harmonizowały; w gruncie jednak porozumiałby się niebawem ze swemi prawnukami, gdyż wspólna droga zdobywania prawdy doprowadziłaby ich do jęj świątyni.

Jak w sąsiedztwie, tak i u nas był *Orbis pictus* przez znaczny przeciąg czasu przewodnikiem w wykształceniu. Rady jego coprawda zasięgano zazwyczaj jednostronnie, to jest wypytywano go się o sposób uczenia języków tylko, gdy on przedewszystkiem mógł nauczyć czegoś o rzeczach. W dalszym postępie czasu zastosowano metodę językową do wykładu innych nauk, ale głównie uwzględniano opisy krajów i historią ojczyzną. Dopiero w czasach, niezbyt od chwili dzisiejszej odległych, wciągnięto w ten zakres nauki przyrodnicze w całym ich rozgałęzieniu, tudzież nauki społeczne.

Rozpatrzmy się w tej wiązance utworów, której dostarczyły nam trzy ostatnie lata, ażeby się przekonać, o ile zasady dydaktyczne są w nich uwzględnione, o ile zrobiliśmy postęp względem dawniejszej doby. Przegląd ten wykaże nam jednocześnie, że pomimo całego hałasu o nowych i różnorodnych metodach, nie potrzebujemy się jeszcze obawiać chaosu, że owszem pożądaném byłoby rozszerzenie naszych pojęć dydaktycznych.

Pani Anastazyja Dzieduszycka, której *Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych* (1871) sprawiło w swoim czasie tak wielkie zajęcie wśród ogółu i tyle wywołało dyskusji w czasopiśmiennictwie, napisała przed trzema laty zajmującą książeczkę p. n.: *Jak sobie dziatwa radziła* i przeznaczyła ją dla czytelników od lat 9 do 13. Książeczka ta zajmuje środkowe stanowisko między powiastkami moralizującymi, a utworami dydaktycznymi w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu. Trzy pierwiastki w skład jęj wchodzi: opowiadanie, dziennik przedstawiający rozmowy dzieci ze stryjem i listowanie. W opowiadaniu przedstawia się osnowa powieściowa, polegająca na historii trzech rodzin; w dzienniku mięści się właściwa dydaktyczna strona utworu, w listach wreszcie częścią uwydatniają się charakterystyka dwu głównych postaci: brata i siostry, częścią rozwija się nauka moralności nie w suchych przepisach z wysokości katedry nauczycielskiej, albo powagi rodzinnęj wygłaszanych, ale wysnuwanych przez same dzieci wskutek doznawanych wrażeń radosnych, a częściej smutnych.

W osnowie powieściowej trudno się doszukać motywów całkiem nowych. Odkąd się zaczęła rozwijać nasza belletrystyka dziecięca, to jest od czasów Klementyny Tańskiej, historia rodzin zubożałych, podupadłych, stawała się już niezliczoną ilość razy tematem opowiadania, co, niestety, bardzo smutnie charakteryzuje nie tyle stopień pomysłowości naszych autorek i autorów, ile groźny w rzeczy samęj stan majątków ziemskich w kraju naszym. Ale, jak wiadomo, w powieściach dla dzieci nie idzie tak dalece o nowość i oryginalność treści opowiadania; starą treść można ożywić nową myślą, będącą wynikiem nowych poglą-

dów na sprawy społeczeństwa. W opowiadaniu p. Dzieduszyckiej silnie zaakcentowano tę stronę, która w pismach Tańskiej mimochodem i jakby przypadkowo tylko się napotykała. Członkowie zubożałej rodziny nie stają się tu ciężarem krewnych, nie wdrażają się do przykrój i wstrętnej roli rezydentów i rezydentek, ale dążą do zapewnienia sobie bytu pracą własną, wzięciem szczerego udziału w pracy zbiorowej, społecznej. Jest wprawdzie i w opowiadaniu p. Dzieduszyckiej tradycyjny stryjaszek z Ameryki, ale stryjaszek ten nie przywozi ztamtąd gotowego już do puszczenia w kurs złota, lecz jedynie wytrwałość w pracy, poczucie obowiązku, umiejętność rachowania się we wszystkich okolicznościach życia, bez obracania jednakże tej rachuby w egoistyczne wyrachowanie. Przyklaskując całym sercem takiej zmianie roli stryjaszka z Ameryki, muszę tu tylko zaznaczyć swoją wątpliwość co do konieczności sprowadzania go z tak daleka. Prawda, że Amerykanie są pod niejednym względem wzorem dla społeczeństw, potrzebujących naprawować swój materialny dobrobyt; byłoby to jednak zbyt smutno, gdyby się w kraju nie mógł znaleźć ani jeden człowiek uczciwy, lecz trzeźwo się na rzeczy zapatrujący. Gdyby wszakże tylko o smutek chodziło, moglibyśmy go w sobie strawić, przyznając, że był całkiem zasłużony. Zdaje się atoli, że nie należy nam poddawać się rozpacz i że możemy ideał obywatelski znaleźć w swoim gronie, nie potrzebując go sprowadzać zza morza. Uwaga ta była konieczna ze względu na łatwość, z jaką dzieci lubią uogólnienia na podstawie analogii; dla dorosłych mogłoby to być rzeczą obojętną, czy naukę pożyteczną odebrali od Amerykanina czy od Polaka w kraju swoim żyjącego; dla inteligencji formujących się dopiero jestto rzeczą w wielu razach decydującą o ich sympatyj i antypatyj, o ich usposobieniu moralnym względem najbliższego otoczenia.

Dziennik prowadzony przez Józia, to jest przez główną osobę wychowywaną w książce, jest małym traktatem o ekonomice i urządzeniach społecznych. Autorka na najmniejszej liczbie stron i w najkrótszych możliwie wyrazach chciała podać jak najwięcej wskazówek pożytecznych dla tych, co nie chcą być pasorzytami społeczeństwa. Ztądto poczynając od ustalenia w sposób przystępny, popularny, pojęcia kapitału, rozprawia o oszczędności, o pracy, o obowiązkach bogaczy, o komunizmie i socjalizmie, o powinności i poświęceniu, o cenie towarów, o podatkach i cłach, o pożyczkach i pieniądzach, o prawdziwym szlachectwie i o stowarzyszeniach i o innych mimochodem nasuwających się kwestyach, których życie tyle nam na każdym kroku do rozwiązania podaje. Jakkolwiek i w dawniejszej literaturze naszą dla dzieci pytaniami z dziedziny życia ekonomicznego i społecznego uwzględniano, to przecież na tę skalę, jak w książce p. Dzieduszyckiej, o ile mi wiadomo, dotychczas ich nie rozbiegano. Uznając ich ważność, niepodobna nie pochwalić samej myśli wprowadzenia w zakres dydaktyki dziecięcej wiadomości z ekonomiki; sądzę wszakże, iż właśnie ta nowość tematu popchnęła autorkę, tak wytrawną w rzeczach pedagogicznych, do prze-

brania miary w jego rozwijaniu. Trzeba sobie wystawić, jakie zamieszanie powstać może w umysłach dzieci po przeczytaniu niewielkiej książeczki, w której znajdują tyle nowych dla siebie pojęć, tyle wskazówek zaledwie naszkicowanych, tyle stosunków, które z samej natury swojej są zbyt zawiłane, ażeby wykład najjaśniejszy nawet mógł je dla myśli młodocianej uprościć. Jak wszędzie, tak i tutaj w wytwarzaniu pojęć nie tyle dbać wypada o ich wielką ilość, ile o gruntowność. A gruntowności wobec tak szerokiego programu, jaki sobie p. Dzeduszycka zakresliła, niepodobna było uczynić zadość; wiele pytań autorka zaledwie dotknęła, o wielu nader pobieżne dała pojęcie; czytelnik wtedy doszedłszy do końca książeczki, będzie wiedział, że o czémś czytał, czego dotąd nie znał, ale to coś przedstawi mu się w kształtach tak rozwiewnych, że nietylko komuś obcemu, ale nawet sobie samemu nie będzie mógł z tego „coś” zdać dokładnej sprawy. Lepiej było, zdaniem mojem, wybrać parę kwestyi i te ze wszystkich stron obejrzeć i roztrząsać, aniżeli kilkanaście zbywać stosunkowo summarycznie. Nie należy się lękać, żeby wskutek tego powstała nużąca jednostajność; zdolne pióro umie obfitością przykładów nagrodzić jednostajność tematu, a przykładów takich i to bardzo zajmujących dostarcza zarówno obserwacya każdej jednostki uzdolnionej do spostrzegania, jak i wyniki wielu obserwacyi, zawarte w samej nauce ekonomii.

Listy Józia do Zosi i Zosi do Józia zarysowują nam charaktery nietylko piszących, ale i ich otoczenia. Józio nieodrazu dowiaduje się od rozsądnego stryja z Ameryki, że przestał być bogatym, ale odrazu widzi się zmuszonym do ubierania samego siebie i do nauki systematycznej, której za życia rodziców wcale nie znał. Stryj chciał z początku dać mu dobry przykład z drugiego zubożałego chłopca, Bolesia; ale gdy ten mając już nałóg do lenistwa, mógł być jedynie przykładem próżnowania i wyzyskiwania dobroci krewnych i znajomych; odkrył mu istotny stan rzeczy i pobudził do obrania kierunku realnego w naukach. Józio był w gruncie dzielnym chłopcem, przewyciężył więc niezbyt pożyteczne przyzwyczajenia, pracował wytrwale, z błędów się poprawiał i stawał się nawet w listach mentorem Zosi. Bo Zosia potrzebowała przewodnika koniecznie. Oddana opiece ciotki, żyjącej w wystawném próżnowaniu, nie miała wśród najbliższych siebie przykładu pracy, chociaż umysł jej rzutki a niepospolicie uzdolniony rwał się do działalności jakiegokolwiek. Za poradą stryja i brata wyuczyła się rysunków i malarstwa, a potem nietylko miała z zajęcia swego utrzymanie, ale nawet mogła poratować brata, który wyjechawszy zagranicę dla obejrzenia fabryk, zgrał się był z kretesem. Czwartą osobistością z młodocianego świata jest bogaty, hojny, a nawet rozrzutny Ludwiś, który tu potrzebny był jako przeciwstawienie do swych trojga niezamożnych towarzyszków; z jego to powodu są w książeczce rozprawy o obowiązkach bogaczy i o rozrzutności. Koniec historyi jest naturalnym wynikiem pierwotnego założenia. Ci, którzy pracowali, nie wstydząc się rzemiosła, chociaż do szlachty należeli, dorobili się mienia,

a ten, co rozpróżniaczywszy się, wyzyskiwał tylko dobroć cudzą, zmar-  
niał haniebnie. Józio odkupił wieś dziedziczną, Zosia poszła za Lu-  
dwisia i chociaż nie będzie może uprawiała malarstwa jako środka do  
życia, niejedną chwilę uprzyjemni rodzinie talentem swoim. Bolesł  
mimo talentu, nigdy nie mógł sobie zapewnić bytu niezależnego, gdyż  
nie miał „silnej woli;” pracował niekiedy dla grosza, trwonił go nie-  
pocześnie, gdy go posiadał, a potem cierpiał nędzę i po kilku latach  
umarł. W oddaniu tych charakterów niema wprawdzie plastyki; sama  
forma listów pisanych przez dzieci stała temu początki na przeszkodzie,  
ale jest w nich dużo naturalności, dużo życia, tak że nie są one mario-  
netkami, nie są abstrakcjami, służącymi jedynie do uwydatnienia ja-  
kiejs prawdy moralnej.

Równocześnie z opowiadaniem nauczającym, *jak sobie działwa  
radziła*, przełożyła p. Dzieduszycka z języka angielskiego rozprawki  
Anny Carey, odnoszące się do zakresu mineralogii, fizyki i chemii.  
Na początku mieści się przedmowa (nie wiem czy autorki angielskiej  
czy polskiej), zasługująca na wyraźne odznaczenie. „Nauka począt-  
kowa, czytany tu, powinna być nader ściśle, starannie i wcześniej po-  
dawana dzieciom. Doszedłszy do lat dojrzałych, spostrzegamy, jak  
*niejasność* i *zawikłanie* w przedstawianiu nam nauk przyrodzonych,  
tłómaczeniu przedmiotów nas otaczających, zwolniło albo nawet  
wstrzymało postępy nasze w pobieranych później naukach.” Istotnie,  
niejasność pierwotnych wyobrażeń i mgłność pojęć jest największą za-  
wadą w późniejszym wykształceniu i prowadzi za sobą niejednokrotnie  
niemożność śledzenia postępów nauki. Słusznie też twierdzi autorka  
dalej: „Zdolność jasnego pojmowania przedmiotu, badania go z cierpli-  
wością, rozpoznawania z pilnością, odznaczająca dojrzałe umysły, jest  
jednym z najdobroczynniejszych wyników prawdziwego naukowego  
wykształcenia. Gdybyśmy w innych działach myśli posiadali też same  
własności, szukalibyśmy prawdy ze spokojem, bez podejrzeń, wsrząd-  
nień i nietolerancyi, cechujących dzisiejsze badania.” Łatwo zgadnąć,  
że książeczkę swoją p. Carey właśnie w tym celu napisała, ażeby na-  
przód: dać jasne wyobrażenie o niektórych przedmiotach, na które co-  
dziennie w życiu patrzymy, choć o ich istocie wiemy bardzo niewiele;  
a powtóre, ażeby wyobrażenie to było zgodne z obecnym stanem wiedzy  
przyrodniczej.

Autorka wzięła tylko pięć przedmiotów pod rozbiór, a mianowicie:  
1) węgiel; 2) sól; 3) wodę; 4) żelazo i 5) krzemień, a rozpatrując  
ich własności, uczy zarazem o ich znaczeniu i zastosowaniu. Opowia-  
dając np., o węglu, mówi o jego pochodzeniu ze świata roślinnego, obja-  
śnia takie pojęcia, jak *ciało stałe*, *ciężar gatunkowy* i t. p., okazuje  
jego własności fizyczne. Podobnie mówiąc o wodzie, rozprawia zaró-  
wno o parze i chmurach, jak i o zastosowaniu pary do poruszania ma-  
szyn, a przytém objaśnia siłę spójności, ciężenia i t. d. Przy opo-  
wieści o krzemieniu jest również wzmianka o robieniu szkła. A wszyst-  
kie te uwagi nie są bynajmniej luźnie i dogmatycznie podane, lecz wy-



nikają jedne z drugich w sposób naturalny i konsekwentny. Całość zaś rozprawek ujęta jest w formę opowieści fantastycznej; węgiel, sól, woda, żelazo i krzemień zachowują się jako istoty żyjące, obdarzone czuciem, rozumem, fantazją, wolą i mową; one-to opowiadają własne dzieje zgromadzonym wokoło siebie dzieciom różnej płci i różnego wieku, przyczem wygłaszają mimochodem i nauczkę moralną, zastosowaną do usposobienia tego lub owego ze słuchaczy. Ztąd też pochodzą napisy pojedynczych rozdziałów: *Pamiętnik odlamku węgla*, *Życiorys ziarenka soli*, *Życiorys kropli wody*, *Życiorys zardzewiałego żelaza* i *Życiorys odlamku krzemienia*. Autorka nie tai bynajmniej, że myślą jej przewodnią w wybraniu tej formy dla swoich rozprawek była chęć wyrugowania, a choćby dopełnienia tylko powiastek fantastycznych ze sfery ludowej. Te opowiadania fantastyczne, oparte na gruncie ściśle naukowym, opowiadają nie o cudowności zmyślonej, ale o cudowności rzeczywistej, chociaż ta za rzecz cudowną zwykle się nie pożytuje.

Forma taka nie jest nowością w naszej nawet literaturze. Czytelnikom pism Tańskich znane jest opowiadanie złotówki, mające na celu poczęści satyrę a poczęści naukę moralną. Dzieci lgną do takiej formy, gdyż odpowiada ona ich przyrodzonemu popędowi do ożywiania wszystkiego, co wkoło siebie spostrzegają; wiadomo, jak dzieci do zabawek swoich przemawiają, jak się z nimi pieścżą lub się gniewają na nie. Rozumieją one dobrze, iż przedmioty te, ku którym mówę wodze popuścił Korzystać z tego usposobienia na rzecz nauki nie jest rzeczą zdrożną i celom pedagogicznym nieodpowiednią, a to tém bardziej, że dzieci łatwo odróżnią stronę rzeczywistą od fantazyjnej w takim np. *Opowiadaniu węgla*, który mówi rzeczy ściśle naukowe, chociaż on sam w zachowaniu się swoim przenosi się w zupełnie inną sferę istnienia, bo w sferę ludzką.

Potrzeba atoli wielkiego talentu i wielkiego taktu pedagogicznego, ażeby się utrzymać we właściwych granicach; to jest, ażeby nie popaść w błąd pustej allegorii z jednej strony, a niestosowności i niedorzeczności z drugiej. Zdaje mi się, że pani Carey nie ustrzegła się tych pomyłek; jej *Węgiel*, *Woda*, *Żelazo* i t. d. przemawiają raz jako poważni profesorowie, a drugi raz jak pustaki. Jest w tém nieraz humor ściśle angielski, ale bywa także concept niesmaczny. „Bezwątpienia jestem ciałem stałym, powiada węgiel, ciekawym, ktoby nie był ciałem stałym, zniósłszy ciśnienie tak silne i długie, jak ja je znosiłem.” „Ależ ten biedny jegomość usprawiedliwia swe własności tak, jakby one były tyłomaż wadami, zauważyła Adelajda, zapewne dlatego, żeś go ldytko nazwała brzydką czarną bryłą.” W spostrzeżeniach tych trudno nie zauważyć subtelnego humoru; kiedy jednak tenże minerał „daje słowo honoru uczciwego węgla” (str. 18), to nie wiem, jak się to anglikom podoba, ale mnie wydaje się niepotrzebnym i niesmacznym conceptem. Podobnież wyrażenie, że „zardzewiałe żelazo chrząknęło kilka razy,

chcąc głos swój oczyścić," może wywołać śmiech w gronie dziatwy, a ponieważ śmiech ten jest zdrowy, nie można autorce zarzucić, że się przyczyniła do jego wywołania; trudno atoli zastosować też same uwagi do wyrażenia: „jestem żelazem, dobrém żelazem i tém się szczycę” (str. 83).

Ze świata minerałów przechodzimy do *Świata zwierzęcego*, w który wprowadza nas znana autorka *Wieczorów czwartkowych*. Autorka nie siliła się na obmyślenie formy nowej dla oddania wiadomości zoologicznych; nie starała się nawet o uprzyjemnienie swego opowiadania; krótko i węzłowato podaje zarysy zewnętrzne istot z rozmaitych gromad, dodając tu i owdzie szczegóły z ich obyczajów. Zdaje się, że autorka miała jedynie za zadanie objaśnienie licznych rycin, jakie pomieszczono na osobnych tabliczkach. Ryciny te wzięto zapewne z jakiegoś zagranicznego wydawnictwa i ułożywszy je w pewnym porządku, który odpowiada podziałom zoologicznym powszechnie przyjętym, dano autorce, ażeby tekst odpowiedni zamieściła. Ztąd poszło, że wybór istot, do opisania wziętych, zostawiono zupełnie pierwotnemu układowi rycin, ograniczając się na roli zwykłego cicerona, który niekiedy tylko zachowuje swoją samodzielność nie dając opisu tych żyjątek, jakie na rycinie widzimy, tam zwłaszcza, gdzie nazw polskich trudno było odszukać, jak to np. zdarzyło się z wymoczkami (str. 151), których na rycinie jest sześć a w tekście 2 tylko.

Dydaktycznych zasad w ugrupowaniu zwierząt, autorka z tego powodu przestrzegać nie mogła. Jakże bowiem rozpoczynać wykład od zwierząt domowych, najlepiej dziecięciu znanych, a zatém przez dydaktykę do dokładniejszego zbadania zaleconych, kiedy pierwsza zaraz rycina przedstawia małpy najwyżej uorganizowane (goryla i orangutana). Jak zwracać uwagę dzieci na usposobienie, inteligencją i obyczaje zwierząt, kiedy na jeden obrazek przeznaczono jedną stronicę tekstu, a częstokroć na tym jednym obrazku jest sześć lub więcej osobników?

Trudno nawet powiedzieć, dla kogo przeznaczono tę książkę. Dzieci same nie mogą się nią bawić i z niej się uczyć zarazem, gdyż opisy krótkie, suche i czysto zewnętrzne nie mogą zaciekawić i przywiązać do książki. Rodzice lub bony, nie znające zoologii, częstokroć nie wskażą nawet dziecku, który opis do którego zwierzęcia się odnosi, gdyż zaniedbano ponumerować okazy a wskazówki tekstu wiele pozostawiają do życzenia pod względem dokładności. Nauczyciele zaś, obeznani z nauką, pominą tekst, a co do obrazków, to przeniosą nad nie tablice większych rozmiarów, których autorowie więcej dbali o poprawność i estetyczność rysunku, niż ten, co rysował i malował ryciny użyte w *Świecie zwierzęcym*.

Zwróciwszy tu uwagę na dydaktyczną stronę książeczki, nie wdając się już w szczegóły dotyczące samych opisów, naprzód dlatego, że to nie moja specjalność, a powtóre ze względu na to, iż wykazywanie błędów w i uchybień wtedy tylko mogłoby mieć praktyczne zastosowanie,

gdyby całość odpowiadała celom pedagogicznym. Nadmienię więc tylko, że ponieważ opisy odnoszą się zazwyczaj do strony zewnętrznej, niema w nich błędów rażących. Mimochodem zauważę, że tę klasę zwierząt, którą autorka *Wieczorów czwartkowych* mianuje *zestawne-mi* (str. 8), nazywają u nas popospolicie *stawowaleni*.

— P. Ferdynand Hösick, księgarz i nakładca warszawski, powziął był przed kilku laty myśl wydawania *Biblioteki ilustrowanej dla młodzieży*, któraby mogła być dla pokolenia społecznego tém, czém była niegdyś dla wielu generacji *Biblioteka Campego*, albo *Pisma Klementyny Tańskiej*. Miała ona w przystępnej i zajmującej formie podawać wiadomości ze wszystkich niemal dziedzin nauki, zgodnie z dzisiejszym jej stanem. Zamiar sam był niewątpliwie godzien szczerzego uznania i poparcia. Powodzenie wydawnictwa zarówno moralne jak i materialne zależało od pierwszych kroków w przeprowadzeniu projektu do skutku. Tymczasem gdy z końcem 1875 roku, ale z datą następnego, ukazały się trzy pierwsze dziełka stanowiące zawiązek *Biblioteki* a mianowicie: 1) *Złota książka*; 2) *Mały i wielki świat dziecięcy* i 3) *Dobre dzieci — zaci ludzie*; krytyka zauważyła, że są to bardzo nieudatne przeróbki z niemieckiego, w których zaniedbano nawet wyrzucić to, co specjalnie dla Niemców mogło mieć interes, ale dla nas całkiem było obojętnym; że dalej same te wzory niezawsze odznaczały się należytemi zaletami, będąc częstokroć suchym, niezbyt zrozumiałym przedstawieniem rzeczy i wypadków; że dopełnienia odnoszące się do spraw kraju naszego w większej części były nadzwyczajnie mierne. Prócz tego niemile raziła każdego ta okoliczność, że dla dzieci polskich drukowano książki w Niemczech, jakby za smutnych czasów Bogumiła Korna, że w ilustracyach były napisy niemieckie, że południe nazywało się: *Süd*, a północ: *Nord*, miód: *Honig* i t. d. i t. d. Słowem, w całym wydawnictwie wiał duch cudzoziemczyzny, mniejsza że niemiły dla uczuć naszych, ale nader niekorzystny dla prawidłowego rozwoju umysłowości dzieci naszych. Że papier był ładny, druk czysty, ilustracye niezłe rysowane i dobrze odbite, to nie mogło przeciwważać ani niezbyt szczęśliwego wyboru treści, ani ducha nieswojskiego, ani okropnych błędów korektorskich, ani smutnych omyłek pod względem czystości języka ojczystego. Ceniąc dobre chęci wydawcy, niepodobna było nie zwrócić jego uwagi na niestosowność środków użytych do urzeczywistnienia tych dobrych chęci.

Spostrzegł to bezwątpienia i sam pan Hösick, to też w następnych tomach starał się wprowadzić pewne zmiany na lepsze. Z początku zmiany te były ledwie dostrzegalne; następnie ujawniały się coraz bardziej a w końcu wyraziły się trzema książkami, których treścią był kraj nasz własny. Podobnież i co do zewnętrznej strony. Pan Hösick drukował ciągle zagranicą, usunął tylko firmę drukarni lipskiej; wreszcie oddał ostatni z dotychczasowych tomów do drukarni polskiej. Nie wyrażamy z tego powodu wdzięczności dla wydawcy, gdyż w motywach, które go do téj zmiany spowodowały, musiał grać

niepospolitą rolę nizki stan waluty miejscowej; zaznaczamy jedynie fakt i wyrażamy opinią, że dobrzeby się stało, gdyby wydawca od samego początku w tenże sposób postępował.

Jeżeli się rozpatrzmy w wewnętrznym układzie *Biblioteki*, to łatwo zauważymy, iż kolejnym następstwem tomów nie kierowała wcale myśl wytrawna, zasadami dydaktyki przejęta. Przechadzkę wychowawczą rozpoczęto od odwiedzin wielkich lub wspaniałych grobowców, jakie potomność na cześć sławnych mężów w pamięci swój wystawiła; a następnie przebywszy ogromne koło wędrówek po całym świecie, zawrócono do rodzinnej zagrody i, jak dotychczas, rozpatrzono ją tylko z dziejowego stanowiska. Kto tylko choć troszkę obeznany jest z zasadami dydaktyki, od razu oceni niewłaściwość takiego planu podróży. Pedagogowie każą nawet w nauce systematycznej rozpoczynać od zagrody rodzinnej i stopniowo rozszerzać zakres do powiatu, kraju, państwa, części świata i t. d.; pedagogowie każą zaznajamiać z płodami natury i zwierzętami z najbliższego naszego otoczenia, a nie podziwiać rajskie ptaki, studyować budownictwo Eskimów, florze podzwrotnikowej się przypatrywać i drżać na wspomnienie gór ognionosnych. *Bibliotekę* p. Hösicka każdy wychowawca musi sam porządkować według pewnego planu; a to będzie możliwem wówczas dopiero, gdy już wydawnictwo ukończy się w zupełności.

Tymczasowo wypada rozejrzeć się w publikacji podług układu chronologicznego, jak pojedyncze tomy się ukazywały.

Wydawnictwo rozpoczęło się od życiorysów, których ogół można podzielić na dwie nierówne części: pierwszą i większą zarazem zapelniają biografie ludzi, którzy wstawili się na polu nauki, sztuki i przemysłu; drugą zaś życiorysy tych, którzy czynami wojennymi lub zdolnościami politycznymi wybitne zaznaczyli ślady swęj pielgrzymki ziemskiej. Wyszła następnie druga książeczka, która może się uważać za miniaturowe wydanie tęj pierwszej; zawiera bowiem kilkadziesiąt krótkich opowiadań z życia ludzi mniej lub więcej historycznie znanych, a odznaczających się jakąkolwiek zaletą moralną. Starożytność uwzględniono tu bardzo słabo; plemieniu natomiast germańskiemu wydzielono zanadto miejsca i zanadto pochwał. Nad wartością tych książek nie będę się tutaj zastanawiał; uczyniłem to już dawniej na innem miejscu (*Gazeta Polska*, 1875, nr. 289, 290).

Podobnież o pierwszej części *Malego świata dziecięcego* wypowiedziałem tamże swe zdanie. Tu jedynie dla związku ze sprawozdaniem o części drugiej nadmienię, że jest to tak zwana *nauka o rzeczach*, ujęta w luźne opowiadania. Można się tu dowiedzieć o dawnym sposobie pisania, o drukowaniu książek, o cukrze, soli, gąbce, wełnie, jedwabiu, igle, drutach, drzewie, węglu, zegarze, kalendarzu, porach roku i t. d. i t. d. częstokroć bez żadnego innego związku, prócz praw zwykłego kojarzenia się wyobrażeń i pojęć. W końcu książeczki jest próba zamiany wyobrażeń na pojęcia; autor określa tu znaczenie przyrody i przemysłu, wskazując ich namacalne różnice i przedstawiając

twory natury kopalne, roślinne i zwierzęce, zawarte pomiędzy czterema ścianami pokoju; w dalszym ciągu tych uogólnień daje pojęcie o domu, o wsi i mieście, o państwie, częściach ziemi i świecie. Uogólniając treść zawartą w tym tomie, można się zgodzić z autorem, że się starał objaśnić tu dzieciom prawa astronomiczne i geologiczne w ich najprostszym kształcie, chociaż nie zaniedbywał również opisów ze świata roślinnego, zwierzęcego i ludzkiego.

Tom drugi *Małego i wielkiego świata dziecięcego* ma jeszcze napis oddzielny: *Z domu i ze szkoły*. W przedmowie wystosowanej do rodziców i nauczycieli czytamy, że zamiarem autora było: otworzyć głębinę *wewnętrznego* życia, o ile te występują na jaw w samych ludziach, w przyrodzie, w dziejach i baśni; ażeby tym sposobem wyrobić sumienie w młodych czytelnikach, będące „jedyną łódką ocalenia” wpośród wzburzonych fal panoszącego się dziś materializmu etycznego. Autor niemiecki zapatrując się na normalne stosunki swego kraju, wyprowadza wychowanka z rodziny do szkoły i pięknie określa stosunek, jaki pomiędzy nimi zachodzić powinien. Najbliższy krok z domu rodzicielskiego, powiada, prowadzi na podwórze i do ogrodu, na pola i błonia, jeżeli pod *zewnątrznym* jego względem według czasu i przestrzeni się mierzy. Przeciwnie dla wyższego, *duchowego* życia najbliższa i bezpośrednia droga prowadzi do szkoły. Szkoła bowiem w stosunku do domu rodzicielskiego nie jest bynajmniej czemś obcym dla dzieci i rodziców; wszakże i dom rodzicielski był także szkołą. Każdy krok w świat obcy, choćby nie wiem jak bliski, grozi dziecku niebezpieczeństwem, jeżeli nad niem nie czuwa opieka rodzicielska lub nauczycielska. Przeciwnie szkoła, choćby była co do miejsca najdalszą, jest bliżką domu rodzicielskiego, gdyż się w tymże domu rozpoczyna. Stosunki między rodzicami i nauczycielami powinny być najgłębsze, najserdeczniejsze. Każdy prawdziwy nauczyciel jest właściwie ojcem; każdy ojciec jest właściwie nauczycielem, prawym doradcą dzieci. Piękne te słowa mogły i powinny być znaleźć modyfikacją pod piórem tłumacza polskiego, któryby zwrócił uwagę na obecne stosunki szkolne, które w harmonii ze stosunkami domowymi niezawsze zostają. Pedagogika jest nauką praktyczną; to też wymagań swoich nie stawia jako rozkazów absolutnych ale jako rady, których zastosowanie od wielu okoliczności zależy. Niema wątpliwości, że ideałem jest wzajemne uzupełnianie się domu i szkoły, w celu harmonijnego wykształcenia charakteru dziecka; gdzie jednak uzupełnianie się to napotyka trudności nieprzewidywane, tam dom musi zastępować niedostatki szkoły.

Co do samej treści książeczki, to autor zgodnie z wyżej zaznaczonym zamiarem zachęciwszy przedewszystkiém w sposób zajmujący, bo obrazowy, do uczęszczania do szkoły i wykazawszy w ogólnych zarysach, czego się tam nauczyć mogą, zapoznaje młodych czytelników z pięcioma częściami świata w następującym porządku: Europa, Ameryka, Afryka, Azja i Australia, usprawiedliwionym względem „ważno-

ścią” tych części; a następnie rozpowiada o wodach i łądach. Stanowi to pierwszą grupę opowiadań. Druga grupa obejmuje w powieściowych zarysach najprzód opis samej szkoły, jako też ogródka dziecięcego, a potem wiadomości z życia roślin i zwierząt, przyczem występuje naturalnie i człowiek. Ten jednak stanowi jeszcze osobną grupę, w której pomieszczono niektóre ustępy z historii biblijnej, dano objaśnienia co do dziejów i podań, ilustrując wykład odpowiednimi przykładami.

Z tego zestawienia widzimy, że w układzie części przewodnicząca stała myśl, systematycznie, a jednak bez formalizmu zgarniająca pojedyncze ustępy w pewną zaokrągloną całość. Ale chcąc mieć pojęcie o sposobie przeprowadzenia tej myśli, należy pamiętać, że rzadko kiedy znajduje się tu suche wyliczanie albo definicya; zwykle natomiast ożywiono pogadankę przypowieściami, podaniami, wprowadzeniem osobistości ze świata dziecięcego, zwrotami porównawczemi, które przypominają wychowawcom rzeczy blizkie, dobrze im znane, ażeby dać wyobrażenie o rzeczach odległych, mniej znanych. Tak np. opis Afryki rozpoczyna się od następnego zestawienia: „Dzieci, które na południowym krańcu Europy w mieście Gibraltarze mieszkają, mogą codziennie nawet ze swych okien na modrawe zarysy gór spoglądać. Mają one tak blizką drogę od jednej części świata do drugiej, jak np. dziecko w Sochaczewie, które swą ciotkę w Warszawie pragnie odwiedzić. Ale morze jest tam w pośrodku; więc kto chce się dostać na tamtą stronę do Afryki, musi, ponieważ skrzydeł niema, pojechać tam okrętem; w kilka też godzin na miejsce przybędzie” (str. 15). Użył nadto autor żywiołu fantastycznego w ten sam mniej więcej sposób co i p. Carey, to jest ożywił przyrodę martwą, rośliny i zwierzęta obdarzył mową i kazał im przemawiać do wyobraźni dziecięcej. Co tam z powodu życiorysów węgla, soli i t. d. powiedziałem, to i tu w znacznej części zastosować się daje. Główną różnicę stanowi tu wyobraźnia niemiecka, w której poetyczna rzewność przemienia się niekiedy w mdłą sentymentalność, a humor bywa częstokroć wymuszonym, wysmarzonym produktem a nie sokiem ożywczym. Chętnie jednakże uznajemy, że są też miejsca wielką pięknosciami się odznaczające. Gdy np. młodzieńca jodełka uskarża się, że jęj na choinkę nie ścięto i woskowemi świeczkami nie ubrylantowano, rozumne słonko tłumaczy jęj, że dobrze się tak stało, gdyż nie zmarnowano jęj na bezcelową zabawę; a chcąc pocieszyć ją, promieniami swemi tak rozjaśniło każdą kropelkę wody na igłach jęj kołyszającą się, że zaiskrzyły się wszystkie jedna czerwono, druga zielono, potem błękitnawo, żółto, złociście, srebrzyście—i mieniły się różnemi barwami. A było to w początkach wiosny. Od ciepłego słonka, ogrzewającego ziemię, ocknął się chrabąszcz, który pod kępką mchu przebył swój sen zimowy. Gdy ujrzał drzewko pełne iskrzących się świeczek, sądził, że słonko wyprawia jakąś huczną biesiadę dla lasu całego; zawołał więc głośno na swych braciszków i na siostrzyczki śpiące. Wtedy zadrgnęły śpiochy zimo-

we, poczęły sobie przecierać oczęta i wyszły z pod bryłek ziemi. Zgiełk ten przebudził maika, który gniewnie zamruczał: „co to ma znaczyć? jeszcze się nie wyspał jak należy i całe ciało moje jeszcze ospałe i ciężkie; dlaczego nie dajecie mi spokoju i budzicie mię, kiedy śpię w najlepsze?” Ale gdy usłyszał, co się stało, sam wygramolił się z ziemi i innych śpiochów porozbudzał. Wtedy wszystkie istotki usadowiły się wkoło jodły i cieszyły się z jój blasku; ba, tak się nawet rozochociły, że niektóre z nich, co choć nie tak pięknie jak konik polny, ale przecież wcale nieźle mogły rzępolić i nawet skrzypeczki swoje pod pokryciem skrzydełek nosiły, zaofiarowały się zagrać do tańca. Wprawdzie maik uważał za rzecz niewłaściwą, by już od rana wdawać się w hulankę; ale nasi muzykanci wysmarowawszy struny kalafonią, którą przy sobie na nóżkach nosiły, zagrały tak ochoczo a inne chrząszcze poczęły się tak żywo wkołko obracać, że nawet ociężałe maiki porwane zapałem tanecznym, zaczęły się kręcić wraz z innymi.

W ten sposób roztacza się ten miluchny obrazek budzącego się życia w naturze; nie braknie tu ani chmurek, ani ostrego wietrzyka, ani roztropnego jelonka, który dostrzegłszy w pobliżu szarego potwora w postaci ropuchy, trącił sąsiada swego różkiem i wywołał popłoch w całym ochoczém gronie; musiało się ono rozproszyć czémprędzej i schować pod ziemię lub mech: ropucha markotna, że nie mogła się pożywić, wróciła, zkąd wyszła. Pod drzewkiem znowu zapanowała cisza, wszystko zdawało się obumarłem, tylko wiatr szeleścił po zeschłych liściach, które na ziemi leżały.

Nie wszystkie jednak pomysły są równie udatne; najpospolitszą w nich wadą bywa zbyt duża, a więc nużąca rozwlekłość, spowodowana ciężkim i trudnym lotem wyobraźni, która musi się długo kotłować w powietrzu, zanim nabierze śmiałości do wędrówki. Do takich należy, między innymi, pielgrzymka liszki (str. 74—80). Gdyby jeszcze styl był żywszy, możeby wada ta niezbyt raziła; ale niestety, styl tu prawdziwie niemiecki, wedle tradycyjnego pojęcia o nim: pełno w nim zdań wtrąconych, pełno przymiotników i przysłówków, które ścisłości dodają, ale ujmają jędrności. Tłómacz polski, starający się zresztą o zastosowanie tekstu niemieckiego do stosunków miejscowych, nie pomyślał jakoś o nadaniu okresom i zdaniom złożonym toku polskiego, lecz wiernie przekładał to, co w oryginale wyczytał. Któreżto dziecko w Polsce chętnie odczyta taki np. ustęp: „Gdy zaś nagle, *tak duży jak palec, mały gwarek na nitce, który był jego liną* (?) jakby ze studni został na wierzchu wyciągnięty i zrazu wychylił *maleńką, ładnie pomalowaną* główkę *drewnianą*, a potem poruszając rękami i nogami zeskoczył z szybu, *natenczas* wszystkie dzieci zawołały radośnie: witaj, mały górniczku, witaj!” Heżto potrzeba wysiłku, ażeby dzieci należycie ogarnąć mogły wszystkie własności następnego opisu: „Budynek szkolny stał na *dużym, pięknym drzewami obsadzonym* i piaskiem *wysypanym* podwórzu, gdzie mali uczniowie w jednych godzinach, a małe uczennice w drugich biegali i oddawali się *różnym, krótkotrwałym* zabawom.”

Opis ten jest bardzo dokładny, ani słowa, ale jakże ciężki, jak trudny do głośnego odczytania.

To, co w książce: *Z domu i ze szkoły* stanowiło drobną jedynie cząstkę, rozszerzonym zostało w dwu sporych tomach, opracowanych przez Stanisława Strojnowskiego pod napisem: *Ziemia i jej mieszkańcy* tudzież *Europa w obrazach*. Stanisław Strojnowski, zmarły w roku 1878, znany był głównie ze swojej *Geografii fizycznej*, z mapy Europy i z artykułów pomieszczanych w *Encyklopedyi kościelnej*. Zamiłowanie miał wielkie do nauki wogóle, a do geografii w szczególności; to więc co podawał, pozostawało w zgodzie z badaniami umiętnymi; talentu jednak pedagogicznego nie posiadał, jak się zdaje, w wyższym cokolwiek stopniu; do uczniów dojrziałych mógł przemawiać z korzyścią, ale zniżyć się do pojęcia dzieci nie umiał. Wydawca dzieł jego, wchodzących w skład *Biblioteki ilustrowanej dla młodzieży*, w ogłoszeniach swoich przeznaczają je dla młodzieży *dorastającej*; sam atoli autor w przedmowie do książki: *Ziemia i jej mieszkańcy* inaczej trochę przeznaczenie pracy swojej określił. Powiada on tutaj, co następuje: „Oczywiście nasze dzieło wymaga uprzedniej znajomości przynajmniej elementarnej geografii. Posiadającym takową, a zatem *całej prawie publiczności*, która szuka i znajduje rozrywkę w czytaniu, pochlebiamy sobie, że podamy szereg obrazów, mogących posłużyć do odcieniowania i ukolorowania tych rysów konturowych, jakie pozostają po wykładzie nauki elementarnej. Będzie to przeto uzupełnieniem wielkiej i ważnej nauki ziemioznawstwa, które *każdy myślący i żądny oświaty człowiek* pozyskuje przez czytanie opisów miejscowości i podróży, albo, co nierównie jest lepszym, lecz nie każdemu danym w dostatecznej mierze, badanie tego i sprawdzanie w podróżach i spostrzeżeniach własnych. W naszym dziele chcieliśmy zebrać i podać w jednej książce te opisy, które żądny takich wiadomości czytelnik odnajdywać musi po wielu bardzo dziełach i to w większej części obcych.”

Z tych słów przekonujemy się, że Strojnowski, pisząc swoje dzieło, miał na oku tak zwany ogół wykształcony, nie zaś młodzież w szczególności. Wynika to również z odparcia zarzutów, jakie, uprzedzając krytyków, autor sam sobie postawił. Usprawiedliwia się tu np. z tego, że opisy przezeń w dziele pomieszczono nie wyczerpują wszystkiego, co jest godnym poznania; to usprawiedliwienie się ma racją bytu jedynie w tym razie, gdy dzieło przeznaczone jest dla publiki; w stosunku zaś do uczniów byłoby rzeczą zbyteczną, gdyż im potrzeba podawać tylko rzeczy najważniejsze do rozważania.

Jakoż z przejrzenia, choćby kilku tylko, opisów łatwo się przekonać, że one nie dla dorastającej młodzieży, ale dla dorosłej już publiki są przeznaczone. Rozmaita jest ich wartość, stosownie do talentu autora, jedne są pigmne, inne tylko jasne i ściśle, jedne szczegółowe, inne zwięzłe. Strojnowski zbierał te opisy dosyć starannie, korzystając najwięcej z autorów niemieckich; gdzie były dobre artykuły w naszym



piśmiennictwie, nie zaniedbał ich pomieścić; niektóre wreszcie skreślił sam.

Układ całego dzieła jest następny. Najprzód napotykamy „obrazy ziemi w ogólności” w liczbie 29. Tu są objaśnione i opisane takie przedmioty i zjawiska, jak: ziemia, morze, burza i cisza morska, przyptyw i odpływ, prądy, działanie morza na brzegi, okręt, nurek, życie w morzu, budowle nawodne, trzęsienia ziemi, wulkany, wiatry, deszcze, trąby wodne i lądowe, lasy pierwotne, zorza północna, lodowce, świat roślinny i zwierzęcy w rozmaitych stronach ziemi, różnorodność środki pożywienia. Następnie idą opisy główniejszych miejscowości w Azji, Afryce, Ameryce i Australii, przyczém uwzględnione są także zarówno szczegóły z geografii fizycznej jak i z etnologii: wulkany błotniste na Jawie, wylewy Nilowe w Egipcie, ofiary ludzkie w Dahome, życie Eskimów w Grenlandyi, obyczaje Indyan w stepach Ameryki północnej, Botokudów w Brazylii, pastuchów w Australii są skreślone żywo i wyraziście. Daje się tylko dostrzegać pewną nierównomierność w traktowaniu części świata: Azja obrobiona została najobszerniej, gdy tymczasem Ameryka, jakby na przekór wyrażonemu zdaniu w książce: *Z domu i ze szkoły* o jej ważności, doznała uposzczenia. Niektóre opisy, pomimo usprawiedliwienia się autora w przedmowie, nie mogą ująć zarzutu, że są przestarzałe; tak np. *Damaszek*, którego opis wziął autor z pielgrzymki ks. Hołowińskiego do Ziemi Świętej, inaczej się już dzisiaj przedstawia według nowszych sprawozdań. Podobnie i pod względem etnologicznych danych, możnaby dokładniejsze wybrać szczegóły ze znakomitych dzieł Lubbocka i Tylora.

Forma życiorysów musi być szczególnież ulubioną dla wydawcy, bo jak rozpoczął wydawnictwo swoje od *Złotej książki*, tak też obszedłszy cały świat znany, kończy na teraz czterema tomami, w których żywioł biograficzny panuje. Istotnie, niepodobna zaprzeczyć, że życiorysy ludzi znakomitych są jedną z najpotężniejszych dźwigni w sprawie kształcenia charakteru młodzieży; w nich bowiem żywa forma przykładu rozbudza w duszach młodocianych szlachetną w tym razie żądzę naśladowania wielkich uczuć, myśli i czynów, a podając nieraz środki do dopięcia celu prowadzące, zapala umysł, wzmacnia energię, ożywia siły do przezwyciężenia trudności i przekłamania przeszkód, na drodze życia napotykanych. Ażeby jednak podobne skutki wywołać, potrzeba pilnego a sumiennego w życiorysach wyboru z jednej, a umiejętnego i zajmującego obrobienia ich z drugiej strony.

*Znakomite niewiasty*, szkice opracowane przez p. Wandę Żeleńską, zawierają 16 krótszych i dłuższych życiorysów. Jestto, o ile wiem, pierwsza praca na szerszą skalę przez tę autorkę dokonana; zaleca się poprawnością stylu i czystością języka, lecz nie posiada zalet wewnętrznych, któreby ją piękną i prawdziwie pożyteczną książką uczynić mogły. P. Żeleńska, kładąc napis na swój książce, nie zdała sobie widocznie dokładnej sprawy z warunków, jakie od znakomitości są wy-

magane; to, co nazywamy zwykle słynnem, znanem lub osławionem nawet, ona znakomitęm mianuje. Ztądto, obok istotnie znakomitych postaci niewieścich, takich jak: Jadwiga, królowa polska, Klementyna z Tańskich Hofmanowa, Elżbieta, królowa angielska, Joanna d'Arc, pani Staël, Angelika Kaufman, pomieściła także takie osobistości jak: Barbara Radziwiłłówna, Anna Jagiellonka, Marya Leszczyńska, Marya Stuart, Wiktorya Colonna, Krystyna szwedzka, które są wprawdzie niezmiernie często wspomniane, czyto z powodu piękności, czy nieszczęść, czy też dziwactwa swego; lecz mało kto dodaje im epitet znakomitości, zachowując go dla tych, co czynami swemi wielki wpływ na pokolenia całe wywierali. Nie spieram się tutaj o czezy tytuł tylko, ale o rzecz ważniejszą, bo o wszczepianie w młodociane umysły pewnych pojęć, które w przyszłości mogą się i w postępowaniu zaznaczyć. Jeżeli młoda czytelniczka dowie się, że można zostać znakomitością będąc tylko piękną i uwielbianą przez adoratorów, a prześladowaną przez zazdrosne współzawodniczki (jaką się ukazuje Marya Stuart w życiorysie, w książce tej pomieszczonym); jeżeli ideałem dla niej będzie Barbara Radziwiłłówna, to nie dziwnego, że później nie potrafi ocenić prawdziwej wielkości i że się o nią ubiegać nie będzie, mając tak ułatwioną drogę do sławy. Powierzchnownie pojmując powołanie niewieście, autorka usprawiedliwiać się zdaje swój wybór porównaniem kobiet do kwiatów. „Jeśli w pięknie utrzymywanym ogrodzie, ogólną harmonią podnosi, ożywia różnaitość barw i woni, to na niwie dziejowej również rozliczne typy, odbijając się od siebie odrębnością indywidualną, zlewają się w jedną całość i dopełniają niejako. W książce tej spotykamy Joannę d'Arc obok Maryi Stuart, Jadwigę obok Krystyny szwedzkiej, Barbarę Radziwiłłównę obok Karoliny Corday; mimo sprzeczności charakterów i różnicy przebytych kolei, nie wykluczają się wzajemnie, gdyż każda z nich na swęj drodze odznaczyła się potęgą wpływu, talentu czy uroku.” Smak tylko estetyczny podyktował te wyrazy, a gdyby wykonanie odpowiadało naszkiem programowi, nie byśmy nie mieli do powiedzenia przeciw takiemu ugrupowaniu osobistości, pociągających różnorodną grą charakterów, chociażbyśmy książkę taką niekoniecznie dorastającym paniąkom polecali.

Wykonanie atoli nie odpowiada ani estetycznym, ani dydaktycznym wymaganiom. Najlepsze nawet życiorysy, do których barw i wyrażenń nawet dobierała autorka z Szajnochy (*Jadwiga, Barbara Radziwiłłówna*) w skutek skrócenia pierwowzoru, a zatęm nadmiernego nagromadzenia dat szczególowych, a zupełnie tu zbytecznych, utraciły ten powab, jaki miały w pierwowzorzę i zamieniły się na wyliczenie wypadków godnych pamięci. A cóż mówić o tych, do napisania których nie miała autorka tak dobrych, jak Szajnocha przewodników. Wyglądają one, jakby wyjęte z jakiej większej Encyklopedyi, gdzie chodziło o zestawienie na szcuptęj stosunkowo przestrzeni, znacznej liczby szczegółów. P. Żeleńska przedstawia zazwyczaj tylko stronę

zewnątrzną życia tam nawet, gdzie ta ma podrzędne znaczenie, gdy tymczasem działalność umysłowa zajmuje miejsce pierwszorzędne. Opowiedziawszy np. życiorys Klementyny z Tańskich Hofmanowej na 5 kartkach, kończy go następującymi słowy: „Nad znaczeniem i ważnością jój dzieł, *zbyteczném* byłoby więcęć się rozwodzić, gdy weszły niejako w krew i życie kilku pokoleń” (str. 89). Mnie się zdaje, że właśnie dlatego, iż imię i nazwisko Tańskiej tak często jest wspominaném, należało wykazać jój rzeczywiste zasługi, ażeby czytelniczki nie powtarzały tylko za panią matką ogólników w tym rodzaju: „Rozchwytywano jój dzieła; wyjście nowęj książki, stanowiło epokę dla myślących kobiet” (str. 80), bo gdyby każde dzieło Tańskiej stanowiło epokę, należałoby dla myślących kobiet naszych zupełnie nową *erę*, odrębną od dotychczas znanych, ustanowić. My zazwyczaj umiemy wiele hymnów pochwalnych na cześć naszych znakomitości wyśpiewać, ale nie potrafimy wykazać rozumowo motywów naszego uwielbienia; walczyć przeciw tęg wadzie, a nie utrwać ją potrzeba. Inną razą autorka tak się gubi w drobnych szczegółach, iż nie podaje nawet zarysu wielkich przymiotów opisywanej znakomitości; czytelniczka, która uważnie odczyta biografią Elżbiety, królowęj angielskięj, nie dowię się nic o tęg, co ją wielką monarchinią uczyniło, a znakomitość jój zasadać chyba będzie na zmianę „jawnych ulubieńców.” Analiza psychologiczna, zagłębień się w charakter, wykazanie czynników, które na urobienie jego wpływały; natura i rodzaj umyłu: wszystko to dla naszęj autorki jakby nie istniało, chociaż stało się już dzisiaj przewodnią myślą w pisaniu dziejów i biografii. Może autorka sądziła, że takie rzeczy są niemożliwe w życiorysach, pisanych dla dorastającęj młodzieży; możemy atoli wskazać w samęj *Bibliotece ilustrowanéj* jeden tak napisany życiorys w *Złotęj Księżce*, a jest nim biografia Thorwaldsena. Oddawna to już powiedziano, że dziecko jest małym człowiekiem, nie można mu więc skąpić tego światła, którem się radują dorośli, a jeżeli dla nas nie przedstawia już powabu dawną manierą skreślony życiorys, nie wymagamy po dzieciach zainteresowania w całkiem zewnątrznie zarejestrowanym spisie wydarzeń.

Uwagi te postużą nam również do oceny trzech dziełek, zostawionych pod koniec długoletniego zawodu literackiego przez Kazimierza Władysława Woycieckiego. Przepędziwszy swój żywot na skrzętném zbieraniu pamiątek, jakie nam czas z literatury dawnęj zachował i przejęty od młodu miłością dla całego narodu, bez rozróżniania w sercu swojém szlachcica od chłopca, doczekał się licznej rodziny nie tylko ciałem, lecz i duchem z nim spokrewnionęj, zasiadł więc przy kominku i zaczął gwarzyć ze swymi wnuczętami o tęg, co było, wplatając własne przygody w tkankę dziejową, ożywiając wspomnieniem własnych radości i cierpień, chwile wesole i smutne, jakich kraj doznawał. Częstokroć, jakby przeczuwając blizki zgon swój, rzewněj struny dotykał i łzę ukradkiem obcierał, ale nie dawał się opanować rozżaleniu, krzepił w sobie ducha, ażeby malców nie rozmazgać.

W pogadankach swoich nie bardzo się troszczył o systematyczność, do której wogóle skłonności niemiał, a zwykłym u starców trybem z chronologią niezawsze bywał w porządku; chciał tylko wpoić w serca młodociane gorącą miłość wszystkiego, co uważał za dobre i co w znacznej części bywało dobrém istotnie. Lubił często powtarzać dobrze sobie znane historyjki i anegdotki, bo się do nich sercem przywiązał; a co było w sercu, to się chętnie i w mowie ukazywało.

Jak mówił, tak też i pisał. Nie szło mu o sławę wielkiego stylisty, ale o wypowiedzenie tego, co czuł i myślał. Nad układem niewiele się zastanawiał, bo zkażdokolwiek rzecz rozpoczął, zawsze potrafił nawrócić do ulubionych tematów. Nad wynaganiem dydaktyki nie rozmyślał, bo ani czasy, w których się wykształcił, ani chwila literacka, w której najczynniejszy brał udział, ani okoliczności życia, ani skłonność wreszcie nie naprowadziły go na refleksy pedagogiczne. „Opowiem, jak umiem najlepiej, myślał sobie może, szczerém uczuciem przejmę serca moich słuchaczy, to i dosyć; Niemcy niech sobie smażą głowy nad pedantyczną systematycznością i łamigłówkami wychowawczemi, nam wszystkie te sztuki niepotrzebne: otwarta głowa, zacne serce, dzielny duch wydał w przeszłości znakomitych ludzi; niechże i terażniejszość nie opuszcza tych ubitych torów.”

W taki sposób tłómaczymy sobie powstanie trzech dziełek dla dzieci noszących ogólny napis: *Z rodzinnej zagrody*. Pierwsze z nich obejmuje życiorysy, które, mówiąc słowami autora, „stanowią poczet mężów godnych wieczystej pamięci,” przez położenie względem kraju usług pożytecznych w różnych zawodach życia publicznego. Mężowie ci, wszyscy rodem Polacy, żyli w XVI, XVII i początkach XVIII-go stulecia. Na 238 stronicach dosyć bujnego pisma mieści się życiorysów 44, tak, że na każdy przecięciowo mało co więcej nad pięć stronic wypada. Z tych zewnętrznych warunków łatwo wywnioskować, że nie może tu być mowy o portretach wykończonych; trudno nawet biografie te uzczyć nazwą szkiców; są to raczej bardzo pobieżnie kreślone sylwetki, w których rysy zlewają się i przecinają bardzo nieregularnie, tak, że zaledwie niektóre, bardzo wyraziste, rozpoznać można dokładnie. Ażeby zdanie to uwidocznić na przykładzie, dość będzie zastanowić się nad dwoma ustępami, bezpośrednio po sobie następującemi, w pierwszym zaraz życiorysie Zygmunta Starego. Czytamy tu najprzód: „Zygmunt I wstąpił na tron 1506 roku, koronowany dnia 24 stycznia 1507 r., rozpoczął szczęśliwe panowanie. *Przy dobroci i łagodności charakteru*, zajął się troskliwie utrwaleniem porządku w kraju i w dochodach państwa, wiedząc, że ład i spokój w *społeczności każdego narodu*, a zasób i dostatek w skarbie królewskim, dopomagają najsilniej do jego wzrostu i potęgi. Jan Boner, mieszczanin krakowski, a podskarbi Zygmunta I, główną był mu pomocą i wkrótce uskutecznił zamiary oszczędnego w wydatkach swoich pana.” Bezpośrednio potem następują takie zdania: „Król ten w gronie swoich braci odznaczał się obejściem poważném. Gdy ojciec jego, Kazimierz Ja-

giellończyk, powierzył wychowanie synów sławnemu historykowi Długoszowi, ten szczególną zwracał uwagę na Zygmunta, przepowiadając mu świetną przyszłość." Oczywiście, ten drugi ustęp stać powinien przed pierwszym, gdyż mówi o Zigmuncie jako o dziecku i młodzieńcu, a nie o królu. Taka zygzakowata linia opowiadania nie da się pogodzić z wymaganiem jasnego i porządnego przedstawiania rzeczy.

Wybór i uszeregowanie wziętych do opisu osobistości, nastęrcza również niejedną uwagę krytyczną. Na 44 życiorysów, większa o wiele część, bo 28 opowiada o pisarzach zarówno poetach jak prozaikach. Nie dziwny się, że literat najchętniej mówi o literaturze; ale w książce dla dzieci chcielibyśmy widzieć większą różnaitość, gdyż nie każdy chłopiec i nie każda panienska mają pociąg do autorstwa; potrzeba im więc stawić wzory z różnorodnych stanów i zajęć. Tymczasem tu, oprócz pisarzów, mamy tylko królów i wojowników; jednego nawróconego pielgrzyma (Radziwiłła Sierotkę), jednego autora-gospodarza (Jana Ostroroga) i jednego dziwaka (Radziwiłła Panie Kochanku). Ale i wybór, zrobiony wśród pisarzów, niezawsze usprawiedliwić się daje. Pomieszczono tu Niegoszewskiego, który się wslawił zrzęcznością wierszowania łącińskiego na zadany temat; odmierzono mu trzy stronicie, a Mikołaj Kopernik, wielka chluba nasza, nie doczekał się osobnego życiorysu. Nie mógł się pod tym względem krępować autor faktem, że już w *Złotej Książce* pomieszczono króciutką biografią tego geniusza, boć tamże znajdują się także i Kochanowski i Sobieski i Zygmunt Stary i Stefan Batory, o których przecież czytamy i tutaj. Dlaczego jest Wojciech z Konojad Dębołęcki, który chyba dla dziwactw naukowych został w tej książce pomieszczony, a niema Frycza Modrzewskiego? Dlaczego czytamy o Klemensie Janickim, a nie słyszyny o Sarbiewskim? A co do zachowania chronologicznego porządku, dlaczego Klemens Janicki następuje dopiero po Reju, Bielskim, a nawet Kochanowskim; dlaczego Marcin z Urzędowa, który należy jeszcze do XVI stulecia, pomieszczony został po Fredrze, Twardowskim, Kochowskim, a nawet po Potockim i Pasku? Jakże tu wymagać po dzieciach, ażeby odróżniały jedno stulecie od drugiego, jeżeli takiego odróżnienia w książce nie znajdują. Z takich nieopatrznych ugrupowań powstaje ten chaos chronologiczny, który w młodzieńczych zagnieżdżwszy się głowach, bruździ później przez całe życie i nie pozwala nawet dorosłym orientować się należycie w labiryncie szczegółów bez porządku w głowie nagromadzonych.

W miarę, jak postępował w pisaniu książek dla dzieci, Woycicki wyrabiał sobie coraz lepszą formę, naginał się do wyobrażeń i przyzwyczajęń dziecięcych i mowę swoją do ich poziomu umysłowego zaczął stosować. To też pod względem przystępności, o wiele lepsze od poprzedniego jest drugie z kolei dziełko, mające, oprócz ogólnego, szczegółowy także napis: *Pokój dziadunia*. Nie nowa to wprawdzie forma opowiadania, boć jej używali dosyć często pisarze nasi, począwszy od Klementyny Tańskiej, w każdym jednak razie lepsza ona od luźnych i su-

chych opowieści, których żaden stosunek serdeczniejszy nie łączy. Dziadunio, opowiadający wnukom swoim dzieje narodu i jego literatury, z przerwami, powodowanemi przez zajęcia domowe, przez jakieś uroczystości kościelne czy rodzinne, ozywający swoje gawędy wspomnieniami z życia własnego, jest bliższy bądźco bądź serca dziecięcego, niż jakiś nieznany autor, głoszący jakby z katedry o tém, co się niegdyś działo.

W *Pokoju dziadunia*, opisanym szczegółowo, a umiejscowionym w obszernym dworze, otoczonym starymi dębami, poszczerbionym ciosami, których w biegu dziejów doznawał, rozwieszane były obrazki, przedstawiające ważniejsze sceny z życia narodowego, poczynając od czasów bajecznych aż do końca wieku XVIII. Od rozdziału II do XIV włącznie objaśnia dziadunio te obrazki, uprzymienia swoim młodym słuchaczom postaci mężów znakomych i szereg ważnych wydarzeń; rozdział XV poświęcony jest obrazkom życia domowego i krajobrazów ziemi naszej; rozdział XVI maluje dwory, zamki i pałace, mówi o wychowaniu młodzieży i o zmianach, jakim podlegało; w rozdziale XVII czytamy zajmujące szczegóły o obyczajach przodków, o ich życiu rycerskiem i myśliwskiem, o ich pobożności i szanowaniu związków rodzinnych i przyjacielskich; w rozdziale XVIII o niewiastach polskich, o patriarchalnym stosunku dworu ze wsią, o apteczkach domowych, o wstąpieniu ziemian do życia miejskiego; rozdział wreszcie XIX daje zarys doli ludu, mówi o jego pieśniach, przysłowiacz i zwyczajach i kończy się pięknymi i serdecznymi słowami, które tak dobrze charakteryzują usposobienie autora: „Teraz chłopiec przyszedł do swobody, sam na siebie i dla siebie pracuje, zaczyna żyć tak samo jak za Piastów i pierwszych Jagiellonów, a gdy przyjdzie oświata i sam jój potrzebę uzna, wtedy poczuje się człowiekiem i obywatelem własnego kraju. Bodajbym dożył jeszcze tych szczęśliwych czasów. Wrodzone zdolności naszego ludu, męstwo i dzielność żołnierska w boju, czego sam byłem świadkiem tyle razy, wydałyby znakomitych ludzi na pożytek i chlubę krajowi!”

Z tego wyliczenia treści przekonać się możemy, że zarówno zewnętrzna jak i wewnętrzna strona dziejów została uwzględniona, chociaż po większej części w sposób mechaniczny, a nie organiczny: życiu zewnętrznemu poświęcono głównie rozdziały, wewnętrznemu zaś dodatkowe; czasami tylko łączył autor w obraz ogólny obie strony, lub je ze sobą przeplatał. Wiele tu także poświęcono miejsca anegdotom, zwłaszcza myśliwskim, znanym już z poprzednich dzieł Woycieckiego. Nie kładziemy téj okoliczności na karb ujemnych stron książki, gdyż autor w swojej roli dziadunia musiał opowiadać rzeczywiste swoje przygody, a powtórę chociaż starsi oddawna je znają, dla młodych czytelników mogą mieć cały powab nowości.

To, co za istotną ujemność poczytać nam wypada, jest całkiem anegdotyczne traktowanie historii. Zarzut ten nie znaczy bynajmniej, żebym anegdotę zupełnie wykluczał z zakresu wiadomości historycz-

nych dla dzieci, a żądał natomiast wykładu wielkiej polityki i dobadywania się związku przyczynowego pomiędzy wypadkami. Takich wymagań dydaktyka stawiać nie pozwala. Żąda ona tylko, aby anegdota nie była wszystkiém, aby się nie rozpanoszała kosztem rzeczywiście ważnych okoliczności, które dziecko zrozumieć może. Tam gdzie anegdota panuje, niéma właściwej nauki, jest tylko prosta rozrywka. Jeśli czytelnik z całego panowania Batorego wyniesie tylko parę takich frazesów jak: *Disce puer latine, ego te faciam moscipanie, Chociaż zły poseł Pękosławski, ale dobry żołnierz, Wściekły pies raz zabity więcej nie kąsa*; jeżeli dalej z innych ważnych faktów dowie się w dwu wierszach, że „za rządów Stefana ustanowiono trybunały w Lublinie i Piotrkowie dla Korony, a dla Litwy w Wilnie, Nowogródki i w Mińsku,” przyczém nie będzie nawet wiedział, co jest trybunał, to korzyść umysłowa z przeczytania rozdziału może się zredukować do zera.

W trzeciej wreszcie książce, zatytułowanej *Biblioteczka dziadunia*, opowiada Woycicki dzieje literatury polskiej dla dzieci. Ramki tego opowiadania są też same co i w *Pokoju dziadunia*, ten sam nawet sposób wykonania. Ostatni rozdział poprzedniego dziełka, w którym autor opowiadał o ludzie, stanowi punkt wyjścia dla nowego szeregu pogawędek. Jakoż sześć pierwszych rozdziałów poświęca dziadunio obrazowemu i przykładowemu objaśnieniu obrzędów i zwyczajów ludowych, przyczém pieśni i przysłowia najodpowiedniejsze tu dla siebie znajdują miejsce. Jestto pomysł nadzwyczaj trafny i stanowi rzeczywiście największą zaletę ostatniej książki Woycickiego, pisanéj na parę miesięcy przed zgonem. Gawędy rozpoczynają się w drugiej połowie marca. Skowronki nad miedzami oziminy fruują i dzwonią swoje piosneczki wiosenne, jaskółki krążą wokoło przyjaznego sobie domu i niedługo zaczną już lepić gniazdeczka swoje; żabki w sadzawce ogrodowej rzechocą; dziadunio spodziewa się przylotu bociana, więc opowiada powiastkę ludową o tym *Panu żabim*. W maju wychodzi wraz z wnukami na łąki, by się przypatrzeć sianokosom, a przy sposobności przysłuchują się pieśniom, przypominają sobie przysłowia. W czerwcu przyglądają się ogniom sobótkowym, uczą się piosnki o *przepióreczce*, potem następują dożynki. Chcąc wyczerpnąć zakres pieśni ludowych, dziadunio opowiada wnukom o opryszkach i historią Janosika przypomina, którą później uzupełnia podaniem o Doboszu.

Mniej natomiast zadawalniająca jest część druga (rozdział VII do XVIII) przeznaczona na skreślenie zarysu dziejów literatury pisanéj. Zamęt chronologiczny, nieumiejętność w grupowaniu postaci i w uwydatnianiu stron ich istotnie charakterystycznych; drobiazgowość w opowiadaniu o jednych, a sumaryczność w przedstawianiu innych osobistości są to cechy główne, które się do każdego rozdziału z jednakołą słusznością zastosować dają. Uwydatnimy to na kilku przykładach.

Po rozdziale XII, w którym dziadunio opowiedział o przedstawicielach literatury Stanisławowskiej, przypomina sobie w następnym

rozdziale, że nie wspominał do téj pory o jednym z najświetniejszych pamiętnikarzy naszych: o Janie Chryzostomie Pasku. Po załatwieniu się z nim w tymże samym rozdziale, który przez naturalne kojarzenie się pojęć, przywiódł na pamięć i Michała Korybuta i Sobieskiego i Dobosza, traktuje o pisarzach z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego (t. j. o Osińskim, Koźmianie, Felińskim i Lindem). Zdawałoby się, że tu już powinnyby się była znaleźć wzmianka o Morawskim, Żółtkowskim i Kamińskim, oczekiwanie to jednak doznaje zawodu; o Morawskim bowiem dowiemy się dopiero w rozdziale XV, a o Żółtkowskim i Kamińskim w XVIII. A jakaż nierównomierność w opowiadaniu o dawniejszych czasach. Mówiąc o pisarzach XVI stulecia, autor nie waha się podawać dat szczegółowych o pierwszych wydaniach; gdy tymczasem o wielkich poetach naszego wieku zaledwie ogólnikowe znajdujemy wspomnienia. Czasem dziadunio tak się zapomina, że nie wymienia najznakomitszych utworów pisarza, a szeroko mówi o drobniejszych utworach jego pióra. Tak się zdarzyło z Brodzińskim; przytacza tu Woycicki jego *Przechadzkę wieczorną*, jego wiersz: *Matka i dziecię*, mówi o nim jako o profesorze literatury, a o *Wiesławie* ani słyhu; dopiero w następnym rozdziale dowiadują się o nim wnukowie w sposób przygodny, jako niby o rzeczy im już znanéj. Pamięć zawodzi również dziadunia, zwłaszcza tam, gdzie mówi o nowéj epoce; według niego Mickiewicz zapoznał się z Zygmuntem Krasieńskim w Paryżu, gdy wiadomo jaknajdokładniej, że to było w Szwajcaryi; biedzi się także, kogo postawić na czele nowego okresu literackiego, raz więc podaje Kazimierza Brodzińskiego (str. 177), drugi raz Malczeskiego (str. 195), to znów łączy ich obu i mianuje przewodźcami ruchu, to wreszcie Mickiewicza zgodnie z innymi, jako jego inicjatora wystawia. Ma téż swoje przesady i uprzedzenia nasz dziadunio; dla niego, jak zresztą dla całej starszéj generacyi pisarzów, początek literatury polskiéj datuje dopiero od wieku XVI, tak, że wszystkie zabytki z dwu wieków poprzednich za nie są poczytywane; dla niego ody Naruszewicza są bez wyjątku niewarte, bo w nich „niéma ani śladu zdolności poetycznych,” chociaż *Głos umarłych* mógłby okupić bardzo wiele błędów; ale dziadunio zawziął się na Naruszewicza tak dalece, „że niéma co z jego wierszy odeztać,” chociaż sam w szkołach uczył się jego sielanki: *Pawierz staruszka*; dla niego przekład *Syna Marnotrawnego* jest wyższy od oryginału i t. d.

Zasadniczą atoli wadą całej książeczki jest ta okoliczność, że dziadunio chwali i gani pisarzów, wedle swego upodobania, nie starając się nawet napomknąć o motywach wyroków swoich. *Stat pro ratione voluntas*. Co najwyżej wspomina o języku i stylu, jakby tylko z tych dwu żywiołów składały się utwory piękna. Rozumiemy to bardzo dobrze, że lepiéj jest odczuwać piękność utworu, aniżeli unosić się nad nim na zimno; to wszakże nie ulega wątpliwości, że odznaczenie najważniejszych zasad estetycznych w sposób przykładowy na utworach przytaczanych, niezmiernie się przyczynia do rozjaśnienia pojęć



estetycznych i jest nawet nieodzowném do należytego zrozumienia i sprawiedliwej oceny rozwoju poezyi i literatury wogóle. Nasze dotychczasowe historye literatury dla młodzieży nie spełniają tego zadania; ztąd téż słusznie nazwać je można zbiorami bibliograficznymi i biograficznymi, lecz nie historyą w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu.

Zajmując się rozbiorem treści i układu powyższych książek, nie chcieliśmy rozrywać uwagi czytelnika wzmiankami o ich języku, stylu i kształcie zewnętrznym. Tutaj więc musimy kilka słów sprawie téj poświęcić.

Na nieszczęście, niepodobna pod tym względem dać pochlebne-go zdania. Nie możemy tu osobno obwiniać autorów a osobno wydawców, gdyż przy niestaranném wydaniu trudno jest nieraz orzec napewno, czyje niedbalstwo lub niedopatrzzenie zawiniło. Potrzebaby całe stronnice zapisać, ażeby zrobić dokładny wykaz błędów językowych, stylistycznych, drukarskich, ażeby wykazać niewłaściwość lub złe wykonanie rycin. Papier jest pospolicie bardzo piękny, druk czysty i wyraźny, ryciny z klisz zagranicznych zdejmowane, ładnie rysowane, starannie wycięte, czysto odbite; ale na tém już koniec. Jak wielu dzisiejszych kupców wspaniałą wystawą sklepową i elegancyą urządzenia, stara się zakryć lichotę towarów; tak i panowie wydawcy, za bagatelę poczytując sobie korektę, powierzają ją byle komu i wydają dla dzieci dziełka, które nęcają wprawdzie piękną okładką, ale oburzeniem przejmują wychowawcę, pragnącego, ażeby wychowaniec miał w danej sobie książce wzór poprawnego i jasnego wystawiania się. Wydawnictwa szczególnież p. Hösicka, odznaczają się grzeszném niedbalstwem, pod względem interpunkcyi i korekty.

Nie wdając się tu w prostowanie błędów szczegółowych, dosyć powiedzieć, że w książkach Woycickiego znajdują się zdania bez orzeczeń, okresy nieukończone, formy gramatyczne niepoprawne (dzieci *biegali* niezmiernie często), interpunkcyja najfantastyczniejsza. Ilustracye, o ile są wzięte z klisz zagranicznych, odznaczają się zaletami; ale o ile dotyczą rzeczy krajowych, są często straszliwemi bohomazami, których typami mogą być nazwane tak nędzne pod względem rysunku i odbicia drzeworyty, jak: *Porwanie Gertrudy Komorowskiej* (str. 187 *Biblioteczki dziadunia*) lub *Odwiedziny Miekiewicza u Goethego* (str. 199 téjże książki), gdzie poeta nasz wygląda jak żebrak proszący o jałmużnę.

Czas byłby głęboko przejąć się tém przekonaniem, że blichtr nienadługo służyć może, że zatém starać się potrzeba o trwalsze zalety książki, niż piękny papier i bogata okładka. Utalentowanych pisarzy dla dzieci na zawołanie mieć niemożna; ale wydać poprawnie książkę pod względem językowym i stylowym nie jest trudnością do nieprzewyciężenia. Potrzeba dbać nie tylko o oczy dziecka, ale i o jego umysł. Z tego powodu niech mi wolno będzie zakończyć ten przegląd

słowami, które p. A. W. wypowiedział w *Bibliotece Warszawskiej* za rok 1848, pisząc: o najnowszych w literaturze naszej książkach dla dzieci." „Nie rozumiejmy, ażeby oszczędnością było dawać dziecku ladajaką książeczkę, jak mu się wkłada ladajaką sukienkę. Złe-to wyrachowanie poprzestać na niedoskonalszym nauczycielu dlatego, że on ma być do małych jeszcze uczniów. Pamięć u dzieci ma ten przymiot, że wszystko, co pochwyli, do najpóźniejszych lat tak wiernie, tak nieskażenie przenosi! Możnaż takiemu umysłowi wykładać *prawdę niedbale* lub *go nauczać błędów?*”

Piotr Chmielowski.

## Kronika lwowska.

Posiedzenie doroczne w Zakładzie Imienia Ossolińskich.—Pobył Siemiradzkiego we Lwowie.—Poryodyczne wystawy sztuk pięknych.—Nowe szkoły.—Ruch wydawniczy.—*Pisma Juliusza Słowackiego*.—Powieści.—*Rocznik szlachty polskiej*.—*Biblioteka nowości*.—Dramat Kornela Ujejskiego. — *Wilhelm Tell*, przekład Jana Nep. Kamińskiego.—Prasa peryodyczna.—*Lowiec*.—† Prof. dr. Rudolf Günsberg.—Wykłady naukowo-popularne.—Nowy zakład fotograficzny Mieczkowskiego.

Zakład Naukowy Imienia Ossolińskich odbywa regularnie w październiku swe posiedzenia doroczne, ustanowione w celu uczczenia pamięci założyciela, a zarazem aby obznajamiać peryodycznie publiczność ze stanem i czynnościami Zakładu. Sprawozdania roczne na tych posiedzeniach odczytane, tworzą razem wzięte, historią Zakładu, zawierającą pobieżnie przynajmniej wskazane wszystkie główne szczegóły jego rozwoju. Uważnie śledząc takowy w przeciągu dłuższego lat okresu, widzimy znaczny postęp tak w uporządkowaniu spraw finansowych i we wzroście dochodów Zakładu, jakoteż i pod względem jego naukowego znaczenia, pomimo tego, że ze śmiercią takich dwu mężów, jak ś. p. kurator książę Jerzy Lubomirski i August Bielowski, dotkliwej doznał straty. Pamięć zasług obu pozostanie niezatartą w dziejach Zakładu. Książę Jerzy oddany mu całą duszą, w krótkim przeciągu lat, przez który sprawował kuratoryą, wprowadził wiele pożytecznych reform w jego urzędzeniu, a połączenie z nim i przewiezienie do Lwowa Muzeum Lubomirskich, stanowi świetną epokę w życiu Zakładu, bogatym zbiorów jego uposażeniem. Postępując wskazanym torem, pod światłem kierownictwem dzisiejszemu, Zakład rozwija się pomyślnie i dalej organizuje, zwłaszcza że dzisiejsz-

szy zastępca kuratora Kazimierz hr. Krasieki, gorliwie nad nim czuwa i chętnie przykłada czynną rękę do wszystkiego, co tylko z dobrém Zakładem połączone, do pomyślnéj tegoż przyszłości przyczynić się może. Mianowany następcą ś. p. Bielowskiego, dzisiejszy dyrektor Kętrzyński, zajął się zaraz po objęciu téj posady skatalogowaniem i nowém uporządkowaniem rękopismów, stanowiących bogaty, mianowicie pod względem treści, dział biblioteki. Liczba ich doszła już obecnie do 2745. Muzeum pozostające pod dyrekeją Pawłowicza jest obecnie staraniem tegoż wzorowo i umiejętnie urządzone, skatalogowane i opisane, co kilku lat pracy wymagało, zwłaszcza uporządkowanie wedle szkół porządkiem chronologicznym i skatalogowanie bardzo cennego i obfitego zbioru rycin.

Ze sprawozdania tegorocznego dowiadujemy się, że liczba dzieł biblioteki wynosi obecnie 74,165, dubletów 5,000, atlasów i map 1,074, rycin 22,512. Dochodu miał Zakład w roku ubiegłym 34,674 zfr. to jest o 3,000 zfr. więcej niż roku poprzedniego. Książek w tym roku zakupiono za tysiąc kilkaset guldenów, co w stosunku do cyfry rocznego dochodu może jest nieco zamałym na powiększenie biblioteki wydatkiem. Dochody Zakładu wzrosły znacznie przez to, że wydawnictwo książek szkolnych zostało ostatnimi laty oddane przez rząd w komis Zakładowi, co oczywiście dobrze się opłaca a zarazem jest połączone i z korzyścią szkół krajowych. Uzyskanie tego przywileju zawdzięcza Zakład staraniom dzisiejszego zastępcy kuratora.

Z darów uczynionych w tym roku Zakładowi, najznakomitszym jest dar Ksawerego hr. Branickiego, który ofiarował zakupioną po ś. p. Wyzińskim w Paryżu bibliotekę, składającą się z przeszło siedmiuset dzieł treści ekonomicznój. Zbiór ten wraz z ofiarowanym przed laty kilku w darze przez pana Ludwika Skrzyńskiego zbiorem dzieł tójże saméj treści, stanowi najkompletniejszą zapewne w Polsce bibliotekę tego przedmiotu, zawierającą wszystkich najznakomitszych ekonomistów; wszystko cokolwiek godniejszego uwagi napisano téj treści. Do reform przedsięwziętych w upłynionym roku, należy reorganizacya czytelní, przeznaczonój głównie dla młodzieży szkolnój. Zakład bowiem od czasów kuratoryi ś. p. Jerzego Lubomirskiego posiada dwie odrębne czytelnie. Jedna z nich, tak zwana *naukowa*, urządzone jest dla osób czyniących naukowe poszukiwania w książkach i rękopismach Zakładu; druga ma swą osobną bibliotekę podręczną, z której głównie, jak powiedziałem, korzysta młodzież szkolna. Tę więc bibliotekę podręczną czytelní przejrzano w tym roku, przetrzebiono z rzeczy niewłaściwych, a zaopatrzone natomiast w wybór książek celujących pięknym stylem i pożyteczną treścią z wszystkich gałęzi piśmiennictwa. Ażeby zaś dać wyobrażenie, jak ważną rzeczą jest owa reforma czytelní, dosyć będzie wspomnieć, że według spisów regularnie prowadzonych, odwiedziło ją ubiegłego roku w porze zimowój 10,875 czytelników szukających w niej po części nauki, głównie zaś pożytecznej rozrywki. Muzeum doznało także reorganizacyi, miano-

wicie postarano się o to, aby ułatwić publiczności przystęp do zbioru rycin, gdyż przejrzenie tak wielkiego zbioru umieszczonego w tekach, było tak uciążliwem i tyle wymagającym czasu, iż czyniło zbiór cały niemal nieprzystępnym dla ogółu. Otóż obecnie urządzono osobny salon rycin, w którym kolejno, według szkół i epok rozwieszono będą najcenniejsze ryciny. Tym sposobem będzie można mieć najlepszy przegląd tego, co Zakład w tym zakresie posiada, z umiejętną ocenienią wskazówką. Rzeczy wielkiej wartości artystycznej, jak np. kartony łóż watykańskich Rafaela pozostaną stale na widoku, stanowiąc przepyszną salonu artystycznego ozdobę. Inne, jak powiedziałem, będą się zmieniać kolejno. Obecnie zwraca tu uwagę wizerunek ś. p. Augusta Bielowskiego, wykonany przez dyrektora muzeum Pawłowicza i ofiarowany w darze Zakładowi. Odznacza się uderzającym podobieństwem i dobrym rysunkiem.

Jeszcze o jednej reformie wspomnieć wypada. Pomnożono znów liczbę stypendyów o dwa. Kto są stypendyści?

Dla niezujących organizacyi Zakładu nie odrzeczy będzie objaśnić cel tej instytucyi, albowiem ma ona swą doniosłość. Ś. p. Ossoliński postanowił w akcie fundacyjnym Zakładu, aby do prac bibliotecznych używać dwu słuchaczy uniwersytetu, przeznaczając im za kilka godzin dziennego zajęcia w bibliotece Zakładu, stypendya, wynoszące kilkaset guldenów rocznie. Chciał ś. p. Ossoliński, aby tym sposobem znajomość i zamiłowanie literatury wraz ze znajomością bibliografii krzewiły się pomiędzy młodzieżą. Stypendyści mogli być wybierani tylko z grona uczącej się młodzieży uniwersyteckiej. Skończywszy kursa uniwersyteckie, stypendysta tracił tém samém prawo dalszego pobierania stypendyum Zakładowego i ustępował miejsca innemu akademikowi. Piękna była myśl ś. p. Ossolińskiego, aby tym sposobem jak największą liczbę młodzieży obznajmić z życiem literackim i z naukowemi zasobami Zakładu. Rygoryści zarzucali, że Zakład niema należytego pożytku ze stypendystów, jako nieposiadających ani rutyny, ani dostatecznych przygotowawczych wiadomości bibliograficznych. Kilka razy była już nawet mowa o zupełném zniesieniu instytucyi stypendystów przy Zakładzie, a zastąpieniu ich rutynowymi stałymi urzędnikami. Szczęściem nie przyszło wszakże do tego: i owszem nie tylko nie zmieniono pierwotnej myśli założyciela, ale ją jeszcze rozszerzono, pomnażając z biegiem lat liczbę stypendystów, w miarę rozszerzania się w ogóle czynności Zakładu, tak, iż jest ich obecnie zajętych w bibliotece i czytelnici dziesięciu.

Na zakończenie posiadzenia odczytał Klemens Kantecki, skryptor Zakładu, rozprawę historyczno-biograficzną: *Żywot Franciszka Maksymiliana Ossolińskiego*, wielkiego podskarbiego koronnego, znaną czytelnikom *Biblioteki Warszawskiej*.

\*

\*

Dwudniowy pobyt Siemiradzkiego we Lwowie zelektryzował wszystkie sfery tutejszej inteligencji. Przyjmowano go uroczysto

i z taką okazałością, na jaką się tylko był w stanie zdobyć Lwów, ażeby uczcić artystę i okazać mu wdzięczność za czyniony, w Krakowie, podczas jubileuszu Kraszewskiego, dar obrazu *Świeczniki chrześcijaństwa*, krajowi na początek założenia galeryi obrazów, czyli muzeum artystycznego w odnowionych obecnie Sukiennicach. Przyjęciem Siemiradzkiego zajmował się głównie prezydent miasta, jako pierwszy tegoż przedstawiciel. Przyjęcie ułożone było zresztą według zwykłego w takich razach programu. Rozpoczęło się pochodem z pochodniami wyprawionym zaraz wieczorem po przyjeździe Siemiradzkiego do Lwowa, dalej szły kolejną: wspólny bankiet, przedstawienie strojne w teatrze, wieczór u prezydenta miasta.

Najglówniejszą atoli rzeczą, która pozostanie trwałym śladem pobytu wielkiego naszego artysty we Lwowie, jest poparta przezeń we wpływowych kołach tutejszych myśl urządzania stale peryodycznych wystaw sztuk pięknych, którato myśl, powzięta przez grono artystów w Krakowie podczas jubileuszu Kraszewskiego, rozwinięta i poparta przez Siemiradzkiego, znalazła tutaj echo i przyjęła się bardzo dobrze. Wystawy te mają się odbywać co pięć lat naprzemian w Krakowie i we Lwowie, a mianowicie w ten sposób, ażeby we Lwowie przypadają zawsze równocześnie z peryodycznie także co lat pięć urządzać się mającemi wystawami rolniczo-przemysłowemi.

Mamy wprowadzić we Lwowie co roku wystawę obrazów urządzaną przez Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych; ma i Kraków swą wystawę nieustającą, ale projekt obecnie powzięty znacznie się różni przez to, iż tworzy stałą, *krajową* instytucyą, której celem jest zgromadzenie wszystkich sił artystycznych polskich, i popieranie rozwoju sztuki na rozległą skalę funduszami krajowemi. Tę dążność zawiera projekt statutów rzeczonój instytucyi, ułożony w Krakowie i podany tamże na ręce prezydenta miasta Zybkiewicza, do zatwierdzenia rządowi. Ten projekt, przedstawiony tutaj przez Siemiradzkiego licznemu gronu członków rady miejskiej, literatów i artystów, przyjęto i tutaj, z zastrzeżeniem małych zmian, odnoszących się do stosunków miejscowych, i wybrano stały komitet do dalszego popierania sprawy w porozumieniu z wybranym ku temu komitetem krakowskim.

Według pomienionych statutów rzecz cała ma być oddana w ręce wydziału krajowego i pod tegoż pozostawać kierownictwem. Urządzeniem wystaw ma się zajmować komisya artystyczna, przez wydział krajowy wyznaczona; wydział téż ma dawać zaliczkę na urządzenie wystawy z funduszków krajowych, którą sobie następnie z dochodu za bilety wstępu i sprzedaż katalogów potrąca. Tym sposobem będą się téż opędzać koszta administracyi. Przez oddanie instytucyi pod opiekę i zarząd wydziału krajowego, nadaje się jój trwałą podstawę i otwiera pole pomyślnego, coraz szerszego rozwoju. Do dzieł objętych zakresem tych wystaw, należć będą nie tylko utwory pendzla, dłuta i ołówka, ale oprócz obrazów, rzeźb i rysunków, także modelowanie, litografia i drzeworytnictwo, a zatem wszystkie działy sztuki plastycznój. Wy-

stawy te będą się jeszcze tём głównie różnić od dzisiejszych tutejszych, że za dzieła celujące będą rozdawane nagrody z medalów złotych i srebrnych, tudzież listów pochwalnych; będą się też zakupować znakomitsze dzieła do Muzeum w Sukiennicach. Oprócz tego, podczas każdej wystawy urządzona być ma loterya z nieograniczoną liczbą biletów loteryjnych; za cały fundusz uzbierany ze sprzedaży tych biletów, zakupione będą dzieła sztuki z wystawy i równocześnie z tężże zamknięciem, losowane. Będzie to, jak uczy doświadczenie, bardzo skutecznym środkiem zachęcenia publiczności do zwiedzania wystawy i obudzenia większego dla niej interesu, jakotóż w ogóle szerszego zamiłowania sztuki. Będzie to niemniej zachętą i dla artystów, otwierając im szersze pole rozpowszechnienia dzieł swoich. Taki jest w najogólniejszym zarysie projekt, który w życie wprowadzony, może się skutecznie przyczynić do bujniejszego wzrostu sztuki, jakiej nową u nas erę świetnie zainauguowały dzieła Matejki, Siemiradzkiego i innych.

Jeżeli po udoskonaleniu i po wzroście liczby szkół poznaje się stopień cywilizacji społeczeństw, tak jak go Liebig poznawał po ilości spotrzebowanego mydła, to Lwów pod tym względem wydaje o sobie bardzo chlubne świadectwo ostatnimi laty. Nietylko że w przeciągu trzech lat ostatnich zbudowano okazałe gmachy na pomieszczenie dwu szkół ludowych, utrzymywanych kosztem gminy tutejszój, przy parafii św. Marcina i św. Antoniego, ale nadto przybyło w tym roku kilka szkół zupełnie nowo uorganizowanych staraniem i kosztem miasta. Tu na pierwszym miejscu wymienić należy szkołę *wydziałową* żeńską, której niedostatek we Lwowie bardzo się uczuć dawał. Dziewczęta po ukończeniu szkół początkowych miejskich, chcące wyższego nabyć wykształcenia, musiały go szukać w Zakładach prywatnych, które (jakkolwiek Lwów posiada ich kilka wzorowo urządzonych i prowadzonych), nie zastąpią przecież szkoły publicznej, chociażby już tylko dlatego, że nauka w nich z natury rzeczy musi być kosztowna, podczas gdy w szkole publicznej jest bezpłatna, lub za bardzo mierną stosunkowo opłatą. Istniejące tu dwie wyższe szkoły żeńskie publiczne, u pp. Benedyktynek obrządku łacińskiego i pp. Benedyktynek Ormianek, nieodpowiadały bynajmniej zadaniu, tёмbardziej, że przy wielkiej liczbie uczennic ani pomieścić ich nie mogły, ani należycie przeprowadzić systemu wykładów szkolnych. W takich okolicznościach założenie nowój szkoły wydziałowój żeńskiej we Lwowie było rzeczą bardzo pożądaną. Wprawdzie organizacya jój pozostawia jeszcze wiele do życzenia, a dyrekcją poruczono na razie osobie zanadto młodej i zbyt mało doświadczonój na polu pedagogiczném, ażeby mogła mieć należyty takt nauczycielski i dostateczną powagę; ale są to pierwsze kroki w organizacyi Zakładu, mającego piękną przyszłość przed sobą, pod czujnym władz szkolnych okiem. Ktoby chciał się dowiedzieć, czém są szkoły wydziałowe w Galicyi i w jakim kierunku kształcą uczęszczającą do nich młodzież, to z samój ich nazwy domyślicćby się niemógł żadną miarą. Szkoły wy-

działowe obejmują pewien zupełny sam w sobie cykl przedmiotów, stanowiących niejako całość w wykształceniu tych, co niemają zamiaru wyższym oddawać się naukom i wykształcenie swe na téj już zamierzają skończyć szkole. Program ich zawiera tedy pewne ku temu celowi z systemu wyższych nauk gimnazyalnych *wydzielone* przedmioty; ztąd nazwa szkół *wydziałowych*, nie ze wszystkiém stosowna, nad którą w swoim czasie przy obmyślaniu organizacyi szkół rzeczonych w Galicyi i uchwalaniu odpowiedniej ustawy, niemało sobie nałamano głowy.

Drugą szkołą założoną w tym roku przez tutejszą Radę miejską funduszem gminy, jest szkoła ludowa żydowska z językiem wykładowym polskim. Żydzi mają tu we Lwowie dwie osobne swe szkoły ludowe czteroklasowe, założone jeszcze za czasów niemiecko-galicyjskich, z osobnych funduszy żydowskich, w których nauka udziela się w języku *niemieckim*. Napływ dzieci do tych szkół jest ogromny, zwłaszcza od czasu, gdy ustawa zniósła, a przynajmniej bardzo ograniczyła i pod surowy nadzór poddała pokątne szkoły hebrajskie, tak zwane *chajde-ry*, będące źródłem krzewienia talmudycznej ciemnoty. Żydzi postępowi posyłają wprawdzie swe dzieci do szkół miejskich, ludowych polskich, ale nieporównanie większa część posyła do owych dwu szkół żydowskich, przez sam urok téj nazwy i dlatego, że obchodzą w nich święta żydowskie i przestrzegają innych przepisów zachowywanych przez starowierczych żydów. Napływ ten powiększył się ostatnimi laty tak bardzo, że wynikała konieczność znacznego pomnożenia klas, na co wszakże nie wystarczały fundusze szkół rzeczonych. Zwierzchość żydowska udała się tedy do Rady miejskiej o zasiłek kilku tysięcy guldenów na utworzenie nowych klas, dla pomieszczenia zgłaszającej się liczby uczniów. Dawniej Rada miejska udzielała takich zasiłków, obecnie jednak sprawa ta wywołała opozycyą i spór kilkoletni, który się zupełnie inaczej zakończył, bo założeniem przez Radę miejską nowej szkoły żydowskiej. Rada nie przychyliła się ostatecznie do tego, aby dać zasiłek szkole, w której uczą po niemiecku, lecz zażądała zaprowadzenia w takim razie w tych szkołach nauki w języku polskim, wychodząc z zasady, że gdzie język polski zaprowadzony jest w urzędach, sądach, szkołach wyższych i życiu publiczném, tam winien być zaprowadzony i w szkole początkowej, jeżeli takowa ma być prawdziwie użyteczną i do publicznego przyszłego należycie przygotowywać zawodu. Wprawdzie w tych szkołach udziela się nauka języka polskiego, jako osobny przedmiot, ale to nie wystarcza wśród polskiego społeczeństwa. Gdy tedy zwierzchość tutejszej gminy żydowskiej niezgodziła się na spolszczenie szkoły, utrzymując, że większa część dzieci żydowskich, wzwyczajona do żargonu niemiecko-żydowskiego w domu, nie rozumie dostatecznie po polsku, aby w tym języku naukę już od pierwszej mogła pobierać klasy, Rada miejska, nie uznając tego zdania, odmówiła subwencyi na rozszerzenie istniejących obecnie szkół żydowskich niemieckich, a utworzyła natomiast nową szkołę, zastosowaną do wymagań i potrzeb umysłowych i religijnych dziatwy żydowskiej,

w której nauka wszystkich przedmiotów udziela się po polsku. Pomimo pierwotnego swego założenia, szkoła ta imienia Czackiego, nie jest właściwie szkołą wyznaniową, albowiem oprócz żydowskiej i innych wyznań dziatwa nie jest z niej wykluczona. Nauka religii katolickiej udziela się tu w sobotę; podczas nieobecności dzieci żydowskich. Bacząc na główny cel szkoły, rada szkolna zamianowała w niej nauczycieli i nauczycielki wyznania Mojżeszowego. Szkoła na tém nie traci, uczyniono albowiem wybór najzdolniejszych sił pedagogicznych, a seminarya tutejsze nauczycielskie ostatnimi laty wydały wielu bardzo zdolnych nauczycieli i takichże nauczycielek wyznania Mojżeszowego. Tak więc, gdy z jednej strony zarzucano radzie szkolnej, że posady nauczycielskie obsadziła przeważnie, prawie wyłącznie osobami wyznania Mojżeszowego, inni poczytywali znowu taki właśnie wybór za najtrafniejszy, aby zapewnić szkole więżość pomiędzy ludnością żydowską, dla której głównie jest przeznaczona. Nie wchodzę w rozstrzyganie tego sporu, zapisuję to tylko jako rzecz pewną, że kierownictwo szkoły w rękę dzisiejszego jój grona nauczycielskiego jest dobre i można jój z tego względu pomyślny rozwój wróżyć.

Przybyło téż i gimnazyum czwarte, wprawdzie niezupełnie nowo założone, ale zreorganizowane z jednej części gimnazyum trzeciego, na osobne, samoistne. Reorganizacya ta przyczyniła się do znacznego rozszerzenia szkoły i rozwinięcia planu naukowego, skoro zapewnione jój przez rząd i gminę tutejszą fundusze, dozwoliły na lepsze uposażenie profesorów i należyte skompletowanie ciała nauczycielskiego.

W końcu, gdy mowa o szkołach, wspomniéć téż wypada i o szkole muzycznej, nowo otworzonej przez p. Ludwika Marka. Mamy obecnie dwie szkoły fortepianu: w Towarzystwie muzycznym i p. Marka. Ta ostatnia składa się z trzech kursów, tak urządzonych, że na kursie trzecim udziela nauki gry i kontrapunktu sam p. Marek; na obu kursach niższych są nauczycielkami uczennice kursu wyższego. W tygodniu odbywają się wspólne ćwiczenia i popisy kursów niższych wobec dyrektora szkoły p. Marka, na których tenże przekonywa się o postępach uczniów i wytyka kierunek nauki. Prócz rzeczonych popisów i lekcji zwykłych, będzie urządzać szkoła większych rozmiarów popisy muzyczne, rodzaj koncertów mających na celu obznajamiać peryodycznie publiczność z kierunkiem szkoły i postępem nauki.

Najczynniejsza w téj chwili księgarnia Gubrynowicza i Schmidta, uzupełniając nieprzerwanie swe wydawnictwo *Biblioteki znakomitych pisarzy polskich*, ukończyła obecnie czterotomowe wydanie *Pism Słowackiego*. Układem zajął się profesor Małeckie, a wydaniem profesor Amborski, pod którego staranném kierownictwem wyszły już dawniej w téżże *Bibliotece* pisma Zygmunta Krasińskiego, Bohdana Zaleskiego i t. d. Obecne wydanie pism Słowackiego zawiera wszystkie jego poezye, wydane za życia, które zostały ułożone chronologicznie porządkiem, w jakim je tworzył poeta. Dział pierwszy obejmuje poezye liryczne,



drugi poemata, trzeci dramata. Poezyc objęte wydaniem pośmiertném lwowskiém nie weszły do tego zbioru, jako pochodzące z innéj już epiki twórczości poety, których on sam za życia do druku po większój części nie przeznaczal. Jak pożądaném w literaturze było nowe wydanie pism Słowackiego, okazuje się z saméj już trudności znalezienia kompletu pierwotnych za życia jego dokonanych wydań w najzasobniejszych nawet bibliotekach. Wydanie obecne pp. Gubrynowicza i Schmidta, jak można najkompetentniejsze, a przytém poprawniejsze i tańsze znacznie od edycyi Brockhausowskiej, jest istotną przysługą, czytającéj publiczności wyrządzoną.

A jak pożądanemi w ogóle są tego rodzaju zbiory kompletne pism wielkich naszych poetów, dowodzą wydane przed laty trzema przez tę samą księgarnię Gubrynowicza i Schmidta: *Dzieła Zygmunta Krasinskiego* w dwu tomach, obecnie całkiem już niemal wyczerpane, tak że się okazała potrzeba drugiego wydania, które jest już pod prasą i wyjdzie niebawem na widok publiczny.

Beletrystyka zawsze górą. Publiczność łaknie powieści i zawsze chętnie je czyta, a gdyby chcieć ułożyć statystykę czytelniczą, okazałoby się, iż powieści mają u nas zawsze jeszcze przynajmniej dziesięć razy więcéj czytelników i dziesięć razy większy odbyt, niżeli dzieła jakiegokolwiek innéj treści. Mało które wydawnictwo doznało takiego powodzenia, jak wydawana przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta *Biblioteka powieści oryginalnych i tłómaczonych*, która urosła już dzisiaj może do setki tomów, obok równocześnie wydanego stutomowego kompletu dawniejszych powieści Kraszewskiego. Daje to miarę, jak skuteczną i wpływową jest powieść u nas, jak wiele pożytecznéj nauki można w téj formie podać szerokim kołom i ile artystycznego obudzić smaku, a zarazem, jak ważną rzeczą jest dobry tutaj wybór i jakiej doniosłości może być tego rodzaju wydawnictwo. Obecnie mamy dwie, świezo z pod prasy wyszłe oryginalne powieści. Znany już dawniej z fejetonu jednego z pism codziennych: *Rubin wezyrski* przez Przyborowskiego i *Misya familijna* przez autora *Kłopotów starego komendanta*, którymto pseudonimem lubi się mianować znany tutejszy humorysta. Od lat kilku p. Wilczyński—onto bowiem jest tym autorem, niebędącym nigdy w kłopotcie, gdy chodzi o napisanie powieści—uprawia gorliwie tę niwę, zasycając nieprzerwanie swych czytelników nowellami i humoreskami, fotografowanemi z życia powszedniego. W tych fotografiach Wilczyński bywa może czasem zanadto drobiazgowy, zanadto białej używa treści za kanwę do haftowania swych postaci i obrazków obyczajowych; z tém wszystkiém posiada on wiele zdrowego humoru, wiele ujmującej prostoty w rysunku i trafnego nieraz dowcipu w charakterystyce, co mu tóż zjednało u nas taką wziętość, jakiej żaden z miejscowych nowelistów i powieściarzy w téj chwili przynajmniej nie posiada. W obecnej najnowszej swéj powiastce kreśli obrazek kółka domowego, znany, zpod strzechy szlacheckich domków naszych, obrazek, w którym ciocia Filomena, z ulubionym swym ko-

tkiem Wiernusiem, areypociesznie, a wiernie z tradycyi naszkicowana, przypomina flamandzkie tego rodzaju obrazki, na polski grunt przeniesione.

\* \* \*

Najmłodsza z księgarni tutejszych, bo zaledwo od trzech lat istniejąca księgarnia Łukaszewicza, wstępuje także na tor wydawniczy i ogłasza dwie szerszego rozmiaru peryodyczne publikacje: *Rocznik szlachty polskiej* i *Bibliotekę nowości*, wychodzące zeszytami. *Rocznik* ma to być na wzór almanachów gotajskich, układany spis genealogiczny wszystkich żyjących rodzin szlacheckich polskich, połączony z kalendarzem i ma wychodzić co roku w jednym dużym tomie. Taki jest program wydawnictwa, którego wartość będzie zależéć od tego, o ile zdoła zebrać i objąć w umiejętném zestawieniu istotnie ważne szczegóły, mogące być materiałem do heraldyki i historii kraju.

Zakres *Biblioteki nowości* jest, jak z samej nazwy widać, niezmiernie rozległy, albowiem wchodzi w jej program nowości ze wszystkich działów nauki i literatury, a więc zarówno poezyc i powieści, jak prace z dziedziny historii nauk przyrodniczych, pamiętniki, podróże i t. p. słowem, cokolwiek nowością przedmiotu i myśli, a wartością treści godnym będzie publikacji. Jak ona wypadnie, czy odpowie zapowiedzi programu, to już zależy całkowicie od redakcyi i dobrego kierownictwa. Jeżeli trafnym wyborem dzieł, celujących wartością, potrafi odrazu dobrze się przedstawić publiczności i zjednać sobie jej sympatyę, a powagę w kołach literackich; jeżeli w wyborze utworów do ogłoszenia przeznaczonych, będzie się kierować umiejętnym krytycznym sądem i umieszczać w swój *Bibliotekę* jedynie nowości piorznomitych, nie mieszącąc plew ze zdrowém ziarném: wówczas można z pewnością wróżyć powodzenie nowemu wydawnictwu, które, obejmując w swym programie wielką rozmaitość przedmiotów, już tém samym będzie ponętniejszém od innych wydawnictw, tém bardziej, iż jako *Biblioteka nowości*, będzie niejako zwierciadłem współczesnego ruchu umysłowego i literackiego, z którego postępem ma obznajamiać czytelników. O ile *Biblioteka* spełni to zadanie i sprawdzi powzięte z programu nadzieje, wkrótce się przekonamy, albowiem ma zacząć wychodzić jeszcze przed Nowym Rokiem.

\* \* \*

Kornel Ujejski przerwał przydłuższe milczenie. Temi dniami wyszedł z pod prasy jego dramat: *Smok siarozysty*, napisany wierszem białym, w dwu częściach, z których pierwsza nosi tytuł *Preecz*, a druga *Smok swatem*. Pomimo że tworzą razem jeden dramat, każda z nich stanowi zaokrągloną w sobie całość i może być za osobny dramat uważana. Najnowszy ten utwór Ujejskiego, posiada wiele wysokich piękności i ukazał dar jego poetycki w całej sile, z tą różnicą, że gdy dotąd wszystkie utwory Ujejskiego miały cechę liryczną, a nawet zatytu-

łowany dramatem utwór lat jego młodzieńczych *Samson*, jest właściwie tylko poematem lirycznym, w dramatyczne odzianym kształty; to w obecnym utworze przeciwnie, myśl poety rozsuwa się działaniem pełnym dramatycznej plastyki i dramatycznego interesu, charaktery są przeprowadzone wyraziście, a akcja potęguje się ze znajomością duszy ludzkiej i wrażeń scenicznych. Nowy to kierunek poetyckiej twórczości Ujejskiego, w którym, sądząc po tém pierwszym tego rodzaju dziele, stanie równie wysoko jak w swych poezjach lirycznych.

Dramat Ujejskiego odgrywa się w kółku rodzinném, pod polską strzechą. Treść jego wzięta z wypadków codziennego życia, z akordów składających grę zwykłą uczuć, objawiających się walką miłości z wymaganiami światowemi i obowiązkami. Ma wszakże dramat ten i swoją tendencją społeczną, i ta jako ton główny, zasadniczy, służy niejako za grunt, na którym się odgrywają wypadki jego, który tworzy jego tło i nadaje stosowny koloryt. Główną postacią, a przynajmniej najbardziej może charakterystyczną, jakby wprost z życia wiernie naszkicowaną, jest ów *Smok siarczysty*, potomek wielkiego rodu, wnuk hetmanów, podniosły i szlachetny umysł, zacnego usposobienia, w boju dzielny żołnierz i ztąd „smokiem siarczystym” zwany. Piękny ten w gruncie charakter, kolejną wypadków w świat rzucony, ścigany przeciwnościami losu, nie znalazłszy nigdzie gorącego serca, ni dłoni pomocnej, upada moralnie, zostaje włóczęgą i żebrakiem, choć i w tym stanie dumny jeszcze, z ręki spadkowej nie przyjmuje jałmużny; szczęściem dla tego upadłego włóczęgi, z zakrwawioném sercem, lecz hardziej duszy, że zachodzi przypadkowo w dom zacnego majora z Napoleońskich jeszcze czasów, będącego typem żołniersko-szlacheckiej zacności. Córka majorstwa, mieszkająca przy nich, młoda wdowa, to także prześlicznie narysowany wzór niewieści, o pięknej poetycznej duszy, ideał kobiety, pojmującej swe zadanie i z wyższego stanowiska zapatrującej się na swe obowiązki. I tutajto w tém gronie rodzinném, pod tym zacnym staropolskim dachem, znajduje ów „smok włóczęga” dawnych znajomych i serca gorące, niepotępiające bezwarunkowo, lecz usiłujące ogrzać i podźwignąć. Osadzony na leśniczówce, pełniąc obowiązki podleśniczego, wśród pięknej przyrody, wśród lasów świeżości i téj atmosfery moralnej, odświeżającej pierś znękaną, dźwiga się umysłowo i moralnie z dawniejszego upadku, a przywiązawszy się całą duszą do tego świata, pod którego wpływem odżył i nowym stał się człowiekiem, nie chce już nigdy porzucić leśniczówki, lecz znalazłszy tu serdeczne a naiwne dziewczę, pełne dobroci i prostoty, szczerze go kochające, on wnuk hetmanów, żeni się z tą sielską dziewczeczką, prostą właścianką i pewni, że będzie szczęśliwy, spokojni o jego przyszłość, rozstajemy się z dramatem.

Wszakże to tylko połowa treści, bo równocześnie rozwija się tu druga, żywsza jeszcze i wielkimi nacechowana przeciwnościami i bolami serc dwojga, której pomyślnego rozwiązania smok dokonywa. Dziwnie kapryśne jest serce ludzkie. Nie daje się krępować więzami

kastowych wyobrażeń, rozrywa je, własnego tylko słuchając głosu, przepala uczuć ogniami. W dobrach owdowiałej córki majorstwa, rządzącą jest młody człowiek, skończony uczeń uniwersytetu, wyższego umysłu i wykształcenia, którego wartość moralną unie ocenić Celina. W pokrewnych sobie duszach obudza się wnet i rozżarza coraz bardziej miłość, opromieniona całą szlachetnością podniosłego uczucia. Lecz jakże on ekonom i syn ekonomy może śmiać pomyśleć o uzyskaniu ręki bogatąj dziedziczki szlacheckiego rodu, on nie szlachcic nawet. Jakże mu marzyć o takiem szczęściu, jakże i jęj zamarzyć o częms podobnym, wbrew woli rodziców i ich pojęciom kastowym? Otóż i kolizya pełna dramatycznego interesu. Przywiązanie ojcowskie przeważa ostatecznie nad przesądem i major, za pośrednictwem smoka, przekonawszy się o gorącej miłości córki, a szlachetności nieszlacheckiego młodzieńca, przyzwala na ich związek i błogosławi. Smok to uczynił, zdradziwszy przed majorem tajemnicę miłości obojga, a gdyby mu się było nie powiodło owe sprzeniewierzenie ufności przyjaciela i major pozostał niewzruszonym, wówczas smok przygotowany był sam pozór zdrady przyjaciela okupić własnym życiem, tragedya miłości zakończyć strzałem pistoletu, aby się oczyścić z podejrzenia i plamy, mogącęj ztąd spaść na niego.

Główną tedy myślą dramatu jest, jak widzimy, postawienie wyższości moralnej, ponad wysokością rodu i tym podobnymi wyobrażeniami towarzyskimi, błahými, jeżeli im brak gruntu, prawdziwój zasługi i piękna ideału, utrzymującego w łonie ludzkości ziarno prawd Bożych. Tendencya ta wszakże leży tylko w zasadniczój myśli dramatu, wychyla się niejako nieświadomie z jego treści. Główną zaś jego zaletą jest artyzm układu, piękny rysunek postaci, z których każda odmienna, typową przemawia prawdą i wiele zresztą poetycznej piękności, rozszanej we wszystkich dyalogach w każdój scenie. Ujejski zapowiada szereg dalszych dramatów, które podobnie jak dwa niniejsze mają być z sobą powiązane tokiem wypadków i tożsamością działających osób i przedstawić obraz charakterów i życia naszego społeczeństwa w różnych jego kierunkach.

\*

\*

\*

Ażeby uzupełnić powyższe wiadomości o ruchu tutejszój prasy w obecnej chwili, dodać jeszcze wypada, że księgarnia polska kończy druk nowego wydania *Sielanek* Szymonowicza, w swęj *Bibliotece mrówki*, tom czwarty *Śpiewnika* i przekład Szyllerowskiego *Wilhelma Tella* przez Jana Nep. Kamińskiego. Przekład ten powiodło się szczęśliwie księgarni polskój wydobyć z zapomnienia, w jakim pozostają dotąd wszystkie zresztą liczne pozostałe po ś. p. Kamińskim rękopisy. Znalazłoby się pomiędzy nimi wiele rzeczy, godnych wydobycia na jaw. Kamiński bądźco bądź był znakomitym swego czasu pisarzem, a spółcześnie uznawali go powszechnie za najlepszego tłumacza, z powodu wielkój znajomości języka, nad którym odbywał studia z namiętném zamiłowaniem. Kamiński, chociaż tłumaczył bardzo wiele rzeczy dla

sceny, głównie jednak pozyskał sobie sławę na tém polu przekładem dzieł Szyllerowskich, mianowicie całego *Wallenstiejna*, który wyszedł jeszcze za jego życia. Prawda, że przekłady Kamińskiego są może nieco zaciężkie, zanadto posągowo rzeźbione; że może nie zewszystkiem odpowiadają wymaganiom smaku dzisiejszego i niezawsze oddają w całym blasku barwny koloryt oryginału. W swoim atoli czasie przyczyniły się one bardzo wiele do zapoznania publiczności polskiej z arcydziełami literatury niemieckiej i do udoskonalenia języka, pod którymto względem i dzisiaj jeszcze wielką posiadają wartość. Gdyby się dało odszukać wszystkie po Kamińskim pozostałe rękopisy, znalazłyby się między nimi cenne rzeczy, godne ogłoszenia. A że to może nigdy nie nastąpi, bo po śmierci Kamińskiego wszystko jego rękopisy, których pozostało bardzo wiele, przeszły w nieznaną ręce i nie wiedzieć, gdzie się dzisiaj znajdują, dobrze przynajmniej to, co się znalazło, uchronić od zatraty i dlatego poczytać należy za zasługę *księgar-ni polskiej*, że się zajęła wydaniem niniejszego przekładu *Wilhelma Tella*.

\*

Prasa peryodyczna, odnosząca się do niektórych szczególnych działów nauk, rozwija się u nas dosyć pomyślnie i uważać to można za jedną z charakterystycznych cech ruchu tutejszego umysłowego ostatnieni czasy, za najnowszy zwrot w kierunku piśmienniczym. Pisma specjalne, których posiadamy kilka, co na Lwów jest już wiele, jak: *Prawnik*, *Dziwignia* pismo techniczne, *Rolnik*, *Bartnik*, *Lowiec*, zalecają się wszystkie wogóle dobozem treści i dobrą redakcją, każde we właściwym swym kierunku, a nadto zyskują coraz więcej czytelników, coraz szersze uznanie, podczas gdy jedyne tutejsze pismo literackie *Tydzień*, pomimo niezaprzeczonej wartości, równie starannej redakcyi i naukowego kierunku, a może właśnie dla tego zbyt wybitnego kierunku, nie może przecież pod względem finansowym stanąć na pewnym punkcie i w bilansie wydawniczym zawsze niedobór okazuje. Literaturę zastąpił u nas po większej części fejleton dziennikarski i to jest głównie przyczyną, że pisma czysto literackie, jak mieliśmy już kilkakrotne dowody niedawnemi czasy we Lwowie, ostać się i rozwinąć nie zdołają, chociażby najznakomitszemi zasilaly się piórami. Najlepiej z pośród społecznych pism lwowskich, stoi podobno *Lowiec*, który w ciągu dwuletniego swego istnienia zjednał sobie we właściwych kołach gorącą sympatyą z szeroką sferą czytelników, na co też ze wszech miar tak dobozem i wartością artykułów, jako też należytém pojęciem swego zadania i nadzwyczaj staranną redakcją zasługuje. Znajdujemy w nim wielką rozmaitość artykułów znakomitego pióra, powabnie pisanych, jak np.: *Wspomnienia myśliwskie* Kazimierza Wodzickiego; *Obrazki z polowania na niedźwiedzie w Karpatach*, opisy rozmaitych zwierząt i wiele innych, obok licznych korespondencyi, przedstawiających stan społecznego myśliwstwa w kraju

i zagranicą. *Łowiec* wziął sobie za zadanie postawić myśliwstwo krajowe na stopie prawidłowej, na zasadach naukowych opartej i z częstą rozrywką uczynić jedno ze źródeł bogactwa krajowego, tudzież szerzyć znajomość zoologii i ornitologii, o ile zakresu myśliwstwa dotyczą. Ze wszystkich pism tutejszych, jedyny *Łowiec* pisze wzorowo czystą, nieskażenie piękną polszczyzną, co jest głównie zasługą redaktora p. Józefa Łozińskiego, zasilającego to pismo wielu własnego pióra artykułami. Obecnie *Łowiec* związał się także stałe z nowo utworzonym w Krakowie *Towarzystwem rybackim*, przez co znacznie rozszerzyły swój dotychczasowy zakres, wciągawszy wch także rybołówstwo.

\*

\*

\*

W bieżącym tygodniu zmarł profesor politechniki tutejszej dr. Rudolf Günsberg, wykładający od lat dwudziestu chemią i technologią chemiczną. Zmarły był bardzo czynny w swoim zawodzie, nie tylko w zakresie teorii, ale i na gruncie praktycznym i wiele się przyczynił do ożywienia ruchu przemysłowego w Galicyi, zwłaszcza na polu gorzelnictwa. Po ukończeniu nauk i uzyskaniu stopnia doktora filozofii na uniwersytecie w Jenie, oddał się wyłącznie chemii, a mianowany najprzód zastępcą profesora, później profesorem tegoż przedmiotu na politechnice lwowskiej, osiedlił się stałe tutaj, pokochał kraj, żył się z jego obyczajami i przyswoił sobie język polski tak dalece, że gdy przy reorganizacji dawniejszej akademii technicznej, na dzisiejszą politechnikę, zaprowadzono w niej polski język wykładowy, w skutek czego wszyscy profesorowie dawniejsi, będąc Niemcami, opuścić musieli Lwów, przeniesieni do innych krajów monarchii; on jeden pozostał na swój katedrze, będąc w stanie wykładać nadal swój przedmiot po polsku, chociaż, przyjechawszy przed laty kilkunastu do Lwowa, języka polskiego wcale nie umiał. Nadzwyczaj przedsiębiorczy, ciągle podejmował nowe pomysły, chcąc służyć krajowi, przeszczepianiem na grunt praktyczny owoców uprawianej przez siebie umiejętności. Będąc jeszcze zastępcą profesora, zaczął wydawać *Pismo dla polskich gospodarzy*, które to jednak wydawnictwo nie utrzymało się długo; później z ramienia Towarzystwa gospodarskiego redagował przez lat kilka *Rołnika*: w końcu rozpoczął był wydawać *Czasopismo dla gorzelników*, które wszakże zwinął wkrótce, postanowiwszy zamiast wydawania pisma peryodycznego, napisać osobne dzieło w tym przedmiocie. W roku 1867 wysłany na wystawę paryską przez rząd i tutejszą radę miejską, z poleceniem zbadania organizacji szkół technicznych zagranicą, objechał w tym celu Niemcy i Francją, a owocem tej podróży było ogłoszone drukiem obszerne sprawozdanie, obejmujące obraz organizacji i stanu naukowego niemieckich i francuzkich szkół technicznych. W Swirzu, o kilka mil od Lwowa, założył był fabrykę krochmalu, a przy niej fabrykę, wyrabiającą z pozostałości krochmalnych konserw mączną, w kształcie makaronu, służącego na pożywienie,

za co otrzymał list pochwalny na wystawie przemysłowej i dziękczynne uznanie od ministerjum wojny. Jakiś czas zajmował się udoskonaleniem huty szklanej w Majdanie. Podał chemiczne środki poprawienia wyrobu szkła i wzory rysunków, celem nadania piękniejszych artystycznie kształtów szklanym tamtejszym wyrobom. Jakoż doprowadził do tego, że na wystawie rolniczo-przemysłowej lwowskiej, wyroby tamtejszej huty celowały pomiędzy innymi i miały sobie jednogłośnie przyznane pierwszeństwo.

Przed laty kilku zaczął wyrabiać we Lwowie sztuczny pokarm dla dzieci, wedle metody Liebiga, który, zdaniem chemików, ma mieć wszystkie własności mleka macierzyńskiego, a nawet pod niektórymi względami sanitarnemi być lepszym od niego. Przedsiębiorstwo to także nie powiodło się. Chemia nie przekonała naszych matek, nie zastąpiła przywiązania macierzyńskiego, z którym pielęgnując swe dzieci, nie pokładają wiary we fiaszeczkę napełnioną sztucznie naśladowanym pokarmem. Największe atoli zasługi położył ś. p. profesor Günsberg na polu gorzelnictwa. Widząc, że to jest jedyny przemysł rolniczy, uprawiany na rozleglejszy rozmiar w Galicyi i że prowadzony jak należy, może się stać nie tylko znakomitą źródłem bogactwa krajowego sam przez się, ale zarazem i potężną dźwignią rolnictwa, zwrócił głównie starania swe ku podniesieniu tej gałęzi przemysłu na stopę postępową, aby dorównać mogło gorzelnictwu zagranicznemu i skorzystało z wszystkich ostatnimi czasy na tym polu poczynionych wynalazków. W tym celu zawiązał *Towarzystwo gorzelników polskich* i założył swoim własnym kosztem *szkołę gorzelniczą* we Lwowie, która w bieżącym właśnie roku obchodziła dziesiątą rocznicę swego założenia. Wydała ona wielu umiejętnie wykształconych i praktycznie wywiczonych gorzelników i odtądto, można powiedzieć, datuje się era postępowego gorzelnictwa w Galicyi. Na szkołę tę łożył wiele z własnych funduszków, albowiem zasiłki, które na nią uzyskał u rządu i wydziału krajowego, były zbyt szczupłe, aby i w połowie na jej utrzymanie wystarczyć mogły. Jakoż szkoła po jego śmierci upadnie niezawodnie, jeżeli nie znajdzie się ktoś, równie gorliwy, równie niezłomny, obdarzony energią, coby zrozumiał jej doniosłość i z równym poświęceniem i zamiłowaniem zajął się jej losem. Aby wreszcie wszelkimi siłami do wzrostu krajowego przyłożyć się gorzelnictwa i znajomość tegoż na naukowo postępowych oprzędzi zasadach, napisał i wydał zeszłej zimy obszernie dwutomowe dzieło: *Fodrecznik o wyrobie spirytusu*, w którym objął treściwie i przystępnie wyłożoną, z głównym na praktykę względem, całą naukę gorzelnictwa, wraz z dokładnym opisem i krytycznym ocenieniem najnowszych wynalazków i w użycie wprowadzonych aparatów. Jest to jedyne w swoim rodzaju dotąd dzieło w naszej literaturze, albowiem nie posiadamy drugiego, któreby tak dokładnie a zwięźle obejmowało całą naukę gorzelnictwa z wszystkimi wiążącymi się z nią działami. Pierwszy tom zawiera naukę o materyałach surowych, z których się wyrabia spirytus, teorią gorzelnic-

stwa i opis najnowszych aparatów, objaśniony wielu rycinami, których sto kilkadziesiąt w całym dziele się znajduje. W tomie drugim zawiera się nauka kontrolowania wydatków i plan budowy gorzelni, z porównaniem dawniejszych systemów z dzisiejszym. Dziełem tęp, wydaném w przededniu śmierci, pozostawił niejako pomnik swych wieloletnich starań około podniesienia gorzelnictwa w Galicyi. Gdybyśmy mieli wielu podobnie gorliwych ludzi nauki, usiłujących zużytkować na rzecz praktyki przemysłowej owoce umiejętności, przemysł galicyjski stałby o wiele wyżej i rozwijał się pomyślnie w niejednym dziś zaniebanym kierunku.

Na katedrę opróżnioną po zmarłym, ma być, jak słyszę, powołany dr. Julian Grabowski z Krakowa, jeden z najzdolniejszych profesorów młodszego pokolenia, który był przez czas jakiś docentem chemii na tutejszym uniwersytecie; ten sam, co był wysłany w celach naukowych podczas wystawy powszechnój do Filadelfii.

\* \* \*

Nadeszła pora, w której rozpoczynają się co roku wykłady naukowo-popularne rozmaitej treści i w rozmaitych celach urządzone. Wykłady te, co prawda, spowszedniały u nas i nie obudzają już tyle zająęcia co początkowo, przed laty dziesięciu lub piętnastu, gdy były jeszcze nowością i tęp samém, potężnym magnesem przyciągały natłok publiczności. Dziś już tylko wyjątkowo, jakaś szczególniejsza treść prelekeyi lub szczególniejszy sympatyczny nazwisko prelegenta, ma przyczynić gromadzenia liczniejszego grona słuchaczy, i potrzeba, jak zeszłej zimy, prelekeyi Rodakowskiego lub Wojciecha Dzieduszyckiego, aby zelektryzować publiczność i zapełnić salę po brzegi. Stały się one niejako chlebem powszednim, który się ję z potrzeby, którym się żywi i do którego ostatecznie zawsze powraca, chociaż ponętniej wabią i łechcą podniebienie łakocie... teatr i koncerta. Obecnie mamy dopiero trzy zapowiedziane wykłady, na dochód Towarzystwa gimnastycznego *Sokół*, lekarzy: Edwarda Sawickiego i Żulińskiego, tudzież Henryka Schmitta. Ten ostatni, rzecz naturalna, będzie mówił o historii. Żulińskiego ulubionym przedmiotem jest higiena i w licznych swoich co roku prelekeyach, omawia i popularyzuje wszystkie ję działy, stosowując do potrzeb i okoliczności miejscowych. Sawicki wykłada przedmioty, odnoszące się do psychiatriki, której z zamiłowaniem się oddaje, zwłaszcza od czasu, gdy był zastępcą dyrektora, tutejszego Zakładu obłąkanych, na Kulparkowie. Dalszego programu wykładów i dalszych w tym względzie projektów pewnych dotąd niema. Tylko Towarzystwo pedagogiczne urządzi niezawodnie i w tym roku, jak za zwyczaj, kurs, trwający przez całą zimę, od grudnia do maja, głównie dla nauczycielek i praktykantek szkół żeńskich i uczennic seminarjum nauczycielskiego.



Otworzony przed kilką miesiącami nowy zakład fotograficzny p. Mieczkowskiego, zwraca bardzo na siebie uwagę publiczną, nie tylko pięknym artystycznym wykonaniem swych robót, ale także ich treścią. Nie poprzestając na zdejmowaniu zwykłych na zamówienia wizerunków, p. Mieczkowski powziął zamiar kilku artystycznych wydawnictw fotografowanych, mianowicie wydania albumu widoków niektórych miejsc historycznych i albumu archeologicznych zabytków sztuki, do którychto obu zbiera materyały i posiada ich już znakomity zasób. Pomiędzy innymi zdjął kilka widoków miasta Biecza; co zaś do albumu starożytności, nieocenione źródło materyałów ku temu znajduje się w tutejszém muzeum Zakładu Imienia Ossolińskich. P. Mieczkowski postanowił korzystać z zezwolenia kuratoryi Zakładu i uprzejmości dyrektora muzeum, p. Pawłowicza, którego nadto smak artystyczny i znajomość rzeczy, mogą być nadzwyczaj cennymi wskazówkami do wyboru przedmiotów i kierunku wydawnictwa. Oddawna już odzywały się zewsząd życzenia podobnej publikacji, mającej na celu rozpowszechnienie znajomości tych skarbów sztuki i starożytności, jakie posiada muzeum Zakładu Imienia Ossolińskich. Wielkie koszta połączone z tego rodzaju wydawnictwem, stały dotąd na przeszkodzie, którą obecnie usunął p. Mieczkowski, podejmując zadanie, wymagające wiele pracy i czasu poświęcenia. Trzecie album zawiera zbiór fotografii tutejszych literatów, profesorów i artystów. Jest ono niejako wyrazem współczesnej chwili umysłowego życia lwowskiego. Podczas pobytu tutaj Siemiradzkiego, zdjął p. Mieczkowski także jego fotografią w dużym formacie, prawie naturalnej wielkości, która obecnie jest ozdobą jego wystawy.

Władysław Zawadzki.

## KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

...W 116 zeszytcie *Niwy* znajduje się artykuł autora *Dziejów polskich w zarysie* p. n.: *O podziale Historji polskiej na okresy*, mający na celu dowieść, iż podział i charakterystyka epok dziejowych w tej książce są nie fantastyczne ale gruntowne. Najgłówniejsze wyniki tego artykułu, odnośnie do tego przedmiotu są mianowicie następujące. Iż okres drugi (zwany *patrymonialny*) zaczął się w dziejach polskich nie pierwój i nie później jak w połowie XIII wieku, autor usprawiedliwia tén, iż mimo nawet dzielenia się w pierwszym okresie książąt ziemiami, niemamy śladu, iżby przed owym czasem stosunek panujących do stanów krajowych w czém się zmienić; że zaś się zmienić na długo przed przywilejem koszyckim, t. j. rokiem 1374, dowodem są liczne

przywileje szczególne, spotykane już od połowy XIII wieku, a które się każą domyślać prawa ogólnego, a także to wyrażenie w przywileju króla Ludwika z r. 1355, iż nie będzie nakładał nowych ciężarów, jak to czynili król Kazimierz i jego ojciec *ultra consuetam et solitam libertatem*; ztąd bowiem wniosek, iż już za tych królów istniała pewna *libertas* stanów, nie samowolność. Co do epoki trzeciej od początku wieku XVI, nazwanej *prawną*, autor daje do zrozumienia, iż użył téj nomenklatury i tego podziału dziejów *polskich* za przykładem niektórych pisarzy niemieckich, którzy je stosowali do dziejów *niemieckich*, (str. 589); tłómacząc się zaś z zarzutu, dlaczego ten okres, który według wykładu w zarysie był okresem stałej anarchii i bezprawi nazwał *prawnym*, objaśnia iż uczynił to ze względu na ogólną podstawę téj epoki, „organizacya bowiem nowożytna, mówi, zbudowana za ostatnich Jagiellonów, pozostała w całości, tylko nie mogła skutecznie działać, nie mogła się dalej prawidłowie rozwijać” (str. 583).

O książce *Dzieje polskie w zarysie*, a zarazem o wyrażonym w niej podziale na epoki umieszczaliśmy kilka uwag w *Bibliotece* (sierpień z r. b.), objaśnijmy więc dodatkowo, iż chociażby rozumowania artykułu, o którym mówimy były słuszne <sup>1)</sup>; to jednak są one tylko usprawiedliwieniem trzech etapów czyli zwrotów, od których się zaczyna epoki wyrażone w *Zarysie*, ale nie usprawiedliwiają ani tych *okresień* epok, ani tych *wywodów*, jakie wyrażone są w książce. Okres drugi, przypomnijmy, nazwany jest w książce patrymonialnym: „gdyż w nim królowie spokoju o *swe patrimonium*, nadawszy raz przywileje *stanom krajowym*, nie wtręcali się do ich spraw wewnętrznych,” (Zar. str. 9). W obecném objaśnieniu sam autor przeciwnie (lubo zapewne mimowolnie) stwierdza, iż stany żadnych jeszcze w wieku XIII przywilejów nie miały, mówi bowiem między innymi: „Ogólnych w połowie XIII wieku przywilejów niema,” (str. 574), „ani Kościół, ani téż miasta ogólnych przywilejów nie posiadały,” (str. 575); „niema wprawdzie ogólnego przywileju, któryby ziemianom władzę patrymonialną nad właścicielami przyznawał,” (str. 577) i t. p.; mówi téż nieraz już o nadawaniu, już o łamaniu przez królów przywilejów w ciągu téj epoki, co nie oznacza wcale *niewtręcania się* ich w te przywileje, nie objaśnia téż wcale, co w tém wszystkiém miało do czynienia patrymonium królewskie i owszem powtarzając w artykule przymiotnik *patrymonialny*, zdaje się go już raczej do patrymonium ziemian odnosić. Usprawiedliwienie charakterystyki epoki trzeciej słowami, iż „budownikami jęj byli ostatni Jagiellonowie,” jest również wprost przeciwnym wywodem

<sup>1)</sup> Co do nas niémamy je za takie. Wydawanie przywilejów *szczególnych* nie jest dowodem, jak wnosi autor, istnienia *ogólnego*, ale właśnie dowodem *nieistnienia* tegoż. Wyrażenie w *Przywileju* Ludwika *solita libertas*, zdaje się tu tylko stosować do swobody właściwej każdej jednostce, a wzmianka o rozkładanych ciężarach potwierdza owszem właśnie, iż rząd za wspomnianych królów był jeszcze samowolnym, czyli jak autor nazywa *patryarchalnym*.

w *Zarysie*, gdzie ci ostatni Jagiellonowie (dwaj Zygmunci) nie za sprawców *budowy* organicznej, ale za sprawców *ruiny* tej budowy obszernie są podawani. Przypomnijmy, iż w książce swój, określenie tej epoki autor w takich literalnie zawarł wyrazach: „Epokę tę odznaczył sejm polski, będący reprezentantem nie stanów, lecz *całego narodu* i państwa.” „Król polski nie opierał się odtąd tylko na dochodach swych dóbr (swego patrymonium), ale na siłach całego narodu.” Gdy dawniej podstawę wszystkich stosunków, praw i obowiązków publicznych stanowiła umowa, kontrakt w formie przywileju pomiędzy królem a pojedynczymi stanami zawarty, teraz *podstawą wszystkiego stało się urodzone poczucie* wspierania ojczyzny swoją pracą, mieniem i krwią. Państwo więc nowożytnie polskie przestało być patrymonialnym, a stało się *prawnym*,” (*Zarys*, str. 240, 241). Było to owszem powszechnie znaną, a kardynalną właśnie wadą dziejów naszych, że sejm polski był tylko reprezentantem dwu stanów (szlacheckiego i duchownego), a nie *narodu*. Królowie polscy i przed ostatnią epoką opierali się nietylko na dochodach swoich dóbr: dosyć jest wspomnieć na tę wojnę pruską, którą prowadził Kazimierz Jagiellończyk dochodami z poborów przez *sejmy* uchwalanych (Długosz, t. VI, str. 184, 202, 217 i t. p., wydania z r. 1870). Epoka w której uczucie miało zastąpić prawo, czy mogła mieć nazwisko *prawnej*? Gdyby autor w swoim artykule dodatkowym usprawiedliwił te wyrażenia, gdyby przynajmniej dowiódł, że następne skreślenie szczegółowe epoki trzeciej było usprawiedliwieniem tej skreślonej z góry charakterystyki, t. j. odbiciem owego obowiązkowego poczucia i prawności, wtedy dopiero usprawiedliwiłby zarazem choć w części i słowa, które wyraził w zaczątku artykułu, iż książka jego: *Dzieje polskie w zarysie*, nakreśliła program umiejętnego odbudowania przeszłości za pośrednictwem „podziału i *charakterystyki* pojedynczych okresów.” Tak jak jest, jego obecny artykuł dodatkowy, chociażby i miał jaką prawdę (jak np., iż trzy wskazane przezeń etapy dziejów były etapami zwrotów w piśmiennictwie), nie znosi to bynajmniej faktu, iż jakaś szczególna ekscentryczność logiki autora kazała mu prawie na każdej karcie jego książki podawać za rzeczywistość, co było kontrastem z rzeczywistością i że tém samym wszystkie główne wnioski tej książki nie są wcale wnioskami do podzielenia.

# PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Aleksander Kraushar, *Pieśni Heinego*; wydanie nowe, przejrzane i uzupełnione. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1880 r.

Po wielu i nader rozmaitych fluktuacyach opinii powszechniej o duchu ożywiającym poezycy Heinego, przychodzi chwila sądu spokojniejszego. Wysokość talentu wprawdzie nigdy zaprzeczoną nie była, jedynie kierunek wyobrażeń i wyznaczenie poety co do pewnych dogmatów życiowych, były przedmiotem sporów. Dwie są przedewszystkiem strony, z których Heine poruszał pióra krytyków, kontrolujących w utworze pieśni obok poezyi: dążność etyczna i pogląd na ogólne ruchy ludzkie. Najprzód wieszcz ten jest tak nieujęty w przekonaniach swoich o życiu i stanowisku człowieka w ogólnym planie świata, tak rozmaitym, tak zmiennym w sympatyach i wstrętach swoich, że coby na zasadzie jednej grupy jego utworów wyrzec o nim się dało, to pierwszy dźwięk innej grupy zmusza zaprzeczyć. Co kochał przed chwilą, to wyszydza i depta, skoro jego pióro odwróci się ku innej stronie. Niby wyowiada posłuszeństwo wiarom, a tuli się pod skrzydła legendy, ilekroć żadna z wybranych sfer ogrzać go nie może. Ideały miłości, marzenia transcendentalne lekceważy, jakby sny gorączki; wyśmiałby zapewne, gdyby doszły były do uszu jego słowa Libelta o wizjach spoczywających w kołysce dziecięcy, o zapatrzeniu się jej w twarz anioła i tym podobnych zjawiskach, które materialista przypisałby nagromadzeniu się „kwasów żołądkowych” a sam, na wskroś subiektywny, snuje najpiękniejsze epos cierpień własnego serca, w pieśniach swoich rozwija przed słuchaczem cały cykl miłości i miłostek.

Wielka wyprawa krytyczna, jaka dziś gotuje się przeciwko romansowi naturalistycznemu, znalazłaby w Heinem tysiączne przedmioty do komentarzy dla siebie. Z najpoetyczniejszym bólem w sercu odwiedza pokoić, w którym przesiadywała niegdyś ukochana i prawie tuż zaraz wspomina o zdechnięciu pieska, lub jego wściekliwość, albo wreszcie o „błogosławionym stanie” byłej królowej swego serca. Śmieje się w oczy pastorowi, kiedy mu prawi o dogmatach, o niebie, o piekle, a najrzewniejszą nutą przygarnia mity święte. Raz się brzydzi rubasznością *naszego* chłopca, drugi raz najserdeczniej odzywa się o *naszych* stosunkach. *Zgoła*, kocha i nienawidzi wszystko; z równym wdziękiem całuje i kąsa wszystko, ale nie *sercem*, jak Juliusz; przy każdym tętnie ludzkim kładzie znak odwrotny. Napomyka o nieśmiertelności, ale z tem pojęciem obchodzi się jakby z mitem: kiedy inni powstają

z grobu na sąd, on tego głosu nie słyszy i pozostaje w grobie, przycisnąwszy pieśń swoją do serca. Nie—ująć wyobrażeń i uczuć tego wielkiego człowieka, niepodobna.

Szczególniej dającym do myślenia jest najpierwotniejsze źródło jego natchnienia. Kto pierwszy wzbudził iskrę elektryczną w duszy piętnastoletniego młodzieńca, Heinego? oto mąż majestatu dziejowego, wódz *wielkiej armii*, na której przejście przez Niemcy patrzak w chwili jój pochodu ku Wschodowi. Ani instynkta plemienne, ani uczucie własnowolności człowieka, tak silnie tkwiące w duszy Heinego; ani widoczne upojenie się bohatera blaskiem wszechwładzy: zgoła nic w świecie zachwiać niemogło tych pierwszych wrażeń. Powalenie się kolosu było drugą katastrofą w życiu wewnętrznem Heinego i ustaliło raz na zawsze w jego duszy ironią, pesymizm i zwątpienie. Na umysł uświadomienia bajronowskiego, podobny widok graniczenia majestatu z nicestwem, inaczéjby wpłynął. Heine na dnie skróconój duszy swojéj znalazł kroplę epikureizmu; ale niesłychana siła twórcza na téj najgodniejszój pożałowania pochyłości, pozwoliła ocalić wielkość talentu. Dusze tego rodzaju zwykle bywają lirycznemi. Główna téż specjalność poetyckiego talentu Heinego tkwi w jego pieśniach. W tragedyi mniej on zwyczajko wychodzi.

Zdolny tłumacz *Pieśni Heinego* p. Aleksander Kraushar, w krótkim, ale treściwym wstępie daje nam ogólny pogląd na ducha poety we wszystkich rodzajach jego utworów. Słusznie nazywa go „świątynym umysłem, który na widnokregu literatur europejskich bieżącego stulecia świeci nieprzerwanie, jako gwiazda poetyczna wielkości pierwszego rzędu.” Słusznie także uwydatnia w nim tłumacz, obok wysokości poetyczności, znamię głębokiego myśliciela i jednego z najświetniejszych satyryków, jacy kiedykolwiek działali na polityczno-literackiej arenie.

Nie zgadzamy się jednak na to, aby Heine był człowiekiem *silnie wierzącym*. Nie zgadzamy się zaś najprzód dlatego, że sam Heine zaprotestowałby w téj chwili pieśnią up. XXVIII:

W pozgonne niebo nie wierzę,  
Choć ksiądz mi o tém woiąż prawi;  
Lecz oczom twym ufam szczerze:  
*Ich tylko* niebo mię zbawi.  
Nie wierzę w Pana nad Pany,  
Choć klecha głowę mi suszy...  
Nie wierzę w kłątwy prorocoze,  
W gusła i baśni pogańskie:  
Tylko w twe oczy uroczco,  
W twe serco wierzę szatańskie.

Nie potrzebujemy innych przytoczeń, czytelnik Heinego nieraz spotka się z podobnemi, jeśli jeszcze nie jaskrawszemi wykrzykami niewiary.

Ależ nie idzie tu już o jakąś religią sformułowaną o pewnych określonych kształtach, o wiarę upostaciowaną plastycznie. Heinemu w ogóle, powiedzieć można, obca jest wszelka *metafizyka* i wszelkiej tego rodzaju instancyi nie uznaje. Nie potrzeba nawet czytać pomiędzy liniami, aby dojrzyć w poeziach Heinego silną skłonność ku filozofii nicestwa, na jaką jednocześnie nastrajał poezją romantyzm angielski. Są pieśni Heinego, tak krańcowo sięgające w tym kierunku, że zapewne nigdy w przekładzie polskim mieć ich nie będziemy.

Jest w Heinem pewien surogat wiary, który p. Kraushar streszcza (na str. XI) w tych pięknych rysach: „wiarą jego było piękno, harmonia... Więc szuka téj harmonii wszędzie: w podaniach biblijnych, w poematach Indyi, w Niebelungach, w księdze dziejów ludzkości, symfoniach Beethovena, w obrazach Ary Schefera, a w *sercu kobiety przedewszystkiém*.” Otóż to serce było ową granicą nieprzejrzystą, symboliczną, na której zatrzymał się polot Heinego w kierunku mniemanego symbolizmu. Ale zato w téj dzielnicy dusza jego żegluje wszechwładczo.

Za ogólném téż zdaje nam się to zdanie p. Kraushara, jakoby szkoła romantyczna uczyniła panteizm swoją wiarą. Goethe jest Spinozystą, ani słowa; ale panteizm jest właśnie przerostem ponad właściwego ducha romantyczności. W najcelniejszym z romantyków angielskich czujemy podobnież ciężenie panteizmu; ale ukazuje się on tu w szczególniejszém ukształtowaniu: jestto kult natury; a przeto: wiara swojego rodzaju. U Heinego w takiej wydatności panteizmu nie dostrzegamy. Nawet najdalej wysunięty panteizm w poezyi, przedewszystkiém godzi się z wyrokami wszechświata. Fatalizm bytu przedstawia się tam w pewnym osłodzeniu: że „świat jest wcieleniem idei dobra, miłości;” poeci tego dogmatu zamykają oczy na złe, jako na wykołajenie się pewnych zjawisk z normalnego porządku. Heine przeciwnie, z chciwością pochwytuje te zboczenia, dla poparcia niemi swojego pesymizmu. Przypomnijmy sobie np. jego pieśń: *Cisza morska*: Po cudownie pięknym opisie spokoju na morzu, kiedy „słońce rzuca promienie na wody, a okręt w falistych klejnotach przeciąga zielone bruzdy,” nagle chłopiec okrętowy łakomém żuciem zdradza się w oczach kapitana, który lży go i przeklina, że pożera śledzia wykradzonego z beczki. „Cisza morska!—woła poeta powtórnie i znów powraca do sarkazmu: oto zpod fali wypływa przemyślna rybka i główkę wygrzewa na słońcu, żwawo pluskając ogonkiem. Aż tu mewa rzuca się z góry na rybkę i zdobycz unosi szybko w błękitny powietrza.” Widocznie mewa przeczuwała, że potrzebną była dla przerwania tak serdecznie rozpoczętego malowidła, aby nikt nie posądził poety o optymizm! O! jakże wysoko stoi pod tym względem *Cisza morska* Mickiewicza (Sonet krymski), jak głębokim technie ona symbolizmem, pokrewnością natury z duchem, bez najmniejszego napomknięcia o wszechwładztwie złego! Podnosimy ten rys, jako małe dopełnienie do wyrazów kłomacza, wyrzeczonych we wstępie (str. XI): „niewypowiedzianego

uroku w liryce Heinego jest symboliczne skojarzenie życia natury z psychicznymi objawami ducha ludzkiego."

Słusznie utrzymuje tłumacz, że „pomimo pozornego bezładu, istnieje między fragmentami pieśni Heinego pewien ciąg, pewna systematyczność, zaokrąglona całość; że całość ta stanowi skończoną symfonią miłości."

W zakończeniu przedmowy zwrócić musi uwagę czytelnika następująca piękna myśl, od której powtórzenia powstrzymać się nie możemy: „... pewnikiem jest, że niepoetyczność i bezbarwność naszej epoki, jest wynikiem braku geniuszu poetyckiego, któryby ostygłe serca ożywił nową miłością dla ideałów i nowe duchowi ludzkiemu wskazał działania tory." Również piszemy się i na to, co p. Kraushar mówi o możliwych pierwiastkach poezji, tkwiących w sercu naszego wieku; kiedy pragnie, aby dzisiejszy poeta czerpał natchnienia nie tylko z zamierzchłych ideałów przeszłości, ale i z żywego skarbcza duchowego własnej epoki." Widocznie tę ostatnią myśl tłumacz wypowiedział pod wrażeniem pierwtworu. Heine bowiem, z rzadkimi chyba wyjątkami, śpiewa pod godłem: *carpe diem*. Jaskrawy obraz rozdwojenia się wewnętrznego, walki niejako dwu jestestw w sercu naszym, pokazuje najwidoczniej, że głównie miał przed oczyma roztwartą księgę współczesności, której dzieje w *podwójnym* go kierunku usposabiały.

Zwracamy się do przekładu. Zawiera on: *Intermezzo*, *Powrót*, *Nową wiosnę* i pewne utwory z *Romanzero*.

Wogóle tłumaczenie p. Kraushara miłe robi wrażenie na czytelniku, a w wielu miejscach w zupełności oryginał zastąpićby mogło, wyjąwszy niektóre, zresztą nieliczne parafrazy. Obok walki z myślą oryginału, tłumacz miał tu trudne zadanie i co do formy. Heine uważanym jest za pisarza wzorowego pod względem piękności języka, melodyjności i rytmu. Przykładami okażemy, jak udatnie odpowiedział pierwszego i drugiego rodzaju wymaganiom.

Z pomiędzy rozciąglejszych utworów, w tym przekładzie podanych, wspomnimy naprzód o dwu w równym stopniu wydatnych, choć każdy z nich z innego względu na uwagę zasługuje. Są to: *Grenadyerowie* i *Pielgrzymka do Kewlaaru*.

Pierwszy utwór, *Grenadyerowie*, przenosi nas w obiektywną sferę warunków, które najprzód zrodziły a potem zmieniły ogólny nastrój w duszy Heinego. Heine, jak już wzmiankowaliśmy, zachował do ostatniej chwili graniczącą z ubóstwieniem cześć dla bohatera wielkiego narodu i wielkiej armii. Upadek wielkości, z którym podług słów Bajrona nie porównanem być nie może, oprócz chyba upadku *Strąconego anioła*, zaszczerpił w duszy poety ten szalony pesymizm, ten zjadliwy pogląd na życie, który tylko w duszy z samą sobą do śmierci poróżnionej załazł się może. Wszystko, co jest w człowieku dodatnie, wierzzące, upadło w Heinem wraz z legionami nowego Cezara. Osobliwszym, nieodgadnionym jest urok majestatu heroicznego. Uniesienie

w jakie wprowadził duszę Heinego przechód wojsk francuzkich przez Niemcy, nie powinny się dać wytknąć na prostej drodze psychologicznej; chyba tém, że przyszły poeta liczył dopiero wówczas lat niespełna piętnaście. Przedewszystkiém nie da się z nim pogodzić to, co później Heine napisał o *Szwabie*... Dosyć, że swoich sympatyj francuzkich do końca życia pozbyć się nie mógł; po wypadkach lipcowych przeniósł się do Francyi i ztamąd zza Renu, ziomkom swoim przesyłał prorocze orędzie o wielkich następstwach, jakie pierwszy wystrzał działa francuzkiego sprawić miał w losach ogólnych Europy.

Jedną z elegii na zgon majestatu Napoleońskiego są właśnie *Grenadyerowie*; jedna z tych żałośliwie prostych gawęd żołnierskich, jakie długo tułały się po wszystkich prawie językach Europy. Łatwo więc pojmujemy, że ucho tłómacza musiały zwabić te jęki boleści dwu rozbitków wracających do Francyi. Przekład jest godnym pierwowtoru; w wielu miejscach prawie dosłowny. Oto np. początek w porównaniu z oryginałem. Heine mówi:

„Do Francyi idą dwaj grenadyerowie, wzięci do niewoli w Rossyi, a kiedy przyszli na kwatery niemieckie, spuścili głowy. Tedy obaj usłyszeli żałobną wieść, że Francya jest zgubioną, że zwyciężoną jest i rozbitą waleczna armia, a cesarz, cesarz w niewoli.”

W przekładzie p. Kraushara:

Idą do Francyi, dwaj grenadyery,  
Co w Rossyi jeńcami byli...  
I gdy w niemieckie weszli kwatery,  
Z boleścią głowy zwiesili.  
Tam wieść jak piorun niedościgniona,  
O Francyi głosi im doli:  
Że wielka armia zbita, zwalczona,  
A cesarz, cesarz w niewoli.

Oprócz szóstego i końca piątego wiersza, przekład, jak widzimy, nie pozostawia nic do życzenia.

Jeden z nich, ciężko ranny prosi towarzysza aby ciało jego, kiedy skona, wziął z sobą do Francyi i w ziemi ojczystej pogrzebał; a wtedy on jeszcze w grobie nasłuchiwać będzie i czekać huku dział. Początek ostatniego czterowiersza osłabiła nieco zmiana zwrotu:

„A kiedy cesarz przejeżdżać będzie nad moim grobem i mnogie miecze szczerkać będą i lśnić się, wtedy ja wstanę z grobu uzbrojony i cesarza, cesarza bronić będę.”

W przekładzie:

A gdy nad grobem *jękną fanfary*  
Na znak, że bój się rozżarza:  
Wtedy powstanę, jak żołnierz stary  
Cesarza bronić — cesarza.

Wiadomo czytelnikom jaką cudowną powiastkę napisał niegdyś Ludwik Würkert, również na pamiątkę cesarza, p. t.: *Bagnet*, gdzie



nad łóżem starego żołnierza napoleońskiego, dziś żebraka, wisi bagnet: ostatni zabytek przeszłości. Żebrak we śnie nędy marzy o dawnych bojach, i wciąż powtarzając wyrazy: „Cesarz, Austerlic;” naraz zrywa się ze snu bezprzytomnie, chce chwycić broń—pada na bagnet i umiera—mimowolnie samobójczą śmiercią.

Drugim jeszcze dłuższym utworem, w przekładzie p. Kraushara jest *Pielgrzymka do Kewlaaru*, serdeczny, najrzewniejszy obrazek cierpiącej miłości macierzyńskiej i religijnego poddania się Bogu pod najsroźszym ciosem.

„Na łożu choroby leży syn i ukoić się nie może po zmarłej Gertrudce. Matka pociesza go i namawia na pobożną pielgrzymkę do cudownej Maryi Panny w Kewlaarze, podaje mu ulane z wosku serce i radzi, aby to serce dał Maryi na ofiarę, a jego serce Matka Boża uleczy. Podczas nocy, po odmówieniu rzewnej modlitwy do Maryi, syn i matka zasypiają. A oto w nocy, z nieba zstępuje Marya, kładnie rękę na sercu chorego i znika.”

Tłómacz poczynił tu zmiany dość ważne, na które nie łatwo się zgodzić. Przytaczamy zakończenie woryginałe:

„Matka wszystko widzi we śnie i jeszcze więcej widziała; zbudziła się ze snu, psy wyły głośno. Syn jój leżał rozciągnięty, już umarły; na białych policzkach igra lśniąca jutrzeńka. Matka składa ręce i pojąć siebie niemoże i zanuciła powolnie: *Bądź pozdrowiona Maryo.*”

W przekładzie ujęto kilka barw ze smutnego otoczenia:

Matka to we śnie widziała,  
Dziwny jój ciężar dolega;  
Zrywa się ze snu wylękla,  
I drżąc do łoża przybiega.

Tam leżał syn jój — nieżywy!  
Z białym krzyżykiem u ręki;  
Lecz twarz miał jasną, pogodną,  
*Jak gdyby* odbłask jutrzeńki.

Matka spojrzała w niebiosą,  
Kłękła — i łzami zroszona,  
Szopnęła usta drżącemi:

„O Maryo, bądź pozdrowiona.”

Przytoczyliśmy tę sliczną powiastkę, ze względu na jój wyjątkowe znamię wobec ogólnej charakterystyki Heinego. Zdaje się, jak gdyby dusza jego, przez jakiś nieprzewidziany prąd, skierowaną została ku sferze rzadko nawiedzanej przez naszego pieśniarza. Z krajiny smutniejszej, niż wszelki panteizm, z krainy nieubłaganego zwątpienia, wstępuje on ku zdziwieniu niejednego ze słuchaczy, na niwę najdotatniejszych tradycyi. W objaśnieniu do najdawniejszego wydania tej powiastki roku 1822, sam Heine powiada, że treść powiastki nie jest jego pomysłem, lecz odnosi się do osobistych jego wspomnień,

jeszcze z czasów reńskich, kiedy był jeszcze małym chłopcem i uczył się *syllabizować*.

Od poezyi opowiadającej, zwróćmy się na pole właściwej liryki Heinego. Tu tłumacz, jak powiedzieliśmy, miał zadanie nierównie trudniejsze, a więc i zasługa tém jest wyższą.

Bierzemy pod uwagę początek z *Intermezzo*:

W prześlicznym miesiącu maju,  
Gdy tryska świat z ziemi łona,  
I w sorcu mojem zakwitły:  
Pierwszój miłości nasiona.  
W prześlicznym miesiącu maju,  
Gdy ptaszę śpiowa z zapalem  
I ja mych uczuć wybrańco,  
Wszystkie pragnienia wyznałem.  
Z łez moich kwiatek wyrasta,  
*Świeżuchny jak ranna rosa,*  
A z moich westchnień ulata  
Słowików chór pod niebiosa.

W tych wierszach, wyjąwszy wyrazy podkreślone, myśl pierwotnego oddaną jest wiernie i ozdobnie.

W pieśni 3-iej, szczególniejsz zachwycającej wdziękiem formy i prostoty poetycznej, jeden z czarów fonetycznych zblakł w przekładzie, bo téż rzeczywiście wiersz czwarty oryginału jest arcydziełem melodyi:

Róża i lilia, gołąbek i słońce,  
To były ongi miłości méj *gonce*...  
Już ich nie kocham, lecz kocham jedynie  
Piękną, miluchną mych marzeń boginię,  
Bo ona sama miłości jest szczytem:  
Jest różą, lilią, gołąbkim i *świt*em.

Wyraz *świt* zamiast *słońce*, cokolwiek zaciera antytezę. Czwartry wiersz, na nieszczęście, bardzo trudny do naśladowania, w pierwotnym tak brzmi: *die Kleine, die Feine, die Reine, die Eine*.

— Oto pieśń, będąca dalekiem echem z dziecięcych lat poety; widok ukochanej przypomina mu świętą, której obraz niegdyś widział na ścianie świątyni. Tłumacz również udatnie ją przełożył; nie należało jednakże (jak i w innych przekładach niżej pokażemy) zatracać rysów konkretnych, a zastępować je oderwaniami:

Madonny cudne oblicze  
Zdobią kwieciste opony,  
*Podobne wdzięki* dziewiczo  
Ma anioł mój ubóstwiony.

W oryginale: „Oczy, usta i policzki zupełnie takie, jak mojej ukochanej.

Przyznać trzeba tłumaczowi, że wiernie zachowuje rytmy i takt pierwotworu: dwa podobno najważniejsze z zewnętrznych znamion wiersza Heinego. Współczesna opinia widocznie nie bardzo liczy na możliwość rymu męzkiego w naszym języku; lecz tego punktu nie uważamy jeszcze za stracony ostatecznie. Rym męzki może dlatego stracił u nas więźność, że się nim zanadto posługiwano w operach i podręcznej liryce. Dałby się on przywrócić, albo raczej: ucho słuchacza dałoby się nastroić ku niemu, z takim zastrzeżeniem, aby akcent mocny przypadał nie tyle na *wyrazy* jednozgłoskowe, jak raczej na pewne kombiuacye wyrazu atonicznego z tonicznym.

W każdym razie winniśmy, pod względem rytmicznym, wyrazić tłumaczowi uznanie za ocalenie w przekładzie tych wdzięków formy, jakimi słuchacza podbija: u Niemców Heine, u Anglików Edgar Poe, a u nas przedewszystkiem Bogdan Zaleski. Jako jeden z wielu dowodów doskonałości tłumaczenia p. Kraushara, przytoczylibyśmy pieśń 22-gą (w polskim przekładzie XXIII): *Still ist die Nacht*. Wyjąwszy to, że niema tu spadków męzkich, które nie każdy nie uznaje, które zresztą i w pierwotworze nie wszędzie się utrzymują, wrażenie muzyczne zachowaniem zostało:

„Noc była cichą, głucho w ulicach,  
Tutaj stał domek kochanki mojej;  
Dawno już, dawno go opuściła,  
Ale ów domek wciąż stoi.  
Przed owym domkiem stanął wędrowiec,  
Z rozpaczą w oku, z wychudłym ciałem;  
Gdy księżyc błysnął, przeszło mię mrowie,  
Bo w owym człeku siebie poznałem.  
Ach! sobowtórce, wędrowcze błady,  
Czemu w rozpacz rwiiesz sobie szaty?  
Czyliż przedrzeźniasz moje cierpienia,  
Którym tu znosił dawnymi laty.”

Wrażenie rytmowe, powtarzamy, tłumacz zachował. Co do treści jednak, zrobilibyśmy pewne zastrzeżenia. Zamiast *wychudłego ciała*, należało zostawić *zalamywanie rąk*, stosownie do następującego niżej *rwania szat*; zapytanie *czyliż*, zmienia zupełnie ducha i układ myśli: należało powtórzyć wyraz *czemu*. Wyraz *człek*, stanowczo z poezyi poważnej usunięty być powinien.

Znakomicie rytmiczną (w przekładzie) jest pieśń XVI, krótka, bo tylko czterozwrotkowa, ale pełna wdzięku obok prostoty, pełna słodyczy, obok namiętnej poetyczności. Lekka zmiana, jakiej sobie pozwolił tłumacz w trzeciej zwrotce, ujęła nieco naturalności, a to przez zabstrahowanie głównego nerwu (*łzy*).

„Morze swe światło rozlało w dal,  
W ostatnim słońca promieniu,  
Siedziałem z tobą wśród szumu fal  
Samotnie, w głuchém milczeniu.”

Szczególniej rytmicznie oddaną jest druga zwrotka:

„Opadła mgła, nabrzękała toń,  
Mewy po morzu szumiały,  
A z oczu twoich na śnieżną dłoń  
Perliste łezki spadały.”

Tu tłumacz jest prawie dosłownym. W trzeciej zwrotce tekst mówi: „Widziałem, jako one (łzy) spadały na rękę twoją i padłem na kolana i z białej ręki twojej ja łzy wypijałem.” Otóż tę ostatnią myśl u tłumacza, przyćmiła nieco abstrakcja.

„Gdym ujrzał cudno perełki te,  
Padłem na ziemię, wzruszony  
I z rączek twoich w rozkoszy śniec:  
Piłem ten czar upragniony.”

Zmiana piękna, ani słowa; ale z uszczerbkiem naiwności i prawdy serca.

Załużemy, że tłumacz pominął prześliczną, a do jego rymotwórczych zdolności wybornie nadającą się pieśń (z kolei XIX-tą): *Sei mir gegrüsst*, od której przytoczenia, przynajmniej prozą, powstrzymać się nie możemy.

„Witaj mi, wielki, tajemniczy grodzie, który ukochaną moją niegdyś w łonie swoim ogarniałeś. Powiedźcież wieże i bramy, gdzie jest moja ukochana? Wam ją powierzyłem, wyście rękojmią być miały... Wieże nic nie winny, one ruszyć się nie mogły z miejsca; kiedy oblubienica ze skrzyniami i pudłami tak szybko miasto opuszczała. Ale bramy pozwoliły spokojnie wymknąć się mojej lubej; brama zawsze jest chętną, kiedy chce szalona. (Tu jest gra wyrazu: *Thor=brama i szalony*).”

W pieśni XXII, wracający tułacz mówi (w przekładzie):

„Wstąpiłem znowu w miejsce tych podwoje,  
Gdzie miłość mi zaprzysięgła;  
W miejscu, gdzie łez jej padały zdroje,  
Tam się gadzina wylęgła.”

Wiersz ostatni nie uderza w samo serce myśli pierwowortu, a to przez swoją chwiejność, że nie powiemy: dwuznaczność. Zdawałoby się czytelnikowi, że owe komnaty ukrywały w sobie gadzinę w osobie tej, którą on mienił swoją wierną oblubienicą. Tymczasem przeciwnie, Heine wypowiada tu wrażenie, na widok pustkowia po zniknięciu oblubienicy. Wystarczyłaby tu mała poprawka, np.: W miejscu, gdzie łez jej padały, *dzis* wylęga się gadzina.”

Czytelnikowi, prawie bezwiednie, przypomni się tu podobna, ale nierównie potężniejsza antyteza w XVII sonecie krymskim:

„Te zamki, połamane w zwaliska bez ładu,  
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymiel!  
Dzisiaj sterczą na górach, jak czaszki olbrzymie:  
W nich gad mieszka lub człowiek podlejszy od gadu.”

— Są w każdym języku pewne wyrobione zwroty, stanowiące niejako technikę przysłowiową; takich zgrupowań nigdy już naruszać nie wypada. A narusza się je, rozszerzając wyrażenie, przemieniając w niém układ wyrazów i t. p. Takie zwroty są *jednostkami*, raz na zawsze sformułowanemi, skończonemi. W trzeciej zwrotce pieśni XII-ój, Heine opisuje niewielu, lecz treściwemi rysami burzę morską: „mewa czepia się masztu z krzykiem, trzepocze się z trwogą, chce *wywróżyć nieszczęście!* Tłómacz zaś mówi:

„Ponad masztem krąży mewa,  
Krzykliwomi jęcząc głosy...  
Zda się statkom chce wywróżyć  
Ich nieszczęsne, przyszłe losy.”

Otóż *przyszłe losy* naruszają tu techniczność wyrażenia. „Mewa krzykiem wróży nieszczęście,” taką jest myśl zaczerpana z dziedziny wiar ludowych, jak głos kukułki wróży śmierć i t. p.; i to: wróży, ale nie *zdaje* się wróżyć. Takich i tym podobnych mitowych pokładów ani rozrywać, ani ich inaczéj układać nie należy, a tém bardziej rozprzestrzeniać, szczególniej zaś rysami oderwanemi (*przyszłe losy*).

Pieśń przedewszystkiém poruszać powinna sprężyny konkretne. Z tego téż względu zwróciłibyśmy uwagę naszego zdolnego tłómacza, np. na miejsce w téj saméj pieśni (*O burzy morskiej*):

„Wiatr nałożył szarawary,  
Blade, wodą *przesycone*,  
Bije fale z całej siły:  
One wyją jak szalone.”

Nie *przesycone wodą*, lecz *wodne*; zamiast *bicia* fal przez wiatr, dosadniejszym, bo konkretniejszém byłoby, jak właśnie jest w oryginale: „chtoszcze (zacina, biczuje=*peitscht*) fale.”

Wzmiankę o podobnej subtelnosci, podsuwa nam początkowa zwrotka pieśni XI-ój, tak świetnie przełożonéj, a prawie dosłownie:

„Obwinięte w obłok szary,  
Drzemią w ciszy wielkie bogi;  
Słyszę *oddech* ich ponury:  
Wiatr po morzu dmie złowrogi.”

To był nie *oddech*, lecz *chrapanie* i ono to właśnie spowodowało burzliwą pogodę i to rubaszne pociągnięcie pędzlem po tle obrazu ściśle odpowiada ogólnemu duchowi Heinego, duchowi lekceważenia wszelkich przekonań metafizycznych, poczynając od „starych bogów,” co najwydatniej pokazuje, technący ostatecznym kwietyzmem zwątpienia, finał:

„Ja nie mogę zakłóć burzy,  
Ni uśmierzyć morza trwogi,  
Owinięty ciepłym płaszczem:  
Zasnę, jak zasnęły bogi.”

*Pieśni stworzenia (Schöpfungslieder)* najwymowniejszym tu będą komentarzem.

— Z kolei zwrócić winniśmy uwagę tłumacza, na niektóre niedokładności językowe, zresztą dość rzadko spotykane. Zamiast *wciąż żalostnej, wciąż bladziej* (str. 108), właściwiej będzie: *coraz żalostniej, coraz bladziej*; zamiast: *gardzę okowy*, należało powiedzieć *okowami* (chyba że to ma być przypadek narzędziowy), lecz w takim razie jest on tu wątpliwym (str. 14).

Nie radzi przytęm, spotykamy tu w niektórych miejscach rymy słabe: *upragniony, otoczony; święte, zamarznęte; grochowy, tomowy*.

Uogólniając dotychczasowe spostrzeżenia, czujemy się upoważnionymi do odczwania się chlubnie o przekładzie p. Kraushara; tak pod względem utrzymania się na wysokości pomysłów Heinego, jak i co do wielania ich w piękną mowę polską.

Nie wątpimy, że czytelnik powtórzy nasze zdanie, przeczytawszy np. następujące myśli ze *Spiewu Lądzkiego*:

„Lat trzydzieści czuwałem na wskazanój warcie...  
Niestrudzony, jak żołnierz pilnująco wylomu;  
Bez nadziei, ponury, walczyłem zażarcie,  
Wiedziałem, że bez szwanku nie wrócę do domu.  
...Wakuje posterunek! Jątrzą się me rany...  
Ginie jeden, jest inna garstka niewylkła;  
Ja padam niezwalczony, mój oręż wybrany  
Nie wyszczerbił się w walce—tylko pierś mi pęka.

Przekład ten bezwarunkowo postawić można na równi z wybornym tłumaczeniem włoskim, dokonanym przez Bernardina Zendrini, nieodżałowanego pieśniarza, który z takim zapałem uprawiał studia nad poczyą niemiecką i piśmiennictwo ojczyste tak hojnie w tym kierunku wzbogacił. Szczerze pragniemy, aby p. Kraushar nie skazywał pióra swojego na długi spoczynek.

*Dzieła Platona.* Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Tom II. Poznań, w komisie księgarni J. K. Zupańskiego, 1879, str. 404.

Poglądowe przedstawianie arcydzieł myśli ludzkiej, zwłaszcza podjęte ręką umiejącą uchwycić główną arterję systematu i ustawić go należycie w poczet dziejowy, weszło od niejakiego czasu i słusznie na porządek dzienny. Dla niespecjalistów posłużyć ono może za ogniwo encyklopedyczne; znawcom ułatwić szybkie uprzytomnienie sobie roli danego filozofa w ciągłości historycznej. Ztąd we Francyi natworzyło się mnóstwo tak zwanych sprawozdań (raportów nawet urzędowych) o oddzielnych zjawiskach, albo o pewnych grupach tego rodzaju (Foucher de Careil, Cousin'a i t. p.); w Niemczech dotąd jeszcze występują monografie o Schopenhauerze, Heglu, oraz prace obszerniejsze o zwrotach filozofii od czasów Kanta; wreszcie i nasze pisma podają coraz częściej rodowód, treść główną, ducha i metodę epokowych myślicieli. Obok jednak poglądów iść powinien nieodzownie drugi, ważniejszy jeszcze dział pracy: studia źródłowe. Niedawno mieliśmy stosowną chwilę odczwania się o ważności tego działu z powodu przekładu dzieł Dekarta. W tym samym duchu przemówić nam wypada z powodu dalszego ciągu prac znanego filologa, p. Antoniego Bronikowskiego. Dwadzieścia lat minęło od wydania pierwszego tomu (r. 1858), który zawierał: *Fedra, Biesiadę, Hippiasza większego, Lizysa, Charmenidesa, Eutyfrona, Io, Meneksena*. Lat dwadzieścia pomiędzy dwoma aktami! straszliwy ten zamach przeciw najważniejszej z trzech jedności do smutnych usposabia rozmyśłów. Ale mężom pracy niech ręce nie opadają, apatya zdaje się, acz zwolna, przemijać.

Pod względem wytrwałości w kierunku obranym, tłómacz Platona może nie jednemu posłużyć za wzór. Pomimo zarzutów i słusznych i mniej uzasadnionych, sędzia *najnaturalniejszy*, czas, oddał mu sprawiedliwość. Ksenofont, Tucydides, Plato, Herodot, są dziś w rękach najbliżej nas obchodzących, w rękach uczącego się pokolenia. Nie poddawiamy wprawdzie tego pokolenia, aby skokami przesięgało trudności w dawanych sobie *ex officio* ustępach z autorów starożytnych i owszem radzimy szczerze: niech idzie drogą surowej pracy, łamiąc się z temi trudnościami; ale w wolnych chwilach niech przebiega tekst obok ścisłego przekładu p. A. Bronikowskiego; niech przebrnąwszy przez prawdziwy labirynt mowy Peryklesa i Archidama, albo Korcyrejczyków <sup>1)</sup>, próbuje powtórnie pół-samodzielnej przeprawy z kłębkim Aryadny.

Obecnie wydany tom II zawiera: *Aleybiadesa, Gorgiasa, Menona, Lachesa, Eutydemę i Protagorasa*. Tłómacz używał najlepszych

<sup>1)</sup> W *Tucydidesie*.

pod względem tekstu wydań, w odsyłaczach podał krótkie ale ważne objaśnienia; wydanie samo jest bardzo staranne, dodane po bokach liczby numeracyi Henryka Stefana ułatwiają odwołanie się do pierwowzoru. Przekład sam pod względem *filologicznym* jest ważny; o szczegółowych jego znamionach niżej powiemy.

Czytelnik pozwoli sobie przypomnieć, że krytyka w szeregu pism Platona upatrywała rozliczne zasady połączenia: albo Plato w układaniu ich miał kierować się planem *dydaktycznym*, stopniowaniem od pojęć przygotowawczych, aż do najwyższych teorii świata i ducha, aż do idei stanowiących sklepienie systematu, albo też, jak za dni naszych Schelling, w poczcie pism swoich wypowiedział stopniowy rozwój własnego ducha w dziedzinie badań filozoficznych.

W każdym razie pisma, jakie przedstawia nam dziś p. A. Bronikowski w swoim przekładzie, najwięcej odpowiadają poziomowi dydaktycznemu. Przyjdzie czas (jak życzymy sobie, tak i nie wątpimy o tём) na *Fedona*, *Timeusa* i *Polityę*.

Przed ocenieniem jakości przekładu, winniśmy przedewszystkiém przypomnieć, coto ma przed sobą tłumacz w ogóle, przystępujący do pism greckich złotego wieku; z jakąto budową mierzyć mu się przychodzi. Wiek Platona—są to czasy przesilenia się pięknego języka, branego zwykle za normę w kierunku nowo-atekim, to znaczy: w zwrocie od sztuki ku pojęciu, od pełni i okrągłości ku liniom prostym, więzłości Arystotelesowej. Mowa Platona jest mową piękną filozoficznego, symetryi i dyametryi, wyptywającą z natury przedmiotu, z prądu myśli tak samo, jak byt Platoński wypływa z idei. Nietylko zdania snują się tu ze zdań, ale i okresy wiążą się pewną siłą przyciągania, dla nas nieujętą, zachodząc jedne w drugie. Oto np. rozprawa, w której Plato dowodzi, że czyn karania jest sprawiedliwością; rozprawa tak się zamyka:

*Sokrates*. Czy odbieranie kary cierpieniem jest, czy też działaniem?

*Polos*. Naturalnie, że cierpieniem.

*Sokrates*. A więc od kogoś czyniącego?

*Polos*. Tak—i to od karzącego.

*Sokrates*. A karzący zasłużenie, czy sprawiedliwie karze?

*Polos*. Tak.

*Sokrates*. *Sprawiedliwy czyn spełniająca?*

U nas siła przyciągania się okresów tak daleko się nie rozciąga, wypada więc ostatniemu pytaniu nadać zwrot inny, np. tak:

„I czy on, w tём karaniu zasłużoném, karze sprawiedliwie?”

Rażący także dla nas sposób ciśnienia myśli na układ zdania stanowią osobliwsze intonacye zapytania. I tak: *Gorgiasz* utrzymuje, że retoryka jest sztuką (*techné*). Sokrates zaś zapytuje go: „o czémto mówiącą sztuką jest retoryka?” Pytanie to w jeszcze kłopotliwszy dla nas sposób postawioném jest na str. 151 A., gdzie Sokrates tak nalega: „Gorgiaszu, staraj się odpowiedzieć: sztuka około czego w mowach to



utwierdzenie swe mająca (co utwierdzająca tą mową) sztuką wymowy jest? (przekład p. Bronikowskiego).” Tęgo, niemając pierwtworu pod ręką, czytelnik nie zrozumieć, a tymczasem myśl jest prosta: Sokrates bowiem chce dowiedzieć: o czém mówi ta sztuka? co jest treścią tej sztuki, wypowiadającj swoje twierdzenie słowami?

Zgoła zbyt ściśle, zbyt bierne odciskanie oryginału widocznie go fałszuje.

Ze strony *wyrazowej* język p. A. Bronikowskiego, cokolwiek o nim wyrzeczono, ma niekiedy wiele powabu, a to właśnie z powodu mocowania się z barwą pierwtworu. Ale przesada w tymże kierunku sprawiła, że ogólny tok mowy w wielu miejscach robi wrażenie języka Zygmuntańskiego. Owe numizmata językowe: *aza, wszdy, pono, tyć*; wyrażenia: „około którego z bytów zabawia (retoryka)” i t. p. zakrawają na coś arcy starożytnego. Niepotrzebnie też p. A. Bronikowski rzeźbiarza nazywa posągo-twórcą, a rzeźbienie, lub rzeźbiarstwo aż: posągo-twórstwem. *Srebrna nagroda* (pieniężna) jest wyrażenie poetyczne w polskim; w greckim zaś *argyriion* jest poprostu terminem płacy. *Sprawować pieniądze* (robić, zarabiać), *nie ugeścić* (nie uczęszczać) i t. p., wyrazy i wyrażenia wielce nadwężają ogólny powab przekładu.

Dla naocznej skazówki, rzucmy okiem na niektóre z kart *Gorgiasza*, jednej z obszerniejszych biesiad, wchodzącej już w skład głównego korpusu filozofii Platonskiej. Wybieramy z *Gorgiasza* to miejsce, w którym dotkniętem jest, pomiędzy innemi, i stanowisko filozofii, jak je pojmują klienci najstraszliwszego z sofistów. Kallikles, współwyznawca Gorgiasza i jego przyjaciel, odkrywa tu, a przynajmniej pochlebja sobie, że odkrył szczerbę w dogmacie Sokratesa o sprawiedliwości. Sokrates, zdaniem jego, nie uwzględnia różnicy, pomiędzy sprawiedliwością obiektywną, ustawą natury (*fizys*), a prawami (*nomos*). Filozofia, podług niego, potłumia w człowieku głos prawdy instynktowej, głos przyrodzenia, uznając jedynie prawdę *prawa*, ustanowionego z podszeptów zachowawczych, samolubnych. Ztąd w pojęcia sprawiedliwości weisnęło się zamieszanie. Wprawdzie różnicę pomiędzy pojęciem natury a pojęciem prawa, Kallikles rozwinął obszerniej w *Rzeczypospolitej* (ks. II), a w *Gorgiasza* wprowadza ją tylko częściowo; lecz czytelnik znajdzie tu gorące wystąpienie przeciwko filozofii i ten właśnie ustęp wybieramy na szerszy pokaz przekładu p. A. Bronikowskiego.

„O Sokratesie, mówi Kallikles (stron. 485 A. B. u Henryka Stefana) <sup>1)</sup>, miłośnictwa mądrości tyle, ile wychowanie wymaga, piękną jest posiadać i nie hańbi młodzieńca zajmować się miłośnictwem mądrości; ale kiedy już w lata postąpiwszy, człowiek zabawia się filozofią,

<sup>1)</sup> Numeracya tekstu, przyjęta przez Henryka Stefana, bierze się zwykle za podstawę i w innych podawaną bywa obok, dla jednostajności w cytatach.

wyśmiania godną, o Sokratesie, staje się ta rzecz, a ja najpodobniejszego uczucia doznaję wobec filozofujących, jakie mię przejmuje *na-przeciw jękających się* i igrających dziecinnie. Kiedy bowiem chłopczynę zobaczę (któremu przystoi jeszcze rozmawiać tak) jękającego się i pieszczącego, raduję się i miluehnięm mi się to wydaje i odpowiedniem wolno zrodzonemu i zdobiącym wiek chłopięcia; kiedy *przecie* to słyszę z ust chłopca wyraźnie już wymawiającego, cierpką jakąś rzeczą to mi się już wydaje i razi moje uszy i wydaje mi się czemś, raczj niewolnikowi przystojącym *być*... Otóż tego samego doznaję uczucia i wobec filozofujących. U rozwijającego się dopiéro młodzieńca, dostrzegając miłośnictwo mądrości, kocham je i przyzwoitęm mi się wydaje i uważam za wolnego *jakoś tego oło* człowieka, *jako* niezajmującego się miłośnictwem mądrości za nieswobodnego (prostaka) i takiego, który nigdy *żadnego* nie uzna się godnym ani pięknego, ani szlachetnego czynu; ale kiedy już posuniętego w lata zobaczę jeszcze filozofującym i niewolnionym od tego miłośnictwa, ten mąż już chłoty potrzebować zdaje mi się, o Sokratesie."

W tym ustępie streszczają się ledwie że nie wszystkie znamiona przekładów p. A. Bronikowskiego, tak dodatnie, jak i ujemne. Jest tu ścisłość, aż do zbytku posunięta, jest dostatniość i wyrazowe bogactwo języka, sumiennie zużytkowane, tłumacz przytęm posługuje się jeszcze nawiasami; jest myśl Platońska, dosłownie odmalowana, odrzeźbiona. Czogoż więc braknie? jaką skazówkę należałoby podsunąć szanownemu filologowi, aby uniknąć mógł nadal dotkliwych, a rzeczywiście słusznych zarzutów?

Otóż p. A. Bronikowski, wpatrując się w samą treść, w obiektywne rysy zadania, nie oblicza w ogóle, ile to tracić może barwy dany obraz, przeniesionym będąc w inną atmosferę i inne warunki oświetlenia. Wprawdzie utworu poezyi, a tęm bardziej dzieła czysto umysłowego, przekładzca nie potrzebuje, nie powinien nawet, modernizować; ale zachowując wierność pierwowtoru, jaknajrozleglejszą, wierność typową, można i należy utrzymać znamiona *tutejszości* i *dzisiejszości*. Zapominamy na chwilę o wyrazach; zwróćmy się do skłładni—składnia bowiem jest owęm minimum oświetlenia, pod jakim obrazy dojrzaniem i pojętami być mogą. Dlaczego p. A. Bronikowski nie powiedział: „Posiadać tyle filozofii, ile wymaga wychowanie (wyształcenie ogólne) piękną jest rzeczą... ale, kiedy człowiek... to już godne wysmiania.” Następujący np. porządek wyrazów zakrawa na jedną z tych łamigłówek stylowych, z jakimi, szczególnieij pisarze rzymscy (Liwusz przedewszystkięm), lubią występować na postrach szkolnych pokoleń. „Ależ, kiedy człowiek już wieloletni zabawia się filozofią, *wyśmiania godną*, o Sokratesie, staje się tą rzeczą.”

Podobnież okres o *chłopczyńie* należałoby tak ustawić: „Kiedy bowiem zobaczę jękającego się i pieszczącego chłopczynę (któremu tak rozmawiać jeszcze przystoi), raduję się” i t. d. W okresie 3-im p. A. Bronikowski mówi: „U młodzieńca... przyzwoitęm mi się wydaje i uwa-

zam za wolnego tego człowieka, *jako* niezajmującego się (należało powiedzieć wydatnie): *a przeciwnie* (jak znów, tymczasem i t. p.) nie zajmującego się..”

Zbyteczna przekładnia także jest powodem niejednego dysonansu, jak widzimy np. w końcu tegoż okresu: „(uważam go) za *nieswobodnego* i *takiego*, który nigdy *żadnego* nie uzna się godnym, ani pięknego, ani szlachetnego czynu.”

Ścisłość tłumacza zachodzi zbyt daleko, sięga bowiem aż dolnej warstwy gramatycznej, a niepotrzebnie. I tak p. A. Bronikowski ma skrupuł pominąć nawet cząsteczki mowy, nieokreślniki (*tis, ti, po, an*), np.: „wolny *jakoś* ten oto człowiek;” a nieco wyżej mówi: „wydaje mi się czémś, raczej niewolnikowi przystojącém *być*.” Nie jestże to owém dotkliwie bijącém w nos: *zu sein?* Filologowi o takiej skali, jak p. A. Bronikowskiego, nie wypada przenikać się nałogami budowy gotyckiej, zwłaszcza w tém, co nawet u niej słabą stanowi stronę. Niechże więc p. A. Bronikowski, przy rozległej wprawie, jaką posiada, przy wielkiem poczuciu tętna pięknoty hellenickiej, niech jaknajusilniej ma na pamięci tutejszość i dzisiejszość. Wszak nieraz w Platonie, umiał uwzględnić jedno i drugie, jak to np. pokazał na str. 492 E (a w przekładzie str. 140—141), gdzie mowa jest o *ządzech*:

*Sokrates.* Niesłusznie więc powiadają o owych *niczego niepotrzebujących*, iż są szczęśliwymi.

*Kallikles.* Kamienie bowiem i umarli tą drogą pewnie najszcześniejszymi będą.

*Sokrates.* Aleć przecie jako i tyżci mówisz (tłumacz niepotrzebnie i tu zagęścił partykułami: *aleć, przecie, jako i tyżci* mówisz), groźnem jest życie. Boć nie dziwię się ja podobno (poco tu *podobno*), jeżeli prawdę mówi Eurypides, w tych słowach odzywając się (czyż to nie zawiele po dzisiejszemu: mowa, słowa i odzywanie się?):

„Kto wie, czy żyć, jestto umierać raczej; umierać zaś, to żyć.”

„I my może istotnie już zamarliśmy.”

...*Nec verbum verbo—fidus interpres.*

F. Jeziński.

D. Karola Schenkla: *Ćwiczenia greckie*. Według dziesiątego wydania niemieckiego do języka polskiego zastosował dr. Zygmunt Samolewicz. Wydanie 3-cie. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda, 1879 r.

Niezaprzeczoną jest prawdą, że książki edukacyjne, a ściślej się wyrażając: książki szkolne, o ile to jest możliwém, pod kontrolą literackiej opinii publicznej zostawać winny. Dążność wyłącznie zysko-

wa na tém polu przeprowadzana, jest najwstrętniejszym ze wszystkich rodzajów nadużycia dobrej wiary spotecznej. W chwili, kiedy przed oczyma naszymi przesuują się całe szeregi tak zwanych podręczników, nieodpowiednich zadaniu ani pod względem układu, ani pod względem stosowności do poziomu uczących się, ani pod względem czystości, poprawności języka: szczególnym jest obowiązkiem krytyki czujne mieć oko na wszelkie, choćby najdrobniejsze zjawiska piśmiennictwa edukacyjnego. Książka, wychodząca z dzielnicy dziejopisarstwa, poezyi, filozofii, chociażby i mijała się z normą, drażniła pewne obowiązujące poglądy, może być w części uznana, w części uledez protestowi; ale w każdym razie jak krytyk, tak i czytelnik ma tu prawo głosu. Inaczej rzecz się ma z książką, przeznaczoną dla uczelni. Wchodzi ona do świata młodocianego pod powagą charakteru „przewodnictwa,” ze znaczeniem „dogmatu,” jako ostatni wyraz nauki.

Widzieliśmy podręczniki, tak nędznie przerabiane z dzieł cudzoziemskich, że sylaby np. niemieckie (techniczne) przyczepione do nazwy (greckiej) miasta, lub góry, utworzyły nazwisko miejscowości, nieistniejącej na kuli ziemskiej. Widzieliśmy słowniczki dołączone do antologii greckiej lub łacińskiej z pewnego poety, gdzie wystawiano wszystkie znaczenia wyrazu (wypisane ze słownika obcego), wszystkie... oprócz właściwego w *danym* frazesie. Ach! czego tam nie widzieliśmy!

Niech przeto krytycy nie pożąają czasu i odwagi cywilnej na najściślejszą ocenę tej literatury, miniaturowej, to prawda, ale właśnie drobnocią swoją przenikającą najdroższą dla nas atmosferę: *świat młody*.

Ale tym razem mamy przed sobą podręcznik uznany, wyprobowany już na pokoleniu i całkowicie odpowiadający zadaniu. Cóż jest zadaniem „ćwiczeń językowych starożytnych?” Wprowadzenie ucznia w łatwość rozumienia i samowiednego użycia danego języka w *zakresie filologicznym*. Ostatnie zaś wyrażenie znaczy, iż przed uczniem w ostatecznym wyniku ma stanąć w całej wydatności *plan ducha* mowy starożytnej, który co chwila następnie sprawdzanym będzie na autorach. Nauka języków umarłych prowadzoną być musi drogą zupełnie odwrotną w porównaniu z teorią języków żyjących—tu inicjatywą jest dusza języka: zdanie; tam (w starożytnym) rozpoczynamy od materyi pierwszej, od ciała, od form, a uwieczymy gmach: składnią.

Tak właśnie prowadzi rzecz i nasz autor: pojedyncze wyszczególnianie dróg i ścieżek tej metody, uważamy za zbyt liczne. Zaznaczamy tylko na pochwałę książki, że wolną jest od *przeskoków*, tak zwykłych w naszych podręcznikach.

Szczególną zaletą pracy p. Samolewicza, jest zapowiedziane w tytule i sumiennie wykonane, zastosowanie do języka polskiego (do składni). W pierwszej części, w morfologii, autor podaje tu i owdzie pewne punkta składniowe, przygotowawcze; są tam i ułatwienia skła-

dniowe do tekstu, jako to: składnia *ablativi absoluti*, atrakcyje, aoryst gnomiczny, napomknienia o częstkach spójnikowych i t. p.

Szczególniej udatnio prowadzone są tak zwane „klasy słów.” Następuje część składniowa, sumiennie opracowana; składnię poprzedzają ustępy ze stylu ciągłego, powiastki, anegdoty, wyjątki wierszem. Umieszczone w końcu dwa słowniczki (grecki i polski), wystarczają całkowicie *ad hoc*. Słowem, uważamy tę książkę za nader pożyteczną pomiędzy innemi i dlatego, że autor w ciągu, nieustannie odsyła ucznia do paragrafów poprzedzających. Język w *Cwiczeniach* czysty i poprawny, wyjąwszy rzadkie lokalizmy (n. *wielom ludziom*). Żałujemy, że p. Samolewicz nie dał wstępu, w którym uprzedziłby ucznia o znaczeniu pewnych skrótów technicznych np. C str. 284 (zapewne to jest rozdział danej gramatyki, o której z tekstu nie dowiadujemy się).

Ale najważniejszym postulatem z naszej strony, o którego spełnienie usilnie prosimy p. Samolewicza, jest to, aby jaknajspieszniej pomyślał o wydaniu „klucza” do swoich zadań, czém *wielką* wyświadczy przysługę niejednemu, szczególniej z prywatnych miłośników filologii starożytniej, a takich wielu spotkać dziś można wśród młodzieży, prowadzącej naukę domowo.

---

*Przyroda i przemysł.* Tygodnik popularno-naukowy. Rok VIII. (Po objęciu redakcyi przez prof. Uniwer. Warsz. dr. Karola Jurkiewicza, od lipca 1878 do lipca 1879 r.).

W widoczném skupianiu się u nas całego życia umysłowego w pismach peryodycznych, przyczém inne gałęzie piśmiennictwa ubożeją i słabo wegetują, tém przynajmniej pocieszać się trzeba, że wydawnictwa czasowe poczuwają spadające na nie zadanie i według możliwości potrzebom społeczeństwa swego służą i różnostronne kierunki myśli współczesnej reprezentują. Oprócz więc nadmiernej może ilości pism codziennych, widzimy także w trudniejszych warunkach bytu powstające organa specjalne, pewnym wydziałom życia poświęcone, oraz pisma ogólniejszego zakresu, z zadaniem niezmiernie ważnem: rozszerzania poziomu naukowego wśród klas, ukształceni średnie posiadających. O potrzebie takich pism nikt nie wątpi, ale doświadczonej tylko wiadomo, jak popularyzowanie nauki jest rzeczą trudną, trudniejszą niż płodna nawet praca w obranej specjalności, obok bowiem rozległej i głębokiej nauki, wymaga talentu, daru nieposzedniego.

O pismach specjalnych, ich wartości naukowej i pożytku, jaki w swoim kole przynoszą, prawo wyrokowania i oceny należy do spe-

cyalistów; ogół poprzestaje na wiadomości, że jedyną ich podporą może być tylko rozwinięte poczucie łączności towarzyskiej i naukowej, tudzież wspólności interesu. Jakoż widzimy, że posiadają lekarze nasi organ własny, nawet niejeden—i utrzymać je z pewnością potrafią. Z większemi już przeszkodami łamią się u nas prawnicy i inżynierowie, czy że słabsi liczbą, czy spójnością, a jednak nie ustają w usiłowaniach utrzymania własnych organów naukowych.

Jeżeli tedy wydawnictwa czysto specjalne stoją silną organizacją korporacyjną, to pisma naukowo-popularne tam tylko mogą się utrzymać: gdzie ogół publiczności ukształconej i czytającej, nie daje się już zaspokoić rzeczami bawiącemi lub podrażniającemi, lecz sam poczuwa potrzebę pokarinu krzepiącego; gdzie już osiągnął dojrzałość, pozwalającą potrzeby swoje rozumieć i oceniać, a co ważniejsza, umieć je zaspakajać. Gdzie zaś przynajmniej większość do tego nie dorosła, tam wątpliwą jest rzeczą, czy zastąpić to zdołają: hojna ofiarność mecenasów lub wysiłki ludzi, przodujących w ruchu umysłowym.

Z nielicznych dotąd u nas téj kategorii pism, niezaprzeczonej użyteczności jest tygodnik popularno-naukowy *Przyroda i przemysł*, dzieje wszakże jego nie są wesołe. Widocznymi potrzebami czasu i położenia wywołany i od początku prowadzony przez ludzi młodych, zaufanych w siły swoje i poparcie ogółu, różnego doznając powodzenia, przetrwał tygodnik ten lat 7 kłopotliwej egzystencji; w końcu z wyczerpania, ze zmniejszającą się ciągle liczbą prenumeratorów upadł. W rok potem, t. j. w początku lipca 1878 r., grono ludzi dobrej woli, porozumiewszy się z zasłużoną u nas firmą księgarską i wydawniczą Gebethnera i Wolffa, nanowo powołało *Przyrodę* do życia i kierownictwo powierzyło prof. uniwersytetu Warszawskiego K. Jurkiewiczowi.

Wznowione w ten sposób wydawnictwo, dobiega już trzeciego półrocza swój działalności, a dotąd nie odezwał się żaden głos, któryby dawał poznać usposobienie i wymagania czytających; objaw ten obojętności, gorszym jest, niż kapryśne nawet, lub zgryźliwe roszczenia. Dla przerwania téj ciszy, a może i dostarczenia w następstwie pobudki innym, do bardziej wyczerpującego rozbioru, zwracam tu uwagę na ukończony okres roczny pisma, ograniczając się ogólnym poglądem na materyał i obrobienie, bez wyliczania artykułów, streszczania ich lub szczegółowej oceny.

Z tego stanowiska wychodząc, można powiedzieć, że *Przyroda*, jakkolwiek nie jest szkołą systematyczną i być nią nie może, dostarcza wszakże dla każdego czytelnika ukształconego, obficie, nie tylko użytecznych dla niego wiadomości, ale niejednemu pomoże do rozjaśnienia sobie poglądu na wiele zjawisk przyrody i w tém znaczeniu, wdrażając umysły mniej uprawne do myślenia porządnego, nazwaną być może szkołą. Niejednemu wreszcie po znużeniu robotą obowiązkową, poda zdrową dla umysłu rozrywkę, która przyczynić się może do rozszerzenia horyzontu jego ukształconia naukowego. Kronika

bieżąca utrzymuje czytelników w ciągłej łączności z ruchem współczesnym, zawiadamiając o najświeższych faktach.

Malkontenci, bo i o tém nie wypada przemilczeć, wszędzie się znajdują, więc i u nas jak wszędzie, publika różnolita, tylko może mniej, niż gdzieindziej, przywykła do jasnego zdawania sobie sprawy ze swych wymagań, odzywa się ustnie z zarzutem takim lub innym. Przysłuchawszy się tym zarzutom, to tylko świadectwo dać o nich mogę, że nietylko zgodności jakiegóś dopatrzeć się w nich nie można, ale najczęściej wręcz sobie bywają przeciwne. Jednemu rzecz jaka wydaje się nieprzystępną, specjalistów chyba obchodzącą i nie powinna zabierać miejsca w piśmie popularném; inny zbija go, dowodząc, że właśnie zadaniem pisma popularnego, jest najnowsze w nauce poglądy, stanowiące jej postęp, wyrwać z zacieśnionego koła uczonych i oddać na korzyść ukształconej powszechności. Jeden poczytuje za brednie wierutne fakta, przytaczane jako dowody, w badaniu niby poważno-naukowym i doradza raczej tłumaczenia rzeczy dobrych, niż pretensje do własnych; innego fakta owe wcale nie gorszą, a cieszy się przedewszystkiem, że nie same tylko, pożyczone od obcych, imiona i rzeczy, ale też i rodzimi krajowi myśliciele, występują tu z pracami oryginalnemi, życzyłoby tylko, aby bacniejszą zwracano uwagę na usunięcie błędów językowych i wybryków pisowni. Ten chciałby kronikę skrócić, ów wyłączyć z niej tylko rzeczy błahe lub podejrzanój prawdziwości. Jednym słowem błędnik bez wyjścia.

Zapewne, że nie wszystkie artykuły, umieszczane w *Przyrodzie*, są jednakowej wartości, bo gdzież jest doskonałość bezwzględna; to jednak pewna, że w porównaniu z publikacyami podobnemi u innych narodów, niemniej tam względnie mało znaleźć można rzeczy słabych i że niema obawy rumienienia się za naszą *Przyrodę*; oddać owszem przynależy sprawiedliwość redakcyi, że z ogłoszonego programu wywiązała się sumiennie.

Dobór treści zastosowany jest umiejętnie i trafnie do rozmaitego poziomu ukształcenia czytelników, a większość artykułów ma niewątpliwą wartość naukową, w tych przynajmniej, które są od redaktora, język czysty, wystowienie staranne, do ścisłości nawykłe, często niepróżne wdzięku; w artykułach nadsyłanych ślady jego bacności są widoczne, chociaż, zdaje się, służyłoby mu prawo, nawet surowszą pod tym względem rozciągać kontrolę. Niedbalstwo co do języka, należy do bardzo niebezpiecznych wad naszych, dawać w tym zgorzienie, jest winą nie do przebaczenia, a dobry przykład, zasługą pierwszorzędną, bo działa skuteczniej, niż strofowanie lub zawstydzanie.

Wycieczka ta przekracza poniekąd zakres, jaki sobie pierwotnie zamierzyłem, jest przygodną i wymaga usprawiedliwienia. Pokazał się tu prospekt świeżo ogłoszony w Tarnowie na pismo *Przyrodnik*, zatóm i treścią i zakresem działania zbliżone z tutejszą *Przyrodą*. *Przyrodnik* ten ma wyjść na świat z dniem 1 listopada r. b., a jeżeli zamiarem jego przemawiać do swoich czytelników tym samym języ-

kiem, jakiego użył w prospekcie i wezwaniu o pomoc w zbieraniu prenumeraty, to obowiązkiem naszym, na pierwszym zaraz kroku zwrócić jego uwagę na odpowiedzialność, jaką przyjmuje, występując w charakterze przewodnika i nauczyciela. Dokumentów owych przytaczać niema tu miejsca, pisane są one językiem mocno skażonym, a rażą więcej jeszcze tokiem mowy nie polskim, niż błędami gramatycznymi, po lodomersku, według wyrażenia podróżnika, zwiedzającego niedawno owe strony po dłuższej nieobecności w kraju. Świeżość zjawiska, mogącego w przyszłości stać się szkodliwem, powinnyby usprawiedliwić ustęp powyższy, jako w porę przychodzący, a wymierzony wcale nie przeciw *Przyrodzie*, ale właśnie dla przypomnienia jej, że ma jeszcze jedno ważne do spełnienia zadanie, być przodownicą i wzorem czystości mowy ojczystej dla pracowników na tej samej niwie.

Tęm kończę ten pogląd ogólny na roczną działalność wydawnictwa. Wiadomości bardziej szczegółowe, jak tytuły artykułów celniejszych, klasyfikacja, t. j. które artykuły są treści ściśle naukowej, a które przystępniejsze, opowieściowe, które przyswojone z prac obcych, powszechnem uznaniem zaszczyconych, które zaś oryginalne przez krajowych uczonych napisane, które wreszcie odnoszą się mianowicie do rzeczy krajowych; wszystko to wyluszczone treściwie i jasno, znajdzie czytelnik w odezwie redaktora, zamykającej roczny okres wydawnictwa, a umieszczonej w nr. 1 nowo zaczętego roku, t. j. z d. 2 lipca r. b. Tam także określa redaktor zapatrywanie swoje na zadanie pisma i zdaje sprawę z tego, o ile spełnić to się dało. Powtarzać tego nie będę, że programata tego rodzaju, które są nie samą tylko reklamą handlu księgarskiego, ale informują publiczność o czynnościach spełnionych, o kierunkach obranych przez pisma potrzebom umysłowym tej publiczności poświęcone, powinnyby od czasu do czasu być umieszczane w pismach czasowych, albowiem do rzędu ich zadań, przecież należy skupianie w sobie objawów życia literackiego w kraju.

A. W.



## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Listopad 1879.*—Tom I *Żywotów śś. Starego i Nowego Testamentu* Skargi, wyszedł na widok publiczny (w drukarni Emila Skińskiego, ulica Chmielna, nr. 1530, n. 20).

Jestto wykład starannie i uniejętnie uprzystępniony dla ogółu czytelników, to jest zarówno dla starszych jak i dla młodszych i zapoznawszy się bliżej z początkiem dzieła zaznaczyć można, iż nader udanie obrobione, nie tracąc bynajmniej charakteru i całej żywotności oryginału. Cena nader przystępna rokować każe rozpowszechnienie tej publikacji, którą zapisywać można drogą prenumeraty we wszystkich księgarniach, uiszczając częściowo opłatę rs. 5 za sześć tomów.

— *Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej J. I. Kraszewskiego.* Drukiem Józefa Ungra, ulica Nowolipki, nr. 3, 1880 r.

Jestto zadaniem i wykonaniem imponująca publikacja, w której naczelną kartę ozdabia portret jubilata, a ciąg tekstu portrety prababki, babki i rodziców, oraz widoki miejscowości, w której mieszkał; pod pojedynczymi zaś artykułami o niestrudzonej działalności pisarza czytamy imiona chlubnie znane w piśmiennictwie naszym. Książka zbiorowa należy do rzędu publikacji równie świetnych i rzadkich, jak sama doniosłość i ogrom zasług bohatera obchodu. Obszerne sprawozdanie i ocenę krytyczną *Książki jubileuszowej* w swoim czasie podamy, a tym razem wypowiadamy niezłomne przekonanie, że dostojnemu pracownikowi i z powodu wyższych zalet wewnętrznych książki, rozmiarów jej i wykończenia części artystycznej i domyślnych pod każdym jej wierszem pobudek, miło będzie położyć ją przy sercu, obecnej rodzinie wskazać, a przyszłej przekazać.

— Z początkiem przyszłego roku wyjść ma w Krakowie książka ilustrowana p. t.: *Jubileusz J. I. Kraszewskiego*, z której czysty dochód przeznaczono na wzniesienie pomnika Mickiewiczowi. Redakcją tej książki zajmują się pp. A. H. Kirkor, J. J. Rolla, ks. Jan Siemiański, Alfred Szczepański i inni.

— Jan Aleksander Fredro napisał nową komedią w 1 akcie p. t.: *Próba przedstawienia amatorskiego*. Komedia ta oddaną już została dyrekcji teatru krakowskiego i wkrótce zapewne ukaże się na scenie.

— W Paryżu wyszły *Spiewy polskie* Szopena w przekładzie francuzkim, wykonanym przez Wiktora Wildera. Wydawca Hamelle przeznaczył je na bezpłatny dodatek dla prenumeratorów pisma *Mencstrel*.

— Nakładem Lewentala wyszła z druku powieść J. I. Kraszewskiego p. t.: *U babuni*, w dwu tomach.

— *Obrazki dziejowe*. Pod tym tytułem firma Gebethnera i Wolfa wydała dziełko dla młodzieży, przez Teresę Jadwigę, ozdobione sześcioma rycinami, rysunku Juliusza Kossaka. Spotykamy się tu z poważnemi postaciami naszej przeszłości, jakoto: Witem Stwoszem, Janem z Kolna, Karolem Chodkiewiczem, Sobieskim. Dziełko to może posłużyć za piękny przedmiot podarunkowy na gwiazdkę. Książkę swoją autorka poświęciła J. I. Kraszewskiemu.

— Pismo p. Jeleńskiego p. t. *Żydzi, niemcy i my*, wkrótce wyjdzie na widok publiczny w wydaniu czwartém, znacznie powiększonym.

— W Poznaniu u Jolowicza wyszedł w przekładzie niemieckim M. v. Rehdena dramat konkursowy El...yego: *Kiejstut*. Krytyka niemiecka odzywa się z arcy-pochlebném zdaniem o naszym utalentowanym poecie.

— *Pamiętniki Ludwika hr. de Laveaux*, wydał z rękopismu L. D. L. w Krakowie. Czcionkami drukarni *Czasu*, pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego. 1879. Główny skład w księgarni G. Gebethnera i spółki.

Wstęp z tych *Pamiętników* ś. p. Lucyan Siemieński umieszczał w *Czasie*. Autor ich oprócz prac pozostawionych w rękopiśmie, ogłosił drukiem pomiędzy innemi: *Obraz piękności natury* (1820); *Górale Beskidowi* (1851). Pismo też nasze podało w r. 1854 jego: *Uwagi krytyczne nad życiorysem Szymona de Cortecello*. Do rzędu obszerniejszych należy obecnie wydane, już pośmiertne jego dzieło (umart r. 1870). Spisując wypadki i wrażenia osobiste, autor dotyka tu i ogólniejszych widnokręgów dziejowych, jakie go w ciągu długiego żywota otaczały. Styl jasny, ton czerstwy, nieraz humorystyczny, z zacięciem przypominającym Paska, a to wszystko otchnione miłością tradycyi, nadają miły wyraz całemu utworowi.

— *Słownik mimiczny dla głuchoniemych i osób z nimi styczność mających*, opracowany przez ks. Józefa Hollaka, b. profesora warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych i przez ks. Teofila Jagodzińskiego, wice dyrektora tegoż Zakładu. Warszawa. Druk i nakład Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. 1879 r. Cena rs. 6.

We wstępie podane są ogólne wskazówki, dotyczące metody nauczania tak srogo przez naturę ukrzywdzonych ludzi, a mianowicie: dwa sposoby rozmawiania na migi: ideograficzny i daktylogiczny (to jest przedstawianie pojęć obrazami najbliżej rzecz malującami i palcowanie). Następują przykłady, objaśniające obie metody (palcowanie ma być metodą mniej dokładną i niepraktyczną); potem rycina alfabetu ręcznego, czyli palcowego. Po wstępie many słownik mimiczny. Oto przykład: „*Ach!* (wykrzyknik) uderzywszy dłoń prawą o lewą, załamywać ręce, z wyrażeniem na twarzy przerażenia lub bóleści.” Metodzie ideograficznej autorowie przyznają wyższość dlate-

go, że jest ogólnie ludzką, powszechną; metoda palcowa jedynie w określaniu imion własnych może być wygodną.

— W handlu księgarskim ukazała się powieść w dwu tomach p. t.: *Romans Pana Michała*, przez Jana Zacharyasiewicza, którą autor poświęcił J. I. Kraszewskiemu. Powieść tę drukował niedawno *Wiek*.

— *Córka kamieniarza*, powieść ludowa Karoliny Świetli, przełożona z czeskiego przez panią Maryą Grabowską, wyszła w Piotrkowie nakładem redakcyi *Tygodnia*.

— Pod ogólnym tytułem: *Rozmaitości i powiastki* ukazały się w handlu księgarskim pomniejsze twory Jana Lama, napisane z właściwą temu autorowi werwą i humorem.

— Drukarnia Anczyca i Spółki w Krakowie przygotowują nowe wydanie dzieł Fredry (ojca) w trzynastu tomach.

— W tych czasach wyszła z druku książeczka p. t.: *Trzy epizody z życia szlacheckiego*, przez Piotra Jakśę Bykowskiego. Napisy tych epizodów są: *Święcone w Łabuniu u wojewody Sępkowskiiego*, *Córka hetmańska*, *Mirza-Tadž-El-Faher* Emil Wacl. Rzewuski (z portretem).

— Instytut politechniczny. Pan J. G. Bloch stara się o utworzenie w Warszawie szkoły politechnicznej i na jęj utrzymanie łożyć zamierza. Jest nadzieja, że przychylna decyzya władz w tęg zacnej sprawie nastąpi z końcem roku bieżącego.

— *Pism Henryka Sienkiewicza*, tom I, wyszedł z druku nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa; zawiera on następujące utwory: *Stary sługa*, *Hania*, *Szkice węglem*, *Janko muzykant*.

— W dniu 17 b. m. w Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, miał miejsce akt uroczysty, na którym p. Ludwik Wiesiołowski, ziomek nasz, Warszawianin, otrzymał wielki złoty medal za obraz konkursowy: *Chrystus i grzesznicy*.

— W Krakowie wyszły staraniem i nakładem Stowarzyszenia do wydawnictwa dzieł lekarskich, dwie ważne prace: *Choroby serca i tętnic* przez d-ra Oskara Widmana i *Psychologia forensis, czyli nauka o chorobach umysłowych, w zastosowaniu do sądownictwa, szcze-gólniej do praw obowiązujących w Królestwie Polskiem i Galicyi*, przez d-ra A. Rotheho.

— Odczyt publiczny Adama Bełcikowskiego *O Balladynie*, drukowany poprzednio w *Tygodniku Powszechnym*, wyszedł w oddzielnęj odbitce.

— W sprawozdaniach komisji fizyograficznej Akademii Umiejętności, zamieszczono nader interesujący *Opis badań geologicznych dokonanych w Królestwie Polskiem w r. 1878, oraz spostrzeżeń we wsiach Zbrzy i Kleczunowie* przez J. Trejdosiewicza, (str. 11). Część pierwsza obejmuje trzy ustępy: *Odkrycie pokładu formacyi kredowej w pow. Łódzkim, gub. Piotrk.*, *O znaczeniu granicy między formacyą dewońską i tryasową w okolicy Opatowa, Wapienie trzeciorzędowe*

w gub. Lubelskiej. Część druga: *Lupki sylurskie i wapienie dewońskie pod Zbrzą, Skąły sylurskie w Kleczanowie, Kwarcyty dewońskie gór kieleckich.*

— *Gazeta Warszawska* (w n. 245) z powodu głosów hołdu dla Kraszewskiego, jakie odezwały się i we Francyi, (gdzie Jubilat szczególnie wspomnianym jest jako tłumacz pieśni litewskich) donosi o powstałym projekcie utworzenia Towarzystwa litewskiego. Myśl tę postanowiono na zjeździe w Tylży d. 14 października. W skład ciała projektującego wchodzi i poważne nazwiska jako to: Szlejchera, Potta, Szmidta, Miklosicza i innych, bezwątpienia zasłużonych lingwistów. „Miklosicz, mówi *Gazeta Warszawska*, ten uczony Słowianin wśród znakomitości niemieckich mocno nas uderzył. Jeżeli założyciele Towarzystwa litewsko-literackiego zgłosili się do Miklosicza, dlaczego pominieli księdza Malinowskiego, głębokiego znawcę litewszczyzny? Wszak z Tylży nie tak daleko do Komornik pod Poznaniem. Dlaczego pominieli d-ra Karłowicza, który ciekawą ogłosił rozprawę o języku litewskim.”

Do wiadomości podanych tam o autorach gramatyki litewskiej, dodać winniśmy jeszcze wzmiankę o *Gramatyce litewskiej* wydanej przez niedawno zmarłego w Warszawie Konopackiego, który do ostatniej chwili życia zachował gorące zamiłowanie rodzinnej ziemi swojej, Litwy, i zbieraniem materiałów do badania jej mowy gorliwie się zajmował.

— Herman Hettner. *Historja literatury angielskiej od czasów przywrócenia królestwa, aż do drugiej połowy XVIII stulecia (1660—1770)*, przekład podług trzeciego wydania niemieckiego, przez Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala (pod kierunkiem Redakcyi *Kłosów*), Nowy-Świat, nr. 1258a (39 nowy).

Jestto dalszy ciąg znanej powszechnie i ocenionej przez ogół publikacyi *Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej*. Przedmiotem obecnego dzieła jest drugi z trzech aktów rozwoju piśmiennictwa angielskiego, uosobiony w najcenniejszych mężach nauki, poezyi i dramatu, gdzie nad licznym szeregiem geniuszów i talentów góruje: Newton, Bacon, Locke, Hume, Milton, Dryden, Young, Sheridan. Na czele dzieła podano tu treściwie wiadomości o autorze, H. Hettnerze, który w obecnym stanowisku dziejopisarstwa, słusznie za wzorowego jest uważanym powszechnie, ze względu na punkt widzenia, na zdolność pochwycenia charakterystyki czasów i osób, oraz na znakomity wykład i ocenę treści we wszystkich dzielnicach piśmiennictwa. Szczegółowego sądu o tej ważnej książce podać nieomieszkamy.

— Jedna z najpiękniejszych powieści historycznych J. I. Kraszewskiego: *Grzechy hetmańskie*, wyszła nakładem S. Lewentala.

— W *Revue politique et littéraire* pod działem: *Wielcy muzycy*, p. Leo Quesnel umieścił wspaniały artykuł *O Szopenie*, biorąc za podstawę dzieło p. Karasowskiego.

— *Kronika Rodzinna*, pismo wychodzące dnia 1 i 15 każdego miesiąca, wychodzić będzie i nadal w r. 1880. Cena prenumeracyjna pozostanie taż sama (w Warszawie rocznie rs. 4, na prowincyi z przesyłką pocztową rs. 5); stosownie do téj ceny można prenumerować półrocznie i kwartalnie.

— Z Krakowa donoszą, że dnia 8 zeszłego miesiąca nastąpiło uroczyste poświęcenie szkoły sztuk pięknych, w obecności dyrektora Jana Matejki i uczniów zakładu. Przemawiali na téj uroczystości: ks. Golian, który spełnił obrzęd religijny, a następnie dyrektor Matejko.

— Piszą z Krakowa: Zaraz po śmierci nieodżałowanej pamięci Lucyana Siemieńskiego, powstała myśl zupełnego o ile możności wydawnictwa dzieł tego znakomitego pisarza, na rzecz pozostałej po nim wdowy i rodziny. Utworzył się téż w tym celu komitet, w którego skład weszli: prezes Akademii umiejętności dr. Mayer, jako przewodniczący i pp. Aleks. Szukiewicz, prof. Żepkowski, Estreicher, prof. Szujski, prof. hr. Tarnowski i dr. Piekosiński jako członkowie. Komitet rozpatrzywszy się w trudnościach tego wydawnictwa, przyszedł do przekonania, że wydawnictwo dzieł Siemieńskiego niemoże być zupełnym już dla tego samego, iż wiele pojedynczych rozpraw, monografii, tłumaczeń i powieści znajduje się w rękach wydawców, którzy je na swoją wyłączną nabyli własność. Oznaczywszy termin kilkumiesięczny, komitet wezwał wszystkich wydawców, aby się zgłosili z swemi pretensjami do dra Mayera. Niektórzy z nich, jak np. p. Lewental w Warszawie (którego własnością jest wspaniały przekład *Odysei*), oświadczyli, że zgadzają się chętnie, aby nabyte przez nich dzieła weszły w skład rzeczzonego wydawnictwa, inni zaś niewątpliwie pójdą za tym przykładem. Komitet więc przystąpił do rozpoczęcia wydawnictwa i postanowił, że wydaniem zostanie 10 tomów dzieł Lucyana Siemieńskiego, obejmujących najcenniejsze jego utwory beletrystyczne, krytyki, przeglądy artystyczne, rozprawy literackie i naukowe, poezye, tłumaczenia i t. d. Wiele z najpiękniejszych może pereł tego wdzięcznego pióra, po różnych rozproszyło się pismach codziennych i miesięcznych przeglądach; wybór ich komitet powierzył prof. Stanisławowi hr. Tarnowskiemu. Szanowny profesor przygotował już materiały do tego tomu, który prawdopodobnie w tym roku opuści prasę. Komitet chcąc zebrać potrzebne fundusze na pokrycie kosztów wydawnictwa, ogłosił przedpłatę na 10 tomów dzieł Lucyana Siemieńskiego w cenie 30 zlr., z dodatkiem, że można także nabywać każdy tom z osobna po 4 zlr. W Warszawie przedpłatę na dzieła Lucyana Siemieńskiego przyjmuje księgarnia pp. Gebethnera i Wolffa, w cenie rs. 24 za 10 tomów, a rs. 3 za tom jeden.

— Z Torunia: Towarzystwo naukowe toruńskie rozpięło konkurs na dzieło opisujące miasto Toruń.

Książę August Czartoryski złożył na ten cel 300 marek. Prezes wydziału historycznego, Adam Sierakowski, dodał ze swéj strony 200 marek. Towarzystwo naukowe ma zatém obecnie 500 marek do roz-

porządzenia. Sumę tę przeznaczają ono jako nagrodę konkursową za najlepszy opis miasta Torunia.

Komisya wręczy 500 marek autorowi téj pracy, którą za najlepszą uzna.

Rękopism pozostanie własnością autora, jeśli tenże zobowiąże się swą pracę w przeciągu trzech miesięcy, od chwili doręczenia jej komitetowi, wydrukować własnym kosztem i odpowiednią zobowiązaniu złożyć kaucyą, lub inną da pewność. W razie przeciwnym własność przejdzie na rzecz Towarzystwa naukowego toruńskiego, a autor dostanie 50 odbitek w razie wydrukowania jego pracy nakładem Towarzystwa.

Opis miasta Torunia powinien zawierać krótko, a przystępnie napisany ustęp o założeniu i dalszym historycznym rozwoju Torunia z uwzględnieniem miejscowych podań i legend, sposobu życia i zarobkowania mieszczan toruńskich za czasów polskich, tudzież historii cechów miejskich.

Przytém nienależy pominąć opisu życia flisaków, lecz trzeba przedstawić je w żywych barwach. Dalej wypada opisać wszelkie piękniejsze kościoły, ciekawsze budynki i zbiory toruńskie, odżywić przy tych opisach odpowiednie wspomnienia historyczne: słowem niczego nie opuścić, coby w szerszém kole czytającej społeczności mogło spopularyzować ten opis Torunia.

Komisya konkursowa zastrzegła także, aby praca wolną była od wszelkiej dążności uwłaczającej uczuciom religijnym i obywatelskim czytelnika.

Przy końcu opisu autor powinien wyszczególnić wszystkie instytucje polskie w Toruniu dzisiaj istniejące, wraz z historią założenia i oceną obecnej ich działalności.

Rękopisma należy przysyłać na ręce p. Adama Sierakowskiego w Waplewie pod Starym-targiem (Altgrad) przed 1 kwietnia r. 1881.

— Z początkiem przyszłego roku przybywa pismo czasowe: *Wieczór rodzinny*, ilustrowane dla dzieci. Z ogłoszonego przez redakcyą prospektu dowiadujemy się, że w pośród pracowników tego, rzeczywiście pożądanego pisma, wchodzić będą ludzie z ustalonym imieniem w naszym piśmiennictwie. W prospekcie czytamy:

„Szczepić zasady wiary i moralności, budzić zamiłowanie do pracy, podawać w formie przystępnej i zajmującej wiadomości naukowe: oto jest założenie, jakieśmy sobie zakreslili. Znajomość przyrody i znajomość dziejów ludzkości, są to dwa główne źródła wiedzy ludzkiej. Z obu tych źródeł zamierzamy czerpać jednocześnie, zachowując pomiędzy nimi równowagę, która w czasach naszych zbyt często zachwiana bywa w systematach wychowawczych. Oprócz nauki w ścisłym znaczeniu, niemniej na względzie mieć będziemy kształcenie charakteru, rozwijając poczucie i zrozumienie obowiązku, budząc w duszach młodych i nieskażonych zamiłowanie wszystkiego, co dobre, szlachetne i piękne. Cel ten najłatwiej osiągniemy, wskazując działwie

zawczasu drogę przez ojców naszych wytkniętą, zaznaczoną wzorami cnoty i poświęcenia; dlatego też, obok działów naukowych, zamierzamy także prowadzić obszernie dział religijno-moralny, oparty przeważnie na przykładach pouczających, z rzeczywistości czerpanych. Nakoniec i objawy życia społecznego nie powinny być obce dla młodzieży; nie omieszkamy też zaznajamiać naszych czytelników w sposób właściwy z ważniejszymi bieżącymi sprawami, które cały wykształcony ogół obchodzą." Redakcją i wydawnictwo pisma wzięła na siebie p. Ludwika Haukówna. Kierunek części literackiej objęła p. Maryja Julia Zaleska, utalentowana popularyzatorka wiadomości z nauk przyrodniczych, autorka szeroko upowszechnionych *Wieczorów Czwartkowych*. Jako współpracownicy występują osoby znane i zasłużone w zakresie prac pedagogicznych, panie: Borkowska Aleksandra z Chomętowskich, Dzieduszycka Anastazyja, Krakowowa Paulina, Zajączkowska Zuzanna; panowie: Anczyc Wł. Ludwik, profesor Kowalski Tadeusz, Nowicki Władysław, Pietkiewicz Antoni (Adam Pług) i wielu innych.

— Zwracamy uwagę czytelników na zapowiedziane przez redakcję *Wedrowca*, nader poważne wydawnictwo, z rokiem przyszłym 1880 rozpocząć się mające, które ze wszech miar zasługuje na poparcie ze strony ogółu. Jestto *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*. Zamierzone to wydawnictwo, po ukończeniu ma tworzyć pięć tomów, każdy o 960 stronicach druku. Obok wiadomości geograficznych i statystycznych, przedstawione tu będą fakta dziejowe, ekonomiczne i społeczne, pod względem religii, szkół, przemysłu, zgoła w zagrupowaniu wszystkich znamion danój miejscowości dotyczących. *Słownik geograficzny* zawierać będzie:

1. Wszystkie miejscowości położone w Królestwie Polskiem.
2. Wszystkie ważniejsze miejscowości w guberniach nadbałtyckich, zachodnich i południowych Cesarstwa Rosyjskiego.
3. Miasta gubernialne, stacje pocztowe, telegraficzne i stacje dróg żelaznych w pozostałych guberniach Rosyi Europejskiej.
4. Wszystkie ważniejsze miejscowości Prus Zachodnich i Wschodnich, W. Księstwa Poznańskiego i Szlązka Pruskiego, ze szczególnym względem na słowiańskie nazwy miejscowości, dziś zniemczone.
5. Wszystkie ważniejsze miejscowości Galicyi, Szlązka Austriackiego, Morawy, słowackich komitatów Węgier, Bukowiny, także z uwzględnieniem dokładności w nomenklaturze okolic, które uległy wpływowi: germanizacyi, madziaryzacyi i romanizacyi.
6. Dokładna hydrografia i orografia wymienionych powyżej krajów.
7. Wszystkie miejscowości będą opisane pod względem geograficznym, statystycznym, społecznym (szkoły, stosunki religijne, przemysł, komunikacye, handel), historycznym (założenie miejscowości, wypadki ważniejsze, przechodzenie z rąk do rąk) i archeologicznym.

— Jednym z donioślejszych następstw uroczystości październikowej, jest rzucona przez Jubilata myśl wydawnictwa dzieł popular-

nych wszelkiego rodzaju, na wzór czeskiej *Macierzy*. Wieści o złożonym jakoby na ten cel funduszu na ręce prezydenta miasta Krakowa, okazały się przedwczesnymi. Dostojny Jubilat, w liście zamieszczonym w *Kłosach*, takie w tym przedmiocie daje wyjaśnienie:

„Zmuszony jestem—pisze J. I. Kraszewski—list ten rozpocząć od sprostowania wiadomości niedokładnej, dotyczącej się założenia instytucji na wzór istniejących w innych krajach słowiańskich *Matycy*, czyli „*Macierzy*.”

Dzienniki doniosły o wręczeniu na ten cel pewnej sumy prezydentowi miasta Krakowa, d. wi Zybliekiewiczowi, co on już wyjaśnić zapewne musiał, iż jest fałszywem.

Myśl instytucji przeszło od lat dwudziestu w sobie nosimy.

Była chwila, gdyśmy z przyobiecanego nam już legatu ś. p. Berzowskiego, blizkimi byli jój urzeczywistnienia; na nieszczęście, p. Berzowski zmarł, nie uczyniwszy nic prawnie: została w rękach naszych tylko karteczka, a rodzina nie uważała się za obowiązana nią.

Dziś mamy obietnice i zapewnienia funduszków dla założenia téj marzonej oddawna przez nas *Macierzy*, ale dotąd nie możemy stanowczo zapewnić, czy uda się nam doprowadzić do skutku to zaprawdę wielkie dzieło; zależy to od dobrej woli tych, co nam chcą przyjść w pomoc, a którym chętnie sławy, zasługi, wszystkiego ustąpimy, byle praktyczną instytucją stworzyli.

Akt fundacyjny, przez nas spisany, a zapewniający byt trwałe, wiekuiste, jeśli po ludzku się tak co nazwać może, *Macierzy*, czeka i będzie poddanym wspólniej naradzie tych, których opiece powierzyć ją myślimy.

Dotąd więc, oprócz mojego marzenia i obietnic, niema nic jeszcze.

Tymczasem już się ozwały pewne pisma z krytyką samej myśli zasadniczej przyszłej instytucji, uważając taką „*Macierz*” za coś zbytecznego, przedpotopowego, kiedy oto gotową jest—„*Alma-Mater*,” akademiam.

Jestto u nas zwyczajem, czy nakłogiem, na instytucje i na ludzi dobrej sławy niepomierne kłaść brzemiona...

Są tacy nieszczęśliwi, co we wszystkiém przydować muszą; są takie zakłady, którym się wszystko powierza.

Jestto jedyny środek, aby się nie ani w porze, ani dobrze nie zrobiło.

Mamy najwyższą cześć dla Akademii i jój prac, uwielbienie dla tych, co ją wykołysali i do takiój mgzkiej doprowadzili dojrzałości; lecz właśnie dlatego, że Akademia i *Alma-Mater* mają ogrom zadań przed sobą, brzemiona wielkie: nowych im się narzucać nie godzi.

Oprócz tego, instytucja, mając cel bezpośredni przed sobą, pośrednio téż przyczynić się powinna do wyrobienia nowych sił, nowego ogniska pracy, nowych ludzi: zbytku ich niémamy.

Warunki téż, zakreślone aktem fundacyjnym, wymagają więcéj daleko czujności, niżby mgzowie obarczeni i tak pracą wielką, dać mogli.



Ze wszech miar więc uorganizowanie zarządu musi być niezależnym w wyborze osób; zdaniem naszym, powinno dać rękojmią, iż jednostronnością nie grzeszy.

Działanie *Macierzy* musi, aby było skutecznym, objąć rozmaite potrzeby oświaty, w różnych miejscowościach, których znajomość będzie też warunkiem wyboru członków zarządu.

Na tém niech będzie na dziś dosyć, z uprzejmą prośbą do naszej prasy wogóle wystosowaną, aby się z sądem o instytucyi przynajmniej póty wstrzymać raczyła, dopóki ona pewnych podstaw bytu nie uzyska.

Byłoby to dla nas największym szczęściem, gdybyśmy choć najskromniejszy udział w sprawie takiej doniosłości mieć mogli."

— Sprawa konkursowa co do rzeźb, mających ozdabiać gmach sejmowy we Lwowie, o której podaliśmy czytelnikom wiadomość obszerniejszą w swoim czasie (w *Bibliotece Warszawskiej*), została rozstrzygniętą. Komisya zebrała się pod prezydencją marszałka Wodzickiego w komplecie i po bardzo wyczerpujących rozprawach, uznała z pomiędzy modeli grupy z trzech figur, za najlepszy pod każdym względem model opatrzony napisem „Florecya."

Drugi z rzędu medal, uznany za najlepszy, ma godło: „Progrediamur." Trzeci z rzędu, względnie do pozostałych najlepszy, ma dewizę: „Przez pracę."

Po otwarciu kopert do modeli dołączonych, okazało się, że model najlepszy wykonał rzeźbiarz warszawski p. Rieger. Drugi z rzędu model uznany, jest dziełem rzeźbiarza Marconiego, rodem z Warszawy, osiadłego we Lwowie. Trzeci model wykonał p. Mikulski, bardzo utalentowany młody rzeźbiarz, także mieszkający we Lwowie i także rodem z Warszawy.

Trudniejsze miała zadanie komisya z modelami dwu grup tryfigurowych: *Praca* i *Oświata*, które stanąć mają u wejścia do gmachu. Model *Oświaty* opatrzony również napisem *Florecya*, uznany został za najlepszy. Krakowianin p. Trembecki przystał z Paryża model *Pracy*, pod napisem *Próbka*, który za najlepszy uznano. Modele czterech cnót i dwie grupy królów, nie zyskały uznania. Grupy: *Mieczysława I*, *Kazimierza W.*, oraz książąt: *Włodzimierza* i *Jarostawa* będą przedmiotem nowego konkursu. Cztery figury wyobrażające: *Wiara*, *Miłość*, *Prawdę* i *Sprawiedliwość*, poruczone zostaną bez konkursu dwom współzawodnikom, dającym najwięcej rękojmi dobrego wykonania.

— Z ostatnich nowości literatury zagranicznej, w uzupełnieniu poprzedniej wzmianki, na pierwszém miejscu wspomnieć winniśmy o studyum niemieckim Aleksandra Pechnika p. t.: *Herman i Dorotea* Getoga i *Pan Tadeusz*, czyli *Ostatni zajazd na Litwie* Adama Mickiewicza (*Goethe's: Hermann und Dorothea und Herr Thaddaeus oder der letzte Eintritt im Lithauen, von Adam Mickiewicz, eine Parallele mit Beigabe von mehreren Auszügen aus den letzteren Gedichte*).

Autor w przedmowie w ogólnych konturach nakreśla przed publicznością niemiecką, charakterystykę olbrzyma pieśni polskiej, uzasadniając tym sposobem zamierzony paralelizm. Pierwszą część studjum poświęca tój kwestyi, czy *Herman i Dorotea* są epopeją; przechodzi komiczne i patosowe pierwiastki tego poematu. W drugiej, obszerniejszej części, podaje układ *Pana Tadeusza*; dalej następują obszernie ustępy w wybornym przekładzie wierszem, jako to: *Połowanie, Uczta, Opis serwisu* i t. p. Na końcu samym mamy porównanie obu poematów. Z powodu i naukowej powagi i osobliwego dla nas znaczenia tój pracy pana Pechnika, nie omieszkamy zapoznać z nią bliżej czytelników, uprzedzając przytém, że p. Pechnik przyrzeka nam *całkowity* przekład *Pana Tadeusza* (Tłómaczenie *Pana Tadeusza*, dokonane w r. 1836 przez O. Spaziera, jako słabe, a niekiedy i niezrozumiałe, nie mogło przedstawić Mickiewicza w godném świetle przed światem germańskim).

— Literatura etnograficzna zyskuje znakomity, acz kosztowny przyczynek: jestto publikacya p. t.: *Ameryka północna-malownicza (L'Amérique du Nord Pittoresque)*. Wychodzić będzie co tydzień zeszytami o 16-tu stronicach (cena 1 frank). Całe dzieło zawierać będzie 800 stronic w 4-ce na wytwornym papierze, umyślnie na ten cel wyrobionym. Ilustracye (300) wyjdą z pod ręki najznakomitszych artystów amerykańskich i przedstawiać będą cuda owój natury Stanów Zjednoczonych i Kanady, która rzeczywistością przewyższa wyobraźnię ludzką, zaczynając od ś. Wawrzyńca i Jezior Północnych, aż do pustyń Far-Westu i Gór Skalistych. Dodaną będzie przytém wspaniała mapa kolorowana, jako wskazówka topograficzna do opisu, którego tekst również starannie prowadzonym będzie. Paryż. A. Quantin (cena 60—70 franków).

— W tymże dziale zwracamy uwagę czytelnika na nowe pismo miesięczne: *L'Afrique explorée et civilisée (Afryka zbadana i ucywilizowana)*, wydawane przez Gustawa Moynier, pod redakcyą M. Charles Faure. Genève et Neufchatel. J. Sandoz.

— Do rzędu również znakomitych dzieł, należy publikacya angielska: *Encyklopedya kuli ziemskiej*, króra w obecnej chwili doszła do tomu VI i ostatniego. Tytuł jój szczegółowy jest: *The Globe Encyclopaedia of Universal Information*. W *Encyklopedyi* tój nie pominięto i naszych znakomitości literackich, artystycznych i t. d.

— Ważném i godném przekładem jest dzieło pani Brassey, opisujące jój podróż naokoło świata. Pani Brassey zdrowym poglądem, żywością opowiadania, przypomina Idę Pfeifer, a plastycznością przedstawienia w wielu miejscach nawet ją przewyższa, acz swoję podróż p. Brassey odbyła w ciągu jedenastu miesięcy. Szczególniej interesującemi są obrazy Japonii, a jeszcze bardziej wysp Sandwich. Pani Brassey przybywszy do Hawaj, sama osobiście wspięła się na wulkan, w towarzystwie najstarszój córki. Styl wytworny, tu i owdzie rzucane, jakby od niechcenia, kwiaty crudycy, obok poważnego toku samój

treści, sprawiają, że od książki trudno się oderwać. Tytuł jój: *Nasz pobyt na Oceanie przez jedenaście miesięcy (Our Home on the Ocean for eleven months by Mrs. Brassey)*. London 1879. Longmanns et comp.

— *Plemiona Senegambii* p. Bérenger-Férand (*Les peuplades de la Senégambie*. Paris, 1879 r.). Jestto, jak obecnie, najciekawsza książka etnograficzna. Najciekawsza dlatego, że autor, powściągając pióro od wyszukanych poglądów ze stanowiska psychologii ras, przedstawia nam, co właśnie jest najpożądanyszém w opisie czarnej rasy, jój byt domowy, ustrój rodzinny, obyczaje, odzież, urządzenie mieszkań, przesady religijne: zgoła te najistotniejsze strony życia ludu, które najlepiej poziom jego umysłowy, moralny i społeczny unaocznic nam mogą. P. Bérenger-Férand, jako lekarz, długi czas przepędziwszy w Senegambii francuzkiej, mógł głębiej, jak ktokolwiek inny, wnikać we wnętrze charakteru tego ciekawego, ale podejrzliwego szczepu, który przedewszystkiém wystrzega się tego, aby człowiekowi białemu dozwoić zerwania zwierchniej łuski tego wnętrza.

Co do cywilizacyjnej przyszłości szczepu negryjskiego, autor odpycha wprawdzie ze wstretém dogmat staro-amerykańskich statystów, usprawiedliwiających handel „żywym hebanem” i dowodzących niemożliwości kultury murzynów; ale mniema on, że długich wieków potrzeba jeszcze dla podniesienia negra z zastoju, sensualizmu i zabobonów na pierwszy szczebel w kierunku cywilizacji białych.

— *Towarzystwo odrodzenia we Włoszech i sztuka* p. Huberta Janitszek (*Die Gesellschaft der Renaissance in Italien und Kunst* 1879 r. W. Spemann). Autor tego treściwego, poważnie prowadzonego studyum, wykazuje nigdy nie przerywającą się ciągłość pomiędzy okresem odrodzenia się a sztuką starożytną. Ogniwnami téj ciągłości będzie przedewszystkiém: spadkowe stanowisko, jakie zajęły Włochy po Grecyi. Włochy téż nazywa nowożytną Helladą pod względem sztuki. Podawcami smaku estetycznego byli: Dante i jego poprzednicy: Gwido Orlandi, Frescobaldi, G. Cavalcanti, a następnie Vico. Uwydatnia następnie walkę dwu prądów w humanizmie: poganizmu i idealizmu chrześcijańskiego, zakończoną pojednaniem się obu kierunków, zespoleniem się ducha religijnego z filozofią, pod wpływem idei Platonówskich. Szczególniej wydatnie pokazanym jest wpływ sztuki na formy życia społecznego i rola, jaką odegrała kobieta w losach sztuki, a przez sztukę w losach kultury społecznej.

— *Obrazy historyczne* przez d-ra J. Pervanoglu (*Historische Bilder*. Lipsk 1879 r.). Ta znakomita publikacja, zapowiedziana na wielkie rozmiary, w téj chwili rozpoczęła się tomem I-szym p. t.: *Andronik Komnen*, zawierającym najgłówniejsze obrazy z dziejów bizantyjskich. Następny tom zawierać będzie: *Opowiadania o cesarzu Aleksysuszu*.

— *Historja marynarki powszechnej (Histoire de la Marine de tous peuples* przez A. du Sein. Paris. Didot). Poczynając od okresu biblijnego, autor podaje dzieje marynarki, aż do upadku potęgi mor-

skieję genuęńczyków; tom II-gi zawiera historią floty w Skandynawii, Turcyi, Hiszpanii, Portugalii, Francyi, Anglii, Hollandyi i Rossyi.

— Maks Müller: *Księgi Święte Wschodu* (*The Sacred Books of the East*). W chwili, kiedy sofistyczne zastosowanie hasła: „*lux ab oriente*” w filozofii niemieckiej stoi na porządku dziennym i kiedy Schopenhauer powiada, że *Upnekbat* (jedna z ksiąg Indyi) była dla niego pociechą w życiu i będzie pociechą w świecie; zasoby téj uszczęśliwiającej wiedzy przyplływają coraz to większemi partjami. Sprawiedliwie odzywa się myśliciel angielski, że zawołani sceptycy bywają często najłatwowiejszymi. Tom I przekładu M. Müllera zawiera: *Upaniszady* (biesiady, konferencye uczniów z mistrzem). Tom II zawiera: *Księgi Święte Aryów*. *Upaniszady* zawierają bezwątpienia niejedno ziarno filozofii religii, ale potrzeba wielkiej odwagi cywilnej na to, aby dla ziarnka przebiegać całe staje barocco. Oto kilka wierszy z *Upaniszad*:

„Niechaj mąż rozmyśla nad sylabą *om*, zwaną *udżyta*, ponieważ *udżyta* (jedna z części wedów) zaczyna się od téj sylaby.” Łańcuch zaś logiczny, który mędrca doprowadził do tego wniosku, jest taki:

„Treścią wszystkich rzeczy jest ziemia, treścią ziemi: woda; treścią wody: rośliny; roślin: człowiek; człowieka: mowa; treścią mowy jest Ryg-Weda; treścią Ryg-Wedy: Sama-Weda; treścią Sama-Wedy jest *udżyta*, a jej początkiem sylaba *om*.”

— *Jan Chrzciciel Vico* (*Giambattista Vico als Philosoph und gelehrter Forscher* przez Karola Wenera. Wiedeń, 1879 r. Verlag v. Faesy Frick). W tém głębokiém dziele autor przedstawia cały tok studyów i systematu wielkiego reformatora filozofii i historii włoskiej. Polecamy tę książkę gorąco każdemu badaczowi i miłośnikowi dziejów myśli ludzkiej, której prawdziwe przesilenie się we Włoszech, sprowadził Vico, ten Dekart zaalpejski.

— Swoje felietony o Anglii, Louis Blanc doprowadził obecnie do tomu III. Ogólny tytuł tego ważnego dzieła jest: *Dziesięciolecie dziejów Anglii* (*Dix ans de l'histoire d'Angleterre*. Paris. Plon. Levy, 1879 r.). Jest tu nadzwyczaj zajmująco przedstawione całe pasmo od Bałakławy aż do śmierci Thackeray'a.

— W Paryżu, u Dreyfous, wyszło na widok publiczny dzieło p. t.: *Żywot i odkrycia Krzysztofa Kolumba*, niegdyś napisane przez (syna wiekopomnej pamięci Krzysztofa) Fernanda Colombo, w przekładzie francuzkim E. Müllera. Fernando Colombo, drugi syn Krzysztofa, był już w podeszłym wieku, kiedy się zabierał do napisania pamiętników o wielkim admirale, rodzicu swoim. Pamiętniki te, po zgonie Fernanda, dostały się kolejną czasów do rąk jego prawnuka don Luisa, który je odstąpił znakomitemu wówczas literatowi Valiano Fornari, gorącemu wielbicielowi wielkiego żeglarza. Fornari postanowił ogłosić te pamiętniki w Wenecyi, w trzech językach: oryginalnym (hiszpańskim), oraz w przekładzie włoskim i francuzkim. Przekład francuski nie przyszedł do skutku, tekst zaś hiszpański zaginął. Otóż E. Müller

korzystał z jedynie zachowanego źródła, z przekładu włoskiego, który wyszedł w 1571 r. Będzie to podobno jeden z najciekawszych materiałów, bo prawie pierwszej ręki względnie, dziejów wielkiego Krzysztofa.

— Nowe dramata angielskie. Dwa znakomite utwory p. Ross-Neil, pod świetną wróżbą rozpoczynają zimowy sezon sceny angielskiej. Są to dwie tragedye wysokiego nastroju: jedna z dziejów dworu Jakóba I: *Arabella Stuart*; druga p. t.: *Tasso*, z żywota wielkiego poety. Szczególniej piękną, prawdziwie koturnową jest *Arabella*. Treścią jej jest potajemne małżeństwo Seymoura. Imię autora już znaném jest z powodu utworów dawniejszych (*Lady Jane Grey*, *Inez*, *Cyd El Bennelli*). *Arabella*, nie wątpimy, ustali sławę twórcy. Przy niej jednakże nie gaśnie i *Tasso*, postać, jak mówią krytycy, godna Talmy. Ross-Neil jest dramaturgiem-psychologiem. Umié pochwycić samo serce charakteru; silne, kalderońskie natężenia akcji, osobiwsza czerstwość realistyczna w prowadzeniu zdarzeń, wielkie myśli rozlane po całym poemacie: są to przymioty, tym utworom rokujące długie panowanie na scenie. Postaramy się zapoznać czytelnika, przynajmniej z głównemi pięknosciami obydwu.

— Najnowsze dzieło Henryka Spencera. Naczelný wódz dzisiejszych ewolucjonistów, Herbert Spencer, jak sam oświadcza, zamýślał, oddawna rozwinięte w różnych pracach swoich zasady, przeprowadzić przez pozostałą jeszcze instancją: etyki. Nie rokując sobie wprawdzie, aby na to już sił starczyło, postanowił jednak uczynić to, co może, dla uwieńczenia gmachu. Tým uwieńczeniem cząstkowém, ma być obecne jego dzieło p. t.: *Daty etyczne* (*The Data of Ethics by Herbert Spencer*. London, 1879 r. Wiliam et Norgate). Wierny hasłu szkoły, Herbert wyobrażenia i formy etyczne, będące w obiegu różnemi czasy, uważa za zjawiska czysto naturalne, i to, co nazywać zwykliśmy postępem moralnym społeczeństwa, podciąga on pod powszechne prawo ewolucyi i to nie w przenośném znaczeniu wyrazu. Naukę o dobrem i złem (*the good and ill conduct*) prowadzi on jak historiją naturalną. „Etyka jest filozofiją spraw (*conduct*) dobrych i złych.” Sprawy uzyskują znanie dobrych lub złych, o ile zmierzają do celu: celem zaś jest zachowawczość indywidualna i ogólna. W tym dwojakim przymocie uważać i oceniać należy charakter czynu, a wyższe lub niższe uwzględnienie tych dwu celów przez istotę żyjącą, jest stanowczą modłą do poczytania czynów jej za moralne lub niemoralne. Modła ta, podniesiona do stanowiska metafizycznego, brzmi tak: „Ostateczném zadaniem czynów (spraw) jest otrzymanie jaknajwiększej sumy życia (*sum of life*), przy działaniu całych ras a współdziałaniu jednostek.” Tak sformułowana celowość pociągnąć musiała za sobą u autora ustanowienie pewnej hierarchii wśród jestestw ten cel spełniających, a to stosownie do mniej lub więcej doskonałych przyrządów (*adjustment*), w jakie ich natura ku ogólnemu zadaniu zaopatrzyła.

Przyrząd tedy przeznaczonym jest do zachowania się jednostek, a przez jednostki: całych ras, a nakoniec przez rasy: do zachowania się sumy wszechżycia (*totality of life*).

— *Grecy i Gotowie*, studjum o runach (*Greeks and Goths, a Study on the runes, by Isaac Taylor*. London. Macmillan, 1879). Są to właściwie badania o pochodzeniu alfabetu runicznego od głosek semityckich. Z tego powodu badacz dotyka kwestyi grecko-gockiego alfabetu. Pomijając zbyt specjalne szczegóły, podnosimy ten zajmujący dla nas wywód, że autor w fonetyce greckiej dopatrzył się brzmienia nosowego. Będzie to więc ważny fakt, przemawiający za pierwotnością mowy naszej, tak wydatnie uposażonej w dźwięki nosowe, a zbijający modną, niegdyś hipotezę, jakoby brzmienia te były naleciałością od Zachodu.

— W tym roku zmarł utalentowany poeta włoski Bernardino Zandrini, najserdeczniejszy przyjaciel Hejzego, wielbiciel poezyi niemieckiej i gorący orędownik braterstwa z germanami. W czasie urzędzonej w r. 1863 uroczystości Dantego, napisał on cały szereg utworów p. t.: *Ghirlanda Dantesca*. Słynnemi są też jego pieśni po całej ziemi włoskiej rozlegające się, a wydane p. t.: *Pierwsze poezye (Prime poesie)*. Jeszcze jako student uniwersytetu, na pogrzebie Cavoura przemawiał w imieniu młodzieży akademickiej. Rozprawa jego promocyjna, napisana w 21 roku życia (urodził się 1840), ma za treść swoją: *Religia i państwo (Sopra la religione e lo stato)*. Zmarł 7 sierpnia r. b.

† **Jan Baranowski**, b. dyrektor obserwatorium warszawskiego, dziekan i profesor b. szkoły głównej, zakończył życie w Lublinie w dniu 9 listopada r. b. w 79 roku życia. Utwory jego drukowane były w *Bibliotece Warszawskiej, Przeglądzie Naukowym*, oraz pismach francuzkich. Wydał oddzielnie: *Wzory z trygonometrii prostokątnej i kulistej*, przekład dzieła Kopernika: *O obrotach ciał niebieskich*, przekład dzieła Humboldt'a *Kosmos: Meteorologii Foissac'a*. Ostatnich lat pracowitego i pożytecznego żywota dokonał w Lublinie. Ś. p. uczoney, w dziedzinie astronomii zjednał sobie sławę europejską. Cześć wiekuista jego pamięci!

— W dniu 8 listopada r. b. zmarł **Karol Forster**. Urodzony w Warszawie w r. 1800, po ukończeniu Liceum warszawskiego, wstąpił do sztabu generalnego kwatermistrzostwa b. wojska polskiego, w stopniu konduktora. Wkrótce jednak dla słabości zdrowia ze służby wojskowej wystąpił i przeszedł do rady stanu, a następnie do biura namiestnika. Po roku 1830 wyjechał do Paryża, gdzie w ciągu lat 15 redagował rozmaite dzienniki, pracując jednocześnie nad przekładami dzieł obcych i własnymi utworami. W końcu osiadł w Berlinie i zainicjował zasilną piśmiennictwo popularne szeregiem prac p. t.: *Biblioteka*

*podręczna nauk moralnych i politycznych.* Pisał téż wiele w języku francuzkim i niemieckim (*Le Duc d'Orléans.—Quinze ans à Paris.—Etudes.—Leitfaden der deutschen und polnischen Conversations Sprache* i wiele innych).

— Ś. p. **Teodor Morawski** urodził się w Piwonicach, w Kalisziem 1797 r. Studya odbył w liceum warszawskiem, dalej w szkole prawa; do służby publicznej wstąpił w stopniu adjunkta ministryum spraw wewnętrznych; opuściwszy ją udał się do Paryża, gdzie kilka lat zabawiwszy, wrócił do kraju na krótko. W Paryżu traktował sprawy ekonomiczne, polityczne, społeczne. Nad historią pracował lat trzydzieści i wydał *Historią narodu polskiego*, dla użytku młodzieży, w sześciu tomach; uwieńczona przez Towarzystwo historyczne w Paryżu, doczekała się nowego wydania. Umarł 20 listopada r. b.

— W dniu 27 listopada r. b. zmarł **Aleksander Wejnert**. Ur. 1809 r. w Warszawie, po ukończeniu nauk w uniwersytecie Warszawskim, ze stopniem magistra prawa i administracyi w r. 1830, w r. 1832 był kasyerem urzędu municypalnego miasta Warszawy i konserwatorem akt jego dawnych. Był jednym z najdawniejszych współpracowników *Biblioteki Warszawskiej*. Do rzędu poważniejszych utworów jego pióra należą następujące: *Starożytności warszawskie; Zabytki dawnych urzędzeń miasta Warszawy; Wykryty rękopism Jędrzeja Żuluskiego; Wykryte oryginalne listy (nieznane) Jana Sobieskiego.* W ostatnich czasach wydał: *O starostwach w Polsce i O kawalerach złotój ostrogi.*

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny Feliks Jezierski.

Wydawca Józef Berger.

## Od Redakcyi.

1. **Biblioteka Warszawska** wychodzić będzie jak dotąd i w roku przyszłym 1880. Prenumeratorowie Biblioteki na rok 1880 mogą otrzymywać zeszyty z lat poprzednich niżej ceny zwyczajnej o 50%; nadto mogą prenumerować w Redakcyi: *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, wydania Redakcyi *Wędrowca*, którego prospekt do niniejszego zeszytu dołączamy, po cenie niższej, a mianowicie:

w Warszawie zeszyt po kop. 50

tom po rub. 6

Na prowincyi zeszyt po kop. 60

tom po rub. 7 kop. 20

2. Redakcyja zawiadamia osoby interesowane, że sumy na wydawnictwa ludowe, z powodu Jubileuszu J. I. Kraszewskiego nadesłane, a mianowicie: **a)** rs. 1000 nadesłane przez mieszkańców miasta Odessy i **b)** rs. 719 kop. 12 nadesłane przez mieszkańców m. Kalisza na konkurs kaliski imienia J. I. Kraszewskiego, otrzymała, do warunków przez Sz. osoby, fundusz ten nadsyłające, wskazanych, zastosuje się; tymczasem zaś sumę pierwszą ulokowała na procent w Warszawskim Towarzystwie Wzajemnego Kredytu; za sumę zaś drugą zakupiła Listy Zastawne Tow. Kr. m. Warszawy i takowe złożyła do depozytu bezpłatnego tegoż Towarzystwa.

3. **Feliks Jezierski** zatwierdzony został przez Władzę jako *Redaktor odpowiedzialny Biblioteki Warszawskiej* i z dniem dzisiejszym Redakcyą objął.

Dotychczasowemu zastępcy czasowemu Redaktora p. Dr. Karolowi Jurkiewiczowi, Redakcyja niniejszém składa swe podziękowanie.





# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM,

Z R. 1879.

stron.

## *Filozofia.*

- Cnota i występki. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie.  
Przez Wojoiecha hr. Dzieduszyckiego. (Ciąg dalszy). . . . . 36
- Nirwana wobec metafizyki. Przez Seweryna Smolikowskiego. (Do-  
kończenie). . . . . 204

## *Historya.*

- Franciszek Maksymilian Ossoliński, podskarbi wielki koronny. Przez  
Klemensa Kanteckiego. . . . . 173, 337

## *Literatura.*

- Tomasz August Olizarowski. Przez Sewerynę z Żoch. Duchyńską. . 1, 222
- Nasi pocii w literaturze powszechniej. Przez Feliksa Jezierskiego. . 306

## *Literatura zagraniczna.*

- Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowej, według źródeł  
hiszpańskich. Przez A. G. . . . . 64, 358

## Bibliografia.

Stanisław Murzynowski. Wiadomość bibliograficzna. Przez G. Z. . . . .	385
Przegląd pedagogiczny. Przez Piotra Chmielowskiego . . . . .	431
Przegląd teatralny za r. 1878. Przez F. W. . . . .	182

## Przemysł.

Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskim. Przez Antoniego Wrotnowskiego. (Ciąg dalszy i dokończenie). . . . .	93, 260, 293
Trzecia wystawa rolnicza w Szawlach. Przez Zygmunta Glogera . . . . .	145

## KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historja Literatury współczesnej u ludów słowiańskich. Przez Cour- riera.—Dzieła uwiecznione przez Akademię francuzką.—Poemat na zadanie konkursowe: <i>Wiedza i poezya</i> .—Dzieło p. Meray: <i>Życie we Francyi za czasu Truwerów</i> .—Podróże po Ameryce południowej p. Ursel.—Przyjęcie podróżnika portugalskiego Serta-Pinto przez Towarzystwo Geograficzne w Paryżu.—Mapa miejsce urodzenia mężów najjaśniejszych we Francyi.—Rzeź- biarz Marcello: Księżna Colonna di Castiglione.— <i>Hetman Ma- ksym</i> , powieść Etienne Marcel.—Pieśni szwajcarsko-niemieckie z powodu kongresu przyrodników w St. Gall . . . . .	115, 284
---	----------

## Korrespondencya.

Kronika poznańska. . . . .	299
Kronika lwowska. . . . .	454

## *Przeglądy piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

Głos prasy niemieckiej w sprawie jubileuszu J. I. Kraszewskiego. Przez F. J. . . . .	129
Histoire de la littérature contemporaine chez les Slaves par C. Cour- rière. Paris, 1879. Przez J. A. Święcickiego. . . . .	153
Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1878. . . . .	162
Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiejętności w Krako- wie. (Wydział filozoficzno-historyczny). . . . .	165
Prawo kościelne katolickie dr. Edward Rittnera. Tom II, Lwów, 1879. Przez Edm. Krz. . . . .	817

	stron.
Gramatyka języka polskiego dla użytku młodzieży. Ułożył Stanisław Gargulski. Warszawa, bez daty druku. Przez A. B. . . .	324
Marya Malczeskiego przed areopagiem krytyka francuzkiego. . . .	166
Aleksander Kraushar: Pieśni Heinego. Wydanie nowe, 1880 . . .	472
Dzieła Platona. Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Tom II. Poznań, 1879. . . . .	483
D. Karola Schenkla: Ćwiczenia greckie. Do języka polskiego zastosował dr. Zygmunt Samolewicz. Wydanie trzecie. Lwów, nakładem Karola Wilda, 1879 . . . . .	487
Przyroda i przemysł. Tygodnik popularno-naukowy. Rok VIII. (Po objęciu redakcyi przez prof. uniwersytetu warszawskiego dr. Karola Jurkiewicza, od lipca 1878 do lipca 1879 r.). Przez A. W.	489
Korrespondencya do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez T. . .	469
Jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy literackiej J. I. Kraszewskiego. .	314
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 169, 331, 493	
NEKROLOGIA. . . . .	172,506
OD REDAKCYI. . . . .	508



